

Autorka wzruszającej
Lodowej pułapki



KITTY SEWELL
**ŚLAD
KRWI**

Świat Książki

UWAŻAJ! CIEBIE TEŻ MOŻE DOPAŚĆ ZŁY UROKI!

Sewell Kitty

Ślad krwi

Czy naszym racjonalnym światem mogą rządzić siły
wywodzące się z dawnych kultów?

Madeleine, psychoterapeutka, twardo chodzi po ziemi, ale jej matka Kubanka wciąż praktykuje ojczysty kult santerii. Pewnego dnia Madeleine przyjmuje nową pacjentkę, Rachel, i odkrywa, że kobieta urodziła się dokładnie wtedy, co jej córeczka, przymusowo oddana do adopcji i nigdy nieodnaleziona. Starając się jej pomóc, Madeleine wkracza w świat szantażu, przemocy i zbrodni. Czy Rachel to faktycznie jej córka, a zbiór niewyobrażalnych przypadków w życiu Madeleine wcale nie jest przypadkowy?

PROLOG

Nazwano ją Angelina. Miała swój początek w okolicach Kuby i, jak większość istot zrodzonych na tej zniekanej wyspie, była porywająca i kapryśna. Kubanki są znane ze swego tanecznego chodu. Stare czy młode, mają tę ufność we własne ciało, tę płynną zmysłowość, które są bez wątpienia dziedzictwem po afrykańskich przodkach. Angelina nie była wyjątkiem. Swoimi ruchami wzbudzała nabożny lęk, sam jej widok zatykał dech w piersiach.

A jednak różniła się od innych huraganów. Odznaczała się wewnętrzną furją, co sprawiało, że była przebiegła i nieprzewidywalna. Podstępnie gromadziła w sobie wirującą siłę, czerpiąc ją z anormalnego ciągu zjawisk pogodowych, i nawet najnowocześniejsze instrumenty badawcze wymyślone przez człowieka nie potrafiły wykryć skali jej mocy ani - tym bardziej - określić kierunku, w którym zmierza. Angelina, w poszukiwaniu stosownego skrawka lądu, skanowała z góry wyspy na swoim szlaku, bacznie je obserwując swym niezdefiniowanym okiem, a to właśnie sprawiało, że była taka groźna. I tak oto Kuba była pierwszym miejscem, które ucierpiało wskutek jej wściekłości.

Jak to się często zdarza, niektórzy hawańczycy uważali, że Angelinę sprokurowała pewna starucha. Ta kobieta była santerą, kapłanką starodawnej religii afro-kubańskiej, i w Hawanie,

gdzie nadal kwitnie w najlepsze praktykowanie santerii, była znana z rzucania uroków. Trzy dziesiątki lat przedtem opuściła ją córka, kradnąc przy tym nóż ofiarny i nadzwyczaj cenny krzyżyk, i pod osłoną nocy zbiegła na tratwie na Florydę. Santera nigdy nie wybaczyła córce tej zdrady i w miarę jak posuwała się w latach, ogarniała ją coraz większa żądza zemsty.

Tam gdzie mieszkała, w ubogiej dzielnicy Hawany, już dawno temu zapowiedziała sąsiadom, że przygotowuje najgorszą zdzirę ze wszystkich burz, składając ofiary z krwi bóstwom Joruby, zwanym *Orishas*, upraszając, aby dały wszystkim wichrom rozszaleć się nad stanem Floryda i upokorzyć jej córkę.

Santera zmarła na wylew krwi do mózgu tej nocy, gdy zdradzieckie kosmyki chmur dopiero poczęły wirować nad oceanem, więc nigdy nie poznała katastrofalnych zniszczeń, jakie spowodował nadchodzący huragan. Jednakże jego ofiarą padła nie jej córka, która od dawien dawna już nie mieszkała w Stanach Zjednoczonych, lecz córka córki.

Być może jedynie przesąd w połączeniu z datą śmierci starej sprawił, że odtąd jej imię na zawsze połączono ze straszliwą Angeliną.

Na innej wyspie, najdalej na południe wysuniętym cyplu USA, zaledwie dziewięćdziesiąt dziewięć mil od Hawany, ludzie w pośpiechu przygotowywali się do nadejścia Angeliny. Większość mieszkańców, którzy nazywali siebie Konchami, zbytnio się tym nie przejmowała. Przywykli do tropikalnych cyklonów, a ich wyspa nie leżała na przewidywanej trasie Angeliny. Prognozowano, że huragan uderzy bardziej na północ, gdzieś między Miami i Fort Lauderdale.

Wichura mogła być jednak gwałtowna, a zatem w dzielnicach zabudowanych domkami jak z piernika, chatami należącymi niegdyś do robotników w fabryce cygar i budami ukrytymi na krańcach sekretnych zaułków Konchowie zamykali okiennice, napełniali butle wodą z beczek na deszczówkę i wnosili do wnętrza meble ogrodowe.

Na uliczce z zacumowanymi łodziami mieszkalnymi ludzie mieli

odmienne podejście do letnich sztormów. Właściciele tych łodzi byli bardziej narażeni niż ich stacjonarni sąsiedzi, ale ze względu na swoją naturę zachowywali się tak, jakby niewiele ich to obchodziło, niech będzie, co ma być. Co więcej, był niedzielny poranek. Z kubkiem kawy lub butelką piwa w ręce powoli przywiązywali do relingów skromny dobytek - doniczki z roślinnością, leżaki, rowery. Uderzenia sztormu spodziewano się w Key West w środku dnia, nie było więc powodu do pośpiechu. Ostrożniejsi spośród nich, zwłaszcza starsze osoby i rodzice małych dzieci, załadowywali torby piknikowe i szykowali się do schronienia na czas sztormu w domach przyjaciół na lądzie.

Madeleine leżała w łóżku z Forrestem, jak to oboje lubili robić w każdą niedzielę, nie ruszając się stamtąd aż do popołudnia, kochając się, jedząc, słuchając muzyki i przeglądając gazety, niekoniecznie w wymienionej kolejności. Był to jej ulubiony czas w ciągu całego tygodnia. Forrest należał do mężczyzn superaktywnych i niekiedy trudno go było zatrzymać w miejscu, zachęcić, żeby się trochę rozluźnił. Mimo filozoficznego podejścia do życia miał w sobie zaprogramowaną etykę pracy, z którą ona z kolei stale walczyła i której czasami skutecznie potrafiła przeciwdziałać. Gdy jego umysł w końcu spowalniał, a spięte ciało odprężało się, stawał się najbardziej swobodnym seksualnie, najzabawniejszym gadułą na świecie, sprawiającym wrażenie, że nigdy nie podniesie tyłka z pościeli.

Madeleine, wsparta na poduszkach, trzymała na kolanach szkicownik i rysowała jego postać, leżącą na brzuchu w poprzek łóżka. Forrest kartkował słownik w poszukiwaniu słowa, o które się sprzeczali.

- *Resipiscent* - odczytał głośno triumfalnym tonem. - Przymiotnik. Przywrócony do zdrowszego stanu umysłu. Od łacińskiego: odzyskać jasność umysłu.

- Nie ruszaj się, facet.

Węgiel w ręce Madeleine śmigał po papierze. Zza okna do-

chodziły jakieś hałasy. Judy Montoya wrzeszczała na dzieci, co należało do jej zwyczajów, a Fred, sąsiad z sąsiedniej łodzi' krzychał coś do niej. Z drewnianego pomostu docierał tupot biegnących stóp, aż w końcu ucichł.

- Zamówmy więcej kawy - zabełkotał Forrest. - Gdzież u diabła podziwia się obsługa baru, kiedy człowiek jej potrzebuje?

- Dałam służbie wolny dzień.

Ich zardzewiała stara barka była podarunkiem od babki Forresta, a jedyną jej obsługę stanowiła niegdyś sama właścicielka, która podawała drinki w barze „Turtle Kraals”.

- Och, do cholery. Sam zrobię kawę - oznajmił Forrest, wyskakując z łóżka i owijając biodra ręcznikiem. - A co powiesz na kieliszek szampana z odrobiną świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy? I truskawki. Zauważyłem, że są w lodówce.

- Zasadniczo tak, proszę. - Próbowwała chwycić go za nadgarstek w obawie, że gdzieś się zawieruszy i zacznie szorować pokład albo ściągać pranie ze sznurka.

- Zaraz wrócę, kochanie. Przysięgam.

Zamieniła się w słuch, śledząc z oddali jego ruchy. Barka podskakiwała na falach, woda z hałasem pieniała się wokół bulaja. Zawieszona na ramie okiennej plastikowa torba wskutek wichury unosiła się poziomo w powietrzu. Zegarek wskazywał 12.30. Madeleine wstała i przytknęła twarz do wklęsłej szyby. Marian i Gregg Possle'owie biegli pomostem, trzymając w rękach jakieś zawiniątka. Sprawiali wrażenie, że bardzo się spieszą, choć normalnie byli raczej powolni. Ich włosy ściągnięte w kucyki powiewały na wietrze. W panującym rwetesie usłyszała, jak Forrest przesuwa jakieś rzeczy na pokładzie Wróc do łóżka, ty zdrajco, pomyślała i na razie sama się położyła. Potrzebuję cię.

Po dziesięciu minutach wrócił, ale z pustymi rękami. Na jego twarzy widniało skupienie. Chwycił szorty, naciągnął je na siebie. Madeleine uniosła się na łokciu.

- No i co teraz? Gdzie mój szampan?

- Lepiej się ubierz, kochanie.

- Dlaczego? Co się dzieje?
- Wokoło nie ma żywej duszy. Chyba wszyscy się stąd wynieśli. Uśmiechnęła się, klepiąc miejsce na łóżku obok siebie.
- A więc jesteśmy sami samiutcy.
- Raczej spakuj szybko parę rzeczy, Madeleine. Wiatr się wzmaga.
- Coś podobnego - odparła, nie ruszając się.
- Nastaw radio, żeby się dowiedzieć, kiedy nadejdzie.
- Pół godziny nie sprawi różnicy.

Potrząsnął głową. Pomyślała, że go nie przekona, ale gdy uwodzicielsko odchyliła poły szlafroka i wyciągnęła do niego ręce, zawahał się.

- Podejź tu i pocałuj mnie, zanim znowu uciekniesz. Pocałował ją namiętnie, a potem mruknął:

- No dobrze, ty bezwstydnico, ale niestety nie może to trwać zbyt długo.

W trakcie miarowych ruchów jego miękkie włosy omiatały jej nagie piersi. Kiedy się kochali, Forrest miał zwyczaj baczego wpatrywania się w nią. Nigdy nie spuszczał z niej wzroku, hipnotyzował ją, całkowicie pochłaniając jej uwagę. Nagła fala zahusła barką na boki, a oni, śmiejąc się w głos, zakołysali się wraz z nią. Żadne z nich nie zamierzało skończyć tego, co właśnie zaczęli. Mimo wielu lat przeżytych razem ich kochanie się zawsze było nadzwyczaj intensywne, rodzaj utraty kontaktu z czasem i przestrzenią, wspólna ucieczka do miejsca, w którym nie chciało się kończyć. Szczytowanie było finałem, separacją, a tego należało unikać za wszelką cenę.

Za kolejnym potężnym zakołysaniem Forrest zmarszczył czoło. Oderwał wzrok od Madeleine i znieruchomiał, intensywnie wsłuchując się w ryk żywiołów. Oderwał się od niej, wstał z łóżka. Madeleine nadal tkwiła zmysłami w ich odległym miejscu, licząc w duchu, że Forrest ma tylko na myśli jakieś urozmaicenie, ale on klepnął ją w pośladek i rzekł:

- Hej, dajmy spokój! To obłęd. Kochanie, masz pięć minut na relaks. Ani chwili dłużej.

Obserwowała go z łóżka przez bulaj na prawej burcie. To kapitalne ujęcie - pomyślała z rozbawieniem, biorąc do ręki szkicownik. Rysowała szybkimi pociągnięciami węgla, ale Forrest był szybszy. Zdołała jedynie uchwycić zarys napiętego ramienia, uda i fragmentu tułowia; jego mięśnie pracowały jakby niezależnie od siebie.

Już dawno minęło pięć minut i Madeleine zdała sobie sprawę, że powinna wziąć na siebie część obowiązków - wrzucić do torby niezbędne rzeczy, inne powkładać do schowków, powiązać linką rączki od drzwiczek w szafkach kuchennych, zaciągnąć pas wokół lodówki. Trzymała gdzieś „Listę czynności na wypadek huraganu”, ale praktycznie znała ją na pamięć, bo zdołała już przetrwać kilkanaście tropikalnych sztormów. Przeżył je tu każdy Konch. Jednakże z węglem w ręce nie odrywała oczu od Forresta. Nigdy nie przestawały jej frapować szczegóły jego anatomii. Forrest od szesnastego roku życia zajmował się połowem krewetek, a przez następne dwadzieścia lat pracował niemal wyłącznie rękami i ciałem. Był bez wątpienia obdarzony inteligencją, jednak niewiele go obchodziło stosowanie jej w praktyce, jeśli nie liczyć dziwacznych obsesji na punkcie astronomii, botaniki czy nauki hiszpańskiego. Z czasem zagustował w jej pasji do myrmekologii i oboje odbyli kilka nadzwyczaj interesujących ekspedycji, żeby przyjrzeć się rzadkim gatunkom mrówek w różnych egzotycznych miejscach, jeśli tylko pozwalały im na to finanse, co nie zdarzało się zbyt często.

Nagle pociemniało. Madeleine zerknęła znad szkicownika i spostrzegła, że widok zniknął. Forrest mocował dyktę przyciętą do rozmiaru bulajów. Trochę ją zaskoczyło, że odwołał się aż do takich zabezpieczeń. Gdy powietrze przeciął warkot wiertarki elektrycznej, uświadomiła sobie, jak cicho jest na dworze. Cisza przed burzą.

Bez entuzjazmu wstała z łóżka i zaczęła przygotowania. Nagły podmuch wiatru wstrząsnął barką. Po kilku minutach wichura zaatakowała na nowo. Madeleine pobiegła korytarzykiem na pokład.

- Forrest! - krzyknęła. - Może powinniśmy schronić się na lądzie?

Na barce było dwanaście bulajów, a on uporał się dopiero z sześcioma. Niebo za nim zamieniło się w czarną masę, potężną i groźną. Z bulwaru Roosevelta zniknęły wszystkie samochody. Nawet ptaki odleciały.

- Tak, powinniśmy - odparł, przytwierdzając dyktę do następnego okna. - Chyba wszyscy o tym pomyśleli. Jesteś gotowa?

Zagryzła wargę.

- Prawie.

Forrest przerwał pracę i omiół wzrokiem sąsiednie barki, wszystkie z zabitymi oknami, przycumowane, z zarzuconymi kotwicami.

- Jaka jest najnowsza prognoza?

- Nie nastawiłam radia.

Spojrzał w górę na dziwną formację chmur, przeszedł go dreszcz.

- Chryste Panie, chyba nadchodzi niekiepski sztorm. -I dodał tonem niecierpiącym zwłoki: - Kochanie, pospieszmy się.

W powietrzu coś zadudniło.

- Dlaczego nie zostawisz tych bulajów?

Znowu utkwiał wzrok w niebie, śledząc ołowiane chmury. Wiatr rozwiewał jego długie włosy.

- Nie, lepiej z tym skończę. Wygląda na to, że będzie naprawdę groźnie.

Ruszyła do akcji, biegając półprzyciemnie z torbą pełną krzyżaków, zabezpieczała nimi drzwi i meble, zdejmowała różne drobiazgi i stawiała je na podłodze, jednocześnie próbując wysłuchać komunikatu meteorologicznego w radiu. Odbiornik zachrypiał, z początku nie udało się złapać stacji. Gdy znalazła inną, ostrzeżenie rozległo się jasno i dobitnie: „...natychmiastową ewakuację z południowego archipelagu Keys. Mimo zdjęć uzyskanych drogą satelitarną, danych z najnowocześniejszych radarów i z samolotów obserwacyjnych, spe-

cjaliści z Krajowego Centrum Huraganów ostrzegają, że ponieważ huragan ma nieokreślone oko i brak w nim silnych prądów powietrznych, jego rozmiary i kierunek są nieprzewidywalne. Angelina zboczyła z dotychczasowego kursu i teraz znajduje się nad Key West. Przygotowywane są schrony...".

Przestała słuchać komunikatu i pobiegła do drzwi, żeby ostrzec Forresta.

I wówczas usłyszeli ten huk.

Odnosiło się wrażenie, że nie nadciągał od morza, lecz z lądu, jak gigantyczna wściekła machina. Madeleine ciągle słyszała Forresta, przykręcającego na górnym pokładzie dyktę do bulajów. Może wskutek warkotu wiertarki był głuchy na inne dźwięki. Biegła po schodkach, krzycząc do niego, choć na nic się to nie zdało. Ryk natężał się, przez okienko na górnej galerii dostrzegła, jak palmy na bulwarze zginają się w łuk, a ich liście ciągnięte w stronę oceanu wyglądają niczym naprężone do ostateczności tasiemki przymocowane do wiatraka elektrycznego. Bezskutecznie próbowała otworzyć drzwi, zablokowane przez potężny podmuch wichury. Nagle barka wpadła w wibracje, jakby za chwilę miała eksplodować. I równie nagle wszystko ucichło. Zapanowała złowieszcza martwota. Madeleine otworzyła na oścież okno do sterowni.

- Forrest! - krzyknęła, starając się nie zdradzać paniki.

- Tu jestem. - Jego głowa ukazała się tuż przed jej oczami.

- Forrest, cholera, nie uwierzysz! Huragan jak diabli. Angelina zboczyła z kursu i wali wprost na nas. Właśnie usłyszałam w radiu komunikat. To się dzieje właśnie teraz! - Wyciągnęła do niego rękę przez okienko. - Boję się - wyszeptała. - Spadajmy stąd.

Forrest nie odpowiedział, zapatrzony w niebo. Znał się na pogodzie jak mało kto. Nauczył go tego ojciec. Umiał więc czytać z chmur i wyczuć ciśnienie skroniami. Ta umiejętność nieraz ocaliła mu życie na pełnym morzu, ale teraz nie mógł się skupić. Myślami ciągle był w łóżku, wpatrując się w swoją żonę.

- Trzymaj mnie za rękę - rzekł, odwracając się do niej. -Nadchodzi.

Huragan jedynie na chwilę wstrzymał oddech, a teraz zawył jak potępieniec. W następnej chwili barka przechyliła się na bok. Meble i drobne przedmioty runęły na podłogę. Telewizor zsunął się z szafki i zwałił na kostkę jej nogi. Słyszając trzask kości, Madeleine jęknęła głucho, ale, ku swemu zdumieniu, nie poczuła bólu. Forrest ścisnął ją za rękę, drugą trzymając się parapetu. I znowu nastąpiła cisza.

- Jesteś taka piękna, gdy się boisz.

- Wejdź do środka. Zwieje cię.

- Trzymaj się - odparł, wkładając głowę przez okienko. -Chryste! Trzymaj się z całych sił.

Następny poryw ich rozłączył, pchnął Forresta daleko od niej. Madeleine, również straciwszy równowagę, uświadomiła sobie w trakcie upadku, że ma złamaną kostkę.

Nagle zaczął padać deszcz, wstęgi wody były tak gęste, że wyglądały jak przejrzysty materiał. Wlewały się przez okno, przez próg drzwi. Rama okienna zatrzasnęła się, szkło w szybach zabrzęczało. Madeleine z najwyższym trudem wstała, wrzeszcząc w panice:

- Forrest? Forrest, nic ci nie jest? - W ogłuszającym huku nie słyszała nawet własnego głosu.

Podskakując na jednej nodze, mając pod sobą ruchomą podłogę, chwyciła się przytwierdzonych na stałe mebli, by przez któryś z bulajów dostrzec choćby kosmyk spalonych słońcem włosów męża. Widziała jedynie fruujące w powietrzu fragmenty płotów, znaków drogowych, drzew i wielkich arkuszy blachy, która mogłaby przeciąć ciało w pół. Cały zerwany z domu dach toczył się bulwarem Roosevelta niczym krzak ostu. Barki wpadały na siebie, rozbijając się nawzajem ze straszliwym zgrzytem, a zawodzenie miazdzonego metalu przebijało się przez ryk wichury.

Madeleine nie zdołała utrzymać się w pozycji stojącej. Upadła i rozpaczliwie wykrzykiwała imię Forresta. Była w potrzasku, a on utkwiał gdzieś na śliskim pokładzie, mając przed

sobą ścianę huraganu. Próbowwała sobie wyobrazić, gdzie może teraz być, i doszła do wniosku, że nie mógł utrzymać się na pokładzie. Choć nadzwyczaj silny i sprawny, z pewnością uległ tak gwałtownemu i potężnemu podmuchowi. Był bezradny wobec takiej siły żywiołów. Walcząc z wewnętrznym przeświadczeniem, że stało się właśnie tak, Madeleine usiłowała przekonać samą siebie, że jeśli Forrest wpadł do wody, pewnie odpłynął daleko od zderzających się ze sobą barek. Ale gdy przez dolną część oszklonych drzwi powiodła wzrokiem wokoło, przekonała się, jak dziki był ocean. Z bulwaru nadciągnęła kolejna ściana wody, pchana podmuchami wprost w jej kierunku. A dalej ogromne fale wznosiły się i opadały niczym łańcuch górski w nieustannym ruchu.

Nagle go ujrzała. Walczył z potężnymi falami, unosząc się na jednej i znikając pod następną. Był doświadczonym pływakiem, przez jakiś czas mógł sobie poradzić. Ta myśl nie przyniosła jej jednak ulgi. Na rozhuśtanej barce za wszelką cenę próbowała nie odrywać wzroku od męża, który ze wszystkich sił próbował nie ulec tak dobrze mu znanemu morzu. Do tej chwili osiągał nad nim zwycięstwo. A teraz oddalał się coraz bardziej, wynurzając się na powierzchnię i znikając w ogromnych falach, aż w końcu stał się punkcikiem na horyzoncie. Więcej go nie zobaczyła.

Z jej gardła wyrwał się skowyt. W tym samym czasie wokoło niej rozlegał się przeciągły zgrzyt, jakby pękającego metalu. Miała wrażenie, że kabina zaraz się rozpadnie, a ściany rozstąpią. Zgadzała się w duchu na tę destrukcję domostwa, tak drogiego jej sercu. W ten sposób sama szybko zginie. W rozpacz, drżąc z bólu, dowlokła się na czworakach do zdewastowanego okna i wyjrzała na zewnątrz. Chciała widzieć nadchodzącą ku niej śmierć, ale spostrzegła jedynie ruinę na pirsie.

Trzy lub cztery barki zamieniły się w kupę żelastwa, a straszliwy odgłos dochodzący do jej uszu wydawała z siebie łódź Possle'a, rozerwana z jednego boku niczym kartonowe pudło. Pogięte arkusze blachy zapadały się w toń jak na

zwolnionym filmie. Jeden z nich, niesiony wichurą, wyrznął w drzwi, przy których klęczała. Upadła, obsypana odłamkami szkła. Gdzieś z hukiem pękła szyba, po chwili następna. Madeleine zwinęła się w kłębek na podłodze, wyczekując rychłej śmierci. Im prędzej po nią przyjdzie, tym lepiej, skoro Forrest zginął. Nie zamierzała walczyć o życie.

Barka poruszana potężną siłą zachowywała się jak huśtawka, co chwila uderzając w pirs. W kabinie fruwały stronice papieru i fragmenty roztrzaskanych przedmiotów. Przez ułamek sekundy Madeleine ujrzała na jednym ze swych wirujących w powietrzu rysunków szkic sylwetki ukochanego mężczyzny, sporządzony zaledwie godzinę czy dwie wcześniej. Zakrywając twarz dłońmi, pomyślała o swym mężu i kochanku, najprawdziwszym przyjacielu. Zabiła go. Wskutek zachłanności, lenistwa, egoistycznego pożądanego doprowadziła do takiego opóźnienia. Z jej powodu on umierał teraz w tym dzikim, ciemnym morzu. To jej wina.

Mniejsza o winę, ona też była już niemal martwa. Czekwała na nieuniknione, żeby się wyzwolić. Jeśli spotkają się na tamtym świecie, może jej kiedyś przebaczy. Nigdy nie winił jej za cokolwiek, nawet za to, że stracili dziecko.

Podczas gdy huragan siał wokół zniszczenie, w umyśle Madeleine zapanował spokój. Nagle poczuła przy sobie męża. Miała takie intuicyjne doznania, które często ją samą przerażały. Świszczący oddech Forresta rozlegał się tuż przy jej uchu, jego serce biło słabo na jej piersi. Nadal unosił się na powierzchni wody, walcząc o życie. Jednakże stopniowo jego oddech słabł, już więcej nie mogła go usłyszeć. Wreszcie jego serce przestało bić. A ona siłą woli chciała zmusić i swoje serce do zamilknięcia. Nie udawało się. Z chłodnym dystansem orzekła w duchu, że utonięcie jest przyjemniejszą formą śmierci niż zgniecenie przez blachy. Toń wokoło wirowała, zalewała jej twarz, więc pochyliła głowę, licząc, że woda wypełni jej płuca. Wreszcie w oczach jej pociemniało, straciła przytomność.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miasto Bath

Madeleine Karleigh Frank, humanitarna psychoterapeutka, artystka średniej miary, ekspert w dziedzinie rzadkich okazów mrówek południowej Florydy, znajdowała się przed zamkniętymi drzwiami celi. Nie jako osadzona, lecz oficjalna odwiedzająca, wiedzona tym szlachetnym odruchem, dzięki któremu samotni więźniowie są wizytowani przez równie samotnych dobroczyńców, szarpanych wyrzutami sumienia.

To ja, pochłonięta swoimi sprawami, pomyślała z ironicznym uśmiechem. Nigdy nie uwolniła się od poczucia winy, a odkąd osiem lat temu została wdową, przyjaciele doszli do wniosku, że jest typem odludka.

- Do czego się uśmiechasz? - zapytał Edmund Furie, obiekt jej troski. - Moja piękna, jesteś nieobecna duchem. Chyba nie nudzisz się ze mną, co?

Oparła dłoń o skraj wizjera. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć.

- Znudzona? Nigdy w życiu - odparła, potrząsając głową. - Wszystko, tylko nie to.

Cofnęła dłoń. Zajmowała się więźniem, ale nie chciała, by jej dotykał, biorąc pod uwagę, co wyczyniał tymi rękami, poza tym było to wbrew przepisom.

- Wszystko? Wybuchnęła śmiechem.

- Głupio z mojej strony pomyśleć, że mogłabym się wyłgać taką uwagą. Dobrze więc: jestem zafascynowana, zaniepokojona, rozbawiona, zaskoczona... co jeszcze? - Teatralnym gestem podrapała się w głowę.

- Wypełniasz swoją wewnętrzną potrzebę działań charytatywnych?

Uśmiech zamarł jej na ustach. Odniosła wrażenie, że Edmund bez najmniejszego trudu czyta w jej myślach. Zaciśnął wargi. Rozbawienie kłóciło się z jego naturalną mimiką, a zresztą w nieunikniony sposób zwracało uwagę na jego uzębienie. Jego zęby były jedyne w swoim rodzaju - było ich tak wiele, że w dolnej szczęce tworzyły podwójny rząd, jak u rekina. Jasne, w dzisiejszych czasach jakiś dentysta zaproponowałby mu usunięcie ich nadmiaru i wyrównanie pozostałych za pomocą aparatu. Wielokrotnie kusilo ją, żeby mu zaproponować poddanie się takiemu zabiegowi, ale przecież mógł zrobić to sam, gdyby mu zależało.

- Moja droga, nie musisz mi na to odpowiadać. Może mi raczej opowiesz, jak minął ci dzień?

- Edmund, nie. Zawsze na koniec rozmawiamy o mnie.

- Och, daj spokój. Uwielbiam słuchać o twojej pracy. Z jakimi to szaradami ludzkimi musiałaś się dzisiaj zmierzyć?

- Nie przychodzi mi na myśl ani jedna, która by cię zainteresowała - odparła. - A poza tym to nieetyczne plotkować o moich pacjentach.

Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Pozycja stojąca przez blisko godzinę w trakcie rozmowy z więźniem przez otwór wizjera sprawiała jej ból w krzyżu. Na początku, nieco ponad rok temu, zwróciła się najpierw do kapelana, a następnie do samego naczelnika, żeby pozwolono jej spędzać czas z Edmundem w celi albo choć siedzieć na krześle w otwartych drzwiach celi lub na korytarzu. Thompson spojrzał na nią zdumiony. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia Edmund był niebezpieczny i nieprzewidywalny.

Pstryknął palcami tuż przy jej twarzy.

- Halo, Madeleine, możesz mi zaufać, przecież o tym

wiesz. Nigdy, przenigdy nie pozwolę sobie na jakąkolwiek próbę narażenia na szwank twojej reputacji. Zapamiętaj to sobie. Mogę być mordercą, ale nigdy nie zawiodę przyjaciela, a ty nim jesteś, prawda?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Teraz już całkiem nieźle się znali. Lub raczej on ją dobrze poznał. Aż za dobrze.

- Owszem, Edmundzie, jestem twoim przyjacielem. Tak uważała, mimo przerażenia na myśl o jego zbrodniach.

Przemyśli to w drodze powrotnej. Długa jazda pozwala na roztrząsanie takich kwestii jak szczerłość lub przynajmniej jakiś rodzaj kompromisu w przyjaźni z psychopatycznym mordercą.

Edmund zbliżył twarz do judasza, przyglądał się jej. Madeleine przypomniała sobie w charakterze przestrogi, że psychopaci nie są zdolni zakochać się w innych ludziach, choć oczywiście mogą tak sądzić. Edmund miał hyzja na jej punkcie, co jednak nie wzbudzało jej niepokoju. Ten wzrok utkwiony w niej nie miał podłoża seksualnego. Edmund oświadczył kiedyś, że ta strona życia przestała go zajmować, a ona wzięła to za dobrą monetę. Żarliwość religijna jego matki sprawiła, że miał wstręt do swego penisa, a ponadto, jak wyznał, narząd ten „nie działa zbyt sprawnie”. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat był przedwcześnie postarzałym mężczyzną. Nigdy nie był żonaty, nie miał dzieci, rodzeństwa ani żadnych krewnych, o których istnieniu by wiedział.

- Popatrz, mówiąc o diable... oto kolejny twój przyjaciel. - Schylił się na moment, po czym zbliżył dłoń do otworu w drzwiach. Po jego nadgarstku łąziła mała żółta mrówka. -Sporo widuję tych paskudztw w mojej celi.

- Przypuszczalnie najbardziej ścigana istota w cywilizowanym świecie - odpowiedziała Madeleine z uśmiechem. -To *Monomorium pharaonis*, mrówka faraona. Wślizgują się do wielu instytucji, bo jest tam miło i ciepło, a poza tym są tam wielkie kuchnie. Dobrze wiedzą, co dla nich dobre. Są nad wyraz sprytne.

- Ten samczyk chce powiedzieć... - Edmund zakrył usta dłonią i przemówił piskliwym głosem: - „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mróweczko”.

Madeleine cofnęła się ze zdumienia.

- Skąd o tym wiesz?

- Musiałaś mi powiedzieć.

- Nie, nigdy nie mówię takich rzeczy pacjentom. - Zamilkła. - To znaczy...

Edmund wpatrywał się w nią z gniewem.

- A zatem nie jesteśmy przyjaciółmi.

Uderzył dłonią na płask w nadgarstek, aż Madeleine podskoczyła. Pokazowa wręcz agresja zawarta w tym geście uprzytomniła jej, że dla niego odebranie komuś życia nie znaczy nic. Przez chwilę stali naprzeciw siebie bez słowa. W końcu Edmund pokręcił głową, być może w akcie skruchy za zmiżdżenie mrówki. W jego interesie nie leżało pogłębianie w niej poczucia obcości wobec niego. Przecież była jedyną osobą, jaka go tu odwiedzała.

- A, do cholery. Zgadzam się być twoim pacjentem. To już lepsze niż akcja charytatywna.

- Edmund, daj spokój, nie jesteś ani tym, ani tamtym. - Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzeczać lub odwoływać tego, co się jej wymknęło.

W zamyśleniu spuścił wzrok na podłogę, z oczu zniknął złowrogi błysk. Głębokie zmarszczki na twarzy kontrastowały z gładkim, białym jak kreda sklepieniem czaszki, błyszczącym w ostrym świetle żarówki niczym obrane jajko na twardo. Gdyby zapuścił włosy (jeśli jakiegokolwiek mu jeszcze zostały), byłyby bez wątpienia siwe, jak brwi i rzęsy. Miał w sobie wiele z albinosa, z czym Madeleine nigdy się nie spotkała, bo - przynajmniej w Wielkiej Brytanii - należą oni do rzadkości. Spytała go kiedyś o jego karnację, a on odpowiedział, że to kara za moczenie nocne - jego matka kazała mu pić jakiś płyn z wybielaczem, który sprawił, że stał się cały biały (ale czy to możliwe?). Był wychowany w straszliwych warunkach, reszta jego życia była brutalna, nic więc dziwnego, że był ruiną człowieka.

Gdy przypomniała sobie tamtą rozmowę o matce, sprzed jakichś ośmiu miesięcy, poczuła do Edmunda odrobinę litości. Pod powłoką tego tłustego, białego mężczyzny krył się mały chłopiec, który przeżył piekło. Jego matka bez wątpienia stosowała wobec niego okrutne i wyszukane kary. Dzieciak, by móc sobie z tym poradzić, wzbudził w sobie nerwicę natręctw, która go okaleczyła emocjonalnie, ale zarazem uratowała mu życie. Wizyty Madeleine, odbywające się punktualnie o oznaczonym czasie, stały się jego punktem odniesienia, a wręcz rytualne przygotowania do nich zajmowały mu cały dzień.

Edmund przerwał jej myśli.

- OK, poruszyliśmy ten temat. Po jakiego diabła to robisz? W jakim celu marnujesz swój cenny czas, by mnie ze sobą „zaprzyjaźnić”, zwłaszcza w świetle faktu, że każdego tygodnia widzisz dziesiątki popieprzonych ludzi? Po co zmuszasz się do tego, jedziesz taki szmat drogi?

Madeleine zawahała się, zdając sobie sprawę, że Edmund daje jej w ten sposób szansę naprawienia pomyłki. Na to pytanie mogła odpowiedzieć wyczerpująco, gdyby zrelacjonowała mu swoją biografię, ale istniała też krótka wersja.

- Nie jestem pewna, dlaczego to zaczęłam - odparła. - Teraz jednak robię to, ponieważ naprawdę czekam na nasze spotkania. Jako psychoterapeutka jestem zatrudniona tylko na pół etatu, płacą mi tam doskonale, więc w porównaniu z tamtymi obowiązkami tu wszystko jest bardziej realne. - Spojrzała mu w oczy. - A poza tym mam w ten sposób ciekawsze życie, bogate dzięki różnorodności i możliwości wyboru. Dobrze mi robi, gdy dostrzegam, jak żyje druga połowa ludzi. - Uniosła brew. - Jak widzisz, moje motywacje są czysto egoistyczne.

- Czysto egoistyczne. Tak, to mi odpowiada. We współczesnej kulturze panuje jakieś tabu na punkcie egoizmu. A ja bym powiedział, że jest to najpotężniejsza, najbardziej uprawomocniona siła napędowa u człowieka. Kiedy się przestrzega tej elementarnej siły, czyni się najwięcej dla wspólnego dobra.

- Mój Boże! Któregoś dnia poproszę, żebyś mi to wyjaśnił - wykrzyknęła, wiedząc, że nigdy się z tym do niego nie

zwróci. Ta kwestia była zbyt mocno związana z jego usprawiedliwianiem swoich zbrodni: wspólne dobro równa się wytrzebieniu ze świata śmiecia ludzkiego.

Edmund położył ręce po obu stronach wizjera i pochylił się, wlepiając w nią jasnoszare oczy.

- Ty i ja zawarliśmy niezwykle dziwny związek, w którym możemy być niewiarygodnie uczciwi wobec siebie. Nie wolno się nam do siebie zbliżyć, jeśli nie liczyć tego otworu w drzwiach, więc możemy sobie pozwolić na wszystko... prawda?

- Niezupełnie. - Dokąd ją to zaprowadzi? - Zakreśliliśmy nasze granice. W każdym razie ty mi zakomunikowałeś, gdzie przebiegają twoje.

- Czy przyjmiesz osobistą radę? Spojrzała na niego z przyganą.

- Czuję, że zamierzasz mi jej udzielić, czy tego chcę, czy nie.

- Pozbądź się swego chłopca. - Zamilkł, wpatrując się w nią stalowym wzrokiem. - Bez względu na to, co o nim opowiadasz, nie jesteś z nim szczęśliwa.

Spuściła powieki.

- Jestem absolutnie szczęśliwa - odparła chłodnym tonem. - Nie potrzebuję porad na temat mojego życia osobistego.

- A ja myślę, że ci się przydadzą - odciął się z lekkim uśmiechem. - Możesz sobie mieć te wszystkie wymyślne kwalifikacje i dyplomy wiszące na ścianie, ale, jak ci wiadomo, jestem też trochę psychologiem. Rozumiem dużo więcej, niż ci się wydaje, i mogę z powodzeniem orzec, że masz problem. Widzę go w twoich oczach.

- Ten człowiek mi odpowiada - odpowiedziała z pretensją w głosie.

Edmund potrząsnął głową.

- Słuchaj uważnie. Jeśli nie możesz się go pozbyć... to znaczy, jeśli on nie odejdzie... mogę cię nauczyć paru rzeczy.

Madeleine odwróciła wzrok.

- Założę się, że możesz. To ma coś wspólnego z toną gaszonego wapna lub masą betonu.

- Moja słodka Madeleine. - Jego głos złagodniał, stał się delikatny jak pieszczota. - Nie bądź taka zmartwiona. Ja tylko próbuję ci pomóc. Musimy dbać o siebie nawzajem. Wiem, że we własnej skórze czujesz się równie nie na miejscu jak ja w swojej.

- Och, daj spokój. Zakładasz tak, ponieważ jestem Amerykanką. - Zachichotała nerwowo. - Nigdzie nie czuję się na miejscu.

- Ależ tak, czujesz się.

Edmund wychylił się przez otwór z groźną miną.

- Madeleine, pozbądź się go.

Z taką siłą walnął obiema pięściami w ramki wizjera, że aż się rozejrzała po korytarzu, czy w pobliżu nie ma strażnika.

- Edmund, nie słucham tego, co mówisz - ostrzegła. - Jesteś w złym nastroju. Poczytaj jakąś interesującą książkę i opowiedz mi o niej w przyszłym tygodniu.

- Jestem pewien, że Gordon śpi z innymi kobietami.

- Nic podobnego - odwarknęła. Nie mogła sobie uprzytomnić, kiedy w rozmowie z Edmundem wspomniała jego imię. To było bardzo nierozsądne.

- Skąd wiesz, że tego nie robi?

- Przestań.

- Chłop to chłop, moja piękna. Powinnaś go trzymać na krótkiej smyczy. Jeśli w ogóle się z nim zadawać, co odradzam.

Edmund zawsze odstawiał takie numery, gdy zbliżała się pora odejścia. Przemawiała przez niego frustracja w związku z nieobecnością przez cały tydzień jedynej osoby, jaka okazywała mu nieco troski. A ponieważ w jakiś sposób wykrył, że to dzień jej urodzin (ale jak to zrobił?), słusznie wykoncypował, że wieczór spędzi w ramionach jakiegoś mężczyzny, innego mężczyzny. Rozumiała jego mękę.

- Wizyta skończona - odezwała się, machając mu ręką. - Trzymaj się, kolego. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - rzekł cichym głosem.

W okienku ukazała się jego pięść, na której widok instynktownie odskoczyła od drzwi. Nie, to nie była próba ciosu, ukrywał w ręce jakąś rzecz. Bezmyślnie wyciągnęła dłoń, a wtedy on wcisnął jej jakiś mały przedmiot. Zbyt późno uprzytomniła sobie, że przyjęcie czegokolwiek od więźnia oznacza nieodwołalne cofnięcie prawa do odwiedzin. Co ja do cholery robię? -powtarzała w duchu, gdy odchodziła od jego celi. Zdumiona swoim odruchem odwróciła się od kamery i wsunęła to coś do kieszeni żakietu.

Gdy tylko ruszyła w drogę powrotną do Bath, trwającą z więzienia Jej Królewskiej Mości w Rookwood godzinę i piętnaście minut, rozpadało się na dobre. Choć to połowa marca, nie dało się dostrzec żadnych oznak wiosny. Prognoza pogody na weekend była podobna - deszcz, możliwe przymrozki. Mimo to na autostradzie M4 musiała walczyć o każdy skrawek przestrzeni, a potem utknęła w korku za wozem konnym na A46.

Szosa A46 biegła z boczem wschodniego wzniesienia nad wąską i stromą doliną. Pola po obu stronach ciągnęły się aż do samego dołu, a droga z licznymi zakrętami schodziła do szerokiego dorzecza. Tam, w pierścieniu rzeki Avon, otoczone porośniętymi lasem wzgórzami, leżało wielowiekowe miasto Bath. A pod nim, niewidzialne dla oka, inne miasto, zbudowane dwa tysiące lat przedtem przez intruzów z Cesarstwa Rzymskiego.

Deszcz przestał padać i w zapadającym zmierzchu Madeleine ujrzała miasto z potężnym opactwem w samym centrum, już oświetlonym niebieskawymi reflektorami, które nadawały mu wygląd gigantycznej fortecy z lodu. Dziesiątki innych wież kościelnych urozmaicały panoramę, a domostwa w kolorze miodu, z obszernymi tarasami, nawiązywały konturami do otaczających wzgórz. Armia rzymska przybyła tu czterdzieści trzy lata przed narodzinami Chrystusa, rozochociona opowieściami o druidzkiej twierdzy. Żołnierze mogli stać dokładnie w tym miejscu i spoglądać w dół na owalną dolinę,

porośniętą nadzwyczaj wysokimi drzewami, spoza których unosił się dym i gdzie w samym jej środku, pod czerwono-rudą skałą, bulgotały gorące źródła. Strzegł ich Sulis, tajemniczy bóg druidów.

Madeleine, pochodząca z Nowego Świata, uwielbiała ten aspekt Bath, jego ciemną i odwieczną historię (czy to przypadek, że sypiała z archeologiem, człowiekiem owładniętym manią przeszłości?). Od z górą siedmiu tysięcy lat, gdy myśliwi z epoki kamienia odkryli tę dolinę, gorąca woda wydobywająca się z trzewi ziemi przyciągała ludzi. Ale nie mnie -mówiła do siebie Madeleine z bólem. To nie wody termalne zwabiły mnie tutaj.

Ruszyła w dalszą drogę, odganiając od siebie myśl o bolesnej przyczynie powrotu do Bath. Odwróciła wzrok od łagodnych wzgórz hrabstwa Somerset i wpatrzyła się w tył wozu konnego przed sobą.

Jakiś czas później otrząsnęła się z marzeń, słysząc komórkę dzwoniącą w torebce. Już wjechała w granice miasta, właśnie skręciła w London Road i utkwiała w korku ulicznym. Nie odebrała telefonu, bo doszła do wniosku, że tego popołudnia złamała już wystarczająco dużo przepisów. Ta myśl kazała jej sięgnąć do kieszeni i pomacać upominek od Edmunda. Był to niewielki przedmiot przypominający kształtem jajko, dość ciężki.

Przedostała się na drugą stronę rzeki mostem Clevelanda, mijając ozdobione doryckimi kolumnami dawne budynki ceł, następnie przejechała pod łukami wiaduktu kolejowego i wkrótce znalazła się przed swoim domem na południowym krańcu miasta. Uliczka składała się z szeregu przysadzistych domków z osiemnastego wieku, wzniesionych dla kamieniarzy, którzy pracowali nad wydobyciem i obróbką surowca w pobliskich kamieniołomach na wzgórzu.

Zaparkowała w alejce za domami i przez chwilę siedziała nieruchomo przy kierownicy. W komórce odezwał się sygnał informujący o zostawionej wiadomości. Liczyła w duchu, że

to nie Gordon, który odwołuje randkę. Ostatnio robił to zbyt często, co nie było jej w smak. Wyciągnęła aparat i przyłożyła go do ucha.

„Tu Sylvia. Za dziesięć piąta. Howard Barnes odwołał spotkanie wyznaczone na poniedziałek rano. Ale jeśli już sobie wyobrażasz, jak wylegujesz się ze swoim seksownym archeologiem, muszę cię zmartwić. Pięć minut temu wkroczyła tu niejaka Rachel Locklear, żądając wizyty u kobiety-terapeuty. Korzystając z okazji, dałam jej to okienko. Wiem, wiem, są inni na twojej liście oczekujących, ale było już za późno, żeby ich obdzwonić. Mam nadzieję, że się zjawi... nie jest specjalnie w typie twoich eleganckich, dobrze ustawionych zawodowo pacjentów, wiesz, o czym mówię. No cóż, jeszcze raz składam ci życzenia urodzinowe, miłego weekendu”.

Madeleine uśmiechnęła się do siebie. Co by poczęła bez słynnych inicjatyw swojej recepcjonistki? Najwyżej wylegiwałaby się w łóżku z tym znikającym nie w porę Gordonem!

Trzydziestosześcioletni Gordon Reddon był o siedem lat młodszy od Madeleine. Co gorsze lub co lepsze - Madeleine nie mogła się zdecydować na jedną z tych możliwości -sprawiał wrażenie znacznie młodszego, zarówno z wyglądu, jak i sposobu bycia. Próbowwała nie być tym faktem zauroczona, a już - Boże broń - wdzięczna losowi, ale jednak sprawiało jej to odrobinę satysfakcji.

Godzinę po powrocie do domu, gdy już zdążyła wejść pod prysznic i zmyć z siebie okropny odór więzienny, przebrać się w prostą czarną sukienkę, naciągnąć wełniane rajstopy i wysokie po kolana botki, Gordon zadzwonił do drzwi. Gdy stał w żółtym blasku latarni ulicznej, przyjrzała mu się dokładnie przez wizjer. Był od niej dwa-trzy centymetry niższy, ale to akurat jej nie przeszkadzało. Jak na człowieka „kopiącego w ziemi” był bardzo próżny na punkcie swego wyglądu. Opalony jak sportowiec, wbił się w obcisłe czarne dżinsy i dopasowaną koszulę barwy najbledszego różu. Całości dopełniały kosztowne na pierwszy rzut oka buty i skórzany

pasek. Ponadto narzucił na siebie czarną peleryną przeciwdeszczową.

- Wiele szczęścia w dniu urodzin - rzekł z uśmiechem, wręczając jej bukietik żółtych róż ukrytych dotąd za plecami. - Sama mi o nich powiedziałaś.

- Tak... no cóż, nie należę do tych podstarzałych kobiet, które nie znoszą daty swoich urodzin. Każdy rok życia dowodzi daru wytrzymałości i sztuki przetrwania. Dlaczego więc nie obchodzić tej rocznicy? - Ucałowała go w lekko zarośnięty, zgodnie z nakazami ostatniej mody, policzek i wpuściła do środka.

- Wyglądasz cudownie. - Gordon roześmiał się i objął ją w talii. - Nie mogę się nadziwić, że stajesz się coraz starsza ode mnie.

Było to odrobinę zbyt wiele jak na jej oczekiwania. Wyszwobodziła się z jego objęć i ruszyła w stronę pokoju dziennego.

- Dokąd mnie zabierasz? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wedle życzenia. Najpierw jednak strzelmy sobie po piwku.

Z lekkim grymasem udała się do kuchni, podczas gdy Gordon podszedł do dużego obrazu opartego o ścianę. Było to ostatnie płótno z jej *Serii jaskiniowej*. Zniosła je z pracowni na strychu, żeby, siedząc na sofie naprzeciwko, zastanawiać się nad jego silnymi i słabymi punktami. Z pewną dozą alkoholu we krwi potrafiła uruchomić tę część mózgu, która jest odpowiedzialna za analizę owych niepojętych dzieł sztuki.

- A co moja ulubiona myrmekologistka maluje teraz? -krzyknął Gordon.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak przekrzywia głowę i próbuje wydobyć sens z obrazu przedstawiającego nerwowy pochód mrówek do ogromnej czarnej jaskini i z powrotem, ku światłu. Zdawała sobie sprawę, że nie jest zbyt zainteresowany sztuką współczesną, i nie robiła mu z tego powodu wyrzutów. Z ochotą jednak wysłuchiwał wyjaśnień popartych

odręcznymi szkicami. Jedyne temat jej prac - mrówki - intrygował go od samego początku.

- Jak sam widzisz — odwrzknęła z kuchni — są to po prostu robotnice w drodze do pracy i z powrotem. To taka mrówcza godzina szczytu.

- Czy to jakieś mrówki-giganty, czy ich domostwem jest raczej szczelina w bruku, sprawiająca wrażenie pieczary?

- A co ci bardziej odpowiada?

- Na miłość boską - odparł ze śmiechem. - Czy właśnie badasz stan mego umysłu? Założę się, że ma to coś wspólnego z kompleksem na tle rozmiarów mego penisa.

Znalazła w końcu w lodówce napoczętą butelkę piwa w szufladzie na jarzyny. Wprawdzie wypiała poprzedniego dnia połowę, ale co tam, kapsel trzymał się mocno. Z lekkim zakłopotaniem, w rodzaju „czy mi to ujdzie na sucho”, podobnym do tego, gdy niespodziewanego gościa położy się do łóżka w pościeli po poprzednim użytkowniku, wlała do wysokiej szklanki piwo bez bąbelków i zaniosiła Gordonowi.

- Nie usłyszałam, co powiedziałeś - rzekła, stawiając szklankę na stoliku przed nim. - Coś o wielkości twojego penisa?

- Ach, podstępna babo - zamruczał, chwytając ją za ramię. - Chodź tu i sama sprawdź.

Wyswobodziła rękę i usiadła na krześle naprzeciwko niego. Gordon uwodzicielsko mrużył oczy. Roześmiała się, zastanawiając się w duchu, czy śmieje się do niego, czy też z niego. Chociaż sypiała z tym mężczyzną prawie od półtora roku, nie potrafiła traktować go ze stuprocentową powagą. Ciągle przychodziło jej do głowy określenie „żigolak” i uważała, że to zdrowe podejście. Czy jednak nie krzywdziła go tym epitetem?

Obserwowała, jak unosi szklankę. Z wyraźną aprobatą ocenił wzrokiem złotawy płyn, zbliżył krawędź szkła do ust, przez sekundę zacisnął wargi i nabożnie wlał do gardła cienki strumyk. W następnej sekundzie prychnął z oburzenia. Uważał się za konesera piwa i uznał, że z pewnością chciała

mu celowo zrobić na złość. Madeleine, zawsze skora do autoanalizy, zapytała siebie w myślach: no i co, miałaś satysfakcję?

Mimo lodowatej mżawki wyszli z domu i pieszo ruszyli wzdłuż kanału, w kierunku źródeł czarnej, prawie nieruchomej wody. Na skarpie, przy której kanał łączył się z rzeką, majestatyczna wierzba omiatała gałązkami nieprzejrzystą tafłę. Gordon zatrzymał Madeleine pod jej baldachimem i, jak wiele razy przedtem, wpił się jej namiętnie w usta.

- Niewolniku nawyków - szepnęła przytulona do jego policzka.

I natychmiast pożałowała tej uwagi, widząc, jak wargi kochanka układają się w podkówkę. Gordon był człowiekiem impulsywnym, obdarzonym ironicznym poczuciem humoru, który jednak nie dopisywał mu, gdy on sam był obiektem żartów.

- Tyle, jeśli chodzi o romantyczny nastrój - parsknął z gniewem, chwytając ją za ramię i ciągnąc w kierunku żeliwnego mostu pieszego przerzuconego nad rzeką. Zza kamiennych łuków wyłaniała się starówka.

Madeleine wybrała restaurację rybną tuż obok mostu l'ulteney. Stary dom pochylał się niebezpiecznie nad wodą i sprawiał wrażenie przeciążonego tłumem klienteli na piętrze. Udało im się dostać dosłownie ostatni wolny stolik. Nie był to intymny kącik, ponieważ znajdował się obok kuchni i męskiej toalety. Gordon krytykował menu i obsługę; wieczór zaczął się od zgrzytu i ciągnął w podobnym nastroju. Do tego parę razy zerknął na zegarek.

- Spieszysz się? - spytała Madeleine, pilnując, żeby ta uwaga zabrzmiała lekko.

Zmrużył oczy.

- Ależ nie.

Oboje spojrzeli w bok.

- Do czego zmierzasz? - zapytała po chwili. Zerknął na nią, nieco zbyt szybko.

- Co masz na myśli? Wzruszyła ramionami.

- Gordon, to pytanie raczej nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Nie widziałam cię od dziewięciu dni.

Uśmiechnął się.

- Ostatnio przebywam głównie w laboratorium - odparł. -Przeoglądam artefakty, które wykopaliśmy w Southgate. Ale znasz mnie, wolę na czworakach grzebać w ziemi, jak o tej porze w zeszłym roku.

Skinęła głową, dobrze pamiętając, jak był podekscytowany odkryciem warsztatu szewskiego z wieloma egzemplarzami butów rzymskich sprzed dwóch tysięcy lat, ze starożytnymi narzędziami i dobrze zachowanymi ubiorami ze skóry. Oblepione niebieskawą liasową gliną, spoczywały w wypełnionej wodą dziurze w samym centrum miasta i przetrwały w doskonałym stanie. Napisał potem świetny referat na temat obuwia Rzymian i z tego powodu zaproszono go do Stanów Zjednoczonych na serię wykładów.

Gordon, usiłując ściągnąć wzrokiem kelnera, narzekał głównie na nudę archeologicznych „zadań domowych”, ubolewał nad fragmentami rzymskiej mozaiki posadzkowej, która podobno zniknęła w kieszeni dozorca. Madeleine natomiast skupiła się na odbiciu czterdziestotrzyletniej kobiety w dużym lustrze za jego plecami. Czterdzieści trzy lata! Jak większość kobiet była doskonale świadoma swojego wyglądu, ale ten widok był szczególnie. Obserwując spod oka swoje zachowanie, uświadomiła sobie, w jak znacznym stopniu jest cudzoziemką. Zdradzał to sposób, w jaki mówiła, śmiała się, gestykulowała, ale może najbardziej leniwy ruch jej barków (czy robiła to w obecności pacjentów?). Choć w połowie była Brytyjką, jej druga połówka była zaskakująco latynoska. Dostrzegła nawet, jak bardzo różni się złotawym kolorem skóry od bladej klienteli przy sąsiednich stolikach. Dorastając w palącym słońcu Key West, była opalona przez okrągły rok, na dodatek miała matkę Kubankę, i choć nikt nie mógł tego wykryć, jej prapra-prababka była niewolnicą z plemienia Joruba, przywiezioną z najczarniejszej Afryki na Kubę przez Hiszpanów, żeby harowała na plantacji trzciny cukrowej. Jednakże Madeleine była leż dzieckiem swego ojca, po którym odziedziczyła smukłość sylwetki, wysoki wzrost i pewną

surowość. Nie miała w sobie nic z matczyńskich cech: drobnej postury, seksownych latynoskich kształtów i gwałtownego temperamentu.

Po raz ostatni rzucając okiem na swoje odbicie, orzekła, że należy na nim napisać dużymi literami „oszustka”. Uprzejmy uśmiech, sposób poruszania się, przechylenie głowy, by odrzucić do tyłu ciemny lok spadający na twarz, i pozorna swoboda, a tak naprawdę Edmund Furie nie mylił się, mówiąc jej, że jest nie na miejscu.

Odwróciła się w stronę Gordona w chwili, gdy w jego kieszeni rozdzwoniła się komórka. Nie mógł zignorować głośnego brzęczyka, więc odebrał połączenie, obróciwszy się do niej bokiem, przemawiając ściszym głosem. Próbowwała nie zwracać na to uwagi, ale gdy Gordon skończył, podkusiło ją, by mu powiedzieć parę słów na temat jego złych manier i gotowości do odbierania telefonu w dowolnej chwili.

- Chyba najlepiej będzie, jak pójdziemy na drinka - dorzuciła opanowanym tonem.

- Zgoda, ale nie tutaj.

Wstał i ruszył do drzwi, gdy ona w pośpiechu zgarniała torebkę, parasolkę i płaszcz, żeby podążyć za nim. Kelner powiódł za nią nieprzychylnym wzrokiem.

- Przepraszam - rzuciła do niego. - Nie możemy dłużej czekać. Ucieknie nam ostatni tramwaj.

- Szanowna pani - odparł kelner, wzruszając ramionami - w Bath nie ma tramwajów.

- A to miejsce, drogi panie, nie ma odpowiedniej obsługi - odburknęła, mijając go.

Rzeka Avon pomrukiwała pod mostem Pulteney. Gordon szedł przodem, zbliżając się już do szeregu restauracji przy Argyle Street. Ręce trzymał w kieszeniach, kaptur dyndał mu na barkach. Madeleine dobrze знаła ten jego zwyczaj zostawia-

nia jej za sobą, gdy był niezadowolony. Im bardziej starała się go dogonić, tym bardziej przyspieszał kroku. To jedna z tych jego cech, z którymi nie umiała sobie poradzić.

Zrównała się z nim w końcu, wzięła go za rękę i powiedziała:

- No, daj spokój. Nie psujmy sobie wieczoru. Ogarnęła cię złość, bo jesteś głodny, i tyle. Może zawrócimy do mnie? Służę najlepszym barkiem w mieście, no i mam coś do zjedzenia. W weekend zajrzałam do supermarketu Safeway.

Zwolnił trochę i przepaszająco ścisnął jej rękę.

- W Safeway mają podłe produkty. Ja zaopatruję się u Marksa i Spencera.

- OK, wobec tego idziemy do ciebie. - Zmusiła go, żeby stanął i spojrzał jej w oczy.

Na jego twarzy odmalowało się zaniepokojenie.

- Marks i Spencer był już zamknięty. - Zrobił rozbijającą minę. - Chyba jednak pójdziemy do ciebie.

Zmierzyła go wzrokiem. Zawsze ufała swoim instynktom, czujnym i odbierającym wszelkie sygnały.

- A, do cholery, zapomnijmy o jedzeniu. Dla odmiany chodźmy do ciebie.

Znowu zerknął na zegarek.

- Pościel wymaga zmiany i... Popatrzyła na niego przeciągle.

- Dlaczego przyszło mi do głowy, że ktoś leży w tej pościeli?

Na jego twarzy znowu pojawił się cień niepokoju. Po chwili jednak się odprężył.

- Madeleine, daj spokój, nigdy nie składaliśmy sobie obietnic. Nie na tym polega nasz związek, prawda?

Gapła się na niego, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - rzekła w końcu. I dodała w duchu: aż do dzisiejszego popołudnia. Dziękuję,

Edmundzie. Nie mogła wprost uwierzyć, że była taka naiwna. Tak bacznie potrafiła obserwować dynamikę ich partnerstwa, a mimo to nie przyszła jej na myśl kwestia wierności. Gordon

był niezmiernie uważny w sprawie odpowiedniego zabezpieczenia, choć Madeleine często mu powtarzała, że może to sobie darować. Zdaniem Emmy Williams, ginekolożki, ryzyko zajścia w ciążę w jej przypadku było prawie żadne. W ciągu czternastoletniego pożycia małżeńskiego Madeleine bardzo chciała mieć dziecko, ale się nie udało. Mimo jej zapewnień Gordon zawsze stosował kondomy. Jasne. Nie obawiał się niechcianej ciąży, lecz chorób przekazywanych drogą płciową, które mógł złapać od innych kobiet. Jakie to odpowiedzialne z jego strony. I jakie głupie z jej strony, że nie potrafiła wyciągnąć oczywistych wniosków.

- Madeleine, co to za gniewy - rzekł, kładąc jej ręce na ramionach i patrząc prosto w oczy. - Posłuchaj, jest nam dobrze razem. Nie ma powodu, by tego nie kontynuować. Prócz tego, że jesteś egzotyczna i urocza, jesteś najbardziej rozumną, dojrzałą i niezależną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. To mnie właśnie w tobie kręci. No, bądź rozsądna.

- Muszę to przemyśleć.

Mocniej ścisnął ją za ramiona, lekko nią potrząsnął.

- Nie myśl tak cholernie dużo. Idź za głosem zmysłów.

- Czy ona jest teraz u ciebie?

- A co to ma za znaczenie? Sprawa dotyczy ciebie i mnie.

- Jest tam?

- Jestem z tobą, prawda?

- Odpowiedz, tak czy nie?

- No tak. Ale nie spodziewa się mnie szybko.

- Chyba mam problem z wyobrażeniem sobie sytuacji, że akurat teraz, gdy rozmawiamy, w twoim łóżku czeka inna kobieta - odparła. -1 to wielki problem.

- Och, daj spokój. Po co zawracasz sobie głowę taką błahostką. Teraz jestem dokładnie tu, gdzie chcę być. Z tobą.

Elegancko ubrani przechodnie pod dużymi parasolami przeciskali się między nimi na chodniku. Madeleine uparła się, żeby tkwić w miejscu, choć z jej włosów spływał deszcz. Wstąpił w nią duch feminizmu. Błahostka! Zarazem odczuwała niejaką przyjemność. Bo ona z pewnością nie była błahost-

ką. Ale ile Gordon miał przygód? I z jakiego powodu? Czy dlatego, że nie wystarczało mu, co ona miała mu do zaoferowania, czy też był nieuleczalnym donżuanem? Tak czy inaczej, zakomunikował jej wprost, że nie ma go na wyłączność. W miarę jak pierwszy szok zaczynał ustępować, rosło w niej oburzenie. Jakaś dziewczyna leżała w jego łóżku i czekała na swoją kolej. Skoro tak, to równie dobrze mogło zdarzyć się, że wskakiwał do jej łóżka bezpośrednio po pieprzeniu się z inną. Taki obrazek przyprawił ją o mdłości.

Przejechała taksówka, tak blisko chodnika, że oboje zbryzgała wodą z kałuży.

- Cholera! - krzyknął Gordon z gniewem, odskakując w bok. - No to gdzie idziemy coś zjeść? Nie dość, że jestem głodny, to całkiem mokry.

Madeleine otworzyła parasolkę.

- Nie jestem zbyt pruderyjna ani zbyt dumna, ale nie zamierzam być partią w tym układzie.

Na przystojnej twarzy Gordona odmalowała się powaga, widok wręcz nieznany jej w ciągu całej ich znajomości. Schwycił ją za ramię i zaciągnął pod daszek czyichś drzwi wejściowych.

- Jakżebym pragnął, żebyś nie odbierała tego w ten sposób. Madeleine, posłuchaj. Jestem bardzo ostrożny... one nic dla mnie nie znaczą, liczysz się tylko ty.

Wyswobodziła się z jego uścisku i roześmiała z sarkazmem.

- A więc coś dla ciebie znaczę?

Zrobił krok do przodu, żeby zagrozić jej drogę.

- Wysłuchaj mnie...

- Nigdy nie domagałam się od ciebie zobowiązań! - krzyknęła, odpychając go od siebie. - Nie stawiałam warunków, ale czy nie potrafisz zajmować się kobietami z osobna?

Wpatrywali się w siebie bez słowa. Gordon potrząsnął głową.

- Nie możesz mnie zmienić. To, że nigdy przedtem nie próbowałaś, było czymś ujmującym. Nie zaczynaj więc teraz. Proszę.

- Zgoda - odparła z irytacją. - Nie będę. - Czekwała na jakąś reakcję z jego strony, ale gdy zorientowała się, że on nie ma nic więcej do dodania, rzekła: - No to cześć, Gordon - i pobiegła w deszczu ulicą prowadzącą do mostu.

- Madeleine, wróć! - krzyknął za nią.

Liczyła w duchu, że może jednak ją dogoni, chwyci w ramiona, powie, że nie może bez niej żyć. Usłyszała jednak oddalające się kroki. Obejrzała się za siebie i wtedy dostrzegła tył ciemnej peleryny powiewającej na wietrze. Gordon odszedł w przeciwnym kierunku.

Godzinę potem Madeleine siedziała na sofie w swoim saloniku ze szklanką rumu w ręce. Wspaniałe urodziny. Po prostu fantastyczne. Telefon milczał. Rosaria, jej matka, cierpiała na chroniczną psychozę i z pewnością nie pamiętała o tym dniu. Ojciec, Neville, był zbyt wielką sławą, zbyt ważną figurą i zbyt wielkim egoistą, by sobie zaprzętać głowę takimi drobiazgami. Kilkoro jej przyjaciół zostawiało ją tego dnia w spokoju. Była to jednak jej wina. John, kolega terapeuty, i recepcjonistka Sylvia, wiedząc o tym, zaprosili ją na urodziny na lunch do świetnej restauracji. Sięgnęła po otrzymaną od nich kartę z życzeniami, leżącą na stoliku.

„Ilu trzeba psychoterapeutów, żeby zmienić żarówkę?” -przeczytała głośno. Oczywiście znała odpowiedź, ale zachichotała pod nosem. Zerknęła na drugą stronę kartki i znowu na głos odczytała odpowiedź: „Tylko jednego, ale żarówka musi wyrazić wolę zmiany”. Podpisano: „Z gorącą sympatią, John i Sylvia”.

Z gorącą sympatią! Madeleine zazgrzytała zębami z rozpacz. W ciągu siedmiu lat, jakie minęły od śmierci Forresta, nie zapłakała ani razu i nie zamierzała mazać się teraz. Wylała już wszystkie łzy całego życia, jak gdyby tamten huragan zniszczył wszelkie jej emocje i pozostawił wewnętrzną pustkę. Po latach karania samej siebie celibatem w jej życie wkroczył Gordon. Wiedziała, że go nie kocha, ale była do niego bardzo przywiązana. A może lubiła siebie przy jego boku. Teraz poczu-

ła się przez niego zmanipulowana - Gordon złamał milczącą zasadę ich związku. I na tym polegał problem: pochodzili z innych planet, stosowali odmienne reguły gry. Mieli tyle frajdy w trakcie tego romansu, że nie poruszali kwestii swoich potrzeb i oczekiwań od partnera. Niemniej on ją w pewnym sensie ocalił, sprawił, że na powrót poczuła się kobietą, więc może i ona go wykorzystywała.

Powrót do Bath mimo wszystko nie pomógł. Znowu poczuła się kompletnie osamotniona. Prócz osłody życia matce, na co mogła liczyć? Miała kilkoro wypróbowanych przyjaciół, cztery lata doświadczenia w psychoterapii i stertę obrazów przedstawiających złowrogie mrówki. Aha, i Edmunda.

Edmund! Aż podskoczyła z wrażenia. Przeszła do holu. Na wieszaku wisiała jej kurtka. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła prezent urodzinowy od niego, który sprawiał wrażenie niedużego jajka. Był zrobiony z wypolerowanego zielonego kamienia z szarymi drobinami. Jajko - jakie to miłe. Pokręciła głową w zakłopotaniu, zastanawiając się nad symboliką upominku.

Już chciała go wrzucić do wazy z drobiazgami bez użytku, gdy poczuła, że coś się w nim rusza. Przyłożyła je do ucha i potrząsnęła. Było wydrążone, bez wątplenia coś zawierało. Dokładnie przyjrzała się kamiennemu owalowi, obracając go powoli w rękach i uważnie badając powierzchnię. Nareszcie odkryła cieniutką kreskę, niczym ślad brzytwy. Wzięła nóż do papieru i tak długo podważała szczelinę, aż zdołała rozdzielić dwie połówki.

W środku ujrzała broszkę. Była zrobiona ze splecionego szarego drutu w kształcie łyzy... a może była to pętla? Cofnęła się w odruchu obrzydzenia. Edmund większość swoich ofiar udusił własnymi rękami, ale wobec tych, którzy byli mocno zbudowani, użył sznura. Może jednak wyciągnęła z tego mylny wniosek. Z pewnością tak. Przecież była jego jedynym przyjacielem, nie chciałby jej przerazić. Sznur symbolizuje również więź, wspólnotę, prawda? W sztuce oznacza cierpienie,

ale w niektórych kulturach jest symbolem podporządkowania i zniewolenia.

W zamyśleniu obracała broszkę w palcach. Nie był to piękny przedmiot, ale Madeleine nie była miłośniczką blichtru. Im dłużej się w nią wpatrywała, tym bardziej podobała jej się surowość. Więź - orzekła w duchu, ostrożnie wybierając najmniej groźną symbolikę. Edmund był skazany na wielokrotne dożywocie. Prosił ją za pośrednictwem tej broszki, aby pozostała jego przyjacielem na zawsze (póki nie umrze on albo ona). W każdym razie liczyła, że to właśnie miał na myśli.

Z miłości nie należy drwić - rzekła już trochę pijana, przypinając sobie broszkę do sukienki. Jest jej tak niewiele.

Dopiła rum i uklękła przy swoim terrarium. Mrówki bez przerwy krążyły od skrzynki do skrzynki przejściami i cylindrycznym korytarzykiem, zdyscyplinowane i metodyczne w swoich działaniach. Nie pozwalały sobie na chwilę lenistwa, postoju. Zawsze w poszukiwaniu, ale chodzi o to, że dokładnie wiedziały, dokąd zmierzają i... czego szukają.

ROZDZIAŁ DRUGI

- A zatem czego poszukujesz, młoda Madeleine? - odezwał się Forrest, wiodąc palcem wzdłuż jej nosa, wokół linii ust, a potem niżej, po podbródku i szyi.

Leżeli wtuleni w siebie, kołysząc się w hamaku zawieszonym między dwoma pniami ketmii, w ogrodzie otaczającym posiadłość przy Telegraph Avenue. Pod nieobecność właścicieli Forrest zajmował się ich domem.

- Jeszcze nieodkrytego gatunku mrówek *Atta cephalotes* -odparła, próbując zachować powagę.

- Ty podstępna diablico - odparł, łaskocząc jej goły brzuch. - Mam na myśli, czego szukasz w życiu. Czegoś na całe życie, na przykład miłości, duchowego objawienia, podróży na kraniec świata. Czy nie wspominałaś czasem, że twoja mama jest kubańską santerą?

Madeleine naprawdę chciała mu odpowiedzieć: Ciebie. Szukałam ciebie. Była jednak zbyt dumna. Zakochała się i to zupełnie nowe dla niej uczucie po prostu obezwładniało. Z najwyższym trudem usiłowała zachować równowagę wewnętrzną, żeby go nie wystraszyć i nie sprowokować do ucieczki.

- Taa, wszystkiego, o czym wspomniałeś. Szukam miłości, możliwości podróżowania i duchowych doznań. Zrodził mnie huragan, jestem pod opieką bogini Oya. Ona mnie ochroni

i nie dopuści, żebym zrobiła z siebie kompletnego głupka... zwłaszcza wobec ciebie.

- Jesteś małą czarownicą, wiesz o tym - rzekł i objął ją. - Chodź tu.

Uśmiechnęła się. Już tam była. Bliżej nie mogła. Czekwała na tę chwilę od trzech długich tygodni, kiedy wpadli na siebie, jadąc rowerami na rogu Fleming Street i Love Lane. Samo to miejsce okazało się opatrnościowe. Kraksa nastąpiła wskutek jej błędu, ale on natychmiast wziął całą odpowiedzialność na siebie. Okazało się, że zraniła się w gołe ramię. Forrest wyciągnął ze sfatygowanego plecaka butelkę z wodą i czystą serwetkę (z nadrukiem restauracji „Randy's Steak House” - ona ma ją do dziś) i przystąpił do oczyszczania rany. Zajął mu to wiele czasu i kiedy wreszcie skończył, uparł się, żeby zaprosić ją na kawę, a potem odstawić jej rower pod wskazany adres.

- Ojej, czy to twój dom? - spytał, rozglądając się po krytej gontem wspaniałej rezydencji w cieniu majestatycznego figowca bengalskiego. - A więc twój tata jest tym słynnym Hemingwayem malarstwa?

Gdy leżała w jego ramionach, ogarniały ją radość i smutek. Wkrótce stąd wyjedzie. Jej tata, Neville, ów słynny Hemingway malarstwa, i mama kłócili się od wielu miesięcy. Ojciec chciał wrócić do Londynu. Twierdził, że jest już wypalony pobytem w Key West, zwłaszcza pod względem artystycznym. Mama z kolei знаła tylko Key West i swoją rodzinną Kubę. Wprawdzie dwa razy odwiedziła z ojcem Londyn, ale była tym miastem przerażona. Uważała, że brak mu piękna, bo nie ma tam ani kwiatów, ani palm, ani słodkiego zapachu ciepłych wiatrów, a przede wszystkim oceanu, w który należy się wsłuchiwać i kontemplować nad jego brzegiem zachody słońca. Niskie, szare chmury, jej zdaniem, wtlaczają miliony mieszkańców w ziemię i są powodem złego samopoczucia. By ją zjednać, ojciec obiecał, że zamieszkają w Bath, to piękne i starożytne miasto z gorącymi źródłami, otoczone zalesionymi wzgórzami. Madeleine była zaintrygowana tym pomysłem - aż do czasu, gdy spotkała Forresta.

Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią. Jego orzechowe oczy dosłownie przeszywały ją na wylot. Mimo woli zadrżała. Całe jej ciało było jak w gorączce.

- Powiedziałem mojemu staremu, żeby poszukał sobie nowego wspólnika - rzekł powolnym tonem - przynajmniej na rok, może dwa lata, bo postanowiłem wyruszyć w podróż. Zawsze chciałem pojechać do Indii i Nepalu, zobaczyć Himalaje. Zanim osiadę na dobre, rozumiesz, co mam na myśli? A wtedy przez następne sto lat będę się zajmował wyłącznie połowem krewetek w Key West. Skoro więc teraz nie zobaczę świata, to kiedy?

Wpatrywała się w niego bez słowa. A więc i on zamierza odjechać. Poczula się zraniona, już rozpacziała nad utratą.

- No cóż. - Westchnęła, udając, że się tym nie przejęła. -Ja z moimi starymi przenosimy się do Anglii. Tata jest tam również znany. Chce sprzedawać swoje obrazy w Londynie, gdzie otrzyma za nie mnóstwo forsy. To miasteczko jest dla niego za małe.

Forrest utkwiał w niej wzrok. Zmienił się na twarzy. Madeleine od razu pożałowała swoich słów.

- Zdaję sobie sprawę, że nie znamy się zbyt długo - powiedział. - Chciałem jednak zapytać, czy nie wybrałabyś się razem ze mną.

O Boże! Jaka z niej kretyńska gaduła. Zawirowało jej w piersi od nadmiaru emocji. Chciał być z nią, pragnął, by pojechali razem. Wpatrywał się w nią tymi swoimi orzechowymi oczami, czekając na odpowiedź. Madeleine zanurzyła palce w jego złotych lokach, przyciągnęła głowę ku sobie. Pocałowali się, nie pierwszy raz, ale tym razem było inaczej. Wyczuła w nim smak soli z wody morskiej, jego żywiołu, i ciepłego piasku.

Razem z ojcem zajmował się połowem krewetek od trzech lat, miał więc szorstkie ręce z wieloma nagniotkami. Uważał, żeby nie zniszczyć jej ubrania. Miała na sobie wyszywany koralikami podkoszulek i krótką spódniczkę z bawełny. On nosił tylko szorty. Części ich ubiorów po kolei spadały na miękki mech pod hamakiem. Nad ich głowami wznosił się chroniący od słońca naturalny baldachim z drzew limonki i winorośli. Kaskady mchu hiszpańskiego zwisające z gałęzi omiatały ich nagie ciała. Gdy Forrest całował jej piersi, spojrzała na niego i pomyślała: Po co

gdziekolwiek jechać? Żadne miejsce na ziemi nie jest równie piękne jak właśnie to.

Po dłuższej chwili uniósł się, popatrzył jej w oczy i zapytał:

- Czy zgadzasz się na to, co robimy?

Jego nagi tors błyszczał od potu, w potarganych włosach na linii czoła błyszczały srebrne krople.

Cóż mogła odpowiedzieć? O tak, poszłaby za nim na kraj świata, kochając się z nim w każdym łóżku na trasie ich poci rózży.

- Bierzesz pigułki czy coś w tym rodzaju?

- Taa - odparła.

Ponownie zerknął, tym razem z napiętą uwagą.

- A więc będzie OK?

Skinęła głową. Słyszała od koleżanek, że pierwszy raz nie jest specjalny, nie należy się spodziewać Bóg wie czego. Nie chciała, żeby widział, jak skręca się z bólu czy zaciska zęby. Kiedy już nie mogła dłużej czekać, pokierowała go ręką. Wszedł w nią powoli. Ból trwał jedynie chwilę. Zdawała sobie sprawę, że będzie wspominała ten moment z rozkoszą. Jej koleżanki myliły się. Pierwszy raz zawierał w sobie magię, której już nie da się powtórzyć, inicjację prowadzącą do jakiejś kompletnie nieznannej głębi ciała. Objęła go z całych sił, żeby przedłużyć to jedyne w swoim rodzaju doznanie, ale nie musiała się obawiać. Ich kochanie się trwało w nieskończoność, oboje byli oczkami jednego łańcucha. Forrest miał niespieszną naturę, jakże inną niż jej rówieśnicy, którzy czasami zaczepiali ją, licząc na jakąś macankę. Forrest natomiast był dziewiętnastoletnim mężczyzną. Była taka zielona, ale on ją wszystkiego nauczył.

Kiedy w końcu się rozdzielili, zapadał zmrok. Chłodna bryza koła ich spocone ciała, Madeleine chciało się pić.

- Która godzina? - spytała ze śmiechem.

Przekręcił się na brzuch i sięgnął do kieszeni szortów, żeby wyjąć zegarek.

- Dziewięta dwadzieścia.

- Cholera! - Raptownie siadła, straciła równowagę i wylądowała pupą na mchu.

Spojrzał na rozciągniętą pod sobą dziewczynę i roześmiał się na ten widok.

- Wspaniały finał zmysłowych uciech.

Nie docierało do niej, co mówi. Neville był wyrozumiałym ojcem, ale wściekał się, gdy spóźniała się na kolację... która rozpoczęła się dwie godziny temu. Pełzała po mchu w poszukiwaniu majtek.

- Muszę iść do domu - rzuciła, nie patrząc na niego.

- O, nie. Madeleine, zostań. Nie odchodź jeszcze. Wykorzystajmy to miejsce. Właściciele wracają jutro. - Gestem ręki wskazał na werandę otaczającą willę. Pod rzeźbionymi kolumnami stały potężne sofy z ratanu.

- Robię najlepsze na wyspie smażone ślimaki i równie doskonale *mojito*. No i mam skręta, kolumbijskiego, gładkiego jak jedwab. - Chwycił jej rękę, by ją powstrzymać. - Przecież nie odpuszczisz sobie kąpieli w basenie.

Ze wstydu zakryła twarz dłońmi i oddaliła się parę kroków, żeby się ubrać.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - nalegał. - A więc pojedziesz ze mną?

Zamarła, stojąc do niego plecami.

- No więc ruszamy w podróż? - powtórzył. - Mam trochę oszczędności. Będziemy musieli skromnie żyć. - Roześmiał się. - Możemy nawet udać się na poszukiwania mrówek. Odkryjesz jakieś zupełnie nieznanne gatunki. - Leżąc w hamaku, usiłował ją chwycić. - Tajemnicza Madeleine. Królowo mrówek mojego życia, jedź ze mną.

Jego słowa wywołały ogromne wrażenie, ale poczucie klęski okazało się silniejsze.

- Chciałabym, bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Porozmawiam z ojcem, ale bardzo wątpię, czy mnie puści.

Forrest wstał. Mimo spracowanych dłoni i pokiereszowanych ramion wyglądał w swojej nagości jak młody bóg.

- Przecież wiesz, że sama możesz o tym zdecydować. Spuściła powieki. Nie mogła z tym zwlekać ani minuty dłużej.

- Pewnie mnie znienawidzisz, jak się dowiesz. - Zamilkła na chwilę. - Mam dopiero piętnaście lat - szepnęła. - Przepraszam.

Mijały sekundy. Kiedy Forrest podchodził do niej, złękła się, że ją uderzy. On jednak dotknął jej podbródka, jakby sprawdzał czy stojąca przed nim dziewczyna jest istotą z krwi i kości, po czym cofnął się i z jękiem padł na hamak. - Piętnaście. Co ja najlepszego zrobiłem? Jesteś dzieckiem... dzieciakiem.

- Naprawdę mi przykro.

- Dlaczego skłamałaś? W jakim celu?

- Wiesz dlaczego - odparła buńczucznie. - W przeciwnym razie nie spojrzałbyś na mnie.

Ukrył twarz w dłoniach.

- Jesteś wysoka jak na swoje lata, ale powinienem był się zorientować, że nie masz osiemnastu lat. Nie wyglądasz na tyle. - Spojrzał na nią ostro. - Madeleine, zrobiłaś ze mnie kryminalistę. Jesteś w prokuratorskim wieku.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Nie myślała o tym od tej strony.

- Za osiem miesięcy skończę szesnaście lat - bąknęła przybita.

Wstał i włożył szorty. Ujął jej głowę w obie ręce i spojrzał w oczy z nieukrywaną furją.

- Madeleine, to niesłychanie nieodpowiedzialne z twojej strony, ale ja też jestem idiotą, że ci uwierzyłem. Odejdź. Muszę się od ciebie odkochać. Chryste! Gdybyśmy choć nie zrobili tego, co się przed chwilą stało.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. W końcu Forrest złożył na jej ustach mocny, zbyt mocny pocałunek. W jego oczach czaił się ból. Kilkakrotnie uderzył się w pierś i powiedział:

- Ty mała czarownico, zabrałaś mi serce.

Obrócił się i szybko pobiegł w kierunku domu, a zapłakana Madeleine wymknęła się przez furtkę ogrodową, mając przed sobą przyszłość bez Forresta.

John, najbliższy przyjaciel Madeleine i kolega psychoterapeuta, minął ją w wąskim korytarzu.

- Jestem spóźniony - wybuchnął, ciężko oddychając. - Złapałem gumę.

- To się zdarza najlepszym, Johnny. - Pogłaskała go po ramieniu.

- Nie pocieszaj mnie. Nie dość, że mam kaca, to na dodatek czeka na mnie pani Nettle. - Zrobił gest, jakby chciał walnąć głową w ścianę. - Już nie daję sobie rady.

- Poniedziałkowe ranki są ciężkie - uspokoiła go Madeleine.

Idąc spieszenie w kierunku swego gabinetu, krzyknął za nią:

- Nie odbyliśmy naszej sesji terapeutycznej. Już dawno minął termin.

- Może w przyszłym tygodniu?

- Nie, Madeleine. Wiesz, co mówi podręcznik etyki zawodowej: terapeuta, który praktykuje bez nadzoru, powinien być przywiązany do słupa i bity pejcem. A więc odbędziemy ją dzisiaj wieczorem, przy butelce piwa.

Patrzyła, jak się zмага z klamką, trzymając w ręce teczkę, torebkę z kanapkami, stos korespondencji. Okulary mu się przekrzywiły, rudawe włosy opadły na bok, a jego zadek ostatnio znów się powiększył. Trudy dnia codziennego były ponad jego siły, pomyślała, biegnąc mu na pomoc. Pozbierała z podłogi rozrzucone koperty, wręczyła mu i zamknęła za nim drzwi.

Poniedziałkowe ranki są ciężkie - powtórzyła w duchu, zaciągając story w swoim gabinecie. Zwłaszcza po zasranych urodzinach, zerwaniu z kochankiem, zapijaniu smutków w towarzystwie Patricii, koleżanki po fachu, i Jane, właści-

cielki miejscowej galerii. A w niedzielę kac i rozdzierający ból głowy.

Nalała do kubka trochę wody z automatu i podlała kwiaty. Promienie słoneczne ujawniły warstwę kurzu na każdej powierzchni. Pożałowała trochę, że zakazała Sylvii wkraczać tu z miotłą do odkurzania. Z pudełka stojącego przy fotelu dla pacjentów wyciągnęła kilka chusteczek higienicznych, zwilżyła je i przeciągnęła nimi po blacie, tylko rozmazując kurz. Uniosła słuchawkę telefoniczną, żeby wyczyścić podstawkę, i zawahała się przez chwilę. Mogłaby zadzwonić do Gordona i zażądać rozmowy na temat jego rozlicznych partnerek seksualnych. Nie, to przecież on ją oszukiwał. Jeśli miałby jej coś do wyjaśnienia, to, do cholery, sam by zatelefonował.

Nagle za ścianą oddzielającą jej gabinet od pokoju Johna rozległ się ostry krzyk kobiety. Pani Nettle znowu dostała ataku szału, wrzeszcząc wniebogłosy. W trakcie wzajemnych sesji Madeleine ostrzegała Johna nie raz, że Nora Nettle jest kandydatką do leczenia psychiatrycznego, a nie do psychoterapii, ale on postanowił nadal się nią zajmować. Poczciwy stary John był troskliwym i doświadczonego terapeutą, ale odznaczał się zbyt miękkością. Poznali się w Bath Institute, gdzie razem studiowali. Madeleine właśnie przyjechała do Wielkiej Brytanii, niedługo po śmierci Forresta, i od razu przypadli sobie do gustu. Pochodzenie z Key West było doskonałą referencją w oczach wyrafinowanego geja, jakim był John. Odnosiło się wrażenie, że tych dwoje było dla siebie stworzonych, by założyć wspólną praktykę w mieście. I rzeczywiście, przez trzy lata wszystko szło jak z płatka, ponieważ John w oczach Madeleine był jej najlepszym kolegą po fachu, współnikiem i przyjacielem.

Zadzwonił telefon. To pewnie nowa pacjentka, ta, która zapisała się w piątek. Podniosła słuchawkę.

- Dzięki, Sylvio. Skieruj ją do mnie.

- Och, nie - odparła recepcjonistka stłumionym głosem. - Ona właśnie jest w drzwiach, ale teraz dzwoni twoja mama.

- Moja mama? - Matka bardzo rzadko do niej telefonowa-

ła, a do pracy zadzwoniła przedtem tylko raz. - No dobrze, połącz mnie.

- Mama, *que pasa?* - zapytała z niepokojem. - Nic ci nie dolega?

Przez telefon głos Rosarii z silnym akcentem kubańskim brzmiał jak dziwaczne staccato. Staruszka przemawiała na jednym oddechu:

- Wracaj do domu, *mi hija*, wracaj do domu i zamknij drzwi na klucz.

Madeleine przez chwilę się zastanawiała, czy wdać się z matką w dyskusję, czy tylko odpowiedzieć, że tak, zaraz pojedzie do domu. Nie lubiła tracić równowagi psychicznej przed sesją z pacjentem.

- Dobrze, mam, posłucham twojej rady, jeśli uważasz, że powinnam.

- Pedrote przemawiał do mnie w nocy i kazał mi rzucić muszelki na znak.

- O, tak?

- Zrobiłam, jak kazał, i znak był jasny. Dzisiaj jest dla ciebie niebezpieczny dzień, *mi hija*. Słyszysz, co do ciebie mówię? Obca osoba... obca osoba chce wkroczyć do twojego życia... i...

Głos zanikł, po czym rozległo się kliknięcie. Brzmiało to tak, jakby ktoś wyrwał jej słuchawkę i przerwał połączenie. Najprawdopodobniej matka weszła do dyżurki pielęgniarek i dorwała się do ich aparatu.

Madeleine stała bez ruchu ze słuchawką w ręce. Jak jasno mama się wyrażała. To chyba dobrze? Otrząsnęła się z niepokoju, nacisnęła guzik do recepcji i poprosiła Sylwię, żeby przysłała pacjentkę.

Szybko rozejrzała się po gabinecie. Chusteczki są na miejscu, nieodzowne podczas każdej sesji, a zwłaszcza pierwszej. Fotele w odpowiednim oddaleniu od siebie, notatki odłożone. Odgarnęła z czoła niesforny lok i pociągnęła usta błyszczkiem.

Pacjentka zapukała do drzwi.

- Witam, pani Rachel Locklear, prawda? - rzekła na jej widok Madeleine. Wyciągnęła dłoń. Uścisk ręki tamtej - pierwsza ważna informacja o podejściu pacjenta, jego stanie zdrowia i osobowości - był słaby i pospieszny. - Nazywam się Madeleine Frank.

- Wiem.

- Proszę usiąść. - Madeleine wskazała fotel naprzeciwko swojego miejsca.

Sama usiadła pierwsza, czekając, aż pacjentka oswoi się i rozgości w dogodnym dla siebie tempie. Nowo przybyła miała na oko trzydzieści parę lat, zaciętą minę i rozbiegane oczy. Jej cera nosiła ślady po trądziku młodzieńczym, nos był najwyraźniej kiedyś złamany, ale mimo dość wrogiego nastawienia była zaskakująco atrakcyjna, niemal piękna. Odznaczała się niezwykle owalem twarzy w kształcie serca, drobnymi rysami, głowa spoczywała na długiej szyi. Miała gęste ciemnorude włosy spadające do połowy pleców. Jednakże najbardziej przykuwały spojrzenie jej oczy - jasnoorzechowe, skośne i dość wąskie, nadające jej wygląd przewrotnej kotki. Była bardzo chuda. Miała na sobie skórzane czarne dżinsy, uwydatniające długie nogi, i kowbojki.

- Tak naprawdę to wcale nie chcę być tutaj - rzekła oskarżycielskim tonem po nieskończeniu długim milczeniu. - A pani niewąsko kasuje.

- Owszem, terapia jest kosztowna - odparła spokojnie Madeleine. - Pani się tutaj znalazła, choć wcale pani tego nie chce. Jak to rozumieć?

Kobieta utkwiała wzrok w suficie.

- No, znajoma pracownica opieki społecznej nalegała, żeby spróbować.

Madeleine postanowiła nie komentować tej uwagi, lecz Rachel Locklear spojrzała na nią z wyzwaniem w oczach, najwyraźniej spodziewając się, że usłyszy w odpowiedzi, iż przyszła tu wskutek nacisku. Zza ściany dochodziły szlochy pani Nettle. Madeleine zakłęła w duchu.

- Powiedziała, że jestem pomyłona i powinnam pójść do psychiatry, żeby zbadał mi głowę.

Jasne, pracownica opieki społecznej z całą pewnością udzieliła takiej rady - pomyślała Madeleine, słuchając z uwagą, ale nie kwestionując absurdalności tych słów.

Po kolejnej pauzie Rachel dodała:

- Myślę, że teraz mnie na to stać. Niedawno umarł mój ojciec i zostawił mi w spadku dwadzieścia osiem tysięcy funtów. Oraz dom.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia w związku ze zgonem ojca - odparła Madeleine, po czym uzmysłowiła sobie, że pacjentce wcale nie jest z tego powodu przykro.

Rachel Locklear sprawiała wrażenie nieobecnej.

- Naprawdę mi pani współczuje?

Znowu długie milczenie. Bez wątpienia Rachel jest palaczką, bo kątem oka gapi się na torebkę, a jej ręce nerwowo poruszają się na kolanach.

- No cóż, może mi pani opowie, co pani odczuwa po śmierci ojca? - Madeleine przerwała nieznośnie nudną ciszę.

- Nie przyszłam tu, żeby mówić o nim - zachnęła się Rachel.

Zgoda, zostawmy go w spokoju, pomyślała Madeleine, próbując opanować rosnącą rozpacz. Trzeba kobiecie dać trochę czasu, niech dojrzeje do rozmowy.

- Tu chodzi raczej o mego eks, ojca mego syna. On jest naprawdę podły dla mnie i dla Saszy. - Rachel przesunęła się na sam skraj fotela, pochylając do przodu, jakby sobie przypomniwała, że ta „pogawędka” będzie ją słono kosztować.

- Mieszkaliśmy latami w Londynie, ale odkąd z nim zerwałam, a po śmierci tatusia odziedziczyłam dom, przeniosłam się z powrotem do Bath. Ale chyba jestem od niego uzależniona. Przeczytałam o tym w jakiejś książce, już nie pamiętam tytułu. Bez względu na to, jak mocno postanawiam sobie, żeby trzymać się od niego z daleka, gdy tylko się pojawi, natychmiast ląduję z nim w łóżku. To żałosne. - Otrząsnęła się z gniewem, jakby za ten stan rzeczy odpowiadali wszyscy inni, tylko nie ona sama.

- Co w nim jest takiego atrakcyjnego?

Rachel rozsiadła się wygodniej i założyła nogę na nogę. Czubek jej kowbojki drgał nerwowo.

- Ma świetną prezencję, jeśli o to pani pyta. Jest Ukraińcem, wysoki, ciemnowłosy, przystojny. - Po raz pierwszy uśmiechnęła się, ukazując rząd silnych, prostych zębów, nieco zażółconych nikotyną.

- Ma jeszcze inne ujmujące cechy?

- Skąd, cholera! Jest gwałtowny, nieprzewidywalny, niegodny zaufania, skąpy, okrutny i traktuje kobiety jak gówno.

- No tak! - Madeleine była lekko skonfundowana. - Innymi słowy, rozkoszny typ.

- Kiedy był bardzo młody, walczył w Afganistanie. Z tego, co mi opowiadał, on i jego kumple robili miejscowym jakieś okropne rzeczy, więc nic dziwnego, że się tak zmienił.

Madeleine usiłowała to sobie wyobrazić. Przypomniała sobie jakiś tekst o bezwzględności żołnierzy sowieckich w tym biednym kraju rozdartym wojną.

- On chce mi odebrać Saszę - ciągnęła Rachel. - Uważa, że skoro para się rozstaje, syn powinien zostać z ojcem. A Sasza ma dopiero siedem lat. Jestem przerażona, że mi go porwie i wywiezie na Ukrainę, do Polski albo na Węgry. On ma wszędzie dojścia i krewniaków. To przez ten biznes, który prowadzi do spółki z bratem. Już on zadba, żebym nigdy nie ujrzała dziecka. Znając jego styl życia, podejrzewam, że zostawi Saszę u jakiejś ciotki na dalekiej prowincji.

Madeleine z trudem opanowała zdumienie, słysząc apatyczny ton, w jakim Rachel relacjonowała tę poruszającą historię.

- Co powoduje, że raz na zawsze nie wykreśli go pani ze swego życia? Nieopanowane pożądanie czy też pętla zarzucona pani na szyję?

Rachel się zamyśliła.

- Chyba obie te sprawy. Jestem jedną z tych pieprzonych kobiet, które poddają się przemocy. To znaczy, najwyraźniej taka jestem. On potrafi ciężko mnie pobić i zaraz potem lądujemy w łóżku, aż ściany drżą. Miałam niejednego faceta,

ale z nikim nie było mi tak jak z nim. A potem aż mi się chce rzygać na samą siebie.

Madeleine usiłowała ukryć zaintrygowanie tą opowieścią, nie tyle z uwagi na przytoczone fakty, ile przez autentyzm w tonie Rachel, dotychczas nieobecny w jej odpowiedziach. Kobieta siedząca naprzeciwko niej wyglądała tak, jakby za chwilę rzeczywiście miała z wymiotować. Rozcapieryła palce oparte na udach i poczęła się im przyglądać. Miała ręce kobiety praktycznej - smukłe palce z krótko przyciętymi paznokciami bez śladu lakieru. Po chwili oparła się na siedzeniu i przeczesала palcami obfite loki, odsłaniając okaleczone, pokryte szramami małżowiny. Zauważywszy utkwiony w nich wzrok Madeleine, szybko zakryła je włosami.

Wpatrzona w okno, zapewne by uniknąć badawczego spojrzenia Madeleine, ciągnęła:

- On nic nie wie o śmierci tatusia i o tym, że odziedziczyłam dom... no i gotówkę. Zawsze mieszkał w Londynie, nie zna Bath. Utrzymywałam całą sprawę w sekrecie, póki testament się nie uprawomocnił. A wtedy szybko przeniosłam się tu z Saszą.

Zapanowała długa cisza. Co pewien czas Rachel gapiała się na Madeleine, by raptownie odwrócić wzrok z wyraźnym gniewem.

- Nie zamierza mnie pani o nic pytać? - wybuchła w końcu.

- Owszem, jeśli pani sobie tego życzy, ale wolałabym wysłuchać, czym chce się pani ze mną podzielić.

- Podzielić! - krzyknęła Rachel z drwiną w głosie. - My rozmawiamy, a nie dzielimy się.

Ta kobieta ma rację - orzekła w duchu Madeleine. Co za idiotyczny zwrot.

- I daj sobie pani spokój z opowieściami o emocjach oraz innych głupotach - ciągnęła Rachel. - Ja chcę wiedzieć, co mam zrobić.

Madeleine powstrzymała uśmiech. W rozmowie z tą pacjentką z całą pewnością musi wyeliminować wszystkie banalne zwroty.

- OK, Rachel. Oto moje pytanie: jak widzisz siebie, powiedzmy, za rok?

Rachel ponownie zmierzyła ją wzrokiem, po czym zerknęła na swoje ręce, jakby zażenowana.

- Nooo... ta sytuacja teraz, wie pani, dom i pieniądze... to może być nowy początek dla mnie i dla Saszy. Doszłam do ściany, naprawdę muszę uporządkować swoje życie. Chciałabym zapewnić dziecku normalne warunki, zwłaszcza że mamy własny dom. - Uniosła głowę i spojrzała Madeleine prosto w oczy. - Tak więc za rok od dzisiaj będę siedziała we własnym ładnym domu, przez ten czas zerwę czerwoną tapetę ze ścian, umebluję go sprzętami z Ikei i będę w nim czekać na powrót ze szkoły czystego i schludnego syna, wymachującego workiem na kapcie. I oboje odśpiewamy piosenkę. Towarzyszyć nam będzie pies!

- I to wydaje się zupełnie zdrową koncepcją. Była to niewłaściwa uwaga.

- Zdrową! Proszę nie traktować mnie protekcyjnie. Ja już tracę głowę. Nie mogę pojąć, jak się prowadzi „normalne” życie. Chcę wiedzieć jedno: co pani może dla mnie zrobić?

Na jej twarzy malowała się taka wściekłość, że Madeleine zabrakło słów. W swojej pracy niejednokrotnie spotykała się z atakami furii, co było typowym przeniesieniem emocji na psychoterapeutę, ale niezmiernie rzadko dochodziło do tego w czasie pierwszej sesji. Była to nieoczekiwana i bez wątpienia interesująca reakcja.

- Może najpierw zajmijmy się pani wybuchem gniewu.

- Proszę dać sobie spokój z tymi zasranymi formułkami -odpaliła Rachel. - Potrzebuję konkretnej rady: jak mam postępować z tym facetem, ojcem mego dziecka. - Usiadła głębiej w fotelu, wzięła głęboki wdech. - Przepraszam. Coś takiego mnie napada, kiedy nie mogę zapalić. A jestem na skraju. Wiem, że mój eks ma się tu wkrótce pojawić. O ile mi wiadomo, nigdy przedtem nie był w Bath, ale kiedy się uprze, żeby

nas odnaleźć, to postawi na swoim, a ja powinnam być na to przygotowana. Nie mogę mu się poddać, jak to dotąd robiłam. Jednocześnie przeraża mnie, że porwie Saszę i ucieknie. On się już odgrażał, że tak zrobi, jeśli nie będę na jego zawołanie, to znaczy nie będziemy razem mieszkali w Londynie.

Madeleine kiwała głową, uświadamiając sobie w pełni zagrożenie wiszące nad kobietą i jej synem. Choć była doświadczoną terapeutką, nie miała dotychczas do czynienia z pacjentami znajdującymi się w tak niebezpiecznej i przerażającej sytuacji. Rachel musiała wyczuć jej napięcie.

- Czy pani zdaniem ta wizyta ma jakiś sens? - zapytała cichszym głosem. - Potrafi mi pani pomóc?

- Jeszcze nie wiem - przyznała Madeleine. - Tu są dwie kwestie do rozważenia: pani reakcja na tego mężczyznę i poczucie bezsilności w obliczu tej reakcji oraz realne zagrożenie fizyczne w związku z groźbą porwania syna. Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, możemy nad nią popracować, ale z drugą należałoby udać się na policję. Czy rozmawiała pani z kimś na temat szantażu?

- Pani mówi serio? - spytała Rachel z ironią. - Mogę sobie wyobrazić, w jakim świecie pani żyje, ale proszę mi wierzyć, w przypadku takich ludzi jak on nie ma po co iść na policję.

- Czy on ma jakieś imię?

Rachel znów zrobiła pogardliwą minę.

- Dlaczego pani pyta?

- No chyba jakoś musimy go nazywać?

- Skoro musimy, to niech będzie Rudolf, jak Rudolf Nuriejew, ten tancerz. Wszyscy mówią, że jest do niego bardzo podobny, tylko wyższy, mocniej zbudowany, nie taki pedalski. To prawdziwy chłop.

- Prawdziwy chłop? - Madeleine uniosła brew. Rachel nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nią ponuro. Madeleine była w kropce. Nie wiedziała, jak ciągnąć tę rozmowę, a pacjentka nie dawała żadnego sygnału.

- Mogłaby pani opowiedzieć mi o swojej przeszłości?

spytała w końcu, pragnąc zyskać na czasie. - Od jak dawna jest pani z Rudolfem?

- Rudolf? Nazywajmy rzeczy po imieniu. Naprawdę to on ma na imię Anton.

- Zgoda. Od jak dawna żyje pani z Antonem? Rachel liczyła, pomagając sobie palcami.

- W sumie dziesięć lat. - Przerwała, spoglądając bacznie na Madeleine. - A pani skąd? Co to za akcent?

- Amerykański - odparła Madeleine z ociąganiem.

- Amerykanka? Cóż panią sprowadziło do Bath? - zdziwiła się Rachel.

- Okoliczności. - Madeleine nie zamierzała ich wyjaśniać. - Ale jestem w połowie Brytyjką.

- Aha. - Rachel kiwnęła głową. - W połowie Brytyjką... I w której połowie?

- Rachel! - Madeleine zdobyła się na uśmiech. - To nie ma nic do rzeczy. Rozmawiamy o pani.

Znowu ta zacięta mina.

- Czego jeszcze chciałaby się pani o mnie dowiedzieć? Madeleine nachyliła się, patrząc na pacjentkę z uwagą.

- Proszę posłuchać. Jeśli ma pani jakiegokolwiek wątpliwości, to zapewniam, że terapia jest całkowicie poufna. Opowiedziała mi pani o swoim związku z Antonem, o jego groźbie uprowadzenia Saszy i o tym, że obawia się pani powiadomić (i tym policję. Moim zdaniem brzmi to groźnie.

- Tak?

Madeleine zdołała powstrzymać się od gestu świadczącego o rozpaczy.

- A może mi pani powiedzieć, jak pani na to reaguje?

- Mogę zapalić?

- Tutaj? Obawiam się, że nie.

- Tylko kilka sztachnięć w otwartym oknie?

- Nie. Okno otwiera się tylko na parę centymetrów.

Rachel zacisnęła szczęki, a jej dłonie poruszały się bezwiednie na udach, jakby w poszukiwaniu zakazanego papierosa. Madeleine zastanawiała się w duchu, czy jest to objaw

prawdziwego uzależnienia, czy próba uniknięcia rozmowy na drażliwy temat. Może pacjentka nie jest jeszcze gotowa do zwierzeń.

- Rachel, ile pani ma lat?

- Po co pani ta wiedza? Madeleine się zachnęła.

- Po prostu mnie to interesuje.

- Jasne. Jaka ja głupia! Przecież pani płaci się za to, że jest pani zainteresowana. Mam trzydzieści trzy lata.

Cała sesja odbywała się w ten sposób. Ciągłe starcia, niemal sprzeczki. Madeleine próbowała pojąć, o co tej kobiecie chodzi i w ogóle po co do niej przyszła, ale ona albo robiła uniki, albo na jakiegokolwiek sensowne pytanie reagowała agresją lub sarkazmem. Można było odnieść wrażenie, że przeprowadza test: ile razy trzeba się terapeutce postawić, żeby zostać wyrzuconą z gabinetu.

Czas wizyty się kończył, a Madeleine uzyskała od pacjentki bardzo skąpe informacje, które na dobrą sprawę prowadziły donikąd. Uprzedziła ją więc, że zostało im tylko pięć minut. Gdy Rachel mimo to nie dodała nic nowego, Madeleine odezwała się stanowczym tonem:

- A propos pani pytania zadanego wcześniej, czy sądzę, że mogę pani pomóc? Jeśli zamierza pani kontynuować terapię, musimy się zastanowić, co mamy do osiągnięcia. Nie możemy zmienić Antona ani zmusić go do zaprzestania gróźb, ale z pewnością możemy przeanalizować powody, dla których stale pani do niego wraca, wiedząc doskonale, jak bardzo ten związek jest destrukcyjny. Możemy rozważyć, o co chodzi w tym uzależnieniu i, mimo pani zastrzeżeń, chciałabym ustalić, co naprawdę wstrzymuje panią przed pójściem na policję. Tam przynajmniej udzielono by pani porady. I - kto wie? -zakaz zbliżania się do pani domu mógłby na niego odpowiednio podziałać.

- Mowy nie ma. - Rachel potrząsnęła głową. Madeleine doszła do przekonania, że widzi Rachel Locklear po raz ostatni w życiu. Ta kobieta z pewnością oczeku-

je od terapeuty czegoś zgoła innego, więc już nie wróci. Nie było zatem powodu niczego dodawać. Jednakże Rachel ją zaskoczyła.

- O tej samej porze w przyszłym tygodniu? - bąknęła, nie unosząc głowy.

- Tak... doskonale.

- Postaram się lepiej zachowywać - ciągnęła Rachel, teraz już najwyraźniej szczerze. - Co mi innego zostało? Rodzice nie żyją, nie znam nikogo w Bath, z nikim nie mogę pogadać, zresztą nie ufam ludziom, nigdy nie ufałam. - Spojrzała bacznie na Madeleine. - Ale nie będę wplątywała policji. To nie jest żadne wyjście. Muszę dojść ze sobą do ładu ze względu na Saszę, i tyle. Nie chciałabym, żeby skończył jak ojciec albo jak ja sama. Pragnę, żeby mój syn miał normalne, szczęśliwe życie. Tylko na tym mi zależy. Reszta się nie liczy. Rozumie pani?

Madeleine opanował nagły smutek, więc nie potrafiła od razu odpowiedzieć. Wypowiedź Rachel głęboko ją poruszyła. Gdyby ona kiedyś tak zareagowała, jej życie byłoby diametralnie inne. Poczuli nagłą sympatię do tej kobiety. Podziwiała ją za upór. Psychoterapia to luksus dla uprzywilejowanych, więc nic dziwnego, że Madeleine rzadko widywała kogoś pokroju Rachel - może z wyjątkiem więźniów, którym pomagała. Gdyby obie miały więcej czasu, zapewne potrafiłaby zgłębić jej motywy, uświadomić jej, że ta sprawa nie dotyczy tylko jej syna, że ona sama też się liczy. Na razie jednak malec był dla matki głównym bodźcem działania. Gdyby nie on, Rachel Locklear na pewno by tu nie trafiła.

Madeleine otworzyła kalendarz i obie uzgodniły datę następnej sesji za tydzień. Następnie Rachel mocno uścisnęła jej dłoń, jakby liczyła, że ta kobieta, ta terapeutka będzie jej ostatnią deską ratunku i potrafi uchronić jej synka od życia w przemocy.

Po kilku dniach ulewnych deszczów i nietypowo zimnym weekendzie nastął dzień zwiastujący niepewną jeszcze wiosną.

John i Madeleine wylądowali w „Horse and Cart”, odległym od miasta pubie nad rzeką, niedaleko Saltford. Tamtejszy ogródek zarósł i jeszcze go nie uporządkowano przed nowym sezonem, ale zachodzące słońce kładło się ciepłym oranżowym blaskiem na wiejskiej okolicy. Oboje postanowili zamówić pierwszego drinka pod gołym niebem, mimo że z gałęzi sosen ściekały krople, stoły porastał mech, a na skraju trawnika walały się opakowania po herbatnikach i psie kupy.

- Masz - rzekła Madeleine do Johna, wracającego z baru z dwoma kufkami piwa. - Należy ci się połowa. - Rozdarła gazetę i każdy podłożył pod siedzenie po parę stronic, żeby zapewnić choć minimum wygody na zimnej ławce. Niestety, czteroosobowa rodzina również zapragnęła zająć miejsca na dworze. Przenikliwe głosy dzieci i żądania wypowiedane z krzykiem zakłóciły spokój wieczoru. Latający talerz wylądował na barku Madeleine. Gdy ofiara obróciła się, szukając sprawcy, ujrzała siedmioletnią na oko dziewczynkę, patrzącą na nią z drwiącą miną.

- O czym to ja mówiłam? - zapytała. - Kończyła mu zdawać relację z sesji z Rachel, rozpoczętą w samochodzie.

- Zastanawiałaś się nad jej obsesją seksualną - podrzucił John.

- Chyba nie potrafię pojąć, jak kobieta może stale wracać do mężczyzny, który ją dręczy i wykorzystuje.

John się roześmiał.

- Najwyraźniej, mimo bujnej przeszłości, nigdy nie spotkałaś na swojej drodze czegoś takiego.

Wzdrygnęła się.

- Mężczyzny, który by mnie wykorzystywał?

- Ależ nie, kochanie, myślę o obsesji seksualnej.

- Ha! - krzyknęła. - Z całą pewnością coś takiego mi się przydarzyło.

- Opowiesz mi kiedyś o tym - odparł John z uśmiechem.

Madeleine uprzytomniła sobie nagle, jak rzadko porusza

temat Forresta. Jednak nie miała żalu do Johna, że niekiedy zapominał, że była kiedyś mężatką.

Charakterystycznym ruchem John poprawił okulary, posługując się palcem wskazującym, żeby nasunąć je z powrotem na nos. Przybrał na wadze od czasu zakochania się w Angusie Kowlandsie, starszym od siebie facecie z chronicznym bólem krzyża i pasją do gotowania oraz jedzenia. Koszula na brzuchu niemal pękała mu w szwach.

- Odnoszę wrażenie, że ta kobieta poważnie się boi, że jej syn zostanie porwany - rzekł po chwili zastanowienia. -1 wygląda na to, że szuka drogi wyjścia z groźnego i dysfunkcjonalnego związku. Uważam, że to dobry powód do rozpoczęcia terapii.

- Według mnie to sprawa dla policji - upierała się Madeleine. - Facet jest weteranem wojny w Afganistanie. Przeczytałam gdzieś, że żołnierze sowieccy byli tam poddawani koszmarnym praktykom i wyszli stamtąd jak gangsterzy, żądni krwi i forsy. Ona powinna z kimś porozmawiać...

- Tak, z tobą.

- Nie, z władzami. Facet jest nielegalnym imigrantem. Mogłaby doprowadzić do jego deportacji.

John wypił duszkiem resztkę piwa.

- Ona się go boi.

- W tym, że pragnie zapewnić bezpieczeństwo synowi i jednocześnie odmawia go sobie, tkwi zasadnicza sprzeczność - orzekła Madeleine.

- Jasne. Z tego powodu pracownica służb socjalnych posiała ją do ciebie.

- O, za tym nie kryje się żaden urzędnik z biura pomocy socjalnej. Jestem tego pewna. Jeśli ona naprawdę obawia się kidnapingu, dlaczego nie pójdzie na policję, choćby po poradę? Czy tak nie postąpiłaby każda matka?

- Lęk to potężna emocja, a ludzie, z którymi ona ma do czynienia, są groźni.

- Też tak sędzę. - Madeleine oparła podbródek na rękę. -jednakże, i tu brak mi osobistego doświadczenia, czy instynkt

macierzyński nie jest najpotężniejszą siłą praktycznie u wszystkich gatunków istot?

Serce gwałtownie jej zabiło w piersi. Dobrze jej znany ból w żołądku dał znać, że to, co przed chwilą powiedziała, jest kłamstwem. Pociągnęła łyk piwa.

John coś mówił.

- Przepraszam, co powiedziałeś?

- Ależ jesteś roztargniona. - Zaśmiał się. - Dodałem: zaraz po pragnieniu prokreacji. Może dlatego ona ciągle chce się pieprzyć z tym Rosjaninem. Instynkt rodzinny.

- Co takiego?

- Och, na miłość boską, skup się - zirytował się John. - Żądza prokreacji jest silniejsza od instynktu macierzyńskiego.

Spoglądając na łagodną i miłą twarz Johna, zastanawiała się, dlaczego nigdy nie wyznała mu prawdy. Kiedy przyjechała z Key West, porażona stratą męża i kompletnie zdezorientowana, postanowiła zapisać się na kursy psychoterapii (za które jej ojciec, Neville, w geście szlachetności zgodził się zapłacić). Spotkanie tam Johna ocaliło jej życie. Ponieważ jego najbliższy przyjaciel właśnie zmarł na AIDS, oboje poczuli, że napotkali bratnie dusze. Przez wiele miesięcy podtrzymywali się wzajemnie, przeżywając swoje dramaty. Po siedmiu latach zażyłości, po setkach godzin obopólnych porad, wyznawaniu swoich frustracji, trosk i lęków, nigdy mu nie wspomniała o kluczowej sprawie w swoim życiu, o wydarzeniu, które ją naznaczyło. Może dlatego, że sama nie chciała przyjąć do wiadomości, że żyje w kłamstwie, że sprawiając wrażenie zrównoważonej emocjonalnie kobiety o uporządkowanej biografii, ukrywa straszną hańbę.

- Nie słuchasz - wtrącił John, lekko zaskoczony jej zachowaniem. - Czy możemy zająć się panią Nettle?

- Czy pozwolisz, że nie? - odparła Madeleine. - Znasz moje poglądy na jej temat, a raczej w stosunku do ciebie. Jest to niezdrowy związek między pacjentką i terapeutą. Uzależniliście się od siebie, poza tym ona jest obłąkana. Nie powinie-

neś tracić na nią czasu, a ona na ciebie pieniędzy. Ona wymaga psychiatry z całym bloczkiem recept.

- No, no. - John poczuł się dotknięty. - Udzielasz mnóstwa cennych rad.

- Przykro mi - westchnęła Madeleine - ale omawialiśmy tę sprawę już tyle razy.

Kątem oka dostrzegła błysk jasnoblękitnego lakieru i w chwilę potem usłyszała znajomy warkot silnika. Może podpowiedział jej instykt, ale gdy zerknęła przez niski żywopłot na parking, wiedziała z góry, że to z pewnością Gordon i jego stary triumph thunderbird. Na siedzeniu za nim przycupnęła niewielka postać. Madeleine zbeształa się w myślach. Powinna była przewidzieć taką sytuację i nie ciągnąć Johna do pubu, do którego przyprowadził ją Gordon.

John przeniósł spojrzenie w tę samą stronę.

- Cóż za szacowny stary motor. Ho, ho! Czy to przypadkiem nie twój amant-archeolog?

- Proszę, nie gap się na niego - odezwała się Madeleine, odwracając głowę. - On już nie jest mój.

- Naprawdę? Od kiedy?

- Od trzech dni.

- Mój Boże, siedzieliśmy tu sobie i... Dlaczego mi nie powiedziałaś? Co było...

- Nie patrz tam, bo jeszcze może podejść.

- Nie podejdzie - odparł John. - Jest z kobietą. Nie, nie z kobietą, z dziewczyną. Może ze swoją córką?

- On nie ma córki.

Ciekawość zwyciężyła i Madeleine obróciła głowę. Gordon pomagał zdjąć kask filigranowej czarnowłosej dziewczynie, a ona ściągała z siebie skórzaną kurtkę, odsłaniając nisko opadające biodrówki, kusy podkoszulek i połacie gołej skóry.

John próbował ją pocieszyć.

- Nie martw się, wejdą do środka. Z tym zapadniętym brzuchem na wierzchu będzie jej za zimno, żeby pić na dworze.

- Świetnie - odgryzła się Madeleine. - To go pomasuj. Z tym swoim tłustym, geriatrycznym boyfriendem możesz

sobie gadać... - Zamilkła nagle, okropnie zawstydzona. - O Boże, John, to było podłe. Przepraszam...

W tej samej chwili usłyszała, jak Gordon tak dobrze znanym jej głosem warknął jej imię. Zostawił swoją towarzyszkę i zbliżał się do ich stolika. John zmarszczył brew i objął Madeleine opiekuńczym ramieniem. Gdy Gordon ujrzał ten czuły gest, raptownie stanął. Miał wściekłą minę.

Wskazał na Johna, unosząc podbródek.

- Czy kazałaś to zrobić jemu? Madeleine była kompletnie zaskoczona. John popatrzył z gniewem na intruza.

- Człowieku, o czym ty bredzisz? Gordon dźgnął palcem w jej stronę.

- Maddy, to było groteskowe. Nie myślałem, że coś takiego w tobie siedzi.

Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku dziewczyny stojącej przy motorze.

- Maddy? To tak cię nazywa? Bezczelny drań! - orzekł ze wstrętem John, składając pocałunek na jej czole. - O co mu, do diabła, chodzi?

Madeleine wpatrywała się bez słowa w plecy odchodzącego ekskochanka. Nie miała zielonego pojęcia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rachel ciasno otuliła się połami kurtki, żałując, że nie wzięła ze sobą kożuszka. Ogonek do bankomatu był okropnie długi. Kiedy wreszcie nadeszła jej kolej, miała zlodowaciałe palce u rąk i nóg. Wsunęła kartę do szczeliny niewłaściwą stroną i natychmiast zapomniała numer PIN. Choć nie była już młodą dziewczyną, nigdy przedtem nie miała takiej karty ani innej nowoczesnej pułapki technologicznej, jeśli nie liczyć komórki. Nie wiedziała, jak posługiwać się komputerem, w życiu nie wysłała żadnego maila. Świat wokół niej stale przyspieszał, a ona została daleko z tyłu. Nawet Sasza miał pojęcie o rzeczach, których ona nie знаła.

Choć monitor był wysmarowany jakąś lepką mazią, udało jej się zauważyć saldo, które pojawiło się na moment i zaraz znikło. Na jej koncie znajdowało się cholernie dużo forsy. Ojciec stale powtarzał, że coś odkłada na edukację Saszy, ale biorąc pod uwagę, jak niska była jego emerytura i jak nie trzymały ule go pieniądze... Czy to możliwe, że wdał się w jakieś lewe interesy? Przeszył ją dreszcz niepokoju. Czy ta suma mogłaby zniknąć z jej konta, bo ktoś, komu ojciec był winien mnóstwo torsy, zastuka do jej drzwi? Albo może ojciec kogoś naciągnął. Rachel potrząsnęła głową, ściskając w ręce klucze. Nie, niepodobna, żeby ojciec... Był poczciwy, nie należał do spryciarzy, których natura ciągnie do podejrzanym transakcji. Może tra-

fiła mu się jakaś duża wygrana na wyścigach konnych. Tak, z pewnością. Staruszek był przekonany, że Sasza jest najzdolniejszym dzieckiem na całej kuli ziemskiej i że powinien pójść na uniwersytet. Jeśli sama nie tknie tych pieniędzy, może tak właśnie się stanie. Ale, niestety, korzysta z nich. Pieniądze idą jak woda. Przeciekają przez palce. Gdy ich nie miała, nie było za co kupować nawet tak podstawowych produktów jak mleko, nie wspominając o winie, whisky i innych napojach umilających życie. Jednakże to nie pieniądze lub ich brak były prawdziwym problemem. Rachel zdawała sobie sprawę, że jej los się nie polepszy, póki nie wyleczy się z Antona. Choć tak bardzo pragnęła uchronić Saszę, sam pieniądz nie stanowił zabezpieczenia. Przed prawdziwym niebezpieczeństwem nie sposób kupić sobie ochrony.

Rozległ się cichy szum, w szczelinie ukazały się banknoty. Zdjęła rękawiczki, żeby je policzyć. Dzień był chłodny, to początek wiosny. Jej paznokcie stały się przezroczyste jak lód. Palce miała za długie i jakoś mało chwytne. To pewnie wskutek palenia, wysiada krążenie krwi.

Tuż obok bankomatu stała dziewczyna sprzedająca „Big Issue”. Rachel bezskutecznie usiłowała ominąć ją wzrokiem. Kilka tygodni przedtem wdała się z nią w rozmowę i odtąd na jej widok tamta kiwała głową z uśmiechem. Ta pogawędka nadarzyła się, kiedy Rachel od dawna nie zamieniła słowa z kimś dorosłym. Właściwie trudno to nazwać rozmową. Dziewczyna opowiedziała Rachel, jak rodzice bili ją i jak uciekła z domu. Zapewniła przy tym, że jest już wystarczająco dorosła, żeby zatroszczyć się o siebie. Rachel rozważała w duchu, czy powiedzieć nieznamym, że zrobiła dokładnie to samo, że jako nastolatka zbiegła do Londynu, ale ten krok okazał się dla niej fatalny. Zanim zdołała sformułować ostrzeżenie, tamta zrobiła jakąś uwagę na temat jej kozuska, twierdząc, że widziała go w witrynie sklepu z odzieżą oddawaną na cele charytatywne. Najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy, że czegoś takiego nie wypada mówić. A poza tym myliła się. Anton dał jej ten kozuch. Kiedyś na

pewno był drogi. Skończyły gadać dopiero po pięciu minutach, czyli rozmowa była długa. Dziewczyna napomknęła, że często nocuje na ulicy. Na szczęście tego Rachel nie zaznała, choć była bardzo blisko tej granicy.

- Znowu się widzimy - rzekła dziewczyna z szerokim uśmiechem. -
Gazetkę?

- Już kupiłam. - Rachel odpowiedziała bardziej opryskliwym tonem, niż zamierzała, nie podnosząc oczu utkwionych w piśmie, które dziewczyna wyciągnęła w jej stronę. Miała na lękach czarne wełniane rękawiczki bez palców. Widać było brudne paznokcie. W tych paznokciach Rachel dostrzegła coś tak rozpaczliwego, że aż stanęła jak wryta.

- Chyba jednak nie kupiłam.

- To świetnie. - Dziewczyna podała jej egzemplarz wyciągnięty zza pazuchy.

I tak płyną bez końca - zauważyła w duchu Rachel, dając tamtej pieniądze. Dwa funty mniej, dziewięćdziesiąt osiem do wydania. A minęła zaledwie minuta. Jeśli będzie je wydawała w takim tempie, to w czasie dwudziestominutowego spaceru do poradni nie zostanie jej nic.

- Ile sztuk musisz jeszcze sprzedać? Dziewczyna zajrzała pod ramię.

- Z dziesięć.

- Wyszłaś na takie zimno? - Rachel przez moment popatrzyła jej prosto w oczy. - Ile masz lat?

- Osiemnaście. - Umknęła spojrzeniem w bok. - Jestem dorosła.

Wyglądała na mniej, zwłaszcza w tej czapce z pomponem i z gładkimi zaróżowionymi policzkami sprawiała wrażenie dziewczynki. Pewnie nie była jeszcze pełnoletnia. Wprawdzie żyła na ulicy, ale coś sprzedawała, a tym u większości ludzi wzbudzała pewien szacunek.

- Lubisz dzieci?

- Jasne! A dlaczego pani pyta? Rachel się zawahała.

- Mam małego chłopca. Wiesz, myślę o babysitter dla

niego. Staram się... o pracę. Może byś przychodziła co drugi wieczór. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Pani wie, gdzie mnie można znaleźć.

Rachel zrobiła wzgardliwą minę. Osiemnaście lat i już taki cynizm.

- Taa - odezwała się, dotykając palcem wskazującym piersi dziewczyny, niby jej grożąc. - Wiem, gdzie cię znaleźć. Jak masz na imię?

- Charlene.

Rachel odeszła, żałując swego odruchu. Teraz dopiero będzie trudno przejść obok niej obojętnie. A poza tym o jakiej znów pracy dla siebie mówiła?

Zostało jej dwadzieścia minut do wizyty u psychoterapeutki, więc postanowiła przejść się po starówce. Mimo chłodu na dziedzińcu opactwa zebrał się tłum turystów. Nawet kawiarnie pod parasolami były pełne. Czerwone turystyczne piētrusy niestrudzenie krążyły po ulicach, aż Rachel zaczęła rozróżniać głosy przewodników. Dottie, jej mama, uwielbiała wsłuchiwać się w te wszystkie języki, jakimi ludzie mówili, i była dumna jak paw, gdy miasto Bath wpisano do rejestru światowego dziedzictwa. Odkąd Rachel mogła sięgnąć pamięcią, w każdą niedzielę matka brała ją za rękę i schodziła z nią w dół na Buskey's Square, tuż przy opactwie. Tam zasiadały na ławce i jedząc lody, słuchały śpiewaków ulicznych, którzy, towarzysząc sobie na gitarze, wykonywali ballady Dylana. Jako dziecko była urzeczona kamiennymi aniołami wspinającymi się na mury opactwa. Uczepione drabin niszczały przez wieki wskutek złej pogody, ale niekiedy kątem oka Rachel widziała, jak któryś z nich pokonał szczebel czy dwa. Mama ciągnęła ją potem stromymi ulicami w górę i obie były tak zadowolone, jakby uczestniczyły w rozrywkach odpowiednich na niedzielę, łącznie z koncertem, za cenę rożka lodów waniliowych taniej marki Devon. Czasami dołączał do nich tata, wtedy cała trójka brała w okolicznym pubie po drinku lub napoju i zapiekance z mięsem i cynadrami. Ten lokal ciągle istniał w płątani-

nie uliczek przy opactwie, nazywał się „Volunteer Rifleman's Arms”. Śpiewacy też nadal występowali, ale nie byli już tacy jak dawniej. Zestarzeli się, głosy im zachrypiły.

Przeszła przez plac, mijając niewielki dziedziniec ocieniony ogromnym platanem. Znajdował się tam lokal „Cristal Tavern” i zachęcał do wypicia kufła piwa z nieodłącznym papierosem, tylko cóż, już nie wolno palić w pubach. I to się nazywa cywilizacja! Odwróciła się tyłem do tawerny i ruszyła w kierunku North Parade Passage, wąskiej uliczki oflankowanej historycznymi budynkami. Na poziomie chodnika ciągnęły się jedna obok drugiej eleganckie kafejki, do których jednak obawiała się wejść, bo brakowało jej odwagi, a poza tym peszył ją własny wygląd. Przychodnia mieściła się nad jedną z nich, prowadziły do niej rozchybotane schody. W istocie było to dosyć zniszczone mieszkanie, przyozdobione zielenią w donicach i nisko zawieszonymi lampami. Bez wątpienia jednak znajdowało się w najmodniejszej części miasta.

Poczekalnia była małym pomieszczeniem z czterema fotelami i biureczkiem recepcjonistki. Hippisowata z wyglądu Sylvia zaproponowała jej na rozgrzanie filiżankę herbaty. Był to miły gest i Rachel grzecznie jej podziękowała, ale wcale nie wzbudziło to jej zaufania do tej osóбки, która miała niemal wypisane na czole hasło „Trudna miłość”. Bez przerwy okazywała pacjentom troskę i trajkotała jak nakręcona. Rachel usiadła, ściskając w rękach filiżankę i unikając wzroku Sylvii. Była w poczekalni sama, nie miała ochoty na pogawędkę. Poczęła rozmyślać o czekającej ją sesji, już trzeciej w ciągu ostatnich paru tygodni. Nie szły tak, jak sobie zaplanowała. Traciła nad nimi kontrolę, z coraz większą łatwością reagując na małe triki Madeleine, która potrafiła ją skłonić do mówienia o sobie. Ale czy to dokądś zmierza? I czy o to jej właśnie chodzi?

Jak było do przewidzenia, recepcjonistka milczała zaledwie przez minutę.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - Ma pani sine ręce!
- Złe krążenie - wymamrotała Rachel.

- Powinna pani zażywać pastylki z miłorzębu. Są niesamowicie skuteczne.

- Co takiego?

- To takie ziele pochodzące z Chin. Po prostu bomba.

- Nieee, już wolę papierosy. - Rachel postawiła filiżankę na stoliku zarzuconym pismami. - Właściwie to wyskoczę na krótkiego dymka.

W tym momencie zabrzączał telefon na biurku. Sylvia przykryła słuchawkę ręką i oznajmiła: - Panno Locklear, nich pani zapomni o papierosie. Madeleine już czeka.

- Proszę nie zwracać się do mnie per „panno”, dobrze?

- Że co?

Madeleine już nie witała Rachel uściskiem ręki. Bez wątpienia była to jakaś jej strategia. Rachel nie wyciągnęła swojej, choć w dotyku tej kobiety, mającej przecież troszczyć się o nią (w zamian za wynagrodzenie), było coś kojącego.

Usiadły. Rachel w milczeniu obserwowała terapeutkę. Madeleine była ubrana w wąską czarną spódnicę i etniczny w typie sweter z bawełny w żywych barwach kremowo-czekoladowo-kawowych, tak apetycznych, że chciałoby się je jeść łyżką. Mimo tej swobodnej elegancji sprawiała wrażenie osoby, która lepiej się czuje w znoszonych dżinsach i starym podkoszulku. Niewyregulowane brwi i niesfome czarne loki nasuwały skojarzenie z dzikuską, bardziej na miejscu w lesie niż w gabinecie. Tak, w jej wyglądzie było coś dzikiego, zwierzęcego. Może ze względu na sposób, w jaki się poruszała, zarazem płynny i uważny. Skóra gładka niczym pupa niemowlęcia, prześlicznie opalona. Oczy ciemne, przenikliwe, jak gdyby mogła się nimi wwiercić do samego środka duszy, no i te obscenicznie długie rzęsy.

- O co chodzi? - spytała Madeleine.

- Bo co?

- Wpatrujesz się we mnie.

- No i co z tego? Ile masz lat? Madeleine dotknęła palcem piersi.

Ja?

Rachel teatralnym gestem rozejrzała się po pokoju.

- No tak, ty.

- Dlaczego pytasz? Czy to ważne? Rachel zawahała się.

- Zastanawiam się, jaka jest między nami różnica wieku. Pewnie masz trzydzieści dziewięć, czterdzieści lat.

- Nie - odparła Madeleine. - Jestem starsza od ciebie o całe dziesięć lat.

- Naprawdę? No i dobrze. Madeleine się uśmiechnęła.

- Jeśli chciałabyś sobie udowodnić, że nie rozumiem cię ze względu na konflikt pokoleń, to ta różnica jest zbyt mała.

- Moja mama urodziła mnie w dość zaawansowanym wieku.

Madeleine nie skwitowała tej uwagi, bez wątpienia czekając, aż Rachel powie o Dottie coś więcej. Podczas ostatniej sesji trochę ją naciskała, żeby dowiedzieć się czegoś o matce. I choć niewiele było do opowiadania, Rachel podała jej nieco informacji: mama umarła, gdy ona miała dwanaście lat. Dottie, wedle jej zapewnień, była uroczą matką: staroświecką, łagodną, ale pełną niepokoju o dziecko, które zbyttnio starała się chronić.

- Opowiedz mi jeszcze o niej - poprosiła teraz Madeleine.

- Obrabiałymy ją w zeszłym tygodniu. Nie marnujmy mojej forsy na sprawy, które nie mają żadnego wpływu na lakt, że siedzę tutaj z tobą.

- Zgoda. - Madeleine westchnęła z tłumioną irytacją. - I o czym chciałabyś dziś porozmawiać?

- Czy mam ci przypomnieć, że przychodzę tu z konkretnego powodu?

- zachnęła się Rachel. - Anton. Mam się wyleczyć z tego dupka i jakoś się pozbierać.

- Ciagle mi to powtarzasz. - Madeleine wyprostowała się w fotelu i zmierzyła pacjentkę przenikliwym wzrokiem. - Ale ci nie wierzę. To nie brzmi szczerze.

Nieszczercze! Rachel poczuła, jak wzbiera w niej i złość, i panika. O czym jeszcze miałyby gadać, żeby dotrzeć do końca sesji? Może nastąpiła chwila, żeby przetestować, ile ta terapeutka może naprawdę znieść.

- Dobra, dobra! Chyba opowiem ci coś o sobie i Antonie. To nie będzie przyjemne... nie wpadniesz w zachwyty.

- Wypróbuj mnie.

- No to trzymaj się mocno. - Rachel wzięła głęboki wdech. Nie przypominała sobie daty, ale dokładnie pamiętała dzień, w którym go spotkała. To była środa. Pracowała w londyńskiej dzielnicy East End, w pubie „Hungry Harry's”...

Zerknęła na Irene, zmywającą podłogę szczotką na kiju. Zapragnęła w duchu, żeby tamta nie wyglądała tak lesbowato, bo miała krótko przycięte włosy z boków i z tyłu głowy, ale nie można powiedzieć, ładnego koloru, blond, no i te niebieskie oczy jak u anioła. Była tęgawa, niekiedy trenowała w klubie, więc nic dziwnego, że pod kraciastą koszulą wyraźnie rysowały się umięśnione ramiona.

Trzeciego dnia w nowej pracy Rachel właśnie zajęta była przygotowaniem bułeczek z serem, gdy Irene zaszła ją od tyłu i objęła. A potem chwyciła ją za nadgarstek i powiedziała: „Hej, kochana, tak się to robi”. Drugą ręką rozłożyła bułki na ladzie i pokierowała prawicą Rachel, uzbrojoną w nóż do masła, żeby za jednym zamachem posmarować cały rząd. Rachel nie miała nic przeciwko temu, wydawało się, że to przyjacielski, prawie matczyzny gest. Kiedy jednak Irene puściła jej rękę i obiema dłońmi chwyciła ją w talii, zorientowała się, że chodzi o coś innego. Była jednak tak spragniona ciepłego odruchu, że i to jej nie przeszkadzało.

Po pracy poszły na drinka i świetnie się bawiły. W końcu powędrowały do Irene, zapaliły świece, piły wino. Jej mieszkanie to była samodzielna kawalerka w szarym bloku, zupełnie inna od wieloosobowej nory, w której biedowała Rachel. Irene płaciła czynsz, była u siebie panią.

Kiedy wylądowały w łóżku, Rachel nie bardzo wiedziała,

co należy robić, ale wszystko, co wyczyniała Irene, było bardzo miłe. Zupełnie inaczej niż z facetem - aksamitnie, płynnie, trudno było oddzielić początek od końca. Żadnej brutalności, potu i znoju. Podczas tego pierwszego razu z Irene miała swój pierwszy w życiu orgazm. Było to słodkie uczucie, inne określenie nie pasowało do tego, ale żadnych fajerwerków, jak się spodziewała. Rachel nie myślała o sobie jako o lesbijce, ale, do cholery, jeśli inna kobieta mogła jej sprawić taką przyjemność, zapewnić bezpieczeństwo, to na jakiś czas może tego popróbować. Była młoda, musiała przetestować na sobie różne rzeczy, doświadczyć życia. Co w tym złego?

Znała Irene zaledwie od pięciu tygodni, ale w tym krótkim czasie bardzo wiele się zmieniło. Z powodów, których Irene nie chciała wyjaśniać, kawalerka przepadła. Podobno to na skutek podnajmowania jej od osób trzecich. Nie miała się gdzie podziać, więc przeprowadziła się do Rachel, do rudery zamieszkiwanej na dziko. Izba, w której koczowały, była dla nich za ciasna, a Dave i Lenne, kumple z drugiego pokoju, drwili z Rachel niemiłosiernie. „Nie wiedzieliśmy, że ciągnie cię do bab. Lesba! Nigdy byśmy na to nie wpadli”.

Irene, zła jak osa, rozstawiała teraz krzesła.

- Ten cholerny Martin, z jakiej on jest planety? Miał przed wyjściem zmyć podłogi i poustawiać wszystko na miejsce, a nie zostawiać to nam.

Rachel okręcała przezroczystą folią kanapki z tuńczykiem i ogórkiem, gdy wszedł pierwszy klient. Przy ladzie obrzucił dania gniewnym wzrokiem.

- Czy macie kontynentalne śniadanie? Rachel spojrzała na niego zaskoczona.

- A co to takiego?

Klient zrobił rozbawioną minę. Był wysoki, ciemnowłosy, z pewnością miał ze trzydzieści lat i nosił modny beżowy garnitur, czarną koszulę z czarnym krawatem. Wyglądał ekstra, nie jak inni, którzy stale tu przychodzili.

- Tam, skąd pochodzę, oznacza to espresso, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i słodki rogalik z dżemem. - Miał

cudzoziemski akcent, ale przemawiał swobodnie, z pewnością siebie. Rachel odpowiedziała mu z uśmiechem:

- Możemy podać zwykłą kawę, sok z kartonu, tost na przykład z ciemnego chleba, a za margarynę i dżem nie doliczę.

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło. Ten jego śmiech był wspaniały.

- Brzmi okropnie, ale jeśli ty mi przygotujesz, to zjem -odparł, nie spuszczać z niej wzroku.

W jego zielonych źrenicach połyskiwał i humor, i złośliwość. Oczy miał dość głęboko osadzone, ale niezwykle uwodzicielskie. Nagle Rachel poczuła dreszcz w dole brzucha, schodzący aż do kolan. Boże, jaki on przystojny. Mimo że skądś tu przyjechał. Jest pewnie Włochem albo Szwajcarem. Elegancki i egzotyczny.

- Już robię - odparła energicznym tonem, próbując ukryć emocje, jakie w niej rozbudził. Jakże pragnęła móc zrzucić z siebie ten ohydny uniform, ale na szczęście dziś rano umyła włosy i trochę się umalowała. Cholera, przecież została lesbą, więc co się teraz z nią dzieje? - Razem będzie funt dziewięćdziesiąt dziewięć.

Wręczył jej pięciofuntowy banknot.

- Reszta dla ciebie - oznajmił. Zrobiła, jak kazał.

Klienci w tym barze sami zanosili dania na stół, biorąc tacę, ale ten obrócił się na pięcie i usiadł przy stoliku. Najwyraźniej życzył sobie być obsłużonym. Jasne. Z takim napiwkem mu się należy, nie? A zresztą w lokalu nie było tłoku. Ireńę spojrzała przeciągle, gdy Rachel podała mu kawę i sok. Po dziesięciu minutach, gdy właśnie zamierzała donieść tosty, Ireńę zagroziła jej drogę.

- Niech ten dupek sam przyjdzie i obsłuży się - syknęła. Nie pierwszy raz Ireńę dyktowała jej, co należy zrobić.

- Kim ty jesteś? Moim bossem? - odwarknęła Rachel. Mężczyzna na pewno usłyszał ich rozmowę, ale kiedy po-

deszła do stolika, nie odezwał się słowem. Dopiero później, na odchodnym, gdy Irenę była w klozecie, zapytał:

- O której kończysz?

- Kończę co? - odparła, udając, że nie rozumie.

- Wieczorem?

- Och, mam ranną zmianę. Nie tyram przez okrągłą dobę.

Uśmiechnął się znowu tym swoim uśmiechem.

- Mała, nie bądź taka sprytna. Wiesz, o czym mówię. Zerknęła na drzwi kabiny.

- Chcesz ze mną gdzieś pójść? O to ci chodzi?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią zielonymi oczami.

- Nie uważasz, że to rozsądne pytanie? - nalegała. - Czego właściwie chcesz?

- Jesteś okropną małą osobką, od razu to widać.

- Okropną? - To słowo wypowiedziane z cudzoziemskim akcentem zabrzmiało zabawnie, więc się roześmiała. - Trzeba się najpierw poznać, a poza tym nie nazywaj mnie „mała”. Mam metr siedemdziesiąt jeden.

- Wezmę cię na kawę.

- Jestem wolna o trzeciej, więc jeśli masz ochotę, możesz mnie zaprosić na kawę.

Spowaźniał, przybrał pozę biznesmena. Załatwił sprawę, nie musiał się więcej wdzięczyć.

- Będę czekał w taksówce za rogiem.

Ogarnęło ją rozczarowanie z powodu jego nagłej zmiany nastroju. Do tego poczuła się... strasznie niepewna. Jak wyłgać się Irenę? A w ogóle dlaczego miałyby się jej tłumaczyć? Z drugiej strony, z nią była bezpieczna. Czy nie wmówiła sobie, że ją kocha?

W tę okropną środę z każdą mijaną minutą jej zakłopotanie całą sytuacją podlegało ciągłym zmianom, przemieniało się. Stopniowo żegnała się z poczuciem bezpieczeństwa z Irenę.

Tu chodzi o ryzyko, nie? A ona zawsze lubiła ryzykować. Tyle że w jej wypadku kończyło się to destrukcją, a nie wy-

graną. Kiedy była czternastolatką, miała nauczycielkę wychowania fizycznego, miłą i młodą kobietę, która dość ją lubiła. Ona stale namawiała ją do ryzyka, parcia do przodu, żeby nie utkwąć byle gdzie. Rachel była przekonana, że to utkwienie było aluzją do jej rodziców. „Rachel, jesteś bardzo inteligentna - mawiała nauczycielka. - Możesz daleko zajść i nie obawiaj się stawiać na swój wygląd, bo my, kobiety, musimy użyć wszystkiego, żeby dojść tam, gdzie pragniemy". No tak, Rachel wykorzystywała swoje wdzięki, raczej bez problemu, ale ryzyko... z tym jej nie wychodziło.

Wyczuwała, że wyjście z tym facetem może okazać się niebezpieczne. Zamieniła z nim zaledwie parę słów, ale przez cały dzień aż ją skręcało z lęku i podniecenia. To było ryzyko, poczucie zamaskowanego zła, które ją pociągało. Ten człowiek zionął bezwzględnością, seksem i forszą. Potrafię sobie z tym poradzić, mówiła sobie w duchu. Pieprzyć lesby, wcale nie potrzebuję tej miękkości i matkowania. Chciała samca, który obudzi w niej prawdziwą kobietę. Pragnęła wyzwania.

Starcie z przyjaciółką nie było przyjemne. Irene rozplakała się i prosiła, żeby tam nie szła. Wtedy Rachel nie zdawała sobie sprawy, bo niby skąd, że nigdy już nie wróci ani do rudery zajmowanej na dziko, ani do „Hungry Harry's", i że nie ujrzy więcej Irene.

- Dokąd chcesz pójść? - odezwał się Anton, gdy wsiadła do taksówki.

- Tam, gdzie dla odmiany jest ładnie. - Podejrzewała już, jak skończy się ten dzień, więc należało miło spędzić czas.

Anton przebrał się i teraz miał na sobie obcisłe czarne dżinsy i czarną skórzaną marynarkę, bez wątpienia bardzo drogą. Jego włosy lśniły, posmarowane jakąś śliską substancją. Cały wydawał się jak dobrze naoliwiony. Włosy miał krótko ścięte po bokach, ale nad czołem i na karku spływały falami. Z pewnością nosił też złoty łańcuszek, teraz niewidoczny (ujrzała go dopiero wtedy, gdy rozebrał się do naga).

- Jak masz na imię? - spytała.

- Anton - odparł roztargnionym tonem, wyglądając przez szybę. Sprawiał wrażenie nieobecnego i nie zapytał, jak brzmi jej imię.

Taksówka wiozła ich do śródmieścia. Anton napał na nią udem i chwycił za rękę, jak gdyby już stał się jej właścicielem, ale nie palił się do rozmowy.

- Chcesz pójść do kina?

Była tym mile zaskoczona. Tak właśnie wypadało spędzić pierwszą randkę.

- Z przyjemnością.

- Najpierw jednak wpadniemy na drinka. Rozpadało się na dobre, taksówka podrzuciła ich pod hotel

na West Endzie, tuż obok Shaftesbury Avenue. Weszli do holu. Rachel nigdy przedtem nie była w takim miejscu, więc nie narzekała. To był po prostu pałac, bez wątpienia nie dla takich jak ona. W barze młody kelner z zarozumiałą miną podszedł do ich stolika, żeby przyjąć zamówienie. Poprosiła o rum z colą, Anton zadowolil się wodą mineralną.

Wyciągnęła z torebki woreczek z tytoniem i maszynkę, żeby skrócić sobie papierosa.

- Och, nie rób tego, to obrzydliwe - zachnął się Anton. Miał taką minę, jakby wyjęła zdechłą mysz. Dał znak kelnerowi i zażądał paczki cameli. W mgnieniu oka kelner wrócił, na srebrnej tacy leżało odpieczętowane pudełko z trzema zachęcająco wysuniętymi papierosami. W jego ręce pojawiła się zapalniczka, którą zapalił jej papierosa. Chwilę później przyniósł im drinki i postawił na stole koszyczek z wielkimi nerkowcami. Nerkowce za friko! To coś mówiło o tym miejscu Anton podsunął jej orzechy. Rachel potrząsnęła głową. Uwielbiała nerkowce, ale była zbyt zdenerwowana, żeby je teraz chrupać.

- Zuch dziewczyna - skomentował. - Nie chcę, żebyś jadła - Rachel nie była pewna, o co mu chodzi - czy w ten sposób dał jej do zrozumienia, że nie jest wystarczająco szczupła czy też z jakiegoś innego powodu chciał, żeby była głodna. Anton był bez wątpienia zainteresowany jej wyglądem, bo

niemal od razu zaczął krytykować ubranie: dzinsy wyglądały na taniochę, podkoszulek był sfatygowany wskutek częstego prania, a żakiet brzydki i niemodny. Włosy także wymagały podcięcia i rozjaśnienia, a metalowe kółko z jej brwi trzeba usunąć.

- Jak to się stało, że mnie poderwałeś? - zapytała bardziej rozbawiona niż dotknięta tymi uwagami.

- Zostań ze mną, to cię wezmę na zakupy - odparł. - Dobrze cię ubiorę.
- Oszacował ją wzrokiem, uśmiechając się pod nosem. - Masz, co trzeba. Dobry surowy materiał. Możesz być oszałamiająca.

Rachel też się roześmiała.

- Komplementy dokądś cię zaprowadzą.

- Wiem - odparł. - I na to czekam.

I tak, w ciągu niecałej godziny, Rachel podpisała cyrograf, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Anton zamówił jeszcze po drinku, po czym zakomunikował, że właściwie nie warto zawracać sobie głowy filmem.

- Dokąd idziemy? - zapytała z niepewną miną, gdy trzymając ją pod rękę, wyprowadził z hotelu. Ponieważ nic nie odpowiedział, postanowiła w duchu, że niech się dzieje, co chce. Niemal pławiła się w strachu przed nieznanym, rozmyślając, że jej ciało będzie brane w sposób, którego nie potrafiła sobie wyobrazić. Jego żelazny uścisk na jej ramieniu w taksówce jedynie niejasno to zapowiadał.

Znowu wsiedli do taryfy. Choć było jeszcze jasno, a kierowca na dobre nie ruszył, Anton wsadził jej rękę pod bluzkę i rozpiął stanik na plecach. Na tym na razie skończył, dając do zrozumienia, co ją wkrótce czeka. Nigdy jeszcze nie poczuła się podniecona takim gestem - ani ze strony mężczyzny, ani kobiety. A może był to lęk, który ją tak podkreślił?

Jazda nie trwała długo, Rachel nie zwracała uwagi, dokąd jadą. Płoneła z napięcia, wszystko na zewnątrz odbierała jak nudny czarno-biały film. Samochód stanął przed eleganckim apartamentowcem. Budynek był nowoczesny, wysoki i miał prawdziwe balkony. Anton wsunął taksówkarzowi dziesiąt-

kę, pewnie po to, by jej zaimponować. Ona też chciała zrobić na nim dobre wrażenie, dając do zrozumienia, że jest gotowa na wszystko. Drinki dodały jej kurażu. Już w windzie klęczała przed nim.

- Rachel - Madeleine pochyliła się nad pacjentką, klepiąc ją po dłoni - miałaś mi coś opowiedzieć. Naprawdę chcę tego posłuchać - dodała łagodnym tonem.

Rachel zebrała się w sobie.

- Jasne, tak. OK. Wyjechałam z Bath i znalazłam się w Londynie, jak już mówiłam, gdzie próbowałam wiązać koniec z końcem. Głównie kelnerowałam i mieszkałam wspólnie z kumplami na dziko. Pewnego razu spotkałam Antona i natychmiast straciłam głowę. Toteż kiedy kazał mi stamtąd odejść i zamieszkać z nim, z miejsca to zrobiłam. On był w jakimś wielkim biznesie, miał mnóstwo kasy. Zupełnie zwariowałam na jego punkcie. Po jakichś trzech, czterech miesiącach Anton rozstał się ze swoimi wspólnikami. Wpadł w kłopoty finansowe, nie pytaj, z jakiego powodu, stał się opryskliwy i zły. Zmienił się w jednej chwili. Uri, jego brat, poradził mu, żeby zrobił użytek z mojej urody, więc usłyszałam, że mam się sprzedawać. Powinnam była zgadnąć, że na coś takiego się zanosí, ale... Byłam zdruzgotana, usiłowałam odmówić, ale on nie reagował na mój sprzeciw.

I tak z kobiety bogacza zmieniałam się nagle w prostytutkę. I to nie z wyższej półki, bo głównie rwałam tych z samochodami. Nawet miałam spore wzięcie. Anton z początku był zadowolony i obiecywał, że to potrwa tylko przez następny tydzień, miesiąc... ale tak się nie stało. Wreszcie związał się z jakimiś innymi ludźmi, z dziewczynami, które skądś przyjechały, głównie z Ukrainy. Ja też musiałam go dzielić z innymi kobietami, ale byłam jedyną, która z nim mieszkała. Pierdolony przywilej! Znosiłam mu mnóstwo kasy - byłam jego osobistą kopalnią złota. Nigdy jednak nie przywykłam do tego zajęcia. Brzydziło mnie.

Rachel zamilkła na chwilę. Madeleine próbowała z całych

sił pozostać neutralna, ale zdradzały ją oczy. Bodaj nigdy w życiu nie poznała prostytutki.

- Brałam dużo prochów, głównie valium, przestałam jeść. Wreszcie załamalam się nerwowo. Ani groźbą, ani biciem Anton nie mógł zwlec mnie z łóżka. Nie miał więc wyjścia, musiał dać mi odetchnąć. Wyjechałam z Londynu i na jakiś rok przeniosłam się do taty w Bath. Anton jakby stracił zainteresowanie mną. Mógł przebierać w innych dziewczynach. Jednakże - tu Rachel spuściła powieki, najwyraźniej zażenowana - znudziło mi się w Bath, ciągnęło mnie do Londynu. Anton dowiedział się, że przyjechałam. Uparł się, żebym do niego wróciła, twierdził, że jestem jedyną kobietą, jaką kocha, i że nie może beze mnie żyć. Chciał osiąść w Londynie, załatwić sobie legalny pobyt i prowadzić normalne życie, może nawet się ożenić, mieć dzieci. Obiecował, a ja mu wierzyłam. Nadal miał tę seksualną władzę nade mną. I choć go nie znosiłam, nie potrafiłam mu się oprzeć. A więc znowu byłam z nim i mieliśmy Saszę. Przez kilka lat było OK. Anton często wyjeżdżał, co ułatwiało sprawę, ale któregoś razu naraził się któremuś ze swoich współników w Budapeszcie, jakiemuś ciężko...

Nagle zamilkła i zmierzyła Madeleine wzrokiem.

- Robisz z tego notatki?

- Tylko do własnego użytku. Przestaną, jeśli sobie tego życzysz.

Rachel potrząsnęła głową.

- Te detale są bez znaczenia. Przez kilka miesięcy musiał się ukrywać. Przenieśliśmy się do innego mieszkania, z forsą było krucho. On chciał, żebym znowu wyszła na ulicę, prosił, groził, bił. Na krótko ustąpiłam, ale w końcu wzięłam Saszę i uciekłam do ojca.

Zamilkła, wpatrując się w swoje nerwowo drgające dłonie.

- I co się stało potem? - zapytała Madeleine po dłuższej chwili.

- To wszystko jest pożałowania godne! - wykrzyknęła z gniewem Rachel. - Sasza ciągle dopytywał się o ojca, więc zabrałam go do Londynu na spotkanie z nim. Anton był łagodny jak baranek. Obsypał nas prezentami. Jak idiotka znowu uwierzyłam w te wszystkie obietnice i zgodziłam się, że spróbujemy od nowa, ale tacy faceci jak on nigdy się nie zmieniają, prawda? Nawet nie znają znaczenia tego słowa. Po raz ostatni odeszłam od niego rok temu. Wynajęłam dla siebie i Saszy mieszkanie w

innej dzielnicy Londynu, ale Anton nie zamierzał odpuścić. Znikał na całe tygodnie, a nawet miesiące, a potem wracał, częściowo ze względu na syna, częściowo na mnie. On jest w takim samym stopniu uzależniony ode mnie jak ja od niego. Czasami daję się nabrać na komplementy. - Prychnęła z gniewem. - Ale para, co?

- Jak długo zajmowałaś się... handlem ciałem? - spytała ostrożnie Madeleine.

Rachel roześmiała się, widząc, że Madeleine nie przechodzi przez gardło słowo „prostytucja”.

- Wystarczająco długo, ale coś ci wyznam. Obsługując klientów w autach i ciemnych uliczkach, kobieta ma dość seksu na całe życie, a mimo to Anton nadal mnie kręci. Choć go nie znoszę. Bo naprawdę go nienawidzę.

- Gdybyś mogła, co byś mu zrobiła?

- Posłałabym go do więzienia. I żeby go tam co noc zbiorowo gwałciły te mięśniaki z celi ze szczególną skłonnością do zadawania bólu.

- Aha - odparła Madeleine, nie kryjąc zdenerwowania jej wybuchem.

- Zadaj mi kolejne pytanie - rzuciła Rachel niecierpliwie. Wyobrażone sceny zemsty były dla niej tym rodzajem terapii, jaki przypadł jej do gustu.

- Jeśli masz dosyć Antona, to zrób, jak mówisz. Wtrąć go do więzienia, skoro tak bardzo tego pragniesz.

- Nie ma mowy.

Madeleine spojrzała na nią spod półprzymkniętych powiek.

- A więc tak naprawdę nie chcesz tego.

- Posłuchaj, chyba nie wiesz, o czym gadasz - odpowie-

działa Rachel ostrym tonem. - Nie zadziera się z takimi jak on. Myślisz, że więzienie by go powstrzymało? Jego brat by mnie odnalazł. Uri głęboko sobie ceni solidarność w rodzinie, a jest znacznie bardziej bezwzględny i brutalny niż Anton. Madeleine była oszołomiona.

- Wierzę ci na słowo. Na chwilę zapadła cisza.

- Wiem, o czym myślisz - wybuchnęła Rachel. - Społeczeństwo należy chronić przed ludźmi naszego pokroju. Tobie się wydaje, że jesteś po stronie przegranych, tak? Ale w gruncie rzeczy jesteś przekonana, że społeczeństwa trzeba bronić nie tylko przed gangsterami i alfonsami, ale i przed dziwkami.

Czy to możliwe, że Madeleine na ułamek sekundy zmarszczyła brwi? Boże, jakże ta kobieta jest opanowana. W jakich okolicznościach okazałaby swoje prawdziwe emocje? Rachel uważnie wpatrywała się w nią, ale nie odnotowała śladu niechęci, sprzeciwu, odrazy. Babka zdała ten test z klasą. I gdy ją tak świdrowała oczami, Madeleine z trudem powstrzymała uśmiech.

- Więc uważasz, że mnie rozgryzłaś? - spytała. - Myślałam, że ja tu jestem terapeutką.

- To, do cholery, rozwiąż moje problemy.

- Chciałabym, ale nie muszę. Patrzę, jak sama to robisz.

- Świetna wiadomość! - burknęła z ironią Rachel. - Niby jak mam je rozwiązywać?

- Wypuszczasz z siebie gniew. Jakaś jego część kierujesz na mnie.

- No taaa. - Rachel rozsiadła się w fotelu i skrzyżowała ramiona. - I w jaki sposób, do cholery, może mi to pomóc?

- Decyzja należy do ciebie - odparła Madeleine z irytującym spokojem.

Rachel odwróciła głowę. Nawet jeśli Madeleine nigdy nie odgadnie prawdziwego powodu jej złości, ma rację. Prawdziwy gniew jest czymś innym niż agresja, wrogość, chamstwo, a nawet przemoc. Jeśli zgromadziłaby w sobie wystarczająco dużo gniewu, nie dałaby się traktować w taki zasrany sposób.

Jasne, że nie. Jednakże nie odezwała się ani słowem. Nie przyszła tutaj, żeby poddawać się analizie, a mimo to Madeleine kawałek po kawałku kruszyła wzniesiony przez nią mur obronny. Wcale nie zamierzała opowiedzieć o sobie aż tak wiele, ale skoro chce ciągnąć te sesje, to chyba musi trochę się odkryć?

Rachel dotknęła płatków swoich małżowin, symbolu opresji. Oba były rozplątane niczym kopyto diabła. Mogła je zszyć, pewien lekarz zaproponował jej to kiedyś, ale się nie zgodziła. Chciała, żeby Anton je widział, patrzył na nie. Szybko jednak pojęła, że ten widok nie wzbudza w nim bólu czy wyrzutów sumienia, lecz czystą frajdę. Okaleczenie oznaczało, że jest jej właścicielem. Kolczyki, które dostała od jakiegoś pijanego klienta, Anton zdarł jej z uszu, dając w ten sposób lekcję, której długo nie zdoła zapomnieć. I nigdy nie zaproponował, żeby poszła do lekarza. Ten facet jest chory... i ona jest chora. Nawet siedzenie tu i rozmawianie z tą kobietą jest chore.

Zatopiona w myślach, dopiero po chwili usłyszała głos Madeleine.

- Skoro poruszyłaś tę sprawę... w jaki sposób myślisz o sobie? Jako o kurwie?

- Kto raz stał się kurwą, już nią zostaje.

- Spróbuj mi to wyjaśnić.

Rachel zerknęła na nią z uśmiechem.

- Czy jestem twoją pierwszą kurwą?

Madeleine zawahała się przez moment, po czym skinęła głową.

Zamilkły. Madeleine bez wątpienia czekała na jej opowieść, odsłonięcie się, wyjaśnienie, czym jest to coś zwane kurewstwem. Rachel wstała, podeszła do okna i popatrzyła na wąską uliczkę. Między dwoma domami naprzeciwko znajdował się mały dziedziniec z żeliwnymi stolikami. Zauważyła, jak kelner przynosi klientce czajniczek z herbatą i kawałek ciasta. Kobieta zaśmiała się, potrząsając modnie ostrzyżonymi włosami. To miejsce tętniło życiem. Od chodnika kafejkę oddzielał rząd brzózek w donicach. Ich gałązki drżały na wietrze. Rachel wiedziała, że to brzozy, bo kiedyś jej tata zasadził takie drzewko

w ogrodzie. Mówił, że to brzoza płacząca. W ciągu wielu lat ich brzozie wyrosła potężna korona, pod którą można się było schować. Nadal tam była, ale pokrecona, stara, bezkształtna.

Stała tyłem do Madeleine i opowiadała o swojej dziecięcej kryjówce, opisując ją z najdrobniejszymi szczegółami. Delikatne liście w kształcie serca, ich cichy szelest na wietrze, biel kory, którą odrywało się od pnia poziomymi wstęgami. Wydawała wtedy taki śmieszny dźwięk, jakby trzask. Lubiła owijać sobie te paski wokół palca, ale kiedyś tata przestrzegł ją, żeby tego nie robiła, bo drzewo nie może żyć bez kory.

Póki Rachel nie skończyła, Madeleine nie wtrącała się ani słowem.

- Jak pięknie to opowiedziałaś - odezwała się cichym głosem. - To pierwsza prawdziwa historia, jaką usłyszałam z twoich ust o dzieciństwie.

- No widzisz?

- Może byś mi powiedziała coś więcej o małej dziewczynce o imieniu Rachel.

Rachel wybuchnęła sztucznym śmiechem i znowu usiadła w fotelu. Zdawała sobie sprawę, jak nieprawdziwie zabrzmiał i że na pewno nie zwiedzie nim Madeleine. Chryste, przed nią nie ma ucieczki.

Madeleine przekrzywiła głowę.

- Co jest takiego śmiesznego w dziewczynce o imieniu Rachel?

- Nigdy nie istniała, ot co.

- Och, daj spokój, nie uwierzę.

- Jasne, że nie.

Madeleine wzruszyła ramionami.

- Ty pewnie wiesz najlepiej. Wyskoczyłaś z łona matki jako całkowicie ukształtowana i strasznie wkurzona kobieta, tak?

Rachel nie mogła zachować powagi, wyobrażając sobie małą diabolicę wyskakującą z matki. Madeleine jej zawtórowała. Była jednak sprytna i podstępna. Prowadziła ją dokładnie tam, dokąd Rachel nie miała najmniejszej ochoty pójść.

- Nie zaprzeczysz, że byłaś kiedyś dzieckiem.

- Jasne, że byłam pieprzonym dzieciakiem - rozgniewała się Rachel. - Ale w jaki sposób gadka o dzieciństwie ma mnie wyleczyć z Antona i uchronić przed nim? Nie byłam traktowana surowo, jeśli do tego zmierzasz. Chcę tu podkreślić, że mama i tata byli sympatycznymi ludźmi. Śmierć mamy była dla mnie wielkim ciosem, ale mój problem to terażniejszość, nie przeszłość. Jeśli już musisz wiedzieć, to powiem, że choć nie trawię Antona, to jednak odczuwam jego brak. To jest mój problem. Im dłużej Anton mnie szuka, tym bardziej się go boję, a jednak aż mnie boli z tęsknoty za nim.

Otaksowała Madeleine wzrokiem, by sprawdzić, jak zareaguje na taką formę szczerości. Terapeutka jedynie kiwnęła głową, ciemny lok spadł jej na twarz. Rachel poczuła nagle niepojęty przyływ czułości, zapragnęła odgarnąć jej ten pukiel znad oczu.

Madeleine musiała wyczuć tę zmianę nastroju, bo z lekkim drzeniem głosu zapytała:

- Z dwojga złego lepsze to, co się zna?

- Chodzę jak po rozżarzonych węglach. Czekam na niego, panicznie się bojąc, że mnie odnajdzie, i jednocześnie go pragnąc.

Madeleine wyprostowała się w fotelu.

- Lękając się i pragnąc - powtórzyła, przechylając głowę na bok. - Jak to ze sobą pogodzić?

Rachel popatrzyła na jej kształtne kolana i sposób, w jaki je obejmowała smukłymi dłońmi. Ten gest świadczył o jej zainteresowaniu.

- Łatwiej mi rozewrzeć przed nim ramiona - i nogi.

- Miękka możliwość?

- Chryste! - wykrzyknęła Rachel. - Miękka możliwość! Nie masz pojęcia, o czym mówisz. On jest zdolny do zadawania straszliwego bólu.

- Szukała w myślach przykładu świadczącego o zdolności Antona do przemocy, czując w sobie rosnący lęk, jaki ten człowiek zawsze w niej wzbudzał. O, jak wtedy, gdy okradł ją klient. To było dawno temu, jeszcze przed narodzinami Saszy, ale na wspomnienie skutków tego wydarzenia-

nia do dziś ogarniała ją trwoga, kolana odmawiały posłuszeństwa. Okradzenie samo w sobie było strasznym, poniżającym przeżyciem, ale powrót do domu z pustymi rękami, rzucanie nią o ściany, jakby była szmacianą lalką, przez zamrozonego dragami Antona, pęknięta szczeka, pół włosów wyrwanych z głowy, a potem... Nie, po co opowiadać tej szlachetnej Madeleine taką historię. - Słuchaj, muszę chronić dzieciaka.

- A więc zamierzasz chronić Saszę, znowu oddając się w ręce Antona?

Rachel zdała sobie sprawę, że została zapędzona do narożnika. Cóż mogła na to odpowiedzieć? Powinna wstać i wyjść. Wziąć torebkę i skierować się do drzwi. Madeleine jednakże przerwała ten ciąg jej myśli.

- Pamiętam, jak powiedziałaś, że on nigdy nie skrzywdził Saszy.

Rachel uniosła brwi, udając zdziwienie.

- Nie mogę wprost uwierzyć twoim słowom. Dziecko ma oczy, uszy i emocje. Nie jest psem, w razie gdybyś nie wiedziała. Jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, nie powinnaś mieć dzieci.

Madeleine spojrzała na nią w milczeniu. Niewątpliwie zdawała sobie sprawę, że Rachel odwraca kota ogonem i unika zasadniczej kwestii: że to ona sama wystawia swoje dziecko na niebezpieczeństwo.

- Nie masz dzieci, prawda?

Madeleine zdjęła nogę z nogi, po chwili znowu ją założyła.

- Uspokój się, Rachel. Ta sprawa nie dotyczy mnie, lecz ciebie - odrzekła, nie patrząc jej w oczy.

Rachel nie spuszczała z niej wzroku. Wiedziała, że dotknęła bolesnego punktu. W zbroi terapeutki wykryła szczelinę.

- Chwila, moment - odparła, wwiercając się wzrokiem w Madeleine. - Płacę za te sesje. Mogę zadać ci pytanie, jeśli mam na to ochotę.

- Jasne, ale ja z kolei muszę pilnować, żebyś nie zbaczała

z tematu. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie, nie mam dzieci.

- A dlaczego nie masz?

Madeleine uniosła wzrok, ale nie spojrzała na Rachel, lecz gdzieś wysoko ponad jej głową.

- Wiesz co, chcesz rozmawiać o mnie, żeby uniknąć rozmowy o sobie.

- Cha, cha! To brzmi jak cytat z któregoś z twoich poradników.

Madeleine się uśmiechnęła.

- Może i brzmi, ale znowu robisz to samo. Przed chwilą bardzo sprytnie odciągnęłaś nas od rozmowy o prostytutce. Powtórzyłaś ten manewr, gdy mówiłyśmy o twoim dzieciństwie, a teraz nie dopuszczasz do odpowiedzi, dlaczego nie możesz odejść od człowieka, który jest agresywny, nieprzewidywalny i okrutny.

- A więc dlaczego nie miałaś dzieci?

Madeleine starała się uniknąć jej wzroku i z zakłopotaniem poruszyła się w fotelu.

- No, mów - nie ustępowała Rachel. - Daj mi uczciwą odpowiedź. Wolisz karierę, tak? Czy nie możesz mieć dzieci? Albo ich po prostu nie lubisz? Lub nikt koło ciebie się nie kręci, kto mógłby ci je zмайstrować. A może - uniosła brew - nie biorą cię mężczyźni?

Madeleine obróciła się ku niej twarzą. Głowa jej się trzęsła, musiała ciągle przetykać ślinę. Ku zdumieniu Rachel, w jej oczach błyszczały łzy, które lada moment popłyną po policzkach. Rachel zaklęła w duchu. Cholera! Tylko tego brakowało. Madeleine otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wyartykułować żadnego dźwięku. Odkasznęła i w końcu wykrztusiła z siebie:

- Nie uważam, byśmy musiały o tym mówić.

- Taa, masz rację, przepraszam - wymamrotała Rachel, schylając się po torebkę. - Możemy na tym poprzestać? Marzę o fajce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wygląda na to, że nie poszło ci za dobrze - zauważyła Sylvia na widok Madeleine wychodzącej z gabinetu do opustoszałej poczekalni.

- Co masz na myśli?

- Twoja pacjentka wyszła zaledwie po trzydziestu dziewięciu minutach.

- No cóż, cieszy mnie, że prowadzisz taki dokładny rejestr - odparła Madeleine, poirytowana uwagami recepcjonistki, zresztą należącymi do jej stałego repertuaru. Choć Sylvia usiłowała być dyskretna, miała w sobie archetypiczne cechy matki ziemi, a nad tym nie potrafiła zapanować. Nie dość, że proponowała pacjentkom wegańskie przysmaki, to Madeleine kilkakrotnie złapała ją na udzielaniu im porad astrologicznych z kart schowanych pod matą na biurku. Owszem, położyła temu kres, ale podejrzewała, że w istocie to wszytkowiedząca Sylvia ściąga swoją obecnością klientelę.

- I sprawiała wrażenie podenerwowanej.

Madeleine aż skreśliło ze złości. Co za idiotyczny sposób zakończenia sesji. Nie zdołała wyciągnąć z Rachel niezbędnych informacji o charakterze osobistym. No i ten spektakl, jaki zrobiła z siebie! Rachel wcale się nie popłakała, z pewnością nie była płaksą. Nic dziwnego, że chciała jak najszybciej się zmyć. Madeleine próbowała - dość nieudolnie - zatrzymać

ją, ale usłyszała w odpowiedzi, że tamta nie może ani chwili dłużej wytrzymać bez papierosa. Paliła kosztowną markę, ale to jej sprawa i jej pieniądze. I choć Rachel, pospiesznie się żegnając, napomknęła o następnym spotkaniu, a nawet uzgodniła jego termin, Madeleine obawiała się, że tym razem już jej nie zobaczy. W przeszłości tej kobiety było coś, co pragnęła ustalić i uporać się z tym, ale instynktownie odczuwała lęk. Może chodziło o śmierć matki chorej na raka, a może o jakieś wcześniejsze wydarzenie z dzieciństwa Rachel. Choć ze wszystkich sił próbowała uchronić syna, sesje terapeutyczne niebezpiecznie przybliżały je obie do sedna sprawy, a Rachel z pewnością doskonale wiedziała, że nie może w nieskończoność trzymać swych emocji na wodzy. Wkrótce zapewne odsłoni swoje obolałe, pokiereszowane wnętrza, by obie mogły je przeanalizować.

Taka podróż w głąb siebie wymaga odporności i siły woli, a konieczność płacenia za nią tylko wzmacnia ból.

Madeleine wyjechała z parkingu przy Pierrepont Street, płacąc antypatycznemu właścicielowi idiotycznie wysoką sumę. Żeby uniknąć popołudniowych korków, ruszyła znaną sobie drogą - najpierw przez wąskie uliczki zabudowane średniowiecznymi domami z kamienia, a potem przecinając skwery wokół imponujących willi palladiańskich, gdzie ruch kołowy obcych wprawdzie nie był zakazany, ale w oczach ich mieszkańców co najmniej niewłaściwy. Dość szybko znalazła się na drodze lokalnej prowadzącej ostro pod górę. Powietrze było tu czystsze, miejski zgiełk ucichł. Madeleine spuściła szybę, wzięła głęboki wdech. Gdzież indziej mogłaby w ciągu minuty znaleźć się z dala od centrum, pośród wiosennych pól i łąk, na których pasły się krowy i owce?

W miarę zbliżania się do celu coraz mocniej zaciskała ręce na kierownicy. Choć kochała i szanowała matkę, odwiedziny u niej dwa razy w tygodniu miały gwałtowny, konfrontacyjny przebieg. Madeleine zdawała sobie sprawę, że to nie jej wina, niemniej gryzły ją wyrzuty sumienia, że matka dokona

żywota w tej zimnej, dżdżystej krainie, a nie w pięknym Key West lub na ukochanej Kubie. Rosaria, rozpaczając nad minionym czasem, często obarczała córkę odpowiedzialnością za to, że przez nią wylądowała w piekle, wygodnie zapominając, że to własny mąż zmusił je do powrotu do Anglii, jego ojczyzny.

Madeleine przejechała pod łukowato sklepioną bramą oddzielającą ulicę od posiadłości. Setton House był ogromnym dworem w stylu Tudorów, przekształconym obecnie w rodzaj więzienia czy raczej urządzonego z przepychem schroniska dla zamożnych wariatów. Kiedyś stanowił siedzibę diuka Setton; ten przepił i przepuścił fortunę, a następnie sprzedał dwór inwestorowi, który dorobił się majątku na luksusowych domach dla starców. Nowy właściciel zawarł układ z Neville'em - kupił od niego tyle obrazów, żeby obłąkana ekszona malarza mogła dożyć swych dni w superkomfortowych warunkach. Za jednym zamachem Neville pozbył się i jej, i wyrzutów sumienia.

Od ulicy domostwo było oddzielone rzędem cyprysów, a trzy akry nadzwyczaj zadbanych gruntów porastał strzyżony trawnik oraz majestatyczne cedry libańskie. Madeleine zaparkowała mercedesa na terenie wydzielonym dla odwiedzających. Samochód należał kiedyś do jej ojca, pożerał mnóstwo benzyny, ale był prawdziwym skarbem dla kolekcjonerów. Z poczucia winy wobec ekologów Madeleine używała go nadzwyczaj rzadko i usiłowała przekonać samą siebie, że gdyby nim nie jeździła, robiłby to ktoś inny. Jednakże było to skromne auto w porównaniu z zaparkowanymi tu markami.

W recepcji podpisała się na liście gości i przypięła do klapy żakietu wymaganą plakietkę z nazwiskiem, a następnie weszła na pierwsze piętro. Rosaria siedziała w salonie z innymi pensjonariuszami, gapiąc się w ekran telewizora. Pokazywano reality show. Madeleine zawsze wstrząsał widok tych ludzi z pustym spojrzeniem, milczących i nieruchomych, jeśli nie liczyć tików i bezwiednych skurczów spowodowanych lekami lub zaawansowanym wiekiem. Rosaria wyróżniała się w tym

gronie postawą i miną. Siedziała na krześle wyprostowana jak struna, na jej nadgarstkach pobrzękiwały złote bransoletki. Znajdowały się tam amulety i talizmany kupione w trakcie jej długiego życia, a gruba złota obrączka była wyraźnie za luźna na wychudzonym palcu. Stara dama była ubrana w czarne spodnie z miękkiego materiału, bogato wyszywaną gwatemalską bluzę i srebrne sandały na wysokim obcasie, wsunięte na szczupłe stopy.

Choć zniszczona przez chorobę, Rosaria w wieku sześćdziesięciu pięciu lat była nadal uderzająco piękną kobietą. Włosy sięgające do pasa miała splecione w warkocz owinięty wokół głowy. Szerokie, kruczoczarne brwi niemal stykały się ze sobą. To właśnie jej uroda w typie Friedy Kahlo tak zafascynowała Neville'a wiele lat temu. Trzeba trafić, że kiedyś, w Meksyku, Neville spotkał słynną malarzkę, wtedy już ciężko chorą, niemal umierającą. I, jak wielu mężczyzn przed nim, bez reszty uległ jej egzotycznej zmysłowości. Jednakże Rosaria, choć bez wątplenia tajemnicza z wyglądu, bynajmniej nie była artystką, lecz uciekinierką z Hawany, pracującą na pół etatu jako barmanka w Key West, oraz wyznawczynią santerii, starej religii afrokubańskiej, szeroko praktykowanej na Kubie. Twierdziła, że za dolara potrafi przewidzieć czyjaś przyszłość lub rzucić na kogoś urok. Neville był wtedy młodym, dobrze zapowiadającym się artystą przybyłym do Key West w celu zakosztowania życia cyganerii. Natknął się na Rosarię siedzącą w drewnianej budce przy Duval Street. Dziewczyna była młodsiutka, ale już świadoma swoich egzotycznych wdzięków. Wołając do niego przez ulicę, zaproponowała, że rzuci muszlami i z ich układu odczyta jego los. Jej niewątpliwe uzdolnienia podziałały mu na wyobraźnię. Odtąd twierdził, że zawładnęła jego sercem. Ale teraz, gdy Neville osiągnął sławę i ożenił się z sensowną Angielką, nie miał już czasu na wróżbiarskie szaleństwa ekszony.

- Mamo, jak się masz? - odezwała się Madeleine, klękając przy niej i obejmując ją ramieniem. Na znak szacunku ucałowała antyczny srebrny krzyżyk wiszący na jej szyi, przechodzą-

cy z pokolenia na pokolenie kubańskich czarownic w rodzinie matki. Stał się cienki od długiego używania. Następnie złożyła pocałunek na miniaturowej flaszeczce przyczepionej do tego samego łańcuszka. Znajdował się w niej jakiś szary proszek, podobno rozbity na drobny pył fragment miednicy jej prapra-prababki z plemienia Joruba. Rosaria wiele razy podkreślała, że wkrótce oba te przedmioty zawisną na szyi Madeleine, i dopiero wtedy córka zostanie obdarzona nadludzką siłą (z flaszeczki) oraz będzie chroniona od zła (dzięki krzyżykowi).

- Ach, jesteś. - Rosaria westchnęła, jakby córka właśnie wróciła z łazienki. - Czy przyniosłaś mi rum?

- Tak, mam. Stęskniłaś się za mną?

- Magdaleno, zawsze śledzę cię moim wewnętrznym okiem. Wiem, gdzie przebywasz.

Madeleine wyobraziła sobie, że matka obserwowała jej wyszukane figury miłosne z Gordonem. Choć choroba Rosarii sprowadziła ją na ziemię i odcięła od doznań o podłożu mistycznym, myśl o matce podglądającej ją niewidzialnym okiem była niepokojąca.

Fizycznie Rosarii nic nie dolegało, jednakże wskutek zażywania od wielu lat leków psychotropowych dokuczały jej różne dolegliwości somatyczne. Całymi godzinami potrafiła kiwać się na krześle, a jej ręce dygotały w niekontrolowany sposób. Tym razem jednak chora wysiłkiem woli opanowała drżenie i wymierzyła w córkę palec wskazujący.

- Magdaleno, widziałas mego męża? Jak on się miewa? Madeleine jęknęła w duchu. Rosaria nie napomknęła

o Neville'u w ciągu ostatniego miesiąca, a może nawet dwóch. Łudziła się, że matka w końcu da sobie z nim spokój, może w ogóle o nim zapomni.

- Neville już nie jest twoim mężem. Jest ożeniony z Elizabeth.

- Wiesz co, Magdaleno? Musisz wiedzieć, że to fałszywe małżeństwo z tą kobietą jest niemal skończone.

- Wcale tak nie sędzę, mam. Oni żyją od dwudziestu lat w szczęśliwym stadle.

Rosaria zacisnęła pięści.

- Wiem, od jak dawna się to ciągnie - wrzasnęła - ale powiadam ci, że wkrótce nastąpi koniec!

Madeleine rozejrzała się po salonie, zastanawiając się, czy krzyk matki nie zaniepokoił pozostałych pensjonariuszy, nie przeszkodził im w oglądaniu telewizji. Jednakże połowa z nich zapadła w drzemkę albo siedziała z zamkniętymi oczami. Pani Champion trwała na posterunku, tyle że była głucha jak pień. Jedyne jakiś nieznany jej mężczyzna wpatrywał się w ekran z marsem na czole.

Żeby skierować uwagę matki na inny temat, Madeleine szepnęła jej do ucha:

- Macie nowego pacjenta?

- Nie patrz na niego - ofuknęła ją Rosaria również szeptem.

- Uważam, że jest całkiem przystojny. A ty stale się skarżyłaś, że przebywają tu wyłącznie zniedołęzniali mężczyźni.

- Pst! - syknęła Rosaria. - Pedrote mówi mi, że on ma czarne wnętrzności.

Jedynym łącznikiem mamy z przeszłością był głos Pedrote, który, w jej przekonaniu, przemawiał do niej z odległej Kuby za pomocą małego urządzenia wszczepionego mu do mózgu. Matka Rosarii była w Hawanie otoczona złą sławą santerą, natomiast ona sama zwróciła się o pomoc do Pedrote, który został jej mentorem i kochankiem. Traktowała go jako najpotężniejszego *babalawo*, kapłana santerii, który rzekomo nauczył ją różnych sztuk posługiwania się czarną magią.

- Pedrote może stać się zazdrosny, nie myślałaś o tym? -przekomarzała się z nią Madeleine. - Mogłabyś wykorzystać nowego mężczyznę w swoim życiu?

- Nie, czekam na mego męża. On się niemal uwolnił od tamtej kobiety.

- No dobrze, mamo.

Madeleine poprawiła luźny kosmyk, który wysunął się matce z warkocza. Ponieważ fryzjer przychodził tu tylko raz w tygodniu, Rosaria, pyszniąc się swoimi włosami, uparła się,

by spać na siedząco w fotelu kupionym jej przez córkę. Jej upór wywołał niejedną scysję z pielęgniarkami, ale starsza dama wygrała, a im pozostało uszanować jej próżność.

- Opowiedz mi, co tu porabiasz.

- W tym więzieniu? Nic szczególnego. Pewien młody człowiek w przebraniu lekarza zmusił mnie, i to dwukrotnie, żebym poszła do jego gabinetu. Usiłował coś ze mnie wyciągnąć. Przesłuchiwał mnie dziś rano przez całą godzinę.

Madeleine popatrzyła na matkę, zastanawiając się, czy rzeczywiście ktoś zainteresował się jej stanem zdrowia i próbował zastosować jakąś nową formę terapii. Może jakiś młody specjalista od geriatrici albo psychiatra badający ofiary schizofrenii paranoidalnej. Rosaria byłaby ciekawym przypadkiem, ponieważ mimo stanów psychotycznych i silnych leków miała chwilami absolutnie jasny umysł i przedziwny wgląd we wnętrze innych ludzi, nawet takich, których widziała po raz pierwszy w życiu. Potrafiła również, mimo silnego akcentu hiszpańskiego, być nadzwyczaj rozmowna. W przeciwieństwie do pozostałych pensjonariuszy, cierpiących wskutek podeszłego wieku na demencję, bywała ostra jak brzytwa. Jej spojrzenie też było przenikliwe. Ta zdolność do świdrowania ludzi wzrokiem była, być może, pochodną jej choroby umysłowej. Rosaria, odkąd jej córka sięgała pamięcią, była bardzo dziwną kobietą. Gdy Madeleine miała szesnaście lat, uprzytomniła sobie, że matka, balansując na samej krawędzi, przechyliła się na stronę szaleństwa, że jej magia przeistacza się w obłąd i że gdyby nie ten fakt, sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej. Z całą pewnością ona sama nie podjęłaby tej fatalnej w skutkach decyzji...

- To chyba dobrze, mamo? Ten lekarz z pewnością chce ci pomóc. Powinnaś to wykorzystać. Może mu opowiesz o tym wszystkim, co cię dręczy? Jestem pewna, że zainteresuje go twoja biografia. Ludzi na ogół frapują twoje opowieści o Kubie i o wstrząsającej ucieczce z Hawany.

Nagle w salonie rozległ się szcęk naczyń. Młoda salowa o imieniu Beatrice usiłowała przejechać przez drzwi wózkiem

z zastawą do herbaty. Madeleine zerwała się, żeby jej pomóc. Odbierała od niej filiżanki z herbatą i stawiała je na stolikach przy letargicznych pacjentach.

Na stoliku obok matki postawiła puste naczynie i sięgnęła ukradkiem do torby, żeby wydostać stamtąd buteleczkę z rumem. Mieszanie alkoholu z lekarskami nie było zbyt mądrym pomysłem, ale, do diabła, lekki rausz był jedną z nielicznych przyjemności Rosarii w jej ponurej egzystencji. Właśnie wlewała sporą porcję rumu, gdy matka chwyciła ją za nadgarstek. Tracony kubek wylądował na podłodze, rum rozlał się na dywanie.

- Magdaleno, co to jest? - wrzasnęła stara dama. - Co to za brudne paskudztwo na twojej bluzce?

Paniczna reakcja matki zmusiła Madeleine do spojrzenia na własną pierś z obawą, że wczepił się tam jakiś ohydny insekt. Jednakże Rosaria utkwiała wzrok w broszce od Edmunda.

Madeleine roześmiała się z zakłopotaniem. Czy możliwe, żeby ta rzecz emitowała złe fale?

- Mamo, uspokój się. To tylko broszka. I nie jest brudna, tylko zrobiona z cyny.

Wyswobodziła się z uścisku matki i delikatnie poklepała jej dłoń. W szeroko rozwartych oczach Rosarii widać było jednak tylko przerażenie.

- Zdejmij ją, Magdaleno! - krzyczała. - To nie jest broszka. Osoba, która ją miała, ma *mai de ojo*, złe spojrzenie. To podstęp. Nosisz tę rzecz tak blisko serca... zachorujesz przez nią.

- Opanuj się - szepnęła Madeleine. - Nie krzycz tak. Zaraz ściągniesz przełożoną pielęgniarę, która mnie stąd przegoni. - Szybko odpięła broszkę i niedbałym gestem wrzuciła ją do torby. - Popatrz, już jej nie ma. Zapomnij o niej. A teraz się uspokój.

Rosaria dostała drgawek, jej dłonie trzęsły się gwałtownie.

- Bez względu na to, kto ci dał tę rzecz, *hijita mia*, nie wolno ci więcej popatrzeć mu w oczy. Obiecuj mi. Nigdy nie spotykaj się z jego wzrokiem. On cię doprowadzi do choroby. Może cię

nawet zabić tym swoim *mai de ojo*. Magdaleno, nie zapominaj, jaka jesteś podatna. Musisz stale na siebie uważać.

Madeleine aż zeszywniała na te słowa. Mój Boże, pomyślała, a co się stanie, jeśli ona ma raq'ę?

Mimo tropikalnego upału pedałowiała co tchu w piersiach. Jadąc Fleming Street, przecięła Duval, wzdłuż której tłum lokalnych mieszkańców i turystów poruszał się w obu kierunkach niczym kolumna mrówek. Minął ją motocyklista na różowo-fioletowym harleyu z gadającą papugą na głowie. Skreśliła w lewo w Elizabeth Street, zwalniając przy „Mario's Cafe”. Klientela złożona z samych mężczyzn rozsiadła się w cieniu rozłożystej jacarandy i dopijała swoje *cafesito*, zaciągając się wonnymi cygarami domowego wyrobu. Radio nastawione na radiostację z Hawany nadawało z zakłóceniami rumbę. Madeleine przyglądała się twarzom mężczyzn, póki nie wyłowiła wzrokiem jednego z nich - Jose Manuela, jedyne w tym gronie zamroczonego rumem. Był on dalekim krewnym mamy, na dodatek kaleką, bo stracił nogę, gdy jego tratwa roztrzaskała się w czasie ucieczki z Kuby. Rekin strasznie go poharatał, ale Jose Manuel i tak miał więcej szczęścia od swoich towarzyszy, których potwór pożarł żywcem. Uratował go poławiacz krewetek, gdy przyczepiony do korzeni mangrowca leżał w mule w płytkiej zatoczce. Wdało się jednak zakażenie i lekarze musieli mu nogę amputować. Jose Manuel zyskał w ten sposób drugie życie i celebrował je dzień w dzień od rana do nocy. Kazał, żeby zwracała się do niego per „wuju”, szczypał w pupę (odkąd urosły jej piersi) i upierał się, żeby rozmawiali po hiszpańsku.

Wilgotne powietrze oblepiało ją niczym gorąca para, a przecież był dopiero maj. Mimo to uwielbiała tę porę roku, tuż przed sezonem burz i nawałnic, gdy roślinność dosłownie eksploduje: gołym okiem widać, jak rośnie. Turyści wkrótce wyjadą z miasta, rzednący tłum o zachodzie słońca na Mallory Square straci animusz, już nie będzie taki zawiany, nie będzie tak gromko oklaskiwał popisów ulicznych zonglerów.

Rozbawiona Duval Street stanie się niemal wymarła, jeśli nie liczyć nielicznych twardzielów sączących cuba libre lub lodowate piwo pod trzcinowymi daszkami tanich barów. W knajpach „Sloppy Joe's” i „Captain's Tony” interes będzie kwitł w najlepsze, zgodnie z nawykami tuziemców. Bo cóż może być lepszego niż rozleniwione, pełne spokoju nieróbstwo opanowujące całą wyspę?

Skręciła w prawo, w Eaton Street, widząc przed sobą rozłożystą koronę figowca bengalskiego, symbol całego miasteczka... w jej własnym ogrodzie. Gwałtownie zjechała w bok, gdy kura z sześcioma kurczątkami wkroczyła na jezdnię. W głębi ulicy wyrosła jakaś przeszkoda, robotnik machał czerwonym lizakiem, żeby zwolniła. Znowu dokopują się do rur kanalizacyjnych. Wobec tego skręciła w Cherry Lane, uliczkę ciągnącą się za bogatymi domostwami w stylu bahamskim. Tam gnieździła się biedota.

Droga była pełna dziur i kamieni, więc zeszła z roweru i prowadziła go za kierownicę. I w ten sposób ujrzała starca, którego zabroniono jej widywać. Siedział na rozwalającym się ganku chaty z dachem pokrytym zardzewiałą blachą, z otworami okiennymi i wejściem zasłoniętymi jedynie spłowiałą do cna tkaniną. Był Jamajczykiem, czarnym jak smoła i bezzębnym. Mama ostrzegła, żeby nigdy nie patrzyła mu w oczy, bo ma *mai de oyo* i może sprawić, że dzieci ciężko od tego zachorują. „Ci z Jamajki odprawiają wudu - mówiła. - Nie używają swych mocy po to, żeby polepszyć stan zdrowia człowieka, dawać napój miłosny czy coś w tym rodzaju”. (Mama nie dałaby ziół lub nie rzuciłaby uroku na kogoś, żeby zachorował, chyba że klient naprawdę upierał się przy swoim i dodatkowo zapłacił).

Starzec ujrzał, jak się zbliża, i wstał z bujanego fotela. Pochylił się nad balustradą, by spojrzeć jej prosto w oczy. Nie chciała do tego dopuścić, ale przyciągnął ją wzrokiem, nie potrafiła mu się oprzeć. Mijając go, spojrzała mu prosto w twarz. A on rozciągnął wargi w bezzębnym uśmiechu. E, pomyślała, to wszystko głupoty. On nie zrobi mi nic złego.

Tamtej nocy ciężko zachorowała. Wstrząsały nią wymioty, wypływała z niej czarna, cuchnąca ciecz. Zdawało się, że te ataki nigdy nie ustaną. Nikt nie wiedział, co jej dolega, nawet lekarz z Nowego Orleanu, który często pijał z papą. Chciał wezwać karetkę, ale gdy Madeleine wyznała matce o spotkaniu ze starcem, Rosaria kategorycznie się temu sprzeciwiła. Oświadczyła papie i doktorowi, że to jest choroba, której nie sposób uleczyć w szpitalu, i w trakcie ostrej wymiany zdań posłała po Esperanę, ogromną Murzynkę - curanderę. Tamta pojawiła się niemal natychmiast, przynosząc słoiki i koszyki z *hierbas*. Paliła je nad Madeleine, okadzając ją szczypiącym w oczy dymem, jednocześnie omiatając jej nagie ciało świeżymi ziołami i zmywając wodą florydzką. I wymioty, równie nagle jak się zaczęły, tak raptownie ustały.

Niedługo potem Madeleine usłyszała, że starzec z *mai de oyo* umarł. Ludzie szeptali po kątach, że miał ciężką śmierć. Mimo to nigdy więcej nie zapuściła się w tę uliczkę.

Słońce nad Setton Hall powoli chowało się za lasem. Wkrótce pensjonariuszom poda się lekarstwa i odstawi do luksusowych pokoi, gdzie na dziesięć godzin zapadną w niepamięć pozbawioną snów. Niektórzy już teraz drzemali. W tym salonie z senną atmosferą głosy wydobywające się z telewizora nastawionego na jakiś idiotyczny kanał brzmiały trochę jak nie z tego świata. Madeleine przez chwilę gapiła się w ekran, ale kiedy odwróciła się w stronę Rosarii, żeby skrytykować głupotę uczestników poddających się godnym pożałowania odpytywaniom, zauważyła, że matka też zasnęła. Najwyraźniej zupełnie wyczerpała ją ta kłótnia o broszkę. Jej usta rytmicznie się poruszały, pobudzając do ruchu także sztuczną szczękę. Madeleine, przyglądając się twarzy matki, głęboko posmutniała. Jej piękna mama tak zniszczona przez życie, taka bezradna... jakże pragnęła móc ją zatrzymać u siebie w domu. Jednakże Rosarii nie wolno było zostawić bez opieki nawet na godzinę. W każdej chwili gotowa była coś podpalić albo złożyć w ofierze kota sąsiedzi-

dów. A Madeleine nie miała nikogo - ani dziecka, ani krewnych, ani przyjaciółki, kto mógłby podzielić z nią brzemień opieki nad chorą. Neville, na swoje szczęście, zabezpieczając jej byt w tym więzieniu, umył ręce, trzymał się od kłopotu z daleka. Był na tyle sprytny i egoistyczny, by oświadczyć, że nie należy to do jego obowiązków. Czyż to nie Madeleine, psychoterapeutka - argumentował - nie jest najlepszą osobą do opieki nad tą starą wiedźmą?

Madeleine stała chusteczkami higienicznymi rum rozlany na dywanie. Ponieważ Rosaria spała głęboko, postanowiła wrócić do domu. Poglaskała matkę po ręce, pocałowała ją w czoło, bez żadnej reakcji z jej strony, jeśli nie liczyć drobnego ruchu sflaczałych i szeroko otwartych ust. Jednakże gdy tylko zaczęła odchodzić na palcach, Rosaria chwyciła ją za rękę i powstrzymała.

- Co takiego, mamó?

- Nie usłuchałaś mojej rady przez telefon. Nie pojechałaś do domu i nie zarygnowałaś drzwi. Teraz będziesz miała śmierć na sumieniu.

Madeleine stanęła, wpatrując się w matkę. Jej głos, choć cichy, był nadzwyczaj jasny i wyraźny. Mówiła z zamkniętymi oczami, jakby nadal pogrążona we śnie.

- Nie grozi ci śmierć - odparła Madeleine łagodnym tonem. - Będziesz jeszcze długo żyła, jesteś ciągle młoda.

- Gnijące ciało - wyszeptała Rosaria. - Pożar!

- Co, mamó? - Madeleine lekko potrząsnęła ją za ramię. -No, obudź się!

Ręce matki poczęły się trząść, głos się załamał. Usiłowała pokonać jękanie, żeby ostrzec córkę.

- Magdaleno, wszystko, o czym wiesz, ulegnie zmianie. Będziesz musiała mnie opuścić. Uciekaj, uciekaj najdalej jak możesz.

Madeleine przyklękła i przytuliła matkę do siebie.

- Nigdy! Nie obawiaj się.

Rosaria już jej nie słuchała. Nagle zapadła w sen, jakby tracąc przytomność. Madeleine wyczuła ogarniający ją chłód.

- Niedługo przyjdę znowu - wymamrotała, wstając z klęczek i szybko kierując się ku wyjściu.

W dyżurce pielęgniarek nie było nikogo; Madeleine puściła się pędem przez korytarz. Nie poczekała na windę, zbiegła w dół ślimakiem marmurowych schodów. Na parterze natknęła się na nieprzeniknioną kierowniczkę zakładu, panią Ollenbach, pochłoniętą rozmową z doktorem Jenkinsem, emerytowanym internistą zatrudnionym do opieki nad pensjonariuszami. Z wyglądu przypominał pułkownika Sandersa, tego od smażonych kurczaków firmy KFC: gęste siwe włosy, spiczasta bródka, sumiaste wąsy. Na widok tej pary Madeleine zwolniła tempo. Z nimi bardzo trudno było umówić się na rozmowę, więc przypadkowe spotkanie było darem z nieba.

- Pani Ollenbach, doktorze Jenkins! - zawołała trochę zbyt głośno. - Chciałam z państwem zamienić kilka słów, to długo nie potrwa.

- O, popatrzcie, toż to nasza Madeleine - odparł Jenkins ojcowskim tonem. - Jak miło panią zobaczyć. - Ujął ją za ramię i odciągnął od stanowiska recepcjonistki. - Czy to nie wspaniała odmiana u pani Frank? Jest w dobrej formie, prawda?

Madeleine zmarszczyła brwi.

- Doprawdy? Tak pan sądzi?

- Och, absolutnie. W tak dobrej, że chyba zrezygnujemy z kilku ostatnich sesji ECT. Chciałbym tylko uprzedzić panią o kilku dziwnych skutkach ubocznych...

Madeleine przerwała ten potok wymowy.

- ECT? Poddajecie moją matkę wstrząsom elektrycznym? Doktor Jenkins spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Myślałem, że pani o tym wie. Pani Ollenbach stanęła tuż za nimi.

- Nie mogłam pani złapać - oświadczyła defensywnym tonem. - Toteż zatelefonowałam do pani ojca. Pan Frank autoryzował tę kurację.

- Nie wierzę własnym uszom! - powiedziała z gniewem Madeleine. - Zawsze można się ze mną skontaktować w przy-

chodni, poza tym bywam tu regularnie dwa razy w tygodniu. Komunikowanie się z moim ojcem powinno być ostatecznością, dobrze pani o tym wie. Po co poddajecie matkę elektrowstrząsom? Ona już zażywa tyle leków, że można by nimi zabić konia.

Doktor Jenkins uniósł rękę w geście obrony. Była w łupkach i zabandażowana.

- Madeleine, to doskonale sprawdzona kuracja w leczeniu starszej depresji - oznajmił obrażonym tonem. - Według mnie pani matka tylko na tym skorzysta, a tego samego zdania jest psychiatra.

- A ja nadal utrzymuję, że w obecnych czasach jest to ostatnia deska ratunku - odezwała się Madeleine, usiłując stonować poprzednią wypowiedź. - Moja matka nie jest taka stara i nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych. Normalnie je i rozmawia. A poza tym - zwróciła się do pani Ollenbach -wspomniała, że posłaliście do niej nowego lekarza.

Zapadła cisza.

- Och, tego. - Pani Ollenbach zaśmiała się zakłopotana. -Miałam pani o tym powiedzieć. Jednego ze współpracujących z nami geriatrów zaintrygowało pochodzenie pani matki, więc skontaktował się z doktorem Alvarezem... z Londynu. On właściwie nie jest lekarzem. Specjalizuje się w antropologii psychoanalitycznej, a interesują go zwłaszcza... e... obrzędy plemienne, dziwaczne religie i temu podobne sprawy. Oboje miło sobie pogadali. On mówi w rodzimym języku pani matki...

- Ma pani na myśli hiszpański, prawda? - wtrąciła zimno Madeleine.

Jej rozmówcy popatrzyli po sobie. Madeleine zwróciła się do doktora Jenkinsa:

- Wspomniał mi pan, że elektrowstrząsy mają skutki uboczne. Jakie mianowicie?

Lekarz przybrał dobrotliwą minę pułkownika Sandersa. Można było ulec złudzeniu, że za chwilę w jego ręce ukaże się kartonowe pudełko ze smażonymi udkami.

- Jak by to wyjaśnić? Cóż, przynajmniej depresja ustąpiła.

Dźgnął łokciem swoją współniczkę w zbrodni.

- Pani Frank ma na nas oko, co, Mildred? Kilka dni temu zakomunikowała mi, że złamię sobie mały palec u ręki i, na Boga, nie omyliła się. - Zaśmiała się głośno, wymachując zabandażowaną dłońią. - Godzinę później przytrzasnąłem go sobie drzwiami w samochodzie.

Pani Ollenbach sprawiała wrażenie zakłopotanej. Madeleine zwróciła się do doktora Jenkinsa:

- Proszę natychmiast wstrzymać elektrowstrząsy. Naprawdę, panie doktorze, nie wierzę, że jest to odpowiednia kuracja dla mojej matki.

- Pani Frank życzy sobie subskrypcji jakiegoś kubańskiego pisma - wtrąciła pośpiesznie pani Ollenbach. - Wynałazłam ten tytuł w Internecie.

- Niech ma, czegokolwiek sobie życzy. Pani Ollenbach, proszę obciążyć tym konto mojego ojca.

Madeleine na tym zakończyła rozmowę. Oddała plakietkę, podpisała się na liście odwiedzających i szybko ruszyła do drzwi wyjściowych. W drodze na parking drżała z powodu chłodnego wiatru. Terapia za pomocą elektrowstrząsów! Biedna mama. Nic dziwnego, że wydawała się taka dziwna. Na szczęście chyba o tym nie pamięta. Takie potężne wyładowanie w komórkach mózgowych może spowodować utratę pamięci krótkotrwałej. Ale zaraz, o czym gadał ten pułkownik Sanders?

Przystanąła, rozglądając się na parkingu za swoim mercedesem. Gdzie o tym ostatnio czytała? Och tak, w bibliotece, artykuł w „Psychology Today”. Była tam mowa o wzmożonej percepcji wskutek elektrycznej stymulacji mózgu. A co będzie, jeśli kuracja pobudziła jakieś głęboko uśpione elementy w umyśle matki? Jej reakcja na broszkę... opinia na temat nowego pensjonariusza... palec doktora Jenkinsa. No i te dziwne rzeczy, przed którymi ją przestrzegala. Pożar? Rozkładające się ciało?

Wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę powrotną, jej dłonie lekko drżały na kierownicy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Była chłodna sobota, połowa kwietnia. Madeleine wstała z łóżka z poczuciem klaustrofobii w swoich czterech ścianach. Zeszła na dół, zadała sobie trud, żeby uruchomić elektryczną maszynkę do kawy, po czym czekała z niecierpliwością, aż bulgotanie umilknie.

Wróciła do sypialni z kubkiem w ręce, boleśnie świadoma swojej samotności, i poczęła zadawać sobie pytania: Czy tęsknię za Gordonem? Ile to już minęło - trzy tygodnie... cztery? Od czasu jego dziwnego wybuchu w ogródku pubu „Horse and Cart” nie miała z nim żadnego kontaktu. Parę razy omal do niego nie zatelefonowała, by spytać, dlaczego fakt zerwania z nim, zwłaszcza w takich okolicznościach, potraktował niczym występek. Zastanawiała się, czy miała prawo z takim gniewem zareagować na jego wady, szemrany czar, nieuczciwość. Zgoda, miał wiele przywar, ale czy nie równoważyły ich przymioty? Był wspaniałym, wyzbytym egoizmem kochankiem, zawsze wykazywał zainteresowanie jej opiniami, słuchał, co miała mu do powiedzenia, bawił ją do łez. Jego zawód nieustannie ją fascynował, a z kolei on był wciąż ciekaw jej obrazów poświęconych mrówkom. No cóż, jeśli chciałyby go odzyskać, musiałyby zgodzić się na rolę starszej matrony w jego haremie dziewczątek. Nie, za nic w świecie!

Usiłowała przekonać siebie, że powodem jej rozdygotania nie jest seksualna frustracja, lecz wołający o pomstę do nieba brak ruchu. No cóż, jedno można uleczyć za pomocą drugiego. Wstała i wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Niebo zachmurzone, ale nie padało. Na ulicach było pusto i niezwykle cicho.

Wzięła do ręki słuchawkę i wybrała numer Patricii.

- Nie ma szans - odpowiedział jej mąż. - Patricia bierze prysznic i z pewnością nie pójdzie z tobą pobiegać. Teściowie przychodzą na obiad.

Stojąc w oknie i nie mogąc podjąć decyzji, Madeleine dostrzegła lisa, który nonszalancko przechadzał się chodnikiem po drugiej stronie ulicy. W ciągu kilku minionych nocy słyszała ich niepokojące nawoływania w poszukiwaniu partnerki. Zwierzę skradało się w stronę zarośli jakieś pięćdziesiąt metrów powyżej. Był to niewielki skrawek natury otoczony domami, idealne miejsce do wykopania nory. Nagle lis zamarł i uskoczył w bok. Madeleine powiodła wzrokiem w tym kierunku i ujrzała, co go tak przestraszyło.

Jakieś piętnaście metrów wyżej stał mężczyzna, wsparty o kamienny murek przy domu należącym do starszej pary samotników. Z tej odległości nie mogła dojrzeć jego rysów, ale zauważyła, że patrzy wprost na jej dom. Cofnąwszy się od okna, obserwowała go przez dobrą minutę i doszła do wniosku, że utkwiał wzrok w jej drzwiach wejściowych. Kim, do cholery, jest

i dlaczego gapi się na te drzwi? Przyszło jej na myśl, że może jest na nich coś intrygującego, na przykład jakiś wandal przybił do nich zdechłego szczura albo namalował czerwonym sprejem napis „Jankesi do domu”. A może jakiś pomyleniec ma predylekcję do drzwi, i nie ma to nic wspólnego z nią.

Przebrała się w dres, włożyła adidasy i wyszła z domu. Kiedy obcy zauważył, że wychodzi, wyprostował się, rzucił niedokończonego papierosa i na chwilę znieruchomiał, jakby oczekując, że coś się wydarzy. Na oko miał około czterdziestu lat, był szatynem o wystających kościach policzkowych, wyglądał na człowieka ze wschodniej Europy.

Zatrzasnęła drzwi, celowo szarpiąc klamką, jakby na dowód, że są zamknięte, i skręciła w stronę kanału. Po paru sekundach się odwróciła. Ujrzała, że obcy szybko oddala się w przeciwnym kierunku. A zatem nie czekał, aż wyjdzie, żeby włamać się do jej domu. A, do diabła z tym - pomyślała i ruszyła truchtem. Kilka minut później była już na ścieżce wzdłuż kanału.

Rzeka Avon jest żeglowna od ujścia aż do samego centrum Bath. W śródmieściu łączy się z kanałem. Ten odwieczny, zbudowany rękami ludzkimi szlak służy połączeniom z Bristollem w kierunku zachodnim i Londynem na wschodzie. Kiedyś tą ścieżką konie pociągowe ciągnęły barki z transportem węgla i innych towarów. Jednakże kanał utracił swą dawną funkcję i teraz cieszy pięknem natury.

Madeleine często nakładała drogi do pracy, żeby tamtędy przejść. Dobrze знаła skomplikowany system śluz i stacji pomp. W ciągu siedmiu lat, jakie minęły od jej przeprowadzki do Bath, setki razy patrzyła, jak woda w komorach śluzowych wzbiera i opada dzięki mechanizmowi uruchomianemu przez użytkowników barek. Przypominało jej to proces schnięcia farby na obrazie, bo wszystko odbywało się nadzwyczaj powoli. Jednakże obserwowanie, jak długie i wąskie łodzie wznoszą się, a następnie opadają do pustej komory, było rodzajem medytacji, która działała kojąco na umysł opanowany niekiedy czarnymi myślami.

Poranna mgła ciągle unosiła się nad ziemią, trawa była mokra od rosy. Wysokie topole, dęby, jesiony i wierzby płaczące tworzyły zielone sklepienie nad lustrem wody. Madeleine bez większego przekonania przyspieszyła kroku. Na ścieżce nie było żywej duszy prócz mężczyzny z dwoma mokrymi labradorami, zmierzającego w przeciwnym kierunku. Psy biegły zygzakiem z nosem przy ziemi, pochłonięte jakimś zapachem.

W trakcie biegu Madeleine powtarzała w myślach nazwy mijanych śluz: Abbey View, Pulteney, Bath Top. Przyrzekła

sobie, że po tej ostatniej zawróci, ale, rozochociona, postanowiła dobiec aż do granicy Bathampton, miasteczka oddalonego od Bath jakieś pół godziny. Ponieważ od wielu tygodni nie robiła porządnych ćwiczeń fizycznych, uznała, że przyda jej się dłuższy bieg.

W drodze powrotnej poczuła w mięśniach nóg mrowienie, więc zwolniła tempo. Złamanie w czasie tamtego huraganu dobrze się zrosło, ale ból złamanego serca stale odzywał się echem. Zachowana w jego głębi pamięć o Angelinie i bolesna świadomość o stracie męża powracała bezustannie.

Zbliżając się do domu, minęła miejsce, w którym jej matka klęczała kiedyś w błocie, zanosząc błagalne prośby. Madeleine uzmysłowiła sobie, że choć była wtedy taka młoda, powinna była pojąć, że Rosaria znajduje się na skraju obłądła.

Chmury nad Bath były czarne i ciężkie, siąpił z nich deszcz. Jej koszmarne brzydkie buciki, część szkolnego mundurka, chlupały w błocie. Prócz kobiety idącej za nią krok w krok ścieżka nad kanałem była wyludniona.

- Przestań mnie ścigać! - krzyknęła przez ramię, gorzko żałując słów prawdy, które wyrębała podczas śniadania.

Rosaria zrównała się z nią i chwyciła za ramię, zmuszając do zatrzymania się.

- Popatrz mi w oczy, Magdaleno. Kim jest ten chłopak?

- Miejscowy. Stamtąd. Poławiacz krewetek.

- Poławiacz z Key West? Dziecko moje, dlaczego tak długo czekałaś, żeby mi to powiedzieć? - Potrząsnęła rękę córki. - Czy znam tego człowieka? Jak się nazywa?

- Forrest. Nie, nigdy go nie spotkałaś. Mamo, wracaj do domu. Zmokniesz, a ja spóźnię się do szkoły.

- Nie, musimy porozmawiać teraz.

Madeleine wyrwała ręce i cofając się, omal nie przewróciła się na stercie liści. W niektórych miejscach ścieżka była bardzo wąska, a woda w kanale mętna i zimna. Mama ciągle wisiała psychicznie na niej, i to z taką natarczywością, że Madeleine zaczynała się tego obawiać. To się stawało coraz dokuczliw-

sze, zwłaszcza od czasu ich przeprowadzki do Anglii. Biedna mama, taka zagubiona, taka niespokojna. Stała się wręcz zależna od córki. A teraz jeszcze i to.

- Proszę, nie mów papie. - Madeleine chwyciła kosmyk kruczoczarnych matczynych włosów, przesuając po nim palcami. - Słuchaj, byłam szaleńczo zakochana w tym człowieku i któregoś razu... no, na nic nie zważałam. A teraz kompletnie nie wiem, co robić. To jest czysta *locum*, prawda, mamó? Szaleństwo.

- Tak, ale...

- Chyba możesz coś zrobić? - Madeleine uderzyła w błagalny ton. - Esperanza dawała coś tym kobietom na wyspie, prawda?

Rosaria odrzuciła włosy na kark, jej ciemne oczy płonęły.

- Nic mi nie wiadomo o takich sprawach.

Kołnier szarego palta uwierał ją w szyję. Rosaria nigdy przedtem nie nosiła wierzchniego okrycia, czuła się w nim obco. Jej egzotyczna uroda i kolorowe suknie były nie do pogodzenia w tym mieście, którego mieszkańcy byli bladzi, modnie ubrani i cedzili słówka ze snobistycznym akcentem.

- No, skoro nie możesz mi pomóc, pójdę do lekarza. Już rozmawiałam na ten temat ze szkolną pielęgniarką. Mam zaledwie piętnaście lat, nie jestem gotowa na dziecko. A poławiacz krewetek pojechał do Indii, więc nie mogę go nawet zawiadomić. Zresztą on jest na mnie wściekły, bo skłamałam na temat mojego wieku, więc wątpię, czy chciałby w ogóle się o tym dowiedzieć.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, Rosaria podążała za nią. Minęły jedną śluzę, potem następną. Wszędzie były przycumowane barki. Wydawało się, że ludzie mieszkają na nich przez okrągły rok. Na dachach zgromadzili mnóstwo rzeczy - rowery, drewno na opał, rośliny doniczkowe, a z kominów unosił się dym. Madeleine lubiła tę drogę do szkoły z prostego powodu: to miejsce przypominało jej Houseboat Row w Key West i tamtejszych mieszkańców żyjących na wodzie.

Z tą tylko różnicą, że w Bath nie było morza, za którego zapachem i odgłosem bardzo tęskniła.

Rosaria ponownie usiłowała ją zatrzymać, chwytając za rękę.

- Jeśli już musisz za mną iść, to przynajmniej nie zmuszaj mnie do przystawiania! - krzyknęła Madeleine, wyrывая się matce.

Usłyszał ją młody mężczyzna, łowiący ryby na zakręcie kanału. Madeleine zaczerwieniła się i przyspieszyła kroku. Po raz pierwszy w życiu matka narobiła jej wstydu. Już przedtem dostrzegła, że mieszkańcy Bath czuli się niezręcznie w obecności tej obcej kobiety, a Madeleine nieraz prosiła, by mama nie wspominała im, że jest santerą. Czym innym było uprawianie czarów w Key West, gdzie mnóstwo Kubańczyków praktykowało tę wiarę, a czym innym rozprawianie o nich w Anglii, gdzie ludzie mieli ją za wariatkę. Nawet papa zmienił zdanie. Kiedyś powtarzał, że zawdzięcza swą sławę ofierze złożonej z kozła (ludzie wtedy zawsze wybuchali nerwowym śmiechem, co mu się bardzo podobało), ale teraz nie życzył sobie, aby żona wróżyła z muszli, i wręcz zakazał jej uczenia Madeleine „tych głupstw”. Biedna mama, ojciec był zbyt zajęty sobą, żeby zwracać na nią uwagę, właśnie teraz, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Stale przebywał w Londynie, żeby spotkać się ze swym agentem (naprawdę?) albo odwiedzać galerie, które mogłyby sprzedawać jego obrazy. Madeleine planowała w tajemnicy powrót do Key West i usiłowała przekonać matkę, żeby wróciły tam razem. Obie nie pasowały tutaj, nigdy nie poczują się tu jak w domu.

Szła coraz szybciej, a Rosaria tuż za nią.

- Posłuchaj mnie, *hijita*. Zabicie płodu jest grzechem. To morderstwo.

Nie zwalnając kroku, Madeleine zatkała sobie uszy do bólu, zacisnęła dłonie w wełnianych rękawiczkach.

- Przestań. Nie chcę tego słyszeć.

- Nie możesz, ot tak sobie, wybierać między życiem i śmiercią.

Madeleine przystanęła nagle i obróciła się twarzą do matki.

- Zaledwie rok temu pomogłaś jednej ze swoich koleżanek z Hawany. Zaprowadziłaś ją do Esperanzy na aborcję. Przypadkiem słyszałam waszą rozmowę.

- To była inna sprawa - odparła Rosaria z twarzą pociemniałą od gniewu. - Jesteś za młoda, żeby zrozumieć.

- Och, rozumiem doskonale. Jesteś hipokrytką. Czy wiesz, mamó, co to słowo oznacza?

Rosaria utkwiała w niej wzrok, po czym padła na kolana.

- Przestań. Nie zachowuj się jak wariatka. - Madeleine zrobiła krok do przodu, po czym rozejrzała się wokół. W ten deszczowy poranek ścieżka była kompletnie pusta. - No, mamó, wstawaj. Przepraszam. Nie chciałam tak powiedzieć. Wiem, że pragnęłaś tylko pomóc ludziom.

- To nasze dziecko, Magdaleno - łkała matka. - Nie możemy go zabić.

Tego było już za wiele. Madeleine odskoczyła od matki i ruszyła biegiem przed siebie. Torba boleśnie obijała się jej o uda, poły palta rozwiewał wiatr. Przed ostatnim zakrętem kanału ogarnęło ją takie poczucie winy, że stanęła raptownie i zawróciła. Matka ciągle klęczała w błocie, z włosami okrywającymi ją niczym opończa, ze splecionymi dłońmi, z głową odchylną do tyłu. Ten obraz zrozpaczonej, pogrążonej w żalu rodzicielki wyrył się w jej mózgu na zawsze. Madeleine zdała sobie sprawę, że tym samym jej los został przypieczętowany.

Niespodziewana ulewa zmoczyła ją od stóp do głów, ale było dość ciepło, a ona rozgrzana biegiem. Zwolniła na chwilę, widząc kaczkę z bodaj szóstką świeżo wylęgniętych piskląt. Były ledwie kłębuszkami żółtego puchu, niemniej poruszały się na wodzie ze zdumiewającą szybkością. Minęła też łabędzia, którego poznała po czarnej plamce na spodzie szyi. Im bardziej zbliżała się do Bath, tym więcej pojawiało się łodzi przycumowanych do brzegu kanału. Niektóre z nich sprawiały wrażenie opuszczonych, ale inne były zamieszkane przez

ekscentryków, którzy postanowili zajmować je przez okrągły rok. Dostrzegła też rodzinę, która postanowiła już teraz zacząć wakacje na wodzie. Gdy zbliżała się do domu, ruch uliczny wyraźnie się nasilał. Wszystko zdawało się być w porządku, dziwny człowiek zniknął z jej pola widzenia, a do domu nikt się nie włamał.

Środa, jej dzień malowania, stanowiła w połowie tygodnia wyczekiwaną przerwę od problemów znękanymi, trudnymi ludźmi. Mając na głowie matkę, Edmunda Furie, pacjentów i kilkoro przyjaciół, Madeleine potrzebowała czasu i dyscypliny, by sprostać swoim pracom plastycznym. W młodości zajmowała się wyłącznie malarstwem i miała nadzieję, że kiedyś do niego wróci i nie będzie się już zajmowała niczym innym.

Jednakże dziwny niepokój, jaki ogarnął ją w zeszłym tygodniu, przeszkadzał jej w niezbędnym skupieniu. Kręciła się po domu i zajmowała nieistotnymi drobiazgami. Choć minęła druga po południu, to jeszcze nie zasiadła do pracy przy sztalugach. Kiedy wreszcie była w drodze do pracowni, zadzwonił telefon. Zawahała się, niemniej postanowiła podnieść słuchawkę.

- Madeleine Frank - odezwała się zmęczonym tonem.

- Hej, Madeleine, tu Rob Reese z Rookwood. Przepraszam, że ci zawracam głowę w domu. Próbowałem cię złapać w przychodni, ale twoja recepcjonistka oznajmiła, że środy poświęcasz na malowanie.

- To racja - odparła Madeleine. - W charakterze terapeutki pracuję tylko na pół etatu.

- Co malujesz? Swój dom?

- Mrówki.

Na moment zapadła cisza.

- Malujesz mrówki? W jaki sposób?

- Mniejsza o to. - Roześmiała się. - O co chodzi, Rob? Rob był nowym sekretarzem naczelnika więzienia. Sam

urok w porównaniu ze zgryźliwą i pozbawioną poczucia humoru poprzedniczką.

- Chciałem cię tylko powiadomić, żebyś sobie zaplanowała jakieś inne zajęcia na najbliższy piątek. Edmund przebywa w izbie chorych i wątpię, by szybko go stamtąd wypuścili.

- Dlaczego? Co się stało?

- Zachorował, więc go przeniesiono. Dokładnie nie wiadomo, co mu dolega, ale nie udaje. Ciężki przypadek biegunki i wymiotów. Bez ustanku. Do tego stał się okropnie nerwowym... wiesz, o czym mówię. Trzeba mu było podać leki uspokajające.

- Och, nie! Biedak - powiedziała Madeleine z autentycznym współczuciem. Przypomniała sobie, jak często podobne środki wmuszano jej matce przy jakimś rozstroju nerwowym.

- Biedak? - zdziwił się Rob. - Pomyśl tylko o pielęgniarzach.

Zaśmiała się, usiłując pokryć zażenowanie.

- Tak, masz rację. Jednak jeśli będziesz miał okazję, przekaż, że życzę mu rychłej poprawy zdrowia, i zapewnij, że wybieram się do niego w następny piątek.

- Jasne - i po chwili dodał: - Czy to oznacza, że będziesz wolna w piątek wieczorem?

Madeleine odpowiedziała z rozbawieniem.

- Najlepiej nie mieszać obowiązków z przyjemnością, niemniej miło mi, Rob, że zapytałeś.

- A może zmienisz decyzję...

Pożegnała się z nim i wchodząc na schody, lekko się uśmiechnęła. Tak, to miło, że została zaproszona na randkę. Jednakże szybko jej myśli zwróciły się ku biednemu Edmundowi przywiązанemu do łóżka. Kiedy odwiedziła go w ubiegły piątek, rzeczywiście wyglądał nie najlepiej. Był blady, osłabiony. Zdawał się jej nie słuchać i w ogóle nie był sobą, twardzielem o bezwzględnym spojrzeniu.

Jednak od razu spostrzegł brak broszki w klapie jej żakietu i zapytał stanowczym tonem, dlaczego jej nie nosi. Madeleine już zdołała do niej przywyknąć, a Edmund robił wraże-

nie rozradowanego, kiedy ją miała. Powiedziała mu więc, że ukryła broszkę na dnie torby, ponieważ bardzo źle zareagowała na nią jej matka.

Broszka... Zawróciła i zeszła do kuchni, gdzie na blacie leżała jej duża torba. Przekopała przepaściste wnętrze, ale nie natrafiła na upominek od Edmunda. Przypomniała sobie, że straciła ją z oczu po scysji z Rosarią, czyli tydzień temu. Cholera! Obróciła torbę do góry dnem i wysypała zawartość. Na blacie wylądowało mnóstwo drobiazgów i śmieci, włącznie z okruciami, zlepionymi drażetkami na ból gardła, patyczkami i kamykami zbieranymi dla mrówek. Jeszcze raz przebrała palcami ten śmietnik. Była pewna, że broszka musi tam być, ale najwyraźniej jej nie było. Dokładnie pamiętała tę chwilę sprzed tygodnia, kiedy siedziała obok matki w salonie Setton Hall, jej zdumiewający wybuch, wrzucenie broszki do czeluści torby. Najpewniej broszka zahaczyła o rękawiczki lub chusteczkę i wypadła. To było jedyne wyjaśnienie.

Zasmucona, zaczęła wchodzić po schodach, obiecując sobie, że na przyszłość będzie bardziej uważna.

Przez okna w dachu pracowni świeciło słabe kwietniowe słońce. Kiedy Madeleine kupowała ten dom, postanowiła przekształcić strych w miejsce do pracy. Przestrzeni było sporo, ale strop niski. Patrząc w dół, mogła dostrzec jedynie skrawek swojego ogródka na tyłach posesji, ze ścieżką prowadzącą do porośniętego dzikim winem magazynu, w którym wytwarzano meble z drewna sosnowego. Część ogrodu była ogrodzona solidnym murem wzniesionym z kamienia. To osłonięte od wiatru miejsce tętniło życiem. I choć w żaden sposób nie równało się z bujną roślinnością Key West, to Madeleine zadbała, żeby było jego namiastką. Kupiła więc wszystkie możliwe subtropikalne kwiaty, krzewy i drzewa, które mogłyby przetrwać tutejsze zimy. Niektóre sagowce i palmy sprawowały się wyśmienicie, jakby rosły na Florydzie.

Spojrzała na puste płótno rozpięte na blejtramie. Wiosna

często bywała nowym początkiem w jej rozwoju twórczym. Madeleine inicjowała wtedy nowe serie, eksplorowała odmienne punkty widzenia. Teraz postanowiła pożegnać się z cyklem *Jaskinia*. Nie skończyła go - zamierzała namalować jeszcze dwa obrazy z tej serii, jednakże pewien miłośnik mrówek z Chicago, poznany na forum myrmekologicznym w Internecie, zatelefonował do niej, prosząc o zdjęcia, a kiedy je otrzymał, wyraził gotowość kupna wszystkich ośmiu płócien, co było aż niewiarygodne. Musiał być bardzo bogaty. Madeleine zdawała sobie sprawę, że powinna być zachwycona ofertą, która stanowiła równowartość jej wielomiesięcznych honorariów w poradni psychoterapeutycznej. Gdy nadejdzie weekend, przystąpi do pakowania prac. W następną środę zgłosi się po nie firma wysyłkowa i dostarczy do Chicago. Neville będzie niezadowolony, ale musi się zadowolić fotosami. On, jako wielki artysta, uważał, że ma prawo spędzić u Madeleine cały dzień, oceniając każdy obraz z osobna. W towarzystwie Elizabeth pojawiał się w tym celu w Bath jedynie raz do roku. Wówczas przesiadywał w atelier córki wiele godzin, medytując nad życiem jej mrówek, a jego osąd w miarę ubywania z butelki wina Rioja stawał się coraz bardziej mętny. W tym czasie Elizabeth brała Madeleine na lunch suto zakrapiany alkoholem, a następnie na zakupy. Macocha była od niej starsza zaledwie o dziewięć lat i Madeleine dobrze się z nią czuła. Już dawno jej wybaczyła, że skradła Neville'a matce.

Im bardziej starała się odejść od tematu mrówek, tym mniej podobały się jej kolejne pomysły. Czy już wszystko zostało namalowane? Pejzaże były dla niej za nudne, sztuka abstrakcyjna zbyt statyczna. Kiedy mieszkała w Key West, usiłowała zostać portrecistką. Jako córka Neville'a nie miała problemu z otrzymywaniem zamówień, jej modele nie kryli zadowolenia z wyników, jednakże w jej oczach obrazom brakowało witalności. Neville przyklasnął na wieść, że wróciła do swego ulubionego tematu. Społeczeństwo mrówek było żywotne i pełne energii, a jej obrazy dobrze oddawały jego specyfikę. Malowanie ich

było czymś naturalnym, bo już od dzieciństwa mrówki pojawiały się w jej psyche niczym siła witalna.

Przyklękła na rozgrzanej ziemi pod wielkim figowcem. Już zdążyła ubrudzić rąbek sukienki. Kolana ją piekły, a korona z warkoczy opadła na spocone czoło, ale nie zwracała na to uwagi. Zajmowała się obserwacją dwóch robotnic mocujących się z kostką cukru, którą postanowiły zaciągnąć do mrowiska. Kostka była ciężka (mimo że rozbiła ją bucikiem na kawałki) i robotnice spędziły już ponad pół godziny, próbując ją wnieść na stopień obłożony glazurą. Schodki niemal znikwały w gęstwinie liści. Korzenie starego drzewa sprawiały wrażenie zamarzniętych strumieni, które ściekały z nieba i niknęły w glebie. Pień figowca, powykęcany przez czas, był tak szeroki, że obejście go zajmowało dobrą chwilę.

Wysoko w górze, pośród konarów, stary ogrodnik Angelo zbudował dla niej domek. Prowadziły do niego spiralne schodki od podnóża figowca, kończące się na tarasie z ogrodzeniem sporządzonym ze starego olinowania statków. Domek był mały, w sam raz dla dziecka, a jego konstrukcja zajęła ogrodnikowi cały rok. Wszyscy przyjaciele papy mogli tylko marzyć, żeby tam usiąść i z drinkiem w ręce podziwiać widoki. Powtarzali jej, jaka z niej szczęściara. Problem polegał jednak na tym, że mała Madeleine wolała siedzieć na dole, z nosem utkwionym w ziemi. Pod potężnym drzewem rosła gęstwina krzewów walczących między sobą o przestrzeń. A wśród nich żyły istoty, które były jej ulubionymi towarzyszami zabaw.

Obie robotnice próbowały wepchnąć kostkę cukru na prostopadłą ściankę stopnia, ale spadły na kafelek poniżej. Był to straszny upadek. Madeleine starała się to sobie wyobrazić w odniesieniu do własnych rozmiarów i aż jęknęła, myśląc o trzasku łamanych kości i o głowie pękającej niczym skorupka jajka. Zdawała sobie jednak sprawę, że ich ciała funkcjonują w odmienny sposób. Taki upadek mrówek nie zabija, co najwyżej są ogłupiałe, ale nie dają za wygraną. Te otrząsnęły się i ruszyły do kolejnej próby. Już były prawie na szczycie, po

czym znowu odpadły od pionowej ściany. Madeleine ponownie wydała z siebie jęk świadczący o sympatii i bezsilności. Dlaczego te robotnice nie wybrały innej drogi, upierając się przy stopniach? Mogłaby je zachęcić, żeby weszły na podstawiony im liść, a wówczas przeniosłaby je w bezpieczne miejsce. Papa powtarzał jednak, że nie należy się wtrącać w ich życie. Często mawiał, że każdy, nawet mrówka, musi pojąć, że nie istnieje ktoś taki jak Bóg, który rozwiąże jego problemy. Mama natomiast twierdziła, że *orishas* troszczą się o los wszelkiego istnienia na Ziemi. Madeleine miała ledwie siedem lat, ale podejrzewała, że to ojciec ma rację. Tak czy inaczej, mrówki nie potrzebowały pomocy, bo doskonale wiedziały, co robią. Były takie inteligentne i tak dobrze zorganizowane. Budowały mrowiska i ciągnęły do nich pożywienie od osiemdziesięciu milionów lat, czyli na długo przed pojawieniem się pierwszego człowieka.

Nachyliła się nad robotnicami.

- Potraficie to zrobić - mruknęła zachęcająco. - Wiecie, że wam się uda.

W jej małym ciele rosło napięcie. Wstrzymała oddech. Mrówki odpadły od ścianki. Przegrupowały siły. Za czwartym razem spróbowały popchnąć okruch kostki w górę, ustawiając się do niej tyłem. Nagle okazało się, że dobrze ją pochwyciły, i wspinały się na ściankę głowami w dół. Prawie były u celu, gdy z pomocą nadbiegła trzecia robotnica. Madeleine zazgrzytała zębami. Zdawała sobie sprawę, do czego to doprowadzi.

- Nie wtrącaj się, głupia! - krzyknęła, z trudem opanowując pokusę usunięcia intruza z pola walki. Trzecia mrówka nie była świadoma metody wykrytej przez dwie pierwsze i tylko im przeszkadzała. Tymczasem obie bohaterki zdołały wciągnąć na stopień nie tylko swoją zdobycz, ale i beznadziejną towarzyszkę uczeponą kostki. Odniosły zwycięstwo.

Madeleine z radością zaczęła bić im brawo, nieco zbyt głośno, bo po chwili zza krzewów hibiskusa wychyliła się Rosaria z głową w obramowaniu czerwonych kwiatów.

- Magdalena! - zawołała. - Popatrz na siebie. Masz na-

tychmiast stamtąd wyjść i usiąść pod wiatrakiem elektrycznym przy mamie. Na dworze jest za gorąco. *Amorcete*, nie chcę, żebyś siedziała na ziemi. Nie masz pojęcia, co może z niej wyjść i cię ukąsić.

Madeleine nie słuchała. Zauważyła, że nad stopniem zebrała się spora grupa mrówek. Pilnie się temu przypatrywała. Pośrodku zbiegowiska znajdowała się czerwona mrówka, większa od pozostałych. Madeleine nie lubiła tego czerwonego gatunku, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Pewnie z tego powodu, że były takie duże i atakowały bez wahania, ale w takiej sytuacji obca mrówka, okrążona przez czarny motłoch, nie miała najmniejszej szansy. Madeleine patrzyła na rozwój wypadków z fascynacją i lękiem. W zasadzie nie obchodziły ją te czerwone, ale tym razem samotna biedaczka miała przeciw sobie czarne mrowie, które ją oblepiło. Czerwona skurczyła się i zamarła. Czyli zostawiono ją w spokoju. Madeleine przyklękła, próbując ocenić zadane jej rany. Na szóste urodziny papa podarował jej szkło powiększające, które gdzieś znikło. Madeleine odkryła, że mama je sobie przywłaszczyła i położyła na domowym ołtarzyku w swojej sypialni. Teraz by się przydało. Czerwona leżała w nienaturalnej pozycji na boku, śmiesznie zwinięta. Chyba nie umarła. One często tylko udają, bo chcą, żeby zostawić je w spokoju.

Madeleine siadła, słysząc, jak samochód Neville'a zbliża się do podjazdu. Poszłaby go przywitać, gdyby nie ciekawość, czy czerwona ujdzie z życiem i czy czarne nie przystąpią do ponownego ataku. Może ten jeden jedyny raz wtrąci się, oddzieli tamte na tyle, żeby czerwona...

Znowu rozległo się wołanie mamy. Madeleine zatkała uszy niewidzialnymi nausznikami różowego koloru. W ten sposób nie dochodził do niej głos matki, ale ojca słyszała bez żadnych problemów.

- Na miłość boską, Rosario. Dzieciak zajęty jest mrówkami.

Podszedł do niej i popatrzył z góry. Słomkowy kapelusz miał przekrzywiony, w zębach międlił śmierdzące cygaro.

- I co tam, mała?

- Papo, popatrz na tę czerwoną. Myślisz, że nie żyje? Potężnie zbudowany ojciec ukląkł, jego twarz znalazła się na wysokości jej oczu. Otaczał go odór rumu i tytoniu.

- Za ciemno tu. Nie widzę drania bez okularów. Połóżmy go na kartce papieru i zanieśmy do mojej pracowni. Możesz usiąść przy biurku i go narysować. - Poklepał ją po głowie. -W ogóle cię nie widuję, moja dziewczynko. Chętnie pobędę w twoim towarzystwie.

Neville rozumiał jej fascynację - czyż to nie on wzmógł jej zainteresowanie życiem mrocznego podziemia? I z pewnością łechtało to jego próżność, gdy opowiadał, jakim oryginałem jest jego córeczka.

John traktował to jej dziwactwo z profesjonalnym podejściem i wedle jego analizy dziecięca mania pochłaniała ją, gdy burzliwe i niekonwencjonalne życie rodziców stawało się nie do zniesienia. Jej ucieczka do przewidywalnego świata mrówek - utrzymywał John - była sposobem na mistyczne i duchowe wybryki matki oraz stopniowe odsuwanie się ojca od nich obu. Zdaniem Johna, Rosaria była obłąkana od dawien dawna, a Madeleine miała na tyle rozsądku, by się jej bać. Mrówki stały się jej tymczasowym obiektem zainteresowania, tyle że chwilowa pasja przekształciła się w trwałą. Madeleine śmiała się z tych teorii, ale przyznawała w duchu, że jest w nich chyba ziarno prawdy.

Wpatrywała się w puste płótno, lecz była zbyt zaprzątnięta myślami. Nowa seria tematyczna dopiero kołatała jej się po głowie. Tym razem kusila ją królowa matka, tłusta i półprzejrzysta matrona. Była najwyższą istotą w tym społeczeństwie, władczynią absolutną, dysponującą tysiącami niewolników gotowych na każde jej skinienie. Madeleine uważała, że dogłębnie ją zna, ale gdy tylko uniosła węgiel i dotknęła nim płótna, chwila boskiej inspiracji, na którą czekała, nie nastąpiła wskutek jej własnego braku wiary. Nie poczuła ani dreszczu wzdłuż kręgosłupa, ani łaskotania włosów u nasady karku. Po prostu wielkie nic.

W tym momencie totalnej pustki (zawierającej jedynie ros-

nący lęk przed nicością) znowu zadzwonił telefon. Wdzięczna za ten zbieg okoliczności, odłożyła węgiel i zbiegła na dół.

- Madeleine Frank - rzuciła do słuchawki zdyszczanym głosem, z dziwną ulgą wsłuchując się w swoje nazwisko.

- Witaj, Madeleine.

- Gordon! - Zbyt późno spróbowała ukryć zaskoczenie.

- Tak, to ja.

- Czego sobie życzysz?

- Jak się masz?

- Świetnie, w porządku.

- Spotkaj się ze mną na drinku. Chciałbym porozmawiać o brzytwach.

- O czym ty mówisz? Jakich brzytwach?

- Słyszałaś, co powiedziałem. A ponadto stęskniłem się za tobą. Chcę cię zobaczyć.

Madeleine zamilkła na chwilę, wyraźnie zdetonowana.

- Na dawnych warunkach?

- Chodźmy na drinka i pogadajmy.

- Gordon, życie jest zbyt skomplikowane. Daj mi spokój. Odłożyła słuchawkę. Rokowania nie miały sensu. Owszem,

miała słabość do tego mężczyzny, ale czy jej duma nie ucierpiała zbyt mocno? Po co narażać ją na dalsze ciosy? Zerknęła na schody i poczuła, jak ogarnia ją ogromne zmęczenie. Do diabła z królową mrówek. Obróciła się na pięcie, weszła do kuchni i przyrządziła sobie *mango colada*, z naciskiem na dużą ilość rumu. Z drinkiem w ręce zmierzyła wzrokiem bałagan na blacie kuchennym. Zamyśliła się głęboko. Coś było zdecydowanie nie tak w związku ze zniknięciem tej broszki z cyny. Oczami wyobraźni ujrzała Edmunda cierpiącego na dyzenterię, wyczerpanego wymiotami, przywiązanego do łóżka, w jękach i krzykach wywracającego oczami. Po chwili zobaczyła matkę przy ołtarzyku zastawionym siedmioma szklankami wody, siedmioma świętymi kamieniami i siedmioma cygarami.

Och, nie, mamó! Czy ona byłaby zdolna...?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rachel oparła się o płot, czekając, aż Sasza wyjdzie ze szkoły. Co kilka minut rozglądała się wokół. W Bath czuła się w miarę bezpiecznie, ale czujność była jej nawykiem trudnym do wyplenia. W porównaniu z realiami Londynu Bath było niczym raj, niemniej jeszcze w szkółce niedzielnej wieki temu uczono, że nawet w rajach bywają węże. Codziennie groziło im dwojgu, że Anton podstępnie wślizgnie się do ich bezpiecznej przystani. Z dreszczem trwogi przypominała sobie, jak pojawiał się w szkole Sasza w Londynie, domagając się, że weźmie go do siebie na noc lub na cały weekend, i kłócąc z nią w obecności innych rodziców.

Słyszając pierwsze odgłosy wrzawy zapowiadającej koniec lekcji i wybiegnięcie lawiny dzieci, Rachel wrzuciła peta do studzienki ściekowej. Energia dzieci znacząco wzrosła od paru dni, czyli od wyraźnego ocieplenia zwiastującego wiosnę. Były szybkie jak owieczki, które marzą o wyjściu na swobodę. Nagle powietrze zapełniło się ich głosami, śmiechem, krzykiem, wrzaskiem. W ciągu kilku chwil zza rogu wyskoczył Sasza i kręcąc się jak fryga, dopadł do jej nóg. Był ślicznym chłopcem, wyróżniającym się spośród pozostałych ciemnymi włosami, zielonymi oczami i delikatnymi rysami. Miał też inny głos. Nabrał akcentu Antona, co świadczyło, do jakiego stopnia był uzależniony od ojca.

Matka i syn ruszyli w trwającą dziesięć minut drogę do domu, jak zwykle przez park. Rachel usiadła na trawie obok placu zabaw i zapaliła kolejnego papierosa, a Sasza podbiegł do huśtawki. Znała ten park od najwcześniejszego dzieciństwa, nic więc dziwnego, że w jej pamięci pojawiały się dawne sceny, z tą jednak różnicą, że Dottie, jej mama, nigdy nie siadała na trawniku. Siadała na ławce i robiąc na drutach, rzucała baczne spojrzenie na Rachel, w razie gdyby upadła lub stało jej się coś złego. Ani Rachel, ani Sasza nie znali pól, wzgórz, plaż, gdzie można było spacerować w nieskończoność. Rachel jako dziecko nie miała pojęcia o naturze. Owszem, od czasu do czasu odbywała z rodzicami nieliczne wycieczki, jej starzy trzymali w Portishead przyczepę kempingową, lecz Dottie była jedną z tych strachliwych matek, które uważały, że dzieci nie powinny zbyt się oddalać, a przyrodę należy poznawać za pomocą programów telewizyjnych. Mawiała, że kanapa przed telewizorem jest najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Rachel zdawała sobie sprawę, że ona podobnie postępuje z Saszą. Jednakże w jego świecie istniało prawdziwe zagrożenie, zła wola...

Obserwując, jak wznosi się na huśtawce, dostrzegła, że wypadło mu coś z kieszeni. Malec zauważył z kolei, że matka to odnotowała, i dziwnie na to zareagował. Usiłował zeskoczyć z huśtawki i odzyskać zgubę. Rachel zerwała się na równe nogi i podbiegła, żeby go powstrzymać.

- Dzieciaku, odbiło ci? - krzyknęła. - Mogłeś się zabić. Podniosła przedmiot, który wypadł mu z kieszeni, i na jego

widok wstrzymała oddech. Była to mała ramka do fotografii, ozdobiona wielobarwnymi paskami plastiku, z czymś zdjęciem przyklejonym do kartonu.

- Co to jest, Sasza? - zapytała, zatrzymując huśtawkę.

- Myśmy to robili na zajęciach z robótek ręcznych - odparł, nie patrząc jej w oczy.

- Świetne. Naprawdę doskonale. Sam to zrobiłeś?

- No. Zajęło mi to mnóstwo czasu.

- Skąd wzięłeś to zdjęcie?

Sasza spojrzał na nią wyzywająco.

- Tata mi je dał.

- Tak? - zareagowała Rachel z wyraźnym zdenerwowaniem. - Kiedy to było?

- Nie pamiętam.

- Przecież nie widzieliśmy się z tatą, odkąd wyprowadziliśmy się z Londynu... prawda?

Sasza oparł się plecami o jej nogi (czyżby w celu uniknięcia jej wzroku?).

- Pani Bailey mówiła nam, że do wyrobu kielbas używa się całych krów. Czy myślisz, że wrzuca się tam krowie oczy, tyłki, flaki i całą resztę?

- Taa, tak sędzę - odparła zatopiona w myślach. - Sasza, wracaj na huśtawkę, pobaw się jeszcze trochę.

Chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej, lecz nie znosiła go przesłuchiwać. Od ich ucieczki do Bath minęły trzy miesiące. Rachel czuła się winna, że pozbawia dziecka towarzystwa ojca, ale uważała, że to dla jego dobra. Mały widział już zbyt wiele, został wprowadzony w kłamstwa i sekrety. Anton zawsze starał się zapewnić sobie lojalność Saszy, wmawiając mu, że między ojcem i synem istnieje szczególna więź, której nie należy dzielić z matką, z kobietą. Musiał nauczyć dzieciaka, żeby trzymał gębę na kłódkę, i z pewnością nakazał mu ukrycie tego zdjęcia, żeby mama się nie dowiedziała, bo nie znosi wujka Uriego.

Odeszła od huśtawki i położyła się na trawniku, bacznie przypatrując się fotografii. Przedstawiała Saszę siedzącego na kanapie między Antonem i jego bratem, nie wiadomo w czym mieszkaniu. Już sam widok chłopca tuż obok Uriego okropnie ją zdenerwował. Jeśli Anton był niebezpieczny, to Uri należał do rasy zabójców. Nienawidząc kobiet, wykorzystywał je bez litości. Anton chwalił się, że jego brat jest mózgiem w ich biznesie. I choć Uri był od niego młodszy o blisko dziesięć lat, Anton bił przed nim czołem. Miał go za geniusza, który błyskawicznie wykorzysta każdą nadarzającą się okazję i umie przekupić gliniarzy. Cechą wspólną ich obu była zimna bez

względność, ale poza tym nie byli do siebie podobni. Anton był przystojnym, potężnie zbudowanym zielonookim szatynem o jasnej karnacji, Uri natomiast krępy, niskim, jasnowłosym i niebieskookim zamkniętym w sobie facetem. Lubił podporządkowywać sobie dziewczęta, zwłaszcza te przestraszone i nieśmiałe, takie, które nie do końca zdawały sobie sprawę, do jakiej pracy je wysłano. Świetnie sobie radził z drażliwymi pannami i chlubił się, że bardzo szybko przeistacza je w słodkie i powolne jego woli dziwki o pustym spojrzeniu. Czerpał przyjemność z zadawania im bólu. Jednakże kilka razy posunął się w ich dyscyplinowaniu za daleko.

Nigdy sobie tego nie wybaczy, że, kierowana strachem, bywała biernym świadkiem takich scen. Do tego się wszystko sprowadza: była tchórzem i zawsze nim będzie.

Obsłużwszy tego wieczoru dziewięciu klientów, padła na łóżko o wpół do czwartej w nocy, zadowolona, że Anton do niej nie dołączył. Oboje zamieszkali na jakiś czas w domu Uriego w Camden. Nienawidziła każdej spędzonej tam minuty. Anton siedział w kuchni w towarzystwie dwóch rosyjskich kumpli. Przyjechali przed tygodniem, przywożąc ze sobą dwie dziewczyny. Głośno rozmawiali, wyraźnie czymś podekscytowani. Ci Ruscy byli ostrymi pijakami - lubili czystą wódkę, gdy tymczasem Uri pił na ogół piwo, a Anton wolał kokainę. Wciągał nosem mnóstwo forsy, zarobionej dla niego przez Rachel. Zapadając w niespokojny sen, ciągle słyszała, jak rechocze, coraz bardziej pijany rosyjską wódką.

Nieco później zbudził ją hałas dochodzący z pokoju na górze, jakby krzesło przewróciło się z hukiem. Zaraz potem słaby, rytmiczny jęk. I dziewczęcy głos, piskliwy, o przenikliwym brzmieniu, błagający o coś. Rozpoznała ten głos. Należał do jednej z Rosjanek, pożałowania godnej istoty, wyglądającej na niespełna szesnaście lat. Może byłaby ładna, gdyby nie lilipuci wzrost, chudość i niezdrowa barwa skóry. Anton zdążył już zauważyć, że dla takiej szkoda nawet powietrza. Poza tym dziewczyna była przerażona wszystkim i nie знаła ani słowa po angielsku. Rachel było jej żal, ale nic nie mogła dla niej zrobić, prócz tego, żeby skłonić ją do jedzenia. Druga z dziewcząt była rośla i dojrzała, duża dziewczucha z cynamonem i szerokim tyłkiem, unikająca wzroku innych.

Przyjechała do Anglii z własnej woli, tyle że okłamano ją, ile lat musi pracować, żeby wykupić swój paszport. Gdy się tu znalazła, już nie mogła zmienić zdania. Z miejsca wysłano ją do Birmingham, gdzie zaczęła niewolniczą pracę.

Rachel usłyszała teraz, jak Uri mówi coś po cichu tonem niewróżącym niczego dobrego. Trudno było odgadnąć, czy próbował, na ile może sobie pozwolić z dziewczyną. Zaraz potem rozległ się odgłos bicia. W odróżnieniu od Antona, który wpadał w niepohamowaną złość, Uri nie tracił zimnej krwi, był metodyczny. Gdy milkły razy, wzmagął się rozpaczliwy płacz ofiary. Może Uri źle postępował, nie okazując cierpliwości. Przypuszczalnie więcej by osiągnął łagodną perswazją.

Coś jeszcze spadło z hukiem na podłogę. Dom był wiktoriańskim w stylu szeregowcem na końcu ulicy i miał grube mury, ale przez ściany działowe sporo było słychać. Rosjanie na dole mieli to gdzieś, już dostali kasę za dziewczynę. Sąsiedni dom był podzielony na kilkanaście klitek, ich lokatorzy często się zmieniali i nie obchodziło ich, co się dzieje obok. Mimo to Uri był lekkomyślny, podejmował ryzyko, co raczej nie było podobne do niego.

Dlaczego ta głupia dziewczyna po prostu mu się nie podda? Nie sposób było słuchać jej męki, oczekując... co będzie dalej. Ale ból był kwestią relatywną, nawet Rachel zdawała sobie z tego sprawę. Sama musiała nieraz oberwać, żeby ruszyła z powrotem do pracy na ulicę.

Nagle rozległ się rozziewający krzyk. Po paru sekundach ktoś szybko wbiegł na schody, ale zamarł na progu pokoju. Zaraz potem kilka głuchych dźwięków, następny rozpaczliwy wrzask... wreszcie cisza.

Rachel zerwała się z łóżka i przytknęła ucho do ściany. Nic więcej nie usłyszała. Wróciła więc pod kołdrę, ale ten krzyk ciągle kołował w jej głowie. Po dwóch bezsennych godzinach,

tuż przed świtem, usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi kuchenne. Wstała i przez szparę w zasłonach usiłowała dojrzeć, co się dzieje. Zobaczyła zarysy wysokiej sylwetki Antona i przysadzistej Uriego. Obaj dźwigali jakiś duży pakunek, taszcząc go w głąb ogrodu. Rachel z bijącym sercem odskoczyła od okna. Była przekonana, że Uri ją zauważył, co oznacza, że i ją zabije.

- Mamo, weźmy Napoleona! - krzyknął Sasza z huśtawki, przerywając ciąg jej ponurych wspomnień.

- On jest zbyt rozhukany. Musiałbyś go najpierw wytresować - odkrzyknęła, wkładając zdjęcie do torebki. Na skutek kłębiących się myśli poczuła w sobie rosnący niepokój. Lepiej przebywać w czterech ścianach. Jednakże chłopiec potrzebuje ruchu i zabawy na wolnym powietrzu, nawet wytarzania się w błocie...

- Chodź, kochanie, pójdziemy do domu na herbatę. Wiesz, że on nie lubi być sam. Będzie stał przy drzwiach, machał ogonem i drapał, aż uszkodzi sobie pazury.

To podziałało. Jak zawsze. Kupno Napoleona było bardzo dobrym posunięciem. Dzięki zwierzęciu Sasza stopniowo czuł się coraz bardziej u siebie.

Osiedle powojennych domów wzniesiono na wzgórzu nad Bath. Mieszkali tam ludzie różnego autoramentu. Starzy mieszkańcy byli skromni, z niewielkimi potrzebami. Żyli tu od dziesiątków lat, kupili domy jeszcze w trakcie budowy i dawno temu spłacili kredyty. Część tych nieruchomości sprzedano, a nabywcy z myślą o młodych lokatorach podzielili je na osobne mieszkania i kawalerki. Z kolei ci nowi też różnili się między sobą. Część z nich była bezrobotna i nie mogła nawet marzyć o lepszych warunkach, natomiast studenci liczyli na lepsze miejsce do życia. Niżej na wzgórzu znajdowały się starsze i dużo bardziej urokliwe domki, które przejęli absolwenci wyższych uczelni - specjaliści w intratnych zawodach, doceniając ich świetną lokalizację i wiktoriański czar. Na wąskich uliczkach rywalizowały ze sobą o wolne miejsce najnowsze kabriolety ze staroświeckimi autami, od dawna nie na chodzie.

Wedle agentów nieruchomości dom Rachel należał do tej lepszej klasy, ale w istocie był szeregowcem, ani zbyt starym, ani zbyt nowym, i na dodatek paskudnym. Ta grupa domów miała jednak kilka atutów, jak

własne garaże, no i znajdowała się wysoko nad miastem, skąd roztaczał się wspaniały widok na zabudowania, rzekę i niższe wzgórza. Sąsiadowała także z niewielkim parkiem w kształcie półksiężyca.

Pan Bainsburrow, sąsiad z domku obok, próbował wciągać Rachel w pogawędkę i opowiadał, jak to było, kiedy osiedle wzniesiono, ale jej nigdy to nie interesowało. Często też powracał do sporów, jakie obaj z jej tatą toczyli na temat odziedziczonej przez nią nieruchomości. Obaj chcieli ją nabyć. Ponieważ była lepiej położona, Alfie podobno przekupił agenta, który zajmował się sprzedażą. Pan Bainsburrow, będąc już w podeszłym wieku, często mylił Rachel z Dottie, jej matką.

- Dorothy - mawiał - nie powinnaś była rzucać swego męża. On się zapija na śmierć.

- Dottie zmarła lata temu. Przestań mnie nękać za każdym razem, gdy wychodzę z domu - odpowiadała mu. - Ja jestem Rachel, zapamiętaj to sobie. Ich córka.

- Ach tak. Córka. Mnóstwo zmartwień - odpowiadał, potrząsając głową. - Mnóstwo zmartwień.

Ostatnio rzadko wychodził z domu, ale siadywał w oknie, czekając, aż dostarczą mu obiad z garkuchni, a pielęgniarka z ośrodka pomoże się wykapać i zmieni opatrunek na pokrytej czyrakami nodze.

Mijając jego dom, Sasza pomachał mu, na co staruszek wyciągnął kciuk skierowany w górę. Radosna obecność chłopca dobrze na niego działała. W sąsiedztwie było niewiele dzieci, a jeśli kręciły się w pobliżu, to albo nabijały się ze starego człowieka w oknie, albo nie zwracały na niego uwagi. Rachel też mu obowiązkowo pomachała, ale gdy już się odwracała, kątem oka dostrzegła, że Tom wykonuje w odpowiedzi jakiś dziwny ruch ręką, jakby szatkowania. Obróciła się, żeby mu się przyj-

rzeć, a wtedy on pokręcił głową. Nie miała pojęcia, co chciał jej zakomunikować, ale już przywykła do jego dziwnego zachowania. Wzruszyła ramionami, żeby przekazać, że nie rozumie, ale on tylko na nią popatrzył z kamienną twarzą.

- Myślisz, że Napoleon śpi? - spytał Sasza, ciągnąc ją za rękaw.

- Żartujesz? - odparła, popychając go przed sobą przez furtkę. - Pamiętaj, co ustaliliśmy: nie pozwalaj, żeby skakał. Sam mu to powiedz. Musimy go wytresować, w przeciwnym razie zwali z nóg jakiegoś staruszka w parku, który nas puści z torbami, skarżąc o odszkodowanie za straty.

Sasza przekrzywił głowę i popatrzył na matkę z przekorą.

- Tylko że jego nie ma przy drzwiach.

Rachel próbowała wyłować klucze z przepastnej torby.

- Jasne, że jest - rzekła i zamarła. Chłopak ma rację. Nie słychać było ani głośnego warczenia, ani skrobania pazurami o framugę drzwi. Skąd ten głupi kundel zrobił się nagle taki grzeczny? A może zachorował? W ogóle nie знаła się na psach. Wreszcie wymacała klucze i wbiegła na ganek. Gdy otworzyła drzwi, odpowiedziała jej cisza.

- Napoleon! - krzyknął Sasza, pochylił się i kilkakrotnie uderzył ręką w kolano. Na ten dźwięk pies zawsze nadbiegał z objawami dzikiej radości. - Chodź tu, piesku!

Nic takiego jednak nie nastąpiło. W domu panowała taka cisza jak wtedy, gdy się tu wprowadzili po śmierci Alfiego. Rachel poczuła dreszcz trwogi na myśl, co znajdują: psa skrecającego się z bólu po zjedzeniu jakichś śmierdzących resztek znalezionych w parku, otwarte drzwi i okna? Ten pies był zdolny do wszystkiego.

- Zostań tu, kochanie, i zdejmij kurtkę - zwróciła się do Saszy. - A ja pójdę i go obudzę. - Rzuciła mu spojrzenie w rodzaju „rób natychmiast, co ci każe”, ale jego wzrok ją zmroził. Widziała już ten lęk w jego oczach. Ostatnim razem, kiedy Anton chwycił ją za kark, a ona zawyla z bólu.

- Mamo - szepnął Sasza, chwytając ją mocno za rękę. - Czy myślisz, że on uciekł?

Spojrzała na jego zatroskaną buzię.

- Nie wiem, kochanie. Pewnie gdzieś przysnął.

Nagle Sasza wyrwał rączkę z jej dłoni i zacisnąwszy ją w pięść, uderzył ją w brzuch.

- Głupia, jego tu nie ma.

- Sasza! - warknęła, chwytając go za łokieć. - Nie bij mnie i nigdy nie wyzywaj.

- Tata cię wyzywał! - krzyknął ze złości i wyszarpując rękę z uścisku matki, pobiegł do kuchni, wołając psa. Jego krzyki roznosiły się echem po pokojach, zadudniły na drewnianych schodach. Miał dopiero siedem lat, ale już przeczuł, co oznacza cisza. Rozumiał też, że pies nie mógł sam wyjść z zamkniętego domu.

Rachel stała w miejscu. Jak nazwie ją syn przy następnej okazji? Wyobraziła sobie, że jest nastolatkiem i lży ją bez ustanku. Ponieważ widział, co widział, i słyszał, co słyszał, czego mogłaby się spodziewać? No i pies. Zniknął. Co to oznacza? Nagle się zmobilizowała. Ona również zaczęła biegać po domu, nie tylko zaglądając pod łóżka i do szaf, lecz i sprawdzając okna, drzwi, zamki... Ktoś w jakiś sposób musiał tu wejść i wykraść psa. Nie było śladu włamania. A więc ten ktoś miał klucz.

Czekała na niego przez cały wieczór. W istocie czekała trzy miesiące, od dnia, kiedy się tu wprowadziła. Gdy usłyszała, jak klucz przekręca się w zamku, zeszywniała. Zegarek przy łóżku wskazywał piętnaście minut po północy. Nadal ubrana w dzinsy i bluzkę, zerwała się na równe nogi. Wciągnęła botki, żeby poczuć się pewniej, i zbiegła po schodach do salonu. Drzwi wejściowe otwarły się z trzaskiem. Łańcuch, który niedawno kupiła i zainstalowała, był niewiele więcej wart niż tasiemka. W ciszy usłyszała stukot śrubki o podłogę.

- Hej, mała - odezwał się Anton, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Dlaczego tak późno? - mruknęła pod nosem.

- Byłem zajęty. Pracuję - odparł pogodnym tonem, ignorując jej sarkazm.

- Skąd wzięłeś klucz?

Anton uniósł rękę, żeby go pokazać; dyndał na sznurku.

- Twoja przyjaciółeczka podała mi adres twego taty dawno temu, kiedy jeszcze nie... - Postukał palcem w skroń. -1 Anton odgadł bez trudu. Zawsze wracałaś do taty. Dorobiłem więc klucze, które trzymałaś w szkatułce. Twój Anton zawsze tak robi. Zawsze myśli z wyprzedzeniem. Na w razie czego. A potem znalazłem dokładną mapę Bath, no i jestem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i rozpiął skórzaną marynarkę, jakby w oczekiwaniu, że Rachel padnie mu w objęcia. Złoty medalion na jego szyi połyskiwał niczym słońce, a jedwabna koszula lśniła fioletem i czernią.

A więc ją odnalazł. Anton rzadko ją o cokolwiek pytał. W ciągu tych wszystkich lat nie wykazywał zainteresowania, gdzie się urodziła, z czego żył jej tata, na co umarła mama. Kiedy się spotkali, nic go nie obchodziło, dlaczego zatrudniła się jako kelnerka w nędznej kafejce i mieszkała w należącej do miasta ruderze w obskurnej dzielnicy Londynu. Teraz zrozumiała, jaka była naiwna. On dokładnie wiedział, gdzie się wyniosła, a ta Lynn... to niezła kumpelka.

- Ten stary kretyn - wskazał palcem w kierunku domu Toma Bainsburrowa - powiedział mi, że twój tata kojfnął. Przykro mi, mała.

Zignorowała nieszczerą kondolencję.

- Gdzie jest pies Saszy?

- Och, pies żyje i ma dobre żarcie, samo mięso, nie martw się. Jasne, że to jego pies. Dzieciak może go odwiedzać, kiedy tylko zechce. Wszystko mu wyjaśnię. Rano.

Rachel zeszła parę stopni, licząc, że w ten sposób powstrzyma go przed wejściem do domu. Schody zatrzeszczały, co podziałało na nią mobilizująco. Zatrzymała się w pół drogi.

- Nie możesz tak po prostu wejść.

- A niby dlaczego nie? - Anton się zaśmiał.

- Nadal jesteś ojcem Saszy, ale już nie moim partnerem.

Nie chcę cię tutaj. Podam ci mój nowy numer komórki. Zadzwoń, to ustalimy, kiedy zobaczysz się z Saszą w ciągu weekendu.

- Posłuchaj, Rachel. - Głos Antona przybrał niebezpieczny ton. - Chcę być wobec ciebie wyrozumiały, ale myślę, że nie zachowujesz się zbyt uprzejmie.

- Niezbyt uprzejmie? - odparła szyderczo. - A włamywać się do mego domu i kraść psa to twoim zdaniem uprzejme? I właśnie to teraz robisz. Włamujesz się i wkraczasz na mój teren.

Ponieważ Anton wszedł na schody, Rachel cofnęła się, przeklinając się w duchu za okazanie lęku.

- Uważasz, że możesz nie dopuszczać mnie do syna? Mała, to się nigdy nie zdarzy. Dobrze o tym wiesz. To przesada, żeby kazać mi czekać aż do weekendu na zobaczenie się z własnym dzieckiem.

- Nie trzymam go od ciebie z daleka - wyjęczała Rachel. - To przez twoje zachowanie. Nie dajesz mi wyboru.

Anton coraz bardziej się zbliżał, a ona usiłowała nie spuszczać z niego wzroku, nie ustąpić ani kroku.

- Rachel, Rachel. - Anton pokręcił głową. - Wiem, że stale ze sobą walczymy. Gdybyś mnie tak nie wkurwiała, byłoby między nami OK. Ale odjechać, nie wspominając ani słowem dokąd... to nie jest w porządku, co?

- Przyjdź jutro, to ustalimy, kiedy zobaczysz się z Saszą.

- Jutro? Odsyłasz mnie do hotelu?

- Chcę, żeby między wami istniała więź. Naprawdę mi na tym zależy. Anton zmrużył oczy.

- Więż...? Z moim synem? Tak to nazywasz?

- Wiesz, co mam na myśli.

Jednym susem wskoczył na schodek tuż obok i chwycił ją /a nadgarstki.

- Nie rozumiesz, czy jak? Ja też chcę być z tobą, ty głupia suko. Jesteśmy razem, czy ci się to podoba, czy nie. Jesteś jedyną kobietą, jaka mnie kręci, i to od dawien dawna. Pró-

bowałem z innymi. Nudzą mnie. Po kilku dniach wyrzucam je z łóżka. Tylko do ciebie stale wracam.

- Jakie to rozkoszne - zadrwiła Rachel. - Jestem pod wrażeniem.

Próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale Anton coraz mocniej wykręcał jej ręce. Nagle poczuła skurcz mięśni w macicy. Nienawidziła siebie za ten odruch. Anton natychmiast zauważył, co się święci.

- No widzisz, sama to mówisz. To rozkoszne. Rozpalona, słodka, wilgotna, nawet po latach... Czy ci to coś nie mówi?

Przyciągnął ją do siebie i objął w talii.

- Jesteś moja. Słyszysz, co Anton ci mówi?

Spojrzała w jego zielone oczy, te oczy, które tak kochała, w których potrafiła całkowicie się zatracić setki, nie, tysiące razy. Jej ciało stało się bezwładne, podporządkowane jemu. Tak zawsze było najłatwiej, najbezpieczniej. Miękką możliwość.

On tymczasem jedną ręką już rozpinął jej bluzkę, drugą mocno obejmując w pasie.

- O, Boże - szeptał. - Ależ mi ciebie brakowało.

Zdarł z niej stanik i wpił się ustami w jej sutek. Poczowała, jak twardnieje, jak podniecenie spływa z piersi do wzgórka łonowego niczym gorący nurt krętej rzeki. Zerknęła na jego kędziory pociągnięte brylantyną i zaczesane w idealnie gładki kaczy kuper, upstrzony łupieżem. Ten widok ją otrzeźwił. Przez całe lata uważała, że Anton jest najwspanialszym samcem, jaki chodzi po ziemi, ale albo on się zmienił, albo ona. Jego czarna skórzana marynarka i ta żalosna fryzura były szykowne jakieś dziesięć lat temu. Nie zdawał sobie sprawy, że wygląda jak alfons, a raczej jego karykatura.

Przestał ją pieścić, wyczuwając w niej zmianę nastroju, i zmierzył ją czujnym wzrokiem.

- Co jest?

- Daj spokój. Nie mam ochoty.

- Przez ciebie jestem teraz napalony - wymamrotał, kładąc ręce na jej tyłku. - No chodź. Przecież tego chcesz. Chyba nie myślisz, że nie pamiętam, jak funkcjonujesz? Trzeba cię do tego trochę przekonać.

- Nie, nie chcę.

- W porzo - syknął bez tchu. - No to zrób mi dobrze. - Położył ręce na jej ramionach i zmusił, żeby uklęknęła. Rachel wiedziała, że może mu się przeciwstawić, ale chodziło jej o Saszę. Dzieciak mógłby się zbudzić i ich usłyszeć albo, co gorsza, zobaczyć.

Anton stanął nad nią, szybko zdejmując pasek i rozpinając dzinsy. Miał pełną erekcję. Rachel obojętnie wpatrywała się w jego członek. Taki wzwód lubiła najbardziej: kutas duży, ale nie za twardy, skóra ciągle gładka na napletku. Aksamitny, ciepły, spragniony.

Anton nie przyspieszał, radując się oczekiwaniem. Spoglądał na Rachel, gładził ją po głowie, czując pod palcami okaleczone płatki uszu. Mogła zrobić to, czego od niej oczekiwał, przynajmniej w ten sposób nie musiałaby się z nim pieprzyć. Wyobraziła sobie przez chwilę, jak wyznaje to swojej przemądrzałej terapeutce. Idiotyczne. Oczywiście, że nie pozwoliłaby sobie na taką szczerość, ale sama myśl wydała jej się wstrętą.

- Nie zrobię tego - odezwała się stanowczym tonem. - Sasza może się obudzić. On jest naprawdę bardzo przejęty brakiem psa.

- Chłopak śpi w najlepsze - odparł Anton zachrypniętym basem. W jego głosie dało się wyczuć śmiech. - A zresztą cóż w tym złego, jak dzieciak zobaczy, że jego rodzice się kochają? - Odwrócił jej twarz ku sobie i usiłował wprowadzić penis do jej ust, gładząc palcami jej wargi, żeby rozchyliły się i wpuściły go do środka.

- To nie jest żadna miłość - zaprotestowała Rachel, odsuwając się od niego. - To robienie lachy, a taki widok nie jest przeznaczony dla siedmiolatka.

Anton mocno chwycił ją za włosy i bez słowa wepchnął penis głęboko do jej gardła. W pierwszym odruchu Rachel usiłowała stawić opór, ale po chwili dała za wygraną, czując w sobie przyływ podniecenia. I równie gwałtownie niemal zwymiotowała, zbrzydzone własnym pożądaniem. To było

Uikio wulgarne, jej reakcja taka niewłaściwa, a cały scenariusz tak dobrze jej znany. Ustępowała, a mimo to traktowała to jako rodzaj gwałtu na sobie. Powiedziała przecież „nie”. To jest zwykły gwałt. Pod wpływem tego impulsu odepchnęła rękami jego biodra. Jednakże Antoni myślał ustąpić. Przeciwnie - uczeplił się jej włosów i przyspieszył ruchy. To było to, co najbardziej mu odpowiadało: trochę sprzeciwu - nie za wiele, w sam raz.

- Och, ale ty też tego chcesz - uwodził ją głosem. - No widzisz, że chcesz, chcesz.

Zastanowiło ją to. Przypomniała sobie, co z nią wyprawiał w przeszłości. Czy nie rozkoszowała się taką właśnie pieśczęcią, jaką uprawiali, gdy byli w sobie zakochani? Czerpała wtedy radość z każdego zakamarka jego ciała. Nawet wówczas, gdy bywał w łóżku ostry. Udawała, że mu się opiera, żeby jeszcze bardziej go podkręcić. Czyli sama jest sobie winna.

Toczyła ze sobą milczącą walkę. Jedna część jej świadomości mówiła, że ten człowiek, który wpakował jej wacka do gardła, jest już bardzo bliski wytrysku. A kiedy skończy, będzie spełniony, szczęśliwy, hojny. Może nawet wyniesie się stąd. Inna część w niej gotowała się z wściekłości. Dlaczego musi to wszystko znosić, kiedy wyraźnie powiedziała „nie”, i czekać, aż się w niej spuści, jakby była spluwaczką dla jego spermy? Próbowwała wyrwać się z żelaznego uścisku, ale on wczepił jej się we włosy, poruszając szybko miednicą i ciężko oddychając. Im bardziej starała się wyzwolić, tym on mocniej napierał.

- Ale jesteś w tym dobra, mała - wyjęczał, albo nieświadomy jej prób oporu, albo całkowicie na nie obojętny. - Żadna nie robi tego tak jak ty. Wiesz o tym, prawda?

I wtedy Rachel zacisnęła zęby na jego kutasie. Robiła to powoli, żeby go nie spłoszyć, ale na ten akt zemsty Antoni zareagował natychmiast. Wrzasnął z bólu i z całych sił zdzielił ją w skroń. Rachel najpierw ujrzała przed sobą gwiazdy na czarnym tle, a po chwili upadła. Niemal oślepią uderzeniem słyszała, jak Antoni wyje niczym zwierzę. Następny cios

w głowę, zamigotały kolejne gwiazdy. Teraz Anton ciągnął ją po schodach do salonu, raniąc o ostre kandy stopni jej szyję, plecy, uda. Półprzytomna z bólu poczuła, jak próbuje ściągnąć z niej kowbojki. Nie było to proste, bo buty mocno przylegały do łydek. Chcąc się wyswobodzić, kopnęła go i obcasem trafiła w szczękę. Anton nie zareagował na cios i nadal usiłując zerwać z niej buty, niemal wyłamał jej nogi ze stawów biodrowych.

Ostro ze sobą walczyli, a on się śmiał, jakby była to gra, która wciągnęła ich oboje. Nieco bólu należało do rytuału, on go zadawał, ale gotów był też odczuć na własnej skórze. Jednakże w Rachel, czy wręcz poza nią, wzmacniało się inne postanowienie. Coraz bardziej sprzeciwiała się Antonowi -ciałem, umysłem i duszą.

W trakcie całej przepychanki obawiała się spojrzeć na schody prowadzące na piętro. Chybaby umarła ze wstydu, gdyby dzieciak ujrzął, jak jego matka tłucze ojca po twarzy i wbija w niego paznokcie, a on warczy jak wściekły pies, rzucając się na nią.

Z zamkniętymi oczami walczyła aż do końca, żałując, że nie była taka odważna i zajadła jak na początku ich walki, gdy poczuła w ustach smak jego krwi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Pani matka jest przeświadczona, że grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo - oświadczył doktor Jenkins. - Ma kompletną obsesję na tym punkcie.

Śmiertelne niebezpieczeństwo! Madeleine przełożyła słuchawkę do drugiego ucha, czując rosnący ból w brzuchu.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, mówił pan, że mama czuje się dużo lepiej dzięki elektrowstrząsom, pamięta pan?

Słyszała jego głośny oddech, przedostający się przez wąsy.

- Madeleine, wyraziłem się inaczej, że pani matka ma nieco mniejszą depresję. Nie twierdziłem, że została wyleczona z psychozy.

- Och, doktorze, zna pan przecież matki. One sądzą, że ich dzieciom zawsze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, prawda? - Madeleine zerknęła na zegar. Dokładnie druga po południu. Erie Fyfield był nowym pacjentem, nie chciała trzymać go zbyt długo w poczekalni. Jednakże doktor Jenkins musiał mieć jakiś istotny powód, by telefonować do niej do pracy. - Spróbuję ją przekonać, że miewam się doskonale.

- No właśnie, do tego zmierzałem. - Zamilkł na chwilę. - Wiem, że to ciężkie, ale uważam, że byłoby najlepiej, gdyby ograniczyła pani odwiedziny w naszym ośrodku. Z jakiegoś powodu wywołuje pani u matki ataki paniki. Po kilku pani

ostatnich wizytach pacjentka była bardzo pobudzona. Pielęgniarki musiały dołożyć wielu starań, by ją uspokoić.

Owszem, opowiadała mi o tym, pomyślała Madeleine. Przywiązywały ją do łóżka i wbrew jej woli robiły jej zastrzyki.

- No cóż, wszyscy pańscy podopieczni mają różne epizody i kryzysy, prawda? Gdyby ich nie mieli, nie przebywaliby w takim doskonałym sanatorium. Nie rozumiem jednak, dlaczego miałabym ją pozbawiać spotkań z jedyną osobą, która ją kocha...

Doktor Jenkins przerwał ten potok wymowy.

- Pani Ollenbach i jej podwładni robią dla pani matki wszystko, co w ich mocy, o czym doskonale pani wie. Przymykają oczy na jej ołtarzyk, świece, sypianie w fotelu. Czy zdaje sobie pani sprawę, że nasze niezwykle rybki egzotyczne z akwarium wylądowały na ołtarzu pani matki?

Madeleine z trudem powstrzymała chichot. Rybki tropikalne! Gdzież indziej mama znalazłaby tam żywe istoty do złożenia jako ofiarę? Babalu-Aye, jej *orisha*, był bóstwem, które wymagało prawdziwej krwi w zamian za większe czy mniejsze względy okazywane swojej wyznawczyni.

- Wszyscy pańscy pacjenci są trudni.

- Madeleine, pani matka, jest jedyna w swoim rodzaju. Przykro mi to zakomunikować, ale zastanawiam się nad zwiększeniem dawki leków.

- Nie! - zaprotestowała Madeleine. - Nie ma mowy. Nie zrobicie z niej zombi dla wygody pielęgniarek.

Natychmiast pożałowała tej oskarżycielskiej uwagi. Doskonale wiedziała, że Rosaria była nie lada wyzwaniem, ale Neville poświęcił połowę swojej fortuny na utrzymanie jej w tym ośrodku. A lekarze faszerowali tych nieszczęśników tyłoma lekami, aż robili z nich chodzące mumie.

Po drugiej stronie zapadła cisza, więc Madeleine była już gotowa wygłosić przeprosiny.

- Madeleine - odezwał się surowym głosem doktor Jenkins. - Nie może pani z dnia na dzień oceniać stanu zdrowia pani matki.

- Jasne, że nie. Przepraszam. Niemniej nie mogę wyrazić zgody na zwiększenie dawki leków. Nie mogę patrzeć, co one z niej robią.

- Porozmawiamy o tym podczas najbliższej pani wizyty. I jeszcze jedno: pani matka obsesyjnie mówi o jakimś dziecku. Jest przekonana, że to pani dziecko. To nie jest zgodne z prawdą, tak? Odniosłem wrażenie, że pani...

- I ma pan rację - Madeleine szybko weszła mu w słowo. -To rodzaj fantazji, w którą mama wierzy od dawien dawna, a raczej można by to nazwać nadzieją - kłamała lekarzowi. -Sam pan widzi, co miałam na myśli. Ona mnie potrzebuje. Jestem jej jedynym dzieckiem.

Więzienie miało kształt gwiazdy - duży sześciokątny budynek, od którego odchodziło promieniście sześć skrzydeł. W każdym z nich osadzono więźniów różnych kategorii. Na poszczególnych oddziałach istniał taki sam korytarz centralny z celami po obu stronach, zabezpieczony dwiema parami stalowych drzwi.

W części, w której przebywał Edmund, zastosowano dodatkowe środki ostrożności, za to cele były nieco większe i trochę lepiej wyposażone, bo znajdowali się w nich przestępcy skazani na dożywocie. Nie byli to jednak zwyczajni osadzeni. Podzielono ich na grupy zależnie od ryzyka, jakie stanowili dla innych więźniów i dla strażników. Osobne cele chroniły ich także przed atakami ze strony współwięźniów.

Madeleine różnym krokiem szła korytarzem pod baczny okiem oddziałowego, który pełnił dyżur przy drzwiach.

- Panie, zmiłuj się! Kobita! - Jeden z więźniów wcisnął głowę między kraty, krzycząc na jej widok. - Dajcie mi tu tę cudną dupę!

Madeleine przywykła do takich reakcji. Czego innego mogła się spodziewać w miejscu wypełnionym seksualnymi dewiantami, mordercami, seryjnymi gwałcicielami, pedofilami.

Edmund Furie już na nią czekał i oczywiście usłyszał uwagi

współwięźnia. Nie dość, że miał wściekle wykrzywioną twarz, to jeszcze na czole widniał wielki guz.

- Edmund, co ci się stało?

- Zajmowałem się ludźmi pokroju tego zasańca, który przed chwilą cię nagabywał. Jeśli sądzisz, że moje czoło źle się prezentuje, powinnaś zobaczyć ich glace. Jednemu z nich tak dopierdoliłem, że wyładował w szpitalu z uszkodzonym mózgiem.

- Miałaś nie kląć w mojej obecności. Zapomniałaś o tym przyrzeczeniu?

Edmund sprawiał wrażenie nadzwyczaj pobudzonego.

- A cóż my, kurwa, jesteśmy dzisiaj tacy świętoszkowaci? - odezwał się z przekąsem.

Madeleine była zmęczona, więc nie miała się na baczności. W towarzystwie Edmunda trzeba było bardzo uważać na to, co się mówi. A zarazem, biedaczysko, tak był spragniony rozmowy.

- To ty nalegałaś, żeby wstrzymać się z przeklinaniem, przypominasz sobie? - odparła, uśmiechając się lekko.

Edmund roześmiał się, obnażając podwójny rząd swoich zębów jak u rekina.

- Masz rację, Madeleine. Ale jeśli to gównu jeszcze raz odezwie się tak do ciebie, to go zabiję.

- Czy nie wystarczy ci już kłopotów w związku z... zabijaniem ludzi?

W milczeniu przyglądali się sobie. Niepotrzebnie wymknęła jej się ta uwaga. Dawno temu przysięgła sobie, że nie wspomni o jego zbrodniach, tak było lepiej. Nie zamierzała grać roli spowiednika, tego miała aż nadto w swojej poradni. To miała być nieskomplikowana znajomość, umilająca Edmundowi monotonię żywota skazańca, jakiś promyk w jego beznadziei. Jednakże z wielorakich powodów Madeleine robiła to również dla siebie. Nikt nie robi czegokolwiek w zamian za nic. Madeleine powiedziała sobie w duchu, że w ten sposób odsiadyje własny wyrok, niemniej podejrzewała, że przyciągało ją tu niebezpieczeństwo. Jakaś ciemna strona jej natury dobrze się czuła w tych

złowrogich murach. Prócz tych niejasnych motywów w jej znajomości z Edmundem obowiązywał pewien rygor, który pozwalał jej pozbyć się ogromnego znużenia, jakie ogarniało ją pod koniec tygodnia pracy. On i Rachel byli według niej jedynymi „prawdziwymi” ludźmi, z którymi miała obecnie kontakt. Koszmarne realia ich życia paradoksalnie przynosiły jej ulgę, zwłaszcza w porównaniu ze zmartwieniami elity społecznej, z której wywodzili się jej klienci w poradni.

- Brakowało mi naszego spotkania w zeszłym tygodniu - rzekła szczerym tonem. - Słyszałam, że poważnie się rozchorowałeś.

- Nie wierzę w choroby - odparł opryskliwie Edmund. - To tylko słabość.

- Czyżby? - Roześmiała się. - Możemy chyba pozwolić sobie od czasu do czasu na chwilę słabości, prawda?

- Mów za siebie - odwarknął. - Moja choroba nie pochodzi z wewnątrz, o tym jestem przekonany. Kiedy tylko postanowiłem ją zwalczyć, natychmiast ustąpiła.

Madeleine poczuła nagły dreszcz w krzyżu.

- Nie z wewnątrz? - powtórzyła. - Czy sądzisz, że ktoś próbował cię otruć tutaj, w więzieniu?

- Któż to wie, moja piękna - odparł z zagadkową miną. Oczami wyobraźni ujrzała matkę stojącą przy ołtarzyku,

z broszką od Edmunda umieszczoną w naczyniu przed nią. Mimowolnie sięgnęła ręką do klapy zakietu. Edmund natychmiast zauważył ten gest.

- Nadal nie nosisz broszki.

- Nie. - Spojrzała na niego. - Przepraszam. Chyba ją zgubiłam. Pewnie wypadła mi z torebki.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Nie wierzy w jej wyjaśnienia.

- Freudowska pomyłka, co?

- Nie - powiedziała hardo. - Nie mam powodu, żeby cię okłamywać.

Mówiła prawdę... ale gdzie się podziała ta cholerna broszka? W którym posiadaniu znajdowała się właśnie teraz?

- Zmieńmy temat - orzekł Edmund, widząc jej roztargnienie. - Opowiedz mi o którymś z twoich pacjentów. Mam po prostu ochotę wsłuchiwać się w twój rozkoszny głos, zabarwiony wieloma różnymi akcentami. Marzę o twoim głosie.

- Doskonale - odparła z wyraźną ulgą. - Edmundzie, ta historia z pewnością cię zainteresuje, bo masz podobną przypadłość. Mój nowy pacjent spędza większość nocy na jeździe samochodem z domu do miejsca pracy i z powrotem, bo jest przeświadczony, że najechał na jakieś dziecko jadące rowerem lub staruszkę przechodzącą po pasach. Ilekroć siada za kierownicą, jest przekonany, że spowodował jakiś straszny wypadek drogowy, więc zawraca, żeby to sprawdzić. I w ten sposób nie może się uwolnić od tego diabelskiego cyklu. Zdarza się, że przemierza tę trasę dwadzieścia razy w ciągu nocy. Na koniec biedak jest tak półżywy i skołowany, że zatrzymuje się na parkingu lub w zatoce przy szosie i zapada w sen.

- A co by zrobił, gdyby odnalazł swoją ofiarę?

- Odstawiłby do szpitala, to oczywiste.

- Chwila, moment. Nie wsadzaj mnie do tego samego worka - zaprotestował. - Moje tendencje obsesyjno-impulsywne mają oparcie w faktach i logice. Wydaje mi się, że twój pacjent jest trochę niespełna rozumu. Nie przyszło mu do głowy, że skoro nigdy nie natrafił na ofiarę, to nie spowodował żadnego wypadku?

- Ten nakaz dyktuje mu podświadomość. Wie, że postępuje irracjonalnie, a mimo to nadal nie może uwolnić się od myśli, że stanowi zagrożenie dla innych.

- Powiedziałbym, że jest beznadziejnym idiotą. Madeleine westchnęła.

- Sam widzisz, dlaczego nie powinnam ci opowiadać o tych sprawach. To niezbyt etyczne.

- E, do diabła - zaprotestował, machając ręką. - W jaki sposób miałbym się dowiedzieć, kim jest ten twój pacjent? A czy pozbyłaś się swojego boyfrienda? - Gładko zmienił temat. W jego wzroku pojawiła się taka intensywność, że Madeleine szybko opuściła powieki. Mogła na niego patrzeć, ale

nigdy prosto w oczy. Zagapiła się więc na pulsującą żyłę na jego czole. Wyglądała jak robak pełznący po czaszce.

- No, rzuciłaś go? - warknął zniechęcony.

- Tak - odparła z gniewem. - I nie wtrącaj się do tego, dobrze?

- Wiesz co, moja piękna? - Zbliżył twarz do Judasza. - Mogę załatwić każdego, nawet stąd.

- To nie będzie konieczne, dzięki, Edmundzie. A teraz skończ z tymi koszmarnymi uwagami, bo więcej się tu nie pokażę.

- To brzmi jak szantaż.

Tym razem nie mogła powstrzymać wybuchu gniewu. I po co to robi?

- A ty brzmisz tak, jakbyś chciał zastraszyć moich znajomych.

- Moje długie ramię może dosięgnąć i ciebie, jeśli taka moja wola.

- Jakie to miłe. Właśnie takiego przyjaciela mi brakowało. Dobrego, troskliwego kolegi, który grozi, że przywiąże mnie do belki i przetnie żyły, aż się wykrwawię na śmierć.

Zbyt późno Madeleine ugryzła się w język. Rzuciła te słowa w gniewie - co też jej przyszło do głowy? Już dawno przyrzekła sobie, że w rozmowie z Edmundem nigdy nie poruszy szczegółów jego zbrodni. Otworzyłoby to nowy rozdział w ich znajomości, na co zupełnie nie była przygotowana - ani emocjonalnie, ani w sensie zawodowym.

Edmund jak zwykle potrafił czytać w jej myślach i teraz ze wstydem zwiesił głowę. Madeleine dobrze wiedziała, że psychopata jest niezdolny do poczucia winy, więc jego skruszona mina była najwyraźniej na pokaz. Może obawiał się, że ją utraci. Strach to jedyna emocja, od której nikt nie potrafi uciec. Glizda na jego czole pobladła i przestała pulsować.

- Nie zostawiaj mnie, Madeleine - wybąkał ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Potrzebuję cię. - Uniósł głowę. - Ty też możesz mnie potrzebować. Potrafię zatroszczyć się o ciebie i nigdy, przenigdy nie zrobię ci krzywdy. Jeżeli zechcę stąd

zrobić coś dla ciebie, to jedynie po to, żeby cię przed czymś uchronić. I tylko to miałem na myśli.

Madeleine wzięła to wyznanie za dobrą monetę. Ileż razy Edmund zapewniał ją o dozgonnej przyjaźni? Był bezwzględny, sadystycznym mordercą, ale w głębi ducha mu ufała. Nie potrafiła sobie tego wyjaśnić. Nagle poczuła się bardzo znużona intensywnością jego pragnień. Czy na tym polegała jej pokrecona, patologiczna psychika, ten karzący samą siebie nawyk, żeby udzielać pomocy emocjonalnej, płatnej lub gratisowej? John miał rację, nie mogła nieustannie troszczyć się o wszystkich. Jej świątły kolega po fachu powtarzał nie raz, że znalazła się na jakiejś karuzeli uzależnień od innych ludzi i że tak naprawdę to ona wymaga terapii, by wyzwolić się z ciągłego poczucia winy. John sądził, że wyznaczyła sobie pokutę za śmierć Forresta, odbywając ją co dzień. Oczywiście, była to prawda, ale połowiczna. Gdyby John wiedział...

Postanowiła przerwać ten ciąg myśli i skupić się na członku za kratami. Kiedy to się skończy? Czy dożywotnio będzie odwiedzała tego mordercę raz w tygodniu? Broszka, którą jej sprezentował, stawiała sprawę jasno: wierność po grób, a śmierć nas nie rozłączy. A może zgubiła tę broszkę celowo. Freudowska pomyłka, jak słusznie Edmund zauważył. Gdyby nadeszła taka chwila, kiedy postanowiłaby mu powiedzieć "żegnaj", czy obawiałaby się... jego długiego ramienia?

- OK, Edmund - odezwała się łagodnym tonem. - Opowiedz mi o tej bójce. Zamieniam się w słuch.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rozległ się dzwonek telefonu. W słuchawce zabrzmiał stłumiony głos Sylvii.

- Przyszła pokiereszowana pacjentka.

- Dzięki.

Madeleine zaśmiała się gorzko. Pokiereszowana pacjentka? Przecież wszyscy byli jakoś tam pokiereszowani. Ona, jej kolega po fachu, recepcjonistka...

Szybko przejrzała notatki poświęcone Rachel Locklear, żeby odświeżyć w pamięci jej historię i przebieg poprzednich sesji. Rachel, ku zaskoczeniu Madeleine, już od siedmiu tygodni regularnie pojawiała się w jej gabinecie. A wyglądało na to, że w każdej chwili przerwie terapię. Trudno było odgadnąć, dlaczego nadal przychodzi, skoro bez przerwy uskarża się na koszty, jest napastliwa i często objawia wyraźną niechęć do terapeutki. I choć Madeleine dokładała wszelkich starań, by znaleźć dla niej wolne okienko w natłoku innych zobowiązań, terapia nie przynosiła żadnych rezultatów. Nie doszło do zmiany, do jakiegoś przełomu. Rachel w żadnym razie nie była gotowa do podjęcia trudniejszych tematów, jednakże najwyraźniej czerpała z tych spotkań jakąś korzyść, w przeciwnym razie by tu nie wracała. Madeleine postanowiła, że musi odkryć, kim jest ona sama w oczach Rachel, jaki rodzaj przeniesienia nastąpił w psychice pacjentki. Jej gniew był stale wy-

czuwamy. Może matka wcale nie była taką chodzącą cnotą i dobrocią, jak Rachel ją przedstawiała. Może poczucie winy towarzyszące nastoletniej Rachel po śmierci matki podniosło ją w jej oczach do rangi świętej i nie dopuszczało do myśli o niej jako o „złej matce”. W ten sposób pacjentka mogła oszukiwać samą siebie i twierdzić, że matka była cudowną istotą, a całą utajoną złość przelewać na substytut matki, czyli na terapeutkę.

Kiedy Rachel stanęła w drzwiach, Madeleine z trudem zapanowała nad sobą, żeby nie okazać osłupienia. To była rzeczywiście pokiereszowana pacjentka. Rachel miała ciemne okulary, które jednak nie zakrywały opuchlizny na prawym policzku oraz siniaków na szczęce i czole, które zaczęły przybierać granatowo żółtą barwę.

- Rachel, mój Boże - wyrwało się jednak Madeleine.

Podeszła i położyła dłoń na jej ramieniu. Rachel stała bez ruchu, ale kiedy w końcu obróciła się do terapeutki twarzą, nastąpiło coś, czego obie w ogóle się nie spodziewały. Czule się objęły, wiedzione odruchem serca. Madeleine była tym poruszona z dwóch powodów. Ta zadziorna, twarda i uparta kobieta pozwalała, nie, prosiła, żeby ją przytulić, a Madeleine, która bardzo rzadko okazywała podobne gesty pacjentom, instynktownie na to zareagowała.

Mogę tak zrobić - postanowiła w myślach, próbując nie analizować rozlicznych głosów na temat skutków dotykania pacjentów, oferowania im w ten sposób wsparcia lub pociechy. Do diabła z tymi mądrościami. Ten gest był autentyczny i ważny.

Rachel nadal nie ruszyła się z miejsca. Zwiesiła ramiona, opierając się czołem na barku Madeleine. Chwila intymności coraz bardziej się przedłużała, jak gdyby pacjentka pragnęła zostać w tej pozycji na zawsze. Czy w jej życiu nie ma nikogo, kto mógłby ją objąć? Przyjaciółki, ciotki, sąsiadki, do której mogłaby się zwrócić? Nigdy nie wspomniała, że w swoim otoczeniu ma kogoś takiego.

Wreszcie Madeleine odsunęła od siebie Rachel i chwyciła ją za ramiona.

- Chodź, usiądź. Chcę się dowiedzieć, co ci się stało. Rachel była jak zwykle ubrana w czarne obcisłe dżinsy, choć

ze względu na cieplejszą pogodę zamieniła skórzaną kurtkę na drelichową, a pod spodem zamiast bawełnianej koszuli miała czarny sweter z golfem podciągniętym aż po podbródek. No i nieodłączne kowbojki. Jakie ślady pobicia ukrywa pod swetrem? - zastanawiała się w duchu Madeleine.

- Czy mogłabyś zdjąć okulary? - zapytała łagodnym tonem.

Rachel się zawahała, po czym bardzo ostrożnie zsunęła je obiema rękami, jak gdyby każdy ruch sprawiał jej ogromny ból. Madeleine siedziała wyprostowana w fotelu i patrząc na jej zmaltretowaną twarz, usiłowała nie zdradzić żadnych emocji. Prawy policzek Rachel przybrał żółtawy odcień, okolice wokół oka były fioletowe, a samo oko przymknięte wskutek opuchniętej powieki. Lewa strona twarzy była nieco mniej zmasakrowana, za to lewe oko było jak skąpane we krwi, zapewne wskutek pękniętych naczyń krwionośnych.

- Czy byłeś z tym u lekarza?

Rachel zrazu nie odpowiedziała, jak gdyby pytanie było jakimś zwrotem grzecznościowym i nie dotyczyło realnego zagrożenia. Madeleine cierpliwie czekała.

Wreszcie Rachel się odezwała.

- To po prostu sińce. Tylko mi brakuje jakiegoś lekarza, który uparłby się założyć klamry. Już raczej potrzebuję dentysty. - Otworzyła usta i chwyciła palcami ząb trzonowy. - Już po raz drugi mi się rusza.

- To sprawka Antona? Rachel wzruszyła ramionami.

- A kogóż innego?

- A więc cię odnalazł.

- Próbujesz zasugerować, że to ja go szukałam? Madeleine z westchnieniem potrząsnęła głową.

- Tobie, Rachel, nie chcę sugerować niczego. Pewnie pytanie, czy powiadomiłaś policję, jest również zbędne?

Rachel spojrzała na nią ze znużeniem.

- Chyba nie kojarzysz, co? Nie chcę mieszać glin do mojego życia prywatnego, ale nie obawiaj się... - Pochyliła się w jej kierunku, kładąc na kolanach ręce zaciśnięte w pięści. - Więcej tego nie zniosę, słyszysz? On włamał się do mnie, do mojego domu, zgwałcił, ukradł psa mojego syna, zabrał mi całą kasę z portfela. Nie było tego dużo, coś z pięćdziesiąt funciaków, niemniej mnie obrabował. Mnie! Matkę jego dziecka!

- Och, Rachel, aż nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżyłaś. Mam nadzieję, że... - wyjąkała Madeleine.

Rachel przerwała jej machnięciem ręki.

- Postanowiłam, że niech się dzieje, co chce, ale on nigdy więcej nie zrobi mi czegoś takiego. - Spojrzała na Madeleine niemal oskarżycielskim wzrokiem, jakby w oczekiwaniu, że tamta zakwestionuje jej wiarygodność. - Słyszysz, Madeleine? Nigdy!

Madeleine przytakiwała w milczeniu, choć miała ochotę wykrzyknąć „Alleluja”. Zauważyła też, że Rachel po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu.

- Nie wierzysz mi? - warknęła Rachel po chwili.

- Ależ wierzę - odpowiedziała Madeleine opanowanym tonem. - Tylko w jaki sposób chcesz tę decyzję wprowadzić w życie? Poważne uszkodzenie ciała, gwałt i napad rabunkowy z samej definicji nie są sprawami, w których chciałaś uczestniczyć. Są poza twoją kontrolą, w przeciwnym razie nie byłyby tak zdefiniowane.

- Dobra, dobra - odgryzła się Rachel z gniewem. - Zawsze szukasz pozytywnych stron. Nie chcesz mi wierzyć, bo uważasz, że z własnej woli zostałam niewolnicą seksualną Antona i jego workiem treningowym.

- Chwileczkę. Myślałam tak, bo ty to stale powtarzałaś. Powiedziałaś mi, że uzależniłaś się i od przemocy, i od tego drania.

Z bezsilności zazgrzytała zębami. Ta chwila, gdy się objęły, chwila wzajemnej serdeczności, minęła bez powrotu. Pozostała zacięta konfrontacja w rodzaju kto-co-powiedział. Dla

czego tej biednej kobiecie trzeba stale przypominać o fakcie, że to ona sama, świadomie czy też nie, dokonała takich, a nie innych wyborów? Należy szczerze poprzeć jej postanowienie, być dla niej podporą, reagować z empatią.

Madeleine przysunęła się z krzesłem bliżej Rachel, dotykając kolanami jej szorstkich dżinsów.

- Posłuchaj uważnie –i powiedziała z naciskiem, kładąc rękę na ramieniu pacjentki. - Nie uwierzysz, jak mnie cieszy, że postanowiłaś nie znosić tego dłużej. I widzę, że rzeczywiście tak myślisz.

Na przedramieniu Rachel ujrzała mnóstwo drobnych blizn. Przypomniła sobie wtedy o jej rozharatanych uszach, teraz przykrytych masą włosów. Życie doświadczyło tę kobietę na tyle różnych sposobów.

- Gorąco cię popieram w twoim postanowieniu -dodała.

Rachel rozchmurzyła się na moment, ale nadal wyczuwało się w niej napięcie. Zatrzymała wzrok na dłoni Madeleine, a następnie wolno cofnęła rękę, kładąc ją sobie na piersi.

- Wiesz, to przyszło nagle. Przestało mnie kręcić. Częściowo z tego powodu, że byłam przerażona myślą, że Sasza się obudzi i zobaczy nas... uprawiających seks. Ha - to taki zwrot jak w powieściach, co? Ale bardziej niż przebudzenia się Saszy obawiałam się Antona. Chciałam, żeby przestał dobierać się do mnie. On przywykł do tego, że kiedyś się przed nim broniłam, to była taka pieprzona gra między nami. Usiłowałam go powstrzymać, i naprawdę tego chciałam, ale kiedy go ugryzłam, dostałam w odwecie dużo więcej, niż sama mu zrobiłam. - Wyprostowała się w krześle, wskazując na swoją twarz. - A to tylko widoczne ślady pobicia.

- Ugryzłaś go?

- Tam gdzie najbardziej boli, ale nie tak mocno, jak należało. Wcale go to nie powstrzymało.

Madeleine zobaczyła w wyobraźni tę koszmarną scenę. Czekwała na dalsze szczegóły. Detale bójki będą ważne tylko wtedy, gdy sama poszkodowana je wymieni. Madeleine li-

czyła, że w ten sposób utwierdzą pacjentkę w jej postanowieniu i pośrednio wskażą przyczynę tych wszystkich zachowań. Obawa o reakcję syna na widok rodziców połączonych aktem seksualnym silniejsza od lęku przed zdeprawowanym i groźnym typem (który ją jednak chyba nadal podniecał) była zdecydowanie pozytywnym czynnikiem. Poczucie odpowiedzialności u Rachel wiązało się z nią samą i z jej dzieckiem... Instykt Madeleine podpowiadał jej jednak, że należy poruszyć praktyczne aspekty zagadnienia. Jak przekonać Rachel, że zawsze będzie narażona na poważną szkodę, jeśli chce załatwić sprawę na własną rękę? Jak może się uchronić, skoro odmawia udziału policji? Powinna chociaż zadbać o zakaz zbliżania się Antona do jej domu. To by może poskutkowało. Wiedziała jednak z góry, że gdy tylko poruszy taką ewentualność, Rachel się od niej odwróci, przecież ich wzajemne kontakty są nadzwyczaj ulotne. Coś się mimo wszystko zmieniło... nastąpił wzrost zaufania, rodzaj poczucia wspólnoty. Były w tym wszystkim razem, a Rachel wyczuła, że może liczyć na bezwarunkowe wsparcie ze strony Madeleine i na uszanowanie swej godności.

- Rachel, ugryzienie takiego gwałtownika... To, co zrobiłaś, było bardzo niebezpieczne. Istnieją lepsze sposoby postępowania...

- Znowu będziesz mi gadała o policji - przerwała jej Rachel z gniewem. - Przestań, do kurwy nędzy.

Madeleine nie odpowiedziała od razu. Przywykła do gwałtownych wybuchów emocji ze strony pacjentów, ale agresja okazywana przez Rachel stawała się już męcząca. Chciała zwrócić jej na to uwagę.

Zanim jednak zdołała się odezwać, Rachel - jakby czytając jej w myślach - krzyknęła:

- Przepraszam! Ale ze mnie chamka, co? Wykazujesz wprost niebywałą tolerancję. Zdumiewające, że jeszcze nie wyrzuciłaś mnie na zbity pysk.

W tej nieoczekiwanej deklaracji było coś, co wprowadziło Madeleine w niepokój.

- Och - odparła, unosząc ręce jakby w samoobronie. -Komplementy w twoich ustach brzmią dziwacznie. Jak również przeprosiny. Co bym, do cholery, miała z tobą począć, gdybyś nagle stała się dla mnie miła?

Rachel się uśmiechnęła.

- Zmierzamy jednak do jakiegoś celu. Właśnie ustaliłyśmy, że ze mnie straszne ścierwo.

- I taką cię lubię, Rachel. Nie sądź, że musisz cokolwiek zmienić w swoim zachowaniu wobec mnie. Pracujemy nad tym, żebyś zmieniła swoje podejście do Antona i do siebie samej. - Madeleine zerknęła na poraniony nadgarstek Rachel, widoczny spod rękawa swetra.

- Co ja mam wspólnego z Antonem? Już ci zakomunikowałam, że koniec z nim. Jestem za stara, żeby być taką idiotką. Dostyc tego dobrego. Absolutnie zaczynam od nowa. Za chwilę skończę dwadzieścia siedem...

- Zamarła, urywając w pół zdania.

Zapadło milczenie. Madeleine zmarszczyła brwi.

- Dwadzieścia siedem?

Rachel spojrzała w bok, z gniewu zaciskając szczęki.

- Taa, no cóż. Wiem, że wyglądam jak stara szmata. Dwadzieścia siedem lat. Można było odnieść wrażenie, że

zdradziła swój prawdziwy wiek przez przypadek, wskutek chwilowego rozluźnienia, tracąc czujność. Była bardzo interesującą kobietą, niemal piękną i z pewnością seksowną w nieco kurewski sposób (a może to uprzedzenia Madeleine, bo zbyt wiele wiedziała o swojej pacjentce), ale wyglądała dużo starzej. Trudno się było temu dziwić. Dragi, fajki, prostytuowanie się i bicie nie składają się na eliksir z fontanny wiecznej młodości.

- Powiedziałaś mi na początku, że masz trzydzieści trzy lata. Dlaczego uznałaś, że należy mnie okłamać?

- Zgadnij! - Rachel się skrzywiła. - A na ile wyglądam?

- Dziś z pewnością nie sprawiasz wrażenia hożej nastolatki - odparła Madeleine z uśmiechem. - No dobrze. Kobiety lubią kręcić na temat swego wieku.

Rachel nie odpowiedziała. Nagle wstąpił w nią niepokój, nie mogła usiedzieć na miejscu. Madeleine ogarnęła pewność, że pod jakimkolwiek pozorem zechce stąd uciec. Może ta kwestia wieku okazała się dla niej taka istotna, choć nigdy nie robiła wrażenia istoty próżnej. A może rozgniewało ją, że wyszła na kłamczuchę, choć przecież stale robiła różne uniki i w ich rozmowach bardzo oszczędnie dawkowała konkretne fakty.

- Rachel, sprawiasz wrażenie nieszczęśliwej.

- Marzę o fajce. Dlaczego, do cholery, nie wolno tu palić? O jakiej terapii mówimy, skoro człowiekowi wysiadają nerwy /, powodu braku papierosa?

Madeleine patrzyła na nią uważnie, mając w głowie kompletny mętlik. Coś się tu nie zgadzało, ale nie potrafiła tego czegoś przyszpilić, nazwać. Rosło w niej napięcie, wewnętrzne drżenie.

- Zrób sobie pięć minut przerwy i wyjdź na ulicę. Rachel zrobiła zaskoczoną minę.

- Hej! - krzyknęła w końcu i schyliła się po torbę. - Że też sama na to nie wpadłam?

Madeleine powstrzymała ją.

- Zostaw tu torbę, bo może skusi cię wizja ucieczki. Będę czekać. Daję ci pięć minut.

- Cóż za zaufanie! - prychnęła Rachel, wyciągając z torby paczkę papierosów i ciężką zapalniczkę ze srebra.

Madeleine powiodła wzrokiem za smukłą postacią znikającą za drzwiami, a następnie przyłożyła do nich ucho. Usłyszała, jak Rachel rzuca jakąś prowokacyjną uwagę pod adresem Sylvii i jak tamta odpowiada jej w podobnym tonie. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, obie rzuciłyby się sobie do gardeł. Kiedy usłyszała, jak zatraskują się drzwi wyjściowe i rozlega charakterystyczny stukot kowbojek Rachel po drewnianych schodach, podniosła słuchawkę.

- Sylvia, zerknij na formularz Rachel Locklear i podaj mi jej datę urodzenia, dobrze?

Sylvia musiała wyczuć w jej głosie pośpiech, bo po kilkunastu sekundach oddzwoniła z odpowiedzią:

- Niestety, nie wypełniła tej rubryki.

- OK, dzięki.

Odłożyła słuchawkę i zagłębiła się w fotelu. Czas płynął. Wiedziona impulsem, szybko wstała.

Co ty do cholery wyprawiasz? - strofowała się w duchu, przysiadłszy na fotelu dla pacjentów i grzebiąc w torbie Rachel. To skandaliczne, zostaniesz za to ukarana, stracisz prawo do wykonywania praktyki. Zasłużysz sobie na to.

Portfel! Z bijącym sercem zajrzała do środka. W małej kieszonce tkwiło zdjęcie chłopca. To z pewnością Sasza. Zerknęła pobieżnie. Czarne loki, duże oczy w kształcie migdałów. Ładny dzieciak, wygląd cudzoziemca.

Z innej kieszonki wystawała podniszczona karta medyczna z ubezpieczalni. Wyciągnęła ją ostrożnie, żeby jej nie uszkodzić. Rachel Locklear. A więc nie zmyśliła ani nazwiska, ani imienia. Madeleine wypuściła ze świstem powietrze i przybliżyła do światła pomietą i przedartą legitymację, szukając na niej daty urodzenia.

O Boże!

Poczuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy. Niemożliwe! Była to data, której nie zapomni do końca życia.

- To dziewczynka, kwiatuszku - oznajmiła położna, kładąc jej noworodka na piersi.

Była potężnie zbudowaną kobietą z dziwacznym akcentem i specyficznym doбором słownictwa, co Madeleine śmieszyło nawet w trakcie paroksyzmu bólów. Poklepała Madeleine po policzku.

- Bałam się tych twoich wąskich bioder, ale z ciebie zuch, kwiatuszku. Odważnaś. Nie tak wiele dziewczynek rodzi u siebie, w domu. Na to trza odwagi.

- Co to jest na niej? Czy nic jej nie dolega? Położna zachichotała.

- Zaraz to z niej zmyję, jak tylko reszta wyjdzie z ciebie. A ty ją zachęć do ssania.

Mama stała przy niej z oczami pełnymi łez, ale Madeleine była jej wdzięczna, że się nie wtrącała do porodu. Teraz złożyła ręce nad główką nowo narodzonej.

- Magdaleno, to najpiękniejsze dziecko, jakie widziałam.

Madeleine spojrzała na maleństwo. Mój Boże... rzeczywiście, jaka ona piękna. To jest moja córeczka... Córka Forresta. Już teraz malutkie usta ułożyły się do ssania, na oślep, szukając źródła pożywienia. Przypomniała sobie wargi Forresta pieszczące jej sutek, dokładnie dziewięć miesięcy temu. A teraz będzie karmiła jego dziecko. Stało się tak, jakby koło fortuny zatoczyło zbyt szybki obrót i teraz Madeleine spotykała miłość w tym samym miejscu swojego ciała, ale w jakże odmienny sposób.

- Czy ma odpowiednią wagę? - spytała położną. - Sprawia wrażenie takiej kruszynki.

- Kwiatuzku, to pączek w maśle. Waży ze cztery kilogramy. Zaraz sprawdzimy, tylko przyniesę wagę z auta.

Rosaria chwyciła rękę Madeleine i zaczęła ją okrywać pocałunkami.

- Modliłam się do Miedzianej Dziewicy, żeby dała ci siły i aby mnie wysłuchała. Tak dobrze się spisałaś. Nie chciałam ci mówić, ale w chwili, gdy ukazała się główka dziecka, pojawiła się błyskawica.

Madeleine uśmiechnęła się mimo kolejnych skurczów.

- Och, mamó, daj spokój. Błyskawica? Niczego takiego nie zauważyłam.

- Mamcia ma rację - wtrąciła się położna. - Była błyskawica. Może jeszcze przyjdzie burza. Patrzcie na tę małą, już poznała cyca, jak tylko go przyuważyła.

Rosaria nadal ścisnęła rękę Madeleine.

- *Hijita*, twoje dziecko narodziło się na cześć Changó. Ona ma silną duszę.

Madeleine dostrzegła, jak położna spogląda na matkę, bez wątpienia zdumiona tą piękną, dziwacznie uczesaną kobietą w kolorowych szatach.

- Co to jest to... Changó? - zapytała.

- Bóg grzmotów i błyskawic - odparła Rosaria z pasją.

- Jasne - rzekła położna, tłumiąc śmiech. - Moja własna córka jest też tak jakby grzmotem, ale kiedy jest szczęśliwa, to rozjaśnia cały dom. Changó! Nie mogę się doczekać, aż jej to powiem. - Poklepała Madeleine po ręce. - Zobaczysz, kwiatuszku. To oznacza, że malutka będzie uparciuchem.

- Madeleine ma mnie, swoją mamę, która nią pokieruje. - Rosaria przyłożyła smukłą dłoń do serca. - To mogłoby być z powodzeniem moje dziecko. Mam dopiero trzydzieści siedem lat.

Położna wymieniła spojrzenie z Madeleine. Mama miała już trzy poronienia, ale ciągle starała się o dziecko. Pragnęła go ze wszystkich sił.

Znowu przeszył ją ból, a kiedy minął, ogarnęło ją skrajne znużenie.

- Zawołaj papę, szybko. Musi ją zobaczyć.

Rosaria pochyliła się nad maleństwem, ucałowała wilgotne ciemiączko. Następnie podeszła do drzwi i półgłosem wymówiła imię męża. Neville pojawił się natychmiast, nerwowo kręcąc się w progu.

- Nie wejdę do środka, moja dziewczynko - zapowiedział. - Jest mi niezręcznie wśród tych babskich spraw. Ale dobrze sobie poradziłaś. Kiedy wszystko zostanie uprzątnięte, wrócę tu i rzucę okiem.

- Papo, nie bądź śmieszny! - zawołała Madeleine. - To twoje pierwsze wnuczę.

Jego potężna sylwetka pojawiła się przy jej łóżku.

- Chryste Panie! - zakrzyknął, cofając się na widok sceny narodzin. - Czy jesteś pewna, że nie trzeba wzywać pogotowia?

Ledwie zerknął na pokrytą błoną śluzową istotę w ramionach córki i pogłaskał Madeleine po włosach.

- Czeka mnie grube cygaro hawańskie - rzekł, drżąc na całym ciele. - I ogromny kielich koniaku. - Przetarł brwi wierzchem dłoni. - Posłuchajcie obydwie - dodał. - Nie zamierzam ponownie przechodzić przez to wszystko.

- Mamo, on żartował - odezwała się Madeleine po jego wyjściu.

- Chłopy! - zauważyła położna.

Rosaria sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale podeszła do ołtarzyka w rogu pokoju i zapaliła świeczkę. Stał tam już bukiet i miseczka z wodą kwiatową. Rosaria pochyliła głowę i wymamrotała modlitwę do figurki

bóstwa umieszczonej na świętych kamieniach. Położna nie bardzo wiedziała, jak uniknąć tego widoku.

- Yemaya - zawodziła Rosaria - pobłogosław to dziecko. - Następnie zwróciła się do córki: - Magdaleno, mogłabyś dziecinie dać imię Maya, tak jak Yemaya, matka wszystkich bogów.

- Nie - sprzeciwiła się Madeleine, wpatrując się w noworodka w swoich ramionach, na ten cud, który był jej własnym dzieckiem. - Ona dostanie imię Mikaela.

Nie mogła wręcz uwierzyć w to, co wyczytała, jednakże szok, z jakim zareagowała na widok daty urodzenia Rachel, usiłowała pokonać za pomocą logiki i zdrowego rozsądku. Uspokój się, mówiła do siebie, nie bądź śmieszna! Ta data to jedynie obłąkany zbieg okoliczności. A poza tym Rachel nie została adoptowana. A nawet jeśli, to jakie byłyby szanse, żeby obie znowu zamieszkały w Bath i - co więcej - spotkały się w takim miejscu jak poradnia psychoterapeutyczna? Jakie było prawdopodobieństwo takiego zdarzenia?

Madeleine zagryzła wargę i ze zdumienia potrząsnęła głową. Cóż za zbieg okoliczności! Wsunęła portfel do torby Rachel i usiadła w fotelu, pełna poczucia winy. Gmerać w osobistych rzeczach pacjenta... to naprawdę niewybaczalne. Nigdy przedtem nie zrobiła czegoś podobnego.

Odwróciła się, żeby zerknąć na zegar. Minęło prawie pięć minut. Usiłowała poukładać myśli krążące jej po głowie. Choć zdawała sobie sprawę, że to praktycznie niemożliwe, w całym ciele czuła gorąco, oczy miała pełne łez. Kiedy skończy z tymi beznadziejnymi rojeniami? Nie może babrać się w nich przez całe życie. Ile razy fantazjowała na temat... dziewcząt spotkanych na ulicy, w barze, pchających przed sobą wózki, pracu-

jących w charakterze kelnerek, kasjerek, prezenterek telewizyjnych. Pewna młoda kobieta, malarka, którą napotkała na wystawie w galerii sztuki, jak się Madeleine wydawało, wyglądała i mówiła jak jej córka. Pasowała do roli, jaką wyznaczyła jej Madeleine, ale oczywiście znowu nie była tą osobą. Madeleine z trudem wykaraskała się wtedy z ogromnie kłopotliwej sytuacji. To się nie może powtórzyć!

Zamknęła oczy i głęboko oddychała, czekając na powrót pacjentki. Ze wszystkich sił starała się uspokoić dudniące w piersi serce.

Rachel usiadła i odezwała się niepewnym głosem:

- Skoro już złożyłam sobie przyrzeczenie, to o czym właściwie mamy rozmawiać?

Madeleine, ciągle podenerwowana i bez tchu, przez dłuższy czas wpatrywała się w nią. Kim ta kobieta w istocie jest? W jakim celu tu przyszła? Postanowiła się skupić i na razie odsunąć od siebie rozważania na temat swego odkrycia. Jej obowiązek wobec pacjentów polega przede wszystkim na przytomności umysłu i skoncentrowanej uwadze. Rachel doszła do punktu zwrotnego, należało teraz zastosować pogłębioną terapię. Był to moment, gdy terapeuta powinien iść ostro do przodu, a pacjent w tym samym czasie dochodzi do przekonania, że osiągnął pewien cel, i ogarnia go niechęć do dalszych sesji.

- Rachel, posłuchaj, nie sądz, że to obecnie kwestia priorytetowa, ale przecież rozumiesz, jak mało o tobie wiem? By zrozumieć, co cię pchnęło do takiego toksycznego związku, pomocna może się okazać eksploracja...

- Oho, znowu zaczynasz - przerwała jej Rachel z ironicznym chichotem. - Tresowanie, jak się załatwiać do nocniczka.

- Owszem, to dobry początek. - Dlaczego ta kobieta stale zbija ją z tropu i sprawia, że czuje się wręcz nieprzygotowana do zawodu? - Opowiedz mi o swoim dzieciństwie. Jakie było w twoich oczach?

- Jakie ono było? O Chryste. - Rachel zamilkła i zajęła się studiowaniem widoku za oknem. - Życzysz sobie, żebym wypluła z siebie wielkie traumy mojego dzieciństwa?

- Nie, wybór należy do ciebie, ale możesz mi pomóc? Chciałabym, żebyśmy dotarli do głębszych pokładów zrozumienia w...

- Głębszych pokładów zrozumienia? - Rachel małpowiała jej amerykański akcent, śmiejąc się przy tym serdecznie. Rzadko śmiała się

w ten sposób, prawdziwie rozbawiona, aż jej spuchnięta warga pękła i zaczęła krwawić. Wyciągnęła chusteczkę z pudełka na stoliku, przytknęła do ranki, ale nadal nie przestawała się śmiać, ukazując mocne zęby. Mimo opuchlizny i siniaków w jej oczach zapaliły się chochliki. Miała niezwykle oczy, najbardziej uderzający szczegół twarzy. Były skośne, głęboko osadzone. Madeleine wpatrywała się w nie bez słowa.

Rachel przestała się śmiać.

- Co się tak gapisz? Nigdy nie widziałaś skutków przemocy domowej? Pewnie nie... - drwiła. - Założę się, że jeszcze nie spotkałaś się z czymś takim.

Gadała, co jej ślina na język przyniosła, zapewne podekscytowana nikotyną. Madeleine, przypatrując się jej, znowu pogрузzyła się w myślach. Była w nich tak zatopiona, że przestała słuchać. Rozmyślała nad swoim teściem, Samem Serotą, ojcem Forresta. Matka Sama pochodziła z Kantonu i przybyła do San Francisco, żeby podjąć pracę w pralni swego wuja. Forrest natomiast był blondynem o piwnych oczach, wyglądał jak stuprocentowy amerykański chłopak, nie miał w sobie nic orientalnego. Niemniej geny przechodzą, jak chcą, czasami omijają któreś pokolenie. Madeleine, mając w sobie krew plemienia Joruba, mogła przyjść na świat jako dziecko o murzyńskim wyglądzie, ale nie miała żadnych widocznych cech negroidalnych.

- Hej, Madeleine! Słuchasz mnie?

- Tak, oczywiście. Czy możemy wrócić do sprawy twojego pochodzenia?

- Mojego pochodzenia?

- No tak, skąd wywodzą się twoi rodzice, dziadkowie... Madeleine zazgrzytała zębami ze złości na siebie. Jeszcze

przed pięcioma minutami postanowiła, że nie będzie poruszać tego tematu, a teraz brnęła w to pełną parą. Rachel wywróciła oczami.

- Mój tata pochodził z Exeter. Jego rodzice przeszli na wcześniejszą emeryturę i wyemigrowali do Australii, bo mieszka tam siostra taty z gromadką dzieci. Nigdy ich nie poznałam. Mama urodziła się w Bath, tak jak ja, ale jej ojciec był Szkotem. Miał tak silny akcent edynburski, że go tu nie rozumieli. Sięgnął po gorzałę, kiedy moja ciocia Rachel umarła na białaczkę, w wieku osiemnastu lat. Mama dała mi imię po niej. - Zmarszczyła brwi. - No i tyle. Pochodzenie zasadniczo porządne, ale nudne jak bajoro. No cóż, przełamalam tę tradycję.

- Tyle że nie wyglądasz jak Brytyjka.

- Nie?

- Z pewnością mogłabyś opowiedzieć mi o sobie dużo więcej.

Rachel nadal przykładała chusteczkę do krwawiącej wargi.

- Nie. Nie ma w tym nic ciekawego.

- Zastanawiałam się... twierdzisz, że niewiele pamiętasz z dzieciństwa. Czy to możliwe, że zostałam adoptowana? - Madeleine aż skrzyła się ze wstydu. Co, do cholery, wyprawia?

Rachel znieruchomiała.

- Dlaczego zadajesz mi takie pytanie?

- No... to by wyjaśniało wiele spraw na temat twojej niechęci do rozmowy o wczesnym dzieciństwie. - Madeleine zdawała sobie sprawę, że ta uwaga była całkowicie nie na miejscu. Spojrzała na zegar. Powinna skończyć tę sesję, zanim posunie się za daleko.

Rachel nabrała powietrza do płuc i przesadnie głośno westchnęła.

- Taa, może. Zastanawiałam się nad tym. Może i byłam. Madeleine wpatrywała się w nią z napięciem.

- Adoptowana?

- Taa, możliwe. Nie pamiętam nic sprzed piątego roku życia.

- Naprawdę? - Madeleine poczuła, że słabnie. Jej serce znowu zaczęło bić jak szalone, poczuła gorąco, na policzkach wystąpiły rumieńce. Czy powinna coś powiedzieć? Tak, powinna, a nawet musi. Ale jednocześnie uprzytomniła sobie, że jej osąd też podlega fantazjom i pobożnym

życzeniom. Pomyślała o niebezpieczeństwie wynikającym ze zbytnej impulsywności. Tego rodzaju zachowanie w odniesieniu do wrażliwego pacjenta może się okazać tragiczne w skutkach.

- Czy uważasz, że istnieje jakiś powód? Normalnie o czymś takim rodzice mówią dzieciom. To znaczy o tym, że zostały adoptowane.

Rachel przekrzywiła głowę, wpatrując się przez chwilę w terapeutkę, po czym zauważyła z ironią:

- Madeleine, szukasz czegoś, czego po prostu nie ma. Nie byłam adoptowana. Nie byłam wykorzystywana seksualnie. Nie prześladowano mnie w szkole. Nauczenie załatwiania się do nocnika było koszmarem, to jasne, tak jak przejście na pokarmy stałe. Nienawidziłam płatków owsianych. Boże, jakie to było traumatyczne.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nie pamiętasz niczego z czasów do piątego roku życia.

- Och, na miłość boską, żartowałam. A zresztą co za różnica? Kiedy mama umarła, zesłam na złą drogę, ale wtedy byłam już nastolatką. Uciekłam. Brałam dragi. Cięłam się. Kradłam rzeczy ze sklepów. A potem, by sprawić przyjemność mężczyźnie, w którym się zakochałam, pieprzyłam się z obcymi facetami za kasę. Przypuszczalnie wszystko to robiłabym bez względu na okoliczności. Pewnie mam naturę przestępcy, i tyle.

Madeleine nie słuchała jej uważnie. Pochłaniało ją studiowanie pacjentki. Rachel była wysoka, chuda, ręce miała wysmukłe i długie, zakończone palcami z kwadratowymi paznokciami, między brwiami miała wyraźną zmarszczkę gniewu... to wszystko było także szczegółami anatomii Madeleine. No

i data urodzenia Rachel... przyszła na świat w Bath... czy to nie za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności?

- Spójrz na zegar - odezwała się Rachel, przerywając Madeleine ciąg myśli. - Muszę iść.

- Poczekaj, mamy jeszcze dziesięć minut.

- A po co? I tak jesteś setki mil stąd. Madeleine się zawahała.

- Tak. Przepraszam. Nie czuję się... zbyt dobrze. Posłuchaj, nie wezmę honorarium za tę sesję. Czy możesz wrócić tu jutro? - Wzięła z biurka kalendarz, udając, że szuka w nim wolnego okienka.

Rachel uniosła brwi.

- Myślałam, że nie masz ani jednej wolnej godziny. Czemu nie mamy się spotkać w przyszłym tygodniu?

- Mogę się z tobą zobaczyć jutro w porze lunchu. Zgoda? Może byś przyszła o pierwszej.

Słyszając siebie, rozumiała, że ta sugestia brzmi dziwacznie, ale nazajutrz będzie wiedziała, co należy zrobić, co powiedzieć. Jeśli w ogóle poruszy ten temat. Odłożyła kalendarz i znowu popatrzyła na Rachel, ponownie wstrząśnięta swoim podejrzeniem (nawet jeśli było mało prawdopodobne). Ta zadziorna, gorzka, pobita, lecz niepokonana kobieta była być może jej własnym dzieckiem. Nagle uświadomiła sobie, że jest świadkiem cudu, ale to wzniosłe uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło, zastąpione przyływem paniki.

- Powiadomię Sylvie - wyjąkała.

Rachel rzuciła jej przeciągłe spojrzenie, po czym wzięła ze stolika okulary słoneczne i ostrożnie je nałożyła.

- OK, skoro nalegasz. - Wstała, potrząsając nogami, żeby rozprostować obcisłe nogawki dzinsów. - Ta cholerna baba nie mogła się powstrzymać od komentarzy pod moim adresem. Powinnaś jej powiedzieć, żeby nie wtykała nosa w cudze sprawy.

- Masz rację. Zwrócę jej uwagę. - Madeleine wzięła się w garść i też wstała. - Cieszę się, że byłaś dziś taka otwarta. - Jedynie to zdołała z siebie wykrztusić.

- Taa, prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, dokąd to wszystko - szczerze mówiąc - ma nas zaprowadzić.

- Tylko dbaj o siebie - odparła Madeleine, otwierając jej drzwi. - To znaczy... troszcz się... troszcz się o siebie, no i widzimy się jutro.

Rachel zatrzymała się w pół kroku, ze zmarszczonymi brwiami, ale z powodu przyciemnianych okularów nie sposób było odgadnąć, jakim wzrokiem spojrzała na terapeutkę. Zdziwionym, podejrzliwym, a może nieobecnym lub obojętnym? Obróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem, głośno stukając kowbojkami. W ręce trzymała paczkę papierosów i zapalniczkę. Madeleine patrzyła, jak się oddala: wysoka jak tyczka, wąska w biodrach długonoga kobieta z szopą rudych włosów, szeroka w ramionach, o prostych plecach.

- Kim jesteś? - wyszeptała Madeleine do siebie.

Po wyjściu Rachel usiadła na jej krześle, wdzięczna losowi za przypadającą właśnie przerwę na kawę. Miała zeszywniałe z napięcia ciało i niesprawny umysł. Jednakże w jej wnętrzu zachodził jakiś nowy proces. Coś, co tkwiło w niej jak bryła lodu, zaczynało pękać. Wszystko, co знаła i czuła, zaczynało się rozpadać. Jednakże nie potrafiła przeanalizować odbywającego się w niej kataklizmu.

Ujrzała przed sobą twarz Forresta.

- Boję się - szepnęła. - Forrest? Słyszysz mnie?

W trakcie całego ich małżeństwa na to właśnie liczyli - że któregoś dnia odnajdą Mikaelę, że gdy ona osiągnie pełnoletność, wpisze się na listę dzieci poszukujących swoich biologicznych rodziców. Ich nazwisko widniało tam od dawien dawna i w miarę upływu lat coraz częściej kontaktowali się z ośrodkiem, by się dowiedzieć, czy Mikaela próbowała nawiązać z nimi kontakt. I otrzymywali zawsze taką samą odpowiedź: państwa córka nie kontaktowała się z nami, nie, nikt nie wie, gdzie mieszka, owszem, mogła wynieść się za granicę, wyjść za mąż, a nawet umrzeć.

A teraz może właśnie się pojawiła, może to jednak ona.

Zjawia z przeszłości pod postacią pacjentki. Gniewna kobieta, okaleczona fizycznie i emocjonalnie. Madeleine zdołała się zorientować, że Rachel gardzi mężczyznami, ale gdyby знаła Forresta, swojego ojca, pewnie by nie doszło do rozwoju w niej autodestruktywnych impulsów i uchroniłoby to przed związaniem się z tak groźnymi typami. To była wina Madeleine. Dwa razy oddała córkę, dwukrotnie ograbiła Forresta z jej posiadania. A on tak bardzo pragnął mieć dzieci. Żadna liczba pacjentów w potrzebie lub osamotnionych więźniów - nic, co uczyniła dla innych - nie rozgrzeszy jej z tego, co uczyniła swoim najbliższym.

Drzwi do gabinetu obok otwarły się, w korytarzu zabrzmiał głos Johna. Właśnie wyszła od niego pacjentka. Madeleine postanowiła, że musi z nim porozmawiać. Jest jedyną osobą, której może się zwierzyć. Zerwała się z krzesła i podbiegła do jego drzwi. Kiedy zajrzała do środka, John właśnie rozkładał na stoliku swój lunch. Spojrzał na nią z zażenowanym uśmiechem.

- Do przyścia Edny Rosen został mi kwadrans. Muszę się wzmocnić.

Zaledwie kwadrans. Madeleine pożałowała swojego impulsu. W jaki sposób w tak krótkim czasie zdoła wyznać mu swoje podejrzenia co do tożsamości Rachel, skoro biedny John nie wiedział nawet, że kiedyś urodziła dziecko? Najpierw musi się mu wypowiedzieć z tej historii.

- Co się dzieje? Nie stój tak. - John wspiął się na palce, żeby ściągnąć z półki duży kubek. - Hej, dziewczyno, poczęstuj się. - Angus, jego partner, wstawał codziennie wczesnym rankiem, że przygotować mu do pracy królewski posiłek. W salaterce na stoliku stała teraz sałata z dużymi kawałkami sera feta, zmieszana z pokrojonymi w paski pomidorami suszonymi na słońcu i połyskliwymi czarnymi oliwkami. John zaczął przekładać solidną porcję do kubka.

- Proszę, nie. Nie jestem głodna.

- A powinnaś być. Usiądź, dobrze? - nakazał, podsuwając połowę smakowitego dania. Z szuflady wyciągnął zapasowy widelec. - Trudno

nie zauważyć, że straciłaś na wadze. Spójrz na swoje spodnie. Świetnie opinały ci półdupki. Z przyjemnością im się przyglądałem.

- Byłam szczęściarą - odparła z uśmiechem, zaskoczona normalnym tonem swojego głosu.

Na stole pomiędzy nimi mignął promień słońca. Oboje jak na komendę spojrzeli przez okno na ciemny obłok, w którym ukazała się szczelina. Z niej właśnie wyłonił się życiodajny snop światła, znajdując sobie drogę wprost do nich.

- No popatrz. Słońce! - wykrzyknął John, wgrzyzając się w kawałek chleba pita. - Masz jutro jakąś randkę?

- Owszem, z Edmundem Furie. Mam z nim randki w każdy piątek.

John pociągnął duży łyk wody mineralnej i wręczył butelkę przyjaciółce.

- Jasne, twój przyjaciel morderca. A jakie masz plany na weekend?

O Boże. Długi majowy weekend wisiał nad nią jak upiór.

- No cóż, jak zwykle pojedę odwiedzić Rosarię. Chcę ją wyciągnąć z ośrodka na cały dzień. Nie miała takiej okazji od... wielu tygodni.

John przestał żuć i zerknął na nią.

- Tak... a potem?

Ich oczy spotkały się na moment. Madeleine szybko spuściła wzrok. Dlaczego mu nie powie? Dlaczego nie wyrzuci tego z siebie? Ponieważ nie byłoby to fair ani wobec niego, ani wobec Edny Rosen. W jaki sposób John mógłby poświęcić swojej pacjentce niezbędną uwagę, skoro Madeleine zrzuciłaby na niego nie jedną bombę, lecz dwie? Mogłaby poprosić, żeby został z nią po pracy. Tak, to najlepsze wyjście. Teraz należy zachowywać się normalnie, a szczerze porozmawiać potem.

John poprawił okulary na nosie i przez dłuższy czas bacznie się jej przyglądał.

- A kiedy już skończysz zajmować się tymi wszystkimi ludźmi, to co zamierzasz robić?

- W niedzielę chyba poświęcę się mrówkom, no wiesz, moja nowa seria. To jest zawsze ekscytujące - wybąkała.

- Mam na myśli ludzi. Normalne kontakty z innymi.

- Och, pewnie pójde na *speed-dating* i poderwę sobie jakiegoś chłopa.

- Włożyła do ust spory kawałek fety, ale gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła go przełknąć. - Jak wiesz, moje potrzeby seksualne wymagają zaspokojenia. A potem może umówię się z kumpelami i upiję się w pubie... I wezmę ze schroniska bezdomnego psa, będę się do niego tulić, szeptać mu do ucha...

John wcale się nie roześmiał. Pochylił się nad stołem i mocno ścisnął ją za nadgarstek.

- Co się z tobą dzieje? Co jest?

Madeleine poczuła się tak, jakby za chwilę miała eksplodować. Walczyła ze sobą, żeby natychmiast nie zrzucić z siebie brzemienia. Bez przerwy przełykała ślinę, by przepchnąć kawałek sera, który utkwiał w przełyku. Odsunęła kubek z sałatką, sięgnęła po butelkę z wodą.

- Jestem zmęczona. Źle sypiam. Martwię się matką i stale wracam myślą do przeszłości. - Wyliczając te powody, miała świadomość, że mówi prawdę. Czy wypada wspomnieć o jakichś katastroficznych przeczuciach? Dziwne aluzje mamy, jej własny rosnący niepokój. Czy spotkanie z córką było jej pisane? Z trudem panowała nad sobą, żeby nie wyrzucić z siebie tych dziwacznych myśli.

John znowu podsunął jej kubek.

- Mówisz szczerze? Czy nie chodzi przypadkiem o tego typa od wykopywania kości? Gordona? Tak, tak, nie przypominaj mi. - Machnął ręką, żeby nie próbowała mu przerywać. - To ty postanowiłaś go rzucić. Kupuję to. Miałaś ku temu powody.

- Nie! - odwarknęła, zdumiewając ostrym tonem i Johna, i samą siebie.

- To nie o niego chodzi. Z nim naprawdę skończyłam.

John wpatrywał się w nią, nie kryjąc troski. Dzięki jego serdeczności uścisk w gardle ustąpił. Z oczu popłynęły jej łzy.

- Ależ Mad... o mój Boże! - John wstał i szybko podbiegł do niej.

Przyklął na jedno kolano, objął ją obiema rękami.

- Posłuchaj. Jedziesz na weekend z Angusem i ze mną do naszego domku. Angus cię podkarmi, poza tym będzie miał ze sobą temazepam. Jest od niego praktycznie uzależniony, ale spróbuję go przekonać, żeby podzielił się z tobą. W ten sposób prześpisz parę nocy.

Madeleine płakała bezgłośnie, czując się jak idiotka.

- Czy to taki dobry pomysł? - wyjąkała. - Przecież Angus mnie nie lubi.

- On ciebie nie zna, głuptasie. Jest zazdrosny, bo wie, że przepadam za tobą. No i ma prymitywne wyobrażenia o Amerykanach. Ale uważaj, jeśli dasz mu szansę, żebyście się bliżej poznali, będzie zachwycony.

Sięgnął po pudełko z chusteczkami stojące na podręcznym stoliku, wyjął od razu kilka sztuk i począł nimi ocierać zapłakaną twarz Madeleine.

- Zobaczysz, przypadniecie sobie do gustu. Głośno wytarła nos.

- To byłoby niezręcznie. Ja w sypialni sąsiadującej z waszą. Wejść wam w szkodę.

- Na jeden weekend możemy wstrzymać się z seksem.

- A niby z jakiego powodu?

- OK. Wobec tego umieszczę cię w przyczepie kempingowej. Jest tam przytulnie i sucho. Dostaniesz nowy luksusowy materac. Wyśpisz się tam jak nigdy przedtem.

- Ale Rosaria jest...

- Madeleine! - ryknął. - Przestań się wykrecać. Mniejsza o twoją cholerną mamę. Nic się nie stanie, jak poczeka na ciebie do przyszłego weekendu.

Tak, chyba ma rację. Weekend w wiejskim domku może być właśnie tym, czego potrzebuje. Wzmocni się psychicznie

i będzie miała okazję do wyznań. Winna jest przecież Johnowi wyjaśnienie po tylu latach milczenia.

Zadzwoił telefon.

- To Edna. - John westchnął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sylvia przekrzywiła głowę, podejrzliwie przyglądając się Madeleine.

- Po co spotykasz się z tą Locklear w czasie przerwy na lunch? Przecież widziałas się z nią zaledwie wczoraj.

Właśnie szykowała się do wyjścia, wkładała pojemnik z wegańskimi kanapkami do przepastnej torby z ratanu. Madeleine postanowiła odpłacić jej pięknym za nadobne. Recepcjonistka była, niestety, niewolnicą dziwacznej mody. Jej bawełniana sukienka wyglądała jak ściągnięta z wieszaka lumpeksu, skórzany naszyjnik ciasno opinający szyję jak ze sklepu dla czworonogów, a bransoletka przypominała psie kupy nawleczone na sznurek.

- Co to za tematyka kynologiczna, Sylvia?

- O co ci chodzi?

- No, idź. Miłego lunchu.

Przez poczekalnię przebiegł John, jak zwykle rozchełstany i w wiecznym pośpiechu.

- Zabieram Angusa do kręgarza - rzucił bez tchu. - Umowa na weekend stoi, prawda?

- Jasne, Johnny. Skoro powiedziałam, że będę, to na pewno przyjadę.

Po wyjściu obojga Madeleine zasiadła na krześle Sylvii, żeby poczekać na Rachel. Zazwyczaj przychodziła punktualnie, jednakże obie wskazówki zegara ściennego już minęły

cyfrę „jeden”. Madeleine była zdenerwowana, bo spędziła kolejną bezsenłą noc na rozważaniach, jak się uporać z tą sytuacją. Postanowiła wyznać prawdę. Powie Rachel, że miała córkę, która przyszła na świat tego samego dnia, miesiąca i roku co ona, i że obowiązkiem zawodowym Madeleine jest dokładnie zbadać ten zdumiewający zbieg okoliczności. Chociaż Rachel nie wypełniła odpowiedniej rubryki w formularzu, Madeleine postanowiła, że będzie się upierać, iż pacjentka wspomniała o dacie urodzenia w trakcie którejś z sesji. W ten sposób nigdy nie przyjdzie jej do głowy, że terapeutka szperała w jej rzeczach lub ustaliła tę datę w inny nieetyczny sposób.

Madeleine zdecydowała też, że ponownie zapyta Rachel, czy istnieje jakakolwiek możliwość, że została adoptowana. Może przybrani rodzice zataili przed nią ten fakt. Będzie się dalej dopytywała, czy egzotyczna uroda Rachel nie wskazuje czasem na nieangielskie geny. O Boże! W świetle dziennym wszystko to wydaje się jeszcze bardziej zagmatwane. No cóż, musi sobie z tym poradzić. Będzie się starała mówić w zrównoważony, logiczny sposób, kładąc nacisk na fakt, że jeśli są ze sobą spokrewnione, należy natychmiast przerwać terapię. Cholera! Brzmi to okropnie. Lepiej wyrazić się w ten sposób: „Ważne jest, by jak najszybciej przekreślić taką możliwość”. Wtedy nie będzie potrzeby wracać do sprawy i można spokojnie kontynuować terapię.

Ćwicząc w myślach przebieg hipotetycznej rozmowy, Madeleine aż się skuliła ze strachu. Wyobraziła sobie surową minę Rachel. Na takie dictum jej pacjentka pewnie wybuchnie ironicznym śmiechem i poradzi terapeutce, żeby sama poddała się leczeniu.

Zerknęła na zegar. Dziesięć po pierwszej.

Na tacce z przychodzącą korespondencją leżała książka. Madeleine wzięła ją do ręki. A to dopiero: *I Ching*. Jej wścibska recepcjonistka bez wątplenia korzysta z tej księgi chińskich mądrości, żeby doradzać biednym ludziom, którzy źle się czują w trakcie terapii. Zaczęła kartkować księgę. Mimo że Forrest miał babkę Chinkę, Madeleine nigdy nie przejawiała

szczególnego zainteresowania chińszczyzną. W charakterze swego przewodnika duchowego używała grubego tomu *dillogun*, spisu wyroczni santerii. Podobnie jak *I Ching*, *dillogun* nie był jedynie narzędziem niezbędnym do przepowiedni, lecz wrotami do potężnego procesu transformacji. Choć jej wiara została po części nadszarpnięta przez matkę, która nieraz odwoływała się do santerii, by zaszkodzić wrogom, a po części przez Forresta, który bez litości sztychował z tego kultu, Madeleine czasami ubolewała nad swą duchową utratą. Santeria opierała się na pięknie i tajemnicy, była praktykowana od tysiąca lat. Madeleine w młodości ufała jej potędze. Po przeprowadzce do ogołoconej spirytualnie Anglii z łatwością ją odrzuciła jako kult dziwaczny i nieskuteczny. Teraz zatęskniła za jej mądrością, pragnęła jakiejś wskazówki ze strony wyższych bytów. W Anglii nie знаła żadnego wyznawcy santerii (prócz Rosarii), do którego mogłaby się zwrócić z prośbą o poradę, choć z pewnością było ich tu wielu. Postanowiła więc sięgnąć po tę księgę po powrocie do domu. Wtedy przypomniał sobie słowa przepowiedni.

Minuty mijały. Dwadzieścia po pierwszej Madeleine doszła do wniosku, że Rachel się nie pojawi. Z jakiego powodu? I dlaczego nie zatelefonowała, żeby odwołać sesję? Całkiem możliwe, że zniechęciło ją wczorajsze przesłuchanie, dziwne zachowanie terapeutki i jej zbyt natarczywe pytania. Czy to oznacza, że już nigdy nie wróci? Przyszło jej na myśl, że może sama Rachel zaczęła kwestionować ich wzajemny stosunek, który i w niej wzbudził podobne podejrzenia. Jeśli tak się stało, to Madeleine już jej pewnie nie zobaczy. Przecież jej córka Mika-ela nigdy nie chciała nawiązać z nią kontaktu.

Zamknęła drzwi do poradni i wyszła na dwór. Ludzie nadal tłoczyli się przed restauracyjkami w pasażu, czekając na wolny stolik. Madeleine nie miała apetytu. Ponieważ świeciło słońce, postanowiła się przejść, próbując szybkim marszem odegnać od siebie poczucie głębokiego rozczarowania. Mniejsza o to, kim jest Rachel. Tak czy inaczej, straciła pacjentkę, której los

nie był jej obojętny. Jeśli Rachel więcej się nie pojawi, a tego się teraz spodziewała, będzie jej bardzo brakowało ostrej, stanowczej wymiany zdań, a nawet sarkazmu i szyderstwa tej szalonej kobiety, która nieraz drwiła z naiwności swojej terapeutki. Rachel ujawniła przed nią tę stronę życia, która dla Madeleine była całkowicie nieznana. Tak, z pewnością wiele nauczyła się podczas tych sesji.

Trasa jej wędrówki wiodła wzdłuż rzeki, potem mostem Pulteney na drugi brzeg, a stamtąd w lewo do Henrietta Street, pełnej wdzięku krętej uliczki zabudowanej domami w stylu króla Jerzego. Naprzeciwko znajdował się park, który kiedyś dobrze знаła.

Każdego ranka skręcały do parku Henrietty. Był to niewielki teren, zajmujący zaledwie kwartał ulic, ale rosły na nim jedne z najstarszych drzew w Bath, zapewniające chłodny cień nawet w największe upały. Dziś jednak potężne platanu pozbawione liści wyglądały jak szkielety, a rosa pokrywająca trawniki sprawiała wrażenie zimnego srebrnego kobierca.

Rosaria pchała wózek, Madeleine wlokła się kilka kroków za nią. Chociaż była chuda jak patyk, ciało niewiarygodnie jej ciążyło, a nogi miała niczym odlane z ołowiu. Jej matka natomiast wyglądała jak odrodzona. Z tyłu można ją było wziąć za młodą dziewczynę. Miała kruczoczarne włosy do pasa i poruszała się z gracją, niemal biegła. Jej zależność od Madeleine ustąpiła wskutek niespodziewanego macierzyństwa. W jej głosie słychać było entuzjizm, a dziecko odpowiadało wesołym gaworzeniem.

Natomiast Madeleine była półżywa. Lekarz zdiagnozował u niej depresję poporodową, która wcale nie chciała ustąpić. Zaraz potem zapadła na infekcję, która kiedyś, przed wynalezieniem penicyliny, zabijała położnice tysiącami. Rosaria namówiła ją, żeby odbyła poród w domu, a lekarz nie zgłaszał sprzeciwu. Kiedy jednak wywiązała się infekcja, szybko zwałił winę na brak higieny w warunkach pozaszpitalnych i odzegał się od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Madeleine prze-

wieziono do szpitala, gdzie trzymano ją przez trzy tygodnie, matka w tym czasie bez reszty zajmowała się noworodkiem. Następnie Madeleine spotkał kolejny cios, niczym uderzenie w twarz: poinformowano ją, że przypuszczalnie już nigdy więcej nie zajdzie w ciążę.

Wlokła się więc za matką i swoją dziewięciomiesięczną córeczką. Z początku panicznie bała się wychodzenia na dwór, przypadkowego spotkania z dawnymi kolegami i koleżankami idącymi do szkoły. Kim oni byli, ci młodzi ludzie w mundurkach, zmierzający do celu? Teraz nic ją nie obchodziło. Sercem była gdzie indziej, nienawidziła tego miejsca. Nie dlatego, by Bath brakowało piękna. Było to miasto imponujących fasad ze złotawego kamienia, z których część pokrywał wielowiekowy osad. Oddałaby jednak wszystko w zamian za dom wzniesiony z wysuszonego na słońcu drewna, z turkusowymi żaluzjami, z bogato rzeźbioną werandą, na której siedziała papuga skrzecząca do przechodniów, za dom z blaszanym dachem, który lśnił w oślepiającym słońcu. Tęskniła za czymś tak zwyczajnym jak kogut ścigający kurczaki na jezdni albo jaszczurka wspinająca się po murze. Platany i kasztanowce w Bath były majestatyczne, ale nawet nie równały się z ketmiami z ich czerwoną korą, z jacarandami i banianami, z zielonymi fontannami palm kokosowych i daktylowych.

- Poczekajcie na mnie! - zawołała.

Matka przystanęła i obróciła się w jej stronę.

- Pospiesz się, Magdaleno. Człapiesz jak staruszka. - Odpięła pasy w wózku i wzięła dziecko na rękę. - *Quito chiquilla*. Musimy poczekać na twoją siostrę.

Siostra. Tym teraz była. Sprzeciwiała się temu, ale mama ani myślała ustąpić, a jej władza jako santery była przepotężna. Natomiast Madeleine czuła się tak, jakby opuściły ją wszystkie siły. Była pewna, że nie stała za tym mama, przecież kochała swoją Madeleine... ale bardziej kochała maleństwo, to było widać gołym okiem.

Kiedy wróciły do domu, był tam papa Neville. Kupił to gmaszysko w stylu króla Jerzego, spełniając chwilową zachciankę, ale coraz rzadziej się w nim pokazywał. Madeleine rzuciła mu się w ramiona.

- Hej, dziewczynko - bąknął zaskoczony. Już nie dochodziło między nimi do objawów czułości. W miarę upływu lat Neville coraz bardziej dystansował się od rodziny, zajmując się przede wszystkim swoją sztuką.

- Papo, czy moglibyśmy pojechać na wakacje do domu? Nie byliśmy tam prawie półtora roku. Naprawdę nienawidzę tego miejsca.

Jej ojciec zwrócił się do Rosarii:

- Widzisz, co się tutaj dzieje? Dzieciak opuścił cały semestr.

- Doktor twierdzi, że nie musi chodzić. - Rosaria wzruszyła ramionami. - Zresztą ona nie chce się tam pokazywać.

- To idiotyczne. W najbliższy poniedziałek wraca do szkoły, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiała powtarzać rok. Na miłość boską, musi zdać egzaminy.

Madeleine uszczypnęła go w ramię.

- Jestem tu! - krzyknęła. - Możesz mówić do mnie. Nie potrzebujemy pośrednika.

Zdjęła kurtkę, zrzuciła buty i pobiegła do oranżerii, jedyne miejsce w domu, które mogła znieść. Spędzała tam całe dni na starej, wyliniałej sofie pozostawionej przez poprzednich właścicieli, siedząc z podkurczonymi nogami i szkicując mrówki. Rysunkami tysięcy tych stworzeń zapełniała kolejne kartki, które w końcu zsuwały się na podłogę.

Teraz rzuciła się na sofę z okrzykiem:

- Jestem amerykańską dziwką, która dała sobie zrobić brzuch i ma popapraną, pierdoloną rodzinę. I co, wyobrażacie sobie, że wrócę do szkoły i spojrzę ludziom w twarz?

W oranżerii pojawił się Neville.

- Uważaj, co mówisz, gówniario. Co ci odbiło? Nie wolno zwracać się w ten sposób do rodziców.

- Doprawdy? - odparła drwiącym tonem. - Świetnie się nadajesz do wydawania rozkazów. Nigdy cię tu nie ma. Mama

nie pozwala mi dotknąć własnego dziecka. Nazywa mnie siostrą, do cholery. Jestem tu tylko pieprzoną częścią zapasową.

- Jak ty się wyrażasz - wyjął bezradnie Neville. Madeleine spodziewała się, że zawoła na pomoc matkę, ale

na szczęście tego nie zrobił. Zamknął za sobą drzwi i przysiadł obok niej, czekając, aż przestanie płakać. Zaczął podnosić rysunki z podłogi.

- Mój Boże, dziewczyno! - wykrzyknął. - No popatrz, odziedziczyłaś talent po ojcu.

Nie odpowiedziała. Nie chciała po nim niczego dziedziczyć.

Wziął do ręki kilka następnych szkiców.

- Dlaczego aż tyle mrówek?

- Powinieneś wiedzieć - odburknęła przez łzy. - Sam mnie tego nauczyłeś.

Uniósł wzrok, spojrzał na nią badawczo.

- Czego chcesz, dziewczynko? Czego pragniesz od życia?

- Niewiele. Chcę zająć się moim dzieckiem i wrócić do domu.

Pokręcił stanowczo głową.

- W obu wypadkach jesteś na to za młoda.

- Gówno prawda. Mam siedemnaście lat. Jeśli zechcę, zrobię i to, i to.

- To by załamało twoją matkę. O to ci chodzi?

- Och, świetnie. Zwał winę na mnie. Dlaczego, do cholery, ciebie tu nie ma? Ty jesteś jej mężem. - Oskarżycielskim gestem dźgnęła go palcem w pierś. - Problem polega na tym, papo, że masz własne życie. Mama cieszy się dzieckiem, ja mam być tu dla jej towarzystwa, i w ten sposób ty, Neville Frank, możesz być wielkim artystą oraz lowelasem.

Uderzył ją w twarz, nie za mocno, ale dotkliwie. Policzek przywołał ją do porządku, rozjaśnił w głowie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu uświadomiła sobie, że potrafi myśleć precyzyjnie. Odezwała się lodowatym tonem:

- A co ty, do diabła, robisz w Londynie i z kim? Buntowniczo uniosła głowę i nadstawiła drugi policzek,

ale uderzenie nie nastąpiło. Zerknęła na ojca i zobaczyła, że patrzy przez okno. Kiedy zaczął mówić, nie odwrócił się do niej twarzą.

- Skoro wyrażasz się tak jasno, powiem ci, co się dzieje. I rabowałem przekonać twoją matkę, żeby zabrała ciebie i dziecko z powrotem do Key West, żebyście tam zamieszkały na stałe. Rosaria miałaby się tam dużo lepiej. Zapewniłbym wam wszelkie środki do życia. Ale matka kategorycznie odmawia odejścia ode mnie. Dla niej małżeństwo jest na zawsze.

- Szczęściarz z ciebie. - Madeleine starała się opanować sarkazm. - Masz fart, trafiając na taką lojalną i oddaną ci żonę.

- Nie myśl, że jej nie kocham - odparł niepewnym głosem.

Popatrzyli na siebie. Jakże byłoby wspaniale, gdyby cała ich czwórka wróciła do domu. Gdyby tylko znaleźli się tam pod jednym dachem, zapanowałyby zgoda. Papa włożyłby swój słomkowy kapelusz, usatkwował się w swej pracowni i szalał na punkcie mamy, z dumą pokazując ją znajomym. W ich domu znowu zagościłaby miłość. Była o tym przekonana. Jednakże Neville miał inne plany. Wobec tego musi sama podjąć decyzję.

- Dobrze. Posłuchaj, wiele na ten temat myślałam. Szarpię się z tymi myślami od miesiący - wyjąkała ze ściśniętym gardłem. - Taka sytuacja jest nie do zniesienia. Mama i ja nie możemy ciągle walczyć o Micki. Skończy się na tym, że znienawidzimy się wzajemnie.

Neville spojrział jej w oczy.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Kapituluję, papo. Odeślij mnie do domu. Mama zajmie się Micki. Nawet gdybym próbowała, nie zdołam ich rozdzielić. Jak sam widzisz, cokolwiek w tej sprawie zrobię, będzie źle. Pragnę, żeby mama była szczęśliwa, i nie chcę, żebyście się rozwiedli.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym położył potężną dłoń na ramieniu córki.

- A więc uparłaś się, żeby wrócić? Madeleine strząsnęła jego rękę.
- Musisz mi obiecać, że będziesz się o nie troszczyć. Mamie jest tu źle, w ogóle nie powinna tu mieszkać. Będzie cię potrzebowała.
- Może tak będzie lepiej, dziewczynko. Trzeba spróbować.
- Nie nazywaj mnie więcej dziewczynką. A odtąd jesteś dla mnie jedynie Neville.

Rozległ się głos silny jak dzwon. To Rosaria śpiewała kubańską milongę, a dziecko krzyczało z radości.

Madeleine postawiła walizki na ganku i zaczęła wodzić ręką po drzwiach, czując pod palcami rowki, kółka i esy-floresy. Kiedy miała osiem czy dziewięć lat, Neville pozwolił jej narysować wzór, który następnie własnoręcznie wrył na panelach. Włożyła klucz do zamka, przekreśliła go. Drzwi się zacięły. Po ostatnich ulewach pewnie nasiąkły wodą. Po lekkim kopnięciu w końcu ustąpiły.

Dom sprawiał wrażenie niezamieszkanego od lat, choć od ich przeprowadzki z Key West do Anglii minęło zaledwie półtora roku. Madeleine stała przez dłuższą chwilę bez ruchu, wdychając znajomy zapach wysuszonego na słońcu drewna. Nawet ból po opuszczeniu Micki zelżał na chwilę.

Wszędzie unosił się kurz, a z kuchni docierał jakiś wstrętny odór. Jak się okazało, były to ptasie odchody. Pewnie rodzina gołębi wychowała kilka pokoleń piskląt, uwiwszy gniazdo w spiżarni. Ktoś, pewnie miejscowy wandal, przedziurawił siatkę przeciwko owadom, ale poza tym nie widać było śladów włamania. Madeleine już zdążyła zauważyć, że od zewnątrz dom wymagał pilnego remontu. Na werandzie widniały kupki trocin. Pomyślała z obawą, że zagnieździły się tu termyty. Po-
stanowiła przy najbliższej okazji wspomnieć o tym ojcu przez telefon. Obiecywał, że takie wydatki weźmie na siebie.

Obchodziła skąpo umeblowany dom, otwierając okna i podnosząc drewniane żaluzje. Światło wdarło się do środka wraz ze świergotem ptaków i dźwiękami muzyki raggae, dobiegającymi z sąsiedniego ogrodu. Zastanawiała się, w którym pokoju ma się ulokować. Z każdym z nich były związane inne wspomnienia. W sypialni rodziców znajdował się ołtarzyk mamy - niewielki stolik przykryty czerwonym haftowanym obrusem z siedmioma świętymi kamieniami. Pośrodku, na postumencie z

konch, stała czaszka jakiegoś niedużego ssaka. Mama zostawiła ją tutaj, żeby strzegła domu. Był to poruszający widok, który niemal doprowadził Madeleine do łez. Biedna mama, nic dziwnego, że w tym przeklętym Bath traktowano ją jak pomyłkę. Anglicy nie są ludźmi uduchowionymi, nie znajdują zrozumienia dla magii. Ich strata. Matka potrafiła uczynić niewiarygodne rzeczy dla innych. Umiała ich także zniszczyć i wywołać chorobę u tych, którzy weszli jej w paradę.

Wyszła na dwór, żeby zerknąć na ogród. Stał się prawdziwą dżunglą. Facet, który miał się nim zajmować, pewnie zaśmiewał się przez całą drogę do banku po wypłatę albo - co bardziej prawdopodobne - od razu przepijał ją w barze. Sprawdziła, czy coś zamieszkało w stawie, na których drzewach ptaki uwiły gniazda, czy na palmach kokosowych owoce są już tak dojrzałe, że gdy spadną na głowę, to mogą spowodować pęknięcie czaszki. Parę lat temu kokos spadł sąsiadowi na ramię i złamał mu obojczyk. Gdyby trafił w głowę, mógłby zabić. Figowiec bengalski bardzo się rozrósł, a jego korzenie za kilka lat pewnie rozplenią się po całym ogrodzie. Po kręconych schodkach wspięła się do domku na drzewie. Czy nadal żyje poczciwy stary Angelo? Po dziesięciu latach budowla wyglądała równie solidnie jak w dniu ukończenia. Z platformy na drzewie rozciągał się widok na niemal całe Key West - zielony krajobraz z połyskującymi gdzieś dachami z cyny, co wyglądało jak setki lusterek obróconych ku słońcu i oblanych ze wszystkich stron oceanem. Przy Mallory Square stał zacumowany potężny statek wycieczkowy, większy od jakiegokolwiek budowli na wyspie.

Klucz do pracowni Neville'a znalazła tam, gdzie zawsze tkwił - pod daszkiem, wiszący na zardzewiałym gwoździu.

Gdy tylko stanęła w progu drewnianej budy, natychmiast zrozumiała, gdzie zamieszka. Wnętrze było zaniedbane, wszędzie zwieszały się pajęczyny, ale tu właśnie spędziła w dzieciństwie dużo czasu, zaaferowana wieloma rzeczami, którymi matka z pewnością nie chciałaby jej zainteresować. Nawet terrarium na mrówki zrobione przez Angela nadal stało na półce, tyle że puste, bo jego mieszkańcy dawno już wyprowadzili się gdzie indziej. Rozsuwając spłowiełe kretonowe zasłony, by odsłonić ścianę ze szkła, uśmiechnęła się do siebie. Postawi przy niej łóżko i w ten sposób, gdy tylko rano otworzy oczy, cały ogród będzie należał do niej.

Stary Chevrolet camaro stał porzucony na podjeździe. Całe nadwozie pokrywała lepka maź skapująca z figowców posadzonych przy wejściu. Po osiemnastu miesiącach akumulator padł, z dwóch opon uszło powietrze. Madeleine zrzuciła botki i džinsy, włożyła szorty, wsunęła stopy w sandały. Poszła do Boba Woodsa, emerytowanego mechanika samochodowego który mieszkał przy końcu alejki na tyłach domów. Poprosiła, 'żeby zajrzał do niej i uruchomił camaro. Zakomunikowała *mu*, że ma już siedemnaście lat i że z miejsca zrobi prawo jazdy Jego żona posadziła ją w fotelu bujanym na ganku i przyniosła szklanek mrożonej herbaty oraz kawałek ciasta z limonką. Czy Madeleine nie chciałaby czasem kociątka z sześcioma palcami autentycznego potomka stada kotów należących do Hemingwaya? Boże, jak cudownie znaleźć się z powrotem w domu.

- Jasne, pani Woods. Z rozkoszą wezmę kociaka z sześcioma palcami.

Jednakże radość z powrotu w rodzinne strony natychmiast ustąpiła pod naporem dojmującego smutku. Kiedy znów zobaczy swoje dziecko? Mikaela znajdowała się o tysiące kilometrów od niej. Była w dobrych rękach, nie ulega wątpliwości, ale nie były to jej ręce. Już sporo dowiedziała się o życiu-niektóre rzeczy możesz mieć, a innych nie. Nie należy żądać zbyt wiele. Bo wtedy można stracić wszystko.

Jednakże o niektóre utracone rzeczy można było zawalczyć, angażując do tego kobiecą przemyślność i nieco zdolności detektywistycznych. Z tą myślą dwa tygodnie później Madeleine znalazła się na autostradzie numer jeden, zmierzając autobusem dalekobieżnym w stronę Miami. Kilka odpowiednio zadanych pytań w okolicy portu rybackiego przyniosło rezultat - adres w Key Largo, motel Dolphin Lodge. Podróż ciągnęła się przez dobre trzy godziny, wliczając w to przystanki, ale Madeleine nie przeszkadzała ani upał panujący w autokarze, ani siedzący za nią małolat, który wyrzygał swój lunch, łącznie z fontanną świeżo wypitego piwa.

Połączone równoległe ciągnącymi się mostami - starymi i nowo wzniesionymi - ciągnęły się wyspy należące do archipelagu Keys: Big Pine, Marathon, Dayton, Isla Morada, Tavernier i pomniejsze wysepki między nimi. Chłopak z tyłu palił teraz skręta, ale nikt nie protestował. To ogólnie znany fakt, że konopie pomagają na chorobę lokomocyjną, a poza tym zapach marihuany skutecznie neutralizował tamten odór. Na wysokości Seven Mile Bridge dzieciak za nią zaczął kopać w jej siedzenie. Zastanawiała się, czemu nie odłożyła podróży do nadejścia pocztą prawa jazdy. Camaro czekał w gotowości, choć Madeleine, jak większość tutejszych, wołała poruszać się rowerem.

- Key Largo! - obwieścił kierowca, skręcając w wąską drogę wzdłuż autostrady. Madeleine zarzuciła na ramię plecak i po wyjściu z autokaru znalazła się w tumanie kurzu.

- Wie pan, gdzie jest motel Dolphin Lodge? - zagadnęła kierowcę, który właśnie nacisnął dźwignię zamykającą drzwi.

- Trzeba się cofnąć jakieś pół kilometra. Mogła pani wcześniej zapytać.

- Nie ma sprawy. - Pomachała mu na odchodnym i ruszyła w drogę.

Szła wzdłuż bocznej drogi. Do jej sandałów dostawał się piasek, na głowie czuła palące słońce. Po autostradzie w obu kierunkach pędziły auta. Chłopaki w półciężarówkach na potężnych kołach krzyczeli na jej widok, proponując, żeby

się z nimi zabrała. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy teraz jeżdżą tymi monstrualnymi pojazdami. Archipelag się zmienił, nie ulegało kwestii. Skromne kafejki przydrożne i stragany z muszlami zastąpiły lokale szybkiej obsługi, sterylne centra handlowe i wymyślne ośrodki wakacyjne. Niemniej Madeleine czuła się szczęśliwa, była u siebie.

Dziewczyna w recepcji sprawiała wrażenie tak leniwej, że nie chciało jej się nawet odezwać. Wreszcie wydusiła z siebie:

- On jest na molo, z tyłu.

Madeleine obesza rząd podniszczonych domków i ku swojemu zdziwieniu znalazła się na pięknym trawniku nadbrzeżnym, obsadzonym niedużymi palmami. Na molu ustawiono po obu stronach pomalowane na biało fotele z wikliny. Na jednym z nich siedział mężczyzna, bacznie wpatrując się w skałki wystające znad wody.

- Przepraszam! - zawołała w jego stronę Madeleine. A gdy podeszła bliżej, zapytała: - Czy pan Serota?

Uniósł głowę. Miał nagi tors barwy czekolady i długie siwiejące włosy zebrane w kucyk. Siwawa broda zakrywała usta. Miał coś, czego nie miał Forrest: chińskie oczy. Zapomniała że Forrest powiedział jej kiedyś, że matka jego ojca była z Kantonu. Jej małżeństwo z Antonym Serota w San Francisco stało się bez wątpienia skandalem, bo młodzi zwiali przed gniewem obu rodzin na Florydę. Antony Serota po przerwaniu studiów zajął się połowem krewetek, podobnie jak jego syn Sam i Forrest... jego wspaniały wnuk.

Serota nałożył okulary, żeby się jej przyjrzeć.

- Czy my się znamy?

- Madeleine Frank - przedstawiła się. - Z Key West. Jego broda rozciągnęła się w coś na kształt uśmiechu.

- A niech mnie. Jasne. Słyszałem o pani. Stała przed nim onieśmielona.

- Powiedziano mi, że kupił pan ten motel.

- Taa, sprzedałem łódź - odparł, ponownie kierując wzrok na skałki.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć, co go tak frapuje. Na płaskim kamieniu pod mołem stały bez ruchu dwie ogromne iguany, mierząc się wzrokiem. Jedna z nich obficie krwawiła z otwartej rany u nasady ogona.

- O Boże, ona jest poważnie ranna - wymknął się jej okrzyk.
- Walczą ze sobą od południa. Myślę jednak, że to już prawie koniec.
- Jakie one piękne.

Madeleine zapatrzyła się w prehistoryczne gady, wielkie jak kocury i sprężone do skoku. W mgnieniu oka samiec mający większe szanse dopadł słabszego. Walka rozgorzała na nowo. Iguany mocowały się, gryzły, aż ta z raną na ogonie wpadła do wody. Natychmiast zawróciła i zaczęła wspinać się po skałce.

- Wraca po więcej razów! - wykrzyknęła Madeleine. - Aż trudno uwierzyć.

- To gagatki. Pycha i czysta głupota. Zachowują się tak jak chłopcy w czasie pijackiej burdy w barze.

Spojrzał na nią.

- Ależ ja jestem źle wychowany, co? Proszę usiąść. Zajęła miejsce w wiklinowym fotelu obok i oparła stopy

na podnóżku. Tak naprawdę to wcale nie chciała oglądać tej odrażającej walki. Zrobiło jej się niedobrze. Utkwiła wzrok w wysepkach na horyzoncie. Przeleciały nad nią dwa pelikany. Jakiś kajakarz leniwie wiosłował opodal.

- Panie Serota, przyjechałam w związku z Forrestem. On też się umościł wygodniej i oparł nogi na podnóżku.

- Owszem. Do tego już sam doszłem, panienko.

- Proszę mi mówić Madeleine.

- Madeleine. A zimnego piwa chcesz?

- Tak, proszę. - Bardzo chciało jej się pić.

Sięgnął ręką do skrzynki wypełnionej lodem, wyciągnął puszkę i podważył kapsel scyzorykiem. Pociągnęła duży łyk.

- Panie Serota, czy dotarły do pana listy, które wysyłałam?

Zerknął na nią z uwagą.

- Ach, to były twoje listy? Z Anglii.

- Czy przekazał je pan adresatowi?

- Słuchaj, kochana, wspominałem o nich Forrestowi, ale on kazał mi je odesłać do nadawcy. Chyba z dumy, jak miarkuję. A poza tym on nigdy nie wiedział, dokąd dalej pojedzie. Przepraszam, że nigdy się nie zebrałem, żeby ci je odesłać. Możesz teraz odebrać. Trzymam je w skrzynce w swoim biurze.

Wpatrywała się w niego z rozpaczą.

- A więc on nigdy nie zapytał... nie chciał wiedzieć, co było w tych listach?

- Sam z siebie nie otworzyłbym listów do niego. A on nigdy nie zapytał.

- Minęło już półtora roku - rzekła, starając się mówić normalnym tonem, choć była na granicy łez. - Forrest nie zamierza tu wrócić?

Serota wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem. Myślę, że nie będzie już chciał łowić krewetek. Horyzonty mu się otwały. Dałbym mu swoją łódź, bo ja już nie mogę pływać. Artretyzm zaatakował mi kolano, widzisz? Przez to postanowiłem zająć się czymś innym.

Miał taką minę, jakby gryzło go sumienie. Przecież Forrest zarzekał się w jej obecności, że wróci do łowienia krewetek na następne sto lat.

- A więc gdzie on teraz jest? Serota popatrzył na morze.

- Gdzie dokładnie teraz, to nie umiem ci powiedzieć. Kiedy ostatni raz telefonował, powiedział, że uczy w szkole w... cholera, nie mogę sobie przypomnieć nazwy. Jakieś nieduże miasto w Indiach. Dodał, że potem jedzie do aszramu czy czegoś takiego na miesiąc czy dwa i że planuje wybrać się do Tybetu, ale obawia się, że nie dadzą mu wizy.

Madeleine skubała łuszczącą się farbę z fotela. Ta piękna sceneria straciła nagle swój urok. A zatem Forrest nic nie wie, nie ma pojęcia, co się zdarzyło - ani o jej ciąży, ani o narodzinach Mikaeli. Nie wie, że ma córkę. Podobnie jak jego ojciec,

że ma wnuczkę. Madeleine biła się z myślami, czy mu o tym powiedzieć.

- Wiele o nim myślałam przez ten czas - odezwała się w końcu. - Naprawdę bardzo mi go brakowało. I jest coś, co chciałabym mu przekazać.

Serota wyjął kolejne piwo, pił je zachłannie. Potem podrapał się w brodę. Miał wielkie dłonie, jak Forrest, ale potwornie okaleczone.

- O, Madeleine, na twoim miejscu nie wybierałbym się tam, bo pewnie o tym myślisz. On tam kogoś ma, chyba jakąś Kanadyjkę. Od jakiegoś czasu żyją ze sobą. To ona ma hyzia na punkcie tego aszramu. On się tam zanudzi na śmierć, poszcząc i śpiewając przez cały boży dzień.

Oto odpowiedź dla niej. Forrest podróżuje. Jasne, tego chciał.

- Czy wspomni mu pan o mnie, kiedy się z panem skontaktuje? - Zawahała się. - Proszę mu przekazać, że wyjechałam z Anglii i wróciłam do Key West. Ten sam adres. Ten sam numer telefonu.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Najlepiej będzie, jak dasz mu spokój. Jestem pewien, że któregoś dnia wróci i będziesz mogła opowiedzieć mu wszystko sama.

Dopiła piwo i wstała, wychylając się przez poręcz mola. Iguan nie było.

- Proszę zobaczyć, znikły.

- E, nie - odparł cichym głosem, wskazując na coś sękatym palcem. - Tam.

Popatrzyła w tym kierunku i aż zadrżała z przerażenia. Jedna z iguan leżała na wodzie brzuchem do góry, fale znosiły ją szybko w stronę pełnego morza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sasza siedział w klasie i wyglądał przez okno, gdy wtem, jakby za sprawą czarów, pod szkołę zajechał samochód taty z czarnym dachem błyszczącym w słońcu. Po chwili ukazała się jego ciemnowłosa głowa. Tata wysiadł, zatrzasnął drzwi i jednym naciśnięciem ręki uruchomił magiczny aparacik, który zablokował zamki.

Sasza aż zadrżał z emocji. Podnieceniemu towarzyszył jednak strach i niepokój. Chociaż nie potrafiłby określić tych uczuć, doskonale je znał. Zaciśnął powieki i włożył kciuk do ust. Z obgryzionego paznokcia zostały już resztki, ale Sasza obiecał mamie, że pozostałych nie tknie. Wystarczy karać jeden palec, powiedziała mu, niech inne pozostaną szczęśliwe. W ten sposób tylko kciuk będzie smutny, a pozostałe dziewięć będzie go pocieszać. Obgryzał więc ten jeden paznokieć, licząc na spełnienie obietnicy, ale odczuwał tylko ból, nic więcej. Inna sprawa, że nie miał nic przeciwko bólowi, który maskował inne rzeczy. Dzięki niemu trochę mniej bał się świata.

Otworzył oczy w chwili, gdy jego ojciec podchodził do drzwi wejściowych. Pojawił się tu z jakiegoś powodu. Pewnie będzie rozmawiał z panią Eastwood w jej gabinecie. Pani Eastwood wezwie pana Bodella, dyrektora, i zakomunikuje mu, że przyszedł tu pewien pan, żeby wziąć syna na wizytę u dentysty, albo żeby odwiedzić babcię, albo coś w tym rodzaju.

Tata już tak robił w innej szkole, a wówczas dyrektor szedł do klasy po Saszę i prowadził go do swego gabinetu. Sasza biegł korytarzem i krzyknął: „Tata!”, a wtedy pozwalano mu z nim wyjść. Zwątpił jednak, czy tak samo stanie się i teraz, bo mama ostatnim razem strasznie się zezłościła, zwłaszcza że tata zniknął z nim na trzy dni. Płakała, miała zapuchnięte oczy, była na nich wściekła.

Któregoś dnia tata zawiezie go na Ukrainę, gdzie mieszka cała jego rodzina. Sasza będzie tam robił rzeczy, których w Anglii nie można, takie jak jeżdżenie na łyżwach po zamrożonym jeziorze i jedzenie zupełnie innych potraw. I wezmą ze sobą Napoleona. Niedawno, kiedy panna Bailey rozwinęła w klasie mapę świata, Sasza poprosił, żeby pokazała mu, gdzie jest Ukraina. Była wielka, dużo większa niż Anglia. „Sasza, to twój ojciec osiedlił się tu, żeby się dorobić, tak?” - zapytała panna Bailey, ale nie zrozumiał, o co jej chodzi.

Mijały minuty, Sasza zawzięcie ogryzał resztki paznokcia. Kciuk zaczął krwawić. Włożył go więc do ust i ssał, żeby powstrzymać krwawienie.

Panna Bailey coś powiedziała i nagle Sasza ujrzał, że inne dzieci odwróciły się w jego stronę i gapią się na niego. Roddy ryczał ze śmiechu.

- Sasza ssie palec, przygotowując się do snu - oznajmiła klasie panna Bailey. Jej głos był z pozoru miły, ale słyhać w nim było także złość.

- Maluszek! - wykrzyknął Roddy drwiącym tonem, robiąc zeza i udając, że cmokta własny kciuk.

Sasza szybko wyjął palec z ust.

- Pierdol się - odparł.

W ciszy panującej w klasie zabrzmiało to bardzo głośno. Po chwili rozległo się zbiorowe westchnienie, cała klasa wstrzymała oddech. Wszystkie twarze z szeroko rozwartymi oczami były zwrócone ku niemu. Sasza zerknął na pannę Bailey, która miała taką minę, jakby ujrzała trzygłowego potwora. Szczeka jej opadła, tłusty podbródek wbity w szyję wyglądał jak pęto kiełbasy. Sasza przypomniał sobie, niestety zbyt późno,

że w szkole nie wolno mówić brzydkich słów. Nikt się tak nie wyrażał, nawet Roddy czy starsze chłopaki. Tu nie było jak w Londynie.

Atmosfera w klasie stała się napięta do ostateczności, a Sa-sza poczuł na grzbiecie gęsią skórę. W panującej ciszy rozlegał się tylko głośny świergot ptaków. Kiedy obrócił się ku oknu, żeby je zobaczyć, znowu spojrzał na zaparkowany przed szkołą samochód taty.

W mgnieniu oka ruszył do akcji. Zerwał się z krzesła, które z hukiem upadło na podłogę. Biegąc do drzwi, omijał ławki, kręcąc biodrami niczym w slalomie. Kątem oka ujrzał, jak zbliża się do niego panna Bailey. Jak na zwolnionym filmie rozpostarła ramiona i usiłowała coś wyartykułować, ale z jej gardła zamiast słów wydobywało się jakieś gulgotanie. Prawie go dopadła, ale on wysmyknął się przez otwarte drzwi i pocwałował korytarzem. Omal nie przewrócił się na zakręcie przy drzwiach wejściowych i tam wpadł w ramiona ojca.

Obaj wskoczyli do samochodu, ojciec przycisnął guzik blokady. Wszystkie zamki w drzwiach kliknęły jednocześnie. Był to strasznie głośny dźwięk, takiego Sasza jeszcze nie słyszał. Przez szybę ujrzał, jak panna Bailey, pani Eastwood i pan Bodell wybiegają na próg i stają jak wryci. Gapili się na nich, ale nie zrobili ani kroku w ich kierunku. Pan Bodell potrząsał głową. Sasza ukląkł na siedzeniu, przycisnął głowę do szyby i pokazał im język. Tata zaśmiał się i przekręcił kluczyk. Motor zaszumił, uruchomiła się klimatyzacja, owiewając zimnym strumieniem gołe nogi chłopca. Gdy auto ruszyło, Sasza zdołał jeszcze zobaczyć, jak pan Bodell ze wściekłą miną obraca się na pięcie i znika w drzwiach. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że może będzie musiał wrócić do tej szkoły.

- Moja krew - rzekł tata, zaśmiewając się do łez. - Już teraz lubi ryzykowne życie.

Słońce świeciło jej prosto w plecy. Rachel osłoniła głowę dłońmi, żeby dojrzeć cyferki na ekranie bankomatu. Czeka-

ła, aż wyświetli się saldo rachunku. Wreszcie się ukazało: 32 282,54 funty.

Co? Rachel zamrugła oczami. Coś tu było nie w porządku. Wyciągnęła niecierpliwie rękę, żeby maszyna wydała jej gotówkę i zwróciła kartę. Musiała powtórzyć operację. Kobieta stojąca za nią zaczęła wzdychać i kwękać, ale to przekłete urządzenie działało według własnego tempa. Wreszcie na monitorze znowu pojawiła się suma. Rachel gapiała się na nią, póki nie znikła. Chryste! Przecież to niemożliwe, żeby miała na swoim koncie ponad trzydzieści dwa tysiące funtów. Odchodząc, czuła, jak mocno wali jej serce.

- Cześć.

Obróciła się machinalnie, zaprzątnięta myślami. To ta bezdomna dziewczyna, Charlene, stojąca w swoim ulubionym miejscu przy bankomacie.

- Hej, dzieciaku - odparła, przyspieszając kroku.

- Weźmiesz „Big Issue”? - zawołała za nią tamta. - Chętnie posiedzę z dzieckiem.

Rachel spojrzała na nią przez ramię.

- Nie zapomniałam! - odkrzyknęła.

Skręciła za rogiem, poruszając się jak we mgle. Trzydzieści dwa tysiące. Nie ma mowy. Banki stale popełniają błędy, ale na ogół nie na korzyść klienta. Tata zawsze jej to powtarzał. Mogła to zignorować, licząc, że nigdy nie wykryją pomyłki. Na ile się narznęli? Przystanąła, licząc na palcach. Coś około pięciu tysięcy funtów. Pięć tysięcy... nie, tego nie przepuszczą, zaczną dochodzenie. A może podejrzewają, że robi jakieś przekręty.

O cholera! Ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła, to widok jakiegoś urzędnika w garniturze pukającego do jej drzwi.

Wnętrze banku było imponujące, z wysokim sklepieniem i wymyślnymi kolumnami, niczym kościół. Tata trzymał tu pieniądze, od kiedy sięgała pamięcią wstecz, ale ona sama pojawiła się tu tylko raz, żeby otworzyć rachunek i przelać odziedziczone po nim pieniądze.

Tu też była kolejka, Rachel stanęła na końcu. Jak dojdzie

do okienka, wyciągnie swoją kartę i oświadczy, że nastąpiła pomyłka. Obsługa interesantów ciągnęła się jednak w nieskończoność. I w momencie, gdy Rachel gwałtownie zachciało się zapalić, poczuła czyjąś rękę na swoim łokciu. Podskoczyła z wrażenia, odwróciła się. Był to jeden z menedżerów, ten sam, u którego otwierała konto.

- Panna Locklear, prawda? - odezwał się cichym głosem. - Czy mogę prosić na słowo? Oczywiście, jak pani załatwi swoją sprawę.

Rachel zakłęła w duchu. Od razu wyczuła, że z tymi pieniędzmi to śmierdząca sprawa. Cholera, tato, coś ty narobił? No, ale może chodziło jedynie o te pięć tysięcy. Przyznają się do pomyłki.

- Miejmy to z głowy - burknęła nieprzyjaznym tonem. Menedżer spojrzał na nią ze zdumioną miną.

- Dobrze, dobrze, skoro odpowiada pani, żebyśmy omówili to teraz. Poproszę panią do mojego gabinetu. Zapewniam, panno Locklear, że nie zajmę pani dużo czasu.

Czy sobie to wyobraziła, czy też rzeczywiście zapadła nagła cisza? Menedżer otworzył masywne drzwi, Rachel ruszyła za nim. Wspięli się po paru stopniach, następnie przeszli korytarzem. Facet był wysoki, ale nieforemny. Jego szary garnitur opinał mu się brzydko na tyłku. On też nie wpadł w zachwyt na jej widok, kiedy otwierała rachunek. Natychmiast się zorientował, że Rachel nie ma pojęcia o zasadach bankowości. Jednakże nie zamierzał rezygnować z zawiadywania jej spadkiem.

W gabinecie wskazał jej miejsce naprzeciwko siebie, po drugiej stronie dużego biurka. Cała scena przypominała jej, jak kiedyś dostała burę od kierownika szkoły za palenie w ubikacji.

- Nie chcę siadać - odparła szybko. - Nie wiem, w jaki sposób te pięć tysięcy znalazło się na moim koncie. Proszę je sobie odebrać. Podpiszę jakiś papier, jeśli tego potrzebujecie.

Menedżer spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

- Ależ proszę usiąść, panno Locklear.

Usiadła więc i czekała, aż skończy coś sprawdzać w komputerze. Po dłuższej chwili przemówił, nie odrywając oczu od ekranu:

- Przeglądam pani rachunek i wydaje się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wczoraj otrzymała pani kwartalny depozyt w wysokości pięciu tysięcy funtów od spółki holdingowej Langlane.

Wlepiła w niego oczy, ale on nadal wpatrywał się w monitor. Spółka holdingowa Langlane? Nigdy o czymś takim nie słyszała.

- To jakiś błąd. Może pan to jakoś naprawić? Nie chcę żadnych problemów.

Popatrzył na nią badawczo.

- Co pani rozumie przez słowo „błąd”?

- Te pięć tysięcy.

- Depozyt jest zawsze tej samej wysokości. Wzruszyła ramionami.

- Jaki znowu depozyt?

- Pani nazywa się Rachel Locklear, prawda?

- No tak.

- Z pewnością zapoznała się pani z finansami zmarłego ojca?

- Taa... coś w tym rodzaju.

Zapoznała się? Adwokat truł coś bez końca, dla niej był to niezrozumiały bełkot.

- Panno Locklear - odezwał się menedżer urzędowym tonem - ważne jest, aby pani śledziła swoje wpływy i wydatki oraz trzymała w domu dokumenty świadczące o pani transakcjach. Zamorska firma holdingowa Langlane od wielu lat transferowała aktywa na konto pani ojca. Po jego śmierci otrzymaliśmy instrukcje, aby taka sama suma była przelewana na pani konto.

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Instrukcje od kogo?

Menedżer dyskretnie uniósł oczy ku niebu.

- Od firmy Langlane, panno Locklear.

- Ale kim są ci ludzie?

Urzędnik westchnął i potrząsnął głową.

- Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Może sama to pani ustali.

- Dobra! - wykrzyknęła Rachel z gniewem. Wstając, rzuciła: - OK, wobec tego sobie pójdę.

- Chwileczkę, nie zajmę pani dużo czasu - odparł, spoglądając na nią. Zesztywniała.

- A czego, do cholery, teraz pan chce?

Na policzkach menedżera wystąpiły rumieńce, na czole pojawiły się poprzeczne zmarszczki.

- Chciałbym przedyskutować z panią niektóre z naszych produktów.

- Produktów? Ze mną? Jakich znowu pieprzonych produktów?

Twarz urzędnika pociemniała jeszcze bardziej.

- „Produkt” to termin, którego używamy obecnie... mniejsza o to. Proszę posłuchać. Na pani koncie bieżącym znajduje się znaczna suma, która nie pracuje na pani korzyść. Panno Locklear, nie wykonywałbym dobrze swojej pracy, gdybym nie poradził pani alternatywnych inwestycji. Istnieją produkty o wyższym procencie zysków niż...

Szła do domu drogą prowadzącą pod górę i ze strachu aż rozbolał ją brzuch. Firma holdingowa Langlane - zamorska. To znaczy zagraniczna, nie? Kto, do cholery, dawał pieniądze ojcu, a teraz jej? Jakie może być wyjaśnienie tej szarady? Pomyślała, że ojciec był pewnie dużo sprytniejszy, niż sądziła. Wiedziała, że lubił obstawiać konie. Rodzice nieraz kłócili się o pieniądze. Dottie wyrzekała, że przepuszcza domowy budżet, a tato wymykał się z domu i grał dalej. Czy to możliwe, że obracał dużo większymi sumami, niż to sobie wyobrażała jako dziecko, i ukrył gdzieś znaczną wygraną, żeby mu się nie dobrali do skóry ci od podatków? Skoro tak było, to był straszną świnią, skapiącą rodzinie. Teraz jednak ta forsa spadła

jej jak z nieba. Ale lepiej zawiadywać nią oszczędnie, bo - jak podejrzewała - wcześniej czy później może wyjść na jaw, skąd pochodzi. Może bank jednak zrobił jakiś wielki przekręt.

Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie zajrzeć do sklepu z używanymi rzeczami przy London Street. Stary odkurzacz już zupełnie wysiadł. Musiała okazynie kupić nowy, żeby wyczyścić dwa orientalne dywaniki, które spadły komuś z ciężarówki i jakiś ulicznik je sprzedał.

Siedziała na kanapie ze skaju i oglądała odkurzacz, próbując go uruchomić. Brakowało jej doświadczenia w posługiwaniu się tymi wszystkimi urządzeniami i gadżetami, a zresztą nie przepadała za sprzątaniami. Ten model nie miał torby, za to bardzo dużo różnych dźwigni. Co złego w odkurzaczach wyposażonych w torby? Tak długo naciskała różne guziki, aż końcówka cylindra odpadła, wysypały się śmiecie. Szpetnie zakląła. I w tym momencie odezwała się jej komórka.

- Taa? - warknęła, podtrzymując aparat żuchwą i usiłując zebrać rękami kurz.

- Tu Bodell - odezwał się ostry głos. - Dzwonię, by panią poinformować, że pani syn został odebrany, a raczej powinienem chyba powiedzieć uprowadzony przez mężczyznę, który zdaje się jest jego ojcem. Zastrzegła pani, że nikt inny nie ma prawa odbierać Saszy ze szkoły. Chciałem powiadomić panią o tym incydencie, zanim zatelefonuję na policję.

Rachel poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy.

- Panno Locklear? Czy była pani świadoma, że ten mężczyzna wziął pani syna, i to w trakcie lekcji?

- Nie, oczywiście, że nie. - Żeby się uspokoić, wbiła wzrok w kupkę kurzu na podłodze. - Jak mogliście państwo do tego dopuścić?

- Oświadczyłem pani, że Sasza został uprowadzony. Nie mogliśmy powstrzymać tego człowieka. Czy mam zadzwonić na policję?

- Kiedy to się stało? - wyjąkała. - Jak do tego doszło?

- Stało się to teraz, przed minutą. Panna Bailey jest bardzo

zdenerwowana. Panno Locklear, musi nam pani powiedzieć, co mamy zrobić. Szkoda, że nie powiadomiła nas pani przedtem o takiej ewentualności. Nie możemy odpowiadać za...

- Ostrzegałam pana! - krzyknęła Rachel ostrym tonem.

- Nie wprost.

- Proszę posłuchać. Może pojawią się tu za chwilę. Zaraz do pana oddzwonię. Niech pan na razie nie powiadamia policji.

Wsunęła aparat do kieszonki w bluzce i padła na sofę. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Gdy Anton zaproponował, że poda jej numer swojej komórki, odmówiła i powiedziała, że nie ma powodu, żeby do niego telefonować. Co za głupota! Teraz wyszła na totalną idiotkę. Niewiele by to zresztą pomogło, skoro Anton postanowił odebrać jej Saszę. Może była zbyt pewna siebie, zbyt uparta, gdy postawiła na swoim i wyniosła się z dzieckiem z Londynu. Żeby zacząć nowe życie? Raczej skończyć z nim, a w każdym razie z tym wszystkim, co było jej drogie.

Zrobiło jej się niedobrze. Wbiegła po schodach na górę i uklękła przy misce klozetowej. Choć wstrząsały nią skurcze, nie wymiotowała. Oparła się łokciami na desce sedesowej i patrzyła w wodę, próbując podjąć jakąś decyzję. Znowu odezwał się brzęczyk telefonu, więc pognęła na dół, potykając się o stopień. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że komórka tkwi w kieszeni bluzki.

- Twój wierny kochanek - odezwał się Anton - i twój kochany synek.

Rachel przysiadła na dolnym schodku.

- Gdzie jesteś? - wyjęczała.

- Mamy długi weekend. Jedziemy gdzieś odpocząć.

- Natychmiast odwieź go do domu.

- Słuchaj, mała. Wiem, że zachowałem się jak ostatni dupek. - Zamilkł. Rachel ze strachu nie wtrąciła ani słowa. - Znasz mnie, czasami mi odbija - ciągnął. - Ale obiecałem Saszy, że będę jak normalny tata, miły angielski facet. Żadnych awantur z jego mamą. - Jego głos się oddalił, bo zamiast do słuchawki mówił teraz do dziecka: - Prawda, Sasza? Rachel usłyszała głosik syna na tle warkotu silnika:

- Tak, tato. Nie będziesz już więcej walczył z mamą.

- Słyszysz? - odezwał się Anton aksamitnym tonem. - Naprawdę tak się stanie, Rachel. Dużo o tym myślałem. Wiem, że strasznie cię skrzywdziłem, coś mnie naszło.

- Gdzie zabierasz Saszę?

- Do jakiegoś ładnego miejsca. Z plażą. Może do zachodniej Walii. Albo do nowego domu mojego brata, w Reading, żeby odwiedzić tego zwierza, Napoleona. Jednak raczej do Walii.

Rachel rozważała gorączkowo, czy wspomniał o Walii, żeby ją zmylić, czy rzeczywiście się tam wybiera. Przypomniała sobie, że Sasza nie ma paszportu, przynajmniej nic jej o tym nie wiadomo, a Anglia jest wyspą. Jednakże z Walii kursują promy do Irlandii, a może i do Francji.

- Przywieź go do domu! - krzyknęła z paniką w głosie. - Natychmiast, słyszysz?

- Jasne, nie ma sprawy. Możemy wrócić, skoro sobie tego życzysz... prawda, Sasza?

- Nie - usłyszała niezadowolony głos syna. - Jedziemy na plażę. - Chwila ciszy. - Możemy wziąć ze sobą Napoleona? I mamusię?

Znowu pauza.

- Pojechałabyś z nami? - zapytał Anton serdecznym tonem. - Mam mnóstwo kasy w portfelu. Dobrze się zabawisz, chcę ci wynagrodzić... no, wiesz co. Prawdziwa wyprawa rodzinna, dobry hotel, szampan, czego tylko zapragniesz... Rachel... jesteś tam?

Rozpaczliwie szukała w myślach sensownej odpowiedzi.

- Rachel? - Głos Antona stawał się coraz bardziej przymilny. - W głębi ducha nie jestem złym człowiekiem. Kocham ciebie i Saszę, tylko czasami niewłaściwie to okazuję. Poprawię się. Musimy odrzucić przeszłość i zacząć od nowa. Szanować się wzajemnie. Jestem o tym przekonany.

- Przywieź Saszę, to pogadamy.

- Nie musisz się obawiać. Nie wywiozę go zbyt daleko. Chciałbym jednak, żebyś pojechała z nami. Jutro są twoje urodziny. Widzisz, pamiętam.

- Przyjedź, a wtedy... pomyślimy o tym - powtórzyła.

- Wrzuć rzeczy do torby, podjedziemy po ciebie - Anton mruczał czule. - Na wszelki wypadek weź kostium kąpielowy. - Znowu cisza w słuchawce. - Mała, tylko nie rób niczego głupiego. Nie ma potrzeby, rozumiesz, o czym mówię? Przywiozę Saszę, spoko. Tylko żadnych telefonów, dobrze?

- Muszę zadzwonić do szkoły, w przeciwnym razie wezwą policję - odparła lodowatym tonem. - Albo wstrzymam się z tym, póki nie wrócisz.

- Rachel, nie bądź taka cwana.

- No to odwieź Saszę.

Godzinę później pod jej dom podjechał samochód. Rachel otworzyła drzwi wejściowe i ujrzała, że Anton, z nogą na chodniku, gorączkowo przemawia do Sasy, który siedzi z zapiętymi pasami. Odniosła wrażenie, że Anton go przekonuje, żeby czekał w aucie. Rachel chciała podbiec i wyciągnąć syna, ale w tej samej chwili Anton trzasnął drzwiczkami i ruszył w jej stronę, bacznie się w nią wpatrując. Nie miał na sobie tego garnituru alfonsa, lecz ładną koszulę w kratę, dżinsy i sandały. Włosy były świeżo umyte i puszyste, a nie zaczesane na brylantynę w kaczy kuper. Wyglądał jak typowy ojciec zabierający rodzinę na weekend. Rachel zauważyła mimowolnie, jaki z niego piękny mężczyzna. Ciemne włosy okalały szerokie czoło, a wyraźnie zarysowane kości policzkowe, białe zęby i zielone oczy robiły duże wrażenie. Anton był szczupły, ale w jego umięśnionym ciele czuło się siłę.

I wtedy uśmiechnął się do niej, ukazał jej się w swojej dawnej postaci. Ten uśmiech był zniewalający - po części chłopca, po części uwodziciela, po części okrutnika. Zdobywał ją tym bez końca, a ona stale się mu poddawała. Poczula we wnętrzu ciała znajomy lęk, połączony z dreszczem i wil-

gocia... błyskawiczną ekscytację, której po chwili towarzyszył wstręt do samej siebie. Miała wrażenie, że strach i pożądanie są w niej beznadziejnie splątane. To chyba jakaś dewiacja, że po ich ostatnim spotkaniu (i po całej tej kosztownej terapii) nadal coś do niego czuła.

Nie próbował jej pocałować lub dotknąć, nie wspomniał słowem o jej sińcach na twarzy.

- Spakowana? - zagadnął.

- Nie - odparła i zawróciła do domu. Ruszył za nią.

- No to się zbieraj - rzekł pogodnym tonem. - Dzieciak strasznie napalony. Kupiliśmy trochę zabawek: gumową piłkę, łopatkę i inne duperele, a także na wszelki wypadek parawan plażowy, ale w radiu mówili, że ma być dobra pogoda, może tylko trochę pokropi.

Uprzytomniła sobie, że idzie po linii najmniejszego oporu, ale lęk przed tym, co Anton mógłby zrobić z Saszą, ograniczył jej wybór do dwóch możliwości: zostać, ufając, że po kilku dniach ojciec odwiezie syna, albo pojechać z nimi. Sasza z pewnością „był napalony” wizją spędzenia weekendu na plaży, a Anton chyba niczego nie kombinuje. Jedynym bezpiecznym wyjściem będzie niespuszczanie dzieciaka z oczu. Musi pojechać, żeby go pilnować.

- Ruszajmy - pospieszył ją Anton. - Chcemy ominąć korki, nie? Za chwilę autostrada M4 będzie koszmarem.

- Zapakuję się. Tylko daj sobie spokój z tymi gadkami

o szczęśliwej rodzinie. I uwaga: nie pieprzę się z tobą, rozumiesz? Nie próbuj się do mnie dobierać.

Anton uniósł ręce i z uśmiechem cofnął się o krok.

Nalegała, żeby usiąść na tylnym siedzeniu, i zagłębiła się w mapę. M4, jak słusznie przewidywał Anton, była zatkana do ostateczności. Jednakże Sasza nie tracił humoru. Ćwierkał niczym ptaszek, zadowolony z towarzystwa obojga rodziców,

i wyczekiwał wymarzonego weekendu na plaży. Uparł się, żeby rozłożyć w samochodzie swój parasol, i bawił się czer-

wono-żółtą piłką, która skakała po siedzeniach. Rachel skuliła się w rogu i zamknęła oczy. Z drzemki budziły ją wybuchy gniewu Antona, klnącego na korki. Usiadła prosto, kiedy zatrzymali się na wysokości Severn Bridge, żeby uiścić opłatę, i ponownie zerknęła na mapę. Cholera, nie pokonali nawet połowy drogi do zachodniej Walii. Samochody poruszały się na moście w żółwym tempie. Wyrzała przez okno, mając pod sobą rzekę oddzielającą Anglię od Walii. Jeszcze nigdy nie była tak daleko, może na miejscu jakoś się wyciszy i nawet będzie jej tam miło.

CROESO Y CWMRY - oznajmiał znak po drugiej stronie mostu, a pod spodem, mniejszymi literami: WITAJCIE W WALII. Jasne, pomyślała, ciekawe tylko, czy Walia będzie szczęśliwa, gdy z niej wyjadą.

- Gdzie teraz, szefowo? - rzucił Anton przez ramię. Ich oczy spotkały się we wstecznym lusterku. Rachel nałożyła okulary słoneczne.

Studiowała mapę, szukając nazw miejscowości, o których gdzieś słyszała.

- Co myślisz o Tenby? - zapytała. - Pokazywali ją kiedyś w telewizji, jest piękna. Saszy na pewno się spodoba. Nie jest zbyt daleko, no i leży nad morzem.

- Jak się tam dostać, szefowo?

- Prosto, ciągle prosto.

- Zawsze? Rachel, lubię to twoje „ciągle”. - Rozmarzył się i oderwał wzrok od jezdni, żeby zerknąć na nią w lusterku.

- Mam na myśli, żeby stale jechać tą pieprzoną autostradą - rozniewała się Rachel. - Mijasz Cardiff, Swansea i Carmarthen, skręcasz w lewo do Narbeth. Anton, przestań odgrywać romantyka, głównie się do tego nadajesz.

- Hej, ty! - zawołał, mierzając ją ostrym spojrzeniem. - Może wzięłabyś pod uwagę, że mamy tu ze sobą małego.

Z bezpiecznego miejsca na tylnej kanapie wybuchła sarkastycznym śmiechem.

- Ho, ho. Aleś ty troskliwy. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co ten mały słyszał i widział.

Sasza zaczął płakać.

- Widzisz? - Anton był oburzony.

Wyciągnęła przed siebie rękę, żeby pogłaskać syna po głowie, ale ten pacnął ją w dłoń. Doskonale wiedział, że mówiono o nim, i pamiętał, czego się napatrzył. Rachel nie mogła pojąć, ile w tej główce się mieści. Nawet kiedy Sasza nie rozumiał niektórych słów, pojmował, co się święci.

Zaczęła grzebać w torbie. Wyjęła papierosa, włożyła go sobie do ust, opuściła szybę. Anton obserwował każdy jej ruch do momentu, gdy chciała pstryknąć zapalniczką.

- Jeśli zapalisz papierosa, to zleję cię w goły tyłek. - Obrócił się w stronę Saszy i mrugnął do niego. Chłopiec ciągle się mazał i najwyraźniej doszedł do wniosku, że to wcale nie jest śmieszne.

- Mamo, nie zapalaj - odezwał się takim smutnym tonem, że Rachel poczuła ucisk w sercu.

Włożyła papierosa do pudełka, zapadła cisza.

Choć powietrze aż drgało z upału, w samochodzie było chłodno. Jechali w milczeniu, zderzak przy zderzaku, w towarzystwie innych rodzin zmierzających do tego samego celu. Szczęśliwe pary, roześmiane nastolatki, rowery i deski surfingowe na bagażnikach. Całe rodziny w autach kempingowych. Motocykliści odziani w jednakowe skóry. Ale ani Anton, ani Sasza na nic nie zwracali uwagi, jakby liczył się tylko ostateczny cel, jakby Tenby miało rozwiązać wszystkie ich problemy. Tam wszelkie napięcia ustąpią, ogarnie ich błogostan.

Miało się wrażenie, że wszyscy jadą do Tenby. Mała miejscowość była zapchana autami. Rachel skurczyła się ze strachu, gdy okazało się, że znalezienie parkingu było niemożliwością. Jeździli w kółko wąskimi uliczkami, przepychając się między rozbawionym tłumem. Anton miał coraz bardziej rozzłoszczoną minę, zacisnął szczęki. Mimo chłodu panującego w aucie na zmarszczonym z gniewu czole wystąpiły mu krople potu. Czy on coś bierze? - zasepiła się Rachel. Może potrzebuje działki? Z Antonem nigdy nie wiadomo, często nic

nie brał, odstawiał kokę i tę zasraną rosyjską wódkę. Wystarczało mu piwo, spędzał dużo czasu na siłowni.

Sasza, rozczarowany Tenby i wyczuwając, że między rodzicami psuje się atmosfera, odezwał się z uśmiechem:

- Tato, co byś zrobił, gdybyś ujrzał kosmitę?

- Dzieciaku, bądź cicho przez parę minut. Rachel pochyliła się do przodu.

- Powiedz, kochanie. Co byś zrobił, gdybyś spotkał kosmitę?

- Powiedziałbym: „zaparkuj swój pojazd”! - wykrzyknął Sasza triumfalnie.

To przełamało lody. Rachel zachichotała, Anton dołączył do niej. Nagle wszyscy troje zaczęli się śmiać. I równie niespodziewanie niebieska ciężarówka zaczęła się cofać z parkingu. Anton gwałtownie skręcił, żeby od razu wjechać na jej miejsce.

- Dzięki za wskazówkę. - Anton dał synowi kuksańca w zebro. - No i mamy kosmitę.

- Spoko loko. - Sasza zaśmiał się radośnie. Wrócił mu dobry humor.

Zaparkowali tuż przy starych murach obronnych. Wzięli torby i piłkę, ruszyli w stronę morza. I znowu dopisało im szczęście - dostali dwa pokoje w pierwszym miejscu, do którego zajrzeli - hotelu Oceanvista tuż przy esplanadzie. Recepcja była zaniedbana, z obłazącą ze ścian tapetą i zakurzonymi lampami. Tłusty labrador ciężko dyszał na dywanie zaśmieconym petami. Pulchna Walijka za kontuarem zmierzyła ich wzrokiem znad okularów.

- Macie państwo szczęście. Dosłownie przed minutą znajoma rodzina odwołała rezerwację. Ta pani ma astmę i trzeba ją było odwieźć do szpitala. Biedaczka. Oni są z hrabstwa Derby. Tak się cieszyli, że spędzą tu weekend. Przyjeżdżają co roku, z dwojgiem maleństw. A czasami i dwa razy do roku. - Musiała zaczerpnąć tchu.

- Świetnie - przerwał jej stanowczo Anton. - To pani dopisuje szczęście.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Nie mnie, proszę pana. W całym Tenby nie znajdzie się ani jeden wolny pokój.

Rachel kopnęła Antona w kostkę. Jeszcze jedna taka złośliwa uwaga, a znajdą się z powrotem w samochodzie i będą musieli jechać do sąsiedniego miasteczka. Okropna perspektywa. Szybko pojał błąd, bo rzucił recepcjonistce swój zabójczy uśmiech, a ta kokieteryjnie spuściła powieki. Kiedy ujrzała Saszę, rozanieliła się.

- Co ty na to, młody człowieku? - zagadnęła. - Mam pokoik w sam raz na twój wiek, tuż obok sypialni mamy i taty.

Wspięli się trzy piętra wąską klatką schodową z wysokim oknem. W promieniach światła leniwie wirował kurz. Skręcili w ciemny korytarz, Anton szedł przodem. Sypialnia była obszerna, śmierdziała lizolem i zatęchłym dymem papierosowym. Wskutek nanoszonej wiatrem soli morskiej wykuszo-we okna zmatowiały, niemniej widok z nich był imponujący. Drzwi prowadziły do pomieszczenia, które kiedyś pewnie stanowiło schowek na szczotki. Było w nim małe okienko, pojedyncze łóżko, niewielka szafa i obraz przedstawiający chłopca z kaczką w ramionach.

- Coś ci powiem - odezwała się Rachel do Saszy. - Ponieważ to taka specjalna okazja, możesz spać z tatą w podwójnym łóżu. A ja się rozgoszczę w małym pokoju.

Anton rzucił jej zranione spojrzenie.

- Zapomniałaś, mamusiu, co to za okazja. Jutro są twoje urodziny.

- Daj sobie spokój - zasyczała.

Zajęła pokoik, zanim Sasza się zastanowił, co się kryje za jej propozycją, i zamknęła za sobą drzwi. Zaczęła grzebać w torbie podróżnej. Czas zdjąć te pieprzone kowbojki i włożyć sandały. Od ośmiu miesięcy jej stopy nie widziały świeżego powietrza. Ściągnęła też dzinsy i włożyła starą drelichową spódnicę, którą w ostatniej chwili dorzuciła do bagażu. Pasowała jak ulał. Wiedziała, że pod tym względem była szczęściarą - nigdy nie zmieniła rozmiarów. A przecież jej na tym nie zależało. Popa-

trzyła na siebie w wąskim lustrze, umocowanym na wewnętrznej stronie drzwi szafy, i natychmiast poczuła się jak rozebrana, naga, żałośnie blada. Nogi wydawały się nieproporcjonalnie długie w porównaniu z tułowiem, były to jednak świetne nogi, jak wielokrotnie jej powtarzano. Anton lubił takie, ale naprawdę to kręciły go duże cyce i tłuste półdupki, a takich nie miała. Co go tak podniecało w jej chudym ciele? Czesząc włosy, uniosła je i zerknęła na uszy. Teraz Anton był słodziutki, ale kiedy patrzył na jej poharatane małżowiny i sińce na twarzy, nawet nie zadrgała mu powieka. Nie miał sobie nic do wyrzucenia.

Podeszła bliżej do lustra i zaczęła studiować swoją twarz -blada, ściągnięta cera, oczy zapadnięte, okropny żółknący siniak pod prawym okiem, a białko lewego ciągle z krwiakiem. Żuchwa nadal opuchnięta, usta spierzchnięte. Wyjęła szminkę, którą nosiła w torbie od ponad roku, i powąchała ją. Jasne, że już zjełczała, ale lepiej pomalować wargi, niż paradować z takimi, co wyglądają jak zdarte obcasy. Z tubki, którą wyjęła z kosmetyczki, wycisnęła trochę podkładu i rozprowadziła go na twarzy.

- Mamo, chodźmy! - zawołał Sasza. - Tata jest głodny. Stukał do drzwi. Rachel spojrzała i z rozpaczą spostrzegła, że nie ma w nich zamka.

- Już idę! - odkrzyknęła, nakładając okulary słoneczne.

- Życzę państwu miłego wieczoru - rzuciła w ich stronę recepcjonistka. Sasza przykucnął, żeby pogłaskać labradora po łbie, ale pies tylko leniwie otworzył jedno oko. Rachel dobrze wiedziała, że dzieciak ogromnie tęskni za Napoleonem. Przestał o nim wspominać, bo zdawał sobie sprawę, że nie należy kwestionować tego, co tata powiedział. Czy ufa ojcu, czy raczej boi się, że nigdy więcej nie ujrzy swego psa? Nie potrafiła odgadnąć i nie zamierzała się o to dopytywać. Ponieważ nie miała nic dobrego do powiedzenia na temat Antona, uważała, że lepiej nie poruszać tego tematu z synem.

Miasto było otoczone rodzajem fortyfikacji, grubymi murami z kamienia, sprawiającymi wrażenie wiekowych. Szli najpierw esplanadą,

a potem skręcili na starówkę, korzystając z wyrwy w murach. Uliczki ciągnęły się we wszystkich kierunkach wedle jakiegoś obłąkanego planu. Były zatłoczone do niemożliwości przez grupy turystów wszelkiej maści i przez miejscowych małolatów. Rachel czuła się jak w labiryncie. Miasteczko było otoczone morzem. Wzdłuż klifu ciągnęły się domy w dziwacznych kształtach, pomalowane na pastelowe kolory. Niektóre z nich były wysokie, inne miniaturowe. Ich okna wychodziły na piaszczystą plażę.

Minęli gromadkę kobiet ubranych w jednakowe stroje anielskie, fałszywie zawodzących jakąś piosenkę. Pewnie były zalane w trupa, chociaż była dopiero ósma wieczorem.

- Mamusiu, kim one są?

- Pijanymi aniołami, kochanie.

- No tak, ale po co?

- Jedna z nich pewnie wychodzi jutro za mąż, a pozostałe chcą, by się bardzo brzydko zachowywała.

- Aha - skwitował Sasza, jakby była to najnormalniejsza rzecz. - Jestem głodny.

- Chodźcie tutaj. - Anton pociągnął Rachel za rękę i poprowadził ją wąską alejką w stronę zatoki z łodziami leżącymi bokiem na mokrym piasku. Po kilku chybotliwych stopniach weszli do sympatycznej restauracji zapelnionej elegancką klientelą na ogół w średnim wieku.

- Tu będzie w porzo - powiedział Anton.

Do stolika zaprowadził ich pryszczaty młodzian w czarnych spodniach spadających mu z bioder. Wręczył każdemu z nich menu wielkości plakatu. Kiedy się zagłębili w lekturze, Sasza pobiegł do zbiornika z żywymi homarami.

- Czy jesteś przekonana? - zagadnął ją Anton.

- Przekonana o czym? - mruknęła, nie podnosząc wzroku znad menu.

- O tym, że jeszcze raz spróbujemy. Stworzymy rodzinę. Czworo nas, razem ze zwierzakiem.

- Taa, jestem o tym przeświadczona, bo miałaś męczącą jazdę i mimo to nikomu nie dawałaś.

Anton cisnął jadłospisem.

- Nie słyszałaś, kurwa, co ci powiedziałem, kiedy rozmawialiśmy przez komórkę? Przecież zapewniłem cię, że chcę się poprawić, zmienić na lepsze. Zrobię wszystko, żeby ci tamto wynagrodzić.

- Ty i twoje obietnice. - Zmierzyła go wzrokiem, następnie odgarnęła włosy do tyłu i wyszeptała z gniewem: - Przypatrz się moim uszom. Pamiętasz, jak mi to zrobiłeś? A pamiętasz, jak mnie lałeś, żebym obciągała klientom w samochodach ich brudne kutasy? I może przypominasz sobie, jaki numer mi wyciąłeś dwa tygodnie temu? I jeszcze ukradłeś mi pieniądze?

Chwycił ją za ramię.

- Byłem na ciebie wpierdolony, czego się spodziewałaś? Znikasz z moim synem z Londynu, nie mówisz, gdzie jesteś. A potem wbijas zęby w mojego wacka.

- Wpierdolony na mnie? Boże, dopomóż. Cokolwiek zrobię, wpadasz w furję. Co byś zrobił, gdybyś wściekł się na Saszę?

Ponieważ uniosła głos, ludzie wokół odwrócili głowy w ich stronę. Kobieta przy sąsiednim stoliku zagapiła się na jej uszy. Rachel spuściła włosy i ciągnęła ciszej:

- W czym problem? Nie wystarczą ci dziewczyny tyrające na ciebie czy może polubiłeś Bath jako nowe terytorium? Nie będziesz miał ze mnie pożytku, Anton. Potrzebujesz młodego mięsa. Ja już jestem na to za stara.

- Rachel, cóż to za melodramat. Tam, skąd pochodzimy, biznes to biznes, nie zawsze przyjemny. Popełniłem błąd, zmuszając cię do pracy. Biznes zszedł na psy i zostaliśmy bez kasy, więc człowiek robi, co może. Ale to już przeszłość. Zmieniłem... podejście do życia i chcę teraz czegoś lepszego. Na początek pragnę być z moją kobietą i z synem.

- Zatrzymaj swoją pieprzoną filozofię dla siebie. Póki żyję, nie uwierzę żadnemu twemu słowu.

Anton ani nie drażył tematu, ani nie wpadł w złość, co zmusiło ją do zastanowienia, do czego zmierza. Im bardziej starał się być sympatyczny i rozsądny, tym bardziej się obawiała, co za chwilę się stanie. Z nim zawsze tak było.

Podeszła atrakcyjna kelnerka i przyjęła od nich zamówienie. Kiedy Rachel mówiła do niej, tamta nie spuszczała oczu /. Antona. Rachel przywykła do tego, ten facet miał magnetyczny wpływ na kobiety. Mógł mieć każdą, to znaczy taką, która była wystarczająco głupia i brała za dobrą monetę przemoc, którą epatował. Dlaczego ze wszystkich bab, którymi handlował, nie mógł, do cholery, znaleźć sobie ładniejszej i młodszej, o bardziej obfitych kształtach, i uparł się właśnie na nią? Gdyby zależało mu tylko na Saszy, pewnie już by go uprowadził.

Kiedy kelnerka z ociąganiem odeszła, Anton obrócił się do Rachel i ujął ją pod brodę.

- Powiedz mi, ten dom to ojciec wynajmował? To komunalne mieszkanie, czy jak?

- Tak - skłamała - i tam się nie wprowadzisz.

- Coś ci zostawił?

Chciała wyswobodzić się z jego uścisku, ale trzymał ją mocno.

- Mój ojciec był emerytem, dostawał grosze. Owszem, zostawił mi meble. Te też chcesz sobie wziąć? No to bierz się do roboty, zamów jutro ciężarówkę. Wszystko należy do ciebie.

Anton spojrzał na nią z urażoną miną i cofnął rękę.

- Och, mała, odpręż się.

Pomasowała zuchwę. Ten facet nawet wtedy, gdy starał się zachowywać normalnie, sprawiał jej ból.

- Trzymaj ode mnie łapy z daleka, dobra? Nie widzisz, że mam poharataną twarz?

Anton znowu zamierzał zapewnić ją, że się poprawi, kiedy do stolika podbiegł Sasza z całą listą pytań, co się stanie z biednymi homarami. Ojciec zaczął mu opowiadać, że homar jest królewskim daniem, co pozwoliło Rachel zająć się jej piwem. W końcu jakimś cudem trochę się zrelaksowała. Dania, które w końcu nadeszły, okazały się wyśmienite, reszta posiłku upłynęła we w miarę spokojnej atmosferze. Chociaż napięcie między nimi uniemożliwiało rozmowę, przyjemnie było popatrzeć, jak rozradowany był Sasza. Po kolacji przeszli się

nad zatokę i usiadłszy na piasku, obserwowali w zapadającym zmierzchu przyływ, który wprawiał w ruch łodzie rybackie. Rachel siedziała w pewnym oddaleniu od ojca i syna, a gdy nadszedł wieczór, starała się wypatrzeć pierwszą gwiazdę. Kiedy po raz ostami gapiała się nocą w niebo? Czuła miękki, chłodny piasek i rozmyślała, że mogłaby tu zostać na zawsze, szukając gwiazd na wielkim nieboskłonie.

Gdy w drodze do hotelu kluczyli wąskimi uliczkami, Anton objął ją ramieniem. Rachel natychmiast zeszywniała, ale była zbyt zmęczona, by go odepchnąć. Była po prostu skonana. Po powrocie do pokoju hotelowego Anton bez dalszych protestów położył się do łóżka razem z Saszą. Na razie wszystko zapowiadało się dobrze. Rachel, oddalając się do swojej kryjówki, słyszała, jak obaj gawędzą, niczym kochający ojciec z synem.

Nocą jednak do niej przyszedł. Obudziła się z lękiem, widząc, jak stoi w otwartych drzwiach. Miał na sobie dzinsy, co ją zaskoczyło, ale jego nagi tors połyskiwał w słabym świetle księżyca, przesączającym się przez lekkie zasłony. Rachel poczuła w całym ciele napięcie, nie umiała sobie wyjaśnić, ze strachu czy z podniecenia. Zrobiło jej się niedobrze.

- To był wspaniały dzień, co? - mruknął, przysiadając na skraju łóżka.

- Wynoś się. - Przekręciła się na drugi bok, żeby znaleźć się jak najdalej od niego.

- Zapal światło. Mam w kieszeni kopertkę. Nie jest w niej zbyt wiele, ale wystarczy.

- Chyba cię zupełnie pokreśliło. - Z jękiem obróciła się do niego twarzą. - Czy nie przypominasz sobie, do czego jesteś zdolny po koce? A zresztą ja już nie biorę. Dobrze o tym wiesz. Wynoś się, zanim zacznę wrzeszczeć.

- OK, OK, tak sobie pomyślałem... dzisiaj twoje urodziny. - Zamilkł, ale nie ruszył się. Czekala w napięciu, aż odejdzie. On tymczasem gładził ją po ramieniu. - Czy nie mógłbym zrobić ci dobrze?

- Nie. Po ostatnim razie wcale nie czuję się dobrze. Byłeś jak zwierzę. Nigdy, przenigdy...

Delikatnym, lecz stanowczym gestem położył jej rękę na ustach.

- Szszsz... - szepnął. - Nie budź dzieciaka. Powoli ściągał z niej kołdrę.

- Zdejmij majtki - zakomenderował szeptem. - Chcę całować twoją cipkę.

- Odpięrz się - syknęła, siadając na łóżku i próbując naciągnąć na siebie przykrycie. On jednak robił swoje, zęby błyszcząły mu w uwodzicielskim uśmiechu.

- Chcę ci wszystko wynagrodzić - powtórzył. - Popatrz, nie zdejmę dżinsów.

- Nie - warknęła głośno, mocno kopiąc go nogą w bark.

- No, no - mruknął, chwytając ją za kostkę. - Mała, nie bądź głupia, odpuść się. Daj mi się popieścić. Tylko trochę. - Zwalił się na nią, rozwierając jej nogi, wbił palce w jej uda i posuwając się coraz wyżej, zdał z niej majtki.

Nie miała siły, żeby mu się oprzeć, brakło jej słów. Przestała nawet myśleć, co się z nią dzieje. Na skali tego, co jej się przydarzyło, było to niezbyt groźne, choć tyle razy się temu sprzec i wiała. A za drzwiami niespokojnym snem spał Sasza, ostatnio coraz częściej tak było. Z goryczą uprzytomniła sobie, że lamie swoje postanowienie, i to zaledwie w ciągu trzech krótkich minut, ale lepiej nie rozmyślać teraz nad konsekwencjami tego czynu. Ćpuny tak robią - powiedziała sobie w duchu. Składa się kolejne przysięgi, ale niech tylko nadarzy się okazja, mówisz: tak, daj mi, choć wcale tego nie chcesz i wszystko się w tobie skręca z protestu.

W innym życiu, w innym świecie, pewnie byłby jakiś mężczyzna, któryby się o nią troszczył, zapewnił jej szczęście i bezpieczeństwo. Ale tu jest tak, jak jest. Mocno zacisnęła powieki i nie dopuszczała do siebie żadnych myśli. Z jej ust wyrwał się cichy jęk.

- Widzisz? Ty głupia dziwko, uwielbiasz to. - Głos Antona dobiegał do niej z oddali. - Beze mnie po prostu nie żyjesz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, ale, jak niemal zawsze w długi weekend pod koniec maja, zapowiadano przelotne burze. Madeleine, jadąc autostradą M5 na południe w kierunku Exeter, poczuła lekką poprawę nastroju. Ogromnie potrzebowała wyjazdu z miasta. Tydzień włókł się jak żółw. Po tym, jak Rachel nie pojawiła się we wtorek, musiała się czymś zająć. Zatelefonowała do kilku przyjaciółek, których nie widziała od miesiący, i umówiła się z nimi w pubie. W piątek, jak zwykle, odwiedziła Edmunda. Zauważyła, że jego stań zdrowia znacznie się pogorszył. Ubranie wręcz na nim wisiało, on sam dziwacznie się uśmiechał, jakby miał uszkodzone mięśnie twarzy. Był wyraźnie tym zawstydzony, a przy tym ospały i nieruchawy.

Madeleine z ulgą zostawiła za sobą Bath i wszystkie kłopoty z nim związane. Z Johnem zawarła ugodę, przekonawszy go, że jedna noc spędzona w jego domku na wsi będzie dla Angusa w sam raz. Poprzedniego dnia sprzeciwiła się sugestii sobowtóra pułkownika Sandersa, by na jakiś czas wstrzymać się z odwiedzinami u matki. Wyciągnęła Rosarię na wyprzedaż staroci do Pillbury nad rzeką Avon. Tylko takie rozrywki cieszyły teraz mamę, przypominając jej targowiska w Hawanie. Tym razem jednak bezużyteczne śmiecie sprzedawane na straganach nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Chodzi-

ła uwieszona ramienia Madeleine, ostrzegając ją przed jakimś niebezpieczeństwem, które coraz bardziej się do niej zbliża pod postacią spalonych zwłok, mięsożernych mrówek, podstępnych wrogów i ślepoty.

- Twój ojciec, Magdaleno, nie widzi - powtarzała. - Patrzę jego oczami i nie widzę nic.

- Neville cieszy się dobrym zdrowiem - usiłowała ją przekonać Madeleine.

Rzeczywiście, doskonale mu się wiodło. Jego retrospektywa w Londynie przyniosła mu fortunę.

Nieszczęsna matka wszystko pokreśliła. Jeśli jej świadomość została reaktywowana wskutek wymuszonych na niej elektrowstrząsów, to wewnętrzny radar odbierał jakieś mylne sygnały. Madeleine wcale nie była pisana rychła śmierć czy jakieś inne nieszczęście, lecz możliwe pojawienie się utraconego dziecka.

Po odwiezieniu matki do Setton Hall i zaprowadzeniu jej do jadalni na lunch Madeleine pobiegła cichaczem do jej pokoju, żeby odszukać broszkę z cyny. Zauważyła na ołtarzyku nowe przejawy kultu. Rosaria ustawiła siedem szklanek z wodą, poświęconych siedmiu wyobrażeniom *orishas*. Każdy z nich figurował pod postacią swego chrześcijańskiego odpowiednika. Podobnie jak kubańscy niewolnicy w dawnych czasach, ukrywała swoje bóstwa pod przebraniem świętych katolickich, choć dawno już zniesiono ustawy zakazujące wierzeń wywodzących się z plemienia Joruba. Grube cygaro i kieliszek rumu stał przed Babalu-Aye, którego reprezentował święty Łazarz. Jako ojciec wszystkich chorób był bóstwem pomocnym mamie w rzuceniu uroku na mordercę, który podarował jej córce tę przeklętą broszkę. Szukając jej w pokoju Rosarii, Madeleine surowo przestrzegała siebie, że od dawna nie jest wyznawczynią santerii, że już nie wierzy w moc zaklęć. Chciała odzyskać broszkę, ponieważ jej się podobała. Jednakże nigdzie na nią nie natrafiła - ani na ołtarzyku, ani w jakimkolwiek innym miejscu. Musiała pogodzić się z jej zniknięciem.

Skreśliła na zachód, wjechała na szosę A30. Utrzymywała się świetna pogoda, więc stanęła na poboczu, zrolowała dach starego mercedesa, obwiązała głowę jedwabną apaszką i założyła okulary słoneczne. Na skraju drogi nadal kwitły wiosenne kwiaty, a młode listki dębów i buków zachowały intensywną zieleń. Na siedzeniu pasażera leżał wielki bukiet tulipanów ze skulonymi kielichami, torba ze sklepu alkoholowego z dwiema butelkami szampana marki Cava, spora torebka z orzechami pistacjowymi z uprawy biologicznej, duży filet wędzonego łososia i pudełko drogich czekoladek belgijskich od Marksa i Spencera. Czym tu zaskoczyć wymagającego (i zazdrosnego) Angusa? Mimo sprzecznych uczuć na temat przyjaciela Johna doszła do wniosku, że cieszy ją myśl o spędzeniu dnia na łonie natury. Bardzo potrzebowała czasu i zmiany otoczenia, żeby zastanowić się nad następnym posunięciem wobec Rachel, i liczyła, że Angus pozwoli jej na chwilę rozmowy z Johnem na osobności.

John kupił ten dom w stanie ruiny przed pięciu laty, próbując wynaleźć sobie hobby, które zmusi go do wypraw za miasto i spędzania wolnego czasu w bardziej sensowny sposób niż kupowanie w sklepach z antykami sprzętów niemieszczą-cych się już w jego mieszkaniu. Domostwo na wsi służyło nie tylko jako cel pieczołowitego remontu, ale i miejsce, do którego można było wywieźć zgromadzone skarby. Robotnicy nieraz doprowadzali go do pasji, ale na koniec dom został doprowadzony do stanu, w jakim znajdował się przed dwustu laty. Myśl o tym wywołała w Madeleine poczucie smutku. Oboje w tym czasie nie mieli partnerów, więc gdy murarze wywieźli ostatnią betoniarkę, John zaproponował jej, żeby spędzili tam weekend inauguracyjny. Pierwszego wieczoru, ostro zaprawionego szampanem, oboje wpadli w smętny nastrój, ubolewając nad swoją bezdzietnością. To była świetna okazja, by wyznać Johnowi o córce, ale Madeleine nawet nie próbowała się do tego zmusić. Kiedy odkorkowywali czwartą butelkę, wpadli na szalony pomysł poczęcia wspólnego dziecka. Uwielbiali siebie nawzajem i uwierzyli w tamtym momencie, że to

doskonałe rozwiązanie. Madeleine była tak pijana, że zapomniała o swojej bezpłodności (potwierdziło to wielu lekarzy i kubańska curandera). Postanowili zamienić ideę w czyn, ale niezbędny ku temu akt nie został skonsumowany. Nazajutrz rano John oświadczył jej ze łzami, że nic by z tego nie wyszło. Nie potrafił się zmusić do penetracji waginy i obawiał się, że Madeleine znienawidzi go za to, że nie zdoła być odpowiednim mężem. Choć i ona przyznała, że cały ten pomysł był bez sensu i praktycznie nierealny, przez wiele dni czuła się obolała. Jakieś drzwi do jej serca zostały otwarte, a potem gwałtownie zatrzaśnięte.

Jechała dobre pół godziny, a następnie skręciła w lewo, kierując się na zachód, w głąb Dartmoor. Od tamtego pijackiego wieczoru odwiedzała domek Johna dziesiątki razy, więc знаła drogę. Na wszelki wypadek uruchomiła jednak nawigację satelitarną, prezent bożonarodzeniowy od Gordona. Głęboki baryton, noszący imię Brad, uwodzicielsko podpowiadał jej, jak jechać, aż do chwili, gdy na tych pustkowiach kompletnie stracił rozeznanie i poddał się.

Domek znajdował się w samym sercu Dartmoor, bodaj najbardziej bezludnego obszaru południowo-zachodniej Anglii. Prowadziła doń bita droga, ponad dziewięć kilometrów od opustoszałej szosy lokalnej. Grząskie błoto po ostatnich deszczach utrudniało jazdę, zużyte podwozie mercedesa co chwila szorowało po nierównościach. Madeleine mrugnęła z sympatią do starego auta. Droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność, w pewnej chwili rozdzielając się na dwie odnogi. Po obu stronach ciągnęły się zapuszczone łąki, niegdyś pola uprawne, ale w miarę jak jechała coraz bardziej pod górę, krajobraz się zmieniał, stawał się bardziej jałowy, pozbawiony zieleni. Wrzosowiska w oddali wyglądały groźnie, odstręczająco. Madeleine zdumiało, że w tak gęsto zaludnionym kraju nadal istnieją takie pustkowia. W dzieciństwie nie znała takiej dziczy, poza ogrodem na tyłach domu. Choć żyzna do szaleństwa, jej rodzinna wysepka nie miała dzikich obszarów, jeśli nie liczyć

kep mangrowców na przybrzeżnych bagnach, no i oblewających ją morz: Atlantyku z jednej strony i Zatoki Meksykańskiej z drugiej.

Kiedy wyjechała zza zakrętu, mignął jej skrawek dachu niewielkiego domu, ukryty pod koronami potężnych kasztanowców. Skręciła w wyrwę w sypiącym się murze z kamieni i śledząc rozmyte ślady opon, dotarła do bramy. Na wysypanym żwirem podjeździe zobaczyła nowe volvo estate Johna. Podjechała tuż bok, zaparkowała pod żywopłotem. Na niewielkim trawniku stał stary kempingowy volkswagen, który miał jej służyć za sypialnię. Uśmiechnęła się, widząc żeliwne schodki ustawione przy drzwiach wejściowych, udekorowane doniczkami z geranium i stokrotkami, bez wątpienia przygotowanymi na jej cześć.

Angus wyszedł na dwór, żeby ją przywitać. Zastanawiające, czy zrobił tak, by ofiarować jej gałązkę oliwną. Robił wrażenie zachwyconego jej przybyciem. Głośne cmok, cmok w powietrzu, okrzyki zachwytu i protesty w rodzaju „nie powinnaś była” na widok prezentów. Łysina Angusa lśniła w słońcu, a jaskrawy fontaż odbijał się czerwienią na tle białej koszuli. Nadal jednak Madeleine nie mogła pojąć, co John widzi w tym mężczyźnie. Angus był niski, otyły, jego skóra błyszczała od potu, no i był zdecydowanie starszy od partnera. Po chwili zbeształa się w myślach za takie nietaktowne uwagi. Przecież obaj tak się postarali, żeby umilić jej pobyt u siebie.

- Gdzie mój mężczyzna? - zapytała z radością, rozglądając się za znajomą sylwetką Johna.

- Masz oczywiście na myśli mojego mężczyznę - odparował Angus z krzywym uśmiechem.

- Jasne, on jest twój. Wyraziłam się „mój mężczyzna”, tak jak „mój partner, mój przyjaciel”. - Madeleine zaśmiała się i dodała: - Wiesz, nie mam nic przeciwko dzieleniu się nim.

To tylko pogorszyło sprawę. Madeleine zrobiła minę, która miała oznaczać, że już więcej nie będzie się siliła na podobne żarty, a Angus w odpowiedzi przewrócił oczami, co miało oznaczać: „Usiłowałem być miły”.

- Przyjechałam przed minutą i już zdołałam popełnić gafę - rzekła Madeleine pojednawczo. - Na pewno John ci powiedział, że nie jestem ostatnio zbyt lotna.

Angus wyciągnął rękę po jej torbę.

- Daj, wniosę ją do domu.

Sądząc po stroju Angusa, nawet w tej głuszy kolacja była rodzajem ceremoniału. Z szacunku dla gospodarzy Madeleine też się przebrała. Ściągnęła dzinsy i włożyła komplet, który w ostatniej chwili wrzuciła do bagażu - ciemnofioletowe spodnie z surowego jedwabiu i dobraną do nich bluzę. Wiedziała, że będzie w tym wyglądała naprawdę elegancko.

- Dobry Boże! - zawołali chórem na jej widok, spoglądając z prawdziwym podziwem. John dyskretnie ścisnął jej rękę i szepnął: - Trafny wybór. Wyglądasz bosko.

Mimo nie najlepszego początku wizyty, a może właśnie wskutek tego, Angus zabronił im wszelkiej pomocy w kuchni. Zniknął tam, by w skupieniu odprawiać swoje kulinarne czary. Madeleine i John nalali więc sobie dzinu z tonikiem i wdali się w pogawędkę pod ogrzewaczem w kształcie grzyba na małym tarasie przylegającym do jadalni. Zapadał wieczór, wzgórza wokół domku wcześniej skąpane w barwach ochry i purpury stawały się coraz ciemniejsze i bardziej zamglone, aż pograżyły się w ciemności.

Madeleine dopiła drinka, marząc o następnym, dwa razy mocniejszym.

- Czy w okolicy są jakieś mrowiska?

- Nie, ale gdy tylko wyładowaliśmy prowianty, powstała superautostrada między drzwiami kuchennymi a spiżarnią. Chryste, ale one szybkie! Powiedziałem Angusowi, że lubisz obserwować mrówki w naturze, lecz on, niestety, wysypał tam proszek owadobójczy. - Ścisnął ją za rękę. - Tylko mu o tym nie wspominaj. On nie rozumie takich rzeczy.

Proszek owadobójczy! Z trudem ukrywała niezadowolenie. Nie należy oceniać człowieka na podstawie środka przeciw mrówkom, w końcu ledwie go znała. Johnny jest szczęś-

liwy, więc o co chodzi? Madeleine nie mogła sobie pozwolić na wrogość ze strony Angusa. W trakcie tych rozmyślań usłyszała, że woła ich do stołu.

Szybko nachyliła się w stronę Johna, przemawiając pełnym napięcia szeptem:

- Czy istnieje szansa, żebyśmy jutro spędzili razem trochę czasu na osobności? Muszę ci coś wyznać - coś, co powinnam była uczynić przed wielu laty. Będziesz za to na mnie wściekły.

- O Boże - odparł John ze zdumieniem. - Jest tak źle?

- Owszem, jest. Potrzebuję ciebie i... twojej rozwagi w tej sprawie. Z trudem wstał z chybotliwego leżaka i kiwnął głową.

- Angus znowu cierpi na bóle kręgosłupa. Nie będzie chciał iść na spacer.

Stół w jadalni został nakryty uroczymi talerzami nie od kompletu, wykrochmalonymi do sztywności serwetkami i wspaniałymi kieliszkami. Nie najlepszy nastrój Madeleine ustąpił na widok tej zastawy, oświetlonej żyrandolem z pięcioma świecami zapachowymi. Przywieziony przez nią łośoś leżał podzielony na porcje na każdym talerzu, zwinięty w kształt róży, przybrany gałązkami świeżego kopru, cząstkami cytryny i packą czosnkowego majonezu. Z niewidocznych głośników sączyły się krystaliczne dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego, tylko odrobinę zakłócone szumem generatora z szopy.

- Cudnie! - krzyknęła z podziwem, posyłając Angusowi uśmiech, na który ten zareagował lekkim skinieniem głowy.

Główne danie - udziec z jagnięcia w posypce z kruszonych migdałów - było tak pyszne, że Madeleine poprosiła o dokładkę. John był w nadzwyczaj wylewnym nastroju, pił zbyt wiele i perorował za głośno. W którymś momencie, po jego szczególnie głupawym kawale, Angus i Madeleine wymienili między sobą spojrzenia mówiące: „Kochamy go, ale on po kielichu potrafi zrobić z siebie durnia”. Po kolejnej butelce wina rozmowa stała się dużo swobodniejsza, a salwy

śmiechu głośniejsze. Madeleine powiedziała sobie w duchu, że bez względu na to, co przedtem myślała o Angusie, był on czarującym gospodarzem. Skierowała rozmowę na tematy bardziej osobiste i z zaskoczeniem dowiedziała się, że ma trzy córki i kilkoro wnuków.

- Chryste, wcześniej zacząłeś.

- Kiedy urodziła się Leonora, miałem dziewiętnaście lat. Dwa lata później przyszły na świat bliźnięta.

John objadał się belgijskimi czekoladkami.

- Wszystkie trzy są bardzo kochane. Hej, Angus, moja kumpela i ja jesteśmy bezdzietni. Kiedyś myśleliśmy nawet, żeby...

Madeleine rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i pokręciła głową. Angus zauważył to, spoglądając na oboje z podejrzliwą miną.

- Taa, zawsze zaglądaliśmy nawzajem do swoich notatek -wtrąciła szybko Madeleine, usiłując zatuszować ten wątek. -My z mężem nie mogliśmy mieć dzieci. Powiedziano mi, że to moja wina, ale nigdy nic w związku z tym nie zrobiliśmy, to znaczy nie leczyłam się.

- Och, to ty byłaś mężatką? - zdziwił się Angus. - Nie wiedziałem o tym. - Spojrzał karcącym wzrokiem na Johna, który niebezpiecznie oparł się na serwantce, wprowadzając w drżenie stojące tam butelki. - Kim był ten szczęściarz? Może chłopakiem z Key West? John wspomniał, że tam się urodziłaś.

- Owszem, był stamtąd - odparła z westchnieniem. Postanowiła skrócić tę część swojej biografii do paru bezbolesnych zdań. - On zginął. Wkrótce po jego śmierci przeniosłam się do Bath. Mój ojciec jest Anglikiem, rodzice przeprowadzili się tu w latach osiemdziesiątych, więc już przedtem znałam

to miasto.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

- A zatem przybyłaś do Bath, żeby robić tu ludziom pranie mózgu - zażartował Angus, pomijając milczeniem jej wdowieństwo. - Czy kształciłaś się w tym kierunku w Stanach?

- Pranie mózgu! To wiele mówi o twoim stosunku do naszego zawodu. John! - zawołała przez ramię. - Słyszałeś?

John zbliżał się do stołu, taszcząc butelkę koniaku i trzy ogromne kieliszki. Potknął się, zahaczając o próg znoszonym kapciem. Głową niemal szorował niską powalę. Okulary mu się przekrzywiły, poła koszuli wysunęła ze spodni, a na wysokości pępka miał dużą czerwoną plamę. Nieskazitelnym Angus zerknął na niego z dezaprobatą.

- Angus jest nieco staroświecki, należy do tych sztywniaków z klasy wyższej - wybełkotał John. - Nie zwracaj na niego uwagi.

Angus nie podjął tematu i znów zwrócił się do Madeleine.

- Coś podobnego! Opowiedz. Co tam robiłaś?

- Utrzymywałam się z malowania.

- Malowania? - Angus uniósł brwi. - Czego? Domów czy płócien?

- No naprawdę! - wtrącił John z oburzoną miną, nachylając się nad stołem. - Madeleine jest świetną artystką. Jej ojciec to Neville Frank. Na pewno ci o tym opowiadałem.

Angus spojrzał na nią z podziwem.

- Ach tak? Neville Frank! I dlaczego porzuciłaś tę profesję na rzecz wsłuchiwania się w ludzkie żale i narzekania?

Madeleine zdała sobie sprawę, że nie zdoła go do siebie przekonać. Jednakże trzeba przyznać, że choć był złośliwym draniem, w jego pytaniu coś było. Obrabiała nowy zawód z różnych powodów. Pomaganie ludziom - dość patologiczna motywacja, jeżeli coś takiego w ogóle istniało - to po pierwsze. A po drugie, liczyła w duchu, że zrozumienie ludzkiej psychiki ustrzeże ją od tego, co przytrafiło się jej matce. Zwłaszcza że żałoba po mężu omal nie przyprawiła jej o utratę zmysłów.

- Przyjechałam do Bath, żeby zacząć od nowa - odpowiedziała Angusowi. - Wszystko w moim życiu się zmieniło, więc spróbowałam zostawić przeszłość za sobą. Podjęłam kursy psychoterapii częściowo z tego powodu, że Bath ma świetny program w tej dziedzinie. - Zawahała się. - No i odbywałam szkolenie z Johnem. Ale o tym to akurat wiesz.

- Wiem, wiem, uczyłaś się z Johnem. - W tonie Angusa znać było lekką irytację. Machnął ręką, jakby nie chciał słuchać dalszego ciągu ich idylli o wspólnej praktyce. Z pewnością słyszał o niej od Johna niejednym raz.

John nalał do jej kielicha mnóstwo koniaku, więc by zbliżyć go do ust, musiała obiema rękami objąć pękate naczynie. Kropla wosku spadła jej na palce. Przez chwilę zapiekło, ale wrażenie było przyjemne. Dlaczego tu wróciła? Znała logiczną odpowiedź: ponieważ nie mogła znieść widoku ulic, którymi spacerowała z Forrestem, nie mogła patrzeć na marinę, gdzie była zacumowana ich łódź, na knajpki, w których jedli i pili, oraz na plażę, na której wylegiwali się i całowali. Wróciła do Bath, bo stęskniła się za matką, pozostawioną tu w samotności. Ale Bath nie było miejscem, w którym by się osiedliła, gdyby miała swobodny wybór. A może się myli? Może nadal marzy o odnalezieniu córki?

- No cóż - mruknęła, sącząc małymi łykami koniak z trzymanego oburącz kieliszka. - Cokolwiek uczynię, nie zrobię z siebie typowej Angielki.

- Racja - przystał ochoczo Angus. - Nie sprawiasz jednak wrażenia Amerykanki. Czy masz może jakieś etniczne pochodzenie?

Zapadła cisza, przerywana jedynie przez Johna, który rytmicznie walił korkociągiem o blat stołu. Angus patrzył uważnie na Madeleine, czekając z uśmiechem na jej ripostę.

- Potraktuję to pytanie jako komplement - odparła. - A tak się obawiałam, że weźmiesz mnie za stu pięćdziesięcioprocentową Amerykankę. John wspominał, że nie lubisz ani tego kraju, ani jego obywateli.

Zerknęła na niego z zaczepną miną, ale Angus tylko się roześmiał.

- Bo to był komplement. A spytałem z uwagi na twój wygląd. Masz taką śniadą cerę, ciemne oczy i kręcone włosy.

Kątem oka dostrzegła, jak John zaciska szczęki. Był człowiekiem o takiej łagodności, że nie cierpiał wszelkich konfrontacji, ale i jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Pochodzę prawdopodobnie od jakiejś gwatemalskiej służącej. - Wstała i przeciągnęła się, żeby rozciągnąć mięśnie po wielogodzinnym siedzeniu w tej samej pozycji. - Mam to w genach. Lepiej miej się na bacności - rzekła i zabrała się do zbierania naczyń ze stołu.

- Och, przestań - zaprotestował John, unosząc się w krześle i próbując chwycić ją za ramię. - Nie rób tego. Siadaj.

- Nie, jestem skonana - odparła, lekko popychając go na miejsce. - Załaduję zmywarę i pójdę spać.

- Zajmiesz się tym po moim trupie! - wykrzyknął John. - Wstał, zachwiał się i rzucając gniewne spojrzenie na Angusa, objął Madeleine ramieniem. - Chodź, kochanie. Pokażę ci twoją sypialnię.

Noc była cicha i spokojna, jeśli nie liczyć ciągłego trylu jakiegoś ptaka. Madeleine owinęła się kołdrą. Przez otwarte okno ciągnęło chłodem. Nie zaciągnęła firanki, żeby patrzeć na niebo. Tuż za wozem kempingowym rósł potężny dąb. Jego bezlistne gałęzie tworzyły nad jej głową skomplikowaną siatkę, a podświetlone księżycem obłoki sprawiały wrażenie jakby osnowy na tym wątku. Madeleine wpatrywała się w to jak zaczarowana.

W ogóle nie była senna, miała wrażenie, że od tygodni obywatła się bez snu. W istocie trwało to od sześciu dni, kiedy po raz ostatni widziała Rachel. Nocami zapadała w krótkie drzemki i po paru minutach się budziła. Zniknięciu Rachel przypisywała wszelkie możliwe powody. Na przykład taki, że Rachel odkryła ich więzi krwi i dlatego czym prędzej zrezygnowała z terapii (kto na jej miejscu by tego nie zrobił?).

Na dorosłe rysy twarzy Rachel nakładała w myślach bladą buzię Mikaeli i im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większe dostrzegała podobieństwo. Logicznie rzecz biorąc, była świadoma, że zagłębia się w mrzonki bez żadnych podstaw, ale jakaś część w niej upierała się, że ma rację. Rachel mogła być jej córką, którą utraciła. W każdym razie świadczyła za tym jej data urodzin.

Nawet słaba szansa była dla niej potężnym przebudzeniem duchowym. Wszystkie zmysły miała maksymalnie wyostrzone. Widziała,

słyszała i odczuwała rzeczy, nad którymi przedtem przechodziła do porządku dziennego. Robiły na niej piorunujące wrażenie. Czuła się tak, jakby ślizgała się po lodzie, stale upadając i potykając się, ciągnięta niewidzialną siłą w głąb przepaści. Skąd takie wizje? Do czego to wszystko prowadzi?

Niepokoilo ją też coś innego. Jeśli Rachel rzeczywiście jest jej córką, to nigdy nie zaakceptuje jej jako matki. Będzie wstrząśnięta tym odkryciem, ponizona, że zdradziła Madeleine intymne szczegóły ze swego życia - niemal patologiczną obsesję na tle tego sutenera, prostytuowanie się, szukanie na ulicach Londynu klientów, branie narkotyków, załamanie nerwowe. Madeleine już na tyle dobrze poznała Rachel, że mogła sobie wyobrazić, w jaką furię wpadnie ta gniewna dziewczyna. Będzie wściekła i nigdy jej tego nie wybaczy. Madeleine obawiała się, że będzie musiała się zmierzyć z kolejną utratą. Tym razem odbierającą jej dalszą ochotę do życia.

Powinna się w jakiś sposób wyciszyć. Pozbawiona snu, nie pomoże nikomu, nie mówiąc o sobie samej. Zazwyczaj na bezsenność pomagało jej wino, ale w ostatnim okresie wywoływało odwrotny efekt. I wtedy przypomniawszy sobie o temazepamie, obietnicy zapadnięcia w niepamięć, czym zwabiono ją tu na weekend. Dobry stary John albo o nim zapomniawszy, albo Angus odmówił oddania jej kilku pastylek. Ludzie są bardzo przywiązani do swoich leków. Teraz mogła tylko o tym pomarzyć. Noc ciągnęła się w nieskończoność, Madeleine nie miała pojęcia, która jest godzina, a czuła się zbyt zmęczona, żeby po ciemku odnaleźć zegarek.

Musiała jednak zapaść w krótką drzemkę, bo gdy znowu spojrzała w niebo, chmury rozwiął wiatr, a gałęzie dębu wyraźnie odcinały się na tle niebieskawej poświaty. Ptak wreszcie umilkł. Uniosła głowę, żeby lepiej widzieć pejzaż za oknem. Na dom padało oślepiające światło księżyca. W tym świetle robił wrażenie ruiny, jaką kiedyś był. Aż trudno było sobie

wyobrazić, że w jego wnętrzu śpi w czułym uścisku dwóch dobrze odżywionych i szczęśliwych mężczyzn.

Ogarnęło ją dojmujące poczucie samotności, ale próbowała się tym nie przejmować. Przywiozła ze sobą książkę, niby modne, ale nudne czytadło, powieść z akcją rozgrywającą się w wielkim mieście. Występujące w niej postacie nie mają ani pracy, ani żadnych ambicji, jak gdyby były to dziwaczne aberracje, a prawdziwe życie toczyło się wyłącznie wokół wziętych barów, lokali z koką i skapo umeblowanych loftów. Mogła też sięgnąć po „Myraculous”, swoje ulubione pismo poświęcone mrówkom, z fascynującym artykułem poświęconym nowo odkrytemu gatunkowi w głębi amazońskich lasów deszczowych.

Jednakże nie miała ochoty się ruszyć. Kończyny odmawiały posłuszeństwa, nawet na tyle, żeby napiąć mięśnie niezbędne do zapalenia lampki i sięgnięcia po lekturę. Może to dobry znak. Zamknęła oczy.

Obudziła się, nie mogąc sobie uzmysłwić, gdzie jest. Było bardzo gorąco, leżała na wąskim łóżku, ktoś głośno chrapał w tym samym pomieszczeniu. W otwartym oknie powiewała zasłonka. Dochodził stamtąd odór spalin diesla, soli morskiej i szamba. Wtedy przypomniawszy sobie, że znajduje się w rodzaju schroniska młodzieżowego (czy raczej noclegowni) w Vera Cruz w Meksyku.

Coś ją gnębiło od chwili przebudzenia. Coś szczególnego. Aha, nareszcie do niej dotarło: jej dwudzieste pierwsze urodziny. Od dzisiaj jest w pełni dorosła.

Chrapanie ustało, po czym rozległ się długi jęk, a następnie westchnienie. Łóżko zaskrzypiało i chrapanie rozległo się z nową siłą. To była jej najbliższa kumpela, Gina. Wielka dziewczyna z takimi cyckami, że w nocy ją przygniatały.

Madeleine sięgnęła po zegarek, próbując dostrzec wskazówki w słabym świetle wpadającym z ulicy. Szósta trzydzieści rano. Włóczęga po Meksyku z Giną stanowiła pewien problem. Obie funkcjonowały w zupełnie innym czasie. Gina należała do osób, które mogły spać w

nieskończoność, bez względu na miejsce i porę dnia, podczas gdy Madeleine cierpiała na bezsenność nawet w chwilach skrajnego zmęczenia. Kłębiące się w głowie myśli nie pozwalały jej zasnąć. Jakże pragnęła się od nich uwolnić, być taka jak Gina, najspokojniejsza dziewczyna pod słońcem. Nic nie wyprowadzało jej z równowagi, jej sumienie było jak ukośna tafla lodu, z której wszystko się ześlizgiwało. Nie знаła poczucia winy, odpowiedzialności, przywiązania. Madeleine próbowała ją zmusić, żeby choć raz zatelefonowała do rodziców w Key West, wreszcie sama musiała zadzwonić do swojej sąsiadki, pani Woods, i poprosić ją, by wpadła do nich z informacją, że Gina ma się świetnie, ale brakuje jej pieniędzy, więc trzeba je natychmiast przesłać telegraficznie. Teraz przebywały obie nad Zatoką Meksykańską. Miały ze sobą jedynie obdarte plecaki, po dwie pary majtek, po parze dżinsów i szortów, po jednej sukience letniej i grzebieniu. Przez kilka miesięcy przed wyjazdem Madeleine pracowała na czarno w barze „Sloppy Joe's” i w ten sposób odłożyła pięćset ciężko zarobionych dolarów, zaszytych w pasie noszonym na gołą skórę, ale Gina wydała już całą forszę. Dlatego przez jakąś godzinę dziennie żebrała na ulicy, czego Madeleine nigdy, przenigdy by nie zrobiła.

Głośno westchnęła w ciemnym pokoju. Zapragnęła spędzić ten ważny w swoim życiu dzień z kimś z rodziny. Od ponad roku nie pokazała się w Bath, czyli od tego czasu nie widziała ani mamy, ani Mikaeli. To było takie dziwne, takie trudne - jej własna córka już prawie jej nie знаła, ale matce najwyraźniej to odpowiadało. W sumie w ciągu czterech lat odwiedziła Bath zaledwie trzykrotnie i za każdym razem wpadała tam w straszną depresję.

Jednakże wszyscy jej krewni na pewno przejęliby się urodzinami. Neville z Elizabeth wydaliby na jej cześć party, Elizabeth uwielbiała organizować przyjęcia i z pewnością zamówiłaby jakiś koszmarny tort z dwudziestoma jeden świeczkami, w prezencie dałaby jej pieniądze i ubrania. Właśnie się pobrali i zamieszkali w apartamencie w drogiej dzielnicy Knightsbridge.

Słońce już mocno przypiekało kocie łby, ale na ulicach pano-

wała cisza, jeśli nie liczyć przenikliwego wołania sprzedawcy pieczywa z białego samochodziku dostawczego. Kobiety z zaspanymi oczami, odziane w szlafroki, otwierały drzwi domów i wręczały mu pieniądze w zamian za gorące *panes* i torebki z małymi słodkimi babeczkami. Madeleine pobiegła za autem aż za róg i wręczyła sprzedawcy wszystkie drobne. Dał jej za nie dwa ogromne placki. Był na swój sposób przystojnym Indianinem, ale miał żalobę za paznokciami i był nieogolony.

- *Hoy es mi cumpleaños* - rzuciła mu niespodziewanie. Roześmiał się.

- *Que edad tienes, nina?*

- *Veinti uno* - odparła z dumą, zastanawiając się, czy w tym kraju też przywiązuje się szczególną wagę do dwudziestych pierwszych urodzin.

- *Enhorabuena.* - Skłonił się przed nią nisko teatralnym gestem i wręczył jej babeczkę.

Powiódł wzrokiem po jej gołych nogach. Przez chwilę wyglądało na to, że zaprosi ją na tył minivana. Czy oddałaby mu się, leżąc na tym chrupiącym, słodkim pieczywie? Ta myśl, choć ulotna, oszołomiła ją. Od wieków nie poszła z nikim do łóżka, ale nie, nie uczci swojej pełnoletności z kimś obcym. To już była specjalność Giny.

Wzięła babeczkę, oderwała lepki papier i jedząc ją ze smakiem, ruszyła wąskimi alejkami, starając się przypomnieć sobie drogę do głównego placu. Gdy wreszcie tam dotarła, odnalazła budkę telefoniczną śmierdzącą piwem i papierosami. Ktoś zostawił niedopitą butelkę wina na podłodze. Tylko turyści zdolni są do czegoś takiego - pomyślała z niesmakiem. Przekleci jankesi.

Wykręcając numer mamy, zostawiła uchylone drzwi. Telefon dzwonił długo, nikt nie odbierał słuchawki. Która tam teraz godzina? Wreszcie odezwała się automatyczna sekretarka. Ku swej konsternacji usłyszała głos Neville'a: „Tu mieszkanie Rosarii Frank. Nie można jej zastać pod tym numerem, proszę dzwonić...”.

Co? To przecież numer Neville'a! Czy mama przeprowa-

działa się do papy? On się ledwie co ożenił z Elizabeth, ale kto wie, może go oświeciło (lub Elizabeth go rzuciła) i wrócili do siebie? Madeleine mocniej zabiło serce, ogarnęło ją miłe ciepło. Byłby to wspaniały prezent urodzinowy. Szybko wykręciła numer telefonu ojca.

W słuchawce zatrzeszczało.

- Neville - krzyknęła. - Neville?

- Madeleine - odezwał się gromkim głosem. - Dzięki Bogu. Bogu dzięki, że zadzwoniłaś.

- Chyba się o mnie nie martwiłeś? - spytała niepewnym tonem.

- Nie, kochanie, ale powinnaś kontaktować się z nami częściej. Niestety, mam dla ciebie złe wieści.

Mimo porannego upału poczuła przeraźliwy chłód wzdłuż kręgosłupa.

- Co się stało? Jakie złe wieści?

- Posłuchaj, musisz natychmiast wracać. Czy masz pieniądze? Gdzie teraz jesteś? Zarezerwuję ci bilet na samolot, jeśli nie masz za co go kupić.

- Co się, u diabła, dzieje? - W słuchawce zapadła cisza, więc Madeleine krzyknęła: - Jesteś tam?

- Jestem, jestem. Dobrze cię słyszę. Słuchaj, twoja matka... została umieszczona w szpitalu. Jakies pięć tygodni temu. Nie wiedziałem o tym aż do dnia po ostatnim twoim telefonie. Mikaela... jest w rodzinie zastępczej. Nie martw się, naprawdę, to świetni ludzie.

- Neville! - wyjęczała. - O co chodzi? W jakim znowu szpitalu jest mama?

- No... w psychiatrycznym. Miała coś w rodzaju załamania nerwowego.

O Boże. W ciągu kilku sekund przez myśl przeleciały jej kolejne wersje koszmarnego scenariusza. Potrząsnęła głową. Nie, musi być jakieś prostsze wyjaśnienie tego wszystkiego. Może mama uprawiała swoje czary i ktoś na nią doniósł. Doszli do wniosku, że jest obłąkana. Tam kompletnie nie rozumiano santerii. Pewnie coś takiego się zdarzyło.

- Chryste Panie, biedna mama! Musisz natychmiast wziąć do siebie Micki.

- Ona ma się świetnie, przebywa u bardzo sympatycznych ludzi. Niepokoję się przede wszystkim o twoją matkę.

- Tak, ale odbierz Mikaelę. Nie zostawiaj jej u obcych.

- Ona ma się dobrze. Dziecko, ta sprawa należy do ciebie, a nie do mnie.

- Co przez to rozumiesz?

- Madeleine! Bierz dupę w troki i wracaj. Mam wystawę w Tokio.

- Przyjeżdżam! - krzyknęła. - Ale pojedź i ją odbierz. Nie możesz zostawiać Micki w rodzinie zastępczej.

- Madeleine! - odkrzyknął. - Muszę być w Tokio pojutrze. Na miłość boską, mam pieprzony wernisaż. Zamawiam ci stąd bilet lotniczy. Gdzie ty, u diabła, jesteś?

- W Meksyku. - Łzy zalewały jej oczy. - Wytłumacz mi wszystko powoli. Co się stało mamie? - Znowu cisza. - Neville?

- Taa... jestem. Najprawdopodobniej to się ciągnęło już od jakiegoś czasu. W końcu sąsiadka zaalarmowała odpowiednie czynniki. Rosaria zamalowała wszystkie szyby na czarno, wyniosła meble i podpaliła je w garażu. W ogrodzie powiesiła na gałęziach kurczaki i inne martwe zwierzęta. Mówiła do siebie. Nie opuszczała mieszkania od wielu tygodni. Bóg jeden wie, co się tam działo.

Madeleine stała jak słup soli. To w żaden sposób nie pasowało do mamy. Ogarnął ją lęk.

- A ty? - warknęła. - Obiecałeś, że zawsze się będziesz o nie troszczył. Twierdziłeś, że będziesz je odwiedzał co tydzień. Nie obchodzi cię to, prawda?

- Madeleine, morda w kubeł. A co ty zrobiłaś? Świetnie się bawisz w akademii sztuk pięknych, a w wolnym czasie włóczysz się po Meksyku. Może wzięłabyś na siebie odrobinę odpowiedzialności? W końcu Rosaria jest twoją matką, a ty nie jesteś już dzieckiem.

- Nie jestem, to prawda. Zwłaszcza od dzisiaj - odpowiedziała

ponurym tonem.

- Na to wygląda, prawda?

- Dlatego właśnie dziś zatelefonowałam.

- Co masz na myśli?

- To moje dwudzieste pierwsze urodziny.

- O cholera - zaklął Neville. - Naprawdę?

- Kogo to obchodzi?

- No cóż, najlepsze życzenia. Co mogę ci rzec? Dziecko, wróćmy do sprawy biletu. Gdzie dokładnie jesteś w tym Meksyku?

Był to ponury budynek na przedmieściu Bath. Ściany pomalowane na zielono, jak w szpitalu. Regis Forbush zaprowadził ją do gabinetu i poprosił, by usiadła przy okrągłym stole. Był mężczyzną w średnim wieku, przed pięćdziesiątką, i miał snobistyczny akcent, ale sprawiał wrażenie niechluj. Jego brązowe spodnie i zielony zapinany sweter powinny już dawno wylądować w pralni. Miał dużą łysinę, tłusty kosmyk włosów przesłaniał ją w poprzek czaszki.

- Zmęczona zmianą czasu, prawda? - zagadnął z obojętnym uśmiechem. - To dobrze, że przerwała pani swoje wakacje w Meksyku, nie myślę się?

- Panie Forbush, przyjechałam tu, żeby odebrać moją córkę. Czy ona...

- Proszę posłuchać, panno Frank - przerwał jej w pół zdania, już bez uśmiechu. - Czy prawdą jest, że pani nie zajmowała się córką od... jakichś czterech lat? A po raz ostatni widziała ją pani przed rokiem?

Madeleine otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale Forbush ciągnął:

- Zgodnie z dokumentami, które leżą przede mną - postukał palcem w grubą kopertę - złożono podanie o formalną adopcję małej Mikaeli. Wszak pani już dawno planowała oddać swoją córeczkę pod prawną opiekę pani matce, Rosarii Frank. Czy tak było?

- No, coś w tym rodzaju - bąknęła niepewnie.

- Coś w tym rodzaju? - Forbush uniósł brwi. Madeleine posmutniała. To brzmiało okropnie.

- Moja mama zawsze chciała zaadoptować Mikaelę. Stale mi powtarzała, że przecież nie oddaję jej nikomu obcemu, że dziecko zostaje w rodzinie. Mikaela myśli, że jestem jej siostrą, do mojej matki zwraca się „mamo”, tak jak ja. W którymś momencie doszłam do wniosku, że nie zachowuję się uczciwie wobec mamy, ona nalegała na to od... no, od pięciu lat, czyli od chwili narodzin Mikaeli, ale nie miałam pojęcia, że miała... taką wielką depresję.

- Panno Frank, to coś więcej niż depresja. Madeleine, jeśli mogę się tak do pani zwracać, u twojej matki stwierdzono schizofrenię paranoidalną. Prawdopodobnie żyła z tą chorobą od lat.

- Schizofrenia paranoidalną? - powtórzyła Madeleine kompletnie zbita z tropu. Brzmiało to strasznie. Wiedziała, że to choroba psychiczna, zdaje się taka, na którą cierpią maniacy o morderczych tendencjach. Szaleńcy, którzy biegają po ulicy z nożem i rzucają się na ludzi albo wkraczają do szkoły i strzelają do dzieci.

- To chyba jakieś nieporozumienie, panie Forbush - zaproponowała gniewnym tonem. - Moja mama przeszła załamanie nerwowe z uwagi na rozwód i związane z nim sprawy. To żadna paranoja czy jak tam pan to nazywa. Widzi pan, mama jest niezwykłą kobietą. Ona jest santerą, mędrzynią. Ludzie nie rozumieją, co to oznacza. Myślą, że to jakiś hokus-pokus. To są uprzedzenia.

- Przykro mi, ale epikryza lekarzy jest dogłębna. Twój ojciec opłacił czołowych psychiatrów, żeby pomogli mamie... Tak więc, jak widzisz, nigdy by jej nie przyznano prawa do adoptowania wnuczki.

- Mój ojciec! - mruknęła Madeleine. - A cóż on wie, u diabła? - Nerwowo kręciła się na krześle. Zanim doleciała do Londynu, Neville był już w drodze do Tokio. Podejrzewała teraz, że rzadko odwiedzał Mikaelę i mamę w Bath. Miał fioła na punkcie Elizabeth, swojej nowej żony, i ich luksusowego apartamentu w Londynie. Dla mamy wynajął starszą parę małżeńską, która zajmowała się domem i ogrodem. Kiedy

Kosaria zapadła na zdrowiu, tamci przebywali na wakacjach w Szkocji, objeżdżali różne miejsca swoim autem kempingowym.

Mimo początkowej niechęci Madeleine przekonała się do Elizabeth, która okazała się sympatyczną kobietą. Była całkowicie różna od matki, ale i o wiele młodsza. Miło z jej strony, że poczekała na przybycie Madeleine i dopiero potem udała się do Tokio. Tego ranka, gdy Madeleine miała odjechać pociągiem do Bath, Elizabeth pożyczyła jej swoją spódnicę i różową bluzkę. Chryste, Madeleine nie miała na sobie bluzki od czasów szkolnych, ani rajstop, a tym bardziej pantofli na szpilce. Zrobiła też masakrę swoim włosom, wycinając nożyczkami do paznokci fioletowe pasma, a resztę loków związując z tyłu zwykłą gumką aptekarską. Starła się wyglądać godnie, odpowiedzialnie, ale niewiele z tego wyszło. W każdym razie Regis Forbush przejrzał ją z pewnością na wylot.

- A ojciec Mikaeli? - zapytał insynuującym tonem. - Jego nazwiska nie ma w akcie urodzenia dziecka. Czy wiesz, kim on jest?

Madeleine chciała zrazu zaprotestować, ale szybko zmieniła zdanie. Zaraz po porodzie odmówiła podania personaliów ojca w obawie, że Forrest będzie miał z tego powodu kłopoty. Czy nie powiedział, że zrobiła z niego przestępcę? A teraz, pięć lat później, gdziekolwiek przebywał, z pewnością nie miał najmniejszej ochoty dowiedzieć się o istnieniu dziecka.

- Naszą jedyną troską obecnie - Forbush oskarżycielsko wyciągnął w jej stronę palec - jest dobro Mikaeli.

Madeleine przytaknęła pokornie. Wstrząsnęło nią, że nie zauważyła zmian chorobowych u mamy. Rozmawiała z nią telefonicznie przynajmniej dwa razy w miesiącu, a czasami i co tydzień, i nie wyczuła w jej głosie niczego niepokojącego. Mama zawsze była ekscentryczna, niezwykła, ale co w tym złego? Czy to możliwe, że rzeczywiście oszalała?

Regis Forbush nałożył okulary.

- Para będąca rodziną zastępczą Mikaeli ogromnie ją lubi. - Otworzył folder, wyjął zadrukowaną stronicę papieru. - Pan

i pani X mają odpowiednio czterdzieści cztery i czterdzieści dwa lata. Są...

Madeleine zamarła. Uniosła się w krzesło, żeby zaprotestować, ale Forbush ciągnął nieubłaganie:

- Późno się pobrali i nie mają własnych dzieci. Są właścicielami domu w pobliżu dobrych szkół. Pan X jest malarzem dekoratorem, a pani X - gospodynią domową. Mają... - zawiesił głos i spojrzał na Madeleine zza okularów - bardzo duże szanse na uzyskanie zgody na adoptowanie Mikaeli. I w świetle faktu, że ty sama nigdy faktycznie nie zajmowałaś się dzieckiem, zamierzamy rozważyć ich podanie.

Chwyciła się brzegu stołu.

- Adopcja? Pan twierdzi, że oni mogą ją adoptować? Forbush lekko się uśmiechnął.

- Madeleine, nikt nie przyszedł z pomocą dziewczynce, która znalazła się w nadzwyczaj trudnej sytuacji. Twój ojciec zgłosił się do mnie kilka tygodni temu, ale nie czuł się na siłach zajmować się takim małym dzieckiem. Ty włączysz się z plecakiem, i to jest, zdaje się, twój styl życia po tamtej stronie Atlantyku. Twojej matce nie wolno będzie ponownie opiekować się wnuczką, nawet jeśli wypuszczą ją ze szpitala. Czy nie uważasz, że to przypadek do...

- Nie - wybuchnęła Madeleine. - Zgoda, podróżowałam. Nie miałam pojęcia, co się tu dzieje. Ale nie sądzę, że tylko z tego powodu...

Forbush wszedł jej w słowo.

- Madeleine, chyba nie masz innego wyjścia. Mamy prawo, by wziąć sprawę w swoje ręce i, szczerze mówiąc, w tej sytuacji należy działać z rozwagą, unikając dodatkowych konfliktów, a przede wszystkim z myślą o dobru dziecka.

Madeleine zerwała się z miejsca. Kątem oka zauważyła, że bluzka rozpięła się jej na piersi. Ukazał się czerwony stanik, kupiony tego ranka u Woolwortha, ostro kontrastujący z różową górą. Forbush od razu to zauważył, ale najwyraźniej nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Nie życzę sobie tego. Proszę nie zapominać, że kiedy uro-

dziłam Mikaełę, miałam tylko szesnaście lat. Teraz skończyłam dwadzieścia jeden. Nie mogę zgodzić się na to, co pan sugeruje. To jest zbyt... ostateczne. Nie może mnie pan zmusić, żebym oddała dziecko do adopcji. - Potrząsnęła stanowczo głową. - Jestem pewna, że nie zdoła mnie pan przekonać. Regis Forbush dał jej znać ręką, żeby usiadła.

- Mamy tu osobę, z którą powinnaś porozmawiać. To Karen. Może będzie ci łatwiej dogadać się z kobietą. Udzieli ci rad, omówi z tobą dokładnie wszystkie szczegóły, i w ten sposób ci pomoże.

- Nie - upierała się Madeleine. - Nikt mnie do tego nie przekona. Nie dam się urobić.

Forbush pokręcił głową.

- Chcę zobaczyć moją córeczkę - zażądała Madeleine.

- Nie możesz. W każdym razie nie teraz. - Znowu wymierzył palec w jej pierś. - Pamiętaj, co powiedziałem. Wszyscy, łącznie z tobą, musimy mieć na uwadze interes dziecka. Mała Mikaela przeżyła wielką traumę. - Forbush przemawiał teraz ostrym tonem. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, przez co przeszła. Dziecko potrzebuje stabilizacji. Pragnie miłości, troski i poczucia ciągłości. To nareszcie dostaje od państwa X. Teraz i w przewidywalnej przyszłości.

Madeleine poczuła, jak blednie z gniewu i przerażenia. Czy naprawdę są zdolni jej to zrobić? Czy mogą nie dopuścić do spotkania z jej własną córką? Czy mają władzę odebrać jej dziecko... na zawsze?

Od chwili kiedy dowiedziała się o hospitalizacji matki, poczuła, że coś się z nią dzieje - jakby w jej piersi gwałtownie kiełkowało nasionko: poczucie macierzyńskiej odpowiedzialności, silne pragnienie, wręcz potrzeba, żeby pospieszyć dziecku na ratunek, otoczyć opieką i uchronić przed jakąkolwiek krzywdą. Nauczy się być odpowiednią matką. Zrobi to teraz, od razu.

- Zamierzam zaangażować w to mojego ojca - wybuchnęła. - Wynajmę sobie adwokata. Domagam się oddania mi córki.

Forbush rozsiadł się w krześle i założył nogę na nogę.

- Madeleine, to nie telewizja. Nie jesteśmy w telenoweli. Tu chodzi o szczęście i dobro prawdziwego dziecka, o którym mówimy. Jeśli kochasz swoją córeczkę, zrobisz to, co jest dla niej najlepsze. Przecież pragniesz, żeby żyła jej się dobrze, stabilnie, żeby miała solidnych rodziców, którzy zapewnią jej odpowiedni rozwój, by wyrosła na w pełni funkcjonalną jednostkę.

- Akurat! - odparowała Madeleine. - Tak właśnie gadają w telenowelach. Nie wmówi mi pan tego. Jestem jej matką. Przecież to się liczy.

Zamilkła, zagryzając wargę. Przemawiając takim tonem, sprawiała wrażenie źle wychowanej i niedojrzałej. Wojowniczość nie była właściwą strategią. Po twarzy Forbusha można było poznać, że takie argumenty do niego nie przemawiają.

- Proszę posłuchać - zmieniła ton. - Nie zdawałam sobie sprawy, że moja mama cierpi na tę... chorobę. Gdybym o tym wiedziała, natychmiast bym wróciła. Musi pan zrozumieć, że gdy urodziła się Mikaela, byłam bardzo młoda i niedoświadczona, poza tym poważnie zachorowałam. Po porodzie dostałam infekcji i spędziłam trzy tygodnie w szpitalu. Przez ten czas mama całkowicie przejęła opiekę nad maleństwem i wytworzyła z nią więź. Może nie powinnam była do tego dopuścić, ale ona była w tym działaniu nadzwyczaj stanowcza. Nawet Neville... mój ojciec... był w stu procentach za tym. Wie pan, matka po urodzeniu mnie miała trzy poronie-
nia. Rozpaczliwie pragnęła drugiego dziecka.

Rozpaczliwie - jak podejrzenie to słowo brzmi teraz. Madeleine skrzywiła się, myśląc o nieszczególnym doborze słownictwa, ale ciągnęła swój wywód:

- Była dla mnie kochającą matką, więc całkowicie jej ufałam. Poza tym była nadal młoda, miała mnóstwo wolnego czasu, a na dodatek została sama... Panie Forbush, nie zrobiłam niczego złego, a pan daje mi do zrozumienia, że jestem koszmarną, niedbającą o nic osobą. To nie w porządku. Myślę, że powinien mi pan dać szansę.

Forbush, rozparty w krześle, z łagodną miną wsłuchujący się w jej prośby, nagle pochylił się nad stołem i znowu zaczął wymachiwać palcem.

- Madeleine, czy uważasz, że potrafisz właściwie zajmować się małym dzieckiem? Gdzie zamierzasz osiaść? Czy masz dom? Pracę? Opiekunkę do małej? Oszczędności? Męża, który jest ojcem dziecka? - Niemal kipiał ze złości. - Lub choćby własną matkę zdolną do udzielenia ci pomocy i wskazówek wychowawczych?

Zamilkł, bo spostrzegł, że pozwolił sobie na zbyt wiele.

- Posłuchaj, Madeleine. Współczuję ci. Bóg jeden wie, jak musiało wyglądać twoje dzieciństwo. Twój ojciec wspomniał mi, że wskutek rozlicznych ekscesów matki miałaś różne problemy. Całymi dniami zamykałaś się w sobie, przemawiając tylko do owadów, i oddawałaś się innym zajęciom, świadczącym o dziwnym zachowaniu.

- To niemożliwe, żeby on to powiedział - zaprotestowała Madeleine. - Mowy nie ma!

- W istocie przekazał mi dużo więcej. Jestem przeświadczony, że twój ojciec zgadza się ze mną w sprawie Mikaeli. Zakomunikował mi, że dziecko gwałtownie potrzebuje solidnej, statecznej rodziny i że nikt spośród Franków nie może jej tego zapewnić.

Madeleine skoczyła na równe nogi, mierząc go wściekłym wzrokiem.

- To dlatego, że czuje się winny! - krzyknęła. - On ją zostawił. Nie chciał dostrzec choroby mamy, bo tak mu było wygodniej. Mama była taka szczęśliwa, mogła kochać dziecko, a on to wykorzystał, żeby ją porzucić, otrzymać rozwód i poślubić inną kobietę. On jest ostatnim człowiekiem, który mógłby być tu sędzią. Jak śmie się wtrącać i gadać takie rzeczy?

Forbush wzruszył ramionami.

- A więc w istocie nie masz także poparcia ojca.

- Nie mogę w to uwierzyć - odpowiedziała, z trudem hamując łzy. Chwyciła z oparcia krzesła kurtkę i torebkę. -Odchodzę, ale załatwię sobie adwokata! - Ruszyła z furią w stronę drzwi, rzucając na odchodnym: - Dokładnie tak jak w pieprzonej telenoweli, panie Forbush.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Poniedziałkowy poranek długiego majowego weekendu dostarczył mnóstwo słońca spragnionym go Wyspom Brytyjskim i ich mieszkańcom. Jednakże, jak miliony innych, John cierpiał tego dnia na kaca giganta. Madeleine również uskarżała się na ból głowy (czego sprawcą był bez wątpienia ostatni kieliszek koniaku), a Angus miał ciężką noc z powodu bólów krzyża. Ponieważ wszyscy troje nie spali najlepiej, nazajutrz wstali dość wcześnie.

Madeleine, najmniej z tej trójki obolała, zaproponowała, że zrobi śniadanie, ale Angus nie mógł znieść, żeby ktoś obcy panoszył się w jego kuchni, więc po licznych westchnieniach przyrzucił im kopiasty półmisek racuchów, podanych z dzbanuszką śmietany i pojemnikiem na pół rozmrożonych malin.

Zjedli z apetytem, po czym Angus wrócił do łóżka, a Madeleine z Johnem wzięli się do sprzątania kuchni. Kiedy ostatni talerz powędrował na swoje miejsce, John krzyknął w stronę schodów:

- Idziemy się przejść. Angus, nie zapomnij o ćwiczeniach. Wiesz, co ci powiedział kręgarz.

Obłok porannej mgły nagle opadł na posępny krajobraz, przemieniając słońce w białą kulę. Wspięli się na murek przy

końcu ogrodu, a potem ruszyli wzdłuż krańca zapuszczonej łąki. Tuż za płotem siedliska Johna ziemia sprawiała wrażenie od lat nietkniętej ręką ludzką. Trawa sięgała do nogawek szortów, rosa osiadała na gołych nogach i butach. Przedarli się przez kępę pokrzyw, która podrażniła im skórę na kostkach, i zmierzali kamienną dróżką w stronę niedużego strumienia porośniętego krzewami głogu.

- Dokąd teraz? - spytała Madeleine.

- Nie pamiętam, czy chociaż raz zapuściłem się tak daleko poza granice mego ogrodu - wyznał John z zawstydzoną miną.

Nie bardzo wiedząc, jakie bezdroże wybrać, postanowili iść w górę strumienia. Drzewa niemal stykały się koronami, tworząc ciemny tunel nad głowami. Ścieżka wiodła pod górę, ale wysokie brzegi gęsto zarośnięte zielenią utrudniały orientację w terenie. Czując niepokój w całym ciele, Madeleine miała ochotę solidnie się zmęczyć. Szła przed siebie tak szybko, że John ledwie za nią nadążał. Krew dudniła jej w uszach, serce biło coraz mocniej.

- Jak sobie radzisz, przyjacielu? - rzuciła przez ramię. Ze smutkiem wsłuchiwała się w jego krótki oddech. - Twoje życie miłosne położy cię trupem.

- O jakim ty życiu miłosnym mówisz? - odkrzyknął John. - Sama widzisz, w jakim stanie jest Angus.

Po jakimś czasie zielony tunel raptownie się urwał, przed nimi pojawiła się sterta wielkich kamieni. Źródło zasilające strumień zniknęło w czeluści pod nimi. Oboje przedarli się przez zarośla złożone głównie z jeżyn i wreszcie wyszli na oblane słońcem wrzosowiska. Dziki krajobraz ciągnął się aż do horyzontu bez śladu zabudowań czy choćby wiejskiej drogi. Nagie grzbiety wzgórz z granitowymi wieżami na czubku były jedynym urozmaiceniem płaskiej, pustej przestrzeni.

- Może powinniśmy zawrócić? - spytał John z czołem zroszonym kroplami potu. - Już się zgubiliśmy!

- Och, daj spokój, wcale się nie zgubiliśmy. Musimy zrzucić z siebie nadmiar jedzenia i picia z minionej nocy.

Szli więc przed siebie, omijając połacie gąbczastych mokradeł, wspinając się na starodawne murki z kamienia, które kiedyś rozgraniczały włości. Ponure wrzosowiska zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nie widać było ani jednej krowy czy owcy, co by wskazywało, że w pobliżu mieszkają ludzie. Nawet ptaków było niewiele. Zupełnie jakby wkroczyli do Dartmoor zanurzonego w innym czasie, w odległej epoce.

- Prędzej czy później natkniemy się tu na grupę włóczęgów - orzekł John, przeczesując wzrokiem teren. Osłonił oczy dłońmi przed rażącym słońcem. - To szaleńcy, którzy uwielbiają takie pustkowia.

Znikąd pojawiła się nagle mgła, rozchodząc się po całym obszarze. Po kilku minutach oboje nie widzieli przed sobą nic. Brnęli na oślep, aż niespodziewanie znaleźli się na jakiejś drodze, porośniętej mchem i trawą. Z pewnością od miesiący nie dotarł tu żaden pojazd. Ponieważ zupełnie stracili poczucie kierunku, doszli do wniosku, że najlepiej będzie ruszyć tą dróżką. W końcu dokąds ich zaprowadzi. Chciało im się pić i kleli w duchu, że nie wzięli ze sobą butelki wody i mapy. Madeleine wyliczyła na oko, że zbliża się dziesiąta i że maszerują już od dwóch godzin. Rosaria nauczyła ją kiedyś, jak orientować się w czasie i przestrzeni na podstawie słońca. Jego ruchy była dla niej imperatywem, świadczyły o porządku rzeczy, o porze rytuałów i oddawania mu czci. Mamie zegarek był zbędny. John rozejrzał się wokół z niepokojem.

- Ciesz się - rzekła, dając mu lekkiego kuksańca w bok. - Cywilizacja jest tuż-tuż.

- Cywilizacja? Nie masz pojęcia o tym miejscu. Ludzie gubią się tu i umierają. Czasami dopiero po latach ktoś natrafia na ich zwłoki. - Wziął ją pod rękę, poklepał po dłoni. - Skoro, jak twierdzisz, jesteśmy o krok od domu, to może powiesz, czego mi nie wyznałaś?

- Bałam się, że o to zapytasz. - Wiedziała, że dłużej nie może tego odwlekać. - Nie wiem, od czego zacząć, i z góry denerwuję się twoją reakcją.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Boże! To chyba nie jest aż takie straszne. Roześmiała się.

- W naszym zawodzie to najbardziej amatorska zagrywka, jaką słyszałam.

- Po prostu wyrzucić to z siebie, Madeleine. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Kojarzysz tę kobietę, z którą się widuję, tę, co się związała z wielkim, złym Ukraińcem, który wygnał ją na ulicę?

- Taa. Chodzi o tę z seksualną obsesją?

Madeleine wzięła głęboki wdech, który natychmiast uwiązał jej w gardle.

- Istnieje znikoma możliwość, że jest moją córką. John stanął jak wryty. Wlepił w nią oczy.

- Ty nie masz córki.

- Owszem, John, mam. Urodziłam ją, kiedy miałam szesnaście lat. - Zamilkła na chwilę. - Była owocem miłości, przynajmniej dla mnie, ale wskutek nalegań moich rodziców zostawiłam dziecko na wychowanie mamie. Matka do tego stopnia się do niej przywiązała, że nie śmiałam ich rozdzielić. Wobec tego wróciłam do Key West, żeby podjąć tam studia plastyczne. Zostawiając je obie, popełniłam największy błąd w życiu. Pięć lat później Rosarię umieszczono w szpitalu psychiatrycznym, a mnie zmuszono, bym oddała córeczkę do adopcji.

John wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- To szaleństwo. Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

- Przecież wiem i jest mi bardzo przykro z tego powodu.

Pokręcił głową, całkowicie oszołomiony, nie mógł wydobyć głosu. Minęła dłuższa chwila i Madeleine zwątpiła, czy John kiedykolwiek jej wybaczy. Wreszcie, w desperacji, chwyciła go za ramię i zmusiła do dalszego marszu. John szedł obok w całkowitym milczeniu. Ona też się nie odzywała, dała mu czas, żeby to przełknąć. Zdawała sobie sprawę, jak wielkiej zdrady wobec niego się dopuściła. Znali się od siedmiu lat. John był jej najbliższym przyjacielem na całym świecie. Wielokrotnie zapytywała siebie, dlaczego nie powiedziała mu tej najbardziej znaczącej historii o sobie. Od-

powieź brzmiąŁa zawsze tak samo: ze wstydu... wskutek wyparcia.

Mogła odgadnąć, co teraz o niej myśli. Prócz tego, że w jego oczach stała się małym człowiekiem, nieuczciwym i zakłamanym, to jakimż była psychoterapeutą? Cztery długie lata nauki, podczas której uczestnicy kursu mieli głęboko wniknąć w swoją psychę, przejść proces samopoznania, dotarcia do zakamarków własnej duszy. Każdy z nich podjął tę trudną podróż, kluczowy wymóg dla kogoś, kto miał zrozumieć i poprowadzić innych w ich poszukiwaniach do pokładów ich świadomości i rozwoju duchowego... Ale ona zataiła swoją tajemnicę, ukryła prawdę o sobie.

- Wiem, co myślisz.

- Nie potrafisz pojąć - odwarknął.

- Potrzebuję twojej pomocy. Nie wiem, jak mam sobie z tym poradzić. Żeby stwierdzić, czy moje podejrzenia są słuszne, musiałabym zadać tej klientce mnóstwo pytań. Nie wiem, czy to etyczne, czy absolutnie nieetyczne. Nie potrafię sobie nawet odpowiedzieć, jak mam ją o to wypytywać. I o co, jeśli w ogóle miałabym poruszyć tę sprawę. Tak czy inaczej, myślę, że ona czegoś się domyśla, bo u mnie się nie pojawiła. Ani nie zatelefonowała, żeby odwołać wizytę.

- Och, na miłość boską! - wykrzyknął John, ale nie dodał ani słowa więcej.

Szli w milczeniu we mgle. Droga ciągnęła się bez końca, lekko skręcając na zachód.

- Odpocznijmy trochę - odezwał się wreszcie John, schodząc na pobocze i siadając na kępie wrzosu.

Usiadła obok, ale on nie patrzył w jej stronę i wydawał się pochłonięty własnymi myślami. Madeleine rozchyliła trawę u swych stóp, rozglądając się za *Lasius flavus*. Ten gatunek żył masami wśród szorstkich traw wrzosowiska, ale rzadko wyłaniał się na powierzchnię. Zamyśliła się nad tymi ślicznymi żółtymi mrówkami, które budują takie niezwykle pracowite schronienia, używając do wzmocnienia korytarzy korzeni i pędów. Namalowała kiedyś wnętrze ich mrowiska. Było to

wielkie rozmiarami płótno, na poły abstrakcyjne i półprzezroczyste. Wyrwał je jej jakiś japoński kolekcjoner.

John zdjął okulary i rękawem koszuli przetarł czoło. Po chwili obrócił się w jej stronę. Madeleine natychmiast przerwała swoje bezsensowne poszukiwania i uniosła oczy ku niemu. Widząc jego minę, poczuła, jak serce zamiera jej ze strachu.

- Madeleine, to mnie przerasta. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Potrzebujesz kogoś z wieloletnim doświadczeniem terapeutycznym. Kogoś absolutnie bezstronnego.

- Och, nie mów tak! - wyjęczała. - Zapomnij, że jesteś terapeutą. Pomóż mi jako przyjaciel.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Możemy to omówić jako przyjaciele, ale skoro jestem ci najbliższy, to może mi wyjaśnisz, dlaczego zataiłaś te fakty przede mną. Madeleine, naprawdę jestem zły, niezadowolony, zagubiony, ale przede wszystkim głęboko zraniony. Z tymi emocjami niewiele mogę dla ciebie zrobić. - Ujął jej rękę i zaczął jej się przyglądać, jakby była dziwacznym obiektem, który z pozoru znał, ale którego w rzeczywistości nigdy nie zgłębił.

- Dlaczego, do cholery, nigdy mi nie powiedziałaś?

- Czy przypominasz sobie, że kiedy się poznaliśmy, wspomniałam, że muszę wszystko zacząć od nowa? Tylko w ten sposób mogłam ocaleć. Pomoc, jakiej udzieliłeś mi w czasie żałoby po Forreście, była naprawdę ważna, a myśmy się oboje wspierali, prawda? - Zamilkła na moment. - Nie wykluczam, że podświadomie przeniosłam się do Bath, licząc, że ją tu odnajdę. Lata temu wpisałam się na listę ośrodka do spraw adopcyjnych. Kiedy nasza córka skończyła osiemnaście lat, przyjechaliśmy nawet z Forrestem do Anglii. To było na rok przed jego śmiercią. Przebrnęliśmy przez cały biurokratyczny proces, próbując nawiązać z nią kontakt, ale mediator poinformował nas, że nie może jej odnaleźć. Zapewnił przy tym, że jeśli Mikaela będzie gotowa do takiego spotkania, to przede wszystkim zajrzy na tę listę.

Pacnęła się w kostkę, żeby zabić gza. John puścił jej rękę.

- Domyślam się, że wcale nie jesteś pewna, czy nasza klientka jest rzeczywiście twoją córką.

- Nie - odparła gorzkim tonem. - Wcale nie jestem tego pewna. Ale posłuchaj, przyszła na świat dokładnie tego samego dnia co moja córka. I też w Bath. A poza tym Rachel, ta klientka, jest do mnie bardzo podobna. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ponadto ma wykrój oczu w kształcie migdała. A babka Forresta była Chinką.

John zmarszczył czoło.

- I to wszystko?

- Tak - odparła. - Ale zbyt wiele jak na zwykły zbieg okoliczności. John, pomyśl o tym.

Odpowiedział po namyśle.

- Rachel? Tak miała na imię?

- Ach, nie, nie.

John obrzucił ją współczującym spojrzeniem.

- Czy ona chociaż wie, że została adoptowana? Madeleine zacisnęła dłoń.

- No cóż, nie. Zapytałam ją o to, ale kategorycznie zaprzeczyła. - Popatrzyła mu w oczy. - Jednakże istnieje mnóstwo osób, którym rodzice nigdy nie zdradzają, że zostały adoptowane. To się często zdarza.

- Posłuchaj, moja droga. - Chwycił ją za rękę i lekko nimi potrząsnął, jakby chciał w ten sposób zmobilizować ją do skupienia. - Właśnie mi opowiedziałaś, że twoja córeczka miała pięć lat, kiedy ją adoptowano. Jest nieprawdopodobne, by nie pamiętała nic z pierwszych pięciu lat swojego życia. A rodzice adopcyjni... czy do tego stopnia chcieliby manipulować umysłem dziecka? Wątpię. Czuli zapewne, że się mylisz. Powinnaś postępować z nadzwyczajną rozwagą.

- Co mam zrobić? - krzyknęła. - Powinnam jej powiedzieć? Zapytać ją? - Czowała, że się dusi od tłumionych łez.

John objął ją ramieniem.

- A co z Neville'em? Mówiłaś mu o tym?

- Nie, jeszcze nie - odparła. - Postanowiłam dziś po południu pojechać

do Londynu, oczywiście jeśli uda się nam wyjść z tej matni. No i jeżeli on jest u siebie. Oboje z Elizabeth zazwyczaj wyjeżdżają za granicę na długi weekend majowy. John podnosił się z widoczną trudnością.

- Ruszajmy w dalszą drogę, a ty mi wszystko opowiesz. - Wyciągnął do Madeleine rękę i pomógł jej wstać.

Szli ścieżką zatopieni w rozmowie. Madeleine była mu wdzięczna za możliwość zrzucenia z siebie tego brzemienia. Zauważyła, że John nie jest w pełni skupiony. Był zbyt przybity wieściami, żeby udzielić jej jakichś sensownych rad. A poza tym, nie będąc rodzicem, nie miał żadnego doświadczenia na temat psychologicznych skutków adopcji. Jednakże jego silne ramię na swoich barkach odczuła jak serdeczny uścisk kochającego brata.

Wkrótce ścieżka doprowadziła ich do iglastego lasu. Mgła pojawiała się i znikła, snując się między wysokimi drzewami. Żadne z nich nie chciało się przyznać, że jest wyczerpane, zmarznięte i wskutek ustępującego kaca kompletnie odwodnione. Po następnej godzinie natrafili na kolejną drogę leśną. Stali przez chwilę bezradnie, aż Madeleine obejrzała się za siebie i dostrzegła wielką zieloną tablicę z napisem „Zarząd Lasów”. Tędy jechała poprzedniego dnia do ich domku.

- Hurra! Dzięki Bogu! - John pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. - Znak. Mamy stąd trzy i pół kilometra.

Gdy zbliżali się do domu, ujrzeli Angusa, który z wściekłą miną stał pośrodku drogi.

- Gdzieście do diabła byli? - krzyknął do nich. - Czy wiecie, która godzina? Włóczyłem się po wrzosowiskach, nawołując was i rycząc jak stęskniony osioł.

- To wszystko jej wina - odrzekł John, wskazując palcem na Madeleine. - Ona prowadziła.

- Nie bądź taki cwany, ty sukinsynu - złościł się Angus. - Należy ci się lanie. Napędziłeś mi strachu.

- Och, Angus, nie bądź taki zły. Zgubiliśmy się. Naprawdę.

- A gdzie jest twoja cholerna komórka?

- Przykro mi, ale nie mogę być stale na twoje zawołanie.

Madeleine oddaliła się o parę kroków od awanturujących się coraz głośniejszych kochanków.

- Dokąd idziesz? - krzyknął za nią John.

- Chyba się spakuję i ruszę w drogę. Jadę do Londynu.

- Nie bądź głupia. O tej porze wszyscy tam jadą. M4 i M5 będą kompletnie zatkane, pełne kierowców na kacu. Tłok będzie...

- Dosyć, John - przerwał mu Angus z gniewem, grożąc Madeleine krótkim, pulchnym palcem. - Droga pani, najpierw zimny prysznic, następnie dobry lunch, a potem proszę stąd zjeżdżać.

York o imieniu Brutus wskoczył Madeleine na kolana. Oboje znali się od lat i czuli do siebie wyraźną sympatię. W domu ojca to Brutus fundował jej najczulsze pocałunki. Teraz wilgotnym języczkiem lizał jej rękę.

- Schudłaś, Madeleine - odezwała się surowym tonem Elizabeth, stojąc nad nią z rękami skrzyżowanymi na piersiach. - Nieraz ci mówiłam, że po czterdziestce kobieta musi wybierać między figurą a twarzą. - Wskazała na kuchnię. - Czy mam ci przygotować kanapkę?

- Przestań pieprzyć - wtrącił Neville szorstko. - Ona nie chce kanapki.

Madeleine spojrzała na niego. Taki ton wobec Elizabeth nie był w jego stylu.

- Chwila, Neville, potrafię sama mówić.

- Przygotuj dziewczynie drinka - zakomenderował Neville. - Tego jej trzeba.

- Nie jestem taka pewna - zaprotestowała Madeleine. - Nie zapominaj, że wracam do Bath.

- No to co! Zostajesz na kolację. - Pstryknął wielkimi paluchami, jakby chciał sobie coś przypomnieć. - Co obecnie pijasz?

Madeleine westchnęła i zwróciła się do macochy:

- Elizabeth, poproszę o dużą wódkę z odrobiną toniku. Tego mi potrzeba.

Elizabeth, okaz zdrowia, wyglądała młodziej, niżby wskazywała jej metryka. Miała pięćdziesiąt dwa lata, a jej zaokrąglona figura stanowiła dowód wygłoszonej przed chwilą mądrości życiowej. Na twarzy nie widać było ani jednej zmarszczki.

Siedzieli na trzecim piętrze mieszkania przy Pont Street, w eleganckim i przestronnym salonie. Słońce wpadało do środka przez wysokie okna. Widać z nich było wieżę kościoła pod wezwaniem świętego Kolumbana. Okna z tyłu wychodziły na dom towarowy Harrodsa. Po swej ostatniej wystawie retrospektywnej Neville dostał tyle pieniędzy, że mógłby sobie kupić cały pałac w sercu Londynu, ale oboje od dwudziestu lat żyli szczęśliwie w tym samym mieszkaniu. Stary hipokryta był dumny ze snobistycznego adresu. W jego pojęciu ten adres mówił o nim: szanowany, sławny i bardzo bogaty. Był zbyt zaabsorbowany swoją ważnością, by zrozumieć, że właśnie to zniechęciło do niego dawnych przyjaciół z czasów cyganerii artystycznej, wywołało wiele kwasów i zazdrości.

Madeleine kręciła się niespokojnie na sofie, wygładzając poduszki z zamszu. Ogromnie chciała wyrzucić z siebie powód wizyty. Stała się nadpobudliwa, ale wyczuła, że atmosfera nie sprzyja takim rozmowom. Niecierpliwie spojrzała za siebie, by sprawdzić, czy Elizabeth nie wraca z drinkami. Jak długo trzeba je przygotowywać?

- Nad czym teraz pracujesz? - spytała, by zagłuszyć niepokój.

Wielkie, umięśnione kończyny Neville'a zwisały z designerskiego fotela duńskiego. Strzecha siwych włosów błyszczała w słońcu.

- Robię sobie dobrze zasłużoną przerwę - odparł nonszalancko, gładząc kozią bródkę. - Daję sobie trochę czasu, żeby przemyśleć, czym się zajmę. Zastanawiałem się nad ceramiką.

Madeleine gapiała się na niego przez chwilę, po czym wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Ceramiką?

Zapadła znacząca cisza. Madeleine zerknęła na Elizabeth,

która w końcu pojawiła się z tacą drinków i zamrugła, jakby dając pasierbicy jakiś sygnał. Madeleine w żaden sposób nie potrafiła go odczytać.

- Coś mi umknęło? - spytała ojca.

- A dlaczego miałbym o tym dyskutować z tobą - odburknął urażony. - Ty nie jesteś prawdziwą artystką, tylko pieprzoną specjalistką od czubków.

Ostro sobie poczyną - zauważyła w duchu. Ale też dał jej szansę odwetu.

- Wielki Neville Frank wyrabiający kubki. Nigdy się nie spodziewałam, że dożyję tego dnia.

Neville nie przystąpił do dalszej potyczki. Madeleine zauważyła natomiast, że wymienił z Elizabeth spojrzenia. Coś tu się działo. Neville uniósł swą wielką łapą kieliszek z winem Rioja i wychylił go jednym haustem, jakby to był naparstek.

Czy to możliwe... Była tak zajęta swoim kryzysem, że niczego nie zauważyła, griez skończył siedemdziesiąt dziewięć lat. Przez ponad pół wieku epatował siłą, malował portrety i pejzaże, zdobywał coraz bardziej znaczącą pozycję po obu stronach Atlantyku. Gdy teraz na niego popatrzyła, spostrzegła, jak bardzo się zestarzał. Do cholery, był wypalony, sterany. Nawet artyści powinni przechodzić na coś w rodzaju emerytury. Może sam doszedł do takiego wniosku, ale był zbyt pyszny, żeby się do tego przyznać. Może jakoś jego prac zaczęła wyraźnie spadać. Przypomniała sobie ostatnie obrazy - jakieś półabstrakcyjne formy kwiatowe, wyraźne odejście od charakterystycznej dla niego dbałości o najmniejszy szczegół. Czy ta retrospektywa nie jest aby sygnałem świadczącym o końcu jego kariery - i dla niego, i dla odbiorców, nabywców oraz kolekcjonerów jego dzieł? Może jego marszand poradził mu, Żeby trochę przystopował i w ten sposób zwiększył wartość rynkową swoich płócien?

Pod wpływem impulsu Madeleine podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Uważam, że ceramika to świetny pomysł. Po prostu cię testuję, bo tego właśnie spodziewasz się po mnie. - Schyliła

się, żeby popatrzeć mu w oczy. - Musimy traktować się nawzajem jak artyści, którzy potrafią sobie powiedzieć wszystko, prawda?

- Och, do jasnej cholery. - Neville strząsnął z siebie jej rękę. - Przestań mnie pouczać. A zresztą nie masz pojęcia o ceramice.

Madeleine jak niepyszna wróciła na kanapę i pociągnęła łyk drinka, który Elizabeth postawiła na stoliku obok. W istocie wiedziała co nieco o ceramice i niekiedy kupowała jakąś interesującą pracę. Kiedy usiłowała pokazywać Neville'owi swoją skromną kolekcję, ten uprzejmie się zgadzał, po czym z wyraźnym potępieniem ledwie rzucał na nią okiem. Każdy ma jednak prawo do zmiany poglądów, do przerzucenia się na coś innego. No i dobrze.

Neville wziął do ręki pilota i uruchomił telewizor. Madeleine zmarszczyła czoło. Rzadko widywała go przed telewizorem, a już na pewno nie wtedy, gdy był w towarzystwie. Teraz skakał po kanałach ze wzrokiem wbitym w ekran, w drugiej ręce dzierżąc kielich. Elizabeth pokornie wstała i dołała mu wina. Madeleine ogarniało coraz większe zdumienie. Neville był ekscentrykiem i z pewnością upierdliwym staruchem, ale w czasie dwudziestoletniego związku zawsze traktował żonę z pełną poważania adoracją. Był taki z siebie dumny, że uwiódł o wiele młodszą od siebie kobietę, a na dodatek córkę autentycznego arystokraty. Elizabeth była młodszą nawet od Rosarii, podzielała jego zainteresowania, miała jak i on skłonność do trunków i wyszukanych potraw, była pełna wdzięku, świetnie się ubierała. Pasowała do niego, doskonale się u jego boku prezentowała, a ponadto oboje mówili z podobnym akcentem wyższych sfer (wszystkich tych cech Rosaria nigdy nie miała). Wydawało się wręcz niesłychane, że traktuje ją teraz z taką wyniosłą nonszalancją.

Zmrużywszy oczy, spojrzała na Elizabeth. Ta lekko pokręciła głową, bo Neville trafił akurat na jakąś telenowelę. Madeleine otrząsnęła się z zadumy, ogarnęło ją natomiast zniecierpliwienie. Będzie oto skazana na sceny rodzinne, ponieważ

wypsnęła jej się niewłaściwa uwaga. Ojciec będzie uzalał się nad sobą, póki się nie urznie, a wówczas wpadnie w szampański nastrój i wszyscy będą musieli koło niego skakać, by go zadowolić. W tym sensie nic się nie zmieniło. Wszystko musiało się kręcić wokół Neville'a, należało spełniać jego zachcianki i tolerować gwałtowne zmiany nastrojów. Dodać do tego sławę i pieniądze, a będzie się miało obraz Narcyza w pełnym wymiarze. Jak często do niej telefonował? Pytał, jak się jej wiedzie? Jak się czuje? Ile razy zdarzyło mu się zapytać o Rosarię, jeśli nie liczyć sporadycznych pytań o sprawy finansowe?

Przez dłuższą chwilę wszyscy troje siedzieli w milczeniu. Madeleine i Elizabeth drobnymi łykami piły swoje drinki, Neville wlewał w siebie wino.

Wreszcie Madeleine przerwała ciszę.

- Neville, chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

- Zostawię was samych.

Elizabeth wstała i stanowczym krokiem wyszła z salonu. Madeleine nie wiedziała, co o tym myśleć. Może oboje się posprzeczali. Tak, to chyba wyjaśnia sprawę. Obróciła się do ojca, ale on nie odrywał wzroku od ekranu.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o Mikaeli, prawda? Zmarszczył czoło.

- O czym tu mówić? Nic o niej nie wiemy.

- I tu się mylisz. Nie wykluczam, że spotkałam ją kilka miesięcy temu.

Neville spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie wykluczasz? Co przez to rozumiesz?

- Nie jestem pewna, ale to ona chyba jest moją pacjentką, przychodzącą do mnie od marca.

- Chryste! Co mogę na to odpowiedzieć? Pewnie się pomyliłaś i masz do czynienia z zupełnie obcą kobietą.

- To właśnie pragnę ustalić.

- No cóż, jeśli to ona, musisz wymyślić jakiś sposób, żeby się jej pozbyć.

- Co takiego?

- Posłuchaj, Madeleine - zwrócił się do niej z rezygnacją. -

Udzielę ci kilku ojcowskich rad. Nie daj się wzruszyć sentymentalnym bzdurem. Zbyt łatwo jest ronić łzy. Jeśli nawet uważasz, że to ona, takie spotkania nigdy nie wychodzą na dobre. Dziewczyno, nie komplikuj sobie życia. Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli wykombinujesz jakiś pretekst i przerwiesz sesję z tą kobietą.

- I to tyle? - Wpatrywała się w niego, kręcąc głową ze zdumienia. - Taka jest twoja ojcowska rada?

- Madeleine, kurwa mać, zapominasz, że Mikaela nie chce się z tobą spotkać. Przecież twoje nazwisko figuruje na tej liście w ośrodku adopcyjnym, a więc robi to celowo. Ta dziewczyna nie jest już twoją córką i nie była nią od ponad dwudziestu lat. Ona jest kimś innym. Musisz to zaakceptować.

Madeleine zeszywniała. Mogła przewidzieć taką wyzbytą uczuć, pragmatyczną reakcję ojca. Ale czy na pewno on ma rację?

- Mówimy o twojej wnuczce, twojej własnej krwi. Neville zrobił wzgardliwą minę.

- Nigdy nie wierzyłem w te całe więzy krwi. Zawsze uważałem, że są mocno przesadzone.

Madeleine poczuła, jak czerwienieje jej twarz.

- A więc kim my jesteśmy wobec siebie, Neville? Znajomymi?

Machnął lekceważąco ręką.

- Nie przybieraj takich teatralnych póz. Z nami to co innego.

- Wcale nie.

Zapadli w ponure milczenie. Neville zerkał na ekran. Odnosiło się wrażenie, że jest kompletnie obojętny na los Mikaeli. Madeleine zżerała frustracją i niepokój. Jakże potrzebowała ojca z prawdziwego zdarzenia.

Uniosła głos, żeby przekrzyczeć dźwięki wydobywające się z telewizora.

- Czy wiesz cokolwiek, kto adoptował Mikaelę? To znaczy czy ten oślizgły urzędas, Forbush czy jak tam mu było, cokolwiek ci wspomniał na ten temat? Zdaję się, że obaj ucieliście sobie parę razy miłą pogawędkę.

Neville westchnął z wyraźną przesadą.

- Jasne, że nie. Tego rodzaju informacje są ściśle poufne.

- Czy nazwisko Locklear coś ci mówi?

- Nic.

- Innymi słowy, nie możesz dodać nic więcej do tego, co sama wiem? Proszę, Neville, muszę sobie z tym jakoś poradzić. Kobieta, o której wspomniałam, jest moją pacjentką i nie wykluczam, że to moja córka. Niezależnie od tego, że pragnę w końcu dotrzeć do prawdy, jako psychoterapeutka narażam swoją reputację na ogromny szwank. Czy możesz mi pomóc? Naprawdę o niczym nie wiesz?

Neville potrząsnął głową.

- Posłuchaj, nie jestem draniem, wiem nie więcej niż ty. Nie potrafię ci pomóc. Poza tym mam własne problemy. Madeleine, daj sobie z tym spokój. Pojedź na wakacje, prześpij się z kimś albo coś w tym rodzaju.

- Przespać się? Mówisz serio?

- Oj, nie chodziło mi... - Zamilkł, wpatrując się w nią. -

O cholera! - Wziął głęboki wdech, aż zagrało mu w piersiach. - Uważaj. Powiem ci o jedynej rzeczy, o jakiej wiem na pewno, i w ten sposób ci udowodnię, że się mylisz, biorąc tę kobietę za swoją córkę. Para, która adoptowała twoje dziecko, nazywała się Cocksworth. Ten padalec Forbush wymienił ich nazwisko przypadkowo, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon. Powód, dla którego je zapamiętałem, jest prosty: brzmi ono idiotycznie. „Wart kutasa!”. Współczułem w duchu małej, że z takim nazwiskiem pójdzie do szkoły. Niech mnie szlag trafi, Wart Kutasa! - Zachichotał. - Ci ludzie z całą pewnością nie nazywali się Locklear, moja droga, jeśli tak brzmi nazwisko twojej pacjentki. Chyba że Locklear nosi ona po mężu.

Nie, ani nie ma na imię Mikaela, pomyślała z rozpaczą. Zmiana nazwiska jest możliwa, ale i imienia, i nazwiska? Ciągle jednak pozostawała ta sama data urodzenia. Data...

I jej oczy.

- Muszę to ustalić ponad wszelką wątpliwość, w razie gdyby wróciła... na terapię. Mam więc przed sobą trochę pracy detektywistycznej.

- Moim zdaniem nie powinnaś zwracać sobie tym głowy. Teraz sobie przypominam, jak Forbush mi napomknął, że ci Cocksworthowie od razu po sfinalizowaniu adopcji mieli wrócić do Newcastle. To stamtąd pochodzą. - Pokręcił wielką głową i znowu napił się wina. - Dziewczyno, daj spokój, dlaczego Mikaela miałyby ze wszystkich miejsc przenieść się do Bath?

W drzwiach pojawiła się Elizabeth z Brutusem skaczącym u jej nóg.

- Psina potrzebuje spaceru - rzekła i zamilkła, mierząc wzrokiem męża i jego córkę. Bez trudu wyczuła napięcie panujące w salonie. - Może zechcesz mi towarzyszyć, Madeleine? Przeszłybyśmy się do Hyde Parku, zrobiły rundkę wokół Serpentine.

Madeleine popatrzyła to na nią, to na ojca, który nagle stracił wszelką ochotę do dalszej rozmowy.

- Dobrze, pójdę z tobą.

Poczekala, aż Elizabeth założy smycz szalejącemu z radości psu. Neville nawet nie drgnął z fotela.

Wolnym krokiem ruszyły w stronę parku, cierpliwie zatrzymując się co chwilę, żeby york mógł obsikać każdy przystanek autobusowy, lampę uliczną i kosz na śmieci. Na Sloane Square to z kolei Elizabeth zatrzymywała się przed każdą witryną, obrzucając okiem znawcy wystawione tam kreacje. Madeleine nawet w lepszych czasach w ogóle nie obchodziły designerskie ciuchy w gigantycznych cenach. Wlokła się więc za macochą, intensywnie myśląc. Cocksworth. Nigdy nie słyszała takiego nazwiska, a fakt, że rodzina wyniosła się do Newcastle, powinien rozwiązać jej wątpliwości. Skoro Neville ma rację, musi przyjąć do wiadomości, że się pomyliła.

- Popatrz na te pantofelki. Na twoich nogach, Madeleine, wyglądałyby zabójczo.

- Daj spokój, Elizabeth - odparła, chwytając ją za rękaw. - To wszystko nowe szaty króla.

Madeleine ciągnęło z nawyku do głównej bramy parku,

przy której stała monumentalna rzeźba Jacoba Epsteina *Wybuch zieleni*. W młodości Neville znał Epsteina, a Madeleine nigdy nie miała dosyć opowieści o starym mistrzu. Zwłaszcza tej, jak bardzo się spieszył, żeby dokończyć *Wybuch zieleni* w dniu swojej śmierci. Dla niej śmierć artysty na zawsze połączyła się z żywotem jego dzieła, z postaciami o długich kończynach przedstawionymi w locie, z podążającym za nimi bożkiem Panem. Gdy popatrzyła na rzeźbę teraz, serce jej zadrżało. Odkryła nagle inne jej znaczenie, osobną warstwę, coś, na co zwróciła uwagę jej mama... która musiała uciekać, żeby się ocalić.

Tym razem Elizabeth pociągnęła ją za rękę. Sprawiało wrażenie, że ma już dosyć i artystów, i ich sztuki.

- Oglądaliśmy to szkaradzieństwo setki razy - mruknęła z niesmakiem.
- Chodźmy wreszcie do parku, na miłość boską.

Przeszły przez jezdnię, znalazły się wśród zieleni. Chyba cały Londyn wpadł na ten sam pomysł. Ścieżki wypełniał tłum rodzin z dziećmi i psami na smyczy, młodzieży na wrotkach i rowerzystów. Kobiety i mężczyźni w eleganckich strojach do konnej jazdy wolno przesuwali się na swych wierzchowcach wzdłuż meandrującego strumienia, na którym znajdowało się mnóstwo łodzi, a mocno zaawansowani wiekiem pływacy zażywali kąpieli w ciemnej toni.

Brutus przejął prowadzenie, ciągnąc je w stronę linii drzew. Szły zakosami, mijając rozłożone koce i kochanków drzemiących w trawie. Niekiedy brały psa na rękę, żeby nie zsiusiał się na czyjeś prowianty. Kiedy już odeszły od tego zgiełku, Madeleine zdecydowała się przerwać milczenie.

- Co się z wami dzieje? Skąd to dziwaczne zachowanie?

Elizabeth zawahała się, po czym zbliżyła się do Madeleine, położyła jej rękę na ramieniu i odezwała się niemal szeptem.

- Neville ślepie. Madeleine zamurowało.

- Co takiego?

- Traci wzrok. Nic nie można zrobić. On o tym wie od jakiegoś czasu. Już nie może malować.

- Och, Boże - wyjęczała Madeleine. - Tylko nie to.

- Niestety.

Madeleine potrząsnęła głową, nie mogąc w to uwierzyć.

- Co to jest? Jaki rodzaj ślepoty?

- *Retinitis pigmentosa*. Retinopatia barwnikowa. Słyszałaś o takiej chorobie?

Madeleine niecierpliwie kiwnęła głową.

- Od jak dawna to trwa?

Brutus zaczął ciągnąć, więc ruszyły za nim w stronę otwartej polany.

- Od kilku lat.

Madeleine była wstrząśnięta. Biedny, biedny Neville. Co za straszny los dla malarza. Stąd pomysł na zajęcie się ceramiką, stąd wybuchy złości, nowy zwyczaj komenderowania Elizabeth. Trudno się dziwić, że jest w takim fatalnym nastroju.

Popatrzyła na macochę i nagle zrobiło się jej bardziej żal Elizabeth niż ojca. Neville miał wspaniałe życie, na starość coś go musiało dopaść. Nikt się nie uchroni od chorób towarzyszących podeszłemu wiekowi. Mędrzec mógłby uznać ślepotę za rodzaj szansy, by spojrzeć w głąb siebie. Zwłaszcza ktoś taki jak Neville, który żył przede wszystkim oczami. Ale taka mądrość zdarza się rzadko. Napotkała ją u nielicznych swoich pacjentów, starych mężczyzn i kobiet, którzy, wiedząc, że ich koniec blisko, poszukiwali terapii, ażeby poszerzyć i pogłębić samoświadomość. Neville nie należał jednak do tego typu ludzi. Spędzi resztę życia, przeklinając każdą chwilę swojego kalectwa.

Położyła rękę na ramieniu Elizabeth.

- Tak bardzo mi przykro. Teraz dopiero rozumiem.

- On mi zakazał wspominać o tym komukolwiek, ale sama w idziesz, jakie to ciężkie dla nas dwojga. Mnie osobiście bardzo przeszkadza całe to udawanie. On jest ogromnie... męczący.

Madeleine spojrzała na macochę zaskoczona. Męczący? To nie jest słowo, którego Elizabeth do niedawna użyłaby w od-

niesieniu do Neville'a. Byli pokazową parą, tworzyli związek, który mógł świecić przykładem. Bez względu na zażyłość, jaka w ciągu tych lat rozwinęła się między nią i macochą, Elizabeth nigdy nie zwierzała się jej ze szczegółów swego pożycia z Neville'em.

- Gdyby chociaż się z tym pogodził - rzekła Elizabeth z jakimś obojętnym wyrazem twarzy. - To nie jest coś, z czym można walczyć.

- Och, Boże, Elizabeth. Jak szybko może utracić wzrok?

- Proces przebiega stopniowo. Jego pole widzenia znacznie się zawężyło. Mówi, że wszystko widzi jakby przez słomkę.

- Ze wszystkich rzeczy, jakie mogłyby mu się przytrafić... -wyjąkała Madeleine, a w jej uszach rozległ się melodyjny głos matki: „Twój papa ślepnie, Magdaleno. Patrzę jego oczami i nie widzę nic”.

- Jak on sobie poradzi?

Elizabeth odwróciła się i spojrzała na nią badawczo.

- A jak ty się czujesz w związku z tym? Pytanie zaskoczyło Madeleine.

- Oczywiście okropnie. Jeślibym mogła w czymś pomóc... -zabrzmiało to słabo, niewspółmiernie do hiobowej wieści.

Elizabeth nie odpowiedziała. Madeleine studiowała jej profil: lekko zadarty nos sprawiał, że wyglądała młodzieńczo i rezolutnie. Z aksamitną cerą i długimi, splecionymi w warkocze jasnymi włosami, sięgającymi do pasa, była nadal niezwykle piękna i emanowała siłą, żywotnością. Jako macocha i przyjaciółka odznaczała się komunikatywnością i wrażliwym usposobieniem. Teraz nadszedł czas, kiedy obie będą musiały wspierać się nawzajem. Przypuszczalnie będą razem dzielić ten los. Tak, powinna wyjaśnić Elizabeth powód swej wizyty w Londynie. Dotknęła jej ramienia i lekko nim potrząsnęła, żeby zwrócić jej uwagę.

- Posłuchaj, gdybyś się zastanawiała, o czym chciałam porozmawiać z Neville'em... To jest sprawa, w której chętnie zasięgnęłabym i twojej rady...

- Ty też musisz się czegoś dowiedzieć - przerwała jej Elizabeth. Jej głos brzmiał ostro, niemal gwałtownie. - Zabrzmi to jak najobrzydliwsza zdrada... Zamierzam odejść od twojego ojca. - Zasłoniła się ręką, jakby chciała z miejsca powstrzymać wszelkie okrzyki zdziwienia lub protestu. - Ostatnie lata z nim po prostu mnie wykończyły. Madeleine, on stał się taki trudny i nic go nie zmieni. Nie mogę spędzić reszty życia, służąc ordynarnemu i wymagającemu inwalidzie. Umarłabym na depresję. - Zmieniła się na twarzy. - Proszę, Madeleine, czy możesz to zrozumieć? Spędziliśmy ze sobą wiele dobrych lat i myślę, że był ze mną szczęśliwy, ale zawsze byłam jego muzą, osobą, na której się wspierał, pozostającą stale w jego cieniu. Nie miałam nic przeciwko temu, ale nie mogę przejść teraz do nowej fazy w charakterze pielęgniarce, salowej i stróżki... Choć prawdziwe trudności jeszcze nie nastąpiły, już jestem wyczerpana. Mam zaledwie pięćdziesiąt dwa lata...

Zamilkła. Popatrzyły sobie w oczy.

- Ależ Elizabeth...

- Proszę, przestań! - wybuchnęła. - Wiem, że dla niego będzie to straszne, ale nie mogę tego dłużej znieść. Od razu ci powiem, że nikt ani nic nie zmieni mego postanowienia, więc nawet nie próbuj mnie przekonywać.

- Innymi słowy, jeszcze mu o tym nie powiedziałaś? Elizabeth spojrzała na nią błagalnym wzrokiem.

- Mogłabyś to zrobić za mnie?

- Ja? - wykrzyknęła Madeleine. - Nie ma mowy. Sama o tym zdecydowałaś, więc sama musisz mu to powiedzieć. i to jak najprędzej.

- W środę odlatuję do Szwajcarii, żeby odwiedzić moją siostrę. Po powrocie nie pojawię się już w naszym mieszkaniu.

Madeleine potrząsnęła głową, patrząc na nią z gniewem.

- Mój Boże, ot tak, po prostu? I nie uprzedziłaś go ani słowem?

- Nie zamierzam brać od niego dużo pieniędzy - odparła Elizabeth w swojej obronie, jakby finanse były głównym po-

wodem konfliktu małżeńskiego. - A zresztą w trakcie naszego związku Neville przelewał na moje konto znaczne sumy.

Brutusowi nie spodobał się ton ich rozmowy. Chodził w kółko, z wyraźną konsternacją kręcąc łepkiem.

Ruszyły przed siebie w milczeniu. Elizabeth wyciągnęła z kieszeni pomietą chusteczkę i zaczęła wycierać łzy.

- Co on, twoim zdaniem, zrobi? - zapytała w końcu Madeleine.

- Nie wiem - odparła macocha zaskakująco stanowczym tonem. - To ty musisz to przemyśleć. Powinnaś wziąć pod uwagę przeprowadzkę do Londynu.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Madeleine ze zdumieniem wskazała na swą pierś. - Cóż za pomysł! Mam swoją praktykę, a poza tym muszę myśleć o Rosarii.

Zawróciły, ruszając w stronę domu. W jej rozgorączkowane myśli wdarł się głos Elizabeth:

- ...pomoc domową, może pielęgniarkę. Po prostu nie wiem. Weź jednak pod uwagę, że istnieje mnóstwo młodych kobiet zapatrzonych w artystów, z radością gotowych służyć staremu mistrzowi w zamian za pieniądze i pozycję społeczną. On z pewnością kogoś sobie znajdzie. Tak czy inaczej, dysponuje milionami funtów, a jeśli je wszystkie wyda, to zawsze pozostaje mu sprzedaż mieszkania.

Młodych kobiet zapatrzonych w artystów! Madeleine poczuła, że miałyby ochotę ją uderzyć. Jak może tak mówić? W jaki sposób można się zmienić z kochającej żony w bezwzględną, obcą kobietę?

- Słuchaj - rzuciła. - Rób, co uważasz za stosowne, ale lepiej porozmawiaj przedtem z Neville'em na temat jego potrzeb i oczekiwań. Musisz pomóc mu wyjść z tej sytuacji obronną ręką. Przynajmniej to jesteś mu dłużna.

Kiedy otworzyły drzwi wejściowe, z salonu dochodził dudniący dźwięk, od którego niemal trzęsła się podłoga, a zaraz potem rozległo się ogłuszające chrapanie.

- Zasnął. - Elizabeth westchnęła. - To nie pierwsza jego butelka dzisiaj.

- Dziwi cię to? - odparła Madeleine lodowatym tonem.

- Mówiąc szczerze, powinnaś już zbierać się do odjazdu. Korki będą straszne, a Neville, kiedy się zbudzi, nie będzie w najlepszym nastroju. Przemyśl, co ci powiedziałam. Jesteś jego córką.

Madeleine przystanęła obok ojca. Spał w fotelu. Miał otwarte usta i choć był potężnie zbudowanym mężczyzną, jakby się skurczył, zmalął w równie żalorny sposób jak kobieta, którą rzucił przed laty. Bez względu na to, jak bardzo stał się bogaty, jak wiele osiągnął, jak wspaniała była jego nowa żona, kończy równie samotny i opuszczony jak i Rosaria. Fortuna kołem się toczy - pomyślała z drwiną.

W rozbłysku pamięci ujrzała samą siebie, istotę, którą tych dwoje stworzyło, nieubłaganie posuwającą się w latach, coraz bardziej osamotnioną. Odniosła wrażenie, że nie potrafi utrzymać w sobie uczuć - albo przelatują jej przez palce, albo je odrzuca. Coś ją nękało w trakcie tych ponurych rozważań.

I wtedy właśnie po raz pierwszy pomyślała o tym chłopcu. O Saszy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rosaria stała przy ołtarzyku plecami do drzwi. Miała na sobie szmaragdową suknię z jedwabiu, kupioną przez Neville'a wieki temu; ciągle świetnie leżała na jej smukłej figurze. Obciągnięte czarnymi pończochami nogi były prawie nietknięte przypadłościami starczego wieku, była bez butów. W nietypowy dla siebie sposób rozpuściła gęste nadal włosy, sięgające do bioder. Ufarbowane na heban, jej oryginalny kolor, sprawiały imponujące wrażenie. Z tyłu można ją było wziąć za młodą kobietę.

Madeleine tkwiła w drzwiach, obserwując ją w milczeniu. Matczyne dary dla jej *orisha*, Babalu-Aye, stały przed nią: szklanka mleczka kokosowego, kubek prażonej mąki kukurydzianej, kęs chleba umaczanego w oliwie (nieczyste sumienie Neville'a pozwalało na dostarczanie jej wszystkiego, czego tylko zapragnęła). Na płaskim kamieniu stała flaszka ze zmielonymi kośćmi jej przodków z plemienia Joruba, a laleczka pozbawiona włosów i pokryta czymś, co przypominało zaschniętą krew (czyją?), stała oparta o figurkę bóstwa.

Składanie mu czci za dnia należało do rzadkości, bo bóg nie znosił światła, a tym razem matka robiła to o czwartej po południu. O jakie czary jej chodziło? Nie było przypadkiem, że *orisha* Rosarii był ojcem wszelkich chorób zakaźnych, władał ospą i licznymi chorobami skóry. Pojawienie się w świecie

AIDS przypisywano gniewowi Babalu-Aye. Mógł on również spowodować raka, syfilis i trąd. Jednakże w równym stopniu potrafił uleczyć. A jego potęga seksualna była niezmierną. Z tego powodu był popularny wśród kochanków, pragnących dotrzeć do wyżyn rozkoszy i pasji, albo wśród partnerów lękających się odejścia kochanka do innej osoby.

Madeleine nie mogła się zdecydować, czy przerwać ten ceremoniał. Pielęgniarki i salowe najwyraźniej przywykły do tych dziwactw i wołały nie ingerować, w przeciwnym razie mama nie zajmowałaby się tak otwarcie swoimi czarami. W trakcie tych rozmyślań matka obróciła się w jej stronę. Zmierzyła ją takim lodowatym wzrokiem, że Madeleine spuściła powieki. A więc jednak przeszkodziła matce w czymś ważnym.

- Magdaleno, no i dobrze, że przyjechałaś, bo muszę zapalić to cygaro.
- Wzięła je z ołtarzyka, nadal opakowane w celofan. Neville, czy raczej jego prawnik, Ronald Trapp, co miesiąc wysyłał do Setton Hall skrzynkę cygar hawańskich. Neville dobrze wiedział, jaką przyjemność sprawiają one jego kubańskiej ekszonie. Przypuszczalnie zapomniał jednak, że cygara stanowią integralną część jej rytuałów.

- Zabierz mnie na dwór, Magdaleno. Szybko!

Był pogodny, lecz wietrzny dzień, więc Madeleine otworzyła szafę, by poszukać kurtki i wygodnych butów dla matki.

- No dobrze, zejźmy na dół i wpiszmy się do księgi wyjść. Masz ze sobą zapalniczki?

- Nie bądź dziecinna - burknęła Rosaria. - Czy sądzisz, że pozwalają mi tu je trzymać? Gdyby tak było, ten dom dawno by poszedł z dymem.

Nieczęsto się zdarzało, żeby obie zgodnie reagowały na jakiś żart, ale tym razem wybuchnęły śmiechem.

Po wpisaniu nazwisk w recepcji ruszyły wolnym krokiem w stronę wielkiego trawnika. Przy dobrej pogodzie pacjentom mającym gości podawano tam popołudniową herbatę. Polakierowane na niebiesko stoły z wikliny przykryte sztywno wy-krochmalonymi serwetami był już częściowo zajęte. Madeleine

posadziła Rosarię w cieniu dębu i poszła zamówić dzbanek bardzo mocnej kawy oraz pożyczyć od kogoś zapalniczkę.

- Masz mojego drinka? - zagadnęła ją po powrocie matka.

Madeleine sięgnęła do torby po butelkę i cichaczem nalała do plastikowego dzbanuszka sporą porcję rumu. Cygaro zostało wreszcie zapalone, nastał spokój. Rosaria w trakcie palenia była w siódmym niebie. Zaciągała się wonnym dymem, przymykając oczy z zadowolenia.

- Mamo, gdzie jest broszka?

Rosaria odłożyła cygaro. Coś bez wątpienia knuła, a mimo leków psychotropowych potrafiła błyskawicznie myśleć.

- Jaka znowu broszka?

- Ta, którą wyciągnęłaś mi z torebki.

Rosaria ponownie zaciągnęła się cygarem, wypuściła kłąb dymu.

- *Chiquitilla*, pomieszało ci się w głowie? - odparła drwiącym tonem, chichocząc pod nosem.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. - Madeleine pochyliła się nad stołem.

- Czy robisz coś, czym nie powinnaś się zajmować? A może poprosiłaś Pedrote'a, żeby ci pomógł? Tak czy nie, mamo?

Rosaria spojrzała na nią z gniewem.

- Już nie potrzebuję Pedrote'a.

Tak sobie właśnie pomyślałam, przemknęło Madeleine przez głowę. Zadrzała, próbując sobie wyobrazić, do czego to wszystko zmierza. Gdyby nadal wierzyła w magiczną stronę santerii, z pewnością doszłaby do wniosku, że mama rzuca uroki. Wiedza Rosarii na temat tej sztuki, jej niedawno odzyskane zdolności parapsychiczne plus poważna choroba umysłowa tworzyły mieszankę wybuchową. Mama mogłaby stanowić zagrożenie dla wszystkich. Madeleine nie miała jednak w swym otoczeniu nikogo, komu mogłaby zdradzić swoje podejrzenia. Nikt by jej nie uwierzył, no może z wyjątkiem Neville'a. W końcu Rosaria oczarowała go dzięki swoim niezwykłym umiejętnościom.

- Mamo - odezwała się surowym tonem. - Czy przypominasz sobie, jak wiele lat temu uczyłaś mnie, czym jest santeria? Zawsze mi powtarzałaś, że rzucanie złych uroków i sprowadzanie na ludzi chorób to specjalność czcicieli wudu, a nie prawdziwych wyznawców santerii.

- *Correcto, mi niña.*

- Babalu-Aye nie spodobałoby się to, co robisz. Nadużywasz władzy, jaką cię obdarzył. Może cię za to ukarać jakąś straszną chorobą.

Rosaria siedziała z zamkniętymi oczami.

- To on mną kieruje - powiedziała z przekonaniem.

- Czy nie pamiętasz, że prawie umarłam wskutek *mai de oi/o*? Mamo, nie powinnaś tego robić ludziom.

- Magdaleno, muszę chronić moje dzieci. Użyję wszelkich dostępnych mi mocy i ukarzę wszystkich, którzy chcieliby im /robić krzywdę lub mi je wydrzeć. - Wzruszyła ramionami, przyglądając się cygaru w swej ręce. Następnie rzuciła córce uważne spojrzenie. - Każda matka by to zrobiła, nieprawdaż?

Chryste Panie! Madeleine wymacała butelkę w torbie i pociągnęła z niej spory łyk, nie zważając, czy ktoś na nią patrzy.

- Twoje dzieci? - wyszeptała przez wyschnięte alkoholem gardło. - A ile ty masz dzieci, mamo?

- Dwoje, Magdaleno. Przecież wiesz o tym. Mam dwójkę dzieci.

Madeleine nie odrywała od niej wzroku. Nagle Rosaria wstała i rzuciła cygaro na ziemię.

- Drugie dziecko! - krzyknęła, wlepiając w Madeleine ogarnięte szaleństwem oczy. - Ty niedobra dziewczyno! Coś l y najlepszego zrobiła? Co się z nią stało?

- Uspokój się, Madeleine. Uprzedzałem cię, że to nie najlepszy pomysł. - Regis Forbush poklepał ją lekko po ramieniu. - Spróbuj się opanować. - Wyciągnął z pudełka kilka chusteczek i wcisnął jej do ręki. - Opamiętaj się, to ty życzyłaś sobie lego spotkania. To był twój własny wybór... no już dobrze...

no. Posłuchaj, spróbuję odnaleźć Karen. Jestem pewien, że jest gdzieś w pobliżu.

Nie może się doczekać, żeby stąd czmychnąć, zauważyła w duchu. Poły jego brązowego swetra załopotwały w przeciagu. Drzwi zatrzasnęły się trochę zbyt mocno. Madeleine osuszyła oczy chusteczką, żałując, że położyła tusz na rzęsach. Kogo zamierzała olśnić makijażem? Mikaełę?

Pewnie się zaraz pojawi. Czekanie było męką. Rodzina, która zaadoptowała Mikaełę, okazała nieco zrozumienia. Z ich strony nie był to obowiązek, lecz akt dobrej woli. Madeleine miała jeszcze raz zobaczyć się z córką, ale w miarę jak minuty zbliżały się do chwili ostatecznego pożegnania, była coraz bardziej wstrząśnięta ostatecznością decyzji, do której została zmuszona. Przecież wiedziała, że adopcja obowiązuje na zawsze. Ze wszystkich sił pragnęła przekonać służby społeczne, że postara się być dobrą matką dla Mikaeli. Ale nigdzie, gdziekolwiek się zwracała, nie uzyskiwała choćby cienia wsparcia. Nawet Neville postanowił trzymać się od tej sprawy z daleka (przysięgła sobie nigdy mu tego nie wybaczyć).

Aby osłabić cios, wmawiała sobie, że ciągle istnieje pole manewru, że można odwołać werdykt. Z pewnością ktoś zjawi się z pomocą, zaproponuje jakieś rozwiązanie. Cała ta historia wydawała się nierzeczywista. Z dnia na dzień uświadomiła sobie, że Mikaela jest jej własną córką - nie należy do Rosarii, Forbusha, służb socjalnych, rządu lub państwa X. I teraz, kiedy wzbudziła w sobie te uczucia, na zawsze odbierają jej dziecko. Decyzja zapadła oczywiście „w imię najlepszych interesów” Mikaeli. Choć Madeleine nigdy nie uważała się za dobrą matkę, to dziecko ciągle gdzieś w niej żyło, rosło i dojrzewało, niczym w nadal trwającej ciąży.

Kiedy do pokoju weszła Karen Enberg, Madeleine była bliska paniki. Zerwała się z krzesła i uczepiła ramienia potężnie zbudowanej urzędniczki o macierzyńskim wyglądzie.

- Karen, posłuchaj - jąkała się przez łzy. - Nie potrafię przez to przejść, po prostu nie mogę.

- W porządku, kochana. Rozumiem - odparła Karen. -

Przekażę im, że odwołujesz spotkanie. Jestem przekonana, że przyjmą to z ulgą. To zresztą idiotyczny pomysł.

- Nie! - wrzasnęła Madeleine. - Mam na myśli adopcję. Nie mogę się na nią zgodzić. Zmieniłam zdanie.

Karen położyła jej rękę na ramieniu.

- Podpisałaś dokumenty. Od tego nie ma odwrotu, dobrze

O tym wiesz. Państwo X zrobili ci grzeczność, przywożąc tu Mikaelę. Naprawdę ci współczują, lecz zarazem, jak to stanowczo ujęli, chcą zamknąć ten etap. Przede wszystkim dla dobra Mikaeli.

Podprowadziła ją do rzędu plastikowych krzeseł stojących przy ścianie.

- Wypłacz się tu, kochana. Kiedy wrócisz na Florydę, spotkasz jakiegoś sympatycznego mężczyznę, wyjdiesz za niego za mąż i będziecie mieli gromadkę dzieci, zobaczysz.

Rozżalona i zrozpaczona Madeleine wybuchła na tę uwagę gniewem.

- Karen, przestań mnie pouczać. Czy sądzisz, że tego właśnie chcę słuchać? Czy ci nie wspomniałam, że przypuszczalnie nie będę już mogła mieć dzieci? Po urodzeniu Micki lekarze powiedzieli, że moje szanse na ponowną ciążę wynoszą około dwudziestu procent.

Karen poklepała ją po ramieniu.

- Nie wierz im - zapewniła, ostrożnie sadowiąc swój gruby tyłek na krzeselku obok Madeleine. - Z pewnością będziesz miała dzieci.

Omawiały tę sprawę już dziesiątki razy. Karen opowiedziała Madeleine, że jej własna matka czterdzieści lat temu oddała jej siostrzyczkę do adopcji i że obie dopiero teraz nawiązały ze sobą kontakt. Coraz częściej się zdarza, że naturalni rodzice

i ich dzieci odnajdują się dzięki agencji do spraw adopcji.

- Kiedy Mikaela dorośnie, jest całkiem prawdopodobne, że się spotkacie i zostaniecie dobrymi przyjaciółkami. Znowu staniecie się dla siebie jak siostry.

- To żadna pociecha. Przecież dobrze o tym wiesz. Karen poklepała ją po kolanie.

- Proszę, uspokój się. Mikaela nie powinna zobaczyć cię w takim stanie. Złęknie się.

Po dziesięciu minutach milczenia, bo już niczego więcej nie można było dodać, Regis Forbush otworzył drzwi i, nie wchodząc do środka, wpuścił małą dziewczynkę. Madeleine podbiegła do niej, ale natychmiast spostrzegła, że mała nie wie, kim ona jest. Stała zdezorientowana, z przerażonym wzrokiem, ubrana w różową kurteczkę i czerwone spodenki. Na nogach miała czarne lakierowane buciki.

- Chcę do mamy.

- Hej, Micki.

Madeleine przyklękła przed nią, próbując powstrzymać łzy i zachowywać się normalnie. Mikaela sporo urosła, jej włosy zaczęły ciemnieć. Miała spiętą minę, ale poza tym wyglądała jak okaz zdrowia.

- Może usiądziemy - wtrąciła Karen pogodnym tonem, najwyraźniej postanowiwszy zapanować nad sytuacją.

- Nie - odpowiedziała Madeleine. - Chciałabym spędzić z Mikaelą kilka minut sam na sam. Muszę się z nią pożegnać... prywatnie. - Ujrzawszy, jak Karen otwiera usta, żeby zaprotestować, dodała szybko: - Czy proszę o zbyt wiele?

- Gdzie moja mamusia? - spytało dziecko prawie z płaczem.

- Mamusia i tatuś czekają na dole - pocieszała ją Karen. - Uspokój się i usiądź.

Ani Madeleine, ani Mikaela nie usłuchały.

- Ona jest moją siostrą - pisnęła nagle mała, wskazując na Madeleine palcem.

- No właśnie, właśnie. - Karen roześmiała się nieco zbyt głośno.

Madeleine podeszła do Karen.

- Posłuchaj, to idiotyczne. Proszę, wyjdź na chwilę za drzwi. Nie zamierzam zrobić niczego nieodpowiedniego, dobrze?

Karen westchnęła, chcąc mieć całą tę sprawę jak najszybciej za sobą. Zmierzyła Madeleine surowym wzrokiem i wy-maszerowała z pokoju.

Zostały same. Madeleine nie widziała córeczki od ponad roku i zastanawiała się teraz, czy kiedykolwiek przebywała z nią sama. Rosaria jej na to nie pozwalała. Zawsze w obecności Madeleine nie odstępowała małej, jakby się bała, że ta ją porwie i ucieknie.

- A więc pamiętasz starszą siostrę? To dobrze.

- Taa.

Połaskotała Mikaelę pod brodą.

- To jak mi na imię? Dziecko skuliło się, chichocząc.

- Lena - rzekło niepewnym głosem, a następnie wykrzyknęło radośnie:
- Madalena.

- Hej! Pamiętasz! Masz ładny dom z tatą i mamą?

- Taa. I mnóstwo nowych zabawek. Ale mam i tego misia, co mi kiedyś dałaś, i tego od Rose.

- Ach, tego. Nadal go masz? Ja go dostałam, kiedy byłam mała. A kto to jest Rose?

- Koleżanka mamusi.

- To miłe. Przyjemnie ci z mamusią i z tatusiem?

- Mhm. - Wzięła Madeleine za rękę. - Przyjdiesz do naszego domu?

Madeleine nagle zabrakło słów. Co się mówi dziecku? Czy dziecku się kłamie?

- Może kiedyś. Ale ja odjeżdżam, będę mieszkała gdzie indziej. Bardzo daleko.

- Och.

- Niedługo pójdziesz do szkoły. Mikaela zrobiła naraz dziwną minę.

- Dlaczego lubisz mrówki?

- Nie wiem. Fajnie jest im się przyglądać, poza tym są sprytniejsze niż ludzie. W każdym razie mniej narzekają.

- Hm, w ogrodzie jest ich mnóstwo. Mamusia zmiata je ze ścieżki.

- Czy mogę cię uściskać?

- Tak - odparła Mikaela i dała się objąć.

Madeleine z całej siły przycisnęła ją do piersi, gorączko-

wo myśląc, jak zdoła przeżyć moment ostatecznego rozstania. Nagle ujrzała wagę tego kroku i jego nieodwracalne konsekwencje. Ogarnął ją lęk i samotność. No cóż, sama też nie miała obok siebie rodzica. I to w chwili, kiedy było to takie ważne. Gdzie teraz podziewa się ojciec, dlaczego nie jest tu z nią?

- Bądź dobrą dziewczynką, kochanie. Zobaczymy się jeszcze.

- A kiedy? - Mikaela odsunęła się, patrząc przy tym na nią z uwagą.

Madeleine głęboko zajrzała jej w oczy. Czy jeszcze kiedyś zdoła w nie spojrzeć? O Boże, nie dopuść, żeby doszło do tego rozstania!

- Kiedy przyjedziesz do mojego domu? - powtórzyła Mikaela.

- Gdy obie dorośniemy - wyjąkała Madeleine na koniec. Nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Wiedziała, że musi odejść. Bardzo, bardzo daleko.

Dziewczyna obsługująca ekspres do kawy musiała zauważyć lub usłyszeć scysję i zatelefonowała na oddział. Teraz przez trawnik zbliżało się dwóch pielęgniarzy. Ta cholerna kubańska czarownica paląca cygara zakłóciła elegancki podwieczorek. Co odwiedzający o tym pomyślą? Madeleine była pewna, że dostanie kolejny minus. Doktor Jenkins miał rację, twierdząc, że jej wizyty tylko pogarszają stan matki.

Rośli pielęgniarze chwycili wrzeszczącą pacjentkę za ramiona i spokojnie, lecz stanowczo zaprowadzili ją do domu. Madeleine stała bez słowa i patrzyła, jak matka szarpie się ze swoimi napastnikami, którzy już to unosili ją w powietrzu, już to wlekli przez trawnik.

Nie zwracając uwagi na spojrzenia rzucane jej od stolików, uniosła z ziemi ciągle żarzące się cygaro Rosarii. Włożyła je sobie do ust i zaciągnęła się. „Dobre cygaro jest dobrym cygarem” - musiała przyznać rację lokalnemu porzekadłu. Siadła na trawie, oparła się plecami o pień dębu, wyciągnęła z torebki butelkę rumu i pociągnęła spory łyk.

W trakcie palenia odchyliła głowę, mierząc wzrokiem koronę drzewa nad sobą. Dąb był bardzo wysoki, co przypomniało jej domek na drzewie w gałęziach figowca bengalskiego. Zastanawiała się, w jakim stanie jest

teraz. Kiedy widziała go po raz ostatni, schodki prowadzące na platformę wymagały reperacji. Nagle zapragnęła znaleźć się z powrotem w Key West. Może najbardziej ze wszystkiego potrzebowała wakacji, zasycia się w domu rodzinnym. Teraz, przed sezonem huraganów, panuje tam doskonała pogoda.

Kątem oka dostrzegła jakiś drobny ruch. Dwa rzędy *Formiai fusca* wspinały się w karnym ordynku i w tym samym porządku schodziły po drzewie. Uśmiechnęła się na ten widok. Mrówki dotrą tam, gdzie człowiek nie zdoła. Miała słabość do *M. fusca*, łagodnego gatunku, który prędzej ucieknie, niż wda się w potyczkę. Odwróciła głowę, przyglądając się im uważnie. Zastanowiło ją, jak one ją widzą. Mają przecież najostrzejszy zmysł wzroku ze wszystkich mrówek. Oparła palec na korze i pozwoliła, by jedna z mrówek na niego weszła. Kręciła się teraz rozpaczliwie, pragnąc wrócić do pracy. Madeleine delikatnie położyła ją na drzewie, żeby mrówka mogła podjąć czynności, jakimi od milionów lat zajmowały się jej pobratymcy. Ile potężnych dębów tu wyrosło, jaka część z nich legła pod naporem gwałtownych burz albo rozpadła się wskutek sędziwego wieku i użyźniła glebę, w której kolejne mrówki różnych gatunków budowały swoje domostwa, karmiły królową i troszczyły się o jej potomstwo?

Uchronię je własną piersią. Zemszczę się na każdym, kto zechce mi je wydrzeć. W głowie jej szumiało. Wszystko znowu się rozpadło. Jej ciężko zapracowany spokój ducha począł się kruszyć, załamywać, rozlatywać na kawałki. Dlaczego Rosaria akurat teraz napomknęła o jej córce?

Madeleine doszła do wniosku, że Rachel nie jest jej córką. Poddała się logicznym argumentom. Jednakże instynkt odrzucił to przekonanie. Dawno temu przysięgła sobie, że nigdy, przenigdy nie wyzbędzie się nadziei, i teraz fantazjowała na lemat, który może tylko wzbudzić ogromny żal. Rachel nie

tylko nie była jej córką, ale teraz przestała być nawet pacjentką. Rzuciła terapię z własnej woli, a Madeleine nie miała żadnego pretekstu, żeby się z nią skontaktować, ani prawa, by próbować ją odnaleźć. To był już koniec całej sprawy.

Wiedza na temat psychiki ludzkiej podpowiadała jej, że bardziej niż kiedykolwiek przedtem sama potrzebuje pomocy, by uporać się ze swoimi licznymi stratami. Musi z kimś porozmawiać, najlepiej z jakimś doświadczonym psychoterapeutą, który otworzy przed nią nowe perspektywy. Może powinna zwrócić się do BACP, profesjonalnej organizacji, i poprosić o kogoś, czyjego nazwiska nigdy nie słyszała. W Bristolu, Reading czy w Exeter.

Jeśli taka osoba nie istnieje, zawsze pozostają członkowie stowarzyszenia „Samarytanie” i ich telefon zaufania - pomyślała z dozą ironii. Mogłaby do nich zadzwonić. Opowiedzieć komuś obcemu, nie widząc jego twarzy, o tym, jak oddała swoje dziecko, zabiła męża i nigdy nie potrafiła się pogodzić z tymi faktami.

Poczuła na policzku kroplę. Zaczęło padać. Ktoś szybko zbierał tace ze stołów. Ludzie wstawali, ruszając w stronę wejścia do budynku. Niektórzy spoglądali na nią przez ramię. Ujrzała siebie ich oczami: cudzoziemska kobieta z cygarem w ręce siedząca pod drzewem, w deszczu, tuż obok trasy mrówek. Jak bardzo nie pasowała do tej dżdżystej krainy, jaką dziwaczką mogła się im wydawać.

Wstała, oderwała się od drzewa. W nagłym porywie wiatru rozwarły się niebiosy.

W domu było cicho jak w grobie, ale deszcz ciągle bębnił w szyby. Madeleine przypomniała sobie, że jest środa, co oznacza, że powinna zająć się malowaniem. Nie sięgnęła po pędzel od trzech tygodni. Płótno rozciągnięte na blejtramie nadal czekało. Przyszły obraz snuł się jej po głowie. Nie będzie miał nic wspólnego z królową mrówek, co stanowiło odstępstwo od planowanej serii. Niekiedy jednak Madeleine pozwalała sobie na coś innego, na jakąś zachciankę lub utrwalenie fragmentu snu. Tym razem nie była jeszcze gotowa, żadna próba nie miała sensu.

Wieczór włókł się w nieskończoność. Mogłaby obejrzeć wiadomości, ale nie znosiła telewizji, a była zbyt rozkojarzona, żeby usiąść do lektury. Studiowanie mrówek w terrarium zawsze sprzyjało medytacji, ale, na Boga, nie przez cały wolny wieczór. Mogła się wybrać do siłowni, zaznać luksusu, mocząc się w gorącym basenie na jej dachu, albo wypocić się w saunie, ale kiedy niemal się zdecydowała, doszła do wniosku, że alkohol jest bardziej skuteczny. Przez chwilę krążyła wokół telefonu, rozważając, do której z przyjaciółek zadzwonić i wyciągnąć ją do baru, ale uznała, że nie ma ochoty na pogaduszki.

Poszła do sypialni, ściągnęła mokre ubranie i włożyła nowiutkie dzinsy, świetnie na niej leżące. Wybrała najlepszy stanik, wsunęła głowę między wieszaki i wyciągnęła najatrakcyjniejszą bluzkę. Makijaż... Rzadko go robiła, ale roztała trochę różu na policzkach, pociągnęła szminką wargi. Jej wielkie oczy z frędzlami rzęs, które zawsze budziły zazdrość przyjaciółek. Zużyła na nie sporo tuszu. Całe przygotowania zajęły jej zaledwie kilka minut. Włosy wskutek deszczu skłębiły się w masę loków, ale były puszyste i błyszczące. Twarz świetnie się prezentowała w ich obramowaniu. Cofnęła się o krok od lustra. Nieźle. Pocieszyło ją, że ciągle potrafi błyskawicznie dodać sobie urody, mimo że czuje się koszmarnie.

Chwyciła parasolkę i ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Bath nocą. Przeszła żeliwnym mostem dla pieszych i znalazła się na starówce.

Barman postawił przed nią następną wódkę z tonikiem i mrugnął porozumiewawczo. Madeleine się obruszyła.

- Wie pan co, nie przypominam sobie, abym zamawiała nową kolejkę.
- Powiedziała to bardziej do siebie niż do niego. Oho, chyba jestem pijana, zauważyła w duchu.

- Bo nie zamawiała pani - odparł barman. - To stawia ten

facet w ciemnym garniturze, siedzący z tyłu. - Kiwnął głową w głąb baru.

- Naprawdę?

Rozejrzała się. Kontuar był długi, klienci przepychali się, żeby zająć wolne miejsce. Większość była wysokimi, pełnymi energii mężczyznami po dwudziestce w towarzystwie atrakcyjnych, ubranych w wymyślne stroje kobiet o sterczących biustach. Madeleine przypatrywała się im w przygaszonym czerwonym świetle padającym na odsłonięte, opalone ramiona i przedziwne fryzury. Ten obraz stawał się coraz bardziej mętny, zwłaszcza wskutek głośniejszej muzyki, donośnych głosów i wybuchów śmiechu. Kto, do cholery, postawił drinka jej, kiedy te półnogie ciała miały tyle do zaoferowania?

W kierunku barmana zbliżał się rosły mężczyzna z pustym kuflem piwa, mocno pachnący płynem po goleniu. Barman był jednak zajęty na drugim końcu kontuaru. Facet zerknął na nią i zrobił sympatyczną minę. Uśmiechnęli się do siebie.

- Niewiarygodnie powolna obsługa - zauważył.

- A mnie stale dolewa, czy tego sobie życzę, czy nie - odparła Madeleine, uszczęśliwiona, że w końcu może się do kogoś odezwać.

- Bo jesteś dziewczyną, to dlatego.

Zapadła chwila ciszy. Facet przyglądał się jej spod oka.

- No cóż, muszę poczekać. Kim jesteś? - spytał.

- Wystarczająco starą kobietą, żeby być twoją matką - odpowiedziała lekko pijanym głosem.

Uśmiechnął się, pokazując mistrzostwo świata w dziedzinie ortodontyki.

- Mowy nie ma.

- Liczyłam, że spotkam tu córkę. - Liczyła na to, że tym go zniechęci.

- Mój Boże, wyglądasz super. Co jest tego tajemnicą?

- Nie moje geny - odpowiedziała szczerze. - Ani abstynencja. - Zmierzyła go wzrokiem. - A jakie są twoje sekrety? Prócz doskonałego dentysty?

Podparł się łokciem o kontuar, żeby dokładniej przyjrzeć się jej twarzy.

- Jestem zawodowym sportowcem.

Co ja robię? - zaśmiała się w duchu. Chłopak ma pewnie ze dwadzieścia lat.

- Nie wierzysz mi? - zapytał z niepewną miną.

- Jasne, że wierzę. Masz fantastyczną figurę.

- Dobry wieczór, panno Freud - odezwał się ktoś za jej plecami.

Aż drgnęła, słysząc to powitanie, ale szybko się opanowała. Zerknęła przez ramię i ujrzała za sobą Gordona. W przyćmionym świetle dobrze się prezentował. Stalowe włosy przystrzygł bardzo krótko, no i ciągle paradował z modnym trzydniowym zarostem. Kupił sobie nowe kanciaste okulary w czarnej oprawce, zarazem surowe i seksowne. Jak zwykle był świetnie ubrany, tym razem w ciemnozieloną marynarkę z lnu i czarną koszulę.

- To ty? - odparła, marszcząc czoło. - To ty właśnie postawiłeś mi drinka?

- Przepraszam, że się wcinam. Czy w czymś przeszkadzam?

- W istocie... - odparła i odwróciła się, by coś powiedzieć młodzianowi, ale ten szybko odszedł, nie chcąc stawać do rywalizacji. Jakiś inny młody mężczyzna zajął jego miejsce, obejmując rękami stertę pustych kieliszków.

- Madeleine, nie mogę wręcz uwierzyć, że siedzisz tu sama - odezwał się Gordon.

- Wcale nie byłam sama. Trzeba trafu, że dobrze się bawiłam.

Prychnął znacząco i wskazał gestem koniec baru.

- Może zechcesz się do nas przyłączyć.

- Co takiego? Do ciebie i twoich pańienek? Zaśmiał się niezrażony.

- Nie, do kilku kolegów. Gadanie o pracy w bliskim gronie facetów spragnionych obecności kobiet staje się cholernie nudne. Potrzebujemy kobiety, żeby wznieść się na wyższy

poziom. - Lekko dotknął jej ramienia. - No, Maddy, chodź, nie bądź taka!

Ponownie rzuciła okiem na kłębówisko po drugiej stronie baru. Patrzyło na nią dwóch mężczyzn. Jeden uniósł rękę i pomachał. A co, do cholery! Mogłaby skorzystać z ich towarzystwa. Co miała do stracenia? Ześlizgnęła się ze stołka.

- Świetnie ci w dzinsach - szepnął jej Gordon do ucha, przeciskając się za nią przez tłum. - Wybaczam ci więc to, co mi zrobiłaś.

- A cóż ja ci zrobiłam? - krzyknęła w zgiełku głosów. - Boże, ale z ciebie arogancki skurwiel.

Znowu się zaśmiała.

- Masz w sobie bardzo podstępny cechę charakteru... to pewnie po kubańskich przodkach. Mimo krzywdy, jakiej od ciebie doznałem, uważam, że jesteś podniecająca. Tylko nigdy więcej tego nie rób. Po prostu mnie przeraziłaś.

Popatrzyła na niego z niepokojem. No tak, rzuciła go. I to miała być ta okropna rzecz, jakiej się wobec niego dopuściła?

Ze względu na deszcz przenieśli się tuż obok, do sąsiedniego baru. Ponad pięćdziesięcioletni na oko Jeff, z zawodu geolog, był trochę za gruby i miał spaloną słońcem twarz. Wysoki Peter, podobnie jak Gordon, archeolog, był okazem zdrowia, miał subtelne poczucie humoru i nienaganne maniery. Każda matka uwielbiałaby go mieć za zięcia. Madeleine dowiedziała się, że cała trójka wchodzi w skład grupy zajmującej się wykopaliskami w South Gate, tam, gdzie ma wkrótce powstać nowy terminal autobusowy. Mimo wielu drinków była zafascynowana rozmową z nimi i próbowała się dowiedzieć, czym dokładnie się teraz zajmują. Oni jednak świętowali inne odkrycie. Robotnicy w trakcie wykonywania podkopu pod basen w piwnicach starej kamieniczki przy Rednor Street natrafili na fragment rzymskiego łuku. Wezwano Gordona, który wykrył pozostałości rzymskiego kompleksu, znajdującego się sześć metrów pod poziomem ulicy.

- Jeff, czy mógłbyś mnie tam wpuścić? - poprosiła Madeleine. -

Dałabym wszystko, żeby ujrzeć to miejsce.

- Wszystko? - dopytywał się Jeff z lubieżnym uśmiechem. - Dobrze, zajmę się tym.

Po godzinie, kiedy w końcu przestało padać, wszyscy czworo udali się chwiejnym krokiem do kolejnego baru. Szli wąskimi uliczkami nad Cheap Street. Madeleine, rada z towarzystwa aż trzech mężczyzn naraz, rozmyślała nad swoją rozpustną naturą. Zaśmiewała się do łez z głupawych dowcipów Jeffa, wyrwała mu cygaro. Zatrzymali się nagle przed łukiem i każdy z nich próbował go dla niej zapalić.

- To cygaro jest za suche - oświadczyła.

- A cóż ty, babo, wiesz o cygarach? - zaryczał Jeff. - Nie potrafisz się nim odpowiednio zaciągnąć. Trzeba mieć więcej praktyki.

- W towarzystwie damy trzymaj język za zębami - ostrzegł go Peter. - Zachowujesz się jak świnia.

- Jeff, jestem pewna, że wiem na temat cygar więcej niż ty. - Madeleine się zaśmiała. Była na takim rauszu, że nie poczuła się urażona. - Trzeba trafu, że nie dalej jak dziś po południu rozkoszowałam się hawańskim majstersztykiem. Moi rodzice palili cygara od chwili, kiedy byłam jeszcze w kołysce.

- Nawet twoja matka? - Peter uniósł brwi ze zdziwienia.

- A jakże. Urodziłam się tam, gdzie cygara skręcają w każdej budce na rogu. Sama umiałabym to zrobić, gdyby ktoś mi kazał. Nauczył mnie tego stary mistrz kubański. Nazywał się Jose Manuel, rekin odgryzł mu nogę.

- Możesz mi skręcać cygara dzień w dzień - odparł Jeff, gdy chwiejnie ruszyli przed siebie. Usiłował przesunąć ręką po jej plecach, na pewno po to, żeby sprawdzić, czy ma na sobie stanik.

- Gdzie leży to miejsce? Ten raj dla palaczy? - dopytywał się Peter. - Opowiedz nam o nim.

- Wyspa tropikalna - rzekła Madeleine rozmarzonym łonem - gdzie palmy kołyszą się na wietrze, drzewa jacaran-

dy gubią kwiecie w basenach pod nimi, a tęcze ryby pływają w dwóch oceanach. Gdzie na werandach, pod wiatrakami z bambusowych prętów, przez cały dzień sączą rum...

- Moja droga dziewczyno - odparł Peter ze śmiechem - cóż ty, u diabła, tu robisz?

Gdy doszli do pubu „Pod Ochotnikiem”, okazało się, że jest już zamknięty. Skręcili więc i ruszyli w stronę nowego lokalu przy George Street. W tym momencie, na melodię hymnu narodowego, rozdzwoniła się komórka Jeffa.

- Ach, żona. - Jeff westchnął, wyraźnie niezadowolony. W trakcie jednostronnej konwersacji, w czasie której mamrotał tylko „taa... przepraszam... taa”, został natychmiast wezwany do domu. Ledwie odszedł z miną zbitego psa, gdy dwaj pozostali mężczyźni zaczęli opowiadać Madeleine, co za krowę ma za żonę. Madeleine mało skutecznie wystąpiła w obronie kobiet, zwłaszcza tych, których mężowie nie wracają wieczorem do domu.

Skończyło się na tym, że znalazła się pośrodku dwóch facetów, idąc z nimi pod rękę Milsom Street. Po schodkach wspięli się na wysoki chodnik George Street, którym niegdyś przechadzały się damy w wykwinnych toaletach. W ten sposób znajdowały się poza zasięgiem odchodów i błota rozpryskiwanego przez pojazdy konne. Nowy pub był oświetlony ohydnyymi neonówkami, ale potężny odźwierny odprawił ich z kwitkiem. Już przyjęto ostatnie zamówienia na drinki. Trzeba było zabrać się gdzie indziej.

Peter spojrzął na zegarek i z żalem oznajmił, że musi się poddać. Zapewnił Madeleine, że jest singlem, ale ma w domu dwa miniaturowe pudle, które od popołudnia czekają na spacer. Madeleine ucałowała go w oba policzki jak starego druha, oboje przyrzekli sobie, że wkrótce odbędą nową turę po barach. Kiedy Gordon odwrócił głowę, nie chcąc być świadkiem tej sentymentalnej sceny, Peter wcisnął jej do ręki wizytówkę.

Oboje z Gordonem przystanęli na rogu Lansdown Street, machając mu na pożegnanie.

- Dwa miniaturowe pudle? - odezwała się Madeleine lekko zaskoczonym tonem. - Nie chcę, by zabrzmiało to, jakbym była uprzedzona, ale dla hetero to dziwny wybór rasy.

- On z całą pewnością nie jest gejem - zapewnił Gordon. - Ma tylko swoje fioły.

- Jak wszyscy - odrzekła sentencjonalnie, obserwując szczupłą postać Petera, idącego szybko pod górę. Niestety, oddalał się mężczyzna wyższy od niej.

Ruszyła z Gordonem w stronę opactwa, by tam znaleźć jakiś czynny pub. Choć zbliżała się północ, powietrze było parne, a wszystkie witryny sklepowe rześście oświetlone, jak na święta. Milsom Street opustoszała, słychać było tylko pojedyncze kroki za nimi. Odwróciła się, mając nadzieję, że Peter zmienił zdanie, ale idący za nimi mężczyzna był niższy i cięższy. Uśmiechnęła się do siebie. Czy miała ochotę na następnego archeologa? Niekoniecznie, ale głupio czuła się sama z Gordonem. Odsunęła się od niego.

- Jak to się stało, że on jest singlem?

- Kto?

- Peter.

- Jesteś nim zainteresowana?

- Być może - odparła nonszalancko. - Uwielbiam małe pieski.

- Zainteresuj się raczej mną.

- Już byłam - ucięła. - Ale nie jestem. I dobrze wiesz dlaczego.

Znowu ujął ją pod rękę i przyciągnął ku sobie.

- A ja szaleńczo się w tobie kocham. Roześmiała się i wywinęła mu się.

- Gordon, gadasz pijackie głupoty i dobrze o tym wiesz.

- Wcale nie - upierał się. - Byłem idiotą.

Jakiś młody włóczęga ze szklanym wzrokiem zatrzymał ich, mamrocząc coś o kawie. Madeleine sięgnęła do torebki, wyciągnęła pięć funtów i odezwała się do niego:

- Może raczej byś coś zjadł...?

Gordon chwycił ją za pasek i pociągnął za sobą. Ruszyli

chwiejnym krokiem, podpierając się ramionami. Madeleine zauważyła, że wszystko widzi podwójnie, co było wyraźnym znakiem ostrzegawczym. Trzeba uważać. Jeszcze jeden drink i nie wiadomo, co się jej przytrafi.

- Wracam do domu - oznajmiła. - Pomóż mi złapać taksówkę.

- Czy mogę pójść z tobą? - szepnął jej Gordon do ucha. - Od tygodni marzę, żeby się z tobą kochać.

- Kochać się? - prychnęła. - No to marz sobie dalej. Mijali właśnie nieoświetloną bramę do rzymskich łaźni

i ponurą kolumnadę Bath Street. Byli tuż przy wykopaliskach. Obszar wielkości kwartału był ogrodzony stalową siatką i osłonięty matami z zielonego plastiku. W świetle latarni ulicznej błyszczała koparka z wiertłem długim na metr, a obok zwieszały się ramiona dwóch potężnych dźwigów, przypominających prehistoryczne potwory.

- Mamy jakąś szansę, żeby zajrzeć do środka? - spytała Madeleine.

- A co za to dostanę?

- Och, daj spokój - odparła i ruszyła w stronę Pierrepont Street w poszukiwaniu taksówki.

- Coś ci powiem. - Gordon chwycił ją za łokieć. - Tu nic nie ma do obejrzenia, ale mam klucz do domu przy Rednor Street. Stąd to tylko pięć minut spacerem. To znacznie bardziej frapujące miejsce. Spodoba ci się.

Przyglądała mu się, pragnąc wy badać, czy mówi poważnie. Zrobił rozbijającą minę i pokazał ręką, w jakim kierunku trzeba iść. A, do diabła. Frapowała ją perspektywa schodzenia w dół śladami historii i obejrzenia starożytnego miasta pod ziemią. Mówiąc górnolotnie, w jakimś sensie zajmowała się tym na co dzień podczas sesji z pacjentami.

- Naprawdę, Gordon? Masz klucze?

- Pewnie, że tak. Pracowałem tam z chłopakami aż do siódmej.

Pozwoliła się poprowadzić wąskimi uliczkami, które były zabudowane solidnymi kamienicami w stylu króla Jerzego,

imponującymi za dnia i budzącymi lęk nocą. Weszli w ulicę w kształcie półksiężyca z łukowatą linią eleganckich domów, których okna wychodziły na park śródmiejski. Opadająca mgła sprawiała, że światło ledwie sączyło się z latarni. Madeleine znowu usłyszała za nimi kroki, lecz kiedy się obróciła, nie dostrzegła nikogo. Napady rabunkowe były w Bath rzadkością, ale kręciło się dużo ćpunów.

Gordon przystanął na końcu uliczki. Madeleine spojrzała w górę. Nie spodziewała się domostwa tej skali i wspaniałości. Gordon tymczasem otworzył żeliwną bramę i ruszył przodem po kamiennych schodkach prowadzących do sutereny.

- Czy ktoś tu mieszka? - szepnęła, gdy on szarpał się z pękiem kluczy.

- Nie obawiaj się. - Zachichotał. - Cała posesja jest w remoncie. Jakiś cholernie bogaty Amerykanin, który ją kupił, przebudowuje pięciopiętrową kamienicę na dom jednorodzinny. W ten sposób odkryto tu pozostałości budowli z czasów rzymskich.

Gdy weszli do środka, zapalił światło - gołą żarówkę wiszącą w pustym holu. Wszędzie poniewierały się narzędzia do wykopalisk. Ze ścian odbito tynki do pierwotnego kamienia. Wąskim przejściem z kręconymi schodami Gordon poprowadził Madeleine do piwnic. Posuwali się w półmroku. Gdy doszli do celu, ujrzała fragment rzymskiego łuku, wystający z dołu o rozmiarach sporej sypialni. Można tam było zejść po aluminiowej drabinie opartej o mur. Na ścianie widniał wypisany kredą napis „Cztery metry”.

- Nie ma tu żadnego światła? - Jej szept odbił się echem.

- Cholera, nie. Zostawiłem latarkę w samochodzie.

Podeszła do skraju wykopu, jej oczy stopniowo przyzwyczajały się do panujących ciemności. Patrząc w dół, ujrzała posadzkę o powierzchni około metra kwadratowego. Starannie zmieciono z niej ziemię. Widać było wyraźnie skomplikowany wzór mozaiki. Madeleine stała jak zaczarowana, nagle jakąś siłą cofnięta w czasie. Usłyszała strumień wody wydobywający się z głębi. Do jej nozdrzy dotarły gorące opary.

- Tam jest para. Od gorącego źródła? Gordon odwrócił się do niej.

- Tak, rzeczywiście były tam gorące źródła, ale przed wiekami - odparł. - Z tego powodu zatrudniłem Jeffa. Przeprowadza analizy geologiczne, mające potwierdzić istnienie wód geotermalnych. Nawet jeśli źródło wyschło, wyobrażasz sobie, cóż to za odkrycie? Mamy tu jeszcze jeden teren wykopaliskowy, gdzie znajdują się resztki wielkiego basenu pływackiego. Amerykanin zaplanował dla swojej rodziny basen w podziemiach. Ani mu przez myśl nie przeszło, że znajdziemy tu taki z czasów rzymskich. To raczej pokrzyżuje mu plany. - Zaczął naśladować amerykański akcent. - Na pewno będzie o czym donieść krajanom.

Madeleine przymknęła oczy.

- To niewiarygodne. Można niemal ich dotknąć... tych ludzi, którzy żyli tutaj przed dwoma tysiącami lat.

Chwytał jej rękę i począł ją okrywać pocałunkami. Choć się broniła, przyparł ją do muru. Mimo oporów znalazła się nagle w jego ramionach. Magia tej scenerii i podnieta zmysłów zrobiły swoje. Było tak, jak gdyby to, co się dzieje w podziemiach, w kompletnej ciemności i w innym czasie, nie liczyło się w rzeczywistości.

Gordon włożył jej ręce pod bluzkę, potem pod stanik. Z ustami przy jej szyi, zionąc gorącym oddechem, który tak dobrze знаła, szybko rozpiął jej dzinsy i ściągnął w dół. Zwinnymi palcami odnalazł do niej drogę, jakby nigdy nie zajmował się niczym innym. Jęknęła. Obezwładniająca rozkosz sprawiła, że mu się poddawała. Oparła się o ścianę, bezskutecznie próbując odpiąć mu spodnie. Był to jakiś bardzo skomplikowany sposób zapinania rozporka na grube metalowe haftki. W końcu poczuła w ręce jego męskość. Obopólne poszukiwanie rozkoszy i znajdowanie jej nie trwało tak długo, jak tego oczekiwała. W pewnej chwili Gordon bezceremonialnie obrócił ją tyłem do siebie i odsuwając skąpą bieliznę, wbił się w nią jednym gwałtownym ruchem.

Posuwał ją z nadzwyczajnym wigorem, ale utrata kontaktu z nim twarzą w twarz odebrała jej ochotę. Starła się wsłuchać

w szum wody, ale nic do niej nie docierało, nawet ekscytacja nagłym uwiedzeniem. Coraz trudniej było jej amortyzować rękami opartymi o szorstki mur jego pchnięcia. Wkrótce nogi zaczęły jej drżeć od wysiłku.

- Gordon, zwolnij! - krzyknęła. - Zatrzymaj się na chwilę.

Nie usłuchał. Najwyraźniej nie miał ochoty przystopować. Trzy lub cztery potężne pchnięcia później nagle zeszytniał, wydając z siebie długie westchnienie.

- O cholera. Pardon. Za późno - wyjąkał. Jego głos odbił się echem w grobowej ciszy.

Odsunął się, nie zamierzając zaspokoić jej w inny sposób, chociaż bez trudu mógłby nadrobić swój brak manier. W jej oczach całe to ich seksualne zwanie było dla niego nietypowe niemal mechaniczne. Madeleine była rozczarowana. I to tyle po „tygodniach” marzeń o niej? Zajęli się poprawianiem

na sobie ubrań.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytała, wiedząc, że on wie, co ona ma na myśli.

- Chyba byłem zdenerwowany.

- Ty? Zdenerwowany? - Zaśmiała się. Dotknął jej policzka.

- Wiesz, wydaje mi się, że dojrzałem do wyłączności. Nie mogłem wybić sobie ciebie z głowy. Naprawdę cię kocham.

Z uśmiechem spojrzała na niego w ciemności.

- Aha, już wiem, dlaczego jesteś taki zdenerwowany. Wyłączność! To musi być dla ciebie niebezpieczny pomysł. Jesteś pewien, że nie przemawia przez ciebie alkohol?

Skrzywił się.

- Nie, naprawdę tak uważam.

Pomyślała, że chyba powinna czuć się zadowolona. Brakowało jej jego towarzystwa, ale w środku coś ją gryzło.

- No to zobaczmy, jak nam pójdzie tym razem, dobrze? Może spotkamy się podczas weekendu i zabawimy się. Na przykład wybierzemy się na wspinaczkę albo coś w tym rodzaju.

- Och, Madeleine, nie mogę. Nie w ten weekend.

Boże, po co sobie zawracać głowę - pomyślała, szukając w gruzach na posadzce torebki.

- A dlaczego nie możesz?

- Bo wyjeżdżam.

- Wyjeżdżasz... z kim?

- Nie będzie ci się to podobało - odparł. - W piątek wylatuję z kimś do Tajlandii na trzytygodniowe wakacje. Doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli od razu ci o tym powiem.

- Od razu? - wtrąciła z ironią. - Nie tak od razu, skurwysynie. Oświadczyłeś mi to po tym, cośmy zrobili. To było wyjątkowo parszywe, nawet jak na ciebie.

- Madeleine, daj spokój. Nie mogę przecież odwołać wakacji. To byłoby nie w porządku wobec tamtej - wyjęczał. - Ale kiedy wrócimy, z miejsca ją rzucę.

W ciemności z trudem go widziała, niemniej stał przed nią i wykladał, jego zdaniem, absolutnie logiczny plan tonem pierwszego sprawiedliwego. Uznała, że nie zasługuje nawet na odpowiedź. Obróciła się na pięcie i szybko wbiegła na schody.

- Przemyśl to! - krzyknął za nią. - Ale schowaj brzytwę.

Biegąc w piwnicznym chłodzie, dotarła w końcu do poziomu ulicy. Przyszła jej wtedy na myśl Rosaria. Może jednak poprosi ją, żeby zwróciła się do budzącego bojaźń Pedrote'a. Albo może zechce ją pouczyć, jakie czary rzucić na Gordona, żeby uwielbiany przez niego kutas stał się czarny, potem uwiądnął i wreszcie mu odpadł.

Była tak wściekła, że nie potrafiła roześmiać się na tę myśl, a gniew pozbawił ją wszelkich odruchów lęku w trakcie samotnego spaceru nocą. Teraz jednak jakiś drobny ruch po drugiej stronie ulicy wywołał w niej gwałtowne bicie serca. Stał tam mężczyzna, w lekkim rozkroku. Patrzył na nią, ale ani drgnął. Jakimś cudem podjechała wolna taksówka, jej migające światło na dachu było niczym latarnia morska. Niemal wbiegła na środek jezdni, żeby ją zatrzymać.

Gdy wskoczyła do auta, obejrzała się za siebie. Ta zjawia ciągle tam tkwiła, absolutnie bez ruchu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Tato, czy już dojeżdżamy?

- Tak, synu, jeszcze niecałe cztery kilometry. Masz, poprowadź siebie.

Sasza pochylił się w stronę ojca i, sztywny z napięcia, chwycił kierownicę obiema rękami. Nie było to takie trudne, bo droga biegła prosto, a tata na wszelki wypadek trzymał palec na kółku. On zawsze pozwalał mu na różne rzeczy, a mama zawsze mu czegoś zabraniała. Nie chciała ich puścić, ale tata był w końcu taki miły, że się zgodziła. Obiecali, że wrócą przed kolacją, tata musiał dać jej swój portfel w zastaw.

Ojciec przejął prowadzenie i skręcił w jakąś przecznicę. Wkrótce po obu jej stronach pojawiły się domy. Były czerwone, a nie żółte jak w Bath. Droga wiła się zakrętami, minęli park z huśtawkami i karuzelą, ale nie widać w nim było dzieci. Potem pojawiły się fabryki, za nimi składy samochodów i wreszcie tata zatrzymał się przed jakimś domem. W ogrodzie zaparkowane były dwa auta, białe, półciężarówka i kabriolet z odkrytym dachem. To był wóz wujka Uriego, Sasza natychmiast go rozpoznał. Poczul w brzuchu skurcz, trochę z radości, a trochę ze strachu. U wujka był Napoleon, tata mu to mówił. Może przyjechali po niego.

Wysiedli z samochodu i podeszli do domu. Drzwi otworzył wujek Uri. Tata ucałował go w oba policzki.

- Hej, Sasza - powitał go wujek Uri z otwartymi ramionami. - Mój najlepszy bratanek. Dawno cię nie widziałem. Wyrosłeś na małego mężczyznę.

Sasza bał się wujka, niemniej go uściskał.

- Któregoś dnia przyjedziesz do wuja i z nim zamieszkas, prawda, Sasza? - żartował Uri, głaszcząc małego po głowie i wybuchając gromkim śmiechem. - Wujek Uri nie może mieć dzieci, choć ciągle próbuje ze wszystkimi ładnymi dziewczętami.

Sasza skrzywił się ze strachem.

- Nie, dziękuję. Moja mamusia jest...

Ale dorośli już nie słuchali, więc nie było sensu wyjaśniać. Weszli do domu i zasiedli w pokoju z wielkimi sofami. Wujek miał nową dziewczynę, Tatianę. Była ładniejsza niż poprzednia, z bardzo długimi włosami blond, i jeszcze młodsza. Sasza zauważył, że wujowi bardzo się podoba. Ciągle chwycił ją za pupę, a ona chichotała. Do Saszy też się miło odnosiła. Przyniosła mu colę i batonik Mars. A potem, kiedy mężczyźni chcieli ze sobą porozmawiać, zaprowadziła go do kuchni, oboje usiedli przy stole i oglądali *Piratów z Karaibów* na DVD! Przez chwilę Sasza poczuł się w jej towarzystwie szczęśliwy, popijając colę i pogryzając batonik. Tatiana dużo się śmiała i śmiesznie mówiła, trochę jak tata.

- Zobacz, jaki przystojniak - powiedziała o jednym z piratów.

- Jesteś Ukrainką?

- Nie, dzieciaku. Jestem z Rosji.

- Och. - Nie miał pojęcia, gdzie jest ten kraj. Tatiana wyglądała jak księżniczka. Ładniejsza od tej dziewczyny w filmie. - Tatiana - powtórzył głośno, ćwicząc wymowę jej imienia.

- W porzo - odpowiedziała. - Świetnie je wymawiasz. Do kuchni weszły dwie nowe dziewczyny. Gadały ze sobą,

ale Sasza nie zrozumiał ani słowa. Jedna z nich nastawiła czajnik i, nawijając po swojemu, szukała w szafce filiżanek. Tatiana odezwała się gniewnym głosem, jedna z nich zerknęła na telewizję i zakryła usta dłonią. Tatiana zamachała ręką tuż przed jej oczami i coś powiedziała, a ta druga dziewczyna od

razu zgasła pęta w zlewie. Sasza pomyślał, że one chyba nie lubią Tatiany. Była od nich o wiele ładniejsza.

- Tatiana - odezwał się po ich wyjściu - czy jest tu pies? Popatrzyła na niego.

- Jaki pies?

Zastanowił się chwilę. Napoleon nie był takiej rasy, jaką znał, na przykład jack russell albo rottweiler.

- On jest taki duży. - Rozłożył ręce, następnie pokazał odległość od podłogi. - Ma szarą sierść i ogon, o, taki. - Narysował w powietrzu kółko. - I naprawdę wielkie łapy.

Tatiana popatrzyła w stronę drzwi do pokoju, a potem rzekła:

- Chodź. Rozejrzemy się.

Wyprowadziła go przez kuchenne drzwi. Na tyłach domu znajdował się jeszcze większy ogród. Było w nim pełno jakichś szpargałów, nie wiedział, do czego służą, stały też samochody i kilka motocykli. Na końcu ogrodu zobaczył dużą drewnianą szopę. Tatiana uchyliła drzwi, jakby obawiając się, co znajdzie w środku. W szopie stał Napoleon, mrużąc oczy przed światłem. Zmienił się, był chudy i smutny. I zaraz potem z dziką radością skoczył na Saszę.

- Sz... sz... - powiedziała Tatiana. - Nie pozwól mu szczekać.

Sasza zaczął tarzać się na ziemi razem z psem, bezgłośnie popłakując. Musiał być cicho, to ważne. Tatiana wyraźnie mu to mówiła tym swoim „sz... sz...”.

Po kilku minutach oznajmiła:

- OK. Zamykamy go.

- Nie, nie chcę. - Sasza przywarł do karku Napoleona. - Dlaczego on tu musi siedzieć?

Tatiana usiłowała odciągnąć go od psa.

- Sasza, proszę. Jak będzie szczekał, to dostanie baty. Zamkniemy go grzecznie w komórce.

Sasza dłużej nie protestował. Ucałował Napoleona i zaprowadził go do niewoli. Bez słowa oboje zamknęli drzwi, założyli skobel i przez zawalony gratami ogród wrócili do kuchni,

gdzie pirat walczył z jakimś facetem uzbrojonym w miecz. Usiedli przy stole i znowu wpatrzyli się w ekran.

- Chcesz herbaty? - odezwała się Tatiana miłym tonem.

- Nie.

- A gumę do żucia?

- Nie, dzięki.

Nic więcej nie było do powiedzenia. Tatiana już się nie śmiała w trakcie filmu. Usłyszeli dzwonek do drzwi wejściowych, potem gwar innych męskich głosów. Do kuchni wpadł wujek Uri i wyjął z lodówki parę puszek piwa. Wracając, znów zmierzwił czuprynę bratanka.

- Lubisz Tatianę? - spytał.

- Taa.

- To dobrze.

W kuchni zrobiło się gorąco, Tatiana powiedziała, że nie może tego znieść i musi otworzyć drzwi na dwór. Z zewnątrz dobiegały różne hałasy, a Sasza toczył ze sobą walkę, żeby się nie rozplakać. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu beczeć. Tatiana zerknęła na niego i nastawiła czajnik. Potem wyjęła pilnik i zaczęła pilnować paznokcie. Trwało to bez końca. Miała bardzo długie paznokcie z małą srebrną gwiazdką na każdym z nich.

- Jak wygląda twoja mama? - spytała, nie odrywając wzroku od swoich palców.

Sasza wzruszył ramionami.

- Jest ładna.

- Miła dla ciebie?

- Taa. - Nagle się najeżył. - To ona podarowała mi Napoleona. To jest mój pies, wiesz? Mama kupiła go specjalnie dla mnie.

Tatiana odłożyła pilnik i zerknęła na telewizor. Film miał się ku końcowi, to można było zauważyć, ale jego nie interesowały zakończenia, za nic w świecie. Uważał, że nie są prawdziwe.

- Czym karmicie Napoleona? - spytał.

Tatiana zmarszczyła czoło, ale nie spojrzała na niego.

- Nie wiedziałam, że to twój pies. Twój wujek mówił, że gryzie. Tylko on ma prawo dawać mu żarcie.

- Wcale nie gryzie. Można mu dawać takie brązowe kulki. Jak dla szczeniąt. On je lubi. Nie możesz mu czegoś skombinować? - poprosił.

Tatiana zerknęła na drzwi.

- Dobra, dobra, dam mu coś - powiedziała szeptem. -Pójdę i kupię karmę dla szczeniąt.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Tatiana popatrzyła mu prosto w twarz. Miała bardzo niebieskie oczy.

Sasza zorientował się, że mężczyźni przestali rozmawiać. Na górze rozległ się jakiś kobiecy głos, dwa razy. Był tak przenikliwy jak wtedy, gdy mama woła go na obiad.

- Sasza - odezwała się Tatiana prawie szeptem. - Może kiedyś do ciebie zadzwonię, żeby powiedzieć ci halo. Chciałbyś?

- Tak - odparł. Naprawdę tak uważał, ale coś go niepokoiło. Telefon odebrałaby mama. Wszystko w związku z mamą i tatą jest osobne. Nie wolno ich mieszać ze sobą.

- Znasz swój numer telefonu?

Potrząsnął przecząco głową, ale w tym momencie przypomniał sobie, że w kieszonce ma przypięty agrafką kartonik. Mama zawsze mu go tam wkładała. „To na wypadek gdybyś się zgubił, potrzebował mnie, albo chciał ze mną porozmawiać, kiedy jesteś gdzieś z tatusiem...”.

Włożył rękę do kieszeni. Był tam. Poczuł się nagle dorosły. Miał przy sobie numer komórki swojej mamy. Wyciągnął kartkę, nachylił się i odczytał cyfry.

- Chwileczkę, dzieciaku, wezmę pióro - szepnęła Tatiana. - Tylko nie mów ojcu, to nasza tajemnica.

Patrzył, jak przewraca rzeczy w szufladzie. Była ubrana w fioletowe dzinsy, mocno obcisłe na pupie. W czajniku, który aż podskakiwał ze złości, bulgotała woda, wyłącznik nie działał. Za zamkniętymi drzwiami znowu rozgorzała rozmowa, prowadzona ostrym tonem. Sasza wsłuchiwał się w te głosy, w bulgotanie wody, żeby nie dopuścić do uszu słabego skomlenia zagłodzonego psa.

Rachel położyła nogi na ławie. Okna były otwarte na oścież. Wczorajszy deszcz wreszcie ustał, zaświeciło słońce. Sasza był zajęty w ogrodzie montowaniem pojazdu kosmicznego z kartonowych pudeł, które znalazł na ścieżce koło domu.

Od weekendu w Tenby minęło kilka tygodni, jej kontakty z Antonem stały się łatwiejsze. Facet dotrzymał słowa i okazał się całkiem dobrym ojcem, mimo że odmówiła uprawiania z nim seksu. Pojawiał się dwa razy w tygodniu, żeby widywać się z Saszą, a ona na tyle mu zaufała, że zgadzała się, żeby zabierał go na przejażdżkę. Natomiast dzieciak był zamknięty w sobie i odmówił chodzenia do szkoły. Choć bardzo się starała, nie mogła od niego wyciągnąć, co mu leży na sercu. Niby lubił spędzać popołudnia z tatą, ale Rachel wiedziała, że coś musiało zająć. Kiedy Anton odwoził go do domu, dzieciak prawie go nie żegnał i biegł prosto do swego pokoju, nie chcąc z nią rozmawiać. Dziś jakby trochę się otrząsnął i pracował w ciszy, posługując się zszywaczem, sznurkiem i taśmą klejącą. Nawet coś nucił pod nosem.

Charlene siedziała w fotelu, popijała kawę i jadła kanapkę z serem i ogórkiem, przygotowaną jej przez Rachel. Gdy tego ranka Rachel szła z Saszą do supermarketu, zauważyła dziewczynę sprzedającą przed bankiem swoje „Big Issue”. Biedaczka sprawiała wrażenie tak nieszczęśliwej, że Rachel, zdjęta litością, zaproponowała jej zarobienie paru funtów. Tamta skwapliwie się zgodziła.

Charlene skończyła kanapkę i strzepała okruchy z podkoszulka wprost na podłogę. Od razu było widać, że nie przywykła do przestrzegania manier. Mimo upału miała na sobie wełnianą czapkę - może to kwestia jakiejś mody - a pękata torba z gazetami leżała u jej stóp, jakby była jakimś skarbem.

- Czego dokładnie oczekujesz ode mnie? - spytała. Rachel gestem wskazała pokój.

- Pomyślałam, że może razem się do tego weźmiemy. Kiedy byłam mała, przyglądałam się ojcu, jak to robi. On był malarzem pokojowym, ale, jak wiesz, szewc bez butów chodzi. Pracował w innych domach, a ta pieprzona tapeta wisi tu od dwudziestu pięciu lat.

Wstała, poszła do przedpokoju i przytargała stamtąd maszynę na parę do ściągania tapet, znaną w garażu. Była tam też pochlapana farbą drabina.

- Nie mogę już znieść widoku tych ścian. Mama twierdziła, że są eleganckie. Może tak kiedyś było. Teraz wyglądają jak w nędznej hinduskiej knajpce.

- Nigdy nie zajmowałam się czymś takim. Ile byś mi zapłaciła?

- Co powiesz na dwadzieścia funtów za popołudnie i coś do zjedzenia po robocie?

- Zgoda.

- Ty będziesz odparowywała, ja się wezmę do skrobania, a potem się zamienimy. To naprawdę łatwe zajęcie.

Rachel pobiegła na górę, żeby przebrać się w szorty i starą kamizelkę, na wszelki wypadek zabierając ze sobą torbę. Nie do końca ufała Charlene, a przynajmniej nie od razu. Trudno ją było rozgryźć. Pomoc przy odnowieniu saloniku dałaby jej szansę trochę lepiej poznać dziewczynę i sprawdzić, czy można by jej powierzyć Saszę. Rachel postanowiła, że znajdzie sobie jakąś pracę, może kelnerowanie czy sprzątanie, coś takiego. Pieniądze nadal leżały w banku, nawet te tajemnicze pięć tysięcy funtów, ale dobrze wiedziała, że szybko się rozchodzą. Ktoś jej kiedyś powiedział, że jak się nie pracuje, to można dostać zasiłek, ale z tą całą forszą w banku i na dodatek z własnym domkiem na pewno go nie otrzyma. A zresztą zawsze się bała wypełniania jakichś druczków, tam trzeba odpowiedzieć na tyle pytań.

Kiedy wzięły się do roboty, szybko pojęły, na czym to wszystko polega. Tapeta schodziła bardzo szybko. Była strasznie stara, rozpadała się pod wpływem pary na papkę podobną do płatków owsianych i po prostu zsuwała się ze ściany. Tyle że było bardzo gorąco. Charlene ściągnęła w końcu wełnianą czapkę i wtedy Rachel zrozumiała, dlaczego nosi ją bez względu na pogodę. Dziewczyna miała krótkie rzadkie kosmyki między plackami łysiny, błyszczącymi niczym duże monety. Biedny dzieciak. Na widok jej głowy ogarnęła ją rozpacz.

- Co się stało z twoimi włosami?

- Nie wiem. Pewnie stres - rzuciła niechętnie Charlene. Rachel przyszła na myśl ta recepcjonistka u Madeleine, Sylvia. Pewnie umiałyby temu zaradzić.

- Powinnaś pójść z tym do lekarza. To nic nie kosztuje. Może dostaniesz jakieś lekarstwa albo witaminy.

Charlene stała z nieprzeniknioną miną. Było oczywiste, że jej włosy nie są sprawą do dyskusji. Myśl o Sylvii i o poradni napędziła Rachel trochę strachu. Zdawała sobie sprawę, że jak tchórz zarzuciła terapię w chwili, gdy sprawy nabierały tempa. Nagle się zlekła. Dzień po tym, jak nie stawiała się na ostatnią sesję, otrzymała od Madeleine SMS-a z pytaniem, czy chce wyznaczyć nową datę wizyty. A potem nastąpiła cisza. Zapomniano o niej. Czego się spodziewała? Przecież dla tej kobiety była jedynie obcą osobą, płacącą za terapię. Co z oczu, to z serca.

- Chcesz pomalować te ściany? - spytała Charlene, przerywając milczenie. - Mogłabym ci w tym pomóc, pod warunkiem, że mi zapłacisz. Wiesz, tonacja magnolii lub coś podobnego. Coś jasnego.

- To niezły pomysł. Już teraz jest tu dużo jaśniej. Każdy kolor, tylko nie złoty i czerwony. Kto je, do diabła, wymyślił?

Przez dłuższy czas pracowały bez słowa. Rachel zeszła w końcu z drabiny i nastawiła radio. James Blunt śpiewał jakąś ponurą balladę.

- Ma piękny głos, co?

- Wolę Robbiego Williamsa - odparła Charlene. Odezwała się komórka, Rachel aż drgnęła. Prawie nikt do

niej nie dzwonił. Jeśli to nie ten pieprzony Anton, to pewnie Madeleine. Byłoby dobrze, gdyby to była ona, pomyślała. Ale co miałyby na swoje usprawiedliwienie, że wtedy nie oddzwoniła?

- Nie chcesz odebrać? - spytała Charlene.

Rachel wygrzebała komórkę z kieszeni i przyłożyła ją do ucha.

- Halo?

Po krótkiej ciszy odezwał się niepewny głos:

- Czy to mama Saszy?
- Tak - Rachel odczekała chwilę. - Kto mówi?
- To nieważne. - Dziewczyna po drugiej stronie mówiła cicho i miała silny cudzoziemski akcent.
- Chwila! - warknęła Rachel. - Muszę zejść z tej cholernej drabiny i zgasić radio.
Charlene podbiegła do odbiornika i przekręciła gałkę.
- Teraz słyszę lepiej.
- Słuchaj, to nie mój biznes... - Tamta się zawahała. Rachel stała bez ruchu na drabinie, przyciskając komórkę do ucha. -Jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie... i Saszy, to zapomnisz o moim telefonie, dobra?
Rachel poczuła gwałtowny skurcz w brzuchu.
- OK. O co chodzi?
- Dowiedziałam się, że ktoś dostał paszport dla Saszy. Myślę, że da go Antonowi następnym razem. Po prostu chcę, żebyś o tym wiedziała.
- Jesteś pewna? - wyjęczała Rachel.
- Mhm.
- Kim jesteś?
- Jak powiesz Antonowi - nie żyję. Słyszysz, co ci mówię? /nasz Uriego?
- Tak, znam.
- No to sama dośpiewaj sobie resztę.
Rachel zeszła z drabiny i pobiegła do kuchni z komórką przy uchu.
- Słuchaj, bardzo, bardzo dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. Naprawdę, słowo honoru. Natychmiast zapomnę o tej rozmowie. Zaufaj mi.
- Polubiłam Saszę, twojego dzieciaka. Było mi go żal. Rachel myślała gorączkowo.
- Posłuchaj, mam pieniądze. Zrobiłabyś coś dla mnie, gdybym ci zapłaciła?
- O, nie. - Głos tamtej stwardniał. - A co ja mogę?
- Mogłabyś dorwać się do tego paszportu i go spalić albo, jeszcze lepiej, włóż go do koperty i wyślij mi. - Po drugiej stronie zapanowała cisza. - Wiesz, co Anton zamierza zrobić,

prawda? On chce mi odebrać synka. Już to robił parę razy, ale z paszportem...

- Prosisz o bardzo dużo.

- Wiem, zdaję sobie z tego sprawę. Wyślę ci przekazem pocztowym trochę kasy. Poleconym. Gdzie tylko zechcesz.

- Nie, nie kasę - zawahała się. - Może innym razem, później.

- Kiedykolwiek zechcesz. Daję słowo. Nie odpowiadaj od razu. Przemyśl to. Czy mogę do ciebie oddzwonić?

- Nie, ja zatelefonuję. Połączenie zostało przerwane.

Rachel nie mogła się ruszyć z krzesła przy kuchennym stole. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się chciwie. Wreszcie w drzwiach ukazała się głowa Charlene.

- W pojedynkę robota jest dużo cięższa. I nudniejsza.

- Zaraz wracam - odparła Rachel. - Tylko wypalę. - W głowie jej huczało. A więc tak się mają sprawy. Anton zabrał Saszę do domu Uriego. Antona bała się, kochała go i w równym stopniu nienawidziła, natomiast Uri wzbudzał w niej wyłącznie nienawiść. Ten facet zawsze sobie pokpiwał, że chciałby wziąć sobie Saszę na zawsze. Nie obawiała się, żeby jego własny wuj go skrzywdził, ale dobrze wiedziała, że część dziewcząt (a pewnie i chłopców), z których czerpał zyski w tym ohydny procederze gwałtu i przemocy, była niepełnoletnia. Aż zamarła z trwogi na myśl o Saszy w takim otoczeniu. A skoro Uri zorganizował dla małego paszport, to znaczy, że Anton miał poważny i rychły plan uprowadzenia go. Normalny, miły tata! Jak mogła być taka naiwna? Dlaczego ciągle wpada w to samo gówno?

Poczuła dreszcze w całym ciele. Szok wywołany rozmową telefoniczną dotarł do niej w pełni. Ogarnęły ją czarne myśli. Gotowa byłaby zamordować Uriego, gdyby tylko nadarzyła się okazja. A zanimby zdechł, odciąłaby mu jaja i wsadziła mu do gęby.

To Uri wpadł na pomysł, żeby wysłać ją na ulicę w West Endzie. Mieszkanie, które wynajmował, już było przepełnione,

a ona była najatrakcyjniejsza z całego grona dziewczyn. Uri doszedł więc do wniosku, że będzie chodzić na wabia. Anton zdawał sobie sprawę, że Rachel nie znosi podrywać klientów na ulicy, ale kasa, która z tego płynęła, bardzo mu odpowiadała. Był dla niej słodki jak miód, przed początkiem szycoty zabierał ją do dobrych knajp, a pod koniec nocy przyjeżdżał po nią samochodem. Kupił jej drogi kożuszek, kusy i obcisły, niemniej zaskakująco ciepły. Bardzo jej się przydał. Luty był ciężki, a temperatura gwałtownie spadała. Zrobiły się jej nagniotki, ale nawet wtedy Anton kazał jej nosić wyłącznie wysokie jak cholera szpilki. Miał bzika na punkcie butów. Nie dopuszczał, by którakolwiek z jego dziewczyn chodziła po ulicy w futrzanych botkach. Trzymał standardy.

Wydarzyło się to szczególnie mroźnej nocy. Rachel mocno owinęła się kożuszką i ćmiąc camela, chodziła tam i z powrotem po chodniku. Wyczytała gdzieś, że od tytoniu człowiekowi robi się jeszcze zimniej, bo zwążają się naczynia krwionośne. To śmieszne, bo wszystkie dziewczyny paliły, żeby było im cieplej. W głębi ulicy była hinduska knajpka z podgrzewaczem zainstalowanym nad wejściem. Ilekroć tamtędy przechodziła, stawała na chwilę pod dmuchawą. Menedżer napominał, żeby tego nie robiła, ale był w sumie miłym facetem. Pewnej nocy, gdzieś o drugiej, gdy Anton się nie pojawiał, wyniósł jej w styropianowym kubku kawę z likierem Tia Maria.

W stronę restauracji zmierzała grupka dobrze ubranych mężczyzn i kobiet, gadając i śmiejąc się głośno. Rachel zwolniła kroku. Nie zносиła, by gapili się na nią normalni ludzie.

- Rachel - usłyszała głos z auta z zaciemnianymi szybami. Odwróciła się, żeby przyjrzeć się kierowcy. Nigdy nie zdradzała nikomu swojego imienia. - Co masz dla mnie?

Zaśmiał się i wtedy rozpoznała ten głos. Należał do Uriego.

- Hej, Uri - odparła piskliwym tonem. - Przyjechałeś, żeby mnie podrzucić?

Anton przebywał w Niemczech w interesach i wymógł na bracie, żeby ze względu na bezpieczeństwo odwoził ją do

domu. Bezpieczeństwo! To kpina, gdy się pomyśli, na co naraża się na ulicy.

Uri spuścił szybę.

- Daj spokój, Rachel. Co ci przychodzi do łba? To bardzo wczesna pora dla prostytutki. Pomyślałem sobie, że będę twoim klientem.

Przystanęła, żeby wyczytać z jego twarzy, czy mówi serio. Miał poważną minę.

- Spadaj, Uri. Nie rozśmieszaj mnie.

- Wcale mi nie do śmiechu. Wskakuj do wozu. Ruszyła szybkim krokiem przed siebie, żeby mu uciec, ale

o tej porze prawie nie było ruchu, więc jechał wolno obok.

- Słyszałaś, co ci powiedziałem. Wskakuj do wozu. Usiłowała go zignorować, wreszcie odwróciła się zniechęcona.

- Jak się natychmiast ode mnie nie odpierdolisz - warknęła - opowiem wszystko Antonowi.

Przechylił się w jej stronę.

- Przecież Anton ci powiedział, że w tym tygodniu ja jestem twoim szefem. - Uśmiechnął się chytrze. - Twój boss każe ci wsiąść do wozu.

Rachel w swoich szpilkach zeszła z krawężnika i wsunęła głowę do samochodu.

- Świetnie - rzuciła. - Bądź moim bossem, ale jeśli chce ci się pieprzyć, rób to z Leandrą albo z Katrinką.

Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał rękę w żelaznym uścisku.

- Wskakuj, i to już! Wiem, czego od ciebie chcę. Dam ci duży napiwek i potem możesz wracać do domu. Weźmiesz sobie kąpiel, odeśpisz. Brzmi ekstra, co?

Nie stawiała się dłużej, wiedziała, że Uri potrafi bić swoje kobiety bez żadnego powodu. Nie wpadał jednak w furję jak Anton; przemoc była dla niego czymś chłodnym i wykalkulowanym.

Postanowiła zrobić, co jej każe, choć była zaskoczona jego żądaniem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że zechce się przespać z kobietą swego brata. Sprawiał jednak wrażenie gościa, który postawi na swoim, a ona nie chciała poniżyć się

do błagań i prośb. Wyczuła, że jeśli będzie stawiała opór, on i tak dopnie swego, tylko ją będzie to dużo bardziej bolało. Kiedy postanowiła w duchu, że niech się dzieje, co ma być, uspokoiła się trochę. Była dobra w te klocki, a zwłaszcza potrafiła sprawić, żeby klient szybko skończył.

Pyskowanie Uriemu było niebezpieczne, ale nie mogła się powstrzymać.

- Myślałam, że ty i twój brat jesteście ze sobą, o tak. -Skrzyżowała dwa pierwsze palce prawej ręki. - I Anton tak właśnie uważa. On zawsze rozpowiada o lojalności w rodzinie, o związkach krwi i tak dalej.

Uri przejechał na czerwonym świetle i gwałtownie skręcił w lewo. Nie robił wrażenia przejętego swoją hipokryzją, ale trudno było odgadnąć, co mu chodzi po głowie. Rachel zerknęła, żeby sprawdzić jego reakcję na jej uwagę. Zachowywał się najswobodniej w świecie, był nawet elegancki w swoim ciemnoszarym garniturze. Włosy miał ścięte krótko i zaczesane z czoła. Nie był tak wysoki jak Anton, ale umięśniony, /, potężnymi udami, tyłkiem i ramionami.

Po chwili rzucił jej spojrzenie.

- To jak spinki do mankietów - odezwał się. - Kiedy nie mam dobrych spinek, biorę je sobie z szuflady brata, bo wiem, że mogę to zrobić, ufamy sobie. Nie idę do kumpla, żeby wziąć jego spinki, albo do sąsiada. Kiedy tego potrzebuję, jego spinki są moimi spinkami. Jeśli mój brat miałby dzieci i odszedł na zawsze, one zostałyby moimi dziećmi.

Przemawia przez niego nieczyste sumienie, pomyślała Rachel. Nigdy nie słyszała, żeby powiedział do jakiegokolwiek kobiety więcej niż dwa zdania.

- To o co ci chodzi? - spytała, odwracając wzrok.

- Na pieska, na tylnym siedzeniu.

- Niektórych numerów nie robię - odparła, usłyszawszy jego preferencje.

- Bez obaw - prychnął. - Ja robię, nie ty.

Mimowolnie zadrzała. Zgodzi się i jej upadek będzie całkowity. Może tego właśnie potrzebowała - ostatecznego poniżenia, zejścia na samo dno. Może wskutek tego wpadnie

w taką wściekłość, że w końcu ucieknie. Anton zostawił ją na pastwę tego potwora. Taki z niego pieprzony przyjaciel. Tak się stanie! Jutro weźmie taksówkę na dworzec Paddington i złapie pociąg do Bath. Tata ucieszy się na jej widok. Posprząta mu w domu, usmaży tłuczone ziemniaki z kiełbaskami, obejrzą sobie jakiś film na wideo.

Uri znowu skręcił w lewo. Coś tu nie grało. Nie jechali tam, gdzie Rachel zwykle uprawiała swój biznes. Może chce ją dymać w wygodniejszych warunkach, napawać się posiadaniem kobiety brata.

- Ile masz lat, Rachel?

- Osiemnaście. Dlaczego pytasz?

- Chyba jesteś dla mnie trochę za stara.

- Świetnie, to mnie wypuść.

- Nie. - Podrapał się w brodę, udając, że się nad czymś namyśla. - Wezmę cię na party. Ośmiu gości. Sympatyczni biznesmeni. Masz siłę na całonocną balangę?

Zamarła. A więc to tam jadą.

- Nie zrobię tego! - krzyknęła. - Mowy nie ma. Anton by oszalał. Nigdy mnie do czegoś takiego nie zmuszał.

- Fiu. I tu się grubo mylisz. Płacą mi za ciebie pięćset funciaków. Twój Anton nie wie, jak babę pogonić do roboty. Nie taki z niego człowiek interesu jak Uri, ale on też lubi kasę, a jego podróż drogo kosztuje. - Poklepał ją po udzie. - Nie przejmuj się. Twój Anton będzie zadowolony.

Gdy stanął na światłach, Rachel usiłowała otworzyć drzwi. Uri chwycił ją za ramię i przytrzymał. Resztę drogi przebyli w milczeniu. Zajechali przed duży hotel, który kiedyś był pewnie elegancki.

- Wchodzisz do środka. Skręcasz w lewo do holu. Facet w barze czyta gazetę i pije ciemne piwo. Idziesz z nim. - Mocno uszczypnął ją w policzek. - Zrozumiano?

- Proszę, nie każ mi tego robić... bardzo proszę - wyjęczała z oczami pełnymi łez. - Anton nigdy nie kazał mi robić zbiorówek. Będzie wściekły.

- Nie, nie będzie. Za to będzie kupa kasy, Rachel. To twój atut. - Walnął ją w udo. - Już cię tu nie ma.

Otworzyła drzwi auta. Ręce jej drżały. Musi szybko zapalić. Pastylka też by pomogła, ale nie miała przy sobie ani jednej. Pragnęła, żeby tata ją ocalił. Przeklinała go w duchu, że jest taki słaby i żaloszny, ale przecież gdyby ujrzał, co jej tu robią, pewnie umarłby z żalu i zgryzoty.

Przejdzie przez to wszystko, weźmie forszę i pojedzie prosto na dworzec Paddington, żeby wrócić do domu.

Jak gdyby czytając jej w myślach, Uri warknął:

- Ten facet zadzwoni do mnie, kiedy już skończycie, a ja wtedy cię odbiorę. Czekał tu na mnie z kasą.

Na odchodnym złapał ją za ramię.

- I jeszcze jedno, ty skośnooka dziwko. Kombinowałaś sobie, że będę oszukiwał rodzzonego brata, co? Pierdolił jego kobietę?

Pokornie potrząsnęła głową, choć w środku aż dygotała z nienawiści.

- Powiniennem dać ci wycisk za to, co powiedziałaś.

- Masz rację, Uri - odparła z zimnym uśmiechem. - Ale ze mnie ohydna, zła dziwka, co?

Dziewczyna Uriego zatelefonowała wieczorem. Sasza już poszedł spać, Charlene udała się do jakiejś noclegowni, a Rachel zebrała lepkie kawałki tapety do plastikowych worków. Wszędzie walały się ich resztki zdarte ze ścian. W pokoju panował bałagan. Rachel była skonana i sama się sobie dziwiła, po kiego diabła porwała się na taki ambitny projekt.

Na odgłos dzwonka natychmiast przytknęła komórkę do ucha.

- To ja. Telefonowałam do ciebie przedtem.

- Liczyłam, że się odezwiesz. Dzięki.

- Trzymam paszport w ręce. - Dziewczyna roześmiała się melodyjnie.

- Wygląda na prawdziwy. Dobry.

- Gdybyś mogła mi go przysłać, byłabym ci dozgonnie wdzięczna. Może okazać się potrzebny, i to wkrótce. Wyślę ci pieniądze... co powiesz na trzy stówki?

- Nie - odpowiedziała tamta. - Ja ci robię grzeczność, ty mi robisz grzeczność. Nie teraz. Może jutro, może w przyszłym

tygodniu, może za miesiąc. - Zniżyła głos do szeptu. - Kiedy odejdę od Uriego. Mam twój numer.

Powodzenia, kochana, pomyślała Rachel. Żadna dziewczyna go jeszcze nie rzuciła.

- OK. Umowa stoi. Masz papier i coś do pisania?

- Tak.

- Podam ci mój adres... nie, czekaj. Lepiej nie tutaj. - Rachel zazgrzytała zębami. Spędziła cały dzień, zastanawiając się, co należy zrobić, a przegapiła tę sprawę. Komu mogłaby zaufać? Jedyłą taką osobą jest...

- Słuchaj, wyślij paszport do Madeleine Frank, Poradnia Psychoterapii, North Parade Passage, Bath. Cholera, nie znam kodu pocztowego, ale i tak dojdzie.

Wydawało się, że zapisanie adresu zajmie dziewczynie wieki. Rachel powtarzała go wiele razy. Tamta ciężko wzdychała za każdym słowem.

- Co to za miejsce? - spytała na koniec.

- Nie chcę, żeby przesyłka przyszła tutaj. Dla twojego i mojego dobra.

- Rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza.

- Myślisz, że nic ci się nie stanie? - zapytała Rachel.

- Jasne, że nie. On wie, że nigdy nie ruszam jego rzeczy, ale nie wie, że słuchałam, o czym mówił z kumplami. Uważa, że wszystkie baby są beznadziejnie głupie. No, ja taka nie jestem. Tak czy inaczej, ci faceci ciągle tu przychodzą, robią z nim interesy. Zasrańcy. - Roześmiała się z zadowoleniem, że udało jej się zrobić przekręt jednemu z tych zasrańców.

- Uri nigdy się nie dowie, kto to wziął.

- Uważaj na siebie. Uri jest bardzo niebezpieczny. Dziewczyna odparła po chwili:

- Wiem o tym.

- Co mogę powiedzieć? Odwdzięczę się, na pewno.

- W porządku.

- W każdym razie masz mój numer. Jak będziesz potrzebowała pomocy, zrobię, co będę mogła.

Kolejna chwila ciszy.

- Czekaj - odezwała się tamta. - Jeszcze coś.

- Co? - Rachel już niczego więcej nie chciała słuchać. Chryste, czy to nie dosyć?

- Uri nie lubi psów... Przykro mi. Robiłam, co mogłam, żeby uratować tego psa.

- Och, Boże...

- Proszę. Nie mów dzieciakowi.

Obudziła się z drzemki o piątej nad ranem. Przesiedziała niemal całą noc. Lęk, jaki czuła po tej rozmowie, nie pozwolił jej zasnąć. Wstała z łóżka, włożyła szorty i bluzkę, zeszła na dół. Pokój nadal wyglądał jak pobojuwisko, wszędzie wały się resztki tapety, ale Charlene obiecała, że przyjdzie po południu i pomoże jej w sprzątanii. To będzie sprawdzian jej intencji.

Zrobiła sobie filiżankę herbaty i stanęła z nią w otwartym oknie, patrząc na wierzchołki dachów Bath w dolinie. Widać stąd było wszystkie wieże kościelne, plataninę uliczek ze wspianymi budynkami i wijącą się rzekę, wszystko jak na dłoni. Dalej zielone wzgórza z pastwiskami, na których pasły się owce i krowy. Tu było tak inaczej niż w Londynie, gdzie domy i smog ciągnęły się w nieskończoność.

Co się teraz stanie? Co będzie, gdy się okaże, że paszport zniknął? Rachel usiłowała sobie wyobrazić reakcję Uriego. Czy jego podejrzenia zwrócą się ku tej młodej kobiecie, przypuszczalnie nowej faworycie? Rachel nie była pewna, czy tamta zdecyduje się na taki krok, czy będzie miała dość odwagi i zachęty, żeby wykonać, co obiecała, ale skoro tak zrobiła... aż złękła się na myśl, co by się stało, gdyby ją na tym złapano.

Otworzyła drzwi do ogrodu, usiadła na schodku i zapaliła papierosa. Popijając herbatę i zaciągając się papierosem, usiłowała uwolnić się od myśli na temat Uriego. Zazwyczaj lubiła tę chwilę o poranku. Dzień przynosi aż za wiele powodów do stresu i lęków. Teraz jednak nie mogła pozbyć się natrętnych myśli o nieuniknionych sprawach...

Paszport oznaczał tylko jedno: wyjazd za granicę. Anton

nie zaproponował, żeby razem pojechali na wakacje. Rachel z każdą nową myślą coraz mocniej zaciągała się papierosem, aż zaczęło się jej kręcić w głowie. O co chodzi? Co dalej? Może nic się nie stanie, ale to tylko pobożne życzenie. Choć postanowiła sobie, że już nigdy nie opuści domu, nie ucieknie, teraz prześladowała ją myśl o konieczności ucieczki. I chociaż usiłowała się od niej uwolnić, lęk podpowiedział jej, żeby wzięła Saszę i jak najszybciej zniknęła z tego miejsca.

Sasza zszedł na dół z zaspanymi oczami, wlokąc za sobą spodnie od piżamy, które okręciły mu się wokół bosych stóp. Nie odezwał się słowem, siadając do miseczki płatków i tostów.

- Dzieciaku, weź się w garść. Ubierz się. Spóźnisz się do szkoły.

Sasza siedział bez ruchu, trzymając w obu dłoniach kubek z herbatą.

- Pospiesz się, kochanie. Ruszaj się.

- Nienawidzę szkoły. Panna Bailey jest starą jędzą. Nie lubi mnie.

- No, pokazałeś język panu Bodellowi, nie pamiętasz? Czego się spodziewasz? Jak będziesz dla nich miły, to zapomną, że z ciebie taki łobuziak.

Ten skurwiel Anton myślał tylko o sobie, kiedy wyciągnął Saszę ze szkoły. A teraz dzieciak za to pokutuje. On nie potrafi myśleć o konsekwencjach. Może sądził, że na zawsze odjedzie z tatą, że tatuś wszystko załatwi.

- Nie chcę być miły. Nienawidzę panny Bailey. Ona opowiada okropne rzeczy o tobie i o tacie.

Rachel wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń syna.

- Sasza, co mówi? Co dokładnie?

Sasza wlepił oczy w miseczkę z płatkami.

- Nieważne, mamó. Nie pamiętam.

- Owszem, pamiętasz.

Zerwał się od stołu. Rachel próbowała chwycić go za ramię, ale jej się wyslizgnął. Biedulek. Bez wątplenia płaci za to, co narozrabiał Anton, za jego akcent obcokrajowca, za jego wygląd,

samochód. Ona też nie była lepsza, ćmiąc papierosa za papierosem przed wejściem do szkoły, a to, że jest eksprostytutką, ma pewnie wypisane na czole. Jej spotkanie z panem Bodellem i z panną (niech się wypcha) Bailey skończyło się fatalnie. Zdziwiło ją, nie - rozwścieczyło, gdy się zorientowała, że oboje uważają Saszę za równie winnego jak Antona. I co takiego się stało, że podniecony dzieciak pokazał im język? Kim oni są - pieprzonymi świętymi czy co? Sasza ma rację. To zasrana szkoła - czy ona sama tak nie myśli?

Rysunki Saszy odzwierciedlały stan jego ducha. Była w szoku, gdy natrafiła na nie w jego pokoju. Spływające krwią psy, rozjechane koty, sceny przemocy między tłukącymi się mężczyznami i kobietami. Dla Saszy nie istniały słoneczniki i domki z piernika. Powinna pokazać komuś te rysunki. Madeleine pewnie by zrozumiała, co one mówią. Nie, lepiej dać sobie z tym spokój.

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie w kuchni. Z pewnością ktoś się wkrótce tu zjawi. Na stole leżała jej komórka i skrawek papieru z zapisanym telefonem. Będzie musiała jakoś znieść wzgardliwe spojrzenie pana Bodella. Ale przede wszystkim musi dopilnować, aby nikt, nawet sam Bóg, nie uprowadził jej syna ze szkoły.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Madeleine siedziała na łóżku. W rogu pokoju na sztalugach stał w połowie ukończony obraz. Twarz z nosem jak u mopsa należała do trzynastoletniego Kenny'ego Carlisle'a Juniora i wpatrywała się w nią oskarżycielsko jednym namalowanym już okiem, podczas gdy drugie było ledwie naszkicowane i brakowało w nim źrenicy. Nie mogła znieść tego aroganckiego szczeniaka, ale jego matka już dała jej połowę honorarium, więc musiała skończyć portret.

Kusiło ją to, co znajdowało się za oknem. Przez otwarte szklane drzwi wdzierала się dżungla zieleni, dźwięków, zapachów i ruchów. Titchy, kotek z sześciopalczystymi łapkami, tkwił w skupieniu nad brzegiem stawu. Liczył, że w każdej chwili uda mu się upolować jednego z małych żółwi. W niewielkim kocim ciele wszystkie mięśnie były napięte, a on wyczekiwał ze stoickim spokojem, aż jeden z tych malców zejdzie z wysepki pośrodku i znajdzie się w zasięgu jego żądnej łapy. Madeleine dobrze знаła swego kota: nie miałyby pojęcia, co zrobić z żółwikiem, gdyby znalazł się z nim oko w oko.

Powinna już wstać, ale była zbyt nieszczęśliwa. Mając w oczach ostatnie chwile z Mikaelą, kurczyła się w sobie do rozmiarów kropki, stawała się czarną dziurą. Niemal równie bolesny był widok mamy w szpitalu. Matka popadła w szaleństwo, to było aż nadto oczywiste. Wszystkie ciemne sekrety, na które Madeleine natrafiła w ich domostwie w Bath,

tkwiły w jej sumieniu jak drzazga. Od jak dawna mama była chora? Jak długo Mikaela musiała znosić jej stan i chaos, jaki zapanował? Wszędzie brud, połamane meble, napisy na ścianach. Ścierwa małych zwierząt, rozkawałkowane i gnijące na ołtarzyku w kuchni. Wszędzie sterty popiołu, dowód rozpalania ognisk na podłodze (dzięki Bogu, że wyłożonej terakotą). Mama z łatwością mogła podpalić cały dom i zabić je obie. Szok, z jakim Madeleine zareagowała na te zniszczenia, był kluczowym motywem jej decyzji, by pójść na ugodę z Forbushem i jego ludźmi. Ci potrafiliby zagrać na jej poczuciu winy, potęgując w niej wstyd za rodzinę i własną nieodpowiedzialność jako matki.

W roli córki nie była lepsza. Porzuciła mamę i wróciła do rodzinnego domu. Matka pewnie potrzebowała jej obecności, ale Madeleine nie potrafiła temu sprostać, wiedziała, że gdyby została w Bath, sama nie wyszłaby z depresji. A zresztą cóż mogła zrobić? Z mamą, nafaszerowaną lekami, nie było żadnego kontaktu. Madeleine postanowiła zbadać, czy można by ją przenieść do Key West. Gdyby istniała tu jakaś klinika, która zaakceptowałaby ją w takim stanie (w co raczej należało wątpić), Neville pokryłby koszty leczenia.

Była w Key West zaledwie od tygodnia. Miała tu tyle do zrobienia. Po pierwsze, trzeba zarobić jakieś pieniądze (stąd Kenny Carlisle Junior). Wokół siebie na łóżku rozłożyła zdjęcia Mikaeli i mamy, ale żadnej podobizny Neville'a, bo usunęła je ze wspólnych fotografii za pomocą nożyczek do paznokci. Zdawała sobie sprawę, że musi je sprzątnąć, bo tylko powiększają ból. Zaraz to zrobi, a wtedy wstanie i stawi czoło życiu. Jutro, najdalej pojutrze. Na jakiś czas zapadła w drzemkę, z której zbudził ją jakiś piekielny hałas.

- Otwórz te cholerne drzwi! - krzyczała Gina. Z całych sił waliła pięściami w drewniane panele. - Będę w nie tłuc, póki nie otworzysz!

Madeleine zamrugała oczami. Zupełnie zapomniała, że miały się tego ranka spotkać w barze przy południowej plaży. Pracował tam kubański barman, na którego Gina miała chętkę. Podobno przedtem był tancerzem w jakiejś zabójczej trupie

hiszpańskiej grającej flamenco i miał ciało jak młody bóg, ale obecnie jego głównym powodem do sławy były supermocne margerity, które tam miksował.

Walenie do drzwi nie ustawało. Gina nie wiedziała, że Madeleine nie przebywa w domu, lecz zaszyła się w atelier.

- Nie bądź głupia... Madeleine, otwórz te pieprzone drzwi.

- O cholera. - Madeleine wyskoczyła z łóżka i wybiegła na dwór. - Zamknij się, Gina! - krzyknęła. - Przez twoje wygłupy zyskam odpowiednią reputację.

- Reputację jako kto? Zakonnica? - odkrzyknęła Gina i ruszyła, żeby obejść dom od tyłu.

- Nie, jako specjalistka od dzikich imprez z przeklinającymi kumplami.

- A kiedy po raz ostatni urządziłaś imprezę? - Gina spojrzała na przyjaciółkę z odrazą. - Kiedy ostatnio miałaś na sobie jakieś ubranie?

- OK, zaraz. - Madeleine zawróciła do atelier. - Zaraz coś nałożę.

Miała na sobie tylko majtki i stanik, narzuciła na siebie starą wzorzystą sukienkę. Zauważyła przez okno, że Gina usiadła na huśtawce przy stawie i próbuje złapać palce u nóg. Od czasu, gdy rozstały się w Meksyku, przybrała na wadze, ale w jej dużym ciele było tyle zmysłowości, a w jej podejściu do życia tyle nonszalancji, że mężczyźni lecieli do niej jak ćmy do lampy.

- Masz coś mocniejszego do picia? - krzyknęła. Madeleine wybiegła na dwór.

- Gina, stul pysk.

Gina klęczała przy stawie.

- Co to? Żółwie?

- Tak, żółwie.

Gina zerwała się z klęczek i spojrzała takim wzrokiem, jakby Madeleine była niespełna rozumu.

- Na miłość boską, włóż coś porządniejszego. Dostałaś tę sukienkę, kiedy miałaś dziesięć lub jedenaste lat. Pamiętam ten dzień.

- Przepraszam za rano. Kompletnie wyleciało mi z głowy. Gina się skrzywiła.

- Rujnujesz mój styl. Jesteś za chuda, żeby cię gdziekolwiek wziąć.

Przez ganek na tyłach domu Madeleine weszła do kuchni. Gina podreptała za nią. W lodówce było tylko trochę piwa, dwa batoniki i nieco gnijących owoców.

Gina wzięła piwo, zaczęła się rozglądać za otwieraczem.

- No to idziesz czy nie? Myślę o tym nowym barze, jak mu tam, Mescla Marina.

- Nie, może kiedy indziej.

Gina z gulgotaniem pociągnęła spory łyk piwa, a potem spojrzała na przyjaciółkę.

- Słuchaj, dziewczyno, chcesz pobyć trochę u nas? Mama

o tym wspomniała. Marzy, żeby się tobą zaopiekować. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale nie podoba mi się to. Jestem pierwsza, żeby przez tydzień nie wychodzić z łóżka, ale ty? Daj spokój, Mad. Weź się w garść.

- Przyjdź po mnie jutro. Będę gotowa o szóstej i pójdziemy na kolację do Mescla Marina. Ja stawiam, żeby cię udobruchać za dzisiejszy ranek.

Kiedy Gina zniknęła, pozostawiając za sobą smugę perfum

i zapach ciała, Madeleine obeszała skąpo umeblowane pokoje. Choć uwielbiała miejsce swoich narodzin, nie mogła zapomnieć, że jego właścicielem jest Neville. Nawet w części nie należy do mamy. Już on tego dopilnował. Szarpało ją wiele sprzecznych uczuć, ale ojciec wzbudzał w niej palący gniew. Pokazał swoją prawdziwą twarz, a tego chyba nigdy mu nie wybaczy. Myśl, że jest od niego zależna, doprowadzała ją do furii. Żyła tu od czterech lat, a onłożył na jej utrzymanie. To się musi skończyć! Zdała sobie sprawę, że jeśli ma zapomnieć o przeszłości, całkowicie się od niej oderwać, musi zamieszkać gdzie indziej. Ta myśl nakazała jej działać, natychmiast. Nie będzie dłużniczką Neville'a, za nic w świecie.

Pół godziny później wsiadła na rower. Gdzieś przy Watson czy Grinnelle Street zauważyła tablicę „Do wynajęcia”, teraz nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to było, ale na pewno

odnajdzie ten adres. Po godzinie pedałowania porośniętymi zielenią uliczkami dała za wygraną. Nawet w bocznych alejkach nie zauważyła żadnego domu do wynajęcia. Zbliżał się sezon turystyczny i Madeleine uświadomiła sobie z rozpaczą, że to nie takie proste.

Ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, doszła do wniosku, że sprawdzi jeszcze tylko Mallory Square, napije się tam drinka, popatrzy na żonglerów, posłucha muzyki. Może spotka kogoś z dawnych czasów. Wszyscy miejscowi z Key West znają się ze sobą, na pewno ktoś jej podsunie pomysł, gdzie wynająć jakiś domek. Tymczasem nagle zapragnęła znaleźć się z dala od tłumu i zamiast na plac mimowolnie skręciła w lewo, w Eaton Street. Cholera! No i dobrze. Wybierze się tam nazajutrz. Jechała wolno przed siebie, zapadał upalny wieczór. Przed nią ciągnęła się Palm Avenue, prowadząca do morza. Skręciła w Eisenhower Drive i zwolniła w pobliżu Houseboat Row, tuż przy marinie. Kiedy była dzieckiem, uwielbiała tamtejsze domki jak dla lalek. Oparła rower o poręcz mola i rozejrzała się. Gdyby tu się coś znalazło! To były najbardziej odjazdowe domki na całej wyspie. Wielobarwne domostwa, dziwnych kształtów, wzniesione na barkach, rywalizujące ze sobą oryginalnością i ekscentryzmem. Zacumowane tuż obok siebie poruszały się lekko na falach. Jakaś młoda kobieta rozwieszała właśnie pranie na rozchybotanym balkonie, a starzec podlewał dużą palmę w doniczce umieszczonej obok steru. Na dalszym planie było widać barcę ze wzniesionym na niej owalnym dwukondygnacyjnym domkiem z pomalowanych na turkusowo deszczulek, a nieduży pies na uwięzi wściekle szczekał na przechodniów.

- Hej, piesku. - Wyciągnęła do niego rękę. Wściekły kundel pewnie wskoczyłby do wody, gdyby mógł w ten sposób odgryźć jej dłoń. - Opamiętaj się - powiedziała do niego czule, co jeszcze bardziej rozjuszyło psa.

W okrągłym okienku ukazała się czyjaś głowa, żeby sprawdzić powód zamieszania.

- Chryste Panie! - rozległ się głos.

Zdjęła okulary słoneczne, by przyjrzeć się tej głowie przy-

czepionej do niewidzialnego ciała. Choć minęło prawie sześć lat, nie miała najmniejszych wątpliwości, do kogo należy.

- Forrest? - Ledwie poruszyła ustami.

W tym momencie pies uwiązany na postronku wyrwał ze ściany haczyk razem z deską. W powietrzu uniósł się obłok trocin.

Otworzyła oczy i, jak każdego ranka, od razu ujrzała zdjęcie Forresta stojące na szafce nocnej. Siedział na krzeselku w domku na wodzie, z psem na kolanach. Bestia należała wprawdzie do sąsiada, ale, jak większość dzieci i zwierząt, Ignęła do niego i traktowała barwę jak własne terytorium, którego należy bronić do ostatniej kropli krwi.

Twarz jej męża zwrócona była do wiatru, jasne włosy zmierzwiła lekka bryza. Zmrużył oczy od słońca, jego niemal nagie ciało smagane żywiołami było bardzo umięśnione, wręcz chude, ale pełne gracji. Madeleine wielbiła w nim wszystko. Pierwsze jej wrażenie, choć była wtedy taka młoda, nigdy nie osłabło przez te wszystkie lata. Forrest był cudownym przyjacielem i kochankiem, patrzenie na niego było rozkoszą.

Nagły ból w piersi kazał jej odłożyć zdjęcie. Ileż razy w ciągu tych wielu lat musiała przywoływać się do porządku i napominać siebie, że on nie żyje? Nie zostało z niego ani śladu, ciało wchłonęły miliony morskich stworzeń, kości rozpadły się w pył. Tak samo jak jej bezsensowna nadzieja, że Rachel jest jej córką. Wypieranie stanowiło część jej nerwicy, z której dawno temu powinna się była wyleczyć. Każdemu pacjentowi z podobną chorobą poradziłaby, aby w końcu spojrzął prawdzie w oczy. Może nadszedł czas, żeby schować zdjęcie. Byłby to symboliczny gest, świadczący o jej pogodzeniu się z faktem nieistnienia Forresta. Nie chodziło już o Gordona, ale czy mogłaby spotkać jeszcze kogoś w życiu i go pokochać, skoro wszystkich mężczyzn mierzyła miarą doskonałości Forresta? Jego zalety błyszczały jak miliony mrugających gwiazd.

Gordon! Otumaniona zbyt wieloma drinkami i zbyt małą ilością snu nagle uprzytomniła sobie, co się stało poprzedniej nocy, co z nim robiła na terenie wykopalisk, a potem jazdę tak-

sówką, długi i gorący prysznic, żeby go z siebie zmyć (razem ze wstrętem do samej siebie). Była wściekła na jego bez troskie podejście do ich tak zwanego aktu miłosnego. Po tych łożawych zapewnieniach o uczuciach chodziło mu tylko o wydymanie jej. No cóż, nie jest dzieckiem, sama jest sobie winna. Chciała tego równie mocno jak on. Oboje oddali się czystej żądzy, jaka czasami występuje, gdy ktoś jest pijany i pozbawiony hamulców.

Mignęła jej przed oczami nowa scena. Postać w ciemności, jakiś mężczyzna, który z pewnością szedł za nią Molsom Street do remontowanego domu. Gdy wyszła stamtąd sama, mógł z łatwością wyrwać jej torebkę i zbiec, bo nikt by go nie zatrzymał. Skoro stracił taką okazję, mógł się zacząć na Gordona. O Boże!

Chwyciła słuchawkę telefonu stojącego na szafce nocnej. Szybko wybrała numer Gordona, nadal znała go na pamięć. Nie było odpowiedzi. Po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

- Gordon - odezwała się w miarę opanowanym tonem. -Chciałam tylko sprawdzić. Naprzeciw wejścia na teren wykopalisk sterczał jakiś bardzo podejrzany typ. Czy możesz wysłać mi SMS-a albo maila, że z tobą wszystko w porządku? - Zawahała się. - W ciągu najbliższych kilku dni jestem bardzo zajęta, więc już teraz życzę ci udanych wakacji.

Wypiła resztkę kawy z fusami i wyjrzała przez okno. W kotlinie tak często zbierała się mgła, że powietrze wyglądało jak zanieczyszczone. Jej palmy w ogrodzie sprawiały wrażenie roślin kompletnie nie na miejscu. Rozmarzyła się na myśl o krainie dzieciństwa, wyspie, na której przyszła na świat. Nagle zapragnęła wszystko to zostawić, sprzedać dom i wrócić. Zamulić Rosarię psychotropami, wsadzić ją do samolotu lecącego do Miami i znaleźć tam dla niej jakiś ośrodek z obłąkanymi Kubańczykami, gdzie mogliby wspólnie czcić swoich *orishas*, słuchać samby i rumbę i rozmawiać wyłącznie po hiszpańsku.

Na myśl o domu rodzinnym obróciła zdjęcie Forresta twarzą do siebie. Do diabła! Dlaczego miałyby odbierać sobie przyjemność jego towarzystwa?

Rozejrzała się wokoło, widząc miriady wysepek porośniętych mangrowcem.

- Mój Boże, Forrest, mam nadzieję, że znasz tutejsze szlaki wodne. A co będzie, jak utkwimy na mieliźnie? Zanim ktoś nas odnajdzie, upłyną tygodnie. Umrzemy z odwodnienia, a nasze wyschnięte kości staną się żerem dla ścierwników.

- Tak jest, madame - odparł Forrest. - Te sepy to straszne skurczysyny.

- Nie, naprawdę...

- Kochanie, musisz nauczyć się zasad nawigacji. - Opłynął jedną z wysepek. - Brzeg pływowy rozpoznasz po kolorze piasku. Jest brunatny i na oko bagnisty, a pomiędzy takimi brzegami masz lazur i indygo kanału żeglownego. Trzymasz się tych kanałów. To jest dziecinnie proste.

- Rzeczywiście - przyznała.

- Widzisz te długonogie ptaki brodzące? - spytał, wpatrując się w jej łydki. - To ci mówi, żebyś omijała te miejsca z daleka, bo na pewno są płyciznami.

Roześmiała się.

- Jasne, jasne.

Stała za nim i objęła go w pasie. Miał opalone na brąz muskularne plecy i wyblakłe na słońcu włosy, dłuższe niż kiedyś. Wtuliła w nie twarz. Wprost nie mogła się nim nacieszyć.

Nie odwracając się, położył rękę na jej biodrze.

- Ale gdybyśmy wskutek nieuwagi utknęli w mule, wtedy będziesz musiała wyskoczyć i wypchnąć łódź.

- Ach tak, Romeo?

Przeciskając się między dwiema wysepkami, jak na złość zaryli dnem łodzi w muł. Pchanie mogło poczekać, znaleźli się bowiem w cudownym miejscu. Dwie maleńkie wyspy były obrośnięte szmaragdową zielenią, w której kłaskały ptaki. Forrest rozpostarł parasol, Madeleine wyciągnęła jedzenie. Jedli w rozleniwionym milczeniu, oparci na miękkich siedzeniach jachtu wypożyczonego w porcie w Key West. Forrest oszczędzał na kolejną łódź do połowu krewetek, a jego ojciec wystawił motel Dolphin Lodge na sprzedaż i zamierzał

przejsć na emeryturę. Przyrzekł synowi, że da mu połowę sumy na zakup łódki, która miała mu zapewnić byt na następne sto lat.

Forrest odwrócił się nagle twarzą do Madeleine.

- Wyjdiesz za mnie za mąż?

Uniosła brwi, zaskoczona propozycją. Po chwili wybuchła śmiechem.

- Czy to nie za szybko? Mam zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Sądziła zrazu, że te ad hoc oświadczyzny nie były niczym innym jak gwałtowną oznaką pożądania, ale gdy przyjrzała mu się uważniej, pojęła, że nie dyktował ich impuls, lecz głęboki namysł. Aż się zarumieniła ze wstydu za swoją odartą z romantyzmu odpowiedź. Jego mina mówiła jej, że czuje się zażenowany i bardzo nieszczęśliwy. Musiał się zdobyć na niemałą odwagę, żeby jej to zaproponować.

- Czy mogę to przemyśleć? - dodała szybko. I po krótkiej chwili milczenia postawiła warunki: - Tylko wtedy, gdy zamieszkamy na barce. I że nie będę musiała zrzec się swojej tożsamości i nazwiska.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował.

- To oznacza tak, prawda?

- Owszem - przytaknęła, śmiejąc się od ucha do ucha. - Na wymienionych warunkach.

- Dam ci taki domek na barce w prezencie ślubnym.

- Chryste! Nie musisz posuwać się aż tak daleko.

- Mam go po mamie. A ona dostała go od swego ojca. Nie jest wiele wart, jak już mogłaś się zorientować.

Oboje byli oszołomieni nagłą zmianą okoliczności. Usiedli, objęli się mocno. Madeleine poczuła, jak jej ręce zaczynają drżeć, a serce bić jak szalone. Nie powinna tak zwyczajnie przyjąć jego oświadczyzn. Byli ze sobą zaledwie od miesiąca, a ona ciągle wyczekiwała odpowiedniej chwili, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Nie potrafiła jednak zdobyć się na to. Po tym, co przeszła, chciała najpierw poczuć, co to znaczy być kochaną. A teraz nie było odwrotu.

- Forrest, jest coś, czego ci nie wyznałam.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś mężatką. Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Czy pamiętasz tamto popołudnie w ogrodzie domu, którym się opiekowałeś... wkrótce po naszym poznaniu się?

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł przejęty. - Jest mi bardzo przykro, że tak się wtedy zachowałem. Byłem zrozpaczony, kiedy się dowiedziałem, że my...

- Nie - przerwała. - Nie, nie o to mi chodzi. Miałeś prawo poczuć się wtedy oszukany, ale widzisz... zaszłam wtedy w ciążę.

- W ciążę? - Wpatrywał się w nią bez tchu.

- Forrest, mieliśmy córeczkę. - Po jej policzkach spływały łzy.

- Mieliśmy córeczkę - powtórzył zupełnie zbity z tropu. Podparł się łokciem, żeby dokładniej widzieć jej twarz. - Żartujesz sobie ze mnie?

Z zamkniętymi oczami potrząsnęła głową.

- Co masz na myśli, mówiąc „mieliśmy”?

Zupełnie się rozkleiła, zaczęła głośno szlochać. Nie chciała płakać, ale w żaden sposób nie mogła opanować łez.

- Oddałam ją do adopcji... zaledwie dwa tygodnie przed tym, gdy cię odnalazłam przy Houseboat Row.

Chwyił ją za ramiona i zmusił do spojrzenia mu prosto w oczy.

- Ależ, kochana Madeleine... dlaczego to zrobiłaś? Czemu mi nie powiedziałaś? - Jego twarz przybrała barwę popiołu.

- Chciałam ci powiedzieć. Gdy byłeś w Indiach, napisałam do ciebie kilka listów. Trzy lata temu odwiedziłam twojego ojca w Key Largo. Pragnęłam mu wyznać, że urodziła się nam córeczka, ale on mi oświadczył, że masz dziewczynę i że nie życzysz sobie otrzymywać ode mnie listów. Dał mi do zrozumienia, żebym sobie nie zawracała tobą głowy... był wobec mnie miły, ale dostałam kopniaka. Powiedział, jak bardzo było ci źle po naszym rozstaniu.

Minęła cała minuta milczenia, przerywana jedynie ptasimi trylami i łkaniem Madeleine. Forrest potrząsnął nią mocno.

- Przestań płakać. Musimy się naradzić. Opowiedz mi, dlaczego musiałaś oddać naszą córkę.

Próbując powstrzymać szloch, Madeleine opowiedziała mu o wszystkim.

- Od chwili narodzin malutkiej moja mama przejęła kontrolę nad całą sytuacją. Sądzę, że było to nieuniknione. Miałam wtedy szesnaście lat, a ona od urodzenia mnie marzyła o następnym dziecku. Wiele razy kłóciłyśmy się o małą, aż wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść. Zapadłam na depresję poporodową i czułam się w Anglii jak przybysz z innej planety, poza tym strasznie tęskniłam za Key West. Postanowiłam więc tu wrócić i spróbować zacząć od nowa, zostawiając Mikaelę z rodzicami. Mój ojciec tymczasem rzucił mamę dla innej kobiety, mama kompletnie się załamała. Podróżowałam po Meksyku z Giną, kiedy... Nie miałam pojęcia, co się tam działo. Mikaelę umieszczono w rodzinie zastępczej. Okazało się, że u mamy zdiagnozowano schizofrenię, a ojciec od wszystkiego umył ręce.

Usiłowała spojrzeć mu w twarz, ale nie potrafiła się przemóc. Jak zdołała mu wytłumaczyć, co uczyniła i dlaczego tak się stało?

- Gdy tylko się o tym dowiedziałam, natychmiast wsiadłam do samolotu i wróciłam samolotem do Bath, ale ludzie z opieki społecznej nie pozwalali mi zobaczyć się z Micki. Rozumiałam, że małej było potrzebne poczucie bezpieczeństwa. Bóg jeden wie, przez co przeszła. Ta para, która się nią zajmowała, wystąpiła o zgodę na adopcję. Na koniec wszyscy mnie przekonali. Mikaela czuła się u tych ludzi szczęśliwa, a ja uznałam, że i tak już ją opuściłam. Podpisałam dokumenty, bo doszłam do wniosku, że jestem jej to winna. Dziecko powinno mieć prawdziwą rodzinę.

Forrest przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu, jedynie coraz mocniej ścisnął Madeleine za ramiona.

- Czy jest za późno? Za późno, żeby ją odzyskać? Madeleine znowu się rozpląkała, a on czule ją objął.

- Gdybym o tym wiedział...

- Forrest, za późno. Ona już nie jest nasza.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Brzytwą przeciąłem mu tętnicę w pachwinie. Było to malutkie cięcie, ale bardzo skuteczne - opowiadał Edmund z odcieniem zawodowej dumy.

Siedział na pryczy z podkurczonymi kolanami, oparłszy się plecami o ścianę. Sprawiał wrażenie bardzo osłabionego. Ogromnie schudł po kolejnym ataku choroby, a jego cera miała trupią bladość.

- To było po tym, gdy pobiłem go do nieprzytomności i powiesiłem za nadgarstki na słupie. A więc nie cierpiał niepotrzebnie. Na blacie w kuchni zostawiłem kartkę jego żonie, ostrzegając, by nie szła na strych, ponieważ znajdzie tam zwłoki męża. Na wypadek gdyby przeoczyła mój liścik, postawiłem pod nim wiadro, żeby krew nie przeciekła przez podłogę i nie zaplamiała sufitu, co by ją przeraziło.

Edmund zrobił chytrą minę i zerknął z lekkim uśmiechem na Madeleine, jak gdyby te drobne gesty przyzwoitości świadczyły o jego zasadniczo dobrej naturze.

Ponieważ nie robiła wrażenia przekonanej, szybko dodał:

- Ich małżeństwo i tak było farsą. Żona zabawiała się we Włoszech ze swoim kochankiem, a dorosłe dzieci nigdy nie zaglądały do domu. Kiedy żona wyjeżdżała, on natychmiast oddalał sprzątaczkę i siedł w cug, chlejąc i gapiąc się na pornosy z udziałem dzieci.

Madeleine stała przy judaszu i mierzyła wzrokiem Edmun-

da Furie. Ta rozmowa nastąpiła z jej winy. Sama wywołała ją przed kilkoma tygodniami, gdy doszło między nimi do niefortunnej sprzeczki. W ogniu argumentacji niepotrzebnie wspomniała wtedy o jego szczególnej zbrodni, różniącej się metodą od pozostałych. Bo Edmund zazwyczaj dusił swoje ofiary.

Teraz, gdy Edmund obawiał się, że umiera - nie umiano zdiagnozować dziwnej choroby, na jaką zapadł - przekonał ją, żeby mu wyjaśniła, co właściwie takiego zrobił, albowiem prasa opisała ten jego czyn jako dużo bardziej koszmarny, niż on sam uważał. Madeleine próbowała go zapewnić, że w czasie gdy popełnił to morderstwo, nie mieszkała w Wielkiej Brytanii, a informację o jego skazaniu przekazał jej naczelnik więzienia. Edmund czuł się jednak w obowiązku wyłożyć jej swoje motywacje i nie dał się przekonać. Uparł się, że gdy umrze, przynajmniej Madeleine dowie się, że nie był aż taki zły, jak go przedstawiano. Ją natomiast poruszył fakt, że tak mu zależało na jej opinii.

Wydarzenia, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich kilku tygodni, osłabiły jej wolę, więc z rezygnacją zgodziła się wysłuchać Edmunda, pod warunkiem, że nie będzie się zbliżał do drzwi i że usiądzie na pryczy. Unikała kontaktu wzrokowego, ale stale zerkała na jego ręce. Sprawiały wrażenie zdumiewająco niewinnych, były białe i lekko opuchnięte. Sześć lat spędzonych za kratami uwolniło je od ciężkiej pracy i wystawiania na słońce. Wyobraziła sobie, jak te miękkie blade palce delikatnie otwierają staroświecką brzytwę, następnie rozpinają spodnie ofiary, wyciągają jego genitalia, podczas gdy tamten, pewnie półprzytomny, błaga Edmunda o darowanie mu życia.

Zrobiło się jej niedobrze.

- Ten skurwiel miał w Wielkiej Brytanii wyrok za pedofilię. Z dwoma kolesiami wynajął willę w Tajlandii. Zgadniesz, co tam robili?

- A więc zasłużył sobie na śmierć? - spytała Madeleine możliwie neutralnym tonem.

Edmundowi najwyraźniej nie spodobała się nuta sarkazmu w jej głosie i odpowiedział z równą ironią:

- Zrobiłem to dla kasy, moja piękna. Sądziłem, że od dawna

już o tym wiesz. Zleceniodawca zapłacił mi fortunę za to zabójstwo, a fakt, że ofiara była śmieciem, bardzo ułatwił sprawę. Miałem nawet pewną przyjemność w jego sprzątnięciu.

- Twoje ofiary... wszystkie były takimi szmatami?

- Nie mogę czuć nad całą rasą ludzką, prawda? - odparował. - Ale zgoda, w tym biznesie jest mnóstwo szmatławych typów. - Gniewnie pokręcił głową, jakby dając tym do zrozumienia, że wykładanie zasad jego filozofii maluczkim stanowi błąd. - Proszę, Madeleine, weź pod uwagę, że zabijałem jedynie dorosłych mężczyzn, którzy robili świństwa innym ludziom. Gdyby nie byli tacy, nie musiałbym ich eliminować. Zajmowałem się oczyszczaniem. Jestem śmieciarzem. Pozbywam się śmieci, elementu, którego inni brzydzą się dotknąć, a prawo nie może ich dosięgnąć swoim bezsilnym ramieniem. I popatrz, kto za to wszystko płaci. Zapamiętaj jednak moje słowa: jeśli to ścierwo dotknęłoby jedną z wnuczek sędziego, czy ten sędzia źle by o mnie pomyślał, gdybym usunął drania? - Edmund nachylił się w stronę drzwi i dodał: - Zrobiłby tak, Madeleine?

Madeleine wzdrygnęła się, patrząc na niego z lękiem, ale nie znalazła natychmiastowej riposty.

- Zajmuję się wyłącznie dorosłymi facetami - powtórzył z naciskiem. - Nie młodymi gówniarzami, bez względu na to, jak są nieznośni, nie kobietami, nie dziećmi. No dobra, czasami moje ofiary trochę cierpią. Klienci niekiedy sobie tego życzą. Jeśli z zemsty, to się zgadzam. To rodzaj usług, jakie

wykonuję.

- Wykonywałem! - poprawiła go.

- Wykonuję - upierał się. Zmierzył ją mętym wzrokiem. - Już ci powiedziałem, że mam bardzo długie ramię.

Madeleine podparła się łokciem o wizjer, a stopę postawiła na skrzynce, której zażądała od władz więzienia. Stanie w miejscu przez godzinę powodowało potworny ból krzyża. Opowiedziała naczelnikowi, dlaczego w barach istnieją podpórki pod stopy. Po to, żeby klienci dłużej pili. Ustąpił.

- Edmund, czy chcesz mi przez to powiedzieć, że możesz zabijać ludzi, siedząc za kratami?

- Jeśli sobie tego życzę, to z całą pewnością jestem do tego zdolny, moja piękna. Są pieniądze ukryte w bezpiecznym miejscu. Są przysługi. Ludzie są mi coś winni. Niektórym bardzo na czymś takim zależy.

A więc Edmund nie odwołuje się do żadnej czarnej magii. Istnieją na wolności ludzie, którzy wykonają jego zlecenia.

- Nie wierzę ci - rzekła, starając się opanować dreszcz trwogi. - Czy sądzisz, że możemy odłożyć ten temat na inną okazję? Złe i dobre strony swoich czynów możesz omawiać na sesjach z doktorem Weatherlym.

- Wolę, żebyś ty mnie zrozumiała, nie on. Gównu mnie obchodzi, co Weatherly o mnie myśli.

- A powinno. Doktor Weatherly jest doskonałym psychiatrą. Jedyne on może coś dla ciebie zrobić... Na przykład zachęcić cię do zmiany poglądów w kwestii tego, czy ma się prawo zabijać innego człowieka, bez względu na to, jaką jest gnidą.

Edmund wstał, ale nie zbliżył się do wizjera. Włożył ręce do kieszeni i spojrzał jej prosto w twarz. Miał sfrustrowaną minę, bo zorientował się, że stracił jedyną szansę, by ją przekonać do swoich idei.

Nie chcąc dopuścić do kolejnego argumentu (lub przykładu) świadczącego o jego filozofii życiowej, Madeleine szybko się odezwała:

- Już cię uprzedzałam, że takie dyskusje mogą źle wpłynąć na naszą przyjaźń. Edmund, byłabym w dużo wygodniejszej sytuacji, gdybym nie musiała stale myśleć o powodach twego pobytu w więzieniu.

Przez chwilę rozważał w myślach jej uwagę, ale nie odpowiedział. Kiedy Madeleine była gotowa zmienić temat, przerwał milczenie.

- A propos, jak tam twój przyjaciel? - Przemawiał łagodnym tonem, ale czuć w tym było podstępą nutę.

- Nie mam żadnego przyjaciela! - krzyknęła z rozpaczą. Gdy tak stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem, nagle poczuła jakieś ukłucie.

- Odzywał się ostatnio do ciebie? Madeleine zmarszczyła czoło. Do czego zmierza?

- Nie sędzę - dodał Edmund, wydając z siebie melancholijne westchnienie.

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

- To twoje bardzo długie ramię? Edmund, nie! Wyszczrzył dwa rzędy zębów. Udawał skromnego, ale oczy świeciły mu triumfalnie.

- Nie sędzę, by pan Reddon odezwał się kiedyś do ciebie. Zakryła usta dłonią.

- Co... co mu zrobiłeś? - Cofnęła się o krok od wizjera, chcąc jak najszybciej wyjść.

- Proszę, nie odchodź - wybuchnął. - On żyje. Nie martw się. Nie jest aż tak ciężko ranny.

Madeleine rozejrzała się wokoło, licząc na obecność strażnika w pobliżu.

- Edmund, powiedz, co mu zrobiłeś. Mów natychmiast, bo inaczej gorzko tego pożałujesz.

- Nie możesz mnie winić, Madeleine. Dowiedziałem się, że facet cię zdradza, narażając na szwank twoje zdrowie i szczęście. Już w marcu został ostrzeżony, żeby trzymał się od ciebie z daleka, ale chyba był dość tępy. Nie całkiem zrozumiał, co może oznaczać brzytwa, prawda?

- Brzytwa? - powtórzyła to słowo szeptem. - Od jak dawna szpieguje mnie ten twój szemrany współnik? Co, do cholery, zrobił Gordonowi?

- Och, nic drastycznego. On tylko... wzmógł ostrzeżenie, aż do faceta w końcu dotarło. U takich jak twój eks wyraźna groźba obcięcia kutasa u samej nasady za pomocą brzytwy przynosi doskonałe skutki. To działa za każdym razem.

Uniósł ręce, pokazując jej tym gestem, że oto pozbył się kolejnego drania, po raz kolejny wykonał swoje zadanie. Dobry przykład skuteczności jego metod.

Madeleine poczuła, że krew z powrotem zaczyna krążyć w jej żyłach.

- I ty nazywasz się moim przyjacielem! Ty skurwysynie! Wtrącasz się do mojego życia w najbardziej odrażający sposób. To, co zrobiłeś, jest okrutne. Straszne! - Gotowało się w niej z wściekłości. - Złożę na ciebie raport.

Edmund wcale nie przejął się jej wybuchem. Chyba doszedł do wniosku, że wygrał z nią batalię, co jeszcze bardziej ją do niego zbliżyło, niż oddaliło. Wpatrywał się w Madeleine z niemal potulną miną.

- Och, nie bądź taka zła. Pomyśl o tym tak: prawdziwy mężczyzna staje w obronie swojej kobiety, nie zléknie się grózb. Te działają tylko na ludzi bez charakteru, tchórzy. Czy nie dostrzegasz tego, Madeleine? On wobec ciebie nie podejmie żadnego ryzyka.

No cóż, niezależnie od wszystkiego, Edmund ma rację. Gordon się do niej nie odezwał i więcej tego nie zrobi.

Edmund, czytając w jej myślach, szeroko się uśmiechnął.

- To dowodzi moich racji. Niewart był ciebie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie. Z oddali dochodził łoskot zatraskiwanych metalowych drzwi. Słabo oświetlony korytarz wydawał się chłodniejszy niż zazwyczaj. Drżąc z zimna, Madeleine ciasno owinęła się kurtką.

W niedzielę wieczorem otworzyła na oścież drzwi do atelier. Panował w nim zapach żywicy z drewnianej wykładziny, która wręcz piekła się w słońcu, zmieszany z silnym odorem farb olejnych i rozpuszczalników. Wcześniej usiłowała uporać się z bieżącymi rachunkami i posprzątać, ale przez cały weekend rozmyślała o malowaniu, tyle że była zbyt rozkojarzona, żeby serio się nim zająć. Teraz, kiedy wreszcie stanęła przed pustym płótnem, było za późno, żeby cokolwiek zaczynać. Minęła północ, a nazajutrz miała przyjąć wielu pacjentów.

Postanowiła więc przed pójściem do łóżka tylko zerknąć na płótno, sprawdzić, czy wizja prześladująca ją od kilku dni zmieści się na nim. Przekreśliła kontakt. Atelier było zapuszczone, jakby nikt nie zaglądał tu od dawna, ale płótno stało na sztaludze. Przystanęła, popatrzyła uważnie, po czym wzięła do ręki węgiel i wykonała kilka kresek na zagruntowanej już powierzchni. Chciała jedynie popracować nad kompozycją. Jej ręka działała bez wahania, jak gdyby autonomicznie od reszty ciała. Po trzydziestu minutach zarys kompozycji był gotowy,

niepoprzedzony żadnymi wstępnymi szkicami. Wystarczyło wyobrażenie, jakie miała przed oczami.

Spryskała rysunek fiksaturą i już zbierała się do wyjścia, kiedy nagle zmieniła zdanie i na plastikowy talerz wycisnęła z tubki nieco sjeny, a do kieliszka na jajko wlała trochę rozpuszczalnika. Chwyciła płaski pędzel, by pociągnąć płótno cienką warstwą farby, ustalić bliższy plan, tło i światłocien. Pracowała szybko, bo zdawała sobie sprawę z późnej pory i upływu czasu, który mija niepostrzeżenie, gdy człowiek jest czymś pochłonięty bez reszty.

Panowała kompletna cisza. Prior Park Road była opustoszała, a z Claverton Street nie dochodził nawet szum samochodów. Po jakimś czasie spojrzała na zegarek. Było już po drugiej, ale nie chciała przerywać. Odczuła ulgę, że nadal może malować. Zawsze towarzyszył temu strach, że któregoś dnia zabraknie jej inspiracji, że nie będzie miała już czego utrwać na płótnie. Może dlatego malowała wyłącznie mrówki, ruchome obiekty. To było naprawdę komiczne - psychoterapeutka, która nie chce dorosnąć i ciągle od czegoś ucieka - najpierw od dziwaczności dzieciństwa, potem od odpowiedzialności, wreszcie od prawdy o samej sobie. Kto to powiedział: „Istnieją ludzie, których można zdefiniować na podstawie tego, od czego uciekają, i ludzie, którym zawsze uciekają”?

Wycisnęła na talerz trochę zieleni i palonej ochry, potem cofnęła się o parę kroków, żeby ogarnąć wzrokiem wyłaniający się obraz. Ten widok ją zaskoczył. Przedstawiał nie mężczyznę, lecz kobietę rozpiętą na drewnianej ramie, z wyraźnie zaznaczonymi piersiami i trójkątem u zbiegu ud. Przecież miała na myśli mężczyznę, z całą pewnością. Tylko mężczyznom - wrogim wojownikom - robiono coś takiego.

Przeczytała tę historię w jakiejś książce poświęconej mrówkom. Pewien szczep południowoamerykański wynalazł niezwykle sposób torturowania pojmanych wrogów, niemal zawsze kończący się ich śmiercią. Podobne tortury stosowano wobec członków własnego plemienia, którzy dopuścili się jakiejś niepojętej zbrodni. Ofiarę wleczono do miejsca w lesie, gdzie znajdował się pewien rodzaj mięsożernych mrówek.

Najpierw starannie wyrywano wszelką roślinność wokół ich mrowiska. Następnie rozbierano ofiarę do naga i przywiązywano za ręce i nogi do drewnianej ramy. Do ust wtykano specjalnie w tym celu wyrzeźbiony kawałek drewna, a odbyty i penis przebijano długim bambusowym kijkiem. Do wszystkich tych otworów oraz do uszu i oczu wlewano słodki sok drzewa. Pędzlowano też tym sokiem wewnątrz jamy ustnej, nosowej i gardła, i to bardzo ostrożnie, żeby ofiara się nie zadławiła. Po takich przygotowaniach ramę ustawiano pionowo nad mrowiskiem.

Ofiarę zostawiano swojemu losowi. Po kilku minutach całe jej ciało gęsto pokrywały mrówki, zwabione słodkim nektarem. Wchodziły przez każdy otwór do wnętrza nieszczęśnika, ciętego i zżeranego żywcem. Niekiedy taki człowiek dusił się wskutek masy owadów wdzierających się do gardła i nosa. Jednakże oprawcy twierdzili, że zabija głównie panika i przerażenie, nie wytrzymuje tego serce. Natomiast najodważniejszych czekała straszna i powolna śmierć.

Wzdrygnęła się. Spojrzała na ciemną polanę w dżungli, którą właśnie namalowała, na wąskie promienie światła padające na wysmukłą ofiarę, jej wygięte w łuk plecy przywiązane do drewnianej ramy, na wyraziście naszkicowane żebra i kości miednicy. W tej postaci było coś z Ukrzyżowanego. Głowa była odwrócona w ten sposób, że nie widać było twarzy, ale na wysokości szyi można było dostrzec kilka kosmyków ciemnych kręconych włosów. Co to jest? Co oznacza? Czy ona sama jest tą ofiarą? Czy to forma podświadomej kary wymierzonej sobie za własne niegodziwości, czy raczej pragnienie śmierci?

Potrząsnęła głową, chcąc pozbyć się natrętnych myśli, wycisnęła nową porcję farb na paletę i przystąpiła do dalszego malowania.

Malowała przez całą noc, nie zmrużywszy oka. Miała wielką ochotę odwołać wszystkich pacjentów. Choć była kompletnie wyczerpana, nie mogła oderwać się od swego dzieła, ale kiedy wzięła do ręki słuchawkę, żeby zatelefonować do Sylvii, przypomniała sobie, że o dziewiątej była umówiona z Emilią Fre-

driksdottir. Emilia pochodziła z Reykjavíku i studiowała na uniwersytecie w Bath. Jej brat został aresztowany pod zarzutem zepchnięcia swojej dziewczyny z klifu. Ofiara była najbliższą przyjaciółką Emilii i często opowiadała jej o pijackich awanturach wszczypanych przez kochanka. Emilia była przerażona perspektywą wyjazdu do Islandii, bo wtedy sumienie nakazywałoby jej złożenie zeznań przeciw własnemu bratu. Madeleine nie mogła zostawić jej w takim stanie, Emilia chciała, by to ona leczyła ją z traumy, nie chciała jechać do swego kraju, by tam przejść przez cały ten horror i jego konsekwencje. Madeleine nie odmawiała jej pomocy, ale próbowała zasugerować, że powrót do Islandii może na dłuższą metę okazać się lepszym wyjściem, bo w ten sposób będzie mogła poradzić sobie z traumą w bardziej konkretny sposób i wyjdzie z niej szybciej, niż sobie wyobraża. Jednakże Emilia uważała, że jej świat legł w gruzach, więc po co miałyby tam wracać?

Madeleine uznała, że musi poświęcić Emilii nieco więcej czasu. Jej dramatyczna sytuacja naprawdę wymagała fachowego wsparcia. Wzięła prysznic, ubrała się i poszła do przychodni.

Sylvia siedziała przy biurku w pełnej gotowości.

- Dzień dobry, Sylvio.

Sylvia zmierzyła ją szklanym wzrokiem.

- Wyglądasz okropnie.

- Dzięki ci.

- Mam taką pobudzającą herbatkę ze sklepu ze zdrową żywnością. Zawiera korzeń żeńszenia, szalwię i...

- Dziękuję, nie. Czy może odzywała się Rachel Locklear i umówiła się na wizytę?

Sylvia zrobiła drwiącą minę.

- Ciągłe mnie o to pytasz, ale odpowiedź stale brzmi „nie”. Dlaczego sama do niej nie zatelefonujesz, skoro uważasz, że to takie ważne?

Madeleine bez słowa odwróciła się i ruszyła do swego gabinetu.

- Czekaj! - zawołała za nią Sylvia. - Przyszedł do ciebie jakiś list.

Madeleine zawróciła, odebrała od recepcjonistki grubą kopertę i ruszyła do siebie. W gabinecie rzuciła na stół torebkę i kurtkę, a następnie zerknęła na kopertę. Jej imię było przekreścone, a charakter pisma dziwny.

Zegar wskazywał ósmą pięćdziesiąt. Madeleine zaczęła się przygotowywać do spotkania z pacjentką. Powiesiła kurtkę na wieszaku i wrzuciła przesyłkę do torby, ale po sekundzie ją stamtąd wyciągnęła. Była nieduża i lekka, nie wyglądała na pismo urzędowe. Rozdarła kopertę i wysypała jej zawartość na blat. Zamrugła oczami. Miała przed sobą paszport. Nowiutki, sztywny. Jeszcze raz zerknęła na kopertę. Była zaadresowana do Madeliny Frank, ale brakowało kodu pocztowego. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Kartkując paszport, dostrzegła wklejone zdjęcie chłopca. Dzieciak miał ciemne kręcone włosy i poważną minę, ale w jego oczach można było dostrzec isierkę humoru. Spojrzała na nazwisko: Aleksander Anatolij Iwanienko.

Aleksander. Kim on jest, u diabła?

Nagle uprzytomniła sobie, że już kiedyś, na innym zdjęciu, widziała tę twarz. Te oczy, te delikatne rysy. Ależ tak! Teraz dopiero zauważyła znaczące podobieństwo... A poza tym Sasza to chyba zdrobnienie od „Aleksander”. Sasza, dziecko Rachel.

W jakim celu przysłano jej paszport Saszy, i to na dodatek na adres poradni? I bez wątpienia zrobił to ktoś, kto jej nie zna, bo przekreślił imię.

Poszła do recepcji, pokazała kopertę Sylvii.

- Czy wiesz cokolwiek na temat tej przesyłki? Ktoś może dzwonił do nas, pytając o paszport?

- Nie, ale zauważyłam tę „Madelinę”; bardzo zabawne. -Sylvia spojrzała na nią znad okularów. - Ubiegasz się o zmianę imienia?

Madeleine znowu przyjrzała się charakterowi pisma, a następnie mrugnęła do Sylvii i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

- Madelina to mój pseudonim sceniczny.

- Co takiego?

Madeleine pochylila się nad biurkiem.

- No wiesz, taniec brzucha. - Złożyła kopertę, spojrzała na zegarek. - Gdzie się podziewa Emilia Fredriksdottir?

Madeleine szła szybko London Road, a następnie skręciła w wąską uliczkę biegnącą w kierunku Fairfield Park. Było cholernie stromo, zardzewiała żelazna poręcz oddzielała chodnik od jezdni pełnej dziur w wyjeżdżonym asfalcie, spod którego wyzierały wiekowe kocie łby. Panował upał, zupełnie nietypowy jak na połowę maja, i choć minęła już szósta po południu, musiała zwolnić kroku, a nawet przystanąć parę razy, by trochę odpocząć. Wskutek podłej nawierzchni nadwreżyła sobie nogi w kostkach, a poza tym bez wątpienia straciła ostatnio formę. Niemal zarzuciła biegi wzdłuż kanału, ćwiczenia jogi i okazjonalne wygibasy we własnym patio. Miała jednak w sobie tę nerwową energię, która nie pozwalała jej usiedzieć bez ruchu. W ciągu paru minionych dni nie zaglądała do poradni i cały wolny czas spędzała w atelier. Ta obsesyjna potrzeba malowania była czymś więcej niż próbą oderwania się od rzeczywistości czy pozbycia się nadmiaru energii. To było coś, co ją nawiedziło, jakiś wyższy przymus, nakazujący dokończenie zaczętego obrazu. Była zadowolona, że tym razem użyła szybko schnącego akrylu zamiast tradycyjnych farb olejnych, bo to pozwoliło jej pokrywać płótno kolejnymi warstwami bez konieczności zbędnego czekania. O trzeciej nad ranem poprzedniej nocy ukończyła wreszcie *Ukrzyżowanie*. Przyznała w duchu, że był to bardzo złowieszczy obraz. Nawet ją zmar-twiło, że taka wizja wyskoczyła nieproszona z głębin jej pod-świadomości. Nic dziwnego, że biedna mama ciągle wspominała o mięsożernych mrówkach. Widocznie dostrzegła je w wyobraźni córki, a może wymogła na niej ich namalowanie, wydobywając je tym samym z jej udręczonych myśli?

Szła teraz szerszą ulicą, która ciągnęła się wzdłuż zbocza wzgórza. Minęła kilka sklepików. Skręciła na skrzyżowaniu w lewo i znowu ruszyła ostro pod górę. Zbliżając się do skrawka zieleni, stanęła, by sprawdzić topografię. Jeśli znajdowała się obok Fairfield Park, to oznacza, że jest już niedaleko. Po dziesięciu minutach odnalazła dom, do którego szła. Dobrze,

że Rachel na nowym formularzu pacjenta podała i adres, i numer swojej komórki. Jej dom znajdował się na końcu ulicy, tuż obok północnego krańca parku Faringdon. To miejsce z panoramicznym widokiem na całe Bath miało swój potencjał, ale budowla była zdecydowanie nieatrakcyjna - jeden z typowych bliźniaków z lat sześćdziesiątych, z garażem na parterze. Dom był bardzo zaniedbany, ze zniszczonych framug okien złaźiła farba, furtka wisiała na jednym zawiasie.

Pretekstem do tej wizyty był paszport. Leżał w szufladzie jej biurka już od trzech dni, ale nikt się po niego nie zgłosił czy choćby zatelefonował. Madeleine postanowiła więc, że odda go Rachel osobiście i spyta przy okazji, dlaczego został wysłany do niej. Liczyła, że potem nawiąże do przerwanej terapii. Ale tak naprawdę pragnęła zerknąć na Rachel i Saszę, by wreszcie rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Uchyliła zardzewiałą furtkę, podeszła do drzwi wejściowych, nacisnęła dzwonek. Przez panel z matowego szkła niewiele było widać, zaledwie zarysy małego przedpokoju i schody prowadzące na piętro. Garaż wydawał się zajmować cały parter.

Po jakiejś minucie znowu zadzwoniła, a kiedy już zamierzała odejść, usłyszała kroki na schodach. Rachel otworzyła drzwi na oścież. Na jej twarzy malował się strach i zaniepokojenie, lecz gdy ujrzała, kto składa jej wizytę, natychmiast oklapła. Odnosiła wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć.

- Ach, to ty! - wyjęczała.

Madeleine spostrzegła jej zdenerwowanie i zaczęła się zastanawiać, kogo się spodziewała. Rachel była zaniedbana, z włosami w nieładzie. Jej twarz nie nosiła już śladów pobicia, ale była bardzo blada.

- A myślałaś, że kto?

- Po co tu przyszedłaś? - rzuciła Rachel z napięciem w głosie.

Madeleine straciła rezon. Nie spodziewała się takiej aroganckiej reakcji. Było widać, że Rachel jest na skraju wytrzymałości. Może każdy dzwonek do drzwi oznacza dla niej jakąś groźbę. Na progu mógł stać choćby jej przyjaciel alfons, pragnący uprowadzić syna.

- Ach, nie zwracaj na mnie uwagi - odezwała się Rachel. -Czy to sprawa paszportu? Dlatego tu przyszedłeś?

Madeleine sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę. Podała ją Rachel.

- Dzięki Bogu. - Rachel przyglądała się jej przez chwilę, ale nie odebrała. - Proszę, Madeleine - rzekła w końcu, nie podnosząc wzroku. - Czy mogłabyś przechować go u siebie przez jakiś czas? Wiem, że proszę o wiele, ale wrzucić go do jakiejś szuflady, gdzie ci nie będzie zawadzało.

- Dobrze. - Madeleine wsunęła kopertę do torby. - Zechciałabyś mi to wyjaśnić?

- To skomplikowane. Jeśli nie chcesz mieć go u siebie, to w porządku. Nie będę miała o to żalu.

Madeleine czekała na dalsze tłumaczenie, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Czy mogę wejść na chwilę?

Rachel się zawahała, ale cofnęła się do przedpokoju. Najwyraźniej nie miała ochoty zaprosić jej na górę. Madeleine zrobiła krok do przodu, ale w niewielkiej przestrzeni sytuacja stawała się jeszcze bardziej kłopotliwa.

- Zaprzeszałaś terapii.

- Przepraszam - odparła Rachel. - Wiem, że jestem tchórzem, nie zawiadamiając cię o tym, ale nie dałam rady, to wszystko.

Madeleine przyjrzała się jej z uwagą.

- Z czym mianowicie nie dałaś sobie rady?

- No wiesz... z grzebaniem w przeszłości. - Zrobiła niechętną minę. - Posłuchaj, nic się nie zmieniło.

- Nie do końca się z tym zgodzę. Moim zdaniem dochodziłyśmy do czegoś. To wymaga potu, krwi i łez. - Próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa.

Rachel zareagowała wymuszonym śmiechem.

- Potu, łez i krwi wystarczy mi do końca życia. Po co mi więcej?

Miała rację. Rzeczywiście, po co? Jakkolwiek Madeleine wierzyła w skuteczność terapii, jakaś część jej umysłu dobrze rozumiała niechęć do grzebania się w starych śmie-

ciach i szukania powodów tego wszystkiego. Nieraz zastanawiała się, czy aby nie udaje przed sobą, że potrafi Rachel pomóc, zwłaszcza w obliczu podejrzeń, że już nic między nimi nie ułoży się poprawnie. Ona sama była targana zbyt wieloma sprzecznymi emocjami i wątpliwościami wobec pacjentki, której rzekomo miała służyć. Nawet gdyby jej podejrzania miały się okazać wytworem fantazji, z pewnością by nie pomogły.

- No dobrze, Rachel. Jest mi smutno, że rezygnujesz. Ale, jak sądzę, to mój własny problem. - Zrobiła mały krok do przodu, żeby położyć rękę na jej ramieniu. - A z tobą wszystko w porządku?

Rachel się cofnęła.

- Jakoś przeżyję.

Otworzyła drzwi, dając jej jasno do zrozumienia, że czas wizyty się skończył. Madeleine nie pozostawało nic innego jak odejść.

- Jeśli mimo wszystko chciałabyś porozmawiać, jeżeli uważasz, że to by ci pomogło, zawsze możesz zmienić zdanie. Wiele znosisz, praktycznie bez żadnego wsparcia. Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

- OK, OK, wezmę to pod uwagę. Dzięki. - Rachel z niepokojem w oczach wychyliła się przez próg, żeby sprawdzić, co się dzieje na ulicy. Następnie spojrzała na Madeleine, jakby chciała ją jeszcze o coś zapytać.

- Tak? - zachęciła ją Madeleine.

Rachel się zawahała, wreszcie pokręciła głową.

- Och, nic. Skontaktuję się z tobą w sprawie paszportu. Wkrótce. Obiecuję.

- Co byś chciała, żebym... Rachel już zatrzasnęła drzwi.

Madeleine podeszła do furki i zupełnie zbita z tropu zatrzymała się na chwilę. Nie wiedziała, dokąd pójść. Kierując się w prawo, do końca drogi, można było dojść do niedużego parku i dostać się na jego teren przez niską bramkę. Ruszyła w tamtą stronę. Początkowo myślała, że Rachel wysłała ten paszport na przechowanie, ale teraz okazało się, że zrobił to

ktoś inny, kto nawet nie potrafi poprawnie napisać jej imienia, a więc zapewne cudzoziemiec. Chciała zapytać Rachel, co to ma znaczyć, kim jest ta osoba, która wie, gdzie Madeleine pracuje. Nagle cały ten pomysł zdecydowanie się jej nie spodobał. Może lepiej zawrócić i wypytać Rachel. Albo wrzucić ten cholerny paszport do skrzynki pocztowej...

Nie zdecydowała się na żaden z tych kroków.

W parku był plac zabaw, teraz kompletnie opustoszały. Można było odnieść wrażenie, że ta połać zieleni służy głównie właścicielom psów. Trzy mieszańce goniły się w kółku, podczas gdy ich panowie bezskutecznie je wołali. Starsza kobieta z dwoma terierami west highland kręciła się nerwowo, zaplątana w ich smycze. Madeleine przycisnęła torbę do siebie i postanowiła przejść przez trawnik.

Na drugim krańcu parku minęła dwie schylone postacie, obserwujące coś zawzięcie na ziemi. Był to chłopiec w towarzystwie nastolatka. Podchodząc bliżej, Madeleine zorientowała się, że nastolatek to dziewczyna w wełnianej czapce na głowie, mimo panującego upału. Uśmiechnęła się na ten widok. W tej scenie było coś dobrze jej znanego. Przecież ona sama spędziła dzieciństwo zgięta w pół, śledząc mieszkańców na powierzchni ziemi.

- Sasza! - krzyknęła nagle dziewczyna. - Spójrz, jak późno się zrobiło. Pospiesz się! Mama gotuje ci makaron. Zrobi się z niego klajster.

Madeleine przystanęła. A więc to on. Z takim imieniem trudno go było pomylić z kim innym. Nie zareagował na wołania towarzyski, tkwił nieruchomo z twarzą przy ziemi.

- No chodź, Sasza, nie bądź taki uparty. One nie uciekną. Możemy tu wrócić i popatrzeć na nie później. Sasza...

- Wracaj, Magdaleno! - krzyczała mama przez okno. - One są niebezpieczne. Żyją tylko jeden dzień, bo zostały przeklęte.

Madeleine udawała, że nie słyszy. Matka opowiadała takie niestworzone historie. Schyliła się, żeby lepiej przypatrzeć się mrówkom ze skrzydłami, które umierały po wylądowaniu na

ziemi. Taki był ich los. Widziała już przedtem, co się z nimi działo: fruwały tylko przez kilka godzin, swobodne i szczęśliwe w powietrzu, a potem następował koniec. Obserwowała, jak walczą ze śmiercią, co nasunęło jej myśl, czy i ona będzie tak walczyć.

- Magdalena!

- Sasza, chodź. Jak nie pójdziesz, to zjem twój makaron. Chłopczyk wreszcie wstał, rozprostował plecy, uniósł głowę i przez sekundę popatrzył prosto w oczy Madeleine.

Dzwonienie do drzwi nie ustawało. Zeszła na dół i zauważyła, że ktoś wsuwa list przez szczelinę w progu. Podniosła kopertę, rozdarła ją. W środku znajdowała się kartka jakiegoś bardzo starego papieru, może pergaminu. Przy rozkładaniu zatrzęszczała i pękła na pół. Obie części ledwie się trzymały razem.

Droga Panno Frank,

nareszcie otrzymaliśmy wiadomości dotyczące Pani córki. Z żalem informujemy, że nie żyje. Zginęła w czasie fatalnej burzy. Mikaela zmarła, panno Frank. Z tego powodu nie nawiązałam z Panią kontaktu. Odeszła tak dawno temu... Jest teraz popiołem...

List rozpadł się jej w rękach, ponownie rozległ się dzwonek do drzwi. Pobiegła, żeby otworzyć. To musi być Mikaela. Przyszła tu, żeby powiedzieć, że to nieprawda. Z pewnością żyje.

Gdy nacisnęła kławkę, dopiero wówczas zorientowała się, że to dzwoni telefon. Usiadła oszołomiona i zerknęła na zegar. Była za dwadzieścia siódma. Nigdy nie telefonowano do niej o tej porze. Zdjęła słuchawkę z widełek i wychrypiała:

- Halo?

- Czy to panna Frank? - usłyszała energiczny głos.

- Tak, kto mówi?

- Mildred Ollenbach z Setton Hall. Madeleine spuściła nogi z łóżka.

- Wszystko w porządku? - zapytała, wiedząc, że to raczej niemożliwe.

- No, niezupełnie. Pani Frank nie odezwała się wczoraj ani

słowem, a dziś rano sprawia wrażenie katatoniczki. Nie reaguje na żadne bodźce zewnętrzne, nawet na ból. Doktor Jenkins obejrzał ją i doszedł do wniosku, że powinniśmy wezwać karetkę, chyba że pani chce się tu pojawić.

Madeleine zamarła, a chwilę potem ogarnęła ją panika.

- Czy możliwe, żeby to był wylew?

- Lekarz jest prawie pewien, że wylew nie wchodzi w grę. - Pani Ollenbach zawahała się. - On uważa... niemal z całą pewnością, że nastąpiło pogorszenie jej choroby psychicznej, takie są objawy.

Madeleine przyszło coś do głowy.

- Czy te symptomy nie są przypadkiem reakcją na nagle zwiększoną dawkę leków podawanych mamie? - zapytała oschłym tonem.

- To nie wchodzi w rachubę - odparła tamta stanowczo. - Jednakże doktor Jenkins zaleca terapię elektrowstrząsami, bo jak tak dalej pójdzie, pani mama przestanie jeść i pić. Zdołaliśmy ją położyć do łóżka, choć, zapewniam panią, nie było to łatwe.

- Proszę się wstrzymać ze wszystkim - poleciła Madeleine - póki nie przyjdę. Zaraz ruszam.

Wyskoczyła z łóżka, włożyła dzinsy i bluzkę tę samą co wczoraj. Chwytnąjąc w biegu torebkę i kluczyki od samochodu, wybiegła z domu. Korki poranne już się zaczęły, powietrze w kotlinie było gęste od spalin. Gdy po dziesięciu minutach Madeleine wyjechała z miasta, powietrze stało się czystsze. Słońce świeciło z podstępny czarem, czyniąc z miejscowych pejzaży cuda natury. Setton Hall było skąpane w świetle, a drzewa w ogrodzie pyszniły się głęboką zielenią.

Madeleine zajechała na parking dla gości i przez chwilę siedziała za kierownicą, by pozbierać myśli. Czy mama mogła wpłynąć na swój stan? Czy była zdolna do położenia kresu swemu życiu? Czy wpadła w taką rozpacz, że wołała raczej umrzeć, niż tkwić w tym obrzydłym domu starców w Bath, na zawsze oddzielona od krainy, w której przyszła na świat?

Wysiadła z samochodu na zalany słońcem parking.

* * *

Madeleine próbowała nadać temu pokojowi latynoski koloryt. Zawiesiła na ścianach kilka makat z bawełny w nasyconych barwach czerwieni, żółci, fioletu. Zasłona z meksykańskich koralików oddzielała część kuchenno-toaletową od malutkiego saloniku. Inny ekran skrywał ołtarzyk Rosarii i miejsce kultu Babalu-Aye. Gdzie on się teraz podziewa? -zastanawiała się Madeleine, spoglądając na nieruchomą postać leżącą na łóżku.

Mama leżała wyprostowana niczym ołowiany żołnierz. Jej dłonie były całkowicie nieruchome, a nie jak zazwyczaj w ciągłym ruchu. Sprawiała wrażenie odmienionej - zestarzała się i skurczyła. Jej sylwetka zajmowała dosłownie skrawek miejsca na szerokim łóżku. Stojąc w drzwiach, Madeleine nałożyła na ten obraz matki jej postać utrwaloną na fotografii ślubnej, którą miała u siebie w domu. Widać na niej młodą Rosarię, nieziemsko piękną, kruczowłosą, drobnej budowy, lecz dość pulchną. Śniada cera kontrastowała z oślepiającą bielą sukni ślubnej. Jak to się stało, że jest teraz taka? Madeleine uprzytomniła sobie, że każdego to czeka, łącznie z nią samą. Kiedy Rosaria umrze, Madeleine wzniesie się o oczko wyżej w wiecznym porządku rzeczy, stanie się następną w kolejności. Jednocześnie ktoś znajdzie się za nią, córka, przebywająca nie wiadomo gdzie, która wespnie się o jeden szczebel drabiny, a za nią ruszą następne pokolenia, wnuki i pewnie prawnuki.

Nagle przyszła jej do głowy myśl, od której poczuła zimny dreszcz trwogi. A może jej córka naprawdę umarła, więc ona zejdzie z tego świata bezpotomnie, nie będzie już następnych generacji. Nigdy o tym nie myślała. Nigdy! Odmawiała brania pod uwagę takiej możliwości. Z jakiegoś powodu w oczach stanęła jej postać Saszy, małego chłopca stojącego w trawie, zapatrzonego w nią. Oczami wyobraźni zobaczyła go jako wysokiego, przystojnego mężczyznę w sile wieku, stojącego w drzwiach z rozpaczą na twarzy, a samą siebie - jako zmęczoną życiem staruszkę na łożu śmierci. Ta wizja nią wstrząsnęła, bo w końcu dotyczyła nie tak odległej przyszłości.

- Bardzo proszę - odezwał się czyjś głos. - Może pani wejść.

Była to siedząca przy oknie pielęgniarka, pochłonięta lekturą podniszczonej książki w tanim wydaniu.

Madeleine zbliżyła się do łóżka. Rosaria ubrana była w pikowaną kataną, którą dostała na Boże Narodzenie. Miała starannie zaplecione włosy, upięte wokół głowy, tak jak lubiła, ale nie włożono jej sztucznej szczęki. Czy ten środek bezpieczeństwa był konieczny? Mama była próżna na punkcie swego wyglądu i nie znosiła pokazywać się bez zębów. Madeleine przysiadła na skraju łóżka, dotknęła ustami krzyżyka i ampułki z kośćmi przodków, a następnie nachyliła się, by objąć wąskie ramiona matki i pokryć pocałunkami jej czoło.

- *Despiertate, Mama. Estou aqui* - wyszeptała. - Mamo, jestem przy tobie.

- Ona nie odczuwa żadnego bólu - wyjaśniła pielęgniarka.

Madeleine odwróciła się w jej stronę.

- A skąd pani o tym wie? - spytała.

Przez chwilę pielęgniarka wpatrywała się w nią tępym wzrokiem.

- Chyba rzeczywiście nie wiem.

Szybko wstała ze swego miejsca i wyniosła się z pokoju, do którego zaraz potem wkroczył doktor Jenkins.

- Pani Frank, czy mamy zatelefonować po karetkę?

- Żeby podłączyć matkę do prądu i ugotować jej mózg? Nie, panie doktorze.

Podszedł do łóżka, położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę, Madeleine, czego jeszcze pani od nas oczekuje? Było to rozsądne pytanie i w zaistniałych okolicznościach

zupełnie uzasadnione. W podobnych przypadkach elektrowstrząsy okazywały się skuteczne, ale jednocześnie zabijały miliony komórek mózgowych. Madeleine rozpaczliwie szukała w myślach argumentu, żeby nie dopuścić do dalszego niszczenia matczynego mózgu.

- Czy nie możemy trochę poczekać? Może podłączycie ją do kroplówki na dzień lub dwa?

- Madeleine, to nie jest szpital - odparł Jenkins łagodnym tonem.

- Wiem, ale biorąc pod uwagę, że miesiąc w miesiąc otrzymujecie od mojego ojca znaczne sumy pieniędzy w zamian za opiekę nad nią, pewne ustępstwa są chyba dopuszczalne.

Była bliska łez, więc speszony tym lekarz poklepał ją po ramieniu.

- A co z tym doktorem, antropologiem, który rozmawiał z mamą? Chętnie zamieniłabym z nim słowo.

- Sprawdzę, czy pani Ollenbach ma jego numer telefonu. Pozwolę sobie jednak dodać, że nie wierzę w tego rodzaju „doktorów” - wyjaśnił Jenkins z lekkim poczuciem wyższości. - Madeleine, muszę biec, ale zastaniesz Mildred w jej gabinecie. Przemyśl to. Nie możemy zostawić twojej matki w takim stanie.

Kiedy wyszedł, Madeleine pochyliła się nad Rosarią, usiłując delikatnie opuścić jej powieki.

- Zamknij oczy, mamó, w przeciwnym razie zalepią ci je taśmą. Przecież tego nie chcesz. Może coś powiesz, żebym wiedziała, że jesteś tu ze mną? Proszę, *mamacita. Dime algo, cualquier cosita.* Gdzie jest Pedrote, kiedy tak bardzo go potrzebujemy?

Na wzmiankę o swoim *babalawo*, mentorze, Rosaria zatrzepotała rzęsami. Jej usta zaczęły się poruszać, próbowała wymówić jakieś słowa.

Madeleine jeszcze bardziej nachyliła się nad chorą.

- Co takiego, mamó?

Rosaria słabo odkaszlnęła, starając się pozbyć flegmy w gardle i usiłując coś wyjąkać.

- Weź dziecko i uciekaj - wykrztusiła z paniką w głosie. Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze do płuc. - Weź dziecko i uciekaj - powtórzyła.

Ręka Madeleine, głaszcząca matczyne policzki, zadrżała.

- Co przez to rozumiesz, mamó?

- Wywieź stąd dziecko. - Rosaria mówiła swoje, dla większej emfazy lekko uderzając w blat stolika.

- Jakie dziecko, mamó?

Nie było odpowiedzi, tylko trzepotanie rąk.

- Mamó, posłuchaj. Przypuszczam, że coś wyczułaś. Może

czytasz w moich myślach... ale ona nie jest moim dzieckiem.
-Madeleine zawahała się, po czym szepnęła: - A może jest, mamó? Jak to jest?

- Nie. - Rosaria potrząsnęła głową. - Dziecko - powtórzyła wyczerpana. Jej ręce powędrowały do szyi i chwyciły łańcuszek. - Weź to teraz. Załóż.

- Nie. Ty tego potrzebujesz.

- Nie, Magdaleno. *Ahora es tuyo*. Rób, co ci każe.

By ją uspokoić, Madeleine usłuchała. Rozpięła łańcuszek matki i zawiesiła sobie na szyi. Przycisnęła do ust stary krzyżyk zawierający ampulkę ze sproszkowanymi kośćmi. Gdyby kiedyś nie odrzuciła wierzeń, byłaby teraz santerą. Talizmany santer przechodzące z pokolenia na pokolenie dotykały teraz jej piersi i zgodnie z tym, co opowiadała matka, dadzą jej moc i uchronią przed siłami zła.

- Czy chcesz go pobłogosławić? - spytała matkę, przybliżając krzyżyk do jej warg. Rosaria wymamrotała tajemne słowa i zaraz potem głowa opadła jej na bok, a ręce przestały tańczyć w powietrzu. Odnosiło się wrażenie, że zasnęła. Przynajmniej ustąpiła katatoniczna sztywność członków.

Madeleine wstała z łóżka i podeszła do ołtarzyka. Znajdowały się tam przedmioty związane z wiarą Rosarii: muszle, święte kamienie, słoiczki z ziołami, które Madeleine sprowadzała za zamówieniem pocztowym z *botanica*, specjalistycznego sklepu w Key Largo. Połączany młotek leżał na haftowanej serwetce (nóż ofiarny został już dawno skonfiskowany przez panią Ollenbach). Uniosła młotek i pod spodem natrafiła na broszkę od Edmunda, przymocowaną taśmą do serwetki.

Wyjęła ją stamtąd i przez chwilę ważyła w dłoni, a następnie wsunęła do kieszeni. Wzięła pudełko zapalek, zapaliła świeczkę przed wyobrażeniem Babalu-Aye. Był surowym bóstwem, prawdziwym bogiem mężczyzn. Może nie lubił tych wszystkich drobiazgów i gładkich modlitw. Może nie spodobała mu się broszka na jego ołtarzu.

- Dbaj o moją matkę, ty łobuzie - wyszeptała. - Jest twoją najbardziej lojalną poddaną.

* * *

Dwie godziny później Madeleine zapukała do gabinetu pani Ollenbach.

- Proszę wejść - rozległ się głos. Administratorka siedziała za biurkiem, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Zsunęła okulary z nosa, by ponad nimi spojrzeć na Madeleine.

- Pani Ollenbach - zwróciła się Madeleine od progu - moja matka ma się o wiele, wiele lepiej. Właśnie ze mną rozmawiała. Jest przytomna. Napila się soku winogronowego i zjadła pół rozgniecionego banana. Otwiera i zamyka oczy, a kiedy ją zostawiłam, mocno spała. Nie widzę powodu, aby narażać ją na hospitalizację.

Pani Ollenbach nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej. Nietrudno było czytać w jej myślach. Córce Neville'a Franka - mimo że bez przerwy się beczelnie wtrąca - trzeba stale nadskakiwać, bo to wiąże się z przelewami bankowymi.

- Och, to świetnie.

- Wiem, że nie należymy do najłatwiejszych klientów - odparła Madeleine, odwzajemniając przesłodzony uśmiech - ale tym bardziej dziękuję za wspaniałą opiekę nad mamą.

- Och, pani Frank - krzyknęła pani Ollenbach, gdy Madeleine zamykała za sobą drzwi.

- Tak?

- Doktor Jenkins napomknął mi, że pani chciałaby porozmawiać z tym... no, z doktorem Alvarezem. Zadzwoiłam do niego, ale jego żona zakomunikowała mi, że jest poważnie chory i w żadnym razie nie będzie z nikim rozmawiał.

- Chory? - Madeleine się wzdrygnęła. Na co chory? - pomyślała, ale uznała, że lepiej o to nie pytać. Mama wspomniała, że chciał z niej wyciągnąć sekrety. O Boże...

- Dzięki, że pani próbowała. Wrócę tu wieczorem. Szybko wyszła na słońce, słowa matki tłukły się jej w głowie.

„Weź dziecko i uciekaj”.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Po ile są bilety? - zapytała Rachel.

Kasjerka wskazała na tablicę, ale gdy klientka zbyt długo wczytywała się w obłąkanie wysokie ceny, zaczęła wyliczać na głos:

- Jedenaście funtów dwadzieścia pięć dorośli, sześć funtów pięćdziesiąt dzieci. Lub odpowiednio trzynaście pięćdziesiąt i osiem, jeśli chce pani odwiedzić także Muzeum Kostiumów. - Nachyliła się nad ladą i sceptycznym okiem popatrzyła na Saszę. - Dzieci do lat pięciu wchodzi gratis.

- Dobrze - wymamrotała Rachel. - Daruję sobie Muzeum Kostiumów, poproszę jeden bilet dla dorosłego i jeden darmowy.

- Ja już nie mam pięciu lat - zapisał Sasza - tylko siedem.

Rachel uniosła oczy ku niebu, podczas gdy kasjerka spojrzała na nią z pretensją.

- W takim razie siedemnaście funtów siedemdziesiąt pięć pensów.

Rachel zapłaciła i chwytając Saszę za rękę, pomaszerowała do wejścia.

- Sasza, niekiedy najlepiej trzymać buzię na kłódkę.

- Ale to było kłamstwo, mamó.

- No tak, dzieciaku. To było kłamstwo.

W holu wręczono im słuchawki i magnetofony z nagrany tekstem. Jeden komplet dla dorosłego, jeden dla dziecka. Rachel od dawna chciała wziąć syna do Łazien Rzymskich. Dzieciakowi przypadło zwiedzanie muzeum z wycieczką szkolną, bo miał wtedy grypę. Jego koledzy ciągle opowiadali o tych cudach, a on czuł się wykluczony. Alfie i Dottie zabrali ją tam, kiedy miała dwanaście lat. Dottie wkrótce potem umarła. Tamta wizyta i jej zgon zrosły się w pamięci Rachel. Mama już wtedy była śmiertelnie chora. Była tak słaba, że zamiast chodzić, wołała usiąść w Sali Pomp, modnej herbaciarni od czasów króla Jerzego. Alfie oprowadził Rachel po łazienach. Dottie wierzyła w starą legendę, według której źródłana woda w Bath ma właściwości uzdrawiające - tak napisano w broszurze - ale kiedy do niej wrócili, szklanka z wodą stała przed nią nietknięta. Mama sprawiała wrażenie zasłuchanej w grę pianisty, siedziała z zamkniętymi oczami, ale w istocie przysnęła. To morfina tak działała, ale Dottie usiłowała trzymać głowę prosto, gdy zapadała w drzemkę i budziła się z niej na chwilę.

- Spoglądacie na dwa tysiące lat historii - rozległ się uwodzicielski głos, gdy Rachel nałożyła słuchawki i nacisnęła klawisz. Sasza był zafrapowany swoim audio przewodnikiem i stale cofał taśmę, żeby jeszcze raz posłuchać opowieści. W ten sposób wlekli się w żółtym tempie. Rachel starała się nie tracić cierpliwości. Tak naprawdę to mogłaby przeciągać tę wizytę w nieskończoność. Cóż lepszego miała do roboty z dzieckiem w niedzielne popołudnie? Dzieciak był ostatnio taki nerwowy, beczał bez powodu, a nocą moczył się w łóżku. Znowu zaczął mówić o psie, wypytując, dlaczego nie żyje. Wydawało się, że chce się dowiedzieć o sprawach, których nie powinien znać, i usłyszeć o tym, co nigdy nie padało w rozmowach między dorosłymi. Rachel nie potrafiła wymyślić jakiejś stosownej historyjki tłumaczącej, dlaczego pies odszedł na zawsze, a tym bardziej z jakiego powodu. Ona sama bardzo lubiła to głupie psisko. Przez jaki koszmar musiało tam przejść. Pewnie skopał go na śmierć ten potwór Uri albo zakatował Anton, żeby dać mu nauczkę.

Było późne popołudnie i w łaźniach panował tłok, pojawiło się mnóstwo turystów, w większości Amerykanów, sądząc po wymowie. Skąd oni czerpią energię, żeby tak dużo zwiedzać? Słysząc ich wszędzie. Ci to mają kasę. Jednakże Bath zaliczano do któregoś tam z cudów świata. Nic dziwnego, że tu zjeżdżają.

- Mamo, popatrz na to! - krzyknął Sasza, ciągnąc ją za rękę.

- Tak, kochanie, piękne.

Tłoczyli się w Sali Wielkiej Łaźni. Ogromny basen znajdował się pod gołym niebem, a z nieruchomej czarnej wody unosiła się para. Wokół stały postacie rzymskich dowódców wyrzeźbione w kamieniu i spoglądały z murów w dół. Ich lud kąpał się w tej wodzie i spacerował pod tymi kolumnadami. Wielkie bloki kamienia na posadzce były starte stopami Rzymian. Sasza ukląkł nad brzegiem basenu i włożył rękę do wody.

- Mamo, ona jest gorąca! - zawołał. - Prawie wrzątek.

Przysiadła obok i dotknęła dłonią powierzchni. Niewiarygodne. Gorąca woda wypływała z podziemi w samym środku miasta. Jakiś strażnik w mundurze klepnął ją w ramię i pouczył, że nie wolno zanurzać rąk. Kiedy na niego spojrzała, mrugnął i dodał:

- Każą mi tak mówić, na wypadek gdyby ktoś złapał jakieś zarazki czy coś w tym guście.

Dała się pociągnąć tłumowi, ciągle łapiąc Saszę za rękę, żeby go nie zgubić. Niechcący nadepnęła komuś na nogę.

- Przepraszam - wymamrotała.

- Może mi pani nastąpić i na drugą, jeśli ma pani ochotę - odezwał się do niej z uśmiechem młody mężczyzna.

Był przystojnym blondynem, bladym i schludnym z wyglądu. Poczula jedynie zażenowanie. Jej lata uwodzenia mężczyzn skończyły się nieodwołalnie, choć i teraz czasami potrafiła coś na nich wymóc, lekko trzepocząc rzęsami. Nigdy jednak nie patrzyła im prosto w oczy.

Ruszyła dalej, wlokąc się za Saszą od basenu do basenu, od wystawy do wystawy. We własnym wnętrzu czuła tylko lodo-

wate zimno. Najlepiej było nie myśleć o minionym tygodniu, a właściwie o paru ostatnich miesiącach. Może nie powinna była zrezygnować z wizyt u Madeleine. Nie, te rozmowy jeszcze bardziej wzniecały w niej gniew, wcale jej nie uspokajały. Tak zwana terapia jest po prostu farsą, w ogóle nie powinna była jej zaczynać. Potrzebuje tylko valium. Gdyby nie przysięgła sobie, że więcej nie sięgnie po dragi! Teraz jednak nie czas na folgowanie sobie. Wolą być trochę podcięta niż na haju, a zresztą musi działać. Dbać o bezpieczeństwo Saszy. To kluczowa sprawa.

Z tłumem turystów została w końcu wypchnięta na ulicę, przez cały czas mocno trzymając Saszę za rękę. Poszli w kierunku dziedzińca opactwa. Saszy zachciało się lodów, więc mu kupiła i oboje usiedli na murku. Sasza siorbał topiące się lody, Rachel zaciągała się kolejnym camelem, czując się tak, jakby za chwilę miała utonąć, a papieros był jej jedynym źródłem tlenu. To była ostatnia sztuka w paczce, którą kupiła rano. Najlepszy przykład dla dziecka. No cóż, Anton nie pali, może Sasza pod tym względem pójdzie w ślady ojca. Tylko co z niego za przykład dla syna. Madeleine użyła kiedyś takiego określenia. Wspomniała coś o wychowywaniu dzieci i o naturze. Dała wtedy do zrozumienia, jak to ona, w bardzo zakamuflowany sposób, że jeśli Rachel nie uwolni się od Antona, Sasza będzie dorastał, starając się naśladować jego zachowanie. Co za głupota. Zazgrzytała zębami, w jej oczach zaświeciły iskierki gniewu.

- Mamo, a co teraz będziemy robili?
- Na co tylko masz ochotę, Sasza. To twój dzień.
- Nie możesz czegoś wymyślić?
- Kochanie, mam pustkę w głowie.
- To chodźmy popływać statkiem. Na rzece.
- Jasne, to dobry pomysł. - Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, ale czemu nie?

Dostali się na ostatni rejs. Na statku było całkiem przyjemnie. Można było siedzieć plecami do jazdy i wsłuchiwać się w terkotanie silnika. Na brzegu rosły potężne drzewa i cza-

sami trzeba się było pochylić, żeby nie dostać gałęziami przewalającymi się tuż nad pokładem. Szyper, straszny gaduła, wszystkich rozśmieszał, nawet Rachel. Sprawiał wrażenie przemilego człowieka, toteż Sasza szybko ją opuścił, żeby się przesiaść bliżej niego, na rufę. Obaj od razu przypadli sobie do gustu.

Rachel obserwowała, jak Sasza bombarduje biedaka pytaniami i żartami własnego wymysłu. Nie zachowywał się tak w obecności Antona. Traktował ojca jak jakiegoś bohatera, zarazem obawiał się i lgnął do niego. Rachel aż skręcała się z niepokoju. Na szczęście Sasza nie widział się z Antonem od tamtej wycieczki, którą tak mocno przeżył. Rachel pragnęła, żeby ta przerwa w ich kontaktach była jak najdłuższa. Ilekroć Anton wyjeżdżał, liczyła w duchu, że nigdy już nie wróci.

Jednakże był ten paszport. Świadczył sam za siebie.

Statek zawrócił przy jacie na wysokości Bathampton i w drodze powrotnej trochę przyspieszył. Sasza gadał w najlepsze z nowym przyjacielem. Szyper zdjął swoją kapitańską czapkę i włożył mu na głowę. Dzieciak wyglądał tak rozkosznie, przytrzymując czapkę ręką w obawie, że wiatr zdmuchnie ją do wody. Nagle Rachel zapragnęła, by ta wycieczka trwała dużo dłużej, nawet cały dzień, siedzenie na ławce uspokajało. Uwolniła się od czarnych myśli, patrzyła na uszczęśliwionego syna na tle błękitnego nieba i zieleni, jak na ilustracji jakiejś sentymentalnej książki. Wkrótce jednak dotarli do mostu Pulteney i dobili do brzegu. Sasza miał zdaje się ochotę zatrzymać czapkę kapitańską, ale gdy szyper o nią poprosił, natychmiast mu oddał. Miał oczy pełne łez i nie chciał zejść na ląd, Rachel musiała go do tego przekonywać.

Z nawyku obawiała się wyjścia na zewnątrz. To trwało od niepamiętnych czasów. Dobre stare matczyisko było idiotycznie nadopiekuńcze, a lata spędzone z Antonem w pozbyciu się tego strachu z pewnością nie pomogły. Praca na ulicy też mocno się do tego przyczyniła. Ale choć wyjście na dwór było dla niej zawsze związane z jakąś traumą, tym razem z niewyjaśnionego powodu obawiała się również powrotu do domu.

* * *

Powinna była zaufać intuicji, którą rozwinęła w sobie w czasie lat spędzonych z Antonem. Gdy tylko włożyła klucz do zamka, natychmiast się zorientowała, że coś jest nie tak. Trzeba było chwycić Saszę, odwrócić się na pięcie i uciec. Tego jednak nie zrobiła. Przecież to ich dom, jej i Saszy, nie chciała dać się zmusić do ucieczki. Anton zjawił się tu, by spełnić swoje pogroźki, z paszportem Saszy lub bez niego. Musiał się zorientować, że dokument znikł, a - co gorsza - kto go wykradł. I - co już było najgorsze ze wszystkiego - że został wykradzony na prośbę Rachel. Jeśli Uri przykręcił śrubę, ta dziewczyna z pewnością wszystko wyśpiewała, to jasne. Dziewczyny z Europy Wschodniej wyglądają na twarde sztuki, ale bardzo łatwo je zastraszyć, a wtedy są kompletnie bezsilne.

Gdy tylko uchyliła drzwi, ujrzała bałagan panujący w domu. Na podłodze leżała zawartość jej szuflad, ubrania zrzucone na stertę. Nie miała zbyt wielu rzeczy, ale całe mieszkanie sprawiało wrażenie splądrowanego przez gang zawodowych włamywaczy. Anton z pewnością spędził tu sporo czasu. Siedział teraz na kanapie i z piwem w ręce oglądał film. Na ławie obok leżało z sześć pustych puszek. To nie był dobry znak. Alkohol wyzwalał w nim bestię.

- Hej, tato! - wykrzyknął Sasza. W jego głosie znać było przestach. Zdewastowane wnętrza oznaczało poważne problemy. - Byliśmy na wycieczce statkiem. Zostałem kapitanem.

- To miło, synu - odparł Anton, mierząc Rachel ostrym spojrzeniem.

- Czym sobie na to zasłużyłam? - spytała, wskazując ręką wokół siebie.

- Och, tylko czegoś szukałem - odpowiedział, nie spuszczając z niej oczu.

- Ach tak? Na przykład czego? Kasy? Nie trzymam gotówki w domu. Przynajmniej od ostatniego razu. - Popatrzyła na niego z obrzydzeniem. - Jestem samotną matką na zasiłku, staram się utrzymać syna. Cóż taki międzynarodowy biznesmen jak ty sobie myśli, przewracając moje rzeczy...

- Rachel, dosyć.

- Czy ci nie wystarczała forsa, którą w ciągu tych lat zarabiałeś na mnie?

Odwróciła się do niego plecami, zamierzając pójść do kuchni. Lepiej, żeby nie patrzył jej w oczy. Zbyt wiele potrafi w nich wyczytać. Jeśli wspomni o paszporcie, czy potrafi go oszukać, być w tym przekonywająca?

Zgasił telewizor, wstał i ruszył za nią. Chwycił torbę, którą po przyjściu gdzieś rzuciła, i wysypał jej zawartość na stół kuchenny. Mozolnie grzebał w jej rzeczach. Kiedy nie znalazł tego, czego szukał, złapał ją za ramię.

- Kto to jest Madelina?

- Madelina? - Przez chwilę naprawdę nie wiedziała, o kogo mu chodzi.
- Nie mam pojęcia.

- A powinnaś. Takie imię podałaś Tatianie. Wiesz, o czym teraz mówię, prawda?

Potrząsnęła głową, choć wiedziała, że gra się skończyła. Biedna dziewczyna nie wytrzymała przesłuchania, nie potrafiła dochować sekretu.

Chwycił ją za włosy.

- Ukradłaś coś, co należy do mnie. Roześmiała się. Zdzielił ją w twarz. Wściekłość, jaka ją ogarnęła, zamaskowała strach.

- Ty skurwysynie. Chcesz mnie pobić na oczach syna? On jest już zbyt duży, by patrzeć na coś takiego.

Anton uniósł rękę, ale na odgłos ogłuszającego hałasu oboje zastygli. To ryczał telewizor, nastawiony na maksimum skali dźwięku. Jednocześnie Sasza zaczął śpiewać głośnym dyszkantem jakąś piosenkę, której Rachel nie potrafiła rozpoznać. Skutek był wstrząsający. Nawet Anton był kompletnie zbity z tropu.

- No dobrze, do cholery. - Ujął ją za ramiona i podniósł głos, starając się przekrzyczeć niewiarygodny zgiełk. - Zrobimy tak. Ty, ja i Sasza pojedziemy na jakiś czas do Warszawy. Mam tam dla nas całkiem fajne miejsce. To potrwa kilka miesięcy, żeby w Londynie się uspokoiło. - Nachylił się nad nią i odgarnął jej kosmyk włosów znad ucha. Dotykając opuszkami palców jej zranionych małżowin, szepnął:

- Nie chcę się rozstawać na długo z moim synem. On już nie jest dzidziusiem, powinien przebywać pod opieką ojca. Jeśli nie chcesz pojechać - tu Anton zrobił smętną minę - to trudno, ale Saszę biorę ze sobą. Jak ci już zakomunikowałem w Tenby, pragnę być z moją rodziną. Ty mi ciągle powtarzasz, że z nami koniec, ale wiem, że pojedziesz, bo chcesz być z synem, prawda?

Rachel odsunęła się. Jej gniew gdzieś się ulotnił, z oczu popłynęły łzy.

- Sasza! - krzyknął Anton - zgaś ten telewizor, i to już! My tu z mamą rozmawiamy. Nie bijemy się, tylko gadamy, Sasza... No, chłopaku.

Oboje stali przez kilka sekund, wpatrując się w siebie. Wreszcie Rachel wyrwała się Antonowi i pobiegła do saloniku. Sasza siedział na sofie z zaciśniętymi powiekami, z uszami zasłoniętymi dłońmi i śpiewał na cały głos. Rachel wyłączyła pilotem telewizor.

- Sasza, kochanie, wszystko w porządku - rzekła, padając przed nim na kolana i mocno go obejmując. - Nie kłóćmy się. Nie pamiętasz, jak tata przyrzekł, że nie będzie się już awanturował? On naprawdę tego chce... prawda, Anton? - krzyknęła w stronę kuchni.

Anton wszedł do pokoju, siadł obok nich na sofie. Po chwili milczenia odezwał się do syna:

- Sasza, pora spać, co? Byłeś poza domem przez cały dzień. Pewnie jesteś bardzo zmęczony.

Rachel rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- On jeszcze nie jadł kolacji. Sasza zerwał się na równe nogi.

- Nie jestem głodny! - krzyknął i pobiegł do swojego pokoju. Trzasnęły drzwi.

- A więc uważasz, że jesteś dla tego dziecka dobrym, troskliwym ojcem, tak? - rzuciła Rachel, idąc w kierunku schodów. - On się ciebie strasznie boi.

- Gdzie ten pierdolony paszport? - Anton wstał i ruszył za nią. - Chodź tu, Rachel. Nie odchodź, gdy do ciebie mówię. - Złapał ją za oba nadgarstki, zawlókł na sofę, rzucił na siedze-

nie. Stojąc nad nią, ścisnął udami jej nogi. - A teraz mów spokojnie i odpowiedz, kim jest ta Madelina. Ta głupia dziwka Uriego wysłała paszport, jak jej kazałaś, a potem wyrzuciła kartkę z adresem. Zanim się stąd wyniosę, zadzwonisz do tej kobiety i powiesz, żeby przyniosła tu paszport, albo pojedziemy do niej samochodem - z Saszą - żeby go odebrać.

- Coś zrobił tej dziewczynie do spółki z tym potworem, twoim bratem?

- Już ty się o to nie martw.

Spojrzała na niego nienawistnym wzrokiem.

- A więc żyje?

Anton zaśmiał się w okrutny sposób.

- Uri nie jest głupi. Ta dziwka przynosi memu bratu fortunę. Teraz tyra jeszcze bardziej, bo za karę.

- Boże, dopomóż jej - wyjęczała Rachel. Brzuch ją rozboleł na myśl, co ta nieszczęsna kobieta musi teraz znosić. - A kto zamordował psa?

Anton jeszcze mocniej ścisnął jej nogi udami. Rachel zmieniła się na twarzy z bólu.

- Kiedy tam dojedziemy, kupię dzieciakowi całe pierdolone zoo. No, gdzie masz paszport?

- Dobrze, powiem ci - odparła Rachel, gorączkowo rozmyślając nad wyborem odpowiedniej strategii. - Madelina jest moją koleżanką. Kiedy odebrała paszport przysłany jej pocztą, dostała ataku szału. Była zła jak cholera i powiedziała mi, żebym odebrała sobie ten paszport i więcej się u niej nie pokazywała. Nie chciała być w to wmieszana. Widzisz, ona zna takie typy jak ty. Sama miała podobnego, taką samą swołocz jak ty i twój brat. Jak tylko odebrałam od niej paszport, od razu spaliłam go w śmietniku w sąsiednim parku. Jak chcesz, to pokażę ci gdzie. To tylko dwie minuty stąd spacerem.

Anton z całą siłą wbił się kolanami w jej uda i chwycił ją za włosy.

- Rachel, gadasz głupoty. Mogę tu stać tak długo, aż ci nogi odpadną.

Dostrzegła wyraźny wznódek w jego kroczu. Anton lubił takie gry, kiedyś i ona nie cofała się przed nimi. W dawnych

czasach jego podniecenie udzielało się jej i wówczas lubiła odrobinę bólu, jaki jej zadawał w trakcie seksu. Teraz czuła do niego tylko palącą nienawiść. Zaśmiał się.

- Nie ma mowy - orzekł. - Nie dostanę się między twoje zęby. Przykro mi, mała.

- Wal się.

Zrobił groźną minę.

- Słuchaj, Rachel, tak czy inaczej, dziś wieczorem zabieram Saszę i jeśli będziesz próbowała mi przeszkodzić, zwali się tu Uri z całą swoją ferajną. A wtedy gorzko tego pożałujesz. Mniejsza o paszport, nigdy więcej nie ujrysz Saszy, więc raczej pójdź na górę, spakuj się do dwóch toreb, do jednej włóż swoje rzeczy, do drugiej - dzieciaka. Chcę, żebyś z nami pojechała. Sasza naprawdę cię potrzebuje.

Puścił jej włosy i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął jej paszport. Użyła go tylko raz, gdy pojechała do Amsterdamu.

- Mała, ty i ja mamy paszporty. Teraz musimy wystarać się o nowy dla Saszy. Niestety. Rachel, co o tym sądzisz?

Odniosła wrażenie, że uwierzył w tę historyjkę z paszportem. Bez dokumentu byłoby trudno wyjechać z kraju. I gdzie, do cholery, leży ta Warszawa? Nie potrafiła logicznie myśleć! Anton nieraz wspominał o tym mieście w związku ze swoimi interesami, ale przedtem nie zwracała na to uwagi.

- Puść mnie - wyjęczała. - Porozmawiajmy na spokojnie.

- Nie, ty będziesz mówić - odparł. - Jedziesz czy zostajesz?

Tym razem nie było żadnych wątpliwości. Postanowił wziąć Saszę ze sobą. Jedynym wyjściem była zgoda na jego propozycję.

- Zrobię, co każesz. Pojadę wszędzie tam, gdzie weźmiesz Saszę... nie możesz mnie z nim rozdzielić, nawet gdybyś chciał.

Anton uśmiechnął się i trochę poluzował uścisk.

- Dobra dziewczynka. Jedziemy teraz do domu Uriego, tam zostaniemy. Uri może załatwić nowy paszport dla Saszy' ale to dużo kosztuje i zabiera sporo czasu. Poczekamy u niego!

Jednakże ostrzegam: Uri jest na ciebie wkurwiony. Myślę, że da ci porządną lekcję. - Zaśmiał się, potrząsając głową. - Mój młodszy brat tłumaczy mi, jak mam postępować z moją kobietą. Śmieszne, nie?

Poczuła w sobie lodowaty prąd.

- Kategorycznie odmawiam pojechania do twego brata. I nie waż się zabierać tam Saszy. Słyszysz?

- Rachel, musimy się tam zatrzymać. Nie masz wyboru, chyba że odnajdziesz paszport dzieciaka.

- Posłuchaj. Wcale nie musimy. Możemy dostać absolutnie legalny paszport dla Saszy. To nie zajmie wiele czasu.

- Mowy nie ma, mała. Zabieramy się do Uriego. - Spojrzał na nią, w jego oczach pojawiło się coś, czego nie umiała określić. Coś zupełnie nowego. To ją przeraziło.

Kiwnęła głową.

- Tak, pojedziemy do Uriego.

Długo na siebie patrzyli, aż on odwrócił wzrok. To tylko potwierdziło jej najgorsze obawy. Nagle ją puścił i pobiegł w stronę kuchni. Kotłował się w niej strach, wściekłość, odraza i nienawiść.

- Ty się spakujesz, a ja wezmę sobie drinka, dobrze? - rzucił przez ramię. - Zauważyłem na półce butelkę szkockiej.

W głowie jej wirowało. Kątem oka dostrzegła bałagan na starym stoliku ojca - mnóstwo zgniecionych puszek po piwie i odrażająca popielniczka z rżniętego szkła kupiona w sklepiku z używanymi rzeczami, po brzegi wypełniona jej własnymi cuchnącymi petami. Przypomniała sobie, ile się nakłęła, taszcząc ją do domu. Była tak ciężka, że rączki od plastikowej reklamówki wpiły się jej głęboko w palce.

Przez moment wpatrywała się w popielniczkę, a następnie zerwała się z sofy i chwyciła ją obiema rękami. Anton nadal stał w półobrocie, gdy z całej siły cisnęła ją mu w głowę. Choć działała błyskawicznie, widziała całą tę scenę jak na zwolnionym filmie. Zaskoczyła ją własna siła i trafienie prosto w cel.

Smuga popiołu i niedopałków jakby zawisała w powietrzu, gdy Anton gapił się na Rachel w osłupieniu. Zdawał się

być ogłuszony uderzeniem, ale ruszył na nią z ręką zaciśniętą w pięść. Zrobiła szybki unik i cios wylądował na jej ramieniu.

Anton kilkakrotnie potrząsnął głową, jakby chcąc oprzytomnieć, prawą dłoń instynktownie zbliżył do rany na skroni, z której leciała struga krwi. Podniosła popielniczkę i zaatakowała go znowu. Ogarnęła ją zimna determinacja, o którą nigdy siebie nie podejrzewała. Przez ułamek sekundy Anton patrzył na nią z niedowierzaniem i zgrozą. Mógłby jeszcze pojąć jeden cios - Rachel atakowała go fizycznie nie raz - ale teraz było zupełnie inaczej. Musiał wyczytać w jej oczach prawdziwy zamiar. Już się go nie obawiała, nie cofała przed niczym. Była gotowa do następnego uderzenia.

Jedną ręką błyskawicznie zasłonił twarz, a drugą usiłował ją powstrzymać, za późno, bo ostra krawędź popielniczki rozorała mu czoło i zmiażdżyła nos. Wydał z siebie przeraźliwy wrzask, padając na podłogę. Krew zalała mu całą twarz. Rachel tymczasem siadła na nim okrakiem i tak długo waliła go popielniczką w usta, aż powybijiała mu zęby, kruche niczym porcelana.

Przez kilka sekund Anton usiłował ją powstrzymać, chwyciwszy za nadgarstki. Błyskawicznie się wyzwoliła ze słabnącego uścisku i znowu wyrznęła go popielniczką w czoło. Z jego czaszki wydobywał się dziwny dźwięk - jakby ktoś rąbał siekierą mokre drewno. Ciało pod nią wygięło się w łuk, a zaraz potem zaczęły nim wstrząsać drgawki.

Może to oznacza, że umiera. Nie była tego pewna. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: było za późno na jakikolwiek odwrót. Patrzyła w bok, gdy jej ręce ciągle wykonywały ten sam ruch - uderzały brzegiem popielniczki w jego zmasakrowaną twarz.

Podczas całego tego wydarzenia nie słychać było Saszy. Rachel nie śmiała w takim stanie pojawić się na górze. Była zbryzgana krwią i fragmentami zmiażdżonej tkanki, rozchełstana, na granicy hysterii, ciężko dyszała. Nie potrafiła zebrać myśli, jedynie ciągle powtarzała sobie w duchu, że w jakiś sposób musi się pozbyć ciała, zanim Sasza zejdzie na dół. Drżała jak w febrze, ale nadal miała niemal nadludzką siłę.

Słyszała gdzieś, że ludzie w obliczu krańcowego niebezpieczeństwa dysponują taką mocą: kobiety podnoszą samochód, by wyciągnąć spod kół swoje dziecko, albo wyciągają nieprzytomnych z pożaru.

Będzie musiała dokonać czegoś podobnego, zanim siły już ją opuszczą, a ich miejsce zajmie przerażenie. Spojrzała na ciało Antona. Było ogromne, ale odeszła z niego twardość, wyglądało na podłódze jak nasączona gąbka. Odwracając wzrok, przeszukała kieszenie jego spodni. Natrafiła na dwa paszporty i portfel. Kluczyki od samochodu leżały na stole. Jak zwykle Anton miał na sobie drogie włoskie buty. Ściągnęła je, oparła jego stopy na swoich ramionach i pociągnęła go do tyłu. Spuszczanie go po schodach było dość łatwe. Głowa podskakiwała na każdym stopniu niczym piłka na sznurku. W ten sam sposób kilka tygodni temu Anton spychał ją z tych schodów, by na dole zgwałcić. Sceny z tamtego wieczoru wzmogły w niej energię. To było lepsze niż myślenie o tym, co właśnie robi - taszczy zwłoki faceta, którego niegdyś kochała, który był ojcem jej syna. Przed chwilą był żywy, jego serce pulsowało, w ciele krążyła krew, teraz był martwy, stygnał, sztywniał. Jakie to było łatwe, jakie szybkie, prawie bez udziału świadomości. Rachel często rozważała w duchu, że go zabije, ale nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedyś wreszcie coś w niej ostatecznie pęknie, że schwyci pierwszy z brzegu przedmiot i zatłucze go nim na śmierć.

Na małym podeście na parterze musiała go obrócić, a wtedy jego pięta wyrznęła w kwadrat z matowego szkła w drzwiach wejściowych. Pojawiła się wielka rysa, ale szkło się nie rozpląnęło. Ciężko dysząc, zaczęła mocować się z drzwiami do garażu. Były stale zamknięte na kłódkę, kluczyk nie chciał się obrócić. Jakoś zdołała się z nim uporać, mocno pchnęła drzwi, następnie chwyciła Antona za nadgarstki i pociągnęła za sobą. Siły zaczęły ją opuszczać, poczuła mdłości. Mimo to ściągnęła zwłoki po trzech schodkach na betonową wylewkę. Zostawiła je tam, zamknęła drzwi na kłódkę i pobiegła do kuchni. Pochyliła się nad zlewem i długo wymiotowała.

* * *

Musiała pozbyć się ubrania i wszystkich innych rzeczy zbryzganych krwią. Podłoga była nią zalana. Nie potrafiła zdecydować, do czego się wziąć w pierwszej kolejności. Ściągnęła z siebie podkoszulek i szorty, zwinęła je w kłębek i wrzuciła do kosza na śmieci. W samej bieliźnie wyjęła z szafki wiadro i mopa. Z zapamiętaniem szorowała podłogę, kałuża krwi zaczęła spływać strumykami po stopniach w dół. Dzięki Bogu, że Sasza śpi. Musiał być strasznie zmęczony po całym dniu spędzonym na słońcu.

Na palcach wspięła się po schodach. Ponieważ nie miała kabiny prysznicowej, siadła w wannie, polewając się wiaderkiem. Nie miała czasu, żeby wyszorować skórę do czysta, toteż uklękła i podstawiła głowę pod strumień wody z kranu! Gdy dotknęła obolałych miejsc, znowu ogarnęła ją wściekłość. Tak, jest chora ze złości - nie żałuje swego czynu, nie czuje się winna. Anton katował ją zbyt wiele razy. Sam to sprowokował. Całe lata przemocy i wyzysku doprowadziły ją do tego. Przemknęło jej przez myśl, czy sędzia będzie podobnego zdania. Z trudem! Zwłaszcza gdy ujrzy, w jakim stanie są zwłoki.

Włożyła dzinsy i ciepły sweter. Mimo upału panującego w domu wstrząsały nią dreszcze. Gdy otworzyła drzwi do pokoju Saszy, dostrzegła, że dzieciak śpi w ubraniu na zaścielonym łóżku. Ostrożnie zdjęła mu sandały i uchyliła okno. Sasza był rozpalony, miał czerwoną i wilgotną twarzyczkę, a gałki oczne gwałtownie się poruszały pod zamkniętymi powiekami.

Została na górze, chodząc tam i z powrotem po swojej sypialni. Bała się zejść na dół i patrzeć na pobojuwisko. Wkrótce jednak nie wytrzymała beczynności. Jest tyle do zrobienia, musi sobie z tym poradzić. Zeszła na dół, otworzyła drzwi wejściowe i rozejrzała się po ulicy, szukając wzrokiem samochodu Antona. Nigdzie go jednak nie dostrzegła. Jasne, był na to za sprytny. Gdyby zaparkował przed domem, to Rachel, widząc samochód, zawróciłaby i uciekła z Saszą. No cóż, uciekałaby pewnie po raz ostatni. Zaparkował zapewne na którejś z bocznych ulic, nie warto teraz się tym przejmować. Zerknęła na dom Toma Bainsburrowa. Stary lubił gapić się w telewizję

nawet grubo po północy. Zauważyła w jednym z jego okien błyski niebieskawej poświaty. W jego saloniku nie paliło się światło.

Zamarła na chwilę przy drzwiach. Czy jest jakieś inne wyjście? Ciągle mogła zatelefonować na policję. Teraz albo nigdy. Zdawała sobie sprawę, że jej awersja do glin bierze się z jej własnych doświadczeń, ale normalnym ludziom policja przychodzi niekiedy z pomocą. I wtedy stanął jej w oczach widok zmasakrowanego ciała: roztrzaskana czaszka, krater wypełniony krwią w miejscu twarzy. Jakaż normalna kobieta dokonałaby takiej rzezi? Argument o obronie własnej zabrzmiałby jak zły żart. Na pewno by ją aresztowano, a Saszę gdzieś umieszczono. Nie, tylko nie to. Takie wyjście nie wchodziło w rachubę. W każdym razie nie teraz. Jednak nikomu morderstwo nie uchodzi na sucho, to tylko kwestia czasu. Anton nie żyje, ale ona nie odzyskała wolności, przeciwnie, jej wolność będzie trwała bardzo krótko. Chyba że jest jakiś sposób...

Wzięła szczotkę i wiadro z wrzątkiem zmieszonym z wybielaczem i wróciła do zmywania podłogi w saloniku, taniej imitacji laminowanego drewna. Położył ją jeszcze Alfie na wyraźne życzenie Dottie. Rachel rozglądała się za niedopałkami zbryzganymi krwią. W pokoju było niewiele wartościowych mebli. Poddała je drobiazgowej inspekcji, wycierając wszelkie ślady krwi. Sofę ze skaju wielokrotnie zmyła szmatką zmoczoną w wybielaczu. Sprzątała bez wytchnienia, uznawszy, że to najlepszy sposób na spędzenie nocy. Zmyła ściany, kominek, framugi drzwi, schody. Oglądała takie sceny w telewizji. Ci policyjni technicy potrafią wszędzie doszukać się nawet śladowych ilości krwi.

Świtało, kiedy znowu pomyślała o zwłokach. Powinna je gdzieś lepiej ukryć, przynajmniej do czasu, gdy się ich pozbędzie. Niemal wybuchała śmiechem, wyobrażając sobie, jak je gdzieś wyrzuci. W jaki, do cholery, sposób mogłaby to zrobić? Jednakże w miarę upływu czasu coraz mniej myślała o zatelefonowaniu na policję, bo coraz bardziej bała się skutków takiej decyzji. Wkrótce ciało złożone w garażu zostanie wykryte, a dlaczego i w jaki sposób, obawiała się nawet pomyśleć. To

na pewno będzie miało wiele wspólnego z upałem. Przypomniała sobie słowo „rozkład” i smród, jaki towarzyszy temu procesowi. A może Anton powiedział Uriemu, gdzie Rachel mieszka (czy nie ostrzegł jej, że ze swoją ferajną zrobi z nią porządek?). Może trzeba wziąć Saszę i uciec jak najszybciej, ale dokąd? Zaledwie kilka godzin przedtem przyrzekła sobie, że nigdy stąd nie ucieknie. To był dom Saszy.

Przemogła się w sobie i zeszła do garażu. Odwracając głowę, przystanąła nad zwłokami. Panował tu straszny bałagan. Może mogłaby je czymś przykryć - stosem wiekowych rupieci, pudeł, drabin, stołów do cięcia tapet, puszkami farb, tackami malarskimi, wiadrami i starymi kocami. Dziwne, że Anton w poszukiwaniu paszportu nie przekopał garażu. Może nie zorientował się, że w domu był garaż i że należał do niej.

W rogu stała rolka grubego plastiku, w który opakowany był materac kupiony niedawno dla Saszy. Nie wyrzuciła go na wypadek, gdyby obie z Charlene zabrały się do malowania saloniku; wtedy miała nim przykryć sofę. Przyjrzała się rolce i wtedy przypomniała sobie, że w którymś z pudeł zauważyła ostatnio mocną taśmę klejącą. Utkwiło to jej w głowie, bo na wieku pudła było wypisane pomarańczowym flamastrem: „Natychniastowa wywózka odpadków, firma Richie i Rosie”. Wszędzie panowała cisza, jeśli nie liczyć jej mocno bijącego serca i wody kapiącej z jakiejś rury.

- Richie i Rosie - mruknęła półgłosem. - Gdzie ja, do cholery, was widziałam?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Madeleine miała nieprzyjemne poczucie wykorzystywania swoich pacjentów, ale w ciągu minionego tygodnia praca stanowiła dla niej ucieczkę. I choć potrzebowała problemów innych ludzi, żeby oddalić się od własnych, to ich utyskiwania jednocześnie ją męczyły. Znała ten rodzaj wypalenia, jaki w niej nastąpił, i zdawała sobie sprawę, że powinna wziąć urlop lub w ogóle rzucić swój zawód. Ten pomysł nurtował ją od dłuższego czasu. Tęsknota za krajem rodzinnym stawała się coraz większa, ale usiłowała stłumić te emocje. Boże wszechmogący, taka decyzja ją przerastała. I co zrobić z Rosarią?

Peter, kolega Gordona, zadzwonił do poradni, proponując jej wspólny weekend i lunch na wsi. Próbując nadać swemu życiu choćby pozory normalności, Madeleine przyjęła zaproszenie. Spędzili razem miłe chwile. Peter okazał się bardzo sympatycznym mężczyzną - szczerym, troskliwym, skromnym... i godnym zaufania. W jej życiu z pewnością byłoby miejsce na nowy związek z kimś przyzwoitym i zwyczajnym, choćby po to, by uwolnić się od wszystkich koszmarnych przeżyć, ale czy byłoby to uczciwe wobec tego biedaka? Patrząc na jego sympatyczną twarz, Madeleine przypomniała sobie o Edmundzie Furie i jego podstępnych agentach. Nowy przyjaciel nie miałby pojęcia, w co się pcha. Wysłannicy mordercy mogliby go wysledzić i odciąć mu penis, podczas gdy oszalała kubańska wiedźma ukatrupiłaby tropikalną rybkę

i oddała w ofierze pogańskiemu bogu, by ten ukarał go syfilisem. A ona sama też nie była zbyt rozrywkowa ze swoim malarstwem i hyzjem na punkcie mrówek. Kiedy Peter zaproponował następną randkę, zbyła go pożałowania godnym: „Zadzwoń do ciebie”.

Jej grono przyjaciółek kurczyło się coraz bardziej, coraz rzadziej któraś telefonowała, żeby wybrały się gdzieś zabawić. Nie odczuwała z tego powodu szczególnej straty, choć brakowało jej biegania wzdłuż kanału w towarzystwie Patricii, obecnie uszczęśliwionej przyjściem na świat pierwszego wnuka. Neville, który normalnie rzadko się z nią kontaktował, teraz dzwonił niemal codziennie, by narzekać, jęczeć lub wściekać się na odejście żony. Elizabeth odezwała się do niej w niedzielę, zapowiadając swój przyjazd do Bath i wspólny lunch. Eks macocha zaprosiła ją do restauracji Pump Room, gdzie wydała fortunę na wino, ale szybko okazało się, że chodziło jej o darmową poradę i zmuszenie pasierbicy do odegrania roli pośrednika między byłymi małżonkami. Czy Madeleine mogłaby przekonać ojca, żeby dał Elizabeth nieco więcej pieniędzy, niż się upominała? Poczując się dużo pewniej jako kobieta wolna, a zapewne i za radą jakiegoś prawnika, postanowiła walczyć o połowę całego majątku eksmęża. Zdumiewające, że liczyła na poparcie ze strony Madeleine. Rzeczywiście, kobieta nie z tej ziemi. Madeleine nie zamierzała jej poprzeć w żadnym wypadku. Całą swoją energię emocjonalną zarezerwowała dla pacjentów. Była do tego zobowiązana.

W przerwie między sesjami usłyszała ciche pukanie do drzwi. W szparze ukazała się twarz Johna z przekrzywionymi okularami.

- Mogę?

- Jasne, John. Wejdz.

Ciężko opadł na fotel dla pacjentów. Madeleine przypatrywała mu się z troską. John miał zmierzwiłone włosy, brudne smugi na okularach. W ciągu ostatnich paru tygodni przyjął zaledwie kilku pacjentów, więc niemal go nie widywała.

- Johnny, wyglądasz, jakby cię przepuszczono przez wyżymaczkę. Jak się ma biedny Angus?

- Porusza się z największym trudem. Lekarze przebąkują o operacji.

- O operacji? - Nigdy nie widziała Johna w takim stanie. Był błądy i przemęczony. Skarciła się w myślach, że nie dostrzegła jego kłopotów. - Jakie są szanse?

- Słabe, Madeleine. Czy uwierzysz, że przysłano do nas faceta, żeby porozmawiał z nami o wózku inwalidzkim, i to na długi czas? Masz pojęcie, te urządzenia są obecnie fenomenalne. Mogą podetrzeć ci tyłek i poczytać bajeczki na dobranoc.

- O Boże, John, tak mi przykro.

John jeszcze bardziej zagłębił się w fotelu.

- To kwestia dysku. Praktycznie rozpadł się na kawałki. Spojrzała na niego uważnie.

- Co to oznacza dla ciebie... w przyszłości? Wzruszył ramionami i popatrzył jej prosto w oczy.

- Kocham tego starego snoba - odparł. Uśmiechnęła się.

- To naprawdę wzruszające. - Naprawdę tak myślała. Była wręcz zdumiona istnieniem takiego prawego i altruistycznego uczucia. - Szczęściarz z Angusa.

John rozpostarł ręce gestem świadczącym o bezradności.

- Ano właśnie! A jak ty sobie radzisz, Madeleine, z tą aferą z córką?

- Och, nic z tego. Oczywiście, miałaś rację. Zbyt szybko wybiegam przed orkiestrę... jak wiele razy przedtem.

- Kochanie, co za los. - John pochylił się ku niej i ujął ją za rękę. - Czy widzisz się w związku z tym z jakimś specjalistą? Mam nadzieję, że tak. Jeśli nie, to wynajdę ci kogoś odpowiedniego.

- Masz rację. Powinam raz na zawsze uporać się z tymi upiorami z przeszłości.

John zdjął okulary i przetarł oczy.

- Powinienem cię przeprosić. Niezbyt dobrze przyjąłem wtedy twoje wieści, to był grom z jasnego nieba. Poczuję się zraniony. Sądziłem, że darzymy się absolutnym

zaufaniem. A teraz wiem, że nie okazałem ci koniecznego wsparcia.

- Nie martw się, twoje kłopoty są znacznie gorsze od moich. - Może teraz nadeszła odpowiednia chwila, by mu się zwierzyć. - John, posłuchaj... zastanawiam się nad rzuceniem psychoterapii.

Spojrzał na nią ostro.

- O nie, nie rób tego. - Sprawiał wrażenie przerażonego tym pomysłem. - Ale zrozumieć, że przyda ci się przerwa. Na miłość boską, pojedź gdzieś na wakacje.

- Tu nie chodzi o urlop. Nie jestem tak dobra w tym fachu, jak myślałam.

John klepnął ją w dłoń.

- Głupoty, Madeleine. Nie możesz osądzać samej siebie w takiej sprawie. Każdy by...

- Owszem, mogę - przerwała mu stanowczo. - I na dodatek traktowałam tę idiotyczną fantazję w absolutnie niewłaściwy sposób.

- Och, daj spokój. Jak inaczej mogłabyś zareagować? Nie możesz rzucić zawodu. Jesteś przecież jedna z najlepszych. Tylko potrzebujesz takiej samej kuracji, jaką stosujesz wobec pacjentów: dobrego terapeuty i dłuższego wypoczynku, to wszystko.

- Mówię o swojej intuicji. Przypuszczam, że to nie jest zawód dla mnie.

- A co powiesz o mnie? Myślisz, że nie będę cię zatrzymywać?

- Ty i ja zawsze pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi, tyle że będziemy musieli znaleźć ci nowego współnika. Mamy dobrą renomę, doskonałą lokalizację.

- Nie chcę innego współnika! - wykrzyknął. - Na miłość boską, Madeleine, nie rób nic pochopnie. Daj sobie trochę czasu. Działasz pod wpływem...

W ich rozmowę wdarł się dzwonek telefonu.

- Mam kolejnego pacjenta - odezwała się Madeleine.

- Nie skończyliśmy tej dyskusji. - Wstał i objął ją mocno. Przy drzwiach obrócił się w jej stronę. - Coś ci zaproponu-

ję. Może byś spędziła tydzień w domu na wsi? Będziesz tam mogła pomedytować w spokoju, z dala od źródła tych wszystkich problemów. Kiedy już tam będziesz, przewietrz pokoje i podlej kwietniki. Angus nie może znieść podróży samochodem.

- Owszem, to niezła myśl. Może. Dzięki za zaproszenie -odparła z niepewnym uśmiechem, patrząc, jak opasły tyłek Johna znika za drzwiami.

Sięgnęła po słuchawkę, ale jej nie podniosła. Na samą myśl

o ujrzeniu pani Hartley-Wood i wysłuchiwaniu jej nużących narzekań poczuła się wyczerpana. Wreszcie pokonała w sobie niechęć.

- Skieruj ją do mego gabinetu, Sylvio.

- Pani Hartley-Jones właśnie telefonowała i powiedziała, że się spóźni parę minut. Jeździ w kółko, szukając miejsca do zaparkowania.

- Dobrze. Dzięki.

Zapadła się w krzesło. John miał rację, rzeczywiście potrzebuje terapii. Nagle się uśmiechnęła. Oczami wyobraźni ujrzała kobietę o imieniu Esperanza w całej jej wielkości i chwale. Oto czego jej trzeba - ostrej kuracji Esperanzy, to ją wyprowadzi ze stanu zidiocenia.

Była strasznie gruba, a na głowie miała zaplecione setki warkoczyków. Czysta krew afrykańska w jej żyłach stanowiła dowód pochodzenia w prostej linii od niewolników. Nie ulegało wątpliwości, że jest stara, niemniej jednak w zagadkowy sposób piękna, odziana w fioletową suknię, podkreślającą potężne, ale harmonijne kształty. Była obwieszona złotą biżuterią

i miała przedni ząb ze złota. Długie paznokcie pomalowała krwistym lakierem. Mimo tych rozmiarów miała wyraźnie zarysowaną talię, a poruszała się jak większość Kubanek, jakby słysząc w głowie rumbę.

Esperanza była curandera, czyli santerą wyspecjalizowaną w zielarstwie i mocy uzdrawiania. Mieszkający na archipelagu Kubańczycy z wszystkich warstw społecznych doskonale wiedzieli o jej umiejętnościach diagnozowania i wyleczenia

z chorób, zwłaszcza tych, które powodowali źli ludzie i wrogowie. Madeleine zapamiętała ją z czasów, gdy w wieku trzynastu lat ciężko zapadła na zdrowiu wskutek *mai de oyo*, po spojrzeniu w oczy starcowi, który czyhał na energię dzieci. Rosaria wezwała wtedy do domu Esperanzę, żeby wyleczyła córkę od złego uroku.

Curandera nie zmieniła się, mimo że od tamtej chwili minęło już piętnaście lat. Doskonale pamiętała tamto wydarzenie.

- Cudem uszłaś z życiem, *chiquilla* - rzekła z uśmiechem, niemal miażdżąc Madeleine w uścisku.

Madeleine zaśmiała się, zwracając do Forresta:

- Ta pani uratowała mnie kiedyś od śmierci.

Forrest popatrzył na curanderę z szacunkiem, jakiego wymagał wygląd starej damy, jej elokwencja i fakt, że dzięki niej jego ukochana nadal stąpa po ziemi.

- Esperanzo, pozwól, że ci przedstawię Forresta, mojego męża.

Curandera rozpromieniła się i z niebywałą mocą uściśniła wyciągniętą do niej rękę.

- Siadajcie, siadajcie - zapraszała. - Zaraz wam podam *cafecito*. - Wezwała młodą Mulatkę i udzieliła jej wskazówek, jak ma przyrządzić kawę i *bollos*. W pokoju znajdowało się pełno klatek z ptakami, które ćwierkały, tokowały i śpiewały w dzikiej kakofonii. Z belek na suficie zwieszały się ptasie pióra, różne pudełeczka i buteleczki, a na ścianach widniały wizerunki świętych oraz *orishas*, otoczone girlandami ze sztucznych kwiatów. Pomiedzy nimi wisiały starodawne obrazy przodków gospodyni, reprezentujące sztukę naiwną. Na każdej wolnej powierzchni były ustawione płonące świece, a para unosząca się z paproci na parapetach osiadała mgiełką na szybach. Umeblowanie też było mieszanką różnych stylów. Antyczne hiszpańskie meble sąsiadowały ze sprzętami sporządzonymi z drewna wyłowionego z morza i fotelami z wikliny zapewne otrzymanymi z jakiegoś baru, który przeszedł modernizację. Potężna pani domu mogła zmieścić się jedynie na dwuosobowej sofie, pamiętającej lepsze czasy.

Kiedy czekano na podanie meriendy, Esperanza zagadnęła Madeleine o jej matkę.

- Mama choruje od ośmiu lat - bąknęła Madeleine. Nie potrafiła ukryć poczucia winy, że pozostawiła Rosarię w Anglii. - Przebywa w wyjątkowo dobrym miejscu, gdzie bardzo o nią dbają.

- *Caramba!* - wykrzyknęła Esperanza, rozsiadając się na sofie i krzyżując ręce na wydatnym biuście. - Spodziewałam się, że może dojść do czegoś takiego. Rosaria bardzo nierozsądnie zużywała swoje moce. Powtarzałam jej to wiele razy. Potrafiła sprowadzić na kogoś chorobę, podczas gdy ja mogę tylko przywrócić zdrowie. - Potrząsnęła głową z wyraźnym ubolewaniem. - Zaczęła zbyt młodo. Aj, aj. Opuściła Kubę i nie miała przewodnictwa matki. Kiedy ujrzałam ją w tej budce na Duval Street, przedstawiającą się jako w pełni dojrzała Santera, gotowa do sprzedawania uroków na prawo i lewo, bardzo się zaniepokoiłam. Posłałam wtedy słówko do twojej matki... - Wzdrygnęła się. - Jej własna matka jest nadal wściekła, po dziś dzień. Ale cóż mogła zrobić? Ugrzęzła na Kubie, nie miała ochoty stamtąd wyjechać.

- Nic o tym nie wiedziałam - powiedziała Madeleine ze zdumieniem. - A więc znałaś moją babkę? Jak wyglądała?

- Twoja babcia jest przepotężną santerą, Magdaleno. Została wprowadzona do *pinaldo*, piątego wtajemniczenia. Wyżej kobieta już nie może zająć w sztuce santerii. Otrzymała nóż ofiarny, co jest ogromnym osiągnięciem i honorem. - Esperanza zamilkła, zrobiła ponurą minę i utkwiała wzrok w powale. - Twierdziła, że Rosaria ukradła ten nóż, uciekając z Kuby, aby w nowym życiu oczarować nim Kubańczyków mieszkających na Florydzie. To był bardzo niebezpieczny krok... i bez wątpienia z tego powodu jest chora, przeklęta.

Madeleine wpatrywała się w swoją gospodynię z przerażeniem. A zatem nóż ofiarny został skradziony. Mama nie dostała go w nagrodę za swoje zasługi, jak często utrzymywała. Zerknęła na Forresta, który z fascynacją gapił się na ogromną kobietę i wsłuchiwał w opowieść o jego przerażającej teściowej.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że mama nie jest prawdziwą santerą? - zapytała Madeleine.

Esperanza kręciła się na sofie, nie wiedząc, co odpowiedzieć na takie trudne pytanie.

- Twoja matka ma bez wątpienia szczególny dar i posługuje się nim. Jednakże małżeństwo z tym wielkim, grubym gringo z masą forsy odbiera kobiecie pokorę, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ona zbyt ryzykuje, nie zagłębiając się w wiedzę tajemną, i zbyt często polega na swoim szóstym zmyśle. To zdrażliwa mieszanka.

Madeleine zorientowała się, jak wiele z tego, co właśnie usłyszała, gnębiło ją od dłuższego czasu. Żenowała ją obecność Forresta przy tej rozmowie.

- Esperanzo, opowiedz mi coś więcej o mojej babce. Czy sądzisz, że kiedykolwiek ją spotkam?

Esperanza wzruszyła ramionami.

- Ona jest stara i z pewnością nigdy nie opuści Kuby. Ogarnięta poczuciem zemsty, nienawidzi Ameryki. Jako kobieta była prawdziwym tyranem i pewnie taka pozostała. Mówiono, że rzuciła zły urok na swojego męża za to, że zakochał się w jakiejś śpiewaczce i z nią uciekł. Twoja babka odnalazła na grzebieniu jego włosy i uplotła z nich bransoletkę, dodając własne włosy. Nosiła ją bez przerwy przez dziewięć dni i odzyskała męża dzięki sile woli, ale była tak zazdrosna, że jej urok spowodował u niego ciężką chorobę. Twój dziadek zmarł, mając na jądrach ogromne narośle. Nikt nie mógł mu pomóc, nawet własna żona, która - jak twierdzono - była temu winna.

Służąca Mulatka pojawiła się z kawą i ciastkami, jedli je przy akompaniamencie ogłuszającego wrzasku ptactwa. Madeleine nie mogła przełknąć suchego *bollo*. Piła kawę w milczeniu, zbyt wstrząśnięta, by prowadzić towarzyską rozmówkę.

Esperanza zniecka utkwiała w obojgu swoje szkliste oczy.

- Jakie schorzenia? - zapytała.

Madeleine i Forrest popatrzyli na siebie. Oboje przeszli przez serię

testów i badań, po których oświadczono im, że z powodu zrostów na jajnikach po zapaleniu narządów rodnych Madeleine praktycznie nie ma szans na zajście w ciążę. Lekarz dodał jednak: „Nigdy nie wiadomo, próbujcie”. Forrest roześmiał się, kiedy Madeleine wspomniała mu o Esperanzy, ale gotów był odwołać się do wszelkich metod.

- Jesteśmy małżeństwem od siedmiu lat. - Madeleine zrobiła znaczącą pauzę. - Siedem lat, Esperanzo.

Stara kobieta przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, nie odzywając się ani słowem. Pod wpływem tego przenikliwego spojrzenia Madeleine poczuła się niezręcznie i utkwiała wzrok w dużej mrówce sunącej po liściu paproci. Zirykowało ją, że nie może sobie przypomnieć jej nazwy, a przecież dopiero co przypatrywała się jej w ogrodzie swej przyjaciółki.

- Zobaczmy, co da się zrobić. - Esperanza wstała i strząsnęła z sukni okruszki. Nie wiadomo skąd nadleciały malutkie ptaszki, które poczęły je dziobać na podłodze. - Pan tam nie idzie, panie Forrest. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Podejrzewam, że kłopot nie dotyczy pana. - Roześmiała się wesoło, spoglądając z uznaniem na jego atrakcyjną sylwetkę.

Zaprowadziwszy Madeleine do małej izdebki, kazała się jej położyć na łóżku. Mulatka wniosła trzy tace z *hierbas* i postawiła je na ołtarzyku. Esperanza zasiadła na stołku przed ołtarzem, służąca usadowiła się obok niej. Rozmawiały ze sobą w narzeczu Joruba, więc Madeleine niewiele z tego rozumiała, ale wyglądało to tak, że curandera przekazuje swoją wiedzę młodszej kobiecie. Niekiedy obie rzucały okiem na Madeleine, a następnie mamrotały coś do siebie. Madeleine dostrzegła, że Mulatka zajmuje się ziołami. Podzieliła je na części, a potem ułożyła z nich sporą wiąznię. Po chwili wstała i z zamkniętymi oczami pochyliła się nad Madeleine, lekko omiatając jej podbrzusze. Trwało to bardzo długo, Madeleine poczuła zawroty głowy i mdłości, jakby wypila dzban cuba libré na pusty żołądek. Wreszcie Esperanza uniosła swe potężne kształty ze stołka i zbliżyła się do niej. Sięgnęła po cygaro leżące na ołtarzyku, zapaliła je i przystąpiła do okadzania ciała leżącej. Nagle zastygła.

- A cóż to? - rzekła, trzymając dłoń nad Madeleine. - Już nosiłaś dziecko w swym łonie.

- Tak - szepnęła Madeleine, przestraszona gniewem w głosie Esperanzy. - Powinnam ci była o tym powiedzieć. Owszem, urodziłam kiedyś dziecko, ale chciałabym mieć drugie.

- To wykluczone - odparła Esperanza. - Jest blokada. Mulatka przestała omiatać Madeleine wiązką ziół i czmychnęła z pokoju.

- Co rozumiesz przez blokadę?

Esperanza uniosła ręce, wyraźnie zniecierpliwiona.

- Blokada to blokada, nic więcej, nic mniej. Nie oczekuj ode mnie używania wymyślnego słownictwa, jak w szpitalu. *Chiquilla*, nie zajdziesz ponownie w ciążę. Tak nie miało być.

Esperanza nie pospieszyła z wyrazami pociechy. Może się domyśliła, że pierwsze dziecko zostało oddane, i zirytowało ją, że Madeleine od razu nie wyznała jej prawdy. Niemniej do Forresta nadal odnosiła się z sympatią, klepnęła go w tyłek i poradziła, żeby myślał pozytywnie: odtąd mają się kochać wyłącznie dla przyjemności. Następnie policzyła im za wizytę dziesięć dolarów i zasugerowała, żeby poszli się upić.

Wychodząc od Esperanzy, Madeleine z trudem hamowała łzy.

- Kochanie, mamy siebie - zapewnił Forrest, mocno ją obejmując. Szli w prażącym popołudniowym słońcu. - Ty jesteś wszystkim, czego potrzebuję. Weźmy sobie psy, koty, papugi, kury, mrówki, cokolwiek sobie życzysz. Albo adoptujmy dziecko!

Ona jednak nie potrafiła przyjąć tego dzielnie. A więc nigdy już nie urodzi dziecka, curandera ostatecznie to potwierdziła.

- Któregoś dnia odnajdziemy Mikaele, nawet jeśli będziemy już wtedy starzy - pocieszał ją Forrest, wycierając jej łzy z policzków. - Szukajmy i nie traćmy nadziei!

- Ona ma dopiero dwanaście lat. To zbyt wcześnie na szukanie i nadzieję.

Mikaela skończyła dwanaście lat! Obchodzili każde jej urodziny, dekorując całą barkę balonami i zjadając masę lodów. Wkładali do specjalnej skrzynki prezenty urodzinowe, w sumie już dwanaście, na każdy rok jej życia, w nadziei, że dadzą je Mikaeli hurtem w czasie wspaniałej gali. Dwanaście lat to

trudny wiek dla dziewczynki, która nie jest już dzieckiem, ale jeszcze nie stała się kobietą. Madeleine nie przywiązywała szczególnej wagi do swego szóstego zmysłu, ale jeśli rzeczywiście była nim obdarzona, wyczuła, że córka przeżywa ciężkie chwile. Od wielu tygodni była niespokojna i nie mogła spać, w nocy rozmyślała o Mikaeli. Liczyła w duchu, że nie grozi jej nic poważnego.

- No cóż, żyjmy chwilą - odezwał się Forrest. Odczuwał wyraźną ulgę po wyjściu z budzącego grozę domu curandery. - Zróbmy, co nam kazała ta mądra kobieta. - Pocałował ją w szyję i połaskotał w talii, chcąc choć trochę ją rozchmurzyć. - Ruszajmy w miasto i upijmy się do nieprzytomności.

Madeleine wyrwał z rozmyślań brzęczyk telefonu. Podniosła słuchawkę.

- OK, Sylvia, przyślij ją do mnie.

- To nie jest pani Hartley-Wood - odparła Sylvia dziwnym tonem.

- Dzięki, jestem gotowa! - Madeleine miała właśnie odwiesić słuchawkę.

- Poczekaj! To Rachel Locklear. Ona jest... tutaj. Nie ma wyznaczonej wizyty, ale upiera się, że musi się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że to pilne. - Nastąpiła pauza, słychać było tylko szmer gorączkowej wymiany zdań. - Mówi, że nie zgodzi się na odprawienie z kwitkiem.

Madeleine wyprostowała się.

- Dobrze, niech wejdzie. Powiedz pani Hartley-Wood... przekaż jej, że przyszedł pacjent wymagający natychmiastowej interwencji. I wytłumacz, że wkrótce będę miała czas dla niej.

Po paru sekundach w progu stanęła Rachel. Zatrzasnęła za sobą drzwi i bez słowa siadła na fotelu, który zajmowała wcześniej jako pacjentka. Miała na sobie czarne trykotowe spodnie, czarne buty do biegania i szary podkoszulek, odsłaniający pasek gołego ciała na wysokości talii. Wyraźnie schudła. Jej rude włosy urosły, ale były w kompletnym nieładzie.

Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej, w jej oczach czaił się lęk. Madeleine przyglądała się jej z troską.

- Nie jestem tu dlatego, że tego chcę - wybuchła.

- Ja też cię serdecznie witam - odpowiedziała Madeleine.

Na te słowa Rachel zmieniła ton. Zerknęła w bok, żeby ukryć łzy. Madeleine nigdy przedtem nie widziała jej płaczącej.

- Potrzebuję twojej pomocy - wyjęczała. - Musisz mi pomóc.

Madeleine czekała, czując przenikliwy chłód w całym ciele. Musiał to być bardzo poważny problem, skoro Rachel postanowiła do niej wrócić. Ona jednak milczała, nie podając żadnych wyjaśnień na temat nagłego pojawienia się w gabinecie.

- Zrobię, co tylko będę mogła, ale najpierw musisz zamówić u mnie wizytę. - Wskazała na zegar ścienny. - Teraz mam czas zarezerwowany dla innej pacjentki.

Rachel sprawiała wrażenie głuchej.

- Nie myśl, że zamierzam być dla ciebie ciężarem! - krzyknęła wreszcie z gniewem. - Jeśli możesz mi pomóc, w co wątpię, zrób to! Wtedy będziemy kwita. Kwita, rozumiesz? Ty zajmiesz się swoim życiem, czując się uszczęśliwiona, że uczyniłaś cokolwiek dla innego człowieka, zamiast wic się bez końca z poczucia winy.

Madeleine zmarszczyła brwi.

- O czym ty gadasz?

- Mówię o tym, co mi jesteś dłużna. Madeleine wpatrywała się w Rachel w osłupieniu.

- A cóż ja ci jestem winna?

Rachel nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Wreszcie wybuchła:

- Dokładnie wiesz, co mi jesteś winna. Madeleine była zupełnie zbita z tropu.

- Chyba jednak nie wiem.

- Wpadłaś na to parę tygodni temu. Wiem, że to odkryłaś. Madeleine nie mogła się zmusić do odpowiedzi. Wirowało jej w głowie.

Rachel skrzyżowała ręce na piersiach.

- No, skończmy z tym gównem, mamó! - wykrzyknęła. - Wyniuchałaś to podczas naszej ostatniej sesji, kiedy wysłałaś mnie na papierosa, żeby zajrzeć do mojej torby. Prawdopodobnie już wcześniej coś podejrzewałaś, kiedy przypadkowo zdradziłam, ile mam lat.

Madeleine była zbyt wstrząśnięta, by móc się odezwać. A więc to prawda... Potrząsnęła głową, jakby próbowała uruchomić racjonalne myślenie.

- Chwileczkę - szepnęła. - Mówisz więc, że... jesteś moją córką? Jesteś Mikaelą?

- Teraz jestem Rachel. Rachel! 1 nie udawaj, że mnie nie poznajesz.

Przez dłuższą chwilę wpatrywały się w siebie: Madeleine w szoku, Rachel z gniewem.

- A więc możemy zawrzeć umowę - ciągnęła Rachel. - Po-możesz mi i będziemy kwita. Odpowiada ci?

- Kwita? Jak?

- Z pewnością bolejesz nad tym, że podrzuciłaś niewinne dziecko obłąkanej kobiecie, która zabawiała się mordowaniem psów i kotów swoich sąsiadów. Pojechałaś sobie do rozkosznej uczelni artystycznej na Florydzie, co? Nie na rękę było ci zajmowanie się płaczkliwym smarkaczem. Ale kiedy się okazało, że nie pozbyłaś się mnie ostatecznie, to musiałaś przerwać wakacje, pewnie to pamiętasz, i przyjechać w te pędy, żeby podpisać papiery adopcyjne i oddać pięcioletnią córeczkę jakimś kompletnie obcym ludziom. - Głos Rachel stawał się bardziej szorstki. - Jeżeli się czujesz winna, jeśli odczuwasz żal za to, co zrobiłaś, masz szansę zrobić coś dobrego.

Madeleine nareszcie pojęła. Ten gniew... ta wściekłość, objawiająca się od samego początku.

- A więc ty wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś, kim jestem, gdy tylko się u mnie zjawiałaś.

- Jasne, że tak.

Madeleine potrząsała głową, nie mogła pojąć tego wszystkiego.

- Zgłosiłaś się na terapię, wiedząc, że jestem twoją matką?

- Tak, do kurwy nędzy!

- Ale w jakim celu? Dlaczego pragnęłaś zrobić to w ten sposób? Musisz wiedzieć, że chciałam się z tobą spotkać. Po co bawiłaś się w tę szaradę w ciągu ostatnich tygodni? Co zamierzałaś tym osiągnąć?

Zadzwoił telefon. Madeleine zwlekała z podniesieniem słuchawki, czekając na wyjaśnienia Rachel, ale nie miała wyjścia.

- Tak?

- Jest już pani Hartley-Wood.

- Daj mi pięć minut.

- Przekażę. Pięć minut. Madeleine zwróciła się do Rachel:

- Nie możemy teraz o tym rozmawiać. Czekaj na mnie pacjentka, nie odejdzij stąd. Jakoś jej się wytłumaczę.

Do Rachel jakby nie docierały jej słowa. Gapiła się w okno, nagle kompletnie oklapnięta. Miała bladą twarz i zapadnięte policzki, na których ukazały się dawne ślady po trądziku. Sprawiała wrażenie istoty pozbawionej tlenu, pod oczami miała sińce.

- Madeleine, jestem w strasznym gównie - rzekła w końcu monotonnym głosem. - Tak się pechowo dla ciebie złożyło, że nie mam nikogo prócz ciebie.

Madeleine poczuła się niemal sparaliżowana lękiem. Nie dość, że właśnie poznała prawdę, to jeszcze się okazuje, że jej dziecko znajduje się w niebezpieczeństwie. Wiedziona nagłym impulsem chciała podejść i objąć tę kobietę, która była jej córką, ale zdawała sobie sprawę, że lepiej będzie, jeśli się na razie wstrzyma z wszelkimi przejawami czułości. Poczucie nieszczęścia, strach i odraza do siebie, jakimi Rachel emanowała przez cały czas terapii, teraz nabrały zupełnie nowego znaczenia.

- Posłuchaj, bez względu na to, jaki masz kłopot, cieszę się, że przyszedł z nim do mnie. Ale nie chcę, byśmy były ze sobą kwita. Nie po to spędziłam dwadzieścia dwa lata życia, w czasie których ciągle liczyłam na odnalezienie ciebie.

- Och, będziesz chciała być ze mną kwita, kiedy się dowiesz, co zrobiłam - odparła Rachel dziwnym tonem.

- Przekonamy się. Gdzie możemy porozmawiać? Nie w tym gabinecie, po tym, cośmy tu zrobiły.

- Czy możesz przyjść do mnie? - Rachel uniosła powieki i spojrzała Madeleine prosto w oczy. - To bardzo pilne. Naprawdę. Nie można zwlekać ani chwili.

Madeleine wstała, ujęła Rachel za ramię i podprowadziła ją do drzwi.

- Wracaj do domu - rzekła z taką dozą autorytetu i spokoju, na jaki było ją stać. - Spróbuję odwołać wszystkich pacjentów i przyjadę tak szybko, jak będę mogła.

- Nie mów o tym nikomu, nie wspominaj o mnie. Obiecuj, proszę.

- Obiecuję. - Gdy Madeleine zamykała za Rachel drzwi, nagle w szparze ukazała się jej ręka.

- Paszport Saszy! - krzyknęła. - Masz go tutaj? Jeśli wszystko inne zawiedzie, będę go potrzebować.

- Tak, jest tutaj. Przyniosę go. Porozmawiamy później. A teraz idź.

Wsiadła do samochodu, choć wolałaby odbyć tę drogę pieszo. Potrzebowała choćby odrobinę czasu, żeby uporządkować myśli. Adrenalina szalała w jej krwiobiegu, gdy z piskiem opon ruszyła z Pierrepont Street. Z taką jej dawką mogłaby całą drogę do Fairfield Park pokonać sprintem. Za kierownicą miała jednak wyostrzoną uwagę, gdy przedzierała się przez korki do domu Rachel. Choć na zewnątrz sprawiała wrażenie opanowanej, w głębi ducha była przerażona myślą, co tam odkryje. Z najwyższym trudem kontrolowała rozdygotane emocje. Pogodzenie się z prawdziwą tożsamością Rachel było już wystarczająco skomplikowane. Teraz wyczuwała niebezpieczeństwo. Pewnie Anton chciał uprowadzić syna albo postanowił w jakiś inny sposób zagrozić matce i dziecku. Takiego człowieka - okrutnika, gwałciciela, bandyty - można się było naprawdę obawiać. A do tego wszystkiego był jeszcze złowrogi brat Antona, budzący w Rachel nienawiść. Może było tego więcej - okropieństw, z których Rachel się jej nie zwierzyła, jakichś okropnych przejść w przeszłości - grózb, zbrodni,

których mogła być świadkiem albo nawet sama je popełniła. Niewykluczone, że znowu wróciła do narkotyków... Nie! Madeleine zagryzła wargi, próbując odpędzić złe myśli. Nie ma sensu ich roztrząsać.

W jakiejś mierze była też zła. Po co Rachel grała z nią w kotka i myszkę? Ale na tyle znała ludzką psychikę, by zrozumieć, że Rachel z wielu powodów chciała się najpierw zorientować, jaką osobą jest jej matka, zanim zdradzi się ze swoją tajemnicą. No i ten gniew... A przecież Madeleine zdała sobie sprawę z ich pokrewieństwa, gdy tylko rzuciła okiem na datę urodzenia Rachel. Całym sercem była przekonana, że Rachel to jej córka, mimo dowodów mających świadczyć, że tak nie jest: twierdzeń Neville'a, chłodnego obiektywizmu Johna, upierania się samej Rachel, że nie jest adoptowanym dzieckiem.

Nastawiła radio. Panienska od pogody infantylnym głosem przestrzegała przed zbliżającą się nawałnicą. Madeleine zadrżała. Nienawidziła burz, nie znosiła powodzi. Rzeka Avon czasami groźnie przybierała, na szczęście zdarzało to się rzadko. Zgasiła radio, zaparkowała samochód niedaleko domu Rachel i wysiadła. Starszy mężczyzna w sąsiednim domu stał w oknie i patrzył na nią. Czy to nie ten sam, który gapił się, gdy przyjechała tu poprzednim razem? Biedny staruszek, pewnie wdowiec, który nie ma niczego lepszego do roboty, niż śledzić, co się dzieje na ulicy.

Nacisnęła dzwonek. Spojrzała w niebo, dostrzegła kłębiące się ciężkie chmury. Zadrżała ze wstrętem, czując na sobie gorący i wilgotny wiatr.

Rachel otworzyła drzwi. Bez słowa powitania rozejrzała się w prawo i w lewo, po czym wciągnęła Madeleine do holu. Tym razem miała na sobie szorty. Madeleine zerknęła na jej długie nogi i gołe stopy. Jakże znajomo wyglądały, jak bardzo przypominały jej własne.

- Nie mamy dużo czasu - mruknęła Rachel i gestem wskazała schody prowadzące do skąpo umeblowanego saloniku. Zniszczona szkarłatna tapeta odkleiła się w wielu miejscach, odsłaniając nagie gipsowe ściany, szerniały wskutek staro-

ści i wilgoci. Dyskretnie przyglądając się ubogiemu domostwu córki, Madeleine dała się posadzić na zużytej kanapie ze skaju z wypalonymi dziurami i wieloma pęknięciami. Z dużego okna na wprost niej miała wspaniały widok na Bath oraz otaczające go wzgórza porośnięte zielenią, jednakże cały pokój sprawiał ponure wrażenie. Na domiar złego znajdował się tam paskudny kominek z zielonych kafli, a kwiatowy wzór na zasłonach wyblakł.

Rachel opadła na fotel-worek wypełniony kulkami i natychmiast zapaliła papierosa, mocno się zaciągając. Sprawiała wrażenie zrozpaczonej.

- Wyprawiłam Saszę, żebyśmy mogły porozmawiać, ale on wkrótce wróci.

Madeleine w milczeniu rozglądała się po pokoju.

- A gdzie on jest?

Rachel podskoczyła nerwowo.

- W... garażu.

- Co tam robi?

- Kto? - Rachel zmarszczyła brwi. - Chodzi ci o Saszę?

- Tak, o Saszę.

Rachel roześmiała się głośno, niemal agresywnie. Brzmienie tego śmiechu zaalarmowało Madeleine. Poczwała, że oczy napełniają jej się łzami.

- Posłuchaj, Rachel, może to nie jest odpowiednia chwila, by porozmawiać o nas, ale zdaję sobie sprawę, że jesteś na mnie zła. Całe swoje życie spędziłaś, nie wiedząc...

Rachel przerwała jej gwałtownie:

- O, do cholery. Nie zaczynaj. Nie teraz.

- Dobrze, odłóżmy to. Wobec tego powiedz mi, co się dzieje.

Rachel przez chwilę nie odpowiadała.

- Przepraszam, Madeleine - rzekła głosem zdradzającym bardziej strach niż gniew. - Potrafię być prawdziwą suką, wiem o tym. Jestem po prostu przerażona, to wszystko.

- No to mów.

Rachel spojrzała na nią z trwogą.

- Po pierwsze, chcę, żebyś mi przysięgła. Na życie kogoś,

kto jest ci drogi. Kiedy dowiesz się, co się tutaj stało, może nie będziesz chciała mi pomóc, co zrozumieć, ale bez względu na to, co postanowisz, musisz mi przysiąc, że nie pójdziesz na policję ani nikomu o tym nie powiesz. Od tego zależy bezpieczeństwo twojego wnuka.

Madeleine zdumiało to dramatyczne oświadczenie oraz żądanie wypowiedziane gwałtownym tonem.

- Zgoda, Rachel, przysięgam na życie matki - powiedziała.

- Anton jest w moim garażu. Martwy - oznajmiła Rachel tonem wypranym z emocji. - Zabiłam go.

Madeleine jęknęła głucho. Była to instynktowna reakcja, przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa.

- O Boże, nie.

- Zrobiłam to pod wpływem impulsu, ale w głębi ducha wiedziałam, co robię. Nie miałam wyjścia. Anton i Uri podjęli decyzję. Myślałam, że jak zdobędę ten paszport, zrezygnują z odebrania mi Saszy, ale byłam głupia. To była tylko kwestia czasu. Anton usiłował mnie stąd wywieźć, mówił, że jestem mu potrzebna, lecz ja wiedziałam swoje, to było widać w jego oczach. Jestem pewna, że obaj postanowili mnie sprzątnąć.

- Och, Rachel...

Rachel drgnęła niespokojnie.

- Przestań, dobrze? Już przez to przeszłam. Wyrываłam sobie włosy z głowy, rzygałam, dostałam sraczki. Spodziewam się skazania za morderstwo, a wtedy Sasza wyląduje u jakiejś koszmarniej rodziny zastępczej, ale resztkami nadziei liczę, że istnieje jakieś wyjście. A więc, Madeleine - powiedziała błagalnie - wymyśl coś tym swoim chłodnym rozumem.

Madeleine przymknęła oczy i kilkakrotnie głęboko odetchnęła. Szok, niczym lodowata woda, przenikał ją do szpiku kości. Mimo upału poczuła na sobie gęsią skórę, dostała dreszczy. Spodziewała się, że odnalezienie córki będzie ogromną radością, a tymczasem to, co właśnie usłyszała, było jakimś koszmarem. Tu nie chodziło o uprowadzenie Saszy lub zgwałcenie Rachel, nie o groźby i szantaż. To było morderstwo.

Ale czy na pewno?

- Rachel, w jakich okolicznościach się to stało? Powiedz mi, jak do tego doszło.

- On tu po nas przyszedł. Gdybym oddała mu Saszę, może by mi odpuścił, ale tego nie mogłam zrobić. A więc zaatakowałam go - relacjonowałam martwym głosem. - Ponieważ przez moment stanął do mnie tyłem, rozwaliłam mu czaszkę popielnicą z lanego szkła. Z jego twarzy została miazga.

O Boże. Więc to nie było w samoobronie. Madeleine zakryła twarz dłońmi, próbując opanować wstrząs. Rachel przywołała ją do porządku.

- Myślałam o zgłoszeniu się na policję, ale nie mogę tego uczynić ze względu na Saszę. Co by to dla niego znaczyło? Zresztą powinnam była zrobić to od razu, ale byłam półprzytomna. Teraz jest już za późno.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem.

- Rachel! - krzyknęła Madeleine. - Nadal możesz zatelefonować na policję.

- Co ci powiedziałam?! - wrzasnęła Rachel. - Nie próbuj tam iść. Nawet o tym nie wspominaj.

- Dobrze, dobrze, zostawmy to na razie.

Rachel skoczyła na równe nogi. Madeleine patrzyła, jak chodzi w kółko po pokoju, trzymając się rękami za głowę.

- Musimy pozbyć się ciała. Jeśli to zrobimy i jeżeli Anton nie poda bratu mego adresu, może uda mi się uniknąć odpowiedzialności. - Przystanęła, wpatrując się w Madeleine. - Słyszysz mnie? Przyjechałaś samochodem, prawda? Musimy wywieźć zwłoki i gdzieś je ukryć. Jego brat się domyśli, że coś się stało, ale może nie powiąże tego ze mną. A ponieważ obaj są tu nielegalnie, raczej nie zgłosi policji zaginięcia Antona.

- Rachel, gdzie jest Sasza?

- Dlaczego pytasz? - Rachel spojrzała jej prosto w oczy. - Jest z Charlene. Poszli do kina.

- Kim jest Charlene?

- To bezdomna dziewczyna, która niekiedy pomaga mi w domu.

- Czy oni coś zauważyli?

Rachel zakryła twarz dłońmi i jęknęła.

- Nie sądzę. Zresztą nie wiem. Długo myślałam, jak ich wyprawić z domu na kilka godzin.

Madeleine ze wzrokiem utkwionym w oknie wsłuchiwała się w pokręconą strategię Rachel. Rosła w niej świadomość popełnionego morderstwa. Niebo pociemniało, gdzieś daleko rozległ się grzmot. Chmury sunęły tak nisko, że nakryły miasto niczym kopułą, podgrzewając wilgotne powietrze i wzmagając poczucie klaustrofobii.

Przerwała chaotyczny monolog Rachel i zaproponowała, że pojedzie do siebie, przebierze się w robocze ubranie i wróci po zmroku, późnym wieczorem. W tym czasie Rachel obmyśli, gdzie wysłać Saszę.

W gasnącym świetle popołudnia Rachel wyglądała strasznie, jej cera stała się prawie przezroczysta, a kocie oczy błyszczały jak w gorączce. Madeleine pragnęła objąć tę przerażoną istotę i powiedzieć, że wszystko dobrze się skończy, ale wiedziała, że tak już nigdy nie będzie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wielkie krople deszczu bębniły o przednią szybę, gdy Madeleine jechała do śródmieścia. Ulewa była tak potężna, jakby ktoś nad Bath spuszczał balony wypełnione wodą. Przerażona ścianą deszczu, zwolniła i stanęła na poboczu. Od czasu tamtego huraganu nigdy nie wyzbyła się kosmicznego lęku przed burzą, nienawidziła jej. Przypomniała sobie, że Rachel urodziła się w dzień Changó, bóstwa będącego *orisha* grzmotów i błyskawic. Może Changó przyjdzie jej teraz z pomocą.

Siedziała przez dłuższą chwilę, patrząc, jak nad dachy miasta nadciągają coraz niższe chmury. Sięgnęła do torby, wyciągnęła komórkę. Szukała w spisie telefonów numeru, aż wreszcie znalazła: więzienie. Przycisnęła guzik „Połącz”.

W czasie dalszej jazdy ulewa osłabła - szybciej, niż się Madeleine spodziewała. Skreśliła w drogę A46 w kierunku Rookwood. Było to szaleństwo, ale nie potrafiła wymyślić niczego innego. Oparła głowę na zagłówek i włączyła automatycznego pilota, próbując ignorować obrazy pojawiające się w jej wyobraźni, ale jednocześnie pragnąc, aby podświadomość podpowiedziała jej jakieś wyjście z tego horroru.

Zginął mężczyzna, zabiła go jej córka. Nie, zamordowała. Czy życie jest święte? Jasne, że tak... ale bez względu na to, jak mocno instynkt mówił jej, że należy powiadomić policję, nie potrafiła się do tego zmusić. Choć doszło do rozlewu krwi, zda-

wała sobie sprawę, że nie może sprzeniewierzyć się złożonej przysiędze. Już dwa razy w życiu zawiodła Rachel, nie może tego zrobić po raz trzeci i odwrócić się do niej plecami.

Rozważała natomiast inną możliwość: namówi Rachel, aby zgłosiła się na policję. Będzie usiłowała ją przekonać, że to jedyny sensowny krok. Madeleine mogłaby zeznać, że jej pacjentka działała w stanie ograniczonej świadomości. Notatki sporządzane w trakcie sesji mogłyby to potwierdzić. Rachel była osaczona, groziła jej przemoc fizyczna i uprowadzenie dziecka przez bezwzględnego bandytę. Działała w desperacji, w straszliwych okolicznościach. Panicznie bała się tego człowieka, a Madeleine na własne oczy widziała, do jakich czynów wobec niej był zdolny wcześniej.

Usiłowała sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby przekonać córkę o konieczności wezwania policji. Może Rachel wpadnie w furję. Bóg jeden wie, czy i w nią nie ciśnie popielnicą. Musi postępować bardzo ostrożnie, kiedy wróci tam i podejmie z nią rozmowę.

Gdy tak roztrząsała różne możliwości, przyszła jej do głowy inna myśl: wziąć winę za morderstwo na siebie. Nie byłoby takie trudne zagrać tę rolę. Jakaż matka nie chciałaby unicestwić potwora, który prześladował jej córkę i znęcał się nad nią? Mogłaby być jego zabójczynią, jego katem, i zapłacić za to cenę; czyż to nie najlepszy sposób zadośćuczynienia za porzucenie własnego dziecka? Ofiara o takim wymiarze była kusząca, ale gdy Madeleine zaczęła rozważać, jak odbyłoby się to w praktyce, szybko pojęła, że pomysł nie trzyma się kupy. Naukowe aspekty dochodzenia, ale też tło psychologiczne zbrodni są obecnie tak zaawansowane, że prawda prędzej czy później wyszłaby na jaw. Gdyby Rachel pojawiła się u niej choćby poprzedniego wieczoru, tuż po swoim czynie. Wtedy byłaby większa szansa nakłonienia jej do oddania się w ręce policji. Działanie w samoobronie stałoby się wiarygodnym motywem. Teraz jednak pozostała jedynie perswazja.

Jednakże Rachel miała rację co do Saszy. Przez co ten chłopiec musiałby przejść? Co by mu opowiedziano o matce i ojcu? Gdzie by go umieszczono do czasu wypuszczenia Rachel na wolność (jeśli w ogóle by ją zwolniono)? Sasza u rodziny zastępczej - o Boże, historia znowu by się powtórzyła. I wtedy oświeciło ją, że gdyby Rachel uznano za winną

morderstwa, jako babka Saszy i jego najbliższa krewna mogłaby się stać jego opiekunką prawną. Była to elektryzująca myśl, ale Rachel z pewnością nie zgodzi się na takie rozwiązanie. Jednakże musi wziąć pod uwagę, że innym opiekunem malca mógłby zostać jego wuj, ten Uri, o którym wyrażała się z taką nieskrywaną nienawiścią.

I wreszcie pozostała ostatnia możliwość: pozbyć się ciała i liczyć, że nikt nie wpadnie na jego trop. Ten czyn nie mieścił jej się w głowie.

- Każde życie jest święte - szepnęła, jakby testując prawdziwość tego stwierdzenia. Głęboko w to wierzyła, nigdy świadomie nie rozdeptała nawet owada, ale czy odnosi się to w równym stopniu do bezwzględnego kryminalisty, handlarza kobiet, gwałciciela i człowieka, który przypuszczalnie sam miał morderstwa na sumieniu? Jak święte było jego życie? Zginął tak, jak żył. Teraz jego zwłoki leżą w garażu, rozkładają się w upale i towarzyszącej mu burzy. W tym stadium była to tylko kwestia ich usunięcia. Zgadza się?

A z jakiego innego powodu jechała w kierunku więzienia Jej Królewskiej Mości w Rookwood?

Szła korytarzem za strażnikiem, którego nigdy przedtem nie spotkała. Facet obserwował ją spod oka, najwyraźniej żywo nią zainteresowany.

- Czy pan chce mnie o coś zapytać? - odezwała się z irytacją.

Potrząsnął przecząco głową i przystanął, puszczając ją przodem. Ich kroki odbijały się echem od grubych murów. Po pewnej chwili odezwał się za jej plecami:

- Proszę pani? Tak, rzeczywiście chciałbym panią o coś zapytać. - Przyspieszył kroku, żeby się z nią zrównać.

- No to słucham - odwarknęła. - Tylko niech się pan upewni, że pytanie dotyczy tego, czym się tu zajmujemy.

- Owszem - odparł. - Czy jest pani jedną z tych kobiet,

która liczy, że odnajdzie prawdziwą miłość w związku z więźniem? Widzi pani, moja dziewczyna pisze pracę magisterską z psychologii i jest tym tematem zafascynowana. Pani jest Amerykanką, prawda? Ona opowiadała mi o takich kobietach, które w Ameryce chcą poznać tych z celi śmierci i...

Madeleine stanęła jak wryta i odwróciła się ku niemu.

- Pan tego nie mówi serio, prawda? Zrobił rozbijającą minę.

- No, pani jest zbyt atrakcyjna, żeby potrzebować czegoś takiego... Tak się po prostu zastanawiam, dlaczego taka kobieta poświęca swój czas na spotkania z dusicielem. Czy chodzi tu o jakąś szczególną fascynację jego zbrodniami, czy...

- Proszę posłuchać, tylko niech to zostanie między nami. -Madeleine szybko ruszyła przed siebie, zmuszając strażnika, żeby niemal biegł za nią. - Kręci mnie nie tyle samo duszenie, ile ta druga sprawa - no wie pan, jak leci krew. Czy to pana satysfakcjonuje? A teraz proszę otworzyć drzwi i trzymać się ode mnie z daleka, w przeciwnym razie złożę na pana skargę za napastowanie.

Strażnik przekreślił zamek w masywnych metalowych drzwiach prowadzących do części więzienia, gdzie trzymano najgroźniejszych przestępców. Większość znajdowała się w swoich celach. Madeleine z ulgą zauważyła, że okienko w celi więźnia, który wrzeszczał na jej widok jakieś seksistowskie uwagi, było zamknięte.

- Proszę pani, muszę stać przy tych drzwiach. Przykro mi, ale to rozkaz naczelnika - zauważył strażnik służbistym tonem.

- To niech pan stoi, ale po drugiej stronie. Nie chcę patrzeć na pańską twarz. - Madeleine uśmiechnęła się do niego lodowato. - W porządku, słoneczko?

Ruszyła na sam koniec korytarza. Stając przed drzwiami celi Edmunda, nabrała powietrza do płuc. Zanim się tu zjawiała, musiała telefonicznie uzyskać zgodę Roba Reese'a na odwiedzinę poza regulaminowym czasem. Jako powód podała wymyślony naprędce wyjazd na dwutygodniowy urlop. Liczyła w duchu, że Edmund został powiadomiony o jej przyjeździe. Nienawidził, gdy nie dawano mu czasu na niemal rytualne przygotowania do takich wizyt. Kiedy Madeleine cicho zastukała do jego celi, okazało się, że już stoi przy drzwiach i czeka na

nią. Z miejsca jej odstukał, a gdy uchyliła wizjer, napotkała jego zimne spojrzenie.

- Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? - odezwał się z ironią. - Odnoszę wrażenie, że w zeszłym tygodniu byłaś zbyt zajęta, żeby tu wpaść. Kim jest ten facet?

- Czybym śmiała? - odparła, wywracając oczami. - Przyjacielu, zostawiłam ci przecież wiadomość. Jeśli musisz wiedzieć, miałam koszmarny piątek. Moja matka zapadła w katatonię i zagrożono, że ugotują jej mózg za pomocą elektrowstrząsów. Edmundzie, jestem pewna, że rozumiesz mój niepokój. Wspominałeś, że kiedyś zaaplikowano ci coś takiego.

Trochę zmiękł.

- Bez ciebie po prostu mnie nosiło. Gdybym kiedykolwiek miał ochotę udusić kogoś dla czystej przyjemności, to bym to zrobił w ciągu ostatnich kilku dni. - Zamilkł, intensywnie się w nią wpatrując, po czym jego szare oczy rozbłysły. - Madeleine, broszka. Znalazłaś ją. - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa rzędy zębów.

- Tak, znalazłam. A ty wyglądasz dużo lepiej - zauważyła.

- To oznacza, że jednak do mnie należysz.

- Edmundzie, nie należę do nikogo. I z żalem chciałabym ci zakomunikować, że zapewne widzimy się po raz ostatni.

Przestał się uśmiechać, jego twarz zamieniła się w maskę. Jednakże świdrując Madeleine wzrokiem, zdawał się domyślać przyczyny jej wizyty. Ona tymczasem niemal przylgnęła do judasza, nie chcąc, żeby ktokolwiek usłyszał, co ma mu do powiedzenia. Władze więzienne zapewniały ją, że rozmowy z więźniami są poufne i nigdzie nie zainstalowano podsłuchu, jednakże szklane oko kamery monitorującej przekazywało wszystko, co działo się na korytarzu. Musiała stanąć do niej plecami.

- Czy przypominasz sobie, jak kilka miesięcy temu oświadczyłeś mi, że mogę ci się ze wszystkiego zwierzyć? Że jesteśmy dozgonnymi przyjaciółmi i że nigdy mnie nie zawiedziesz?

- Oczywiście, mam niezłą pamięć. - Postukał się w czoło. - To było w twoje urodziny. Czternastego marca.

- Edmundzie, słuchaj uważnie. Chcę ci zaufać. Potrzebuję twojej pomocy. Tylko ty potrafisz mi poradzić, co mam zrobić. Najpierw jednak musisz mi przysiąc, że zostanie to między nami.

- Nigdy, przenigdy nie cofam raz danego słowa - odparł chłodnym tonem.

- Nawet wówczas, gdy okaże się, że już więcej nie będę mogła cię odwiedzać?

Przypatrywali się sobie z napięciem. W końcu na jego twarzy odmalował się głęboki żal, ale po dłuższej chwili kiwnął głową.

- Tak jak słyszałaś z moich ust.

Godzinna wizyta zbliżała się ku końcowi. Młody strażnik w regularnych odstępach czasu wsuwał głowę w szparę w drzwiach, kontrolując sytuację. Madeleine znajdowała się tak blisko Edmunda, jak nigdy przedtem. Ich czoła niemal stykały się w wizjerze.

- Czy jesteś pewien, że nie sposób go będzie zidentyfikować? - spytała.

- Madeleine, moja piękna, jeśli on jest nielegalnym imigrantem i nie ma przy sobie żadnych dokumentów, trudno będzie stwierdzić, kim jest. Gdyby udało się ustalić jego tożsamość, w co bardzo wątpię, będzie to wyglądało jak skutek walki gangów. - Edmund zamilkł na chwilę, po czym ciągnął: - Jak już wspomniałem, z łatwością mógłbym stąd zorganizować pozbycie się zwłok, ale zajmie mi to dzień lub dwa.

- Nie, zapomnij o tym. Moja córka nie zniesie czekania... no i ten upał.

- Pamiętaj o pierwszej zasadzie: miejsce, miejsce, miejsce. Czy jesteś pewna, że masz coś odpowiedniego na myśli?

Madeleine przytaknęła.

- Tak, zaufaj mi, mam.

- Pojedziesz tam samochodem?

- Tak.

- Powtórz, czego w tym celu potrzebujesz.

- Latarki, noża, gazet, zapalniczki i na wszelki wypadek również zapalek, rękawiczek gumowych, pojemnika z plastiku lub szklanego słoika, toreb na śmieci, dwóch kanistrów benzyny.

- Niczego nie zapomniałaś? Madeleine zadrżała...
- Tak, nożyc ogrodowych. - Nagle załała się łzami, potrząsnęła głową.
- Edmund, nie to! Proszę. To zbyt wiele. Nie mogę tego zrobić.
Jej łzy go poruszyły.
- No już, już, moja piękna. Nie płacz przy mnie. Daj sobie z nimi spokój. To tylko dodatkowe zabezpieczenie. Nie musisz tego robić.
- Wizyta skończona! - krzyknął strażnik ze swego stanowiska za kratą w korytarzu.

Madeleine i Edmund spojrzeli sobie w oczy.

- Tylko zachowaj spokój - instruował ją Edmund. Uśmiechnął się smutno. - Potraktuj to jak zwykle zajęcie.
- Dobrze.
- Będę o tobie myślał, moja ukochana.
- Dzięki za rady. Trzymaj się, kolego. Nie zapomnę cię... nigdy.

Wsunęła rękę przez wizjer. Edmund uniósł ją do ust. Madeleine nie cofnęła dłoni, nawet jej nie obchodziło, czy strażnik to zauważy.

Pocałunek mordercy był najmniejszym z jej zmartwień.

Gdy wracała do Bath, deszcz rozpadał się na dobre. Porywisty wiatr rzucał strugi wody na przednią szybę. Ruch na autostradzie niemal zamarł. Nikt z odrobiną zdrowego rozsądku nie ryzykował jazdy w taką pogodę.

Madeleine zaparkowała pod domem, wbiegła do siebie, zrzuciła spódnicę i bluzkę, włożyła stare dżinsy, podkoszulek i buty do biegania. Do jednej podręcznej torby wrzuciła latarkę i kurtkę przeciwdeszczową, do drugiej dwa pudełka

zapalek, rękawiczki do zmywania naczyń, tanią zapalniczkę i wszystkie gazety, jakie znalazła.

Przez długą chwilę stała w holu, zastanawiając się. Zdawała sobie sprawę, że musi wyruszyć natychmiast, czas był kluczową sprawą. Przecież mogła zawieźć te cholerne rzeczy, nawet jeśli nie miała zamiaru ich użyć. Wybiegła do ogrodu i wyciągnęła z szopy nożyce ogrodowe. Przyjrzała się im przez moment. Były nowe, nabyte do przycięcia krzewu *Washingtonia* rosnącego pod oknem. Gdyby tamtego marcowego dnia w centrum ogrodniczym, gdy próbowała ostrości sekatora na suchej gałązce, mogła sobie wyobrazić, do czego go użyje...

Trzymając nad sobą parasolkę, pobiegła do samochodu. Na ulicach było pusto, krople deszczu bębniły o bruk, rozbijając się na miriady cząsteczek. Ruszyła do najbliższej stacji benzynowej, zatankowała swego mercedesa, a w bagażniku umieściła dwa pełne kanistry benzyny.

Jadąc do Rachel, rozmyślała o Forreście. Forrest! Gdzie on teraz przebywa? W jakich sferach się znajduje, w jakim wymiarze? Co sądzi o tej podróży do piekła?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Charlene i Sasza grali w pchełki. Rachel, stając w drzwiach, usłyszała, jak śmieją się i wesoło ze sobą gadają.

- Hej, dzieciaki - krzyknęła, wchodząc do saloniku. - Kto wygrywa?

Usiłując zachowywać się jak najnaturalniej, padła na kanapę. Gdyby oboje bacznie się jej przyjrzeni, z pewnością by zauważyli, że ma przerażenie w oczach i nieustannie zaciąga się papierosem, ale byli tak zaabsorbowani grą, że ledwie zauważyli jej powrót. Sasza bez wątplenia był górą. Skakał tak, jak robił to jeszcze przed narodzeniem, w brzuchu matki, a wskutek podniecenia i upału na buzi wystąpiły mu rumieńce.

Rachel modliła się w duchu, żeby Charlene zgodziła się na jej plan. Pewnie tak zrobi. Dziewczyna wychodziła ze skóry, żeby stać się niezastąpioną babysitterką, coraz trudniej było się jej pozbyć. Miała za sobą ciężkie czasy, więc w warunkach domowych odżywała. Rachel zrobiło się przykro na myśl, że będzie musiała ją zwolnić, ale im mniej ludzie będą wiedzieli o jej życiu, tym lepiej.

- Charlene - odezwała się. - Muszę porozmawiać z tobą w kuchni.

Charlene zrobiła zaskoczoną minę, ale wstała i wolno ruszyła za nią.

- Sasza, nastaw telewizor! - krzyknęła Rachel. - Za moment przyniosę ci trochę soku i wafelki.

- Mamo! Jesteśmy w samym środku gry - zaprotestował. Niemniej nacisnął guzik pilota, rozległa się kakofonia dźwięków.

Rachel kazała Charlene usiąść przy kuchennym stole.

- Posłuchaj, jesteś wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć. Jest taki facet, którego właśnie poznałam. Przyjdzie tu dziś wieczorem. Chcę, żeby został na noc - rozumiesz, co mam na myśli?

Charlene przekrzywiła głowę i mruknęła:

- Taa, domyślam się, o co biega.

- Proszę cię o przysługę. Nie czuję się dobrze z myślą, że Sasza byłby w domu. W każdym razie nie za pierwszą bytnością tego faceta. No wiesz, dzieciak mógłby się obudzić i zobaczyć nas w kompromitującej sytuacji. A poza tym nie chciałabym, żeby ten gość od razu się dowiedział, że mam dziecko. To go może wystraszyć.

Charlene przestała się uśmiechać.

- Naprawdę? A co w tym złego, że ma się dziecko? Nie możesz ukryć faktu, że... a zresztą to twoja sprawa.

Miała, rzecz jasna, rację, ale Rachel musiała zignorować jej surowe spojrzenie.

- Przy Fairfield Road jest taki pensjonacik, niedaleko parku. Właśnie do niego zajrzałam. Mogłabyś tam spędzić z małym tę jedną noc? Wy, dzieciaki, kochacie te klimaty -ogłądanie telewizji w łóżku, prawdziwe angielskie śniadanie, takie rzeczy.

Twarz Charlene ponownie pojaśniała.

- Jasne... w końcu to twoja kasa.

- Mogłabym zaprowadzić was tam od razu? On się tu pojawi lada chwila.

Charlene wstała, poprawiła sobie czapkę na głowie. Rachel podarowała jej starą czapeczkę baseballową, bo nie mogła patrzeć na idiotyczne nakrycie głowy podopiecznej. Choć włosy Charlene zaczęły odrastać, nawyk pozostał. Nigdy nie chodziła z gołą głową.

- No dobra - zgodziła się, ale idąc w stronę drzwi, obróciła się do Rachel z figlarną miną. - No to teraz czuję się z to

bą bezpieczna. Z jakiegoś powodu podejrzewałam, że masz skłonność do dziewczyn. - Skrzyżowała palce, udając, że się nimi osłania przed złymi uczynkami. - Och, wal się, Charlene.

Zbierały się niskie, czarne chmury. W serwisie wiadomości podano, że należy spodziewać się obfitych deszczów, co jest bardzo korzystne z powodu panującej suszy. Rachel nie mogła się zdecydować, czy to dobrze, czy źle. W każdym razie na dworze będzie ciemniej i mniej ludzi będzie się kręciło po ulicach.

Kiedy Madeleine podjechała pod dom Rachel, było wpół do dziesiątej i lało jak z cebra. Wyglądała jak odmieniona. Mimo śniadej cery była blada, miała większe i ciemniejsze oczy, jakby zapadnięte do środka, nos się jej wydłużył, a wargi zbieleły. Wskutek wilgoci włosy skręciły się w sprężynki, džinsy i podkoszulek przemokły. W tym rozchełstaniu, pozbawiona biznesowej fasady, wyglądała młodo i niemal pięknie. Było w niej coś pierwotnego i zarazem niewinnego.

Rachel otworzyła drzwi, wyjrzała na ulicę. Nie było widać żadnych przechodniów.

- Gdzie twój samochód? - rzuciła.

- Zaparkowałam trochę dalej.

- Czy jest wystarczająco duży?

- Musimy porozmawiać.

- O nie. - Rachel pokręciła głową i zacisnęła dłonie w pięści. - Możesz o tym zapomnieć.

- Wpuść mnie.

Rachel wzięła głęboki wdech. Nie warto tracić równowagi, nie należy się teraz klócić. Poprowadziła Madeleine na górę.

- Słuchaj - odezwała się, zniecierpliwiona odwracając się na schodach. - Jeśli zamierzasz wezwać policję, to od razu wracaj tam, skąd przyszedłeś.

- Uspokój się - odparła Madeleine stanowczym tonem. -

Mam plan.

- Nie ściemniasz? - mruknęła Rachel sceptycznie. - Należę nam whisky. Potrzebujemy trochę gorzały, zanim... zbadamy

topografię. Poza tym myślę, że należy odczekać do północy. Ten stary pierdziel obok zawsze sterczy w oknie. A ty... wyglądasz tak, jakbyś nie mogła się zmusić do wyniesienia stąd nawet martwej myszy.

Madeleine nie odpowiedziała, ale sprawiała wrażenie zbyt zdenerwowanej, by usiąść. Podeszła do kominka i zaczęła przyglądać się zdjęciu Saszy zrobionemu na jego drugie urodziny.

- Och, do jasnej cholery - warknęła Rachel. - Siadaj!

- Wiem, jak Sasza wygląda - powiedziała Madeleine. - Widziałam go.

- Co? Szpiegowałaś nas?

- Spotkałam go w parku, kiedy wyszłam od ciebie. - Odwróciła się i spojrzała Rachel prosto w oczy. - Bez względu na to, co powiesz, bez względu na cały gniew i odrazę, jaką w sobie masz, nie możesz mi zakazać moich uczuć. Popełniłam wobec ciebie wiele strasznych błędów, ale nie będę się tłumaczyła ze swoich emocji. Sama jesteś matką, powinnaś to zrozumieć.

Rachel przez chwilę wpatrywała się w nią ze złością, a następnie obróciła się na pięcie i poszła do kuchni po swoje camele i butelkę whisky. Jakąś częścią siebie pojmowała ten związek uczuciowy. Dla każdej normalnej osoby wnuk jest niezmiernie ważną istotą, ale ta kobieta nie jest normalna. Z jaką łatwością porzuciła własne dziecko.

Postanowiła nie zagłębiać się w te sprawy. Nie był to odpowiedni czas ani miejsce. Obie muszą skoncentrować się na planie i nie zbaczać z tematu, bo jak będą tak siedzieć i głądzić, czekając, aż zegar wskaże północ, to Bóg wie, dokąd zaprowadzi je rozmowa. Nie mogą sobie pozwolić na żadne starcie. Nie wówczas, gdy w garażu leżą zwłoki, które trzeba gdzieś wywieźć.

Kiedy wróciła do saloniku, zastała Madeleine siedzącą na kanapie niczym mumia, z oczami utkwionymi w oknie, skąd za ścianą deszczu migotały światła miasta. Rachel naląła im drinki, siadła na fotelu wypchanym kulkami i zapaliła papierosa.

- Zasadniczą sprawą jest wybór miejsca - odezwała się. - Jak najdalej od Bath.

- Wiem, dokąd jechać. - Madeleine spojrzała na nią.

- Naprawdę?

- Czy ma przy sobie jakieś dokumenty?

- Jasne, że nie. Przeszukałam mu kieszenie. Wszystko wyjęłam i spaliłam. Cokolwiek było splamione krwią, wylądowało tam. - Wskazała w stronę kominka. Palenisko było czyste, Rachel wyszorowała je dokładnie i zmyła wybielaczem. - Jego komórkę wrzuciłam do rzeki, gdy szłam do ciebie do poradni... tak samo jak... narzędzie zbrodni.

Przez dłuższą chwilę obie w milczeniu popijały whisky. Ciszę przerwała Madeleine.

- Jak wiele osób wie o twoim związku z Antonem?

- Tu nikt, może z wyjątkiem tego starego zgreda obok, który mógł widzieć, jak Anton się tu zakradł i wywiózł psa.

- A w Londynie?

Rachel się skupiła. Nie była kobietą Antona już od kilku lat. W ciągu ostatniego roku wiele razy myślała ze wstydem o ich patologicznym związku. Nie przypominała sobie, by komuś się z tego zwierzała, a on w tym czasie odwiedzał ją bardzo rzadko.

- Praktycznie nikt. Ale jest Sasza. - Rachel poczuła gwałtowny ból brzucha. - No i Uri.

Jeśli odkryją zwłoki Antona, policji może wisieć jakiś zamordowany obcokrajowiec bez papierów, ale Uri zareaguje inaczej. Wkrótce z pewnością domyśli się, że coś się zdarzyło. I nie popuści. Jest jak rottweiler pilnujący swej kości, a lojalność wobec Antona zmusi go do odkrycia prawdy. Zajmie się tym w pierwszej kolejności. Już mu się uruchomił alarm w głowie na wieść o paszporcie Saszy i o jej udziale w jego wykradzeniu. Zjawi się tu w asyście paru mięśniaków i razem zmuszą ją do gadania, to jasne. Zmusi także Saszę. I z całą pewnością go weźmie. Przecież już jej mówił, że dzieci jego brata są jego dziećmi. Odkąd urodziła Saszę, to zdanie ją prześladowało. Teraz zupełnie spanikowała. Mogła jedynie stłumić

w sobie krzyk trwogi. Zdała sobie sprawę, że nie ma żadnego wyjścia. Cokolwiek zrobi, zostanie rozdzielona z Saszą.

- O czym myślisz? - zagadnęła Madeleine łagodnym tonem.

- O niczym.

- Gdzie jest Sasza?

- W takim pensjonacie z Charlene.

- Co im powiedziałaś?

Rachel spojrzała na nią z niechęcią.

- Co za różnica? Powiedziałam Charlene, że potrzebuję być sama, bo chcę się przespać z pewnym facetem. Raczej jej nie wspomniałam, że zabiłam człowieka i że razem z moją matką zamierzam go wrzucić do jakiegoś rowu.

- Rachel, może byś przystopowała z sarkazmem? - odparła Madeleine, marszcząc czoło. - Naprawdę mogę się bez tego obejść.

Madeleine miała rację. Zachowywała się beznadziejnie, a przecież matka chciała jej pomóc.

- Sama widzisz, że nie chcesz mieć takiej córki - mruknęła ponurym tonem.

- A co z paszportem? Miał go ze sobą?

- Tak. Szwajcarski, na lewe nazwisko. Też go spaliłam. Ale domyślam się, że mógł mieć inne. Na pewno ma gdzieś ukryty paszport rosyjski lub ukraiński.

Madeleine napiła się whisky, po czym mruknęła:

- Problem polega na tym, że zawsze istnieje DNA i dane dentystyczne.

Rachel wpadła we wściekłość.

- I co, do jasnej cholery, każesz mi z tym zrobić? Zapewniam cię, że nie został mu ani jeden ząb.

Madeleine się wzdrygnęła. Na ten widok Rachel ogarnęła jakaś perwersyjna satysfakcja. A więc ta kobieta chciała odnaleźć swoją córkę? Ha! Słodka dziewczynka, jaką bez żalu oddała, przemieniła się w odrażającą prostytutkę i morderczynię, w odbezpieczony granat, istotę kompletnie nieprzewidywalną, niebezpieczną, skutek prowokacji zdolną do wszelkich czynów.

- Chodźmy tam i rzućmy na niego okiem - odezwała się agresywnym tonem. - Chcę, żebyś go zobaczyła. Musimy wykombinować, jak go wsadzić do bagażnika twojego samochodu.

Madeleine jednym haustem wychyliła whisky do dna. Widząc to, Rachel omal nie wybuchnęła śmiechem, ale wbrew swojej woli poczuła do matki coś w rodzaju sympatii.

Zeszły na dół.

- Słuchaj, nie byłam tu od wczorajszej nocy, więc nie mam pojęcia, na co natrafimy - rzekła, przeklinając się w duchu za drzenie w głosie. - Ciepło tu... o, widzisz, tam jest bojler.

- To tylko doba. - Madeleine chwyciła ją za rękę i popatrzyła w oczy. - Rachel, to się stało ubiegłej nocy, tak? Nie wcześniej, na przykład przedwczoraj czy trzy dni temu?

Rachel gapiła się na nią bez słowa. W jaki sposób to odgadła? Gwałtownie się odwróciła.

- Być może. Może to się zdarzyło przedwczoraj. Czego się spodziewasz? Przez całą noc sprzątałam. Wczoraj nie potrafiłam podjąć żadnej decyzji.

Madeleine zaklęła pod nosem, a Rachel zaczęła jej szybko opowiadać, jak ciągnęła zwłoki Antona po podłodze, a potem po schodach. Przez chwilę mocowała się z zamkiem w drzwiach prowadzących do garażu. Wreszcie go otworzyła i obie zeszły po trzech stopniach w dół, zatraskując za sobą drzwi. W środku panowała ciemność, ale odrobina światła z zewnątrz wpadała przez szczelinę w bramie wjazdowej. Już przedtem Rachel zakryła boczne okna kawałami tektury, które przylepiła do framug taśmą klejącą. Teraz przekreśliła kontakt i w pomieszczeniu rozbłysła świetlówka.

Stały przez chwilę bez ruchu, żeby przywyknąć do światła. W garażu panował trudny do określenia smród, zapewne wskutek brudu i wilgoci. Rachel dobrze się wywiązała z zaklejenia okien, zużyła na to prawie całą rolkę. Zrobiła parę kroków do przodu i uniosła leżący przy ścianie stary materac Saszy. Tu znajdowały się zwłoki - wielki obły kształt. Bzyczało nad nim kilka much.

- Chodź tu - rozkazała.

Madeleine podeszła do niej. Przez sekundę panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć kapania wody z jakiejś nieszczelnej rury. Rachel liczyła w duchu, że to z tego powodu pod zwłokami powstała wilgotna plama.

- O Boże! - wyjęczała, cofając się o krok.

- Trzeba ustawić samochód tyłem do wjazdu - rzekła Rachel drżącym głosem. - Wtedy wrzucimy to do bagażnika. Nie będzie łatwo.

- To się za nic nie zmieści do bagażnika mojego samochodu. Jest za... długie.

Trzema susami Rachel dopadła Madeleine, chwyciła ją za podkoszulek na karku i powiedziała zduszonym szeptem:

- To trzeba to będzie złożyć wpół, Madeleine. Chyba że chcesz go pociąć na kawałki i wynieść w reklamówkach. Możemy tak zrobić, jeśli wolisz. Tata zostawił mi ostrą piłę... Gównu mnie to obchodzi, jestem gotowa go poćwiartować.

Madeleine zniecka uderzyła ją w twarz. Rachel nie poczuła specjalnego bólu, ale ten gest kompletnie ją zaskoczył; jej policzek poczerwieniał.

- Słuchaj uważnie - Madeleine odezwała się stanowczym tonem. - Myślisz, że jest mi to potrzebne? W każdej chwili mogę zmienić zdanie. Jeśli chcesz, mogę natychmiast się stąd wynieść, a ty poradzisz sobie tak, jak zechcesz.

Przez dłuższą chwilę obie mierzyły się wzrokiem. Rachel puściła podkoszulek Madeleine.

- Przepraszam - mruknęła. - Nie zamierzałam tracić panowania nad sobą. Jestem kłębkiem nerwów.

Madeleine lekko dotknęła jej zaczerwienionego policzka.

- Wcale się nie dziwię. To dla każdego byłoby zbyt wiele. Czy jesteś pewna...

- Tak, jestem - odpowiedziała Rachel zdecydowanym tonem.

- Wracajmy na górę. Nie możemy tu rozmawiać - orzekła Madeleine. - A zresztą jest jeszcze zbyt wcześnie.

Burza się wzmagiła. Co kilka minut rozlegały się ogłuszające grzmoty. Obie kobiety weszły po schodach i usiadły w sa-

Ioniku, co chwila zerkając w okno. W czarnych chmurach pojawiały się błyskawice. Powietrze tak zgęstniało, że niemal nie było czym oddychać. Nie sposób było myśleć. Rachel chciała dolać im whisky, ale Madeleine wstrzymała ją gestem. - Więcej nie pijemy. Pamiętaj, musimy prowadzić. Nie chcemy, żeby zatrzymała nas policja i zbadała alkomatem, prawda?

- My? Chyba masz na myśli siebie.

- W jaki sposób Anton się tu dostał?

- Przyjechał samochodem.

- I gdzie on teraz jest?

Samochód Antona! Jak to się stało, że w ogóle o nim nie pomyślała?

- O kurczę! - krzyknęła. - Musi być zaparkowany gdzieś niedaleko. To wielka maszyna.

Madeleine pochyliła się nad nią.

- Masz kluczyki?

- Tak. Mam. Chciałam wyrzucić je razem z komórką, ale w końcu tego nie zrobiłam. Są w mojej torebce! - Zrozumiała, że Madeleine znalazła sposób na wywiezienie rozkładających się zwłok nie swoim samochodem. Niemal się uśmiechnęła.

- Na kogo zarejestrowany jest ten samochód? - spytała Madeleine.

- Ma francuskie tablice. Jestem pewna, że podrobione. Pamiętam, jak Anton wrócił nim z kontynentu z którejś ze swoich podróży biznesowych, razem z dwiema dziewczynami. Płynęli promem, już ja sobie wyobrażam, co się działo w ich kabinie.

Madeleine milczała ze zmarszczonym czołem.

- Prowadzisz samochód? - odezwała się wreszcie.

- Nie mam prawa jazdy, jeśli o to pytasz. Tata kiedyś nauczył mnie prowadzić, ale od tego czasu minęło sporo lat. - Utkwiła wzrok w Madeleine. - Ty jesteś w tym dużo lepsza. Nie spodoba ci się, jak usiądę za kierownicą.

- Chodźmy się przejść - rzekła Madeleine, wstając. - Poszukamy tego auta.

* * *

Było dobrze po północy, gdy poświata telewizyjna w saloniku Toma znikła, a po piętnastu minutach zgasło światło w jego sypialni.

Madeleine przez cały ten czas obserwowała z okna sąsiednią posesję.

- Nadeszła odpowiednia pora. Ruszamy do działania. Wyszła na dwór, żeby podjechać samochodem Antona,

a Rachel czuwała w garażu. Gdy usłyszała warkot silnika, pociągnęła linkę. Brama wjazdowa uniosła się nadszpiewanie lekko, Madeleine wjechała tyłem. Obie nasłuchiwały, czy w pobliżu ktoś nie jedzie lub idzie. Ulewa nie ustępowała. Wyglądało na to, że wszyscy w sąsiedztwie udali się na spoczynek.

Nie zapaliły światła, poruszały się po omacku. Z lękiem zbliżyły się do zwłok, bojąc się ich dotknąć. Chwyciwszy zrolowany plastik za końce, zaczęły go taszczyć do bagażnika, lecz miały tak spocone dłonie, że szło im jak po grudzie. Pakunek ciągle wyslizgiwał się z rąk, taśma klejąca się odrywała i ciało niemal wysunęło się z folii. Spuchnięta, ciemnoniebieska dłoń plasnęła o podłogę. Obie popatrzyły na nią z przerażeniem. Była zbyt ludzka, zbyt żywa, jakby gotowa je złapać i pociągnąć za sobą do piekła.

Madeleine nagle wyprostowała się i dotknęła ramienia Rachel.

- Jego palce - odezwała się cichym głosem. - Co o tym myślisz?

- Co takiego?

- Palce... pozbyć się. Będzie lepiej. Rachel poczuła na ramionach gęsią skórę.

- Niby jak się pozbyć?

- Mam w samochodzie sekator.

- O cholera. Madeleine, to koszmarnie.

- To by robiło wrażenie porachunków mafijnych, nie sądzisz? -

Madeleine stała bez ruchu, wpatrując się w ciemnościach w Rachel. - A poza tym kobieta, matka jego syna, nie znalazłaby w sobie tyle sił, fizycznych lub emocjonalnych, żeby tak sadystycznie torturować mężczyznę.

- Zdziwiłabyś się - mruknęła Rachel pod nosem. Otarła czoło wierzchem dłoni. - Dzięki za pomysł, choć jest chory. Nie przypuszczałabym, że coś takiego w tobie tkwi. - Przez dłuższą chwilę

obserwowała Madeleine. - Jestem pewna, że bardziej przekonywające by było, gdyby mu odciąć kutasa.

- A Uri? Czy on by nie doszedł do wniosku, że to zabójstwo na zlecenie gangu? Mogłybyśmy mu wysłać palce w paczce.

Choć sama idea była odstręczająca, Rachel zorientowała się, że Madeleine ma niezły pomysł, gdyby nie...

- Nie, Madeleine, jeśli Uri wykryje, że Anton zginął, to przyjedzie po Saszę. Dobrze wiem, co mu chodzi po głowie. Nigdy nie dopuści, żebym wychowywała dziecko jego brata. Rozumiesz? Liczę tylko na to, że uwierzy, że Anton gdzieś wyjechał, ale wkrótce wróci. - Głos jej się załamał, z gardła wyrwał szloch. - Ten koszmar dopiero się zaczął.

Madeleine kiwnęła głową. Obie wróciły do swego zajęcia.

Zwłoki były spuchnięte i miękkie, unosił się od nich fetor. Muchy bzyczały coraz głośniej. Zdołały przeciągnąć pakunek zaledwie o kilka metrów, wstrząśnięte obrzydliwością tej roboty. W końcu Madeleine pochyliła się i objęła klatkę piersiową denata.

- Łap za drugi koniec - rozkazała.

Mimo obrzydzenia Rachel usłuchała i chwyciła trupa za nogi. Z najwyższym wysiłkiem uniosły go i idąc krok po kroku, wsunęły do bagażnika. Madeleine miała rację, niełatwo było go zgiąć.

Z nieba lały się strugi deszczu. Rachel, ściskając w dłoniach kierownicę, z trudem widziała cokolwiek przed sobą. Była tak skonana, że chciało się jej płakać. Nie miała wprawdy w prowadzeniu, więc jazda za samochodem Madeleine wymagała od niej ogromnej koncentracji. Jazda dwoma samochodami była szaleństwem, po prostu skrajną głupotą. Nie przestawało jej gnębić, do czego Madeleine zmierza. Poddała się jej przewodnictwu na oślep, nie wiedząc, co dokładnie ma na myśli.

Gdyby straciła z oczu jej mercedesa, zostałaby sama z trupem w bagażniku, jeżdżąc w kółko po tych pustkowiach, w ciemności, przy akompaniamencie wyjącego wiatru i ulewnego deszczu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje i dokąd ma się udać. Była już w stanie psychicznej rozsypki, częściowo wskutek głodu nikotynowego, bo pech chciał, że w tym napięciu zapomniała wziąć fajek. Do tego ciągle była na granicy wymiotów, obsesyjnie myśląc o pakowaniu zwłok Antona. Z jakiegoś powodu było to dla niej bardziej odrażające niż samo morderstwo - smród, muchy, miękkie w dotyku, rozkładające się ciało kochanka. Trudno to będzie wymazać z pamięci, będzie ją to budzić w środku nocy i dręczyć prawdopodobnie do śmierci.

Rachel jechała za Madeleine już od ponad dwóch godzin. Najpierw przez Bristol, później przez godzinę autostradą M5, wreszcie skręciła w jakąś szosę, Bóg wie dokąd prowadzącą. Nie odrywała oczu od zderzaka auta Madeleine, więc nie zwracała uwagi na znaki drogowe. Znajdowała się na jakichś pustkowiach, nigdzie nie widać było żadnego światła, zbliżała się trzecia w nocy. Deszcz walił w przednią szybę z niebywałą mocą. Madeleine znowu skręciła, tym razem w jakąś wiejską drogę. Następnie zwolniła i zjechała na kolejny wąski trakt. Dlaczego ta cholerna kobieta się nie zatrzymała? Dlaczego nie zrobić tego tutaj? Mogłyby zataszczyć zwłoki na jedno z tych pól, było tu pełno starych furtek, wystarczyło ukryć go w zaroślach i dać nogę. Ale nie, Madeleine jechała bez końca. Może nie umie trafić do upatrzonego miejsca? Powiedziała, że je zna, ale odmówiła odpowiedzi, gdzie to jest. Twierdziła, że nie potrafi go opisać. Rachel pozostawało więc tylko jechać za nią w tym bezmyślnym szukaniu kryjówki. Co jej przyszło do głowy, żeby zaufać Madeleine?

Droga stopniowo wznosiła się w górę i była coraz trudniejsza do jazdy. Deszcz spływał strumieniami, gałęzie drzew szorowały karoserię. Rachel już miała zamiar wyciągnąć komórkę i zatelefonować do Madeleine pod numer podany jej w ostatniej chwili, kiedy tamta nagle skręciła w lewo, mijając dużą tablicę. Rachel z trudem odczytała napis „Zarząd Lasów”, ale reszty już nie zdołała odcyfrować, no i była jeszcze tabliczka „Droga prywatna”. Jechały teraz przez gęsty las, ciemny i ponury. Po kilku kilometrach znalazły się na kamienistych pustkowiach

bez drzew, krzewów. Drogę porastała trawa, momentami trudno ją było dojrzeć. Jechały ciągle pod górę. Deszcz chwilowo ustąpił, za to nadciągnęła tak gęsta mgła, że nie sposób było dostrzec samochodu Madeleine. Kiedy nieco opadła, Rachel zorientowała się, że jadą na wrzosowiska. Poępny krajobraz przesywały dalekie błyskawice. Po kilku kolejnych kilometrach w aucie Madeleine zapaliły się światła stop, samochód stanął.

Madeleine wysiadła z mercedesa. Oświetlona reflektorami drugiego auta dawała Rachel znaki, żeby zjechała na pobocze i zgasiła silnik. Rachel wysiadła. Były na końcu drogi, jeśli coś takiego można było nazwać drogą.

- Gdzie, do cholery, jesteśmy?- krzyknęła załamującym się głosem. - Czy naprawdę musiałyśmy zasuwać tak daleko?

Madeleine nie odpowiedziała. Była mokra i miała determinację w oczach. Przez chwilę Rachel poczuła na sobie jej wzrok. Była w nim pewność, autorytet, coś trudnego do określenia. Nie myślała o słowie „matka”, ono samo przyszło jej do głowy. Ktoś, kto się troszczy, kto zrobiłby wszystko... i nigdy nie zawiedzie. Ach, sentymentalne głupoty, z których szybko się otrząsnęła.

- Zostań tu i nie ruszaj się z miejsca, bez względu na to, jak wiele czasu mi to zajmie - zakomenderowała Madeleine. - Usiądź w moim samochodzie.

- Mamy działać razem - zaproponowała słabo Rachel. Madeleine spojrzała na nią.

- Być może. Jednakże pośrednio jestem odpowiedzialna za to, co się stało. Daj mi to zrobić. Do tego nie potrzeba nas obu.

Otworzyła bagażnik, wyciągnęła z niego dwa duże pojemniki z grubego plastiku i dwie plastikowe torby. Zawlokła je na tylne siedzenie samochodu Antona i zapaliła silnik.

- Co ty do cholery wyprawiasz? - krzyknęła Rachel. Nie dostała odpowiedzi. W oszołomieniu patrzyła, jak Ma-

deleine naciska gaz i rusza z miejsca. Wielki czarny samochód przejechał przez strumień i wjechał na wrzosowiska. Szybko zniknął jej z oczu, słychać było tylko ryk silnika, a potem ciszę. Przemoczona Rachel usiadła na fotelu pasażera w mercedesie z oczami utkwionymi w punkt, w którym straciła kontakt wzrokowy z Madeleine.

Mijały minuty. Co, do diabła, ta kobieta robi? Usiłowała się uspokoić. Jaki plan ma Madeleine? Z pewnością ukryje gdzieś samochód razem ze zwłokami. Rachel wyobrażała sobie, że po pozbyciu się ciała Antona porzucą jego auto bez tablic rejestracyjnych na jakimś parkingu przed supermarketem. Trudno jej było zdecydować, czy to dobry, czy zły pomysł. A zresztą było za późno, żeby to roztrząsać. Musiała po prostu zaufać Madeleine. A ona jej. Mogłaby przecież przesiąść się na siedzenie kierowcy i odjechać. Była to jednak ich wspólna akcja, i choć groziła wieloma konfliktami, zarazem je ze sobą łączyła. Minęło dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Nadeszła kolejna fala deszczu. Co się stało? Gdzie ta Madeleine?

Rachel była już gotowa wysiąść i ruszyć tam, gdzie zniknęła Madeleine, gdy nagle rozległ się ogłuszający huk, a w niebo wystrzelił słup ognia. Samochód płonął. No jasne. Plastikowe pojemniki. Benzyna lub inny płyn łatwopalny. Po kilku minutach nadbiegła Madeleine. Bez tchu wskoczyła do samochodu i rzuciła torby na tylne siedzenie.

- Dzięki Bogu, że tak mocno pada - wykrztusiła. - W przeciwnym razie spaliłybyśmy pół Devonu.

- Chryste, Madeleine - odezwała się Rachel, tłumiąc chichot.

Płomienie strzelały wysoko w niebo.

Siedziały w milczeniu, gapiąc się na łunę w oddali. Pożar stawał się coraz mniej widoczny, zakrywały go zarośla, ale pełzająca mgła przybrała teraz pomarańczową barwę.

Rachel odwróciła się w stronę Madeleine, przemokniętej i rozczochranej.

- Właściwie co dokładnie zrobiłaś?

- Zepchnęłam samochód do parowu - odparła Madeleine. - Liczyłam, że wtedy płomienie nie będą tak widoczne.

Miejmy nadzieję, że nikt nie sterczy w oknie kilometry stąd, by podziwiać deszcz i błyskawice, i nie wezwie straży pożarnej.

- Gdzie jesteśmy? Jak to się stało, że znasz to miejsce?

- To Dartmoor. Mój kolega ma domek letni kilka kilometrów stąd. Niedawno byłam tu i zgubiliśmy się na tych pustkowiach. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby wrak samochodu odkryto po tygodniach, a nawet miesiącach. Tak czy inaczej, spalone auta nie są dziś czymś nadzwyczajnym.

- No a zwłoki? Chyba raczej są.

W tym momencie samochód wybuchł. Płomienie wystrzeliły we wszystkich kierunkach przy akompaniamencie ogłuszającego huku, ale deszcz i grzmoty szybko go stłumiły.

- Otworzyłam kanister i obficie polałam je benzyną, zwłaszcza ręce i to, co zostało z jego twarzy - oznajmiła Madeleine opanowanym tonem, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Wątpię, czy cokolwiek z nich się ostanie, więc nie przejmuj się ewentualną identyfikacją. On był gangsterem należącym do świata, w którym jeden gang regularnie morduje członków drugiego. Pewnie zrobił któremuś z nich jakiś przekręt albo wkroczył na czyjeś terytorium, no i po nim. Prawda, Rachel? Proste jak drut.

- Uri może w to nie uwierzyć.

- Zastanowimy się, co z nim zrobić. - Wrzuciła bieg, zapaliła światła. - Jeden już z głowy, następny też musi zniknąć - dodała, jakby do siebie.

Niezdolne do myślenia i do najprostszej wymiany zdań, wracały w milczeniu do Bath. Madeleine wybrała drogę prowadzącą przez wioski, jechały więc wzdłuż pagórkowatych pól Somerset. W jaki sposób potrafiła się poruszać w tym labiryncie lokalnych szos, było dla Rachel zagadką. Ponadto widoczność była bardzo ograniczona. Gwałtowne ulewy nadchodziły i ustępowały. Cienki pasek fioletu na horyzoncie zapowiadał świt, na niebie ciągle kłębiły się bure chmury.

- Może nie przejawiam zbyt dużego entuzjazmu do tematu -

przerwała milczenie Rachel - ale zakładam, że wiesz, kto jest moim ojcem.

Madeleine przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

- Mój mąż - powiedziała wreszcie. - Nazywał się Forrest Serota.

Rachel była zaskoczona.

- To wy mieliście ślub? Myślałam, że urodziłaś mnie, jak miałaś szesnaście lat.

- Pobraliśmy się potem - wyjaśniła Madeleine i dodała ledwie słyszalnym szeptem: - Kiedy było już za późno.

- Powiedz mi coś jeszcze.

- On był po prostu... bardzo porządnym człowiekiem. Zabawny, inteligentny, łagodny.

- Jak był taki wspaniały, to dlaczego nadal nie jesteście ze sobą?

- Gdybyś przeczytała listy, które ci zostawiałam, wiedziałabyś, że nie żyje. Zginął, kiedy właśnie skończyłaś dziewiętnaście lat. Rachel, on oddałby wszystko, gdyby mógł cię zobaczyć. Bezustannie pragnął cię odnaleźć. - Obróciła się do niej i obrzuciła ją surowym spojrzeniem. - Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by cię znaleźć.

Jej ojciec nie żyje. Rachel nie bardzo wiedziała, co w związku z tym ma poczuć. Był mężczyzną, ojcem, kimś, kto jej poszukiwał, a nie, jak to sobie wyobrażała, krostowatym nastolatkiem, który w nieudolny sposób rozdzielczył równie młodą i niedoświadczoną Madeleine.

Madeleine wyciągnęła z kieszeni w drzwiach laminowaną fotografię. Rachel wzięła ją do rąk i zaczęła się jej przyglądać. Był przystojny, trzeba przyznać, a uśmiechał się tak, jakby niczym się nie przejmował. To tak niby wyglądał człowiek opętany misją odnalezienia swej córki? Miał taką otwartą twarz. To ją zaniepokoiło. Ludzie z takimi twarzami zawsze coś ukrywają.

Oddała zdjęcie Madeleine i znowu jechała w milczeniu. Kiedy Rachel dostrzegła na drogowskazie, że do celu podróży zostało im dwadzieścia kilometrów, poczuła na sobie wzrok Madeleine.

- Rachel, dlaczego zrobiłaś to w ten sposób?

- Masz na myśli popielniczkę?

- Nie. Chodzi mi o to, dlaczego zgłosiłaś się do mnie na terapię? Jeśli chciałaś mnie poznać, mogłaś to zrobić w inny sposób. Z pewnością słyszałaś o agencji zajmującej się kontaktowaniem adoptowanych dzieci z ich biologicznymi rodzicami. A więc odrzuciłaś taką możliwość.

- Odrzuciłam? - zareagowała Rachel ostrym tonem. - To słowo brzmi dziwnie w twoich ustach. - Zamilkła na chwilę, zdając sobie sprawę, że winna jest Madeleine jakieś wyjaśnienie. - Myślę, że chciałam cię sprawdzić, bez przechodzenia przez cały ten melodramat ponownego spotkania matki i córki. Sęk w tym, że jesteś zbyt dobrą terapeutką. Od razu mnie wyczułaś. A ja pomyślałam, że skoro i tak płacę ci kupę kasy, to może wyleczysz mnie z Antona.

- To dość perwersyjne, takie wykorzystywanie mnie. Rachel roześmiała się nieprzyjemnym tonem.

- A widzisz! Taa, jestem dobra w perwersji. - Zimno spojrzała na kobietę będącą jej matką. - Może miałam na myśli rodzaj perwersyjnego odegrania się na tobie. Widzisz, ja pamiętam. Pamiętam wszystko.

- A więc mi opowiedz - odparła Madeleine, zjeżdżając do zatoczki i gasząc silnik. - Opowiedz, co pamiętasz.

- Pamiętam, że srałam z przerażenia - wybuchła Rachel. - Zostawiłaś mnie z tą porąbaną starą czarownicą. To pewnie twoja matka.

- Tak, moja matka. Była wtedy całkiem młoda, w każdym razie młodsza niż ja teraz, ale doskonale rozumiem, jakim przerażającym doświadczeniem było to dla ciebie, gdy obserwowałaś, jak popada w szaleństwo. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale zapewniam, że nie zdawałam sobie sprawy z jej postępującej choroby. Ona tak bardzo cię kochała, a ty kochałaś ją. - Wyciągnęła rękę, dotknęła ramienia Rachel. - Czy cię skrzywdziła?

Rachel cofnęła rękę.

- Skrzywdziła? Chyba żartujesz. Popatrz, jak skończyłam.

Wpatrywała się w smugi deszczu na szybie. Zaraz potem przyszedł jej na myśl Sasza. On też doznał wielu krzywd wskutek szaleństwa swoich rodziców. Kim była, by pierwsza rzucić kamieniem?

- Rachel, a w jaki sposób dowiedziałas się tego wszystkiego o mnie i o motywach, jakimi się kierowałam?

- Dowiedziałam się tego od moich rodziców. Oni wiedzieli o tobie wszystko.

Madeleine zmarszczyła czoło.

- Nie. Z pewnością nie wiedzieli.

Zamilkła, a Rachel pomyślała w duchu, że może zostawi ten temat w spokoju; nie chciała o tym rozmawiać. Jasne, że zrobiła coś perwersyjnego. Niemniej kiedy odnalazła nazwisko Madeleine Frank w książce telefonicznej z adnotacją, że jest psychoterapeutką, pokusa była zbyt wielka. Kilkakrotnie obserwowała, jak Madeleine wychodzi z pracy, a wówczas szła za nią aż do jej domu. I kiedyś wreszcie pojawiła się w poradni, zamówiła wizytę. Wcale nie chciała się zgłosić, a jednak stawiała się o umówionej godzinie.

- Nie wierzę, że chciałaś się zemścić - przerwała milczenie Madeleine.

- Myślę, że pragnęłaś mieć matkę. Sądzę, że mnie potrzebujesz.

- Bzdury!

- Uważam, że postąpiłaś w ten sposób, bo jesteś tchórzem. Zabrakło ci odwagi na normalne spotkanie. Przyszłaś i opowiedziałaś mi o swojej skandalicznej przeszłości, żeby mnie przetestować, sprawdzić, czy zaakceptuję cię taką, jaka jesteś. I przekonałaś się, że tak. Polubiłam cię, troszczyłam się o ciebie, szanowałam cię, mimo twoich prób, żeby mnie zszokować i pognać. A kiedy się zorientowałaś, że dochodzimy do prawdy, przerwałaś terapię. - Popatrzyła przeciągle na Rachel. - Zaaprobowałabym twój gniew, twój uczciwy gniew. Zdaję sobie sprawę, że popełniłam karygodne błędy, ale nadal jestem twoją matką. W głębi serca zawsze nią byłam. To uczucie nie opuściło mnie nawet na jeden dzień.

- Och, daj spokój - zachnęła się Rachel. - Mamy już chyba dosyć rozrywek tej nocy?

Znowu zapadła cisza. Madeleine uruchomiła silnik, ruszyła. Wjechały do Bath od południa. Dochodziła siódma rano, zaczynały się poranne korki. Deszcz trochę osłabł, ale niebo było nadal zaciągnięte ciemnymi chmurami.

Gdy jechały pod górę w stronę Fairfield, Rachel odezwała się nagle:

- Wyrzuć mnie na końcu mojej ulicy.

- Nie - zaproponowała Madeleine. - Szkoda, że siebie nie widzisz. Zostałabyś aresztowana za włóczęgostwo. Podwiozę cię pod same drzwi. I posłuchaj, natychmiast pozbądź się tego ubrania. Masz na nim DNA Antona. I dokładnie wyszoruj garaż.

Rachel uśmiechnęła się ironicznie.

- Tak, mamo.

Pięć minut później zajechały pod dom. Stary Tom siedział w oknie i obserwował, jak Madeleine zatrzymuje samochód.

- No dobrze - odezwała się Rachel z ręką na klamce. -Zrobiliśmy wszystko według umowy. Prawda, Madeleine? Teraz jesteśmy kwita.

Madeleine się skrzywiła.

- Nie. Jeśli o mnie chodzi, nie była to żadna umowa.

- Jak to? Po tym wszystkim, co właśnie odwaliliśmy? -Rachel stanowczo pokręciła głową. - Nie ma co dalej tego ciągnąć. Sorki.

Otworzyła drzwi wejściowe.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła Madeleine. - Wiem, że to nie miejsce ani czas, ale chcę z tobą porozmawiać. Pragnę pewnych wyjaśnień. To przynajmniej jesteś mi winna.

Rachel przytknęła drzwi.

- To niedobry pomysł. Przemyśl to. Między nami jest trup.

Na twarzy Madeleine odmalował się niepokój. Nic nie mówiąc, zaczęła pospiesznie grzebać w torbie. Wyjęła stamtąd pomietą kopertę.

- Paszport Saszy. Rachel wzięła go od niej.

- Nie wracaj tu - ostrzegła surowym tonem. - Nie chcę cię więcej widzieć. I nie próbuj śledzić Saszy lub odstawiać innych numerów. - Uchyliła drzwi samochodu, jakby żałując ostrych słów. - Madeleine, posłuchaj, widywanie się z tobą jest niebezpieczne dla mnie i dla Saszy. I pewnie także dla ciebie.

Madeleine przytrzymała ją za ramię.

- Może masz rację. Na jakiś czas. Ale pamiętaj: zamierzam wyjechać z Bath i uważam, że oboje powinniście pojechać ze mną. Tam, gdzie jadę, będziecie bezpieczni.

Rachel pokręciła głową.

- Zapomnij o tym. Gdybym wyjechała z Bath, Uri miałby dodatkowe powody, ażeby podejrzewać, co się naprawdę stało. Będzie na nas czyhał, tego jestem pewna. A jeśli policja znajdzie zwęglone szczątki Antona, to i ona się tu zjawi. Jak więc widzisz, muszę tu zostać i udawać, że nie mam pojęcia, co się stało z Antonem. A co do twojego wyjazdu z Bath, uważam, że to dobry pomysł, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Na twarzy Madeleine odmalował się smutek.

- Myślę, że nie potrafiłabym mieszkać tu dłużej, wiedząc, że ty i Sasza jesteście tak blisko, a zarazem tak daleko. Jeśli uważasz ponad wszelką wątpliwość, że nie życzysz sobie mnie w swoim życiu, to mój wyjazd jest najlepszym rozwiązaniem, prawda? Musimy obie zostawić to za sobą i jakoś poradzić sobie z resztą życia.

Rachel prychnęła ze złością. „Poradzić sobie z resztą życia”. Co za banał! No cóż, pocziwa stara Madeleine odfrunie z Bath i uwolni się od kłopotów.

- Gdzie się wybierasz? - zagadnęła, przeklinając się w duchu za to pytanie.

- Wracam na Florydę. Do miejsca, z którego pochodzę. Posłuchaj, chcę ci zostawić mój adres, zarówno tutaj, jak i u Johna, mojego współnika z poradni. Gdybyś potrzebowała mojej pomocy. A może jednak zdecydujesz się wyjechać ze mną.

- Nie!

Madeleine, patrząc jej prosto w oczy, mówiła gorączkowo:

- Pomyśl o Saszy. Dlaczego nie dopuszczasz do tego, aby

on wybrał, zwłaszcza że moja pomoc oznacza ogromną różnicę w jego przyszłych losach? Kiedy umrze mój ojciec, odziedziczę mnóstwo pieniędzy. Ty możesz ode mnie niczego nie chcieć, ale powinnaś mieć na względzie dobro Saszy.

Rachel wzruszyła ramionami, ale w głębi ducha była zdumiona. Nie przyszło jej do głowy, że Madeleine jest związana z innymi ludźmi, że ma krewnych. Gdyby nie była teraz tak wykończona, może miałyby ochotę zapytać, kim oni są.

- Madeleine, pieniądze nie rozwiążą moich problemów, a poza tym mam ich całkiem sporo na koncie. - Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. - Czy to ty robisz przelewy do mojego banku? Czy ukrywasz się pod nazwą Langlane Holdings?

- Langlane Holdings? - Madeleine potrząsnęła głową, zaskoczona pytaniem. - Nie. A kto to jest?

- Mniejsza o to. - Rachel pchnęła drzwi, wysiadła z samochodu. Nim zatrzasnęła je za sobą, nachyliła się ponownie. - Nigdy nie zrobiłabym tego bez ciebie, jestem ci wdzięczna. - Zniżyła głos, dodając cieplejszym tonem: - Madeleine, spróbuj o mnie zapomnieć. Gdyby nie dzisiejsza noc, może sprawy potoczyłyby się inaczej. Jeśli ci to pomoże, to wiedz, że ci przebaczyłam. Naprawdę. Ale to musi być pożegnanie. - Głos jej zadrżał. - A teraz proszę, odjedź i nie patrz za siebie.

Podbiegła do furtki, potem do drzwi wejściowych. Nie chciała się odwracać, a jednak to zrobiła. Madeleine nadal siedziała w samochodzie, nie odrywając od niej oczu. Jej piękna twarz wyrażała głębokie cierpienie. Kiedyś ta twarz wywoływała w Rachel furie, teraz budziła żal i rozpacz.

Przekręciła klucz w zamku i oddaliła się myślami od kobiety w aucie. Byli inni, złowrodzy ludzie, których należało się obawiać. Jeszcze dzisiaj musi zmienić zamki. To pierwsza rzecz, jaką należy się zająć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Madeleine obudził własny przestrah. Noc była czarna jak smoła, ale jeszcze we śnie usłyszała niepokojące trzaski, a chwilę potem niebieskawe światło wypełniło całą sypialnię. Nastąpił grzmot. Burza wróciła. Mogłoby się zdawać, że każdemu katastrofalnemu wydarzeniu w jej życiu towarzyszyły gigantyczne kataklizmy. Tak było podczas jej narodzin, przyjścia na świat jej dziecka, śmierci męża, spalenia zwłok kochanka córki.

Zerknęła na zegarek przy łóżku. Minęła czwarta nad ranem. Dwadzieścia cztery godziny temu ruszała z posepnych pustkowi Dartmoor w długą drogę powrotną do Bath. Tam, wysoko na wrzosowiskach, podpaliła ludzkie ciało, jakby to był worek z odpadkami. Tylko źli ludzie potrafią zrobić coś takiego - jednostki pozbawione sumienia, mające za nic godność człowieka. Uczyniła to bez chwili wahania, tak jak Edmund pozbywał się śmiecia ludzkiego. Początkowo poczuła przerażenie na widok pełnego zastygłej krwi krateru, jakim kiedyś była twarz Antona, ale wcale nie zbierało się jej nawet na wymioty. Tak jak poradził Edmund, musiała wykonać konkretną robotę, więc czyniła to mechanicznie i dokładnie.

Wstała z łóżka. Miała na sobie tylko majtki i wysmarowany farbą podkoszulek. Boso ruszyła do kuchni, żeby zrobić sobie kawę. Przeszła do saloniku, usiadła z kubkiem przed obrazem przedstawiającym jej wersję Ukrzyżowania. Płótno zdominowało cały pokój. Kobieta (ona sama) pożerana żywcem,

torturowana aż do śmierci. Była to wstrząsająca wizja, ale opowiadała jej. W jakiś koszmarny sposób przechodziła rytuał oczyszczenia... zwłaszcza teraz.

Burza na chwilę ucichła. Nagle rozległ się rozdzierający krzyk. Po chwili następny. Było w nim coś chorego, jakby wyrывał się z gardła samego diabła. Może to wycie lisa. Lisia nora znajdowała się nieopodal, w zaroślach przy ulicy. Tak, to na pewno musiał być lis. Madeleine się wzdrygnęła. Jak łatwo można postradać zmysły. W jaki sposób czyny popełnione przez nią poprzedniego dnia pozostaną w jej pamięci? Będzie próbowała je zrationalizować - już wielokrotnie tak robiła - ale obrazy będą do niej wracać... Gdyby tylko mogła z kimś porozmawiać, zrzucić z siebie to brzemień.

Wiedziała, z kim może pomówić na ten temat... Zdawała sobie sprawę, co mogłoby pomóc, ale przysięgła sobie, że więcej tego nie zrobi. A właściwie dlaczego nie?

Zakryła twarz rękami, starając się znaleźć na to dogłębną odpowiedź. Z jakiego powodu wyrzeka się swego dziedzictwa, swoich prawdziwych wierzeń? Stale sobie powtarza tę idiotyczną mantrę „Jestem brytyjską psychoterapeutką”, pozbawiając się w ten sposób mądrości i przewodnictwa, które były dla niej dostępne, póki ich sama nie zanegowała. Teraz rosła w niej wewnętrzna pewność. Ponieważ przestała być terapeutką, może wierzyć w to, co zechce. Uśmiechnęła się. Przodkowie odezwali się do niej, przypominając, że w jej żyłach płynie krew plemienia Joruba.

Wstała, poszła do holu. Zapaliła światło w schowku pod schodami i wczłogała się do najodleglejszego kąta. Tam, w pudełku po butach, był ukryty jej ołtarzyk ku czci bogini Oya. Wyciągnęła karton, zaniosiła go do saloniku. Wyjęła ołtarzyk, postawiła na stole. Miał kształt szafki z mahoniem z parą drzwiczek. Otworzyła je z gwałtownym biciem serca. Wewnątrz znajdowała się figurka świętej Teresy z przybitą do niej małą czarną lalką, przedstawiającą dwa oblicza bogini.

Wzięła ze sobą ten ołtarzyk, gdy odjeżdżała z Key West, i przysięgła sobie, że nigdy więcej go nie otworzy. Odkąd huragan Angelina uśmiercił jej męża, Madeleine znienawidziła

swoją *orisha*, obwiniając ją o tę katastrofę, ale teraz, na widok figurki, poczuła w sobie przyływ sił. Oya dawała je kobietom i popierała stosowanie magii. Była istotą bez trwogi, jedyną boginią walczącą w wojnach, a ze swym kochankiem Changi władała pospołu potęgą huraganów, wiatrów, grzmotów i ognia. Tylko ona stała na straży grobów. Wpatrując się w figurkę, Madeleine uprzytomniła sobie, że Oya przyszła jej z pomocą, i i zapewnia przewodnictwo. Może jej *orisha* szuka z nią pojednania. Przyniosła tę burzę, zaprowadziła ją do miejsca, które stało się grobem Antona, zapewniła jej ogień.

Kiedy świt przedarł się przez chmury, Madeleine schowała ołtarzyk, posprzątała w saloniku i wreszcie poczuła się wolna od zdarzeń, które rozegrały się w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin. Nie będzie więcej zadrezczała się myślą mi na temat swego czynu, nie będzie się gryzła losem córki, która ją odrzuciła. Skoro tak ma być, musi to zaakceptować. Poczowała się silna, w głowie miała jasność i wyraźnie sprecyzowane plany.

Zrobiła sobie następny dzbanek kawy i poczęła w myślach układać listę zadań. Musi jak najszybciej skontaktować się z agencją nieruchomości, żeby wystawić dom na sprzedaż, zamieścić ogłoszenie o sprzedaży samochodu w piśmie „Auto Trader” albo zwrócić go Neville'owi. W ciągu następnego tygodnia postara się spotkać ze wszystkimi swoimi pacjentami i wyjaśnić im, że nie będzie mogła kontynuować z nimi terapii. To dość koszmarnie zerwanie, ale nie była w nastroju do rozmyślań na ten temat. Przypomniała sobie też, że musi odwołać swoją obecność na kilku zebraniach i zrezygnować z subskrypcji paru pism. Największym zmartwieniem będzie powiadomienie Rosarii i Neville'a, że ich opuszcza. To na prawdę straszne. Jak tylko rozlokuje się w Key West, spróbuje znaleźć placówkę, w której umieści matkę. Mama oczywiście odmówi, powie, że musi czekać na swojego męża (zwłaszcza teraz, kiedy uwolnił się od tej kobiety). No i trudno będzie dla niej znaleźć coś na poziomie Setton Hall. Ale Rosaria musi z nią pojechać, nawet za cenę obniżenia standardu życia.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Madeleine spojrzała na zegarek. Właśnie minęła siódma rano. Mimo niekompletnego ubioru postanowiła otworzyć.

W progu stała Rachel ze zwieszonymi ramionami, zmoczona do nitki.

- Rachel - wyjąkała Madeleine. - Co się stało? - Zrobiła krok do przodu i wciągnęła córkę do środka, szybko zatrzaskując drzwi. - Wchodź. Zaraz przyniosę ci ręcznik. Idź tam. - Pchnęła ją w kierunku saloniku.

Pobiegła na górę, próbując zebrać myśli. Co się stało? Coś bardzo złego, bo inaczej Rachel nie pojawiłaby się tutaj. Nie po ich rzekomo ostatecznym rozstaniu poprzedniego ranka, nie po tamtej nocy. Włożyła dżinsy, chwyciła ręcznik i grubą koszulę. Z rosnącym niepokojem zeszła na dół.

Rachel stała przed *Ukrzyżowaniem*.

- Czy to twoje dzieło?

- Tak.

- Już wiem, skąd on bierze natchnienie. Madeleine przystanęła obok i popatrzyła na obraz.

- Kto? Kogo masz na myśli?

- Robi potworne rysunki - mruknęła Rachel. - Sasza. Świetnie sobie radzi na lekcjach z plastyki, ale czasami rysuje przerażające sceny.

- To niewątpliwie wyraz jego lęków - skwitowała Madeleine. - W jaki sposób tu trafiłaś?

- Szłam kiedyś za tobą - odparła Rachel, zerkając w bok. - Chciałam zobaczyć... ach, mniejsza o to.

- Co się stało?

Rachel odwróciła się gwałtownie i spojrzała jej prosto w oczy. Miała w twarzy dzikość. Na ten widok Madeleine ogarnął straszny niepokój, mimowolnie zadrżała. Owinęła ręcznikiem barki Rachel i wręczyła jej koszulę.

- Wytrzymaj się i usiądź. Właśnie zaparzyłam kawę.

Zająły miejsce na przeciwległych krańcach kanapy, zwrócone ku sobie. Madeleine czekała z oczami szeroko rozwartymi ze strachu.

- Zastanawiałam się nad tym przez całą noc - odezwa-

ła się wreszcie Rachel. - Chcę, żebyś wzięła ze sobą Saszę. Jesteś jedyną osobą, która może zapewnić mu tam bezpieczeństwo. Uri na pewno się u mnie zjawi. Będzie chciał się dowiedzieć, gdzie jest Anton. Będzie mnie torturował albo mnie zabije i weźmie Saszę. Jeśli powiadomię policję, to nawet gdybym doprowadziła do jego aresztowania, naśle na mnie innych. Jeżeli podejrzewa, że to ja zabiłam Antona, nigdy nie zaznamy spokoju.

Madeleine przysunęła się bliżej i chwyciła ją za ramię.

- A więc i ty musisz z nami pojechać. Znikniemy stąd. Skoro jesteś w takim niebezpieczeństwie, nie ruszę się bez ciebie.

Rachel odepchnęła Madeleine.

- Nie! - krzyknęła. - Nie rozumiesz? Jeśli Sasza i ja się ulotnimy, Uri będzie miał pewność: ta sprawa z paszportem, zniknięcie Antona, nasza wyprowadzka z domu - to wszystko pozwoli mu się domyślić, co się wydarzyło. Będzie miał tylko więcej powodów, żeby nas ścigać. Nie znasz tych ludzi. Oni nas odnajdą. Nic ich nie powstrzyma.

Madeleine zerwała się z kanapy i poczęła krążyć po pokoju.

- Czyli zamierzasz siedzieć u siebie i czekać na niego. Chyba jesteś szalona. Nie musisz dać się zabić, żeby ocalić Saszę. - Pragnęła chwycić Rachel za ramiona i potrząsnąć nią. Był to obłąkany i bardzo niebezpieczny plan.

Rachel też zerwała się na równe nogi i stanęła naprzeciw niej.

- Madeleine - zawołała, z trudem panując nad emocjami - to jedyny sposób. - Złapała ją za nadgarstki i siłą posadziła na kanapie. - Posłuchaj mnie. Wysłuchaj. Dziś o świcie ujrzałam wyjście, jedyne w naszej sytuacji. Anton niewątpliwie miał jakieś poważne problemy, jak sama zasugerowałam. Był gangsterem, który zrobił komuś przekręt. Zamierzał wyjechać z Anglii, a Uri wiedział, że chce wziąć ze sobą Saszę. Uri sam zresztą zorganizował mu paszport. Muszę mu wmówić, że Anton zabrał Saszę i ulotnił się stąd, tak jak zaplanował. Uri musi uwierzyć, że Anton znalazł się w takim gównie, że musiał zniknąć, a milczy, bo w ten sposób chroni Uriego i całą

tę ich operację. Uri może nawet podejrzewać Antona, że ten w jakiś sposób go zdradził. Jeśli pojawi się u mnie - a jestem tego pewna - nie będzie Saszy, a ja odegram histeryczną scenę, będę szalała z gniewu, rozpacz, trwogi... Jeśli mi się to uda, może uwierzy, że tak właśnie się stało. Uri wie, że nigdy nie chciałam spuścić Saszy z oka.

Madeleine wpatrywała się w nią bez słowa. Brzmiało to dość wiarygodnie. Może Rachel ma rację.

- Czy nie zechce cię skrzywdzić? Zmusić siłą do wyznania prawdy?

- To jest ryzyko, które muszę podjąć.

Przez długą chwilę nie odrywały od siebie oczu, podczas gdy w ich głowach kotłowały się kolejne przerażające scenariusze.

- A kiedy przyjedziesz po Saszę, Rachel?

- Kiedy minie tyle czasu, że poczuję się bezpieczna. Będę musiała sprzedać dom, wyprowadzić się stąd. Trochę to potrwa. Kilka miesięcy, rok - może nawet dłużej.

- I na tak długo powierzasz mi syna.

- Muszę, prawda? - Rachel spuściła powieki. - Ja ci ufam. Nie jesteś tą suką bez serca, jaką z ciebie zrobiłam. Teraz już to wiem. Do cholery, nie potrafię cię osądzić. Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo pragnęłaś się ze mną spotkać, i byłam podła, grając z tobą w tę brudną grę. - Uniosła wzrok, szukając spojrzenia Madeleine. - Wiem, że będziesz dobra dla Saszy. Wierzę ci. Proszę, weź go.

Madeleine kiwnęła głową.

- Jeśli uważasz, że to jedyny sposób, to wezmę go ze sobą.

- Jak szybko możecie stąd wyjechać?

- Tak szybko, jak to jest w ludzkiej mocy. Za tydzień, może za dwa tygodnie. Zastanawiam się, czy nie będzie problemu z wywiezieniem go z kraju.

- Cholera! - krzyknęła Rachel. - Jak możemy to sprawdzić?

Madeleine wstała, znowu zaczęła krążyć po pokoju.

- Zadzwoń do Biura Emigracji. Jeśli będziemy potrzebo-

wały dokumentu potwierdzającego zgodę drugiego rodzica, to znam prawnika, który coś takiego nam sprokuruje. - Liczyła w duchu, że Ronald Trapp okaże się pomocny. Jako długoletni prawnik Neville'a jest z pewnością osobą, do której będzie mogła się zwrócić z taką delikatną sprawą.

- Kiedy mam podrzucić Saszę? Nie powinien być w domu. Wkrótce Uri ruszy do działania...

- Przywieź go tu od razu. - Madeleine z powrotem usiadła obok niej. - Słuchaj, Rachel, a co z tym jego paszportem przysłanym do mnie? Komu podałaś ten adres?

- Dziewczyna, której go dałam, nie miała pojęcia, kim jesteś. I, jak twierdził Anton, wyrzuciła kartkę z adresem, gdy tylko wysłała paszport. Bóg jeden wie, ile musiała się wycierpieć za tę przysługę. Bardzo źle się z tym czuję. Zdradziła im tylko twoje imię, ale i ono było przekrecone, jak może zauważyłaś na kopercie.

- Czy opowiadałaś komuś, że chodzisz na terapię? Czy ktoś mógłby dopatrzeć się jakiegoś związku między nami?

Rachel się najeżyła.

- Nie, do cholery. Nie jestem taką, co lata po ludziach, gadając o sobie.
- Wstała. - Pójdę już do domu. Nie mogę dłużej zostawiać Saszy z Charlene. Jej też muszę się pozbyć. Szkoda. To dobry dzieciak, a Sasza lubi przebywać w jej towarzystwie.

Przy drzwiach znowu popatrzyły na siebie.

- Lepiej zacznij przygotowywać Saszę. On mnie nie zna. Pomyśl, co masz mu powiedzieć.

- Tak, jasne... O Boże, zapomniałabym. - Z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła paszport i podała go Madeleine. Ich dłonie się spotkały. - Dbaj o mojego chłopaka - rzekła Rachel ze śmiertelnie poważną miną. - Przywiozę go jutro! I proszę, jak najszybciej wyjedź z Anglii.

Madeleine położyła paszport na stoliku w holu.

- Zaczekaj, Rachel.

Zdjęła z szyi łańcuszek, odpięła zameczek. Zsunęła z niego talizman z prochami przodków i włożyła go do kieszeni dzinsów. Łańcuszek z krzyżykiem podała Rachel ze słowami:

- Chcę, żebyś go miała. Był dziedziczony przez pokole-

nia kobiet, w większości bardzo mądrych istot. Ma niezwykłą moc, o której kiedyś ci opowiem. Będzie cię chronił od złego. Jest ci potrzebny, więc go weź. Noś go, Rachel, przez cały czas i nigdy się z nim nie rozstawaj.

Spacer do Harrodsa trwał w nieskończoność. Neville postanowił w pełni wykorzystać swój status starca, a na dodatek inwalidy. Uczepił się ramienia Madeleine, opierając się na nim całym ciężarem. Elizabeth przed wyprowadzeniem się z domu zatrudniła do opieki nad nim potężnie zbudowaną Finkę. Ku zaskoczeniu Madeleine, ojciec polubił tę kobietę. Wiernie mu służyła i odznaczała się zdrowym rozsądkiem, co odpowiadało jego dziecięcym potrzebom. Z tego powodu przestał codziennie wydzwaniać do córki, co było dobrym znakiem, a ona z kolei z całą cierpliwością, na jaką było ją stać, wysłuchiwała jego coraz radszych skarg. Tym razem jednak postanowiła, że to Neville musi jej wysłuchać.

Panował upał i Neville odmówił spaceru przez Beauchamp Place, bo teraz nie mógł gapić się na klientelę ogródkowych kawiarni lub zatrzymywać się przed witrynami galerii, by krytykować wystawiane tam obrazy. Harrods to co innego. Ciągnęły go tam zapachy - mielonej kawy, perfum, kwaciarni, bukietu aromatów w stoiskach delikatesowych, orientalnych przypraw, ziół, czekolady i świeżo pieczonego chleba. Wraz ze stopniową utratą wzroku inne jego zmysły wyraźnie się wyostrzyły. Madeleine z ulgą przyjęła choć jeden pozytywny aspekt jego nieszczęścia.

Przeszli obok ogrodów przy Hans Place i krok po kroku posuwali się Hans Road.

- Czy dolegają ci nogi? - zapytała Madeleine. Neville stanął, patrząc przed siebie.

- Jestem, kurwa, niewidomy, nie? Bądź uprzejma wziąć to pod uwagę.

- Tak się tylko zastanawiałam. - Madeleine westchnęła. Omal nie zasugerowała ojcu, że może przydałaby mu się biała laska, dająca minimum bezpieczeństwa, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język na myśl, jak wściekłą reakcję by to wywołało.

Kierując się węchem, przeszli obok stoiska z pieczywem i wyrobami cukierniczymi. Neville znał drogę i nie musiał tu dbać o swój image. Puścił ramię Madeleine i szedł prosto, płynąc niby wielki okręt. Minęli dział z kwiatami, owocami i warzywami, dotarli do hali z mięsem i rybami.

- Dajmy sobie spokój z kawiarnią, mam ochotę na ostrygi. A ty? - spytał Neville i nie czekając na odpowiedź, pewnym krokiem zaprowadził Madeleine do baru z owocami morza.

Usiedli przy kontuarze. Neville, nie zaglądając do listy win, zamówił butelkę szampana Laurent-Perrier. Z pewnością czynił to tu nie raz. Madeleine nie zapytała o cenę wykwintnego trunku, ale była gotowa partycypować w kosztach. Czemu nie? Ostatni drink z ojcem...

- Normalnie byłby to dzień, który poświęcam na malowanie, wiesz? - rzekła z lekko wymuszonym uśmiechem. - A tymczasem jestem w Londynie i zaraz się upiję ze swoim starym ojcem.

- Nie mam ochoty słuchać o twoim dniu malowania - odparł szorstko.

Obserwowała, jak barman powoli otwiera szampana. Nalał pianałego różowego płynu do dwóch bardzo wysokich kieliszków.

- Neville, nie bądź taki drażliwy - rzekła. - Masz za sobą sześćdziesiąt lat doświadczenia. Nie zniosłabym, gdybym nie mogła rozmawiać z tobą o sztuce. Na miłość boską, zawsze byłeś moim mentorem.

Roześmiał się, podniósł kieliszek - z pewnością doskonale go widział - i nie czekając na Madeleine, opróżnił go do połowy.

- Niekoniecznie zgadzamy się w kwestii sztuki, choć muszę przyznać, że odpowiada mi obrona przez ciebie tematyka. Dobrze o tym wiesz. No i masz talent po mnie. Nie muszę ci tego wszystkiego mówić.

- A może tego właśnie potrzebuję. Rzucam psychoterapię i chcę się całkowicie poświęcić malowaniu.

Była ciekawa, jak Neville przyjmie tę wieść. On jednak nie sprawiał wrażenia żywo tym zainteresowanego lub zdziwionego.

- W porządku, dziewczyno. Jesteś w tym dobra, to pewne. Rozsławiaj ród Franków.

- Neville - rzekła zniecierpliwionym tonem - od dawna zauważyłam, że nigdy o nic mnie nie pytasz.

- Na co się skarżysz? - odparł z lekką irytacją. - Nie masz pojęcia, jak to ze mną jest. Już nigdy niczego nie namaluję, a gdy zostałem starą ślepią pierdołą, żona mnie rzuciła. Nie dostanie ode mnie pieprzonego centa, już ja się o to postaram.

- Od dawna zauważyłam, że nigdy o nic mnie nie pytasz -powtórzyła Madeleine.

Neville obrócił się w jej stronę z teatralnym westchnieniem.

- A o cóż, do cholery, miałbym cię pytać?

Miała teraz wybór. Mogła spędzić ze swoim słynnym i wspaniałym ojcem parę godzin przy ostrygach i szampanie, prowadząc błahą rozmowę, pośmiać się trochę zbyt głośno z jego starych dowcipów i wreszcie ubolewać nad jego pijaństwem i bezradnością. I takim go mogła zapamiętać. Albo mogła mu zakomunikować, że wyjeżdża z Anglii i że prawdopodobnie więcej tu nie wróci.

Łyknęła szampana. Był wyśmienity.

- Posłuchaj, chcę cię zapytać o parę rzeczy... i coś ci opowiedzieć.

- No to zaczynaj - odparł, zerkając na półmisek ostryg zamówiony przez klienta obok. - Wal.

- Jak rozumiem, zostawiasz mi dom w Key West, tak? Gwałtownie zwrócił głowę w jej stronę.

- Chwila! Jeszcze nie umarłem.

Madeleine nie miała ani cierpliwości, ani energii, by bawić się w niezbędne ceregiele.

- Ale zapiszesz mi ten dom, zgoda? Długo zwlekał z odpowiedzią.

- W końcu chyba tak zrobię.

- Neville! Jestem twoim jedynym dzieckiem, przynajmniej nic mi nie wiadomo o innych twoich potomkach.

- A weź sobie ten pierdolony dom! - wykrzyknął głośno. Madeleine bała się rozejrzeć wokół siebie.

- To dobrze. Wkrótce przeprowadzam się do Key West, a dom wymaga sporego remontu.

- Przypuszczam, że chcesz, abym i za to zapłacił - rzekł lodowatym tonem, jakby nie usłyszał, że jego córka rzuca wszystko i wynosi się na drugą półkulę.

- Nie, nie chcę, ale to spora inwestycja, więc chcę, żeby sytuacja była całkiem jasna.

- Co to jest? Pierdolona narada biznesowa? Przed chwilą zakomunikowałaś mi, że przyjechałaś do Londynu, żeby się upić ze swoim starym ojcem. - Szybko odwrócił się do barmana i pstrykając palcami, zamówił następny tuzin ostryg.

Madeleine postanowiła nie zwracać uwagi na jego fochy i ciągnęła:

- Chciałam ci również powiedzieć, że Rachel Locklear, ta pacjentka, o której ci wspomniałam, jednak okazała się moją córką.

Neville zamarł na chwilę, po czym uniósł brew.

- Aha, to o to ci chodzi. No to wypijmy na wiwat.

Z pewnym oporem uniosła kieliszek i stuknęła się z ojcem. Podano następny półmisek ostryg, palce Neville'a powędrowały do nich niecierpliwie, niczym odnóża głodnego kraba.

- I to tyle? - spytała Madeleine. - Nie masz nic więcej do powiedzenia?

Ułożył wargi w ryjek, żeby wessać śliską zawartość muszli.

- No, no, cóż za zbieg okoliczności! - Przełknął ostrygę.

- Nie, to żaden zbieg okoliczności. To ona mnie odszukała i zgłosiła się do mnie na terapię, wiedząc, że jestem jej matką.

Neville tylko potrząsnął głową, więc Madeleine postanowiła na jakiś czas zamilknąć. Niech lepiej zje te swoje ostrygi, nigdy nie odznaczał się rozdzielną uwagą, zwłaszcza gdy w grę wchodziło jedzenie. Obok nich usiedli dwaj młodzi mężczyźni w eleganckich garniturach. Postawili swoje walizeczki na podłodze, rzucili komórki na kontuar i wszczęli głośną rozmowę. Neville niebezpiecznie uniósł brwi. Oho, zaraz coś nastąpi - pomyślała Madeleine, oczekując wścieklej przemowy.

- Zjedz tę ostatnią - odezwał się Neville, ignorując sąsiadów.

- Nie przepadam za ostrygami - odparła, pociągając duży łyk szampana. - Neville, skup się.

- Mów, mów.

- Czy dotarło do ciebie, że przenoszę się na stałe do Key West?

- Cholera! Naprawdę? - Teraz, kiedy odzyskał normalny poziom cukru we krwi, zdawał się nareszcie słyszeć, co do niego mówi. - No to, kurwa, świetnie, Madeleine. Najpierw rzuca mnie Elizabeth, a teraz ty. A ja myślałem o przeprowadzce do Bath. Nawet wystawiłem na sprzedaż mieszkanie przy Pont Street, a agent zapewnia mnie, że będę mógł za nie kupić sobie w Bath luksusowy dom. - Zrobił smętną minę. - Sądziłem, że zajmiesz się mną na stare lata.

- Pozabijalibyśmy się wzajemnie - odparła Madeleine ze śmiechem. - Myślę jednak, że przeniesienie się do Bath to dobry pomysł. Możesz wziąć mój dom.

- Dobry Boże! Co za koszmarna idea.

- No cóż. Składam ci ofertę. Dom za dom.

- A co będzie z twoją matką, Madeleine? Rosarię też zamierzasz opuścić?

Madeleine zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Na końcu języka miała uwagę, kto kogo opuścił. Jednakże w tym momencie rozdzwoniła się komórka leżąca na kontuarze. Odebrał ją wyższy mydłek. Uniesionym głosem podawał instrukcje i liczby, okraszone stereotypowymi uwagami. Purpura na twarzy Neville'a przybrała na sile.

- Jasne, że jej nie opuszczam. Widziałam się z nią wczoraj wieczorem i powiedziałam, że wracamy do Key West. Będę szukała dla niej odpowiedniego miejsca, najchętniej na archipelagu, ale zajmie to parę tygodni. - Zrobiła pauzę. - A może w tym czasie okazałbyś mamie nieco zainteresowania. Mógłbyś ją odwiedzić. Oboje macie wiele do wspominania. Dobrze by wam zrobiło, gdybyś się do niej wybrał.

Neville wyjął szampana z kubelka z lodem i nalał sobie kolejny kieliszek, nie roniąc ani kropli. Sam opróżnił niemal całą butelkę.

- Może cię zainteresuje, że mama odzyskała intuicję

ciągnęła Madeleine. - Na przykład powiedziała mi, że tracisz wzrok, zanim dowiedziałam się tego od ciebie. Ona to wyczuła.

To zaintrygowało narcystycznego starca.

- A co dokładnie powiedziała?

- Że już nie może widzieć twoimi oczyma.

- Naprawdę?

- Tak. Jakimś cudem to wiedziała.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Neville pstryknął palcami na barmana, żądając następnej butelki.

- I powiedziała mi też, jeszcze w kwietniu, że twoje małżeństwo się rozpadnie.

Neville zachichotał.

- Założę się, że odgryzła łypek żywemu nietoperzowi, żeby rzucić zły urok. Dziwię się, że nie zrobiła tego wcześniej. -Z niecierpliwością czekał, aż barman naleje mu szampana. Wypił duszkiem cały kieliszek.

- No cóż - odezwał się w końcu. - Chyba nie zaszkodzi, jeśli pojedę w odwiedziny do tej starej stukniętej wiedźmy.

- Ona wcale nie jest taka stuknięta. Opowie ci takie rzeczy, że będziesz zaskoczony. Zna cię lepiej niż ktokolwiek inny. Pamiętaj, ona jest bardzo utalentowaną santerą. Jesteś w tym cholernym kraju jednym z nielicznych ludzi, którzy rozumieją, co to znaczy.

Nie należało zbyt mocno pogrywać z ojcem, więc Madeleine przystopowała. Zauważyła jednak, że swymi wypowiedziami zaciekała ojca. Stary wyraźnie roztrząsał w duchu uzyskane informacje. Kiedyś, dawno temu, tajemne moce Rosarii głęboko go fascynowały. Byłoby dobrze, gdyby mama mogła przed śmiercią pożegnać się z ojcem. Czują, że matka pragnie takiego finału.

- Co jeszcze byśmy zjedli? - zapytał Neville. - Masz ochotę na homara?

Nagle Madeleine poczuła głód. Miała wrażenie, że od wielu dni nie zjadła porządnego posiłku.

- Tak, chętnie.

Złożyli zamówienie i po niedługim czasie zajęli się pochła-

nianiem dwóch sporych homarów, jakby to była bułka z masłem. Oto zasadzki bogactwa - pomyślała. Lepiej od razu ograniczyć standardy.

Kiedy skończyli, ponownie zwróciła się do ojca.

- Chciałam cię jeszcze o coś zapytać.

- Och. Daj spokój. Nie zgodzę się na zamieszkanie z nią pod jednym dachem.

- To dotyczy mojej córki.

Neville popatrzył na nią podejrzliwie.

- A co z nią?

- Gdyby znalazła się w strasznym położeniu, pomógłbyś jej?

Neville nieelegancko strząsnął z brody resztki jedzenia, używając w tym celu lnianej serwetki. Widać było, że ma już mocno w czubie. Madeleine zastanawiała się w duchu, czy mądrze obrała temat rozmowy.

- Masz na myśli pieniądze? - zapytał zrzędlwym tonem. - Utopiłem w tej rodzinie już połowę majątku.

Madeleine zmarszczyła czoło.

- Coś ty powiedział? Neville zagryzł wargę.

- O cholera! - wykrzyknął z jękiem. - No to teraz już wszystko jest jasne, co? Wiesz, kim ona jest. Alf Locklear ciągle utrzymywał, że mają kłopoty finansowe. Ten skurwiel stale mnie szantażował.

Nastąpiła chwila brzemiennej ciszy. Madeleine chwyciła ojca za ramię.

- O czym ty, do cholery, mówisz? Neville łyknął szampana, po czym czknął.

- O tym facecie o nazwisku Locklear. O parze, która zajmowała się Rosarią. Sam ich najałem. Pani Dottie, cóż za słodziutkie imię, zakochała się w Mikaeli. Oni nie mieli dzieci, czemu trudno się dziwić. Chyba mu nigdy nie stawał.

Madeleine z trudem podążała za tokiem jego chaotycznych myśli. Wyrwała mu z potężnej łapy kieliszek i z hukiem odstawiała na ladę.

- Chryste, Neville, co ty mi opowiadasz?

Usiłował skoncentrować na niej swój gasnący wzrok.

- Teraz dopiero będziesz na mnie wściekła, co? - Nabrał powietrza do płuc. - Ci Locklearowie byli dla niej dobrzy, droga Madeleine. I aby zapewnić sobie ich dobroć, płaciłem im całkiem sporą sumę, pięć tysięcy kwartalnie. Myślę, że taka była stawka. Zostawiłem całą tę sprawę Trappowi, bo lepiej załatwiać takie rzeczy odpowiednimi kanałami, na wypadek - no wiesz.

- O czym ty gadasz? - Madeleine przymknęła oczy, czując, jak kręci się jej w głowie. - Więc przez cały ten czas... wiedziałeś, gdzie ona jest?

- No przecież nie mogłem ci o tym powiedzieć, prawda? Ten cwany gnojek Locklear ciągle groził mi w zawołany sposób. Wiedział, że stałem się sławny, Bóg wie, w jaki sposób, bo nie miał zielonego pojęcia o świecie sztuki.

Madeleine poczuła, jak jej twarz robi się purpurowa. Serce waliło jej młotem.

- Ta para, opiekunowie Rosarii...

- Właśnie. Nie chciałem żadnych kłopotów, żadnych skandali. Locklearowie pojechali sobie na wakacje. I po powrocie znaleźli twoją matkę w oplakany stanie. Możesz sobie wyobrazić nagłówki w gazetach: „Żona Neville'a Franka zabija zwierzątka, wlewa ich krew do butelki ze smoczką i karmi nią maleństwo”. Boże, wyobraź sobie, jaki podniósłby się wrzask. Prasa bulwarowa oszalałaby z zachwytu. Satanizm i inne rzeczy. To by położyło kres mojej karierze i zrujnowało mi reputację. - Z wyraźnym lękiem poklepał ją po ramieniu. -Dokonałem właściwego wyboru, Madeleine. Locklearowie chcieli mieć Mikaelę i cała afera nie ujrzała światła dziennego. Wystarczyła jedna transakcja.

- Mówiłeś mi, że ich nazwisko brzmi Cocksworth.

- Skłamałem. - Rozłożył ręce. - No i masz całą prawdę. Madeleine była bliska omdlenia. Zachwiała się na stołku

barowym, chwyciła za krawędź kontuaru. Barman obserwował ich z niesłabnącym zaciekawieniem. Podszedł do nich, wyjął z kubelka butelkę i rozlał resztkę szampana do kieliszków. Madeleine najchętniej zamordowałaby własnego ojca.

- Ty stary palancie, miałeś mnóstwo okazji, żeby mi o tym powiedzieć - warknęła. - Jak mogłeś ukrywać to przede mną przez tyle lat, wiedząc, jak bardzo pragnęłam ją odnaleźć? Nawet po śmierci Forresta trzymałeś gębę na kłódkę. Neville znowu położył rękę na jej ramieniu.

- Madeleine, miałem ku temu wiele powodów. Założę się, że twoja ukochana córka nie wspomniała ci, że była lub nadal jest zwykłą prostytutką. Nie mogłem ryzykować. Trapp poradził mi, żeby trzymać się od tego z daleka. Już mniejsza o Alfa Lockleara, ale kobieta o takiej moralności pewnie jeszcze chętniej uciekłaby się do szantażu. To by mnie zrujnowało. - Potrząsnął jej ramieniem. - Madeleine, czy ty mnie słyszysz? Kurwa, dawałem im forszę. Nawet po śmierci starego Trapp przelewa pieniądze na jej konto. Pomagam jej. Czy to się nie liczy?

Madeleine była jak sparaliżowana. Nie była zdolna do oszacowania zła, jakie wyrządził jej ojciec.

- Wszystko to uknułeś z Forbushem, prawda? Ile mu zapłaciłeś, żeby poświadczył, że nie nadaję się na matkę? -wykrzyknęła, nie zwracając uwagi ani na barmana, ani na dwóch biznesmenów obok. - A później... miałeś tysiąc możliwości wyzwolenia mnie z tego nieszczęścia. Wiedziałeś, że rozpaczliwie poszukiwaliśmy jej z Forrestem. To, co zrobiłeś, jest ohydne. Tyle nieszczęścia, żeby ocalić twój pieprzony wizerunek, twoją durną reputację.

Neville zrobił zmartwioną minę.

- Zapominasz, że ona nie chciała nawiązać z tobą kontaktu.

Madeleine wyrznęła pięścią w stół.

- Sprzedałeś ją. Przehandlowałeś moją córkę!

Neville grzebał w kieszeniach, szukając pieniędzy. Rzucił na ladę zwitek banknotów.

- Chodźmy stąd - powiedział cichym głosem.

Przeszli przez parter Harrodsa, wynurzyli się na ulicę, znaleźli się na słońcu. Madeleine nie interesowało, co jeszcze Neville mógłby jej opowiedzieć. Sprawa była aż nazbyt oczywista. Szła ulicami w roli jego przewodniczki, Neville znowu uczeplił się jej ramienia.

- Mam jedno pytanie, moja droga - wyjąkał z zadyszką. -Dlaczego jedziesz na Florydę, skoro po tym całym gównie odnalazłaś w końcu córkę? Oświeć mnie, dobrze?

Przystanęła, odwróciła się do niego i wycodziła przez zęby:

- Pytałam, czy mógłbyś jej pomóc, bo ma poważne kłopoty, a mój wyjazd ma jej zapewnić bezpieczeństwo.

Neville przez kilka sekund rozważał jej słowa.

- Madeleine, osoba o takim stylu życia stale prosi się o kłopoty.

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem.

- Neville, moja córka jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To samo dotyczy siedmioletniego syna. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Pytałam, czy byłbyś skłonny jej pomóc, czy udzieliłbyś jej schronienia, gdyby go potrzebowała, ale teraz widzę, że nie mam na co liczyć.

Neville sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

- Nie wspominałaś o jej synu. - Mrugał oczami, jakby nagle spadło z nich bielmo. - A więc w tej przeklętej rodzinie narodził się w końcu mężczyzna. Jak on wygląda?

- Mały jedzie ze mną na Florydę.

- Tak? - Mimo chorych oczu Neville spojrzał na Madeleine przenikliwym wzrokiem. - Słuchaj, jeśli twoja córka potrzebuje schronienia, zrobię, co tylko w mojej mocy.

Popatrzyła na niego z uwagą.

- Czy mogę podać Rachel twój numer telefonu?

- Tak, Madeleine, zrób to. - Wyciągnął rękę i niezdarnie pogłaskał ją po włosach. - Moja dziewczynko, czy sądzisz, że będziesz mogła mi przebaczyć?

Stali na rogu ulicy w ogłuszającym ryku samochodów, patrząc sobie w oczy. Neville stał się nagle zgrzybiałym starcem. Nie pozostaje jej nic innego, jak mu przebaczyć. Cokolwiek uczynił, pomyślała Madeleine, ona też ponosi winę. Nie walczyła wystarczająco mocno. Pozwoliła sobie odebrać dziecko. Podpisała się pod tym przeklętym cyrografem.

Objęła ojca w pasie, nie zważając na jego wydatny brzuch. Z oczu popłynęły jej łzy. Może, pomyślała, gdy Neville z całych sił ją przytulał - może w końcu wszystko zostanie przebaczone.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Rachel czekała na taksówkę w niewielkim holu przy drzwiach wejściowych. Zerknęła na siebie w lustrze. Wyglądała okropnie: blada, z zapadniętymi oczami, niespokojna, skrajnie wyczerpana. Dokładnie tak samo się czuła, na granicy załamania nerwowego, jak wtedy, gdy w Londynie tyrała na Antona, na najwyższych dawkach kokainy.

Tego ranka odwiozła Saszę do Madeleine, zapakowawszy niewiele jego ubrań, blok do rysowania i kredki oraz ulubione płyty kompaktowe. Rozstanie z nim było dla niej strasznym ciosem, zwłaszcza że musiała skłamać i zapewniać go z uśmiechem, że zostanie tylko kilka dni ze swoją nową babcią. Trzeba przyznać, że Madeleine świetnie sobie w tej sytuacji poradziła. Wzięła Saszę za rączkę i zaprowadziła do dużego przezroczystego terrarium z tunelami i mostkami, które łączyły się z kolei z mniejszymi pojemnikami wypełnionymi ziemią. Mrówki zawzięcie budowały tam przejścia. Budzący grozę obraz z ukrzyżowaną kobietą był odwrócony do ściany. Sasza tak się wciągnął w obserwowanie mrówek, że niemal nie zauważył odejścia matki. Rachel obiecała, że będzie wpadać codziennie, póki wszyscy troje nie odjadą do niebieskiego raję, ale zdawała sobie sprawę, że pojawianie się w domu Madeleine może wiązać się z dużym ryzykiem. Lepiej więc było nie zaglądać do Saszy.

Gdy stała teraz przed drzwiami, z oczu pociekły jej łzy. Go-

rączkowo szukała w kieszeni chusteczek. Zatrąbił samochód: to pewnie taksówka, którą wezwała telefonicznie. Kierowca okazał się wesołym i gadatliwym mężczyzną po trzydziestce. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pojechała do Reading pociągiem, kurs będzie ją kosztował majątek. Głupol, nawet wymienił godziny odjazdów, ale trzeba powiedzieć, że dobrze prowadził.

Chciała mu zwrócić uwagę, żeby nie gadał tak dużo, ale w tym momencie odezwała się jej komórka. Aż podskoczyła ze strachu. Kto dzwoni i w jakim celu? Uri? Madeleine? Sasza zawsze przebywał razem z nią, więc może się boi. Przecież Madeleine nie przywykła do towarzystwa dzieci.

- Co jest?

- To Madeleine, nie obawiaj się. Chciałam ci tylko przekazać, że Sasza ma się świetnie. Jest bardzo zajęty. - Dodała szeptem: - Rachel, czy wiesz, co robisz?

- Tak, jestem tego pewna.

- Proszę, bądź ostrożna, bardzo ostrożna. Stale o tobie myślę.

Rachel przymknęła oczy, próbując się wyciszyć. Mimowolnie westchnęła.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy to załatwię - mruknęła, zakrywając usta dłonią.

Madeleine zamilkła i dopiero gdy Rachel zamierzała powiedzieć jej „do widzenia”, odezwała się znowu.

- Posłuchaj, Rachel. Jeśli zauważysz jakieś włosy na koszuli lub marynarce Uriego, spróbuj je dla mnie zebrać. Zrób to jakoś tak zwyczajnie. Jestem przekonana, że jesteś dobra w takich sprawach. Albo, jeśli on zacznie się z tobą szarpać, wyrwij mu włosy. Wystarczy, jeśli zdobędziesz kilka, w najgorszym razie nawet jeden włos. Schowaj go do kieszeni lub ukryj gdzieś.

- Co? W jakim celu?

- Nie oszalałam, ale nie pytaj, po co mi są potrzebne. Włosy! Jeszcze tylko tego brakowało w tej niebezpiecznej

misji! Może to, co się wydarzyło na wrzosowiskach, doprowadziło Madeleine do obłądu. W końcu jej matka jest przecież obłąkana. I Madeleine w takim stanie zajmuje się wrażliwym chłopcem.

- Madeleine, naprawdę... Madeleine szybko ucięła jej protesty.

- Zrób to wyłącznie wtedy, gdy znajdziesz jakiś sposób. Uważaj na siebie i nie podejmuj dodatkowego ryzyka.

A więc tutaj teraz mieszka. Tu trzyma swoje niewolnice, kupczy nimi i je wykorzystuje. Na skraju ponurego kompleksu przemysłowego na wschód od Reading, zaledwie dziesięć minut jazdy od autostrady M4. By zdobyć ten adres, musiała włożyć wiele wysiłku i sprytu, no i przeznaczyć mnóstwo kasy na taksówkę.

Zapłaciła za kurs z sowitym napiwkiem - kierowca był rozanielony - i kazała mu na siebie czekać.

- Jak długo?

- Nie jestem pewna, ile czasu mi to zajmie, ale powiedzmy, że pół godziny.

- No, nie wiem, proszę pani. - Potrząsnął głową. - To będzie dużo kosztować. Czy zamierza pani wracać do Bath?

- Człowieku, czy nie dałam ci przed chwilą kupy szmalu? Masz! - Wyjęła srebrną zapalniczkę i rzuciła ją na siedzenie. - Nie wiedziałam, że ten cholerny kurs będzie taki drogi. W drodze powrotnej będziemy musieli stanąć przy bankomacie, a na razie weź to jako zastaw. Jest to jedyna kosztowna rzecz, jaką mam.

- OK, poczekam - zgodził się kierowca i nie przyjął zapalniczki. - Pod warunkiem, że pani wróci.

Przystanąła na jezdni, zbierając się na odwagę. Czuła się jednak jak ogłuszona. To, co musi zrobić, zdawało się zupełnie nierealne. Nawet strach odzywał się jedynie tępym bólem w brzuchu.

Uniosła oczy, spojrzała na budynek. Od szosy oddzielała go zapuszczona działka, fasada z cegły była ponura i anonimowa. Takie domy budowano w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na pomieszczenia biurowe jakichś firm eksportowo-importowych (ten w jakimś sensie służył temu

po dziś dzień). Były dogodnie zlokalizowane między Londynem i Reading, przy autostradach, i do tego w pobliżu lotnisk Heathrow i Gatwick.

Wszelkie ślady działalności we wnętrzu były niewidoczne przez okna, zasłonięte szarymi żaluzjami. Rachel mogła sobie tylko wyobrazić, jakie ciemne interesy się tam odbywają. Teraz nie dostrzegła tam śladu życia. Był ranek, ludzie pracujący głównie nocą pewnie jeszcze spali. Rachel otworzyła furtkę i ruszyła splekaną betonową dróżką. W szparach rosły chwasty, wzdłuż dróżki dogorywały jakieś kwiaty ogrodowe. Alfie kiedyś z zapalem zajmował się ogrodem, więc Rachel od razu zauważyła, że tu od lat nikt się nie zajmował krzewami. Cała roślinność wokół domu była wyschnięta na wiór.

Przy wejściu zainstalowano niewielką kamerę, był też dzwonek i interkom, ale Rachel kompletnie zignorowała te urządzenia. Wzięła głęboki wdech i poczęła walić pięściami w drzwi.

Po paru minutach otworzył je sam Uri. Nie widzieli się ot) dwóch lat, ale kątem oka dostrzegła, że wygląda dobrze, jest opalony i szczupły, jak człowiek zadowolony ze swego życia. Pchnęła go z całych sił.

Wzięła go przez zaskoczenie, więc zareagował dopiero po chwili. Odnotował wzrokiem czekającą taksówkę, zatrzasnął drzwi wejściowe i próbował chwycić za ramię niespodziewanego gościa, który tymczasem pędził w głąb domu.

- Gdzie oni są? - wrzeszczała Rachel, wyswobadzając się z uścisku. Nie czekając na odpowiedź, usiłowała wbiec po schodach, ale Uri złapał ją za bluzkę i obrócił twarzą ku sobie.

- Pieprzona dziwka. Co tu, do cholery, robisz? - Jego angielski się nie poprawił, nadal odznaczał się cudzoziemskim akcentem.

- Dobrze wiesz, po co przyszłam - zawyła ze łzami w oczach. - Gdzie ich ukryłeś? Gdzie jest mój syn? Gadaj, i to już. Nie pozbędziesz się mnie do końca życia, słyszysz?

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią zmrużonymi oczami.

- To ty mi powiedz, szmato. Powiesz mi, gdzie się podzieli

A więc Uri już wiedział, że Anton zniknął. Zaciśnęła dłonie w pięści, świdrując go wzrokiem.

- Nie próbuj mnie zbyć. Twój pierdolony brat zjawił się u mnie, wziął Saszę na kilka godzin i więcej się nie pokazał. Wiesz o tym, prawda? Załatwiłeś paszport dla Saszy. Dobrze wiem, co to oznacza.

- Kiedy on zabrał Saszę? - zapytał Uri głosem niezdradzającym żadnych emocji.

- W zeszłym tygodniu. Zajął mi cały pieprzony tydzień, żeby się dowiedzieć, gdzie teraz mieszkasz. - Nachyliła się ku niemu i dodała cicho: - Jeśli mi nie powiesz, gdzie jest mój syn, pójdę prosto na policję i złożę zawiadomienie o jego zaginięciu.

Uderzył ją w twarz, aż głowa odskoczyła jej w bok. Jednak w następnej sekundzie rzuciła się na Uriego, jedną ręką chwytając go za włosy, a drugą okładając po głowie. Z zaskoczeniem w oczach złapał ją za ramiona, wbijając kciuki w nadgarstki, żeby zatrzymać dopływ krwi.

- Spróbuj powiedzieć to jeszcze raz! - ryknął. - Wybierasz się na policję?

Uwaga na temat policji była niebezpieczna. Gdy tylko Rachel wypowiedziała tę groźbę, poczuła w sobie rosnący strach.

Przez dłuższą chwilę Uri wpatrywał się jej w oczy, ciągle ściskając za nadgarstki. Ból był nie do wytrzymania, ale Rachel nie rozluźniła pięści. W końcu Uri wzruszył ramionami i puścił ją.

- Ukraina to wielki kraj. Myślisz, że angielskie gliny tam pojedą? - warknął.

- Ukraina? - wyszeptała z przerażeniem.

- Wkrótce stamtąd wrócą - wycedził. - Wracaj do siebie i czekaj jak dobra dziwka. Jak zrobisz drakę i wezwiesz policję, zabiję. - Ponownie wzruszył ramionami. - To takie proste.

- Nie, nie zrobisz tego! - powiedziała zimno. - Wszystko spisałam: nazwiska, adresy, kontakty, wasze machinacje, drogi przerzutów, wszystko, o czym wiem. Wszystko! Zostawiłam u kogoś kilka kopii w zalepionych kopertach, ze znaczkami

pocztowymi. Jeśli cokolwiek mi się stanie, to fruuu - listy zostaną wrzucone do skrzynki. Rozumiesz?

Przez moment na jego twarzy odmalowała się wściekłość, przypuszczalnie na myśl, że Anton, jego rodzony brat, mógł go narazić na takie ryzyko, ale oczywiście nie zamierzał tego okazywać.

- Wracaj do siebie, Rachel - rzekł, popychając ją w stronę drzwi. - Już ja to sprawdzę.

- Sprawdź? - krzyknęła. - Czyli nie wiesz, gdzie oni są? Nie masz pojęcia, dokąd pojechali?

- Spadaj. - Otworzył drzwi i wypchnął ją na dwór, ale Rachel w ostatniej chwili wstawiła nogę w szczelinę.

- Chwila! Poczeka! - krzyknęła. - Czy wiesz, jak się ze mną skontaktować? Znasz mój adres? Masz mój numer telefonu?

Gapił się na nią bez słowa. Najwyraźniej nie miał jej zamiarów. Podanie mu swego adresu było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, ale musiała prowadzić tę grę do końca. Grzebała w torebce w poszukiwaniu skrawka papieru, a przy okazji strząsnęła z ręki jego włos. Wyciągnęła pogniecioną serwetkę i długopis i nabazgrała numer swojej komórki. Uri wziął od niej karteluszki i zatrzaskał jej drzwi przed nosem.

Gdy szła w kierunku jezdni, drżała na całym ciele. Dzięki Bogu, taksówka czekała. Kierowca na jej widok zachichotał.

- Sprzeczką kochanków, co? - Zerknął na nią we wstecznym lusterku. - Wróci, wróci. Miałby nie po kolei, gdyby nie wrócił.

- Muszę zapalić i proszę mnie nie powstrzymywać.

- W porzo, kochana. Widać, że jest pani na musie. Ale tylko jednego papieroska.

Ruszył. Rachel znowu przekopała torebkę, tym razem w poszukiwaniu paczki papierosów, marząc o czymś mocniejszym na uspokojenie nerwów. Rzuciła jeszcze okiem na budynek, był zamknięty na głucho.

Ale na tym afera się nie skończy. Wkrótce Uri będzie jej szukał. Była na to przygotowana. Groziła jej śmierć, i to niezwykła śmierć. Najpierw wymuszą na niej zeznania. A kon-

sekwencje tego wydały się jej takie przerażające, że wołała o nich nie myśleć.

Tak czy inaczej, mały Sasza wyruszy w drogę na drugi koniec świata. Z oczami pełnymi łez głęboko zaciągnęła się papierosem. Kierowca nastawił głośniejsze radio.

Sasza przechylił się przez poręcz, wpatrując się w plastikową zieloną siatkę położoną w dziurze wykopanej w ziemi. Kobieta o imieniu Madeleine trzymała go mocno za rękę, drugą wskazując na ten wykop.

- Widzisz, tu był taki krąg z kamieni. To szczyt muru. Rzymianie trzymali za nim swoje kozy i owce.

- A ty wiesz - zapytał Sasza ostrożnie - że Rzymianie byli bogaci i pływali w gorących basenach? To fakt. Widziałem to na własne oczy.

- Owszem, ale musieli też jeść, prawda? A poza tym nie wszyscy Rzymianie byli bogaci. Czy wiesz, że pod Bath znajduje się ich całe starożytne miasto?

- Jasne, że wiem. - Popatrzył na nią. Miała kręcone czarne włosy, błyszczące oczy i była ubrana w dżinsy. - Czy naprawdę jesteś moją babcią? - zapytał z podejrzliwością w głosie. - Nie wyglądasz na babcię.

- A jak one wyglądają? - zapytała ze śmiechem.

- Są stare - odparł. - Mają siwe włosy. I noszą suknie w kwiatki.

- Naprawdę?

- I mówisz inaczej.

- Jestem Amerykanką.

- Dlaczego nigdy przedtem cię nie widziałem?

- Twoja mama i ja... no, myśmy dopiero teraz się odnalazły.

- Pokłóciłyście się? Madeleine ścisnęła go za rękę.

- Może trochę. - Rozejrzała się wokół, nie wypuszczając jego rączki.

- Wracajmy do domu, dobrze? Zatrzymaj sobie ten kapelusz i okulary przeciwsłoneczne. Wyglądasz w nich super.

* * *

Dom Madeleine różnił się od jego domu. Miał grube mury, w których czuł się bezpiecznie. Ona nie miała męża. Nikt tu nie przychodził w odwiedziny, nikt nie przyciskał dzwonka. W terrarium stojącym w saloniku mrówki pracowały dzień i noc, robiąc tunele i miejsca do składowania jajeczek, albo pędziły tunelami, żeby odwiedzić swoich sąsiadów. Madeleine obiecała, że niedługo zbudują nowy, większy domek dla mrówek, tym razem wyłącznie dla niego.

I wszędzie były obrazy. Na prawie wszystkich były mrówki, miliony tych stworzeń. Madeleine zdjęła je ze ścian i położyła na podłodze, żeby Sasza mógł się lepiej przyjrzeć. Tylko jednego obrazu nie chciała mu pokazać. Był wielki, więc obróciła go do ściany. Sasza miał ochotę zobaczyć, co na nim jest, ale Madeleine ostrzegła go, żeby nawet nie próbował tego robić. Powiedziała, że obraz mógłby mu spaść na głowę.

Zdawał sobie sprawę, że czekają na coś ważnego, więc dla zabicia czasu oglądał mrówki - i te żywe, i te namalowane. Albo siadał na kanapie i rysował.

- Na co czekamy? - zapytał po raz setny.

Madeleine wzięła głęboki wdech, po czym obróciła się ku niemu.

- Posłuchaj, Sasza, plan jest następujący: pojutrze odlatujemy samolotem na pewną wyspę. Będzie ci się tam podobało. Mamy tam wielki, stary dom. W ogrodzie jest domek na rozłożystym drzewie. Kiedy byłam małą dziewczynką, należał do mnie, a teraz, jeśli zechcesz, będzie twój, twoje specjalne miejsce. Co ty na to?

- Ale co z moją mamą? Czy ona o tym wie?

- Tak, wie.

- Pojedzie z nami, prawda? Madeleine przez chwilę milczała.

- Przyjedzie, ale później. Musi tu załatwić parę spraw, co zajmie jej trochę czasu. Jeśli ci się tam nie spodoba, zawsze możemy wrócić.

- To jej nie będzie na moich urodzinach?

- A kiedy one są?

Sasza wytarł gumką jedną z narysowanych przez siebie

mrówek. W porównaniu z tym, jak rysowała je Madeleine, te były okropne. Jej mrówki wyglądały doskonale.

- Za trzy tygodnie, w niedzielę.

Madeleine przestała rysować. Po chwili chwyciła go za ramię.

- Za trzy tygodnie, w niedzielę?

- Tak.

Madeleine wybuchnęła śmiechem.

- Mój Boże, dzieciaku, mogłam to odgadnąć - rzekła. -Urodziłeś się Angelinie.

Sasza naburmuszył się.

- Nie - zaprotestował. - Moja mama ma na imię Rachel. Madeleine ciągle się śmiała, aż łzy spływały jej po policzkach Odwróciła się ku niemu, wzięła go za rękę.

- Angelina to nazwa huraganu. To miałam na myśli. Przyszedłeś na świat wraz z huraganem.

Nie mógł zasnąć. Łóżko było dziwne, miększe niż jego pościelenie w domu i wielkie. Będzie miał własne łóżko, kiedy dojadą na tę wyspę, gdzie słońce świeci niemal co dzień. Marzył o tym, żeby się tam znaleźć, z dala od przenikliwych odgłosów i krzyków w nocy, ale tęsknił za mamą.

Unióśł głowę znad poduszki, nasłuchiwał. Cisza. Madeleine pewnie śpi w swojej sypialni. Zastanowiło go, czy mrówki śpią w nocy. Czy leżą na boku i drzemią każda z osobna, czy razem na kupie, czy też wciąż pracują?

Wstał i na palcach podszedł do drzwi. Otworzył je, w ciemności świeciła się nocna lampka, którą zostawiła Madeleine. Na dole również paliło się światło. Podreptał do szczytu schodów Zaczął cichutko schodzić. Zerknął do salonu i ujrzał tam Madeleine siedzącą przed terrarium, obróconą plecami do drzwi. Przez chwilę obserwował ją w milczeniu. Miała na sobie szlafrok i coś robiła w domku dla mrówek. Zagłębiała dłoń w słoiku, po czym wrzucała jakieś drobiny do otworu w daszku terrarium. - Co robisz?

Przestraszył ją, obróciła się ku niemu.

- Karmisz je, tak?

- Coś w tym rodzaju.

Przystanął i patrzył, o ona powróciła do swego zajęcia. Wyjmowała szczypczykami pożywienie. Kiedy wrzucała je do terrarium, rzucały się na nie dziesiątki mrówek i ciągnęły je w głąb korytarzy. Pochylił się, żeby zobaczyć, czym je karmi z czarnego słoika, który trzymała w ręce. Nie mógł nic zobaczyć. Pokarm był niewidzialny.

- Tam nic nie ma - orzekł, wpatrując się w nią ze zdumieniem. - Ty tylko udajesz.

- Owszem, do pewnego stopnia masz rację - odparła, pochłonięta swoją czynnością.

Nachylił się jeszcze bardziej i zajrzał do słoika. A jednak coś tam było na samym dnie. Wyglądało jak pocięte włosy.

- Dajesz im włosy? - chciał się upewnić.

- Tak. Wygląda na to, że one to lubią, nie sądzisz? Przymuszczałnie użyją ich w charakterze budulca.

- A co to jest? Ta rzecz, którą im wkraplasz?

- To jest rodzaj słodkiego soku... z drzewa. Te stworzenia to uwielbiają. - Znowu spuściła kroplę. Z wyraźnym skupieniem wyciągnęła ze słoika włoski po włosku.

- Po co to robisz?

Uśmiechnęła się do niego, jak ładnie wyglądała w przyćmionym świetle.

- Eksperymentuję. Nie wiem, czy to podziała. Nie jestem pewna tego, co robię, ale muszę spróbować.

- Czy lubisz swoje mrówki?

- Tak, bardzo.

- Miałem psa. Naprawdę go lubiłem, ale już nie żyje.

Madeleine popatrzyła na niego. Następnie potrząsnęła słoikiem i naraz wysypała mrówkom resztę włosów. Odstawiła naczynie na stolik, usiadła na podłodze i rozpostarła ramiona.

- Chodź tu, Sasza. Opowiedz mi o tym psie, którego tak lubiłeś.

Podszedł do niej, a ona mocno go objęła. Sasza na ogół nie przepadał za uściskami, ale z niewiadomego powodu jej ręce sprawiły mu przyjemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Była piękna czerwcową sobota. Nad Bath świeciło słońce, a powietrze po dwudniowym deszczu było wolne od wszelkich zanieczyszczeń. Miejscowi i przyjezdni spacerowali po mieście w skąpych strojach, jedli lody, siedzieli w kafejkach i popijali napoje orzeźwiające. Przed pubami wystawiono na chodnik stoły, przy których popijano stawiane za darmo piwo.

Rachel nie dostrzegła tego radosnego nastroju. Siedziała w kawiarni internetowej, i co chwila zerkając przez ramię, z trudem wystukiwała na klawiaturze tekst maila i odbierała pocztę. W ten sposób co tydzień kontaktowała się z Madeleine. Odczytując krótkie wiadomości od Saszy - Mamusiu, dobrze się tu bawię, kocham cię - wyobrażała sobie, jak jej syn skacze po plaży w jakimś amerykańskim kurorcie, bawiąc się z miłymi dzieciakami, a potem siada pod palmą, by zjeść pyszny posiłek: kanapki z masłem orzechowym, arbuz, popijając to wszystko mleczkiem ze świeżo rozłupanego kokosa. Jest na pewno opalony na brąz, a na jego podekscytowanej buzi stale gości radość. Madeleine przysyłała uspokajające wieści: chłopak ma się świetnie, tylko tęskni za mamą.

Przez jakiś czas włączyła się po mieście, po czym kupiła butelkę whisky i karton papierosów, torebkę suszonych fig, pół litra mleka i neskę. Ciężko było dźwigać torbę z zakupami

pod górę, ale było to nieodzowne. Była już mocno zmachana, gdy zmierzała w kierunku Fairfield Park. Jak długo jeszcze będzie musiała wspinać się na to przeklęte wzgórze? Wrzuciła peta do studzienki ściekowej, bo nie mogła jednocześnie palić i iść pod górę, ale wiedziała, że gdy tylko dowlecze się na szczyt wzgórza, zapali kolejną fajkę. Próbowwała ograniczyć palenie ze względu na finanse i zdrowie, co było widać gołym okiem. Co kilka kroków musiała przystanąć i odczekać, aż przejdzie jej zadyszka.

Gdy tak stała, ciężko dysząc, w jej kieszeni rozległ się brzęczyk komórki. Przez dłuższą chwilę nie mogła się zorientować, co to za dźwięk, bo od wyjazdu Madeleine z Saszą przed trzema tygodniami nikt do niej nie dzwonił. Zesztywniała, po czym podniosła komórkę do ucha.

- Kto mówi?

- Uri.

A więc stało się. Wreszcie! Mimo bolesnego skurczu w brzuchu powitała ten telefon z ulgą. Skończyła się męka wyczekiwania.

- Uri! - krzyknęła. Przerazenie w jej głosie brzmiało autentycznie. - Dlaczego się do mnie nie odzywałeś? Masz jakieś wieści?

- Musimy porozmawiać.

- O czym? Uri, co się stało?

- Opowiem ci osobiście. Gdzie mieszkasz?

- Och, Boże! Co z Saszą? Mów od razu!

- Twój adres?

- Sasza? - wyszeptała. - Coś mu się stało?

Uri zamilkł. Rachel niemal słyszała, jak kłębiamy się myśli.

- Przywiozę Saszę do ciebie. Dzisiaj wieczorem. To ją powaliło. Ale facet bezczelnie łże.

- Masz Saszę? - rzekła podejrzliwym tonem. - Anton go przywiózł? Nie kłamiesz?

- Rachel, odnajdę cię bez trudu, więc lepiej podaj mi ten adres.

- Zaraz ci podam, tylko daj mi najpierw zamienić słówko z Saszą.

Nastąpiła cisza, po czym usłyszała kliknięcie. Uri się rozłączył. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Przysiadła na murku odgradzającym

od ulicy rząd ogródków. Wrzuciła komórkę do torby, wygrzebała papierosy. Trzęsącymi się rękami zapaliła, zaciągnęła się mocno. Kobieta w oknie zrobiła na jej widok groźną minę. Rachel guzik to obchodziło - niech przyjdą i zepchną ją z murku, wtedy usiądzie na chodniku.

Myśl! Myśl! - powtarzała sobie. Co teraz zrobić? Od ostatniego jej spotkania z Urim minął miesiąc i w miarę upływu kolejnych dni coraz bardziej się bała, co się stanie. On pewnie nadal się nie domyśla, w przeciwnym razie już by ją zabił. Chyba że właśnie coś wykrył albo zaczął podejrzewać, że jego brat nie uciekł, lecz został zamordowany, zamordowany przez kogoś, kto nie był jego zwykłym wrogiem. Z pewnością weźmie ją na spytki. Będzie bezlitosny – super sadysta o żelaznej woli. Gdy wyciągnie z niej prawdę, sprzątnie ją, a potem ruszy na poszukiwanie Saszy. Nawet jeśli ona zdoła zataić miejsce pobytu Saszy, poruszy niebo i ziemię, by odnaleźć bratanka. Uri pogwałcił wszelkie prawa ludzkie oprócz jednego - więzów krwi.

- Zjeżdżaj z tego murku! - krzyknęła kobieta stojąca w otwartym oknie.

- A co ci do tego? To nie twój dom - odwarknęła Rachel, nie ruszając się z miejsca. Zamierzała dokończyć papierosa, nie stać ją było na ich marnowanie.

- To prywatna nieruchomość, a moi sąsiedzi mają już dosyć takich jak ty, co to wrzucają pety i puszki po piwie do ich ogródka.

- Coś podobnego - wymamrotała Rachel. Była tak zmęczona i zdenerwowana, że nie mogła wydobyć z siebie krzyku.

Kobieta z taką siłą zatrzęsnęła okno, że aż szyby zadrżały.

Po kilku kolejnych sztachnięciach Rachel rzuciła peta na chodnik i ruszyła przed siebie, przystając co kilka kroków niczym staruszka. Może była głodna, nic nie jadła przez cały

dzień. Straciła resztki apetytu. Pragnęła jedynie ogłuszyć się jakimiś pastylkami, ale wiedziała, że musi być czujna i w pełni przytomna. Marzenie o znieczuleniu się podsunęło jej pewien pomysł. Może zawróci do miasta i kupi dużą dawkę heroiny. Wstrzyknie sobie całą porcję i w ten prosty, bezbolesny sposób rozwiąże wszystkie problemy. Jej życie jest do dupy. Synek odjechał, a ten potwór z piekieł wkrótce pojawi się w jej domu, będzie ją bił, torturował albo zrobi jeszcze coś gorszego. Tymczasem natknie się na jej trupa. Przynajmniej nic z niej nie wyciągnie, a jeśli zapyta sąsiadów, ci opowiedzą mu historyjkę, którą im sama wmówiła: Sasza odjechał z ojcem na Ukrainę. Wszystkim ją sprzedała: staremu Tomowi Bainsburrowowi, parze młodych ludzi, którzy wprowadzili się naprzeciwko, chłopakowi w kiosku z gazetami. Sasza będzie miał boskie życie z Madeleine, która przecież jest jego babką i wskutek poczucia winy zrobi wszystko, by dzieciak był szczęśliwy i bezpieczny. Rzeczywiście, przedawkowanie jest świetnym wyjściem. A ponadto była już skrajnie zmęczona, nie pozostawało jej nic innego.

W parku zatrzymała się przy huśtawkach i przysiadła na ławce. Znowu zapaliła, wyciągnęła whisky. Odkręciła nakrętkę, pociągnęła spory łyk. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało. Najpierw musi zdobyć strzykawkę i igłę, używane lub nowe, to już bez znaczenia. W Bath było mnóstwo ćpunów, musi zagadać któregoś z nich i znaleźć dilerę. Reszta była prosta, widziała to już wiele razy. Podgrzać herę z kilkoma kroplami soku z cytryny i odrobiną wody, wciągnąć do strzykawki i przez filtr od papierosa wstrzyknąć wszystko do żyły.

Ale po tym, co przeżyła, gdy była w łapach tych dwóch braci, i po koszmarze, jakim było wyeliminowanie jednego z nich, czy mogła dopuścić, żeby o jej życiu i śmierci decydował drugi? W ten sposób obaj by wygrali, odzierając ją ze wszystkiego. Nie, nie pozwoli, żeby tak się stało. Musi żyć dla Saszy. Nawet jeśli w tym dalekim miejscu jest mu lepiej i bezpieczniej, pewnie nadal potrzebuje matki.

W trakcie tych rozmyślań przypomniała sobie o czymś,

o czym Madeleine napomknęła na którejś sesji. Nie tylko Sasza wymagał poczucia bezpieczeństwa... nie tylko jej syn był ważny i drogi... liczyło się też jej własne dobro. To miało sens. Przecież i ona była istotą ludzką.

Położyła się na kanapie, czytając *Zen w samoobronie*, podręcznik napisany przez jakiegoś pięknoducha, który chyba nigdy nie był zaatakowany. Wtem rozległ się dzwonek u drzwi. Wszystkie mięśnie w jej ciele napięły się do ostateczności, jakby trafił je piorun. Zerwała się na równe nogi, instynktownie szukając wzrokiem kryjówki. Ugryzła się w rękę, żeby się opanować, i gorączkowo powtarzała w myślach gotowy plan. Co zamierza zrobić, co odpowiedzieć. Wsunęła książkę pod kanapę i zbiegła na dół, błyskawicznie rozważając wszystkie kroki. Na jej twarzy pojawiła się wystudiowana wcześniej "mina, mająca znamionować lęk i nadzieję. Powtarzała sobie w myślach wyuczone słowa: „Odnalazłeś ich? Słyszałeś coś od nich? Kiedy wracają?”.

Otworzyła na oścież drzwi, myśli galopowały jej w głowie.

I zamarła w nich z półotwartymi ustami. W progu nie stał Uri ze swoimi pacholkami. To była Charlene.

Przez kilka sekund żadna z nich się nie odezwała. Charlene sprawiała wrażenie zaskoczonej dzikim spojrzeniem Rachel, jej widocznym zdenerwowaniem i trzęsącymi się dłońmi. Rachel z kolei nie mogła wręcz uwierzyć, że w drzwiach jej domu stoi nie potwór z piekła rodem, lecz dawna opiekunka Saszy.

- Cześć, Rachel - odezwała się w końcu Charlene. - Wpuścisz mnie?

- Chryste, Charlene, jasne. Miałam właśnie wyjść. Musi szybko się z nią uporać. Nie może dopuścić, żeby Uri

zastał u niej Charlene. Popchnęła ją w kierunku schodów na górę, poszły do kuchni. Charlene usiadła przy stole, Rachel nastawiła czajnik i wyciągnęła z szafki dwa kubki.

- Wiem, że chciałaś, żebym zostawiła cię na jakiś czas w spokoju - mruknęła dziewczyna. - Nie widziałam was

jednak od kilku tygodni i pomyślałam, że może potrzebujesz...

- Sasza pojechał ze swoim ojcem na Ukrainę i tam będzie teraz mieszkał - przerwała jej Rachel, nie patrząc na nią.

Charlene wlepiała w nią oczy.

- Naprawdę? - spytała przeciągle z miną świadczącą o niedowierzaniu.
-1 dobrze ci z tym?

- Sasza uwielbia swojego tatę. Chciał z nim pojechać. Charlene nie ustępowała.

- Jesteś pewna, że to nie z powodu tego faceta? Rachel spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Jakiego znowu faceta?

- No tego, z którym spędziłaś tu noc, kiedy kazałaś nam z Saszą spać w tym okropnym pensjonacie.

Rachel ze złości zazgrzytała zębami. Będzie miała niezły bal. Musi być nadzwyczaj przebiegła, chwycić wszystko w lot. Jeden fałszywy krok, jedno potknięcie i cała przemyślna sieć kłamstw rozleci się w mgnieniu oka.

- Och, tamten! Chryste, nic podobnego, widuję się z nim tylko od czasu do czasu. To nic poważnego.

Charlene zrobiła zatroskaną minę.

- Dobrze to przyjęłaś? Ze Sasza odjechał?

- Nie zareagowałam na to z radością - odparła Rachel, czekając z niecierpliwością, aż woda w czajniku się zagotuje. -Jednak Sasza bardzo się napalił, żeby zamieszkać z tatą.

- Naprawdę?

- Naprawdę, naprawdę - potwierdziła Rachel z rosnącą irytacją. Wyciągnęła z szuflady dwie torebki z herbatą, włożyła je do kubków.

- Nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że zgodzisz się na rozstanie z Saszą. Moim zdaniem małe dzieci powinny być ze swoimi matkami - oświadczyła butnie Charlene, wyjmując z lodówki karton mleka.

Rachel zalała torebki wrzątkiem.

- No cóż, tak to jest, Charlene. Może jesteś zbyt młoda, żeby zrozumieć, jak skomplikowane są takie sprawy. Musisz

brać pod uwagę, co jest dobre dla dziecka. Sasza ma tam mnóstwo krewnych - ciotek i wujków, dziadków, duży dom, wielu kuzynów, kapujesz. - Zdawała sobie sprawę, że powinna się zamknąć. Nie była na to przygotowana. Przyjście Charlene rozwalilo jej misterny plan.

Charlene wpatrywała się w nią z rosnącym niedowierzaniem. Była z niej mądrała. Jak łatwo byłoby wyznać jej prawdę, wyrzucić z siebie te koszmary, morderstwo, spalenie zwłok, ucieczkę Saszy. Charlene była jednak zbyt młoda, zbyt niewinna. Jak najszybciej musi się jej pozbyć. Uri pojawi się lada chwila, a wtedy nastąpi katastrofa.

Popijały herbatę. Promienie porannego słońca połyskujące na blacie kuchennym nadawały tej absurdalnej scenie nierealną atmosferę. Rachel czuła rosnący ucisk w brzuchu, pragnęła pójść do ubikacji, ale obawiała się zostawić Charlene samą. Po kilku minutach, kiedy dopiła herbatę, spojrzała na zegarek i wykrzyknęła:

- O cholera! Mam wizytę u dentysty, właśnie teraz, o jedenastej. Przepraszam, ale muszę pędzić. - Zerwała się, sprzątnęła kubki.

Charlene też wstała.

- Odprowadzę cię.

- Nie! - krzyknęła Rachel. - To tuż za rogiem. - Zamilkła, położyła rękę na ramieniu dziewczyny. - Posłuchaj, jest mi bardzo, bardzo przykro, że wyglądam na taką pogodzoną z sytuacją. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Strasznie jesteś chuda, Charlene. Czy nie powinnaś wrócić do domu... do rodziców? Z pewnością zamartwiają się, w jakich warunkach żyjesz, w otoczeniu tych wszystkich oszołomów.

Charlene nie spodobała się ta rada.

- Wiem, kiedy nie jestem mile widziana.

- Ale gdybyś do nich zatelefonowała...

- Nie - przerwała jej Charlene. - Przyszłam do siebie. A tym mi życzysz szczęścia i żebym odpieprzyła się od ciebie, prawda?

Rachel przykneęła oczy w poczuciu skrajnego zażenowania.

- Charlene, tak mi przykro. Nie mogę ci pomóc i nie mam ci nic do zaoferowania, nawet przyjaźni. - A w myślach dodała: I przychodzenie tu grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem, więc odejdź stąd jak najszybciej. Przywykła do towarzystwa Charlene, która była miłą dziewczyną, może nawet serdeczną koleżanką.

Wiedziona impulsem wyjęła z kieszonki na piersi komórkę i wyciągnęła ją do Charlene.

- Masz. Zadzwoń do nich. Od razu. Ochrzaniłaś mnie, że puściłam Saszę z ojcem. Zakomunikowałaś mi, że dzieci powinny być ze swoimi matkami. No to odezwij się do nich, bo inaczej nigdy nie wypuszczę cię z domu.

- Hej! - prychnęła Charlene. - Uważaj, co mówisz. To mi może pasować.

- Naprawdę tak sądzę. Nie możesz dłużej mieszkać na ulicy. Przecież musi istnieć ktoś, kto za tobą tęskni.

Charlene znowu opadła na krzesło i zakryła dłońmi twarz. Rachel pogłaskała ją nieśmiało po ramieniu.

- Czy rzeczywiście nie masz nikogo, do kogo mogłabyś zatelefonować?

Po dłuższej chwili Charlene spojrzała na nią.

- Może mogłabym odezwać się do mojej siostry. Ona mieszka w Stoke.

- Podaj mi jej numer.

Charlene wyrecytowała go z pamięci, a Rachel, wystukując cyfry, modliła się w duchu, żeby tamta odebrała telefon. Kiedy kobiecie głos rzekł „Halo”, oddała komórkę Charlene i wyszła z kuchni.

Po dziesięciu minutach blada jak ściana Charlene pojawiła się w saloniku.

- Oni strasznie się o mnie martwili - rzekła martwym głosem. - Tata przeszedł załamanie nerwowe i musiał odejść z pracy.

Rachel chwyciła ze stolika torebkę i wyciągnęła wszystkie banknoty, jakie miała w portfelu, wciskając je Charlene.

- Dzieciaku, wracaj do domu. Idź prosto na stację i wsiądź do pierwszego pociągu. Nie myśl o tym. Nigdzie się nie zatrzymuj. Po prostu jedź, Charlene.

Gdy tylko zatrzasnęła drzwi za Charlene, wybuchła rozpaczliwym płaczem. Nie płakała tak nawet wtedy, gdy odwiozła Saszę do Madeleine. Charlene solennie jej obiecała, że natychmiast pojedzie do domu, a Rachel ogarnęła dojmująca samotność. Tak bardzo tęskniła za Saszą, że serce się jej krajało. Dlaczego nie uciekła z nim? Gdzieś w świecie mogli przecież oboje znaleźć bezpieczne miejsce - igloo na Grenlandii, chatkę na Borneo, jaskinię w Brazylii lub w Nowej Zelandii. Miała pieniądze, a Madeleine obiecała jej dalszą pomoc finansową.

Dlaczego tego nie zrobiła? Nie wiedziała, czy musi zapłacić za śmierć Antona, czy przyniesie synowi pecha, który zniszczy mu życie, albo czy mordercy ma prawo wychowywać niewinnego chłopca? Odpowiadała za wszystko lub za nic. Ale przede wszystkim chciała uczynić z siebie zaporę przeciw furii Uriego. Zaporę, za którą Sasza byłby bezpieczny. Ale ten mur nie będzie wieczny, wkrótce się pokruszy.

Położyła się na kanapie. Mogła jedynie czekać. Pewnie zajmie mu trochę czasu, żeby ją odnaleźć, a ona musi przeżyć każdy z tych dni, nie popadając w obłąd. Obiema rękami uczepiła się krzyżyka na szyi. Co Madeleine powiedziała o nim? Ma ponoć moc odpędzania zła. Nosiły go pokolenia mądrych kobiet, które dzięki niemu ocalały. Starła się w to uwierzyć.

Z początku nie mogła pojąć, kim są ci mężczyźni stojący przed jej drzwiami. Jeden z nich był wstrętnym olbrzymem z wąsami jak u Saddama Husajna, chudym jak kościotrup. Drugi wyglądał znajomo. Był sporo niższy, nie taki chudy jak jego towarzysz, za to zwisały mu ramiona. Rumiany na twarzy, miał szaleństwo w oczach i był kompletnie łysy.

Tych dwóch bez słowa wdarło się do jej mieszkania. Po spo-

sobie chodzenia Rachel rozpoznała w niższym z nich Uriego. W ciągu paru tygodni, jakie minęły od ich spotkania w Reading, stracił sporo na wadze. Jego gęste popielato blond włosy zniknęły. Przyglądając mu się uważnie, Rachel zauważyła, że je zgolił. Ledwie zaczęły odrastać. Mimo przerażenia niemal się uśmiechnęła. Ten facet bardzo się postarał, żeby wyglądać jeszcze groźniej.

Odpowiadał monosylabami na jej idiotyczne prośby o informacje. Pchnął ją na kanapę, zajęty z tym drugim przetrząsaniem domu. Rachel obserwowała ich z niepokojem, orientując się, że coś jest zdecydowanie nie tak. Nie chodziło o gorączkową rewizję, lecz o dziwaczny sposób, w jaki Uri szarpał na sobie ubranie i przecierał gardło brudną chustką. Robił wrażenie skrajnie zdenerwowanego, niemal maniaka. Zazwyczaj odznaczał się powolnym, metodycznym działaniem, tymczasem teraz zachowywał się jak obłąkaniec.

Kiedy zadzwonili do jej drzwi, była w wannie, a teraz trzęsła się z zimna i ze strachu, siedząc na kanapie w szlafroku, z włosami ociekającymi wodą. W jakimś sensie było to przeznaczenie, odczuła niemal ulgę. Los w końcu ją dopadł. Sprawa może się skończyć w dwojaki sposób. Albo Uri jej uwierzy, albo nie.

Po dwudziestu minutach bebeszenia jej rzeczy Uri stanął nad nią. Miał na sobie elegancki beżowy garnitur z tłustymi plamami. Kiedyś pewnie dobrze na nim leżał, ale teraz zwisał. Na jego twarzy widać było czerwone pręgi, jak gdyby zaatakował go kocur albo jakaś kobieta, którą napadł, broniła się paznokciami.

- Kłamiesz - odezwał się.

W proteście skrzyżowała ręce na piersiach.

- O czym, do cholery, mówisz? - odparła, udając zdziwienie.

- Mój brat nie wyjechał z tego kraju.

- Chwileczkę, Uri. To ty mi powiedziałeś, że pojechali na Ukrainę. Kazałeś mi siedzieć tu i czekać, ponieważ wkrótce wrócą.

- Uważam, że Anton nie żyje. - Jakby od niechcienia kopnął ją w goleń. Rachel skręciła się z bólu.

- Nie żyje? O Boże, nie! - Udawanie rozpaczki przyszło jej z łatwością.
- A Sasza? - wykrzyknęła.

Uri nie odpowiedział, świdrując ją wzrokiem, - Co się dzieje z Saszą?
- zawyła, próbując wstać. Pchnął ją na kanapę.

- Anton przyjechał tu, żeby wziąć Saszę, prawda?

- Tak, prawda. Tak, jak ci mówiłam - odparła ze wściekłością w oczach. - Ale gdzie pojechali?

Zaśmiał się dzikim głosem.

- Przyjechał, ale czy odjechali stąd?

- Jasne, że tak - zajęczała. - A gdzie, do cholery, mógłby być mój syn? Czy uważasz, że dobrowolnie zgodziłam się na jego wyjazd?

Uri zrobił wściekłą minę.

- Jesteś przewrotną dziwką - wycodził cicho. Poruszył ramionami, jakby go bolały, i podrapał się w pierś. - Anton zawsze mi powtarzał, jaki z ciebie numer. Próbowałem pouczyć brata, jak zapanować nad babą, ale on był dla ciebie za miękki, pozwalał ci robić, na co miałaś ochotę. To nie w naszym stylu, co, Rachel?

- Ten twój pieprzony brat i ja dawno ze sobą skończyliśmy. Łączył nas tylko Sasza.

- Mówisz to w czasie przeszłym, Rachel? On był, a nie jest? - zauważył przenikliwie Uri, sięgając do kieszeni po chusteczkę, którą następnie otarł sobie głowę i kark.

- Uri, nie bawię się z tobą w pierdolone słówka. Jeśli nie potrafisz odpowiedzieć, gdzie jest mój syn, wynoś się z mego domu.

Uri podskoczył do niej i rąbnął ją w lewą pierś. Niemal znokautował ją tym ciosem. Serce załomotało jej nierówno. Wpadła w panikę, nie mogła złapać tchu. - Głupia szmata - warknął, chwytając ją za ramię i zmuszając, by schyliła się do jego stóp. - Na czas nieobecności Antona pojedziesz do mnie. Dogłądanie kobiety brata to mój

obowiązek. Muszę cię strzec przed kłopotami. Chcesz ujrzeć swego syna? - Ściskając przez szlafrok jej sutek, mruknął jej do ucha: - Pamiętaj, Rachel. Anton i ja jesteśmy braćmi. Co należy do niego, należy i do mnie. Powiedziałem mojemu bratu: jak się znudzisz tą skośnooką dziwką, kupię ją sobie. Zostanie w rodzinie. Jasne, że żartowaliśmy. Strasznie się z tego uśmieliśmy. - Puścił ją, mierzając wzrokiem. - Ale z ciebie nadal niezły kawałek mięsa. Puszczę cię w obieg, żebyśmy zarobili trochę kasy do czasu powrotu Antona i Saszy. Myślę, że to mu będzie odpowiadać. Dobry pomysł, nie?

Z trudem chwytała oddech, ale słyszała jego słowa.

- Ubierzesz się, a Ruben i ja poczekamy na ciebie. Weź ze sobą trochę ciuchów. - Mrugnął, po czym ogryzionym paznokciem podrapał się w policzek. - Dobrych ciuchów, wiesz, co mam na myśli.

Zbyt mocno cierpiała, żeby móc mu odpowiedzieć. Bolała ją cała klatka piersiowa.

Pozwolili jej pójść na górę. To już coś. Odrobina szacunku w tym strasznym poniżeniu. Szła powoli na piętro pod czujnym okiem obu mężczyzn stojących w saloniku. Zamknęła się na klucz w łazience. Był tam zainstalowany dobry zamek, robota specjalisty. To jedyna bezpieczna kryjówka w całym domu, o to zadbała dawno temu.

W łazience było okno, które kiedyś spryskała silikonem, żeby z łatwością móc je otworzyć. Uchyliła je. Mogła stąd zawołać o pomoc albo wyskoczyć. Skok będzie najlepszy. Z pewnością się zabije. Wychyliła się, patrząc w dół. Trzy kondygnacje i betonowy podjazd. Co się jednak stanie, gdy złamie nogę albo skreśli kark? Wówczas mogliby ją zaciągnąć do samochodu i wywieźć w nieznane.

Jej wahanie się przedłużało. Nagle wstrzymał ją huk. Ktoś kopnął w drzwi. Nie odwróciła się za siebie, żeby sprawdzić, który z nich to zrobił. Przerzuciła nogę przez parapet, uświadamiając sobie, że powinna skoczyć głową w dół. Przy całym tym planowaniu nie pomyślała o tym. Czyjeś ręce złapały ją w pasie, odciągnęły od okna. Facet o imieniu Ruben zatrzasnął

je. Uri trzymał buteleczkę tuż przy jej ustach, próbując zmusić ją do wypicia jakiegoś płynu.

- No, Rachel. Przełknij. Dzięki temu staniesz się grzeczną dziewczynką. Będiesz się świetnie czuła i wszystko wyśpiewasz Uriemu. Wszystko.

Rachel, broniąc się, kopała na oślep, drapała paznokciami i darła się co tchu w płucach. Przysięgła sobie, że nie da się otumanić narkotykami. Jej szlafrok był w strzępach, a nagość jeszcze bardziej wznieciła w niej szal. Nieraz już się opierała, więc i tym razem dwóch facetów nie dawało rady wlać jej siłą płynu do gardła. W trakcie tej walki stale pamiętała o swojej strategii.

- Zapominasz o listach! - wrzeszczała, wierzgając nogami w stronę Uriego, podczas gdy Ruben trzymał ją od tyłu za ręce. - Jeśli cokolwiek mi się stanie... jeśli opuszczę ten dom żywa czy umarła, listy zostaną nadane.

Uri zamarł, ona nie przestała krzyczeć.

- Twój brat nie był taki lojalny, jak sobie wyobrażałeś. Gdy był miły w łóżku, wyciągałam od niego wszystko o tobie i twoich przekrętach. Potrafiłam zachęcić go do gadania. Uri, nie jestem tylko kawałkiem mięsa, mam swój spryt. Tak jak powiedziałeś, potrafię każdego zmusić do gadania, i tak robiłam. Powinieneś zobaczyć te listy i to, co w nich jest.

Cofnął się o krok i wpatrywał się w nią z nieodgadnioną miną. Zazgrzytał głośno zębami, w kącikach ust ukazała się mu biała piana. Rachel była pewna, że za chwilę ją zabije. Wiedziała, że to najlepsze, co może się jej przytrafić, przynajmniej najbardziej bezbolesne. To lepsze niż przesłuchanie w jego domu, trwające pewnie przez wiele dni i niechybnie zakończone jej śmiercią, przypadkową, jeśli nie zamierzoną. Zamiast więc walczyć, czekała na ostateczny cios.

Tak się jednak nie stało. Uri zniemacka zgiął się, jakby uderzony w brzuch, i chwytając się obiema rękami za głowę, wydał z siebie rozpaczliwy krzyk. Facet zwany Rubenem puścił ją i podbiegł do Uriego w obawie, że ten się przewróci.

- OK, szefie. OK. Proszę się nie martwić.

Nastąpiła długa cisza. Ruben stał złany potem, podtrzymując jęczącego Uriego.

- Co? Nie martwić? O, Uri, nie wierzę w to - szydziła Rachel. - Człowieku, masz wszelkie powody, żeby się bać.

W odpowiedzi Uri zwrócił się błagalnym tonem do Rubena.

- Wyprowadź mnie stąd.

Nie puszczając Uriego, chudzielec zbliżył się o krok do Rachel.

- Lepiej mi powiedz, dziwko, gdzie jest Anton.

Rachel cofnęła się, ciasno owijając się resztkami szlafroka. Nagły ucisk na klatkę piersiową wywołał przeszywający ból. Zerknęła na pierś, która stawała się czarna. Widok ohydny siniaka rozwścieczył ją.

- A ty tu czego? - krzyknęła. - Czy wy pierdolone durnie nie słyszycie, co powiedziałam? Nie mam pojęcia, gdzie on pojechał. Ale chcę wiedzieć, gdzie się podziewa, ponieważ ma mojego syna, a ja chcę, żeby dzieciak do mnie wrócił. Wtedy go za to zabiję.

Facet o imieniu Ruben sprawiał wrażenie, jakby miał tego serdecznie dość, był niemal zażenowany. Kościste ramiona jeszcze bardziej mu opadły. Nie sądził, żeby ta wizyta była warta jego wysiłku, to było jasne.

- No - wyjąkał. - Jeśli odezwie się do ciebie, powiedz mu, że pilnie go poszukujemy. Przekaż, że jego brat... zachorował. - Odwrócił się do Uriego, na jego cienkich wargach odmalowała się pogarda. - Dość już tego. Biorę cię do domu - wycedził. Nie patyczkując się, sprowadził Uriego po schodach.

Jakimś cudem Uri i Ruben opuścili jej dom. Rachel obserwowała ich rejteradę w osłupieniu. Do jej uszu dobiegł wizg opon na betonowym podjeździe. Przez minutę stała jak wryta i dopiero potem zaczerpnęła tchu. Powoli wydychała powietrze z płuc. Oczy zaszyły jej łzami, z gardła dobywał się kaszel. W pierwszej chwili pomyślała, że płacze, ale był to śmiech.

Brzmiał tak dziwacznie, że trudno jej było uwierzyć, że wydobywa się z jej piersi.

Kichając, prychnając i ocierając łzy, zeszła na palcach do saloniku. Drzwi wejściowe były uchylone, ale dwa typy się ulotniły. Rachel uświadomiła sobie, że w oczach Uriego dostrzegła strach - czysty i bezbrzeżny. Co go tak odmieniło? Wreszcie był po prostu istotą ludzką - pogwałconym, słabym, żalonym i lęklwym człowieczkiem. Zamknęła drzwi na zasuwę, założyła łańcuch i wyjęła z kieszeni papierosa.

Idąc na górę, dostrzegła jakiś szary przedmiot. U jej stóp leżała brudna chusteczka Uriego. Na jej widok znowu dostała histerycznego śmiechu. Schyliła się i podniosła ją dwoma palcami. Postanowiła, że obleje ją whisky i spali w kominku, w ten sposób dokona aktu przepędzenia jej właściciela ze swego domu.

Przez chwilę uważnie przyjrzała się chusteczce. W jej brudnych załamkach poruszały się mikroskopijne kropki. W świetle lampy Rachel wykryła, co to jest.

Były to mrówki - maleńkie czerwone mrówki.

EPILOG

Klnąc i spływając potem, Sasza dźwigał deski, ciągnął je schodkami po cztery sztuki na platformę. Kiedy sterta na dole zniknęła, uprzytomnił sobie, że przytargał chyba z tonę drewna. Na koniec zszedł po bezprzewodowe wiertło, piłę, młotek, taśmę mierniczą i wsunął do tylnej kieszeni spodni paczkę śrub z nierdzewnej stali. Odkładał tę pracę od ponad roku, ale teraz zabrakło mu już wymówek. Gdy pień i gałęzie się rozrosły, stare deski popękały, rozsypując się dokoła. Nie był to miły widok.

Najpierw zajął się obróbką starych desek, wyblakłych i spękanych od słońca i deszczu. Wbite w nie gwoździe były tak przerdzewiałe, że dosłownie same wypadały. Choć pracował w cieniu gęstej korony, pot spływał mu strugami po plecach.

Od ponad dziesięciu lat siadywał na platformie i kontemplował widoki - wyjście w morze i powrót łodzi do łowienia krewetek, żaglowców, statków wycieczkowych. Wyobrażał sobie nawet, że w pogodne dni dostrzega zarys linii brzegowej Kuby. Na platformie kochał się z pewną dziewczyną, sypiał, pracował i studiował. Raz, pragnąc się wyleczyć z lęku przed huraganami, przeżył tam nawet niezbyt groźny sztorm tropikalny, i nieźle się wtedy najadł strachu. Gdy się wiedziało, gdzie należy patrzeć, można było dostrzec komin barki mieszkalnej. Poprosił matkę, żeby wywieszała flagę brytyj-

ską, bo wtedy będzie wiedział, kiedy wolno mu ją odwiedzić (a kiedy nie).

Platforma składała się z dwóch pokładów. Często zapraszał tam Madeleine na drinka i wspólne podziwianie zachodów słońca. Ona przynosiła ze sobą swoje ulubione *mojito*, a dla niego colę. Dzięki temu ich rozmowy o sztuce, życiu i labiryntach duszy były zdecydowanie żywsze.

Już prawie kończył remont górnego pokładu, kiedy usłyszał skrzypienie furtki. Przyjechała Madeleine na swoim starym rowerze. Szpakowate loki miała związane w niedbały węzeł na karku. Oparła rower o werandę i znikła w swoim atelier. Sprawiała wrażenie tak zaabsorbowanej, że nie śmiał jej zawołać. Zawarli w tej sprawie milczący pakt. W ciągu dnia pracowali i rzadko wdawali się w pogawędkę. Odkąd Sasza skończył wyższą uczelnię, życie uległo zmianie. By malować w samotności, trzeba się zdobyć na niebywałą dyscyplinę.

- Sasza, do diabła, jesteś ostrożny, prawda?

Przestał walić młotkiem i ze skraju pokładu spojrział w dół. Madeleine stała pod filarami i patrzyła w górę. U jej stóp kręcił się Napoleon.

- Drewno! - krzyknął. - Uwaga, wszyscy trzymają się z daleka. Psy. Żółwie. Ty także, Madeleine. - Zrzucił starą deskę na stertę w ogrodzie.

Madeleine starała się przybrać surową minę, ale się uśmiechała. Potrząsając głową, zawróciła do pracowni. Jej chód zawsze przypominał mu Rachel. Trudno się dziwić, skoro to matka i córka, obie długonogie niczym bociany, szczupłe, szerokie w ramionach. Na tym jednak podobieństwa między nimi się kończyły.

Odłożył młotek i pogłaskał niewielką szklaną fiolkę zawieszoną na łańcuszku na szyi. Pozycja słońca na niebie podpowiadała mu, że czas się ewakuować. Podawany mu dwa razy w tygodniu obiad na barce był okazją, której wyczekiwał z niecierpliwością. Jedyne angielskie jedzenie, za jakim przepadał. Anglia! Nigdy więcej nie postawi nogi w tym po-

nurym, dżdżystym kraju. Zapamiętał z tego miejsca ciemne barwy, zwłaszcza brązową. W dzieciństwie często się bał i wołał sobie nie przypominać, z jakiego powodu. Teraz żył pośród ostrych oranżów, indygo i czystej bieli. Pomyślał, że lepiej nie gasić tych żywych barw, póki się nie zestarzeje i nie zaakceptuje ciemności.

Wziął szybki prysznic, przebrał się w czyste ubranie, wyciągnął z szafki w kuchni butelkę wina rose i wrzucił do koszyka zamontowanego na rowerze.

- Do zobaczenia, babuniu! - krzyknął, naciskając dzwonek przy kierownicy.

Pedałował szybko, powietrze było ciężkie i wilgotne. Choć nie było wiatru, wiedział, że zbliża się sztorm. Przebiegł go dreszcz trwogi. Co roku usiłował przekonywać matkę, żeby przenosiła się na sezon huraganów do domu, ale teraz zmęczyła go nawet myśl, że znowu musiałby ją nakłaniać do wyniesienia się z barki choćby na jedną noc. Na tym polegał problem: była idiotycznie samowystarczalna, zaciekle broniła swej prywatności, a nade wszystko pozostała dziko uparta.

Jadąc przez bulwar Roosevelta, Sasza zwolnił tempo. Na drewnianym chodniku wzdłuż Houseboat Row zaterkotały koła jego roweru. Skromne domostwo matki - bez wątplenia najstarsze i najbardziej zaniedbane - niebezpiecznie huštało się na falach. Oparł rower o słup, wyjął z koszyka butelkę.

- Hej, Rachel! - zawołał.

Była na tylnym pokładzie, oprawiała ryby.

- Dzieciaku, obierz ziemniaki i zapal gaz pod patelnią! - odkrzyknęła, trzymając tłustego okonia morskiego za płetwę ogonową.

Poraziło go piękno i świetlistość tego obrazu. Rachel, promienna w silnym słońcu, jej długie rude włosy i ryba w ręce niczym płynne złoto. I zaraz potem padł na nią cień. Zerknął w górę, dostrzegł ciemne chmury zbierające się na horyzoncie. Gwałtowny szkwał wiał mu prosto w twarz.